

**Sergiusz Piasecki**  
***Piąty etap***

Projekt okładki Maria Jastrzębska

Copyright © S. Piasecki Trust

ISBN 978-83-7565-000-6

Wydanie opracowano na podstawie wydania pierwszego:  
Towarzystwo Wydawnicze „ROJ”, Warszawa 1938

Wydawnictwo LTW  
ul. Sawickiej 9, Dziekanów Leśny  
05-092 Łomianki  
tel./faks (022) 751-25-18  
[www.ltw.com.pl](http://www.ltw.com.pl)  
e-mail: [wyd@ltw.com.pl](mailto:wyd@ltw.com.pl)

*I widziałem, a oto koń płowy, a lego, który siedział na nim, imię było Śmierć, a piekło szło za nim; i dana im jest moc nad czwartą częścią ziemi, aby zabijali mieczem, i głodem, i morem, i przez zwierzęta ziemskie.*

Apocalypsis, VI. 4,8

## WSTĘP RÓŻOWA LATARNIA

*Jedno słowo ma tysiąc odcieni.  
Każdy odcień ma tysiące dźwięków.  
A dźwięk każdy ma miliony znaczeń.*  
J. Wołoszynowski, *Słowacki*

Na ukształtowanie się psychiki Romana Zabawy wielki wpływ wywarła różowa latarnia. On zapomniał o niej zupełnie, lecz subtelne, różowe światło tej latarni trwa i promieniuje nadal w dalekiej komórce mózgu, w nurtach podświadomości i często wpływa decydująco na barwę, charakter i natężenie jego uczuć, dążeń i czynów...

Było to wkrótce po rewolucji 1905 roku. Romek miał wtedy siedem lat i był chłopcem wyjątkowo wrażliwym, o niezwykle bujnej wyobraźni. Każde zdarzenie służyło mu za tło do snucia na nim nieskończonych marzeń... Pewnego dnia, w święto, ojciec kazał mu się ubrać i poprowadził go do kina. Pierwszy pobyt tam wywarł na Romku wielkie wrażenie. Chłopiec znał się w krainie cudów, o której dotychczas nawet marzyć nie mógł... Na czarodziejskim tle ekranu, przy wysubtelnionych odległością i półmrokiem dźwiękach skrzypiec i pianina, przy miarowym turkocie aparatu, przepływały przed nim cudne widoki jakiejś południowej rzeki, o malowniczych brzegach, w pięknej okolicy. Film był wykonany niezbyt dobrze, w kilku zasadniczych odcieniach szarości, bo technika filmowa wówczas była prymitywna, lecz dla Romka był to cud, który uniósł go w sferę marzeń, bajek i snów...

Kino, w którym był Romek, nazywało się „Cały świat”. Przed jego drzwiami frontowymi, ponad szyldem wisiała olbrzymia różowa latarnia, rozlewająca daleko w krąg łagodne promienie, które miliardami kolorowych skier, błysków i ogni mieniły się w zaścielających ulicę płatkach śniegu. Latarnia ta stała się dla Romka symbolem ziszczonych cudów i skupiła w swych promie-

niach „cały świat”: świat przygód fantastycznych, ludzi niezwykłych, czynów bohaterских...

Mijały lata. Romek rósł. Stał się zapalonym miłośnikiem kina... Często się zawodził, gdy w szumnie reklamowanych przebojach filmowych widział próżną, lichą tandetę. Lecz nieustannie trawił go głód wrażeń niezwykłych, którego nigdy nie mógł zaspokoić...

Często, uczniem już będąc, przystawał na rogu głównej ulicy miasta, skąd było widać, rozlewającą daleko wokoło różowe promienie, cudowną latarnię. ... Patrzył w tamtym kierunku rozmarzonym wzrokiem i jak ból nieustanny czuł w duszy dziwny jakiś niepokój, który go robił roztargnionym i chorobliwie wprost drażliwym.

Dalsze życie Romka obfitowało w niezwykle przygody. Nieraz miał możliwość wyboru pomiędzy wygodną drogą spokojnego, mieszczańskiego trybu życia a ciemną, napiętrzoną trudnościami, niebezpieczną drogą żywota awanturniczego. Gdy stawał na rozstaju tych dróg, myśląc, po której pójść - wtedy, niepostrzeżenie, wyłaniały się z podświadomości drzemiące tam subtelne promienie różowej latarni i bajecznie ubierały w pyszne barwy, błyski i tęcze tę właśnie niebezpieczną drogę, czyniąc ją nieodparcie powabną... I Romek szedł na manowce, ku obiecany cudom, w krainę różowych snów. Szedł, często przeciw własnej rozwadze, na przekór życzeniu i wbrew woli...

## KONIEC CZWARTEGO ETAPU

*Ja wypilam, towarzysze, zdrowie odważnych ludzi silnej woli. Słyszycie? Ja wypilam zdrowie nierozsądności, która się wyrodziła u sorrenckiego mieszczanina Pieszkowa! — ja wypilam zdrowie tej nierozsądności, która doprowadziła troglodytę do stanu eleganckiego Europejczyka. Ja wypilam zdrowie tego, co nie zna ślepych zaułków i płonie wiecznym ogniem dążenia w nieznanne krainy. Ja wypilam zdrowie konkwistadorów.*

Mikoła Chwilowij<sup>2</sup>, *Waldsznepy*

### DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Stolpce, 2 sierpnia 1922 r.*

Drzałem z zimna. Mury celi, w której się znajdowałem, były ułożone z olbrzymich ciosanych głazów. Z takich samych głazów były sklepienia i posadzka. Dookoła panował półmrok, w którym zaledwie mogłem odróżnić dłonie swych rąk, wyglądające jak niewyraźne, białe plamy, rzucone na tło kolan. Siedziałem na wąskim stołku, przyciśnięty plecami do muru, wchłaniając w siebie jego chłód i wilgoć. Przede mną znajdowała się czarna kurtyna, szczelnie osłaniająca całą przestrzeń pomiędzy ścianami, sufitem i podłogą. Półmrok nie był jednostajny - miejscami się przerzedzał, to znowu się zgęszczał.

Czułem się jakby skrępowany niezwykle zgrozą, którą wszystko wokół mnie było wypełnione. Trwogę, którą odczuwałem, mogę przyrównać do trwogi skazańca, oczekującego chwili wyprowadzenia go z celi dla wykonania na nim wyroku śmierci. Męka moja trwała długo.

W pewnym momencie kurtyna niepostrzeżenie się usunęła. Przede mną otwarła się czeluść długiego korytarza, który znikał daleko w ciemności. O długości tego korytarza mogłem sądzić z odległej perspektywy lśniących, nikłych lichterzy, które były ustawione co kilka kroków wzdłuż jego ścian. W każdym lichterzu paliła się świeca. Pierwsze dwa lichterze znajdowały się w odległości kilku kroków ode mnie i miały przeszło półtora metra wysokości każdy...

Jak zahipnotyzowany, nieruchomy, patrzyłem w głąb tego korytarza... Z dała ukazała się czarna plama. Rosła, rosła, rosła i coraz prędzej posuwała

<sup>1</sup> Pieszkow, rzeczywiste nazwisko Maksyma Gorkiego, którego autor nazwał „sorrenkim mieszczaninem”, dlatego że woli mieszkać za granicą, w burżuazyjnym Sorrento, niż w ZSRR.

<sup>2</sup> Mikoła Chwilowij, sowiecki pisarz, komunista, z pochodzenia Ukrainiec. Popelnił w 1933 r., w bardzo zagadkowych okolicznościach, „samobójstwo”.

się ku mnie. Z początku byłem tym zjawiskiem tylko zaciekawiony, lecz nagle ogarnął mnie strach. Spojrzałem w prawo, w lewo: wyjścia żadnego nie było... Biała plama przybierała coraz wyraźniejsze kształty. Wkrótce mogłem już odróżnić ostre kąty łokci, zarys głowy, ramion i czegoś wystającego ponad głowę. Postać ta była okryta czymś białym, jakby dużym całunem. Gdy się znalazła w odległości kilkunastu zaledwie kroków ode mnie, spojrzałem w dół, na jej nogi i... zobaczyłem piszczele kościotrupa. Zimna fala dreszczu przetoczyła mi się po plecach, skóra na czasce się ściągnęła i kurcząc się coraz więcej, zacząłem się cisnąć do muru, jak gdybym w nim chciał się schronić...

Śmierć była już blisko. Dzielilo nas kilka kroków. Zrozpaczony rzuciłem się naprzód. Nie mogąc wyminąć zagrażającej mi drodze makabrycznej postaci, skoczyłem do jej nóg. Szybkim ruchem, czując w dłoniach piszczele kościotrupa, rozsunąłem jego kolana i przemknąłem pomiędzy nimi na korytarz.

Pędziłem z całych sił, nie oglądając się za siebie. Korytarz był bardzo długi. Odprowadzały mnie lśniące szeregi lichtarzy i złote płomyki świec. Dobięłem do końca korytarza, który w tym miejscu skręcał na prawo, przechodząc w małą celę, podobną do tej, z której dopiero co zbiegłem, tylko jaśniejszą. W tej celi dostrzegłem małe, półotwarte drzwi. Nad nimi wisiał na ścianie karabinek i taśma nabojów, taka, jakiej się używa do karabinu maszynowego. Zerwałem ze ściany karabinek i wymknąłem się, oślepiony światłem dziennym, na ulicę.

Biegłem dalej, wpadłem do jakiegoś zaułka. Obejrzałem się. O kilkadziesiąt kroków ode mnie posuwała się, przez całą szerokość ulicy, tyraliera uzbrojonych ludzi. Położyłem się za podmurówką żelaznego parkanu i zacząłem do nich strzelać. Odpowiedzieli tymże... Strzelanina trwała długo... Spostrzegłem pewne niezwykle zjawisko, które mnie mocno zdziwiło: kule latały w powietrzu tak powoli, że mogłem śledzić każdą.

Dalszego ciągu snu nie było, ponieważ obudziłem się w swoim pokoju, w lichym żydowskim hoteliku, w Stołpcach, gdzie się zatrzymałem w przejeździe ku granicy.

Nie przypisuję snom specjalnego znaczenia, jak to robią ludzie przesądni, lecz często mam tak dziwne sny, że nie mogę się wstrzymać od pokusy zapisanania ich w Dzienniku. Może one mają jaki bliski związek z moją istotą duchową - może pomogą do określenia pewnych moich skłonności psychicznych. Może człowiek obcy mi - znający z Dziennika nie tylko moje przeżycia rzeczywiste, myśli, czyny, dążenia, uczucia, ale nawet i sny - lepiej mnie zrozumie.

Czytałem gdzieś kiedyś, że rzeczy nieważnych w życiu ludzkim nie ma. Każda ma swój wpływ i znaczenie, większe lub mniejsze... Zdaje mi się, że człowiekowi mogą się śnić tylko takie rzeczy, które są w jakimś związku, cho-

ciążby bardzo dalekim, niewyraźnym i pogmatwanym, z jego istotą fizyczną i duchową, z jego gustami, pragnieniami, marzeniami i dążeniami.

Po przebudzeniu się nie mogłem znów zasnąć. Wstałem, zapaliłem świecę i zacząłem wpisywać do dziennika te zdania.

Jest druga w nocy. Cisza. Nic nie przeszkadza mi w pracy. Przyzwyczailem się już do zapisywania co pewien czas w dzienniku swego życia i myśli. Z początku to mnie nudziło. Teraz piszę z przyjemnością. Myślę wtedy, że dzielę się swymi wrażeniami z jakimś bliskim, wyrozumiałym przyjacielem, z którym o wszystkim można swobodnie mówić.

Na myśl pisania dziennika naprowadził mnie przyjaciel, niestety, teraz nieżyjący, któremu często opowiadałem rozmaite fragmenty ze swego obfitego w niezwykle przygody życia. Był to człowiek o wiele ode mnie kulturalniejszy, chociaż tylko trochę starszy wiekiem. Tu dodam, że człowiek ten wywierał na mnie wielki wpływ. Dla niego zdobywałem się na takie rzeczy, na jakie samodzielnie nigdy bym się nie zdecydował. Mianowicie: kształciłem się. Przeczytałem, według jego wskazań, sporo naukowych i popularnonaukowych dzieł. Czytałem „nudne rzeczy” nie dlatego, aby się uczyć, lecz dlatego, żebyjemu tym zrobić przyjemność, bo zauważyłem, że rozmawiając ze mną o przeczytanych książkach, był bardzo zadowolony, gdy spostrzegł, że łatwo pojmuję myśli autora i umiem krytycznie je rozpatrywać. Zauważyłem wkrótce, jak wiele korzyści odnoszę z tej lektury, i sam zacząłem się garnąć do książek... Jeśli rozszerzyłem trochę swój horyzont umysłowy, to przede wszystkim jest to jego zasługa.

Nie lubiłem poezji, odrzucałem pogardliwie na bok wszystko, co było pisane wierszem, bo nie znosiłem „przesady i sztuczności”. On potrafił rozbudzić we mnie, jeśli nie zamiłowanie, to pewne zainteresowanie się nią i uznanie dla utworów rzeczywiście pięknych. Pewnego dnia dał mi do przeczytania pisma Słowackiego. Dostrzegł mój grymas znudzenia i niechęci.

- Posłuchaj, jakie to piękne! — rzekł z zapalem. - Dobra poezja przemawia nie tylko do rozumu, lecz i do uczuć. Operuje rytmem, rymem, a nawet barwami i dźwiękami... Proszę! Posłuchaj!

Zaczął mi deklamować, z wielkim uczuciem, prawie nie patrząc do książki, poemat Juliusza Słowackiego *W Szwajcarii*:

*Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,  
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.*

To mnie wzięło.

Następnie czytał mi różne fragmenty i urywki z innych jego utworów. Między innymi z *Beniowskiego*

*Widzę: że nie jest On tylko robaków  
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.  
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,  
A rozhukanych koni On nie kielza!...  
On piórem, z ognia jest dumnych szyszków...  
Wielki czyn często Go ubłaga, nie lża  
Próżno stracona przed kościoła progiem.  
Przed Nim upadam na twarz. - On jest Bogiem!*

Było to tak silne, niepospolite, że byłem zachwycony. Od tego czasu czytałem już i poezję, a niektóre utwory nawet bardzo polubiłem. W ogóle zacząłem czytać uważniej i poważniej. Nie czytałem już „co w rękę wpadnie” albo co przemówi do gustu lub wyobraźni tytułem, lecz starałem się znaleźć dzieła lepsze, o których słyszałem od znajomych lub dowiedziałem się z prasy. Nie mogłem jednakże wyrzec się zupełnie książek o treści erotycznej i sensacyjnej. Były dla mnie deserem, którym wynagradzałem sobie lekturę książek poważnych. Wyglądało to tak, jak gdybym po rozmowie z ludźmi dobrze wychowanymi i inteligentnymi szedł do kobiet lekkich obyczajów, aby znaleźć u nich rozrywkę i wypoczynek, które się wyrażają w bezmyślnym spędzaniu czasu.

Pewnego razu on powiedział do mnie:

- Spostrzegłem, że dobrze pamiętasz przeżycia nawet najdalszych lat. A przeżycia te są dość ciekawe. Spróbuj je zapisać. Pisz bez żadnej pozy, prosto, bez przesady i jak najbliższej prawdy. Naturalnie, zbyt drażliwe miejsca można pomijać lub łągodzić.

Powiedziałem, że to jest bardzo nudne, że wolę sam czytać i bawić się, niż bawić kogoś swoim kosztem i osobą. W ogóle - mówiłem dalej - jest to nieciekawe, bo to, co było, znam doskonale.

- Dobrze - odparł - ale musisz się zgodzić z tym, że lubisz czasem opowiadać o swych przygodach. Często opowiadasz z zapałem, a nawet namiętnością!

- To jest co innego! - odrzekłem. - Tu nie trzeba myśleć, jak opowiadać. Wal z duszy i już!

Tak mniej więcej odpowiedziałem mu. Zapomniałem o innych, lepszych i ważniejszych argumentach. W ogóle nie umiem dyskutować. Muszę zawsze temat przemyśleć. Najlepsze myśli, istotne i trafne, przychodzą mi do głowy zawsze później, po pewnym zżyciu się z tematem.

Wkrótce się rozłączyłem z moim przyjacielem, a następnie dowiedziałem się o jego tragicznej śmierci w Sowietach. Często wspominałem nasze rozmowy i wtedy miałem chęć do pisania dziennika. Może to dlatego, że nie

miałem tak dobrego jak on przyjaciela i nie było z kim szczerze porozmawiać... Kilkakrotnie obserwowałem, jak małe dziewczynki bawią się lalkami. Lalka u takiej smarkuli wzbudza większe zaufanie niż mamusia i jej opowiada ona takie „tajemnice”, jakich by nigdy nie opowiedziała rodzicom. Może dziennik ten zastąpi mi przyjaciela, może będzie dla mnie „lalką”, której można we wszystkim zaufać.

Dziennik prowadzę od sierpnia 1921 roku, czyli od okresu, który - rozważając swą przeszłość - oznaczam jako „piąty etap” mego życia, i od dnia, a raczej nocy dzisiejszej, którą uważam za koniec czwartego etapu, a początek piątego. Mam ku temu bardzo ważne powody, które zaraz przytoczę, ale przedtem mała konieczna dygresja. Nawiasem dodam, że wspomnienia z poprzednich okresów napiszę, gdy będę prowadził spokojny tryb życia.

Kilka lat temu byłem w kinie, na wyjątkowo dobrym filmie szpiegowskim. Wywiadowi wojskowemu pewnego mocarstwa europejskiego chodziło o zdobycie tajnych dokumentów innego mocarstwa. W tym celu został wydelegowany zdolny agent wywiadu zakordonowego. Rozpoczęła się walka agenta wywiadu i jego współpracowników z agentami kontrwywiadu. Bohaterowie filmu przeżywali niezwykle przygody na lądzie, w powietrzu, na wodzie, a nawet pod wodą. Wszystkie zdobycze nowoczesnej techniki były zastosowane w celu pokonania skomplikowanych przeszkód. Na ekranie, jak w kalejdoskopie, przemiały cudne widoki europejskich i egzotycznych krajów. Akcja się toczyła w kilku częściach świata... Pałace, wille, luksusowe hotele, kabarety, bale, dyplomatyczne przyjęcia... Największy luksus i komfort roztaczały się przed oczami widzów, a na tym de odbywała się fascynująca, skomplikowana walka, prowadzona przez piękne kobiety i bohaterskich mężczyzn. Największe wrażenie sprawiały na mnie karkołomne pościgi na motocyklach, motorówkach, samochodach i okrętach...

Zawsze żywo się interesowałem filmami i powieściami szpiegowskimi. Imponowało mi intensywne życie szpiegów, ich spryt, przebiegłość, energia i odwaga... Często wyobrażałem sobie siebie na miejscu niektórych bohaterów filmu lub powieści z życia szpiegów. Wstąpić do wywiadu wojskowego, aby znaleźć zastosowanie dla swych sił, ujście dla energii i wyżycie się dla temperamentu, nie próbowałem dlatego, że uważałem to za niemożliwe. Myślałem, że szpiegami mogą być ludzie mający nieomal nadnaturalne zdolności i olbrzymią, wszechstronną wiedzę. Przypuszczałem, że ludzie ci muszą kończyć specjalne szkoły, do których wstęp jest bardzo trudny.

To wszystko było niezgodne z prawdą. Owszem, potrzebne są pewne kwalifikacje i okazało się, że w zupełności je posiadam. Aby nie przewlekać opowiadania, przejdę do rzeczy. Jestem od kilku dni agentem wojskowego wywiadu zakordonowego na Rosję. Zostałem zbadany, zarejestrowany, sfoto-



grafowany itd. Szczegółów nie będę opisywał, bo tu nie chodzi o świstki papieru ani o formalności, lecz o życie - życie szpiega... O jego rzeczywiste przygody i wrażenia. Zaznaczam przede wszystkim, że opisuję swe życie w związku z życiem innych ludzi, a nie próżne formalności lub działalność instytucji.

Jako szpieg rozpoczynam piąty etap swego życia, które będę zapisywał możliwie najdokładniej w dzienniku. A wy porównujcie to autentyczne życie agenta wojskowego wywiadu zakordonowego z życiem wspaniałych bohaterów, których podziwialiście na srebrnym ekranie i o których czytaliście w powieściach sensacyjnych. Ja też będę porównywał. Będę najpilniejszym swym widzem i czytelnikiem.

Na razie jestem trochę zniechęcony. Nic nie przypomina filmu ani powieści... Nudne formalności, wokoło pospolite twarze i słowa, szare, nędzne życie, liche domy, smutne białoruskie widoki... Rozpoczyna się moja praca niezbyt wesoło, ale pocieszam się tym, że jestem jeszcze nowicjuszem i że faktycznej roboty nawet nie rozpocząłem. Przypuszczam zresztą, że tylko ode mnie zależy gatunek mej przyszłej pracy. A ja wszystkie swe zdolności wyteżę, aby dorównać w odwadze, energii i sprycie tamtym bohaterom - prawdziwym czy zmyślonym... Tak musi być, bo tak chcę, a umiem chcieć mocno... Praca ta w zupełności odpowiada memu charakterowi, więc muszę się jej trzymać.

Dziś kończę resztę formalności i wyjeżdżam na granicę. O, ta granica! Jak ona mnie nęci! Jak się niecierpliwie! Nie mogę się doczekać chwili odjazdu! A sny mam tak dziwne... Ostatni zapisałem w dzienniku. Będę musiał kiedykolwiek przeczytać coś o snach.

Cieszę się bardzo zmianą, która zaszła w moim życiu. Nie odstępuję mnie myśl: jestem agentem wojskowego wywiadu... Jestem agentem!

Patrzę w oczy ludziom i myślę: czy wiecie, kim jestem?... Jestem agentem... I tak w kółko...

Przypomniały mi się teraz, nie wiem dlaczego, dawno, bardzo dawno czytane wiersze Maksyma Gorkiego o pewnym młodzieńcu, Marku, który się zakochał w rusałce i zginął z miłości ku niej w nurtach rzeki czy jeziora. W przedostatniej zwrotce Gorki pisze: „O Marku chociaż piosenka została”, i kończy wiersz tak:

*A inni życie swe spędzą,  
Jak w norach ślepe robaki:  
Ani bajki o nich nie powiedzą,  
Ani piosnki o nich nie zanucą*

<sup>1</sup> Wiersze, terminy i zdania rosyjskie będę tłumaczył na polski, jeśli nie dosłownie, to jak najbliżej oryginału.

W związku z tymi wierszami obudziły się we mnie pewne myśli. Maksym Gorki, sądząc z tych jego utworów, które miałem możność przeczytać, jest miłośnikiem wolności, przygód i piewcą silnego i oryginalnego człowieka. Według niego można nawet głupio zginąć z miłości ku wodnej dziewczoi, byle nie żyć jak zwykli „zjadacze chleba”, jak ślepe robaki”, byle pozostała po nas bajka lub piosnka. Słyszałem, że Gorki jest zwolennikiem sowieckiego „komunizmu” i pisarzem bolszewickim. Nie mogę tego zrozumieć. Znając trochę ustrój sowiecki (osobiście od początku rewolucji do sierpnia 1919 roku, a na podstawie innych źródeł aż dotychczas), wyrobiłem sobie zdanie, że tam człowiek, jako jednostka samodzielna i twórcza, jest ostatecznie złamany. Jest nie człowiekiem, lecz numerem pozbawionym indywidualności, zobowiązany do ślepego posłuszeństwa i uległości władzom. Wiem, jak „pogłębiali rewolucję” bolszewicy w latach 1917-1919, ale jak jest obecnie, nie wiem dokładnie i jestem ciekaw, czy tam człowiek jest faktycznie Człowiekiem czy tylko biernym narzędziem w rękach panujących. Bo moim zdaniem, jeśli człowiekowi dać największy nawet dobrobyt, a obedrzeć go z własnej inicjatywy w pracy i w życiu, to pozostanie tylko dobrze utrzymane bydło, tchórzliwe, leniwe i tępe.

Tenże Maksym Gorki, w jednym z pierwszych swych utworów, *Na dzień*, napisał, jeśli się nie mylę, tak: „Człowiek — to brzmi hardo!”. Tymi słowami Gorki powiedział najwięcej i to mi się bardzo podobało. Tak: człowiek — brzmi hardo! I nie wolno obracać go ani w konia, ani w śrubę fabryczną, ani w plakat reklamowy, ani w błazna! I ci, którzy to czynią, popełniają zbrodnię!... Śmiać się zaś chce, gdy to robią „socjaliści” lub „komuniści”.

Na zakończenie chcę dodać, że ta właśnie kwestia: jak żyje w Sowietach „człowiek” - najwięcej mnie interesuje. Najlepiej się przekonać samemu, zobaczyć własnymi oczami: czy faktycznie tam człowiek „brzmi hardo”, czy „wolność, równość i braterstwo” wchodzi w życie, czy są tylko błagą komunistycznych manifestów. Ciekawym, czy po zapoznaniu się bliższym z Sowietami Gorki, jeden z mych ulubionych pisarzy, nadal takim pozostanie, straci swój prestiż i z piewcy silnego i oryginalnego człowieka przemieni się w naganiacza podejrzaney rewolucji, w wachmistrza bolszewickiego, służącego na żołdzie Moskwy. Tak: Moskwy. Wtedy będzie dla mnie tylko aktorem, wprawnie grającym rolę faktora z Nalewek, zapraszającego do sklepu z ideologiczną tandetą lekkomyślnych przechodniów.

Nie wiem, czy prędko potrafię sobie na to pytanie odpowiedzieć. Może dopiero przy końcu piątego etapu... A jak długi będzie ten etap i czy prędko dojdę do jego końca? Nie wiem...

Dnieje...

## PIĄTY ETAP

*A noc na niebie posepna i głucha,  
Nigdzie nie słyhać ni żywego ducha;  
Mży nocna rosa, jakby chmury płaczą,  
W górach, w dolinach ciemnota złowroga,  
Kroku przed sobą żrenice nie baczą,  
Stopy nie zgadną, gdzie bezpieczna droga;  
Biada, kto w drodze w taki czas surowy,  
A nie ma na noc gdzie przytulić głowy!*  
Jan Mazuraniec, *Śmierć Agi Izmaela Czengisa'*

### DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Raków, 5 sierpnia 1922 r.*

Dotychczas wszystko się układa marnie. Musiałem, aby nie wracać, zrobić kolejną, na własny koszt, duże koło, jadąc ze Stołpców do Baranowicz, stamtąd do Lidy i do Mołodeczna, a następnie do Olechnowicz. Wszystko to się stało z powodu niedbalstwa tych ludzi, których obowiązkiem było ułatwić mi drogę. Ponieważ pozostało mi wszystkiego 5 tysięcy marek, więc nie chcąc wydawać ostatnich pieniędzy na furmankę, poszedłem pieszo ze stacji Olechnowicze do Rakowa - 21 kilometrów. W drodze oderwałem zelówkę i po przyjeździe do Rakowa przede wszystkim wstąpiłem do szewca. Wziął do reparacji trzewik i rozpoczął pracę. Wyglądem swym wzbudził we mnie zaufanie. Chcąc rozpocząć rozmowę o stosunkach granicznych, powiedziałem mu, że przybyłem do Rakowa w celu przedostania się przez granicę do Mińska, gdzie mam krewnych i gdzie chcę wziąć metrykę, bez której w Polsce nie mogę otrzymać dowodu osobistego.

Szeweć był bardzo rozmowny. Opowiadał w czasie pracy wiele ciekawych, nie znanych mi szczegółów o granicy i Sowieciach. Drobiazgowo opowiedział mi o drodze do Mińska, czym bardzo się interesowałem. Z jego słów się dowiedziałem, że Mińsk od Rakowa jest odległy o 33 wiorsty<sup>5</sup>, wzdłuż traktu. Od Rakowa do granicy - półtorej wiorsty drogą. O pięć wiorst od granicy jest pierwsza wieś, Krasnoje. Dalszej drogi nie będę opisywał, bo to nieciekawe.

Szeweć, dobry człowieczyzna, nie chciał wziąć ode mnie zapłaty za przybiście zelówki, bo powiedziałem mu poprzednio, że z forszą u mnie „kiepsko”.

<sup>1</sup> Poemat Jana Mazuranieca. Czeskie tłumaczenie Kołara, z serbskiego, przełożył Władysław Syrokomla - 1862 r.

<sup>6</sup> Wiorsta - rosyjska miara długości: 1066,8 m.

Powiedział, że zapłacę mu po powrocie z granicy. Przystałem na to i poszedłem do dowództwa 29. baonu celnego.

O drogę pytałem przechodniów, którzy jakoś podejrzliwie, a może bojaźliwie, mnie oglądali. Znalazłem kasyno. Wgramoliłem się na górę po skaczących, jak klawisze fortepianu stopniach schodów i wszedłem do środka... Kasyno to właściwiej byłoby nazwać szopą. Stanowiła je duża, ciemna, lichyumeblowana sala, o pokrytej skorupą brudu podłodze i pobielanych przepierzaniach. W lokalu zastałem za ladą właściciela kasyna, który się wyróżniał tym, że przy bardzo małym wzroście i zupełnym braku włosów na czaszce miał potężne, rudawe wąsiska. Obok niego zobaczyłem jakąś bosą, przeraźliwie brudną dziewczkę. Przy jednym ze stolików zauważyłem wojskowego, kaprała, który położywszy na rękach rozczochraną łepetynę, chrapał w najlepsze.

- Można otrzymać obiad? - zapytałem, zbliżając się do bufetu.

Gospodarz wybałuszył na mnie przerażone oczy, poruszając jednocześnie wiechciami wąsów. Był, nie wiem dlaczego, tak zdziwiony, jakbym go poprosił o usmażenie księżycy. Dziewka wypięła zatłuszczoną poduchę piersi i otworzyła gębę, patrząc na mnie bezrzęsymi, świńskimi oczkami. Po dłuższych pertraktacjach podsmażono dla mnie kawał mięsa z kartoflami i nalało szklankę wódki...

Sytuacja moja przedstawia się następująco: po zapłaceniu za jedzenie będę miał 4 tysiące marek. Pieniądzy sowieckich nie mam wcale, więc będę musiał iść z polskimi; może w Rosji wymienią je na sowieckie. Nie wiem, jak mi pójdzie dalej i jak wykonam próbne zadanie, które znam na pamięć... Nawet broń nie mam. Posiadam, co prawda, duży niemiecki „sprężynowiec”, ale to licha broń tam, gdzie można mieć do czynienia z karabinami. Poza tym mam 4 listy i jedną fotografię.

To są moje „środki” do wykonania zadania!... Jak na filmie, co? Nawet ubrania odpowiedniego do Sowietów nie mam. Już szewc zwrócił moją uwagę, że: „To, tam, nie tego!”. Aleja... tego: gwizdź! Jakoś tam będzie!

## I PIERWSZA PODRÓŻ W „CZWARTY WYMIAR”

*Trwoga Śmiertelna padła na życie ziemskie, na którym Siady niewolniczego upodlenia do dziś dnia pozostały.*

*Nadzieja uciekła w zaŚwiaty, miłość przeradzała się w nienawiść, ołtarze czci leżały w gruzach.*

*Dygasiński, Z doliny Prądnika*

### 1

Dyżurny podoficer odchrząknął, obciągnął lewą ręką mundur z tyłu i schylając głowę w prawo, zapukał do drzwi gabinetu dowódcy 29. baonu celnego.

- ...eść! - rozległo się ze środka.

Plutonowy wszedł, wyprostował się, odsalutował i służbiście zaczął wyrzucać z gardła skłębione tam i kilkakrotnie powtórzone w pamięci wyrazy:

- Melduję posłusznie, panie ma-orze, że jakiś cywil do pana ma-ora!

- Co za cywil?

- Mówi: w sprawie poufnej do pana ma-ora.

- Niech wejdzie!

Po chwili do gabinetu wszedł wysoki, szczupły młodzieniec. Za nim stanął w drzwiach plutonowy.

- Cześć!

- Cześć! Czego pan sobie życzy?

- W sprawie poufnej... - cywil urwał i obejrzał się na plutonowego.

- Proszę wyjść! - rozkazał major.

Podoficer pośpiesznie dał nura na korytarz i przymknął drzwi. Zabawa (on to był) wyjął z czapki kopertę i podał majorowi. Major rozerwał kopertę, przeczytał uważnie przepustkę i spojrzął na Zabawę.

„Szpieg- pomyślał. - Może nawet oficer... Ubrany jako dziwnie... Kłopot z takim!”

- Proszę siadać - rzekł, wskazując ręką krzesło.

Zabawa usiadł.

- Pan chce przejść granicę na odcinku mego baonu?

- Tak.

- Kiedy pan chce iść?

- Dziś, gdy się ściemni...

- Ma pan obrany punkt do przejścia granicy?  
- Nie... Właściwie tak... Mnie chodzi o przejście granicy w takim miejscu, gdzie w pobliżu znajduje się trakt prowadzący do Mińska. Chodzi mi o najkrótszą drogę.

- Dobrze.

Major nacisnął guzik dzwonka.

W drzwiach wyrósł plutonowy.

- Na rozkaz I

- Poproś do mnie dowódcę pierwszej kompanii. I to zaraz!

- Rozkaz!

Po wyjściu plutonowego major zaczął przeglądać nagromadzone na biurku papiery. Miał chęć zapytać szpiega o pewne rzeczy.

„Człowiek, bądź co bądź, ciekawy... - myślał major - ale lepiej: dystans... Może też zaczniesz o coś wypytywać albo okaże się arogantem”.

Po pewnym czasie zwrócił się do Zabawy:

- Czy pan zostawi u nas jakie papiery? Jeśli tak, to załatwimy zaraz...

- Owszem...

Zabawa wyjął z bocznej kieszeni frencza plik dokumentów, listów i fotografii. Major włożył to wszystko do dużej koperty, opieczętował i napisał na zewnątrz dzisiejszą datę.

- Gdy pan wróci, to proszę się powołać na datę... A jeśli mnie nie będzie... Za ile czasu myśli pan wrócić?

- Zależy od okoliczności. Mogę wcale nie wrócić! — odparł Zabawa wesoło.

„Nie warto było o to pytać. Niezbyt taktownie” - pomyślał major i dodał głośno:

- Na granicy teraz spokojnie...

„Po co ja to mówię - znów pomyślał major. - Uspokajam go, a on wcale nie wygląda, aby się bał”.

Na korytarzu zadudniły kroki, a następnie zapukano do drzwi.

- ...eść!

Do gabinetu wszedł wysoki, młody porucznik. Trzasnął obcasami.

- Pan major?...

- Tak, prosiłem... Proszę zająć się tym panem... Ułatwić przejście na odcinku pańskiej kompanii... Z przepustką, jak zwykle: numery słupów, godzina, obecni...

- Rozkaz!

Major podał porucznikowi przepustkę i skinął głową Zabawie:

- Szczęśliwej podróży!

- Dziękuję.

Ponieważ porucznik miał jakąś „bardzo ważną” sprawę w miasteczku, przekazał więc Zabawę komendantowi placówki mińskiej, który „doskonale wszystko załatwi”. Komendant placówki, plutonowy, zaczął z dala badać Zabawę:

- Kiedy pan chce iść?

- Jak tylko się ściemni.

- Hm... jak tylko się ściemni”. Czy nie lepiej w nocy?

- Nie.

- Hm... „nie”. Jak pan chce, tylko ja radziłbym panu iść w nocy... Te choroby z wieczora jak wilki łążą. Z początku zawsze ostrzej pilnują... Wie pan co? - rzekł po chwilowej przerwie plutonowy. - Może by pan się zgodził, żeby pana tam żołnierz „przerzucił”? Ja mam w miasteczku jedną „bardzo pilną sprawę”... no i tego... A panu wszystko jedno... Co?

Zabawę to rozgniewało, a jednocześnie widział w tym sporo komizmu.

„Ciekawym, komu mnie żołnierz przekaze? - pomyślał. - Może jakiej babie, a ta chłopakowi”.

- Dobrze - odparł. - Tylko uważaj pan, żeby po tej drodze, która prowadzi do Mińska...

Plutonowy się ucieszył.

- A naturalnie! Przerzuci pana, gdzie pan tylko chce. Toż chłop jak cholera! Granicę zna jak swoją kieszeń!

Wreszcie przyszedł „chłop jak cholera”. Był to mały żołnierz, utykający, w olbrzymich buciskach. Miał zadarty w górę, przyplaszczony nos. Zabawie wciąż się zdawało, że żołnierz patrzy na niego przez okno, dotykając szyby czubkiem nosa.

- Ten? - niespodzianie tęgim, jak na swą małą postać, basem zapytał plutonowego.

- Ten...

- Dobra jest. Szoruj sobie... Ja to załatwię, jak się patrzy! - cyknął przez zęby wąskim soplem śliny na ścianę budynku.

Zostali sami. Siedzieli na sporej kupie kamieni pod dużą brzozą. Na lewo od kompleksu budynków baonu było jezioro. W głębi horyzont jak ramą ujmowała czarna ściana lasu. Żołnierz milczał. Zabawa był zmęczony długą podróżą i niedawną drogą na piechotę. Od dwóch dni nie spał wcale, więc oczy mu się kleiły.

Zbliżał się wieczór. Zmęczone, wyblakłe słońce opadało coraz niżej ku ; ziemi, zalewając rumieńcem skośnych promieni łagodne, czyste tło nieba, j Zapaliło wierzchołki drzew i dachy domów. Zasnuło złotem błękitną dal. ] Otoczyło się bogatym, szkarłatnym pasem, rzuconym niedbale ponad ; ziemią, daleko w lewo i w prawo. Strzeliło purpurą wysoko w górę. Drgnę-

ło... jeszcze, jeszcze i - zgasło. Westchnął wiatr. Zaszepotały trwoźnie szuwar-y. Woda jeziora stała się ze złoto-krwawej czarna i okryła się drobną łuską fali. Horyzont odział się żalobnym, ciemnym fioletem... Szarówka zaczęła pracowicie zaciągać niebo pajęczyną mroku, i

Noc kroczyła po ziemi. Szła szeroko rozrzucając szare łachmany zmierzchu, pokrywając wszystko miękkim, nasyconym oparami płaszczem ciemności.

Cisza...

- Może pójdziemy? — zapytał Zabawa, budząc się z zadumy. Omal nie zasnął, rozmarzony ciepłem i ciszą wieczora.

- Można - basem zgodził się żołnierz.

Cicho posuwali się naprzód. Zbliżyli się do lasu. Szli z początku po ścieżce, a potem na przełaj. Żołnierz kroczył coraz wolniej. W pewnym miejscu stanął. Obrócił się ku Zabawie.

- Za-a-raz — wyszeptał zduszonym basem.

Jeszcze ciszej poszedł naprzód i stanął za gęstym krzakiem leszczyny... W pobliżu dzwoniła rzeczulka, przekradając się po kamieniach między drzewami. Powoli przeszli przez wodę, zanurzając się w niektórych miejscach po pas. Potem się wdarli na strome wzgórze.

Żołnierz stanął i wskazał ręką gdzieś w dół.

- Tam - szeptał — gdzie ognie... mły-yn, bolszewicka placówka... Tu - wyrzucił rękę przed siebie - droga do Mińska. Ja wracam...

Po chwili rozpląnął się w ciemności.

Zabawa przez pewien czas stał nieruchomo. Patrzył w kierunku młyna, którego ognie, jak oczy zaczajonego w gęstwinie leśnej zwierza, mrużyły się w oddali i lśniły czerwoną wściekłością. „Wyjął z kieszeni sprężynowy nóż, rozłożył go; dotknął palcem ostrza... Powoli wyszedł na drogę i cichym, ale pewnym, ściągniętym krokiem ruszył naprzód, z lekka pochylając głowę, badając oczami tę krótką przestrzeń, którą mógł dostrzec w ciemności.

Nerwy były przygotowane do szybkiego działania, mięśnie napięte. W każdej chwili mógł się rzucić naprzód, aby uderzyć nożem, lub uskoczyć z drogi w bok i zaszyć, jak zwierz leśny, w krzaki...

Szedł blisko godzinę. Dziwił się, że dotychczas nie napotkał ani jednego mostu. Pamiętał, że szewc w Rakowie powiedział mu: „Do Krasnego będzie wiorst z pięć... A mostów? Mostów to chyba ze cztery”.

Zabawie się zdawało, że błądzi, lecz szedł naprzód. Gdzieś z dala dolatywały jego uszu dźwięki pieśni. Zapewne dziewczyny wiejskie bawiły się na wieczorynce, śpiewając swoje biedne, białoruskie melodie; biedne jak ich los, nudne i smutne jak ich życie.

Był już przeszło dwie godziny w drodze, gdy dostrzegł, prędzej instynktem niż wzrokiem, jakiś ruch przed sobą. W kilku susach znalazł się na roli



i położył w brudzie, zlewając się zupełnie z ziemią. Wkrótce obok niego przeszły rozmawiając trzy wiejskie dziewczyny. Zabawa wstał i ruszył za nimi.

- Powiedzcie, krasotki, czy daleko Krasnoje? - powiedział, zbliżając się do nich z tyłu.

Dwie pisnęły i uskoczyły na bok. Jedna, odważniejsza, splunęła:

- Tfu, tfu, diabeł!... Przestraszył!... Krasnoje daleko... Wiorstów z dziecięć, a to i więcej!...

Zabawa struchlał. „Tyle drogi na darmo” - pomyślał.

^ A ta droga dokąd?

- Ta... do Kojdanowa...

- Masz sobie!... Powiedzcież, dziewczynki, po jakiej drodze iść, aby do Krasnego się dostać?

Dziewczyny poprowadziły go ze sobą przeszło kilometr i wskazały wąską, polną drogę.

- Po tej drodze dojdiesz do Lachów. Z Lachów pójdziesz do Borsuków, z wioski Borsuków do majątku Borsuków, a tam już rękę podać do Krasnego.

Podziękował im i poszedł, przyspieszając kroku, po wskazanej drodze. Gdy wyszedł z Lachów, to znów zbłądził i ponownie przyszedł do Lachów. Znów się rozpytywał o drogę, starając się znaleźć samotnego człowieka na ulicy lub na dziedzińcu.

W majątku Borsuki wstąpił do chałupy położonej przy samej drodze, bo dostrzegł przez szparę w oknie palące się w izbie światło. Początkowo nie chciano go wpuścić do środka, a gdy wpuszczono, Zabawa zobaczył w ponurej, zakopconej izbie dwie nieufnie patrzące na niego kobiety. Za przepiečeniem i na piecu szeptali jacyś ludzie. W izbie było widać rozrzucone w nieładzie rzeczy. To wszystko wydało mu się podejrzane. Zapytał o drogę do Krasnego i poszedł dalej.

W Krasnym, stanąwszy na ganku pierwszej z brzegu chałupy, zapukał długą, znaną na dziedzińcu wijką w okno.

- A kto tam? - rozległ się głos ze środka.

- Czy daleko stąd Krasnoje?

- Tu jest Krasnoje... A wy do kogo?

- Do... priedsiadatiela<sup>6</sup>.

- Priedsiadatel z drugiego końca wsi mieszka... Trzecia chałupa z lewej!...

Zabawa zbadał oba końce wsi, lecz nie znalazł traktu. Nie wiedział o tym, że Krasnoje leżało w odległości kilkuset metrów na prawo od traktu. Był bardzo zmęczony. Postanowił nie odchodzić daleko, żeby znów nie zbłądzić, a znaleźć w pobliżu las i trochę się przespać.

<sup>6</sup> Priedsiadatel — sołtys.

Poszedł w pole... Las znalazł w pobliżu... Wszedł daleko pomiędzy olbrzymie sosny, szukając gęstych zarośli. Rozkopał w pewnym miejscu mech i schował pod nim listy i fotografię. „Żeby nie znaleźli przy mnie... Wszystko może być!” - pomyślał.

Przypomniał sobie żołnierza, który wskazał mu „drogę do Mińska”. Plunął ze złością i powiedział głośno: „Świnia, psiakrew!”. Położył się w krzakach i wkrótce zasnął.

Przyszedł do lasu jak zwierz biedny i zmęczony. I jak zwierz przytulił się ufnie do matki-ziemi, dającej siłę, wypoczynek i życie.

Obudził się, drżąc z zimna, o poranku. Wyjął spod mchu listy, schował je przy sobie i poszedł ku brzegowi lasu... Dostrzegł dwie kobiety, pracujące w polu w pobliżu jakiejś drogi. Zbliżył się do nich.

- Dzień dobry! - powitała je grzecznie. Kobiety, zdziwione, podniosły głowy. Jedna otarła nos dłonią i poprawiła chustkę na głowie.

- A co chcecie? - odezwała się po białorusku.

g) — Powiedzcie mi, gdzie jest droga do Mińska?

Kobiety zamieniły porozumiewawcze spojrzenia. Po pewnym milczeniu jedna z nich wskazała mu palcem drogę, którą dopiero co minął.

- Tam droga do Mińska... - powiedziała niechętnie.

- Ile wiorst stąd do Mińska?

- Nie wiem... Nie liczyłam. A ludzie różnie mówią...

Zabawa wyszedł na trakt i przyspieszonym krokiem skierował się na wschód, po mało wyjeżdżonej, poroślej trawą drodze.

Wstawało słońce. Wesołe. Roześmiane. Umyte rosą poranku. Otoczone aureolą złotych promieni. Zapaliło niebo na wschodzie...

## 2

Do Mińska Zabawa przyszedł, gdy już zapadał zmierzch. Przyszedł bez żadnych przygód, szczęśliwie wymijając wszystkie niebezpieczne miejsca, o których na razie wcale nie wiedział.

Przede wszystkim chciał odnieść list i fotografię do pani Jadwigi Dwolińskiej, z polecenia jej męża, urzędnika kolejowego w Wilnie, który go usilnie o to prosił, zapoznając się w tym celu z Zabawą za pośrednictwem wspólnych znajomych.

Roman łatwo odnalazł potrzebną mu ulicę i przybity nad bramą blaszany numer domu. Wszedł na obszerny, gubiący się w mroku dziedziniec. Z brudnej, cuchnącej sieni odemknął drzwi do mieszkania. Na spotkanie buchnęła mu w twarz chmura ciepłej pary.

i Kto tam? - rozległ się głos piorącej bieliznę Żydówki.  
- Gdzie mieszka Dwolińska? - zapytał Zabawa.  
- Pójdziecie na sam koniec dziedzińca... Tam jest taki mały dom... Tam mieszka Dwolińska...

Wkrótce Zabawa zapukał do małego okienka obok drzwi wejściowych. Po chwili dostrzegł za szybą niewyraźną, białą plamę twarzy.

- Kto tam?

! Tu mieszka pani Jadwiga Dwolińska?

- Tu. A co chcecie?

- Mam do niej list... Od męża...

-List!... Od męża!...

Po chwili Zabawa znalazł się w małym pokoiku. Pokój ten i sypialnia za przepierzeniem były mieszkaniem trzech dorosłych ludzi i dziecka. Sprzęty były ubogie, lecz czystość wszędzie panowała wzorowa. Na stole paliła się lampa. Ojciec pani Jadwigi, wysoki, adetycznie zbudowany mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, zaciągnął na oknach firanki. Żona jego spała za przepierzeniem. Pani Jadwiga czytała list od męża. Była widocznie wzruszona, na jej policzkach ukazały się rumieńce.

Ojciec pani Jadwigi ponuro milczał. Zabawie się zdawało, że jest niezadowolony, lecz nie mógł się domyślić przyczyny. Pani Jadwiga przebiegła oczami kartkę i zaczęła ją czytać uważnie, zastanawiając się nad każdym zdaniem.

*Wilno, 28 lipca 1922 r.*

Kochana Jadzienko!

Niepokoję się bardzo, nie wiedząc, co z Tobą jest. Od roku nie otrzymałem ani jednego listu. Pisałem kilka razy, lecz odpowiedzi żadnej dotychczas nie mam. Nie mogę się domyślić, co to znaczy i co z Wami się stało. Napisz obszernie o sobie, wtedy odpowiem Ci wyczerpująco. Zdrowie moje dobre. Mam pracę i żyję dostatnio. Martwię się tylko, nie mając od Was żadnej wiadomości. Do głowy mi przychodzą najgorsze myśli. Jak zdrowie Andzi i rodziców?

Całuję Was wszystkich.

*Karol*

P. S. Oddawca listu - mój znajomy. Możesz mu we wszystkim zaufać.

P. P. S. Przesyłam wraz z listem swoją fotografię.

Pani Dwolińska odłożyła list na bok:

- Pan dawno widział Karola?

- Tydzień temu...

- Pan z Wilna?
- Nie... mieszkam stale w Rakowie, w pobliżu granicy. Zacząłem się trudnić przemytnictwem. Mam kilka listów i pewne swoje sprawy, więc przyszedłem do Mińska. Mieszkałem tu kiedyś...
- Kiedy pan wraca?
- Nie wiem na pewno... Za kilka dni...
- Dlaczego pan mieszka w Polsce?
- Uchyliłem się kiedyś od służby w armii sowieckiej i musiałem następnie wyemigrować do Polski.
- Może panu przykro, że tak wypytuje?
- Ależ chętnie odpowiadam.
- Pan pewnie głodny? Może herbaty?
- Chętnie bym się napił, lecz mam pilną sprawę w mieście i wolę ją załatwić z wieczora. Czy u was można chodzić po mieście bez przepustki?
- Tak, ale krążą patrole i trzeba mieć dobre dokumenty. Pan może u nas przenocować.
- Owszem, chcę tylko pójść przedtem do miasta.
- Kiedy pan wróci?
- Za... godzinę. Najpóźniej za dwie...
- Będziemy czekali na pana.

\* \* \*

Zabawa prędko poszedł po ciemnych, brudnych ulicach miasta. Światło latarni elektrycznych paliło się tylko na pryncypialnych ulicach. Resztę miasta zalegał mrok, w którym posępnie się czaiły ciemne kamienice... Okna wszędzie były pozasłaniane. Przechodniów było mało. Od czasu do czasu przejeżdżały rozklekotane samochody. Wtedy ulica się wypełniała zgrzytem żelastwa i trzaskiem motoru; mokre kamienie bruku lizały żółte języki latarni.

Najwięcej zdziwiło go to, że nawet w śródmieściu, gdzie był względnie duży ruch, nie słyszał rozmawiających ludzi.

„Tu nikt nie mówi, nie śmieje się: boją się czegoś!” - wywnioskował Zabawa.

Czuł się, jakby był zanurzony w wodzie i w niej się poruszał. Wrażenie to potęgował drobny deszcz i lśniące „kocie łby” mokrego bruku... Ulice wyglądały jak brudne kanały, ludzie jak fantastyczne ryby... Zdawało się, że nie szli, lecz płynęli, ciemni, ciężcy, nieforemni...

Zabawa szedł w kierunku Złotej Górki.

1920 r.

### MIŃSK LITEWSKI - RZĄD POLSKI

Elektryczna latarka, zawieszona na zardzewiałym haku, wbitym w ścianę piwnicy, rzucała błądzący krąg światła na żółty piasek. W kącie piwnicy Zabawa kopał nożem dół. Wykopał go na głębokość łokcia. Następnie położył na dnie małą paczkę i przysypał ją piachem. Ubił ziemię dużym kamieniem i rzucił na ukos, w tamtym kierunku, ze środka piwnicy kilka garści piasku, aby zrobić jednolitą powierzchnię. Wstawił na miejsce deskę, osłaniającą róg piwnicy. Praca była skończona. Melina - pewna.

W paczce był nagan, nabity siedmioma nabojami, i złota bransoleta z trzema brylantami.

1919 r.

### MIŃSK LITEWSKI - WŁADZA BOLSZEWICKA

Druga godzina w nocy...

Zabawa leżał w łóżku i przy świetle świecy czytał z wielkim zainteresowaniem *Tajemnice Paryża*. Gdzieś daleko za oknem od dawna dokuczliwie terkotał gwizdek policyjny. Zabawa wstał z łóżka, wziął z kuchni siekiere i uchylając okiennice, wyłaził przez okno na ulicę.

Było cicho i ciepło. Zabawa, w białym tylko, z siekiere w ręku szedł w kierunku gwizdka. W bocznej ulicy zobaczył milicjanta, który nieustannie gwizdał, pracowicie wydymając policzki. W prawej ręce miał nagana z odwiezionym kurkiem. Lufa rewolweru była skierowana w pierś człowieka, który leżał w rynsztoku z podniesionymi do góry rękami. Trochę dalej leżał, wywrócony do tegoż rynsztoku, wóz.

- Co tu się dzieje? - zapytał Zabawa, zbliżając się z siekiere w ręce do milicjanta.

Stróż bezpieczeństwa publicznego, widząc siekiere w ręce Zabawy, cofnął się o krok, lecz spostrzegł lojalną minę Zabawy i rzekł:

- Aresztowałem złodzieja, towarzyszu, chciał uciec, ale wyrócił mu się wóz... Gwizdź, gwizdź, a z komisariatu nikt nie nadchodzi.

Zabawa przypomniał sobie długie spisy rozstrzelanych, umieszczane co dzień w gazetach, i swoje niedawne aresztowanie, którego ledwie życiem nie przyplacił.

- To złodziej?! - rzekł groźnie.

- Tak, towarzyszu...

- A co tu z nim się bawisz! Ja go zaraz zlikwiduję... U nas niedawno tacy, a może i on też, wieprza skradli. - Zabawa błysnął ostrzem siekiery, unosząc ją do góry.

- Nie można towarzyszu! - zatrzymał jego rękę milicjant - Na to jest śledztwo i sąd. Może innych wykryjemy... współników jego. Wiecie co? - dodał po chwili. - Popilnujcie tego sukinsyna, a ja przyprowadzę z komisariatu

pomoc, bo furmanki nie można tu zostawić... Tam pełno skradzionych z wojskowego magazynu uprzyży...

- Dobrze... - rzekł Zabawa - tylko prędko...

- Migiem!

Milicjant uszedł kilka kroków, ale zaraz wrócił.

- Strzelać umiecie, towarzyszu?

- Ma się rozumieć!

- Macie maszynę... Gdyby co: w łeb!

Zabawa wziął nagana i przybrał wojowniczą postawę. Milicjant pośpiesznie poszedł do komisariatu, który się znajdował na tejże ulicy, przedzielonego od nich kilkunastu budynkami. Nad jego wejściem, u góry, była umieszczona latarnia, która oświecała sporą część ulicy przed kamienicą.

Gdy milicjant znalazł się w takiej odległości, że nie mógł ich słyszeć, Zabawa zwrócił się do złodzieja:

- Ja też blatny<sup>7</sup>. Zbieraj prędej szmokty<sup>8</sup> na skamiejkę<sup>9</sup> i rób gwinta<sup>10</sup>!

Tamten z obawą na niego spoglądał.

- No, jazda! Raz, dwa! Czego czekasz?!

Pomógł złodziejowi zebrać wywalone do rowu rzeczy, podnieść wóz i nałożyć koło...

Zabawa czekał...

Milicjant, który szybko się posuwał w dalekiej perspektywie ulicy, doszedł do komisariatu. Ukazał się na chwilę wyraźniej w jaskrawym świetle latarni elektrycznej i znikł w drzwiach frontowych kamienicy.

- No, urywaj teraz! - komenderował Zabawa. - Żywo!

Złodziej uderzył lejcami konia i wóz prędko się potoczył naprzód. Wkrótce utonął w ciemnościach nocy.

Zabawa przelazł przez parkan na cmentarz, a stamtąd krótszą drogą dostał się do domu. Zamknął okno. Przyciągnął na sznurku okiennice. Schował nagana w skrytce pod podłogą i położył się do łóżka, delektując się w dalszym ciągu *Tajemnicami Paryża*.

Gwizdek milicjanta nie przeszkadzał mu teraz.

Tego oto nagana zakopał Zabawa, wraz z bransoletą, w piwnicy.

Z głębi dziedzińca Zabawa przyniósł drabinę i przystawił ją do drzwiczek

<sup>7</sup> Blatny - złodziej, swój; zargon złodziejów rosyjskich.

<sup>8</sup> Szmokty — kradzione rzeczy.

<sup>9</sup> Skamiejka - wóz.

<sup>10</sup> Robić gwinta - uciekać.

prowadzących na strych. W głowie przewijały mu się niespokojne myśli: „Czy znajdę wszystko?... Dwa i pół roku minęło”.

Zależało mu teraz bardzo na zakopanych kiedyś, przed wyjazdem z Mińska, rzeczach. Były obecnie całym jego majątkiem i od nich przede wszystkim było uzależnione powodzenie jego pracy.

Stanąwszy na ostatnim szczeblu drabiny, wprawnie odemknął końcem noża sprężynową kłódkę... Ze strychu zlął do sieni, gdzie nasłuchiwał przez pewien czas pod drzwiami prowadzącymi do dwóch mieszkań...

Podniósł poziome drzwiczki i wszedł do piwnicy. Robił wszystko spokojnie, polegając na swym sprycie, doświadczeniu i najlepszym pomocniku człowieka nielegalnego: nocy. Lecz gdy się znalazł w piwnicy i zaczął rozkopywać ziemię, trochę się denerwował. „Może już nie ma”... błędziła w mózgu trwożna myśl.

Wszystko było na miejscu. Zabawa wy dostał z dołu zakopaną przed laty paczkę. Otrzepał ją z piasku. Przeciął mocno zawiązane sznury. Rozwinął spory strzęp gumowego płaszcza, jakieś szmaty, a wreszcie gruby, naoliwiony papier...

Błysnęło matowe ciało nagana. Radość ogarnęła Zabawę. Ujął mocno, jak dłoń najlepszego przyjaciela, rączkę rewolweru, zajrzał do lufy, okręcił palcem bębnek. Zrobił ręką ruch do strzału i zaśmiał się... wesoło, szczęśliwie. Rewolwer był w zupełnym porządku.

Zabawa stał z niego chustką do nosa oliwę, którą go kiedyś nasmarował, i włożył rewolwer do kieszeni. Wyjął z papieru bransoletkę i schował ją. Pozostałe papiery i szmaty zgarnął nogą do dołu, przysypał piachem i udeptał ziemię.

Idąc z powrotem po ciemnych ulicach miasta, czuł się doskonale. „Mam maszynę... mam... Siedem strzałów pewnych” - myślał wesoło.

Była godzina jedenasta w nocy, gdy pani Dwolińska, po dłuższej rozmowie z Zabawą, udała się na spoczynek. Zabawa pozostał z jej ojcem.

- Wie pan co? - rzekł pan Józef. - Podobna mi się pan. Musimy naszą znajomość zakropić. Mam ja w zapasie flaszczykę pierwaka<sup>11</sup>, więc rozdujemy ją...

Wkrótce na stole znalazła się litrowa flaszka samogonu. Pan Józef się rozochocił. Był bardzo wymowny.

- Ja wykształcenia - rzekł pan Józef - nie mam, ale kawał życia widziałem. Oj, widziałem! Tak, panie. Szelmę po oczach poznam... Tak...! U mnie: jak

<sup>11</sup> Pierwak - samogon wypędzany z rozczynu najpierw, lepszy i droższy.

człowiek człowiekiem... duszę oddam! Jak cham - dusza z niego won!... Ot co!... W panu człowieka widzę... tak...

i Bardzo to mi przyjemne I powiedział Zabawa - że pan, tak mało mnie znając...

- Sza!... nie mów pan - przerwał pan Józef. - Ja różnych tam psychologii się nie uczyłem, ale niejednego z tych, co furę książek zjedli, zakasuję... On na papierze się uczył, a ja na ludziach, w życiu... Rozumiesz pan? Wiesz pan, kim ja byłem? - pan Józef nisko pochylił głowę, zmiatając ze stołu dużą, czarną brodą okruszyny. - Marynarzem byłem... Tak, marynarzem! - powiedział z naciskiem. Trzydzieści lat po świetle „badziałem”, szczęścia szukałem, aż tu znalazłem! - tknął szeroko rozczapierzonymi palcami gdzieś w głąb pokoju.

Zamyślił się.

- Chcę panu coś powiedzieć... - rzekł po chwilowym milczeniu. — Tylko sekret. Co?... Bo to niby nie wypada...

- Dobrze - odparł Zabawa.

- Rękę!

Uścisnęli sobie dłonie.

- Pan przyniósł list dla Jadźki od Karola. Ona się ucieszyła, a ja. I wcale nie! Bo to, mówię otwarcie, ślimak. To człowiek, panie, który tylko siebie samego lubi. A jeśli żonę przypomniał sobie, to nie dlatego, że człowieka w niej kocha, ale po prostu: o swoją własność się upomina... Jak o krowę albo kozę... Tak... A niewart jej, niewart!... Samolub, mazgaj, cienka kicha... Ona u mnie dobrze zahartowana, na wszelką biedę! A jaka pracowita, cierpliwa, wierna!... Chowałem, kształciłem, jak mogłem, za ostatnie grosze, żeby takiemu lalusiowi życie osłodziła... No, przepadło... A wszystko: bieda!... Żre człowieka jak rdza żelazo!...

- Proszę pana — rzekł Zabawa, aby oderwać go od przykrego tematu - jakie u was wytworzyły się stosunki pomiędzy obywatelami a... władzą? Tak dawno nie byłem w Rosji...

Pan Józef się uśmiechnął.

- Stosunki, stosunki?... Bardzo proste stosunki: Małczat' i nie rozgawariat<sup>15</sup>. Takie stosunki! Rozumie pan: dyktatura proletariatu! Dyk-ta-tu-ra!!! A z tego względu każdy łotr, wścibski, mający dużo sprytu i bezczelności, ma możliwość gnębienia innych, którzy tych zalet nie posiadają... Kiedyś władze służyły obywatelom. Teraz obywatele służą władzom... Służą ze strachem... podłym, wstrętnym, poniżającym człowieka... Strach obrócił obywateli w szpiclów... nawet w rodziny weszło szpiclowanie... Pan wie, w jakim państwie żyjemy, co?

<sup>11</sup> Milczeć i nie rozmawiać.



- W Socjalistycznej Republice Radzieckiej.

i Nic podobnego! - walał dłoń po stole pan Józef. - W lepkiem kraju, w lepkiem państwie, panie, w lepkiem... Tu wszystko się lepi i wszystko zlepione: stłuczone szyby - papierem, mury i płyty - dekretami, posadzki i ściany - flegmą i błotem!... Powietrze lepkie od smrodu; ręce lepkie - złodziejskie; spojrzenia lepkie - podejrzliwe i tchórzliwe; władze lepkie — łapownicze!... W kleju, cholera, żyjemy, w kleju konamy! Każdy się płacze, jak ten żuraw w bagnie: nos z błota wyciągnie - ogon ugrzązł, ogon wyciągnie - nos ugrzązł i tak „krugom”!... Moja Jadzka (mądra to łepetyna) mówi, że żyjemy w czwartym wymiarze. Niby poza normalnym życiem ludzkim. I tak jest naprawdę, bo nawet czas przesunięto o 3 godziny. U ludzi dziewiąta wieczór, do teatrów idą czy na bale, a u nas - dwunasta w nocy, dawno spać musimy. Ludzie do pracy o ósmej rano idą, a my o piątej w nocy.

- Ciekaw jestem, jak obywatele odnoszą się do władz?

- Nie-na-widzą! Stra-sznie! Śmiertelnie!... Z ukosa nienawidzą, ze strachem... Nienawidzą, schlebając! Nienawidzą, pracując! Tu nie ma nic świętego! Wszystko oplute, wyśmiane, wyszydzone... z krwią i łzami... Na przykład, państwo nasze nazywa się w skrócie: RSFSR<sup>13</sup>. Skrót ten służy za cel do nieskończonych wprost wyszydzeń go, co najlepiej świadczy o miłości i zaufaniu obywateli do władzy. W każdym innym kraju obywatele się szcycą swą przynależnością do państwa, a u nas... Proszę posłuchać, co robią z tego wspaniałego skrótu: RSFSR. Pierwsze: „Rzadki Wypadek Fenomenalnego Obłędu Rasy”<sup>14</sup>. Drugie: „po brzegach Róże, po bokach Łzy, a pośrodku Figa”<sup>15</sup>. Trzecie: „dwa Eryki, dwa Seryki, a pośrodku Fe”. Czwarte: „Ruska Świnia Forsit”<sup>16</sup> Swym Ryjem”... I tak dalej bez końca!... Tu przytoczyłem tylko niektóre, możliwe do powtórzenia. W żadnym państwie, panie, nie może wyrosnąć taka nienawiść do rządu jak u nas! I myśli pan: nienawidzą burzuje? Nie... biedacy nienawidzą! Z burzujami skończono... albo wybici, albo powymierali, albo pouciekali, a ci co pozostali - pourządzali się... Dobrze się pourządzali... Może lepiej niż kiedyś... Zresztą, zobaczy pan sam. Pan mówił, że chce panjechać do Homla, do znajomych...

- Tak i z tego powodu mam do Pana prośbę.

-Bardzo chętnie...

Zabawa pokazał panu Józefowi bransoletę i prosił o sprzedanie jej za sowieckie pieniądze, których potrzebował na podróż. Tamten obejrzała ją dokładnie.

<sup>13</sup> Rosyjska Sowiecka Federacyjna Socjalistyczna Republika.

<sup>14</sup> Riedkij Sluczaj Fienomienalnawo Suinaszestwija Rasy.

<sup>15</sup> Po krajam Rozy, po bokam Slozy, a po sriedlnie Figa.

<sup>16</sup> Szczyci się, wynosi się.

- Owszem, załatwię to - rzekł. - Lecz radzę brylantów tu nie sprzedawać. W Polsce na pewno drożej pan je spienięży. Znam się trochę na tym. Brylanty mają: te dwa po trzy ćwierci karata, a ten, środkowy, przeszło karat. Są „czystej wody” i kosztują około 250 dolarów. A złoto panu jutro sprzedam.

- Doskonale!

- Można zrobić tak: połowę wziąć limonami<sup>17</sup>, a połowę w dolarach... Wie pan, czym ja się trudnię, z czego żyję?

- Przekupniem jestem... Handel u nas w ogóle wzbroniony, ale to, panie, bujda. Wszyscy handlują, czym kto może... Nawet „władze”... i one przede wszystkim... Przykład dają...

Długo w noc rozmawiał Zabawa z panem Józefem. Postyszał od niego wiele ciekawych rzeczy, otrzymał sporo informacji, które mu dopomogły się zorientować w nowych formach sowieckiego życia i w nowych porządkach.

Zbliżała się trzecia godzina. Nafta w lampie się dopalała, butelka była dawno wypróżniona. Pan Józef urządził Zabawie posłanie na kanapie...

Zabawa, znużony bardzo, zaraz zasnął... Przyśniła mu się manifestacja oberwanych, straszliwie wycieńczonych ludzi... Szli ponurzy, bezdźwięcznie się posuwając po sennych ulicach miasta, wypełniając je brudną falą ciał i łachmanami ubrań. Nad tą czarną, żywą falą jak maki czerwone wykwitwały sztandary, z napisanymi na nich dziwnymi hasłami: „Niech żyje czwarty wymiar!”.

### 3

Po pięciu dniach pobytu w Homlu Zabawa wracał do Mińska. „Robotę” wykonał niespodziewanie łatwo i dobrze; zresztą zadanie jego (próbne) nie było trudne i polegało, przeważnie, na wywiadzie obserwacyjno-informacyjnym. On zaś poparł je jeszcze dokumentami, potwierdzającymi pewne, wątpliwe dane.

W Homlu, gdzie doręczył list od rodziców, mieszkających w Polsce, pewnemu czerwonemu oficerowi z 7. Dywizji Kawalerii, był przyjęty bardzo życzliwie. Łatwo uzyskał potrzebne mu wiadomości, a nawet pewne materiały (mało wartościowe, lecz otwierające szerszą perspektywę na przyszłość). Prócz tego ułatwiono mu znajomość z „grubszą rybą” ze sztabu 7. Dywizji Kawalerii, na czym Zabawie szczególnie zależało. Był zmęczony, niewyspany, ale bardzo zadowolony z dobrze wykonanego zadania.

<sup>17</sup> Limony, żartobliwie: miliony; limon — cytryna.

W nowym środowisku czuł się doskonale. Umiał łatwo się przystosowywać do okoliczności i odgrywanej roli. Był to jego talent, udoskonalony długimi latami niebezpiecznego życia w ogniu wojny, wirze rewolucji... Życie konspiracyjne napawało go radością. Lubił się kryć pod przybranymi nazwiskami, przemykać się z miasta do miasta, czuć stale ryzyko... napięcie nerwów. Żyć wysubtelnionym sprytem ściganego zwierza... Był to dla niego ten luby teren, jakim dla dobrego pływaka jest woda: przyjemny i - zawsze niebezpieczny, niepewny...

Dokumenty miał dobre (naturalnie: podrobione). Uczotnaja kartoczka<sup>18</sup> i trudowaja kniżka<sup>19</sup>, wydana „w Moskwie z Arbackiego rejonu”. Na pierwszej kartce, z prawej strony u góry, była wydrukowana i grubo podkreślona maksyma: „Niepracujący niech nie je!”<sup>20</sup>. Miał trochę kłopotu z pieniędzmi, bo trudno mu było się przystosować do płacenia banknotami, które zawsze znały co innego, np.: jeden rubel wydany w 1922 roku równa się 10 000 rubli wydanych w 1921 roku itd. Aby uniknąć omyłek, płacił w kasach biletowych grubszymi banknotami i otrzymywał resztę. Był bardzo ostrożny, nawet w drobnostkach, i to często go ratowało.

W wagonie jechali przeważnie wojskowi. Pociąg był przepełniony. Szedł z „normalnym” opóźnieniem o kilkadziesiąt godzin. To od dawna uzyskało prawo obywatelstwa i było rzeczą zwykłą na sowieckich kolejach.

W Homlu, idąc za przykładem innych pasażerów, przeważnie żołnierzy, Zabawa wszedł do wagonu przez okno. Miejsca zdobywano, walcząc na pięści. Krzyk, hałas, przekleństwa rozlegały się wokoło... Wagony wyglądały jak forty, atakowane przez furiatów.

Był w drodze od kilku godzin. Smród i zaduch wypełniały wagon. W sąsiednim przedziale jechało kilku krasnoarmiejców, zapalonych miłośników śpiewu. Darli się cały czas, śpiewając jedną piosenkę po drugiej i milknąc tylko na stacjach... Zabawa oparł się plecami o przegródkę przedziału, przymknął oczy i drzemał. W powietrzu unosiła się, przytłumiona stukotem kół, piosenka:

*Moja milka ukochana,  
Zawsze rozczochrana;  
Nieumyta, podrapana;  
W błocie ubabrana!*

Zabawie stanęła przed oczami twarz pani Jadwigi. Piękna, wysubtelniona cierpieniem twarz. Widział ją tak krótko, lecz wywarła na nim głębokie wra-

<sup>18</sup> Książeczka wojskowa (blankiet), wydawana z „Wojenkomatu”; Wojenny) Komisarjat - PKU.

<sup>19</sup> Książeczka pracy, stanowiąca rodzaj paszportu o wielkiej liczbie pozycji.

<sup>20</sup> „Nietrudiaszczijisia, da nie jest

żenie: nie zmysłowe, lecz estetyczne... Lubił piękne twarze, a twarz pani Jadwigi była niepospolicie piękna. Szczególnie zdobiły ją śliczne, złociste oczy, cudny uśmiech i obfite, jak z brązu odlane włosy... Gdy pani Jadwiga w rozmowie z nim się śmiała, czuł, jak go coś ciepło laskotało w piersiach, tamował w sobie oddech i z zachwytem patrzył w jej oczy.

A żołnierze dalej śpiewali o efekcie, jaki sprawia ich „miłka ukochana”, gdy się ukazuje na ulicy:

*Świnie kwiczą, psy szczekają,  
Kury, kaczki uciekają,  
Dorożkarze przeklinają,  
Bo im konie dęba stają!*

Z lewej strony Zabawy siedział Ormianin, który przy pewnych zwrotkach piosenki bił się hałaśliwie dłońmi po kolanach i przesadnie głośno się śmiał:

- A-cha-cha-cha! Ma-a-ła-dec!... Nawet konie!... cha-cha-cha!... Jaszka! - krzyknął do następnego przedziału, w którym jechał „chór” i gdzie miał kogoś znajomego. - A zaśpiewajcie no nasz odeski *Czajniki*

- Dobra!

I wkrótce chór zaczął śpiewać *Czajnik*. Po pierwszej zwrotce, wstępnej, przyszła kolej na drugą, którą „wschodni człowiek” przyjął ze szczególnym zachwytem, podśpiewując, gwizdząc, cmokając wargami i klaszcząc... tupał w takt piosenki, wytrzeszczał przeraźliwie oczy i mrugał porozumiewawczo do rozbawionych pasażerów, jakby proponując im przyłączenie się do jego zachwyty...

*Wziąłem ciebie bosą,  
Głodną i bez włosów;  
Remontowałem ciebie długo ja...  
Ca-ca!  
Kupiłem ci falbany,  
I majtki watowane;  
Perukę za trzy ruble kupiłem ci...  
Ca-ca!  
Raz kiedyś z kwaśną miną,  
Wydałem dwa z półcią”  
Trzewiki „tango” kupiłem ci... szyk!  
Ca-ca!*

<sup>21</sup> Półciu a — 50 kopiejek, srebrna moneta.

*I bluzkę kraciastą,  
I spódniczkę krasną;  
Czy znajdzie się gdzie inny taki bzik ?!  
Carca!*

W Złobinie przeszła kontrola kolejowej Czeki. Sprawdzili dokumenty. Trzej czekieści obchodzili przedziały. Jeden brał dokumenty i podawał kolegom do przejrzania. Tamci uważnie oglądali każdy dowód, a na niektóre, wątpliwe, patrzyli nawet pod światło. Gdy przyszła kolej na Zabawę, niedbale podał dowody czekieście. Tamten je przejrzał.

I Dlaczego | zwrócił się do Zabawy - będąc stałym mieszkańcem Moskwy, macie ucztoną kartoczkę ze smoleńskiego Wojenkomatu?

- Trudowaja książka wydana mi była w roku 21, a ucztonaja kartoczka w 22. W maju tego roku wyjechałem na służbę do Smoleńska jako monter i tam zarejestrowałem się w Wojenkomacie.

- Uhum... - niewyraźnie mruknął czekista, biorąc do sprawdzenia następne dokumenty.

Zabawa spostrzegł, że żołnierzom bardzo niedbale przeglądano dowody. Natomiast dokumenty cywilów podlegały dokładnemu zbadaniu. Pewnego cywila aresztowano. Legitymował się zaświadczeniem wydanym z Wołispolkomu<sup>22</sup>, którego pieczęć była bardzo niewyraźna.

„Najlepiej jeździć po wojskowemu” - pomyślał Zabawa.

Chór śpiewał dalej:

*Trockiego poznam z dala po postaci:  
On nosi spodnie galife;  
Na czapce ma czerwoną gwiazdę,  
Czerwony bant<sup>3</sup> na piersi ma!...*

Naprzeciw Ormianina siedział podoficer, z dwoma czerwonymi trójkątami na rękawie. Prowadzili „polityczną” rozmowę. Właściwie nie była to rozmowa, bo podoficer mówił sam, a Ormianin tylko kiwał głową i przytakiwał mu. Widać było, że wschodniemu człowiekowi bardzo się chce spać, że rozmowa strasznie go znudziła, lecz podoficer nie dostrzegał tego i z zapalem wygłaszał:

- ...Rewolucja, towarzyszu, na miejscu stać nie może i cofać się jej nie wolno! Front rewolucyjny musi się posuwać ciągle naprzód i naprzód, aż do zwycięstwa!... A chór ryczał czastuszki<sup>24</sup>:

<sup>22</sup> „Wołispolkom” - Wołostnoj Ispólnielnyj Komitet - gminny komitet wykonawczy.

<sup>TM</sup> Bant - kokarda.

<sup>M</sup> Krótkie piosenki ludowe.

*Porzucajcie dziewczki majtki — rewolucja!  
Rozstawiajcie szerzej nogi — kontrybucja!*

- To prawidłowo, do-osko-nale! - zachwycał się, cmokając mięsistymi, oślinionymi wargami, Ormianin, potwierdzając nie wiadomo co - słowa piosenki, czy mowę podoficera.

- ...W Polsce, towarzyszu, „pany” się szykują do zgniecenia naszej swobody!... Pół miliona robotników kona w więzieniach!... Chłopi i robotnicy z głodu umierają, a burżuazja się zajada różnymi pomarańczami i rozbija samochodami! Kultura pada! Masy z biedy wymierają, a „pany” z przesyty rzygają!...

*Marianna idzie pijana;  
Z przepicia cała drży...  
Koszulina porwana  
I lewe oko we krwi!*

- To rzeczywiście!... - cmokał Ormianin, wybałuszając oczy na podoficera. W pobliżu ktoś opowiadał anegdotę:

- ...Więc przychodzi on, ma się rozumieć, do tamtego ostatniego przedziału (bo wszystkie inne zapchane), a u wejścia, ma się rozumieć, Żyd stoi i nie wpuszcza. „Zajęty” - powiada. „A kto jedzie?” - pyta. A on i gada:

„Dwie Rozy z Sownarchozy<sup>25</sup>, dwie Rywy z kooperatywy, jeden Icek Centrospiczek<sup>26</sup>, ja i żona mego brata, sowieckiego delegata”.

Podoficer zwrócił się do cywila, który opowiadał anegdotę:

- Ja wam zakazuję, obywatelu, opowiadać takie świństwa! To jest antysemityzm!... Tam, gdzie panuje czerwona gwiazda internacjonau, nie ma miejsca na szowinizm, bo wraz z szowinizmem idzie reakcja! - mówił, zwracając się do Ormianina, bo cywil gdzieś zniknął, jak tylko zwrócono na niego uwagę. - To jest polityka burżuazji. Polityka szczucia jednej warstwy ludności przeciwko drugiej, aby odwrócić uwagę... - tu urwał, bo dostrzegł, że jego słuchacz zasnął.

W Bobrujsku Zabawa wychylił się przez okno i oddał chłopakowi, który sprzedawał gazety, list.

- Wrzuć zaraz do skrzynki pocztowej! - powiedział, dając mu za fatygę drobny banknot.

Chłopiec wrzucił list do skrzynki pocztowej, zawieszanej na ścianie dworca.

<sup>25</sup> Zdeformowane: Sowiet Narodnego Choziajstwa - Państwowa Rada Gospodarcza.

<sup>26</sup> Zdeformowane: „Centrospiczek”; spiczka — zapalka.

Zabawie zależało bardzo na tym, aby list ten przybył do Mińska ze stemplem pocztowym Bobrujska, więc skorzystał z nadarzającej się teraz okazji.  
List ten Zabawa napisał, będąc w Homlu i mając zamiar jechać przez Bobrujsk do Mińska.

*Bobrujsk, 10 sierpnia 1922 roku*

Szanowna Zofio Pawłowno!

Proszę wybaczyć, że tak dawno nie pisałem. Zawsze się spodziewałem osobiście Was odwiedzić i pisanie listów odkładałem na później.

Obecnie zamieszkuję w Bobrujsku, gdzie pracuję na poczcie, jako technik telegrafu. W niedalekim czasie przyjadę do Mińska i z pewnością wstąpię do Was... Wtedy opowiem obszernie o sobie.

Na razie więcej nie piszę.

Pozdrowienie dla Marii Dmitrijewny, Pawła Aleksandrowicza i Elżbiety. I

*Roman Zabawom*

List ten Zabawa napisał do swej byłej narzeczonej, z którą kiedyś się pożył i zęgnął w roku 1920, wyjeżdżając w głąb kraju. Teraz chciał przygotować ją i jej rodzinę, aby nie zaskoczył ich swoim niespodziewanym pojawieniem się. I słusznie przypuszczał, że w rodzinie mogły zajść nieprzewidziane zmiany... List ten powinien być jakby zalegalizować go w rodzinie Braginów... Postanowił opowiedzieć im skomplikowaną, dobrze obmyśloną historię swego życia od roku 1920. Co prawda mógłby się wyrzec dalszej znajomości z rodziną Braginów, lecz wabiło go coś do nich, przede wszystkim do Zofii, której i dotychczas nie przestał kochać i o której wspomnienia często go nawiedzały... Był bardzo sentymentalny i kochał w „miłości” przede wszystkim idealną jej stronę: poświęcenia, uwielbienia, rycerskość... Zofia była dla niego ś kiedyś doskonałą partnerką w tej grze...

Postanowił pójść do nich podczas następnej podróży do Sowieców, którą zamierzał odbyć przed końcem sierpnia. Miał ku temu bardzo ważny powód...«

Do Mińska Zabawa przyjechał bez żadnych przygód, tylko omal nie oślepnął od pieśni wesołego towarzystwa w sąsiednim przedziale.

4

Z Mińska Zabawa wyruszył zaraz po południu, chcąc przejść granicę jak najwcześniej. Obawiał się bardzo, aby w nocy znowu nie błądzić, a drogi powrotnej nie znał. Postanowił iść traktem jak najdalej, a następnie zaczekać zmierzchu, po czym iść lasami, obok drogi, aż do granicy. Szedł po bardzo!

34

niepewnej drodze, nie mając pojęcia o tych niebezpieczeństwach, które się czaiły wokoło, a które w przyszłości doskonale pozna. Ludzie mówią, że „fuszerom szczęście wali”. Tak było i z Zabawą...

Droga z Mińska do Rakowa była dobrze strzeżona, ponieważ stanowiła najkrótsze połączenie pomiędzy Mińskiem a granicą. Przedmieść pilnowały posterunki milicji i Czeki, a samej drogi, w dalszym jej ciągu, strzegły Zagrادتielnyje O triady<sup>27</sup>.

Aby przedostać się z Polski do Mińska, trzeba było przejść właściwą granicę, następnie „drugą linię” graniczną, pomiędzy którymi krążyły piesze i konne patrole łącznikowe. Poza posterunkami granicznymi urządzano w dogodnych punktach zasadzki, często mając przy sobie tresowane psy. W pasie granicznym wtczyły się patrole kawaleryjskie. „Osobyje posty” pilnowały pewnych ważnych punktów. Pracę pomocniczą na tyłach prowadzili tamożnicy<sup>28</sup>. Jeśli dodamy do tego pracę żołnierzy straży granicznej na tyłach, prowadzoną zwykle „na swoją rękę”, i pracę sieksotów<sup>29</sup> oraz ich konfidentów, którzy w rozmaitym przebraniu żerowali na pograniczu, to rozumiemy, że przedostać się do Mińska zza granicy łatwo nie było. Podróż taką przyrównam do podróży po olbrzymiej szachownicy, której czarne pola to niebezpieczeństwa, a człowiek musi przejść z jednego boku szachownicy na drugi po białych polach, omijając zasadzki; przy tym nie wiadomo na pewno, gdzie są czarne kwadraty, bo ciągle się zmieniają.

Było jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Obywatele pasa granicznego (chłopi) wiedzieli dobrze o tym, że po drogach, ścieżkach, polach, łąkach i lasach przechodzą często partie „kontrabandzistów”, więc dobierali się po kilku, z bronią palną albo kosami i siekierami, i korzystając z doskonałej znajomości terenu, robili zasadzki... Urządzali polowania na ludzi i często dobrze się na nich obławiali. Woleli nawet takie imprezy od uprawiania przemysłnictwa, za które w Sowietach bardzo surowo karano.

Niejednokrotnie się zdarzało, że taka paczka „myśliwych” przyłapała partię przemytników, z którą szedł za granicę agent lub kilku agentów sowieckiego Zakordotu<sup>30</sup>. Chłopi zabierali złapanym „szmuglerom” towar i puszczali ich. Wtedy agenci wywiadu zwracali się do Czeki. Czeka z właściwą jej energią brała się do dzieła. A ponieważ nie ma nic lżejszego, niż ujawnienie przestępstwa dokonanego przez chłopów, prędko wykrywali winowajców, pakowali im bandytyzm i „puszczali w rozchód”<sup>31</sup>. Wówczas chłopci porzucili

<sup>27</sup> Wojskowe oddziały pilnujące dróg, rodzaj żandarmerii polowej.

<sup>28</sup> Tamożnicy — celnicy.

<sup>29</sup> Siekretnyje sotrudniki - tajni agenci; nazwa ludowa: podpolniki.

<sup>30</sup> Wywiad zakordonowy.

<sup>31</sup> Rozstrzeliwali.



tę robotę, a ci, którzy trudnili się nią nadal, pracowali uważnie. Często, aby zniszczyć za sobą wszelkie ślady i mieć absolutną pewność, że sprawa się nie ujawni, zabijali obrabowanych przemytników, a trupy chowali w bagnach, lasach albo dołach.

Zbliżał się wieczór. Słońce opadało coraz niżej. Zabawa był już w pobliżu granicy. W pewnym miejscu, wychodząc zza gęstych krzaków olszyny, przesłaniających zakręt drogi, zobaczył o sto kroków od siebie budynek, który stał przy drodze. Była to karczma, w której się znajdował „Zagraditielnyj Otriad”. Wokoło budynku krzatali się krasnoarmiejcy. Kilka osiodłanych koni stało w pobliżu ganku.

Zabawa zrozumiał niebezpieczeństwo, lecz cofnąć się nie mógł, bo widział, że dostrzeżono go. Uciekać też nie mógł, ponieważ najbliższy las był właśnie za karczmą, w odległości ponad kilometra, a wokół ciągnęły się pola.

Szedł naprzód. Poprawił ręką w kieszeni nagan, a paczkę z dokumentami i gazetami umieścił na piersi pod bluzą. „W razie czego będę kropił... i do lasu” - myślał Zabawa, idąc naprzód.

Był to plan, który mózg, a właściwie intuicja, Zabawy zupełnie trafnie ułożył. Każdy inny pomysł zgubiłby go na pewno. Ten mógł się udać... Przed karczmą było kilku krasnoarmiejców; jedni wchodzili do środka, drudzy wychodzili na drogę. Zabawa mógł w razie potrzeby wystrzelić błyskawicznie do kilku z nich i zanim inni oprzytomnieją, biec do lasu. Biegał dobrze, więc gdyby go nie trafiono pierwszymi strzałami, dopadłby lasu, który zalegały już wieczorne cienie, bo słońce się zniżało coraz bardziej. W lesie zaś mógł się łatwo ukryć.

Był już w pobliżu karczmy. Szedł środkiem drogi, coś gwizdząc. Krasnoarmiejcy patrzyli w jego kierunku. Zabawa, zamiast ominąć karczmę, podszedł do ganku, gdzie na ławce stały wiadro wody i pudełko od konserw, zastępujące kubek.

- Dobry wieczór! - powiedział, nabierając wody z wiadra.

Zainteresowanie krasnoarmiejców jego osobą od razu znikło i Zabawa po wypiciu wody poszedł o nic nie pytany w dalszą drogę. Było mu wesoło. Dłoń silnie i pewnie ujmowała chropowatą rękojęść nagana. Czuł się panem życia i śmierci. Coś ciepło łaskotało go w piersi i gardle - jak wtedy, gdy widział cudny uśmiech na twarzy pani Jadwigi.

Doszedł do lasu. Przeskoczył rów i wszedł między wysokie sosny. Położył się na miękkim mchu i zapalił papierosa... Wkrótce znowu wyszedł z lasu i stanął przy drodze. Przed nim znajdowała się olbrzymia polana, otoczona gęstym borem. Przecinał ją droga, znikająca w ciemnej ścianie lasu, który z małymi przerwami ciągnął się aż do granicy. Zabawie było duszno. Powietrze stało się gorące, parne, nasycone elektrycznością. W naturze działało się

coś niezwyklego. Cisza panowała wokół ogromna. Tylko ptaki, trwoźnie ćwierkając, krążyły ponad samą ziemią, ale nagle i one zniknęły.

Z zachodu nadchodziła burza. Górą parła przed sobą wał ciasno zwartych obłoków... Wszystko zamarło - jakby oddech wstrzymało. Z dala, nisko nad drzewami, ukazała się ciężka, jednolita masa chmur. Pezła powoli... czarna, ponura, potworna... Nagle zatrzymała się tuż nad lasem. Zbiła się ciałniej, niby siły do ataku skupiając, i... w moment później ciężko runęła na las, jak cielsko olbrzymiego zwierza na trawę łąki... Las jęknął i zadygotał... Jak kurtyna spadł mrok... Strzeliły błyskawice, białymi, niebieskimi i złotymi nićmi przetykając ciemności... Ciężko westchnęły grzmoty i z trzaskiem rozdarły powietrze - jak błyskawice noc - i mrok na tysiące strzępów... Ryknęły nisko, ciężko, głucho....

Burza szalała.

A przez burzę, ulewę, wicher brnął nieustannie naprzód człowiek. W ręce miał gotowy do strzału nagan.

„Aby tylko nie zgubić drogi” - myślał trwoźnie.

Po godzinie burza minęła. Deszcz przestał lać. Tylko noc panowała nadal. Noc ciemna, nieprzejrzana, noc tak czarna, że zdawało się, można było po niej jak po sadzy palcem rysować. Dłoni własnej tuż przed oczami nie było widać. A człowiek w niej był jak w smole zanurzony.

Idąc po nieznanej drodze naprzód, Zabawa od czasu do czasu wchodził między drzewa. Wtedy, badając nogami ziemię, znowu wychodził na drogę i brnął... w mrok i nieznaną dal...

Droga trwała bardzo długo. W pewnym miejscu natknął się na jakiś słup. Obmacał go ręką. Był czworokątny; stał na małym kopcu. Zrobił kilka kroków dalej i znowu oparł się o słup... Nie wiedział, że to granica i słupy graniczne. Usiadł na kopcu. Chciało mu się bardzo palić. Z trudnością zdołał zapalić papierosa, bo zapałki miał mokre...

Wypalił papierosa i ruszył w dalszą drogę. Stopy grzęzły w błocie. Z wysiłkiem posuwał się naprzód. Szedł jeszcze blisko godzinę, tracąc zupełnie otuchę i chęć do dalszej drogi, co się zwykle dzieje, gdy człowiek nie ma pewności, że idzie po właściwej drodze. Przyszedł do jakiegoś muru. Przełazi na drugą stronę. Poszedł po wysokiej trawie, potykając się na jakichś kamieniach. Coś zagroziło mu drogę. Zbadał dłońmi przeszkodę. Był to duży, żelazny krzyż. „Cmentarz - pomyślał Zabawa. - A gdzie jest miasto umarłych, tam musi być w pobliżu miasto żywych. Może to Kojdanowo?”.

Z prawej strony błysnęło światło. Zabawa zrobił w tamtym kierunku kilka kroków i zobaczył jeszcze inne światła... Ogarnęły go naraz dwa uczucia: uczucie radości, że jest pomiędzy ludźmi, i obawy, że mógł zabłądzić i zejść daleko w głąb terytorium sowieckiego... Szedł jakąś ulicą. Pomiędzy nim,

a światłem, padającym z okna niewidzialnego w ciemności domu, przesunęła się jakaś postać.

- Jaka to wieś? - pośpiesznie zapytał po rosyjsku Zabawa.

Kobieta, przestraszona, usunęła się na bok.

- To nie wieś... to Raków... - doleciały jego uszu rzucone z ciemności wyrazy.

- Raków!... - uszczęśliwiony powtórzył Zabawa i włożył do kieszeni ociekającego wodą nagana.

Wkrótce był na Bokrówce. Znalazł „mińską placówkę”. Spotkał go plutonowy, który był dobrze „ululany”.

- No, co? Jak tam panu tego?...

- Doskonale!

- Ja panu mówiłem... A może tego? - zrobił dłonią wymowny, międzynarodalny gest, wyrażający propozycję wypicia czegoś mocnego.

Niedługo potem Zabawa leżał w niedbale zbitym z nieheblowanych desek łóżku. Był nakryty kilkoma brudnymi i podartymi kocami. Obok, na stole paliła się lampa, przy której świecie kilku żołnierzy grało w karty. Od czasu do czasu na stole zjawiała się flaszka wódki. Gdy wypróżniano ją, jeden z żołnierzy brał butelkę za szyjkę i rzucał z całych sił pod łóżko, o ścianę, tak że przyskała w kawalecki. Mówił zwykle przy tej czynności:

- Do centrali!

Zabawie było wesoło. Wypita wódka ogniem rozlała się po całym ciecie. Oczy słodko kleiły się do snu... Przepływały przed nimi różne obrazy „stamtąd”: pan Józef, jego córka, pasażerowie w wagonie... w uszach brzmiała piosenka: „Wziąłem ciebie bosą, głodną i bez włosów”... a tu:

- Do centrali!

Zabawa usnął i duszą się znalazł w „czwartym wymiarze”. Sny miał trwożne... Istotę jego fizyczną, jak sny duchową, opełzły wszy. Mają w sobie coś wspólnego z ludźmi: interesuje je wszystko nowe... Czy to ubranie, czy bielizna, czy jedzenie”, a Zabawa był dla nich właśnie taką nowością ..

- Do centrali!

Gdy Zabawa palił papierosa, siedząc w ciemności nocy na kopcu pod słupem granicznym, w pierwszym podwale<sup>52</sup> Czerezwyczałki, w Mińsku, kapitan Antosiewicz, oskarżony o szpiegostwo, drugi tydzień robił podkop, chcąc się wydostać na wolność. Pracował po omacku, posługując się rdzawym gwoździem, kawałkiem żelaznej obręczy i własnymi paznokciami. Robota posuwa-

li Podwał - suterena, piwnica.

ła się naprzód bardzo wolno, lecz pracował uparcie, z trudnością pokonując każdy centymetr gruntu.

Od czasu do czasu robił przerwy, nasłuchując kroków wartujących na korytarzu żołnierzy. Wokoło panowała ciemność nieprzejrzana.

\* \* \*

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Wilno, 14 sierpnia 1922 roku*

Z „roboty” mojej są zadowoleni i to mnie cieszy bardzo. Zawsze lubiłem dobrze wykonywać podjęte prace, bez względu na to, jakie są: legalne lub nielegalne. Ja o wartości człowieka sędzę nie podług ogólnie przyjętych zasad etycznych, lecz przede wszystkim na podstawie tego, czy dotrzymuje dane gość słowa, czy nie. Jeśli tak, wierz we wszystkim, nie... uważaj! Spostrzegłem, żyjąc kiedyś na Kaukazie, że Czerkiesi, Gruzini, Czeceńcy i inni górale szanują bardzo dane słowo. To u nich wrodzone. A u nas ktoś komuś wyznacza spotkanie, np.: na jutro, o ósmej wieczór. Pyta: „Przyjdiesz?”. „No, naturalnie” - odpowiada tamten. Po pewnym czasie dodaje: „Ale koniecznie przyjdź!”. „Dobrze - mówi przyjaciel - przyjdę”. Po dłuższej rozmowie przypomina: „Więc nie zapomnij przyjść jutro o ósmej!”. „Nie, nie zapomnę”. I tak w kółko. Dlaczego to?... Może dlatego, że doświadczenie nasze wykazało, jak trudno wierzyć słowom naszych bliźnich. Dziesięć razy ktoś coś przyobiega i... zapomni. Z góralem (kaukaskim) wielokrotne powtórzenie umowy zbędne. Mógłby się nawet o to obrazić.

Zamierzałem złożyć raport o wprowadzeniu mnie w błąd na granicy i wskazaniu mylnej drogi, lecz nie chciało mi się tego robić, aby z tego powodu ktoś nie miał przykrości. Wolę na przyszłość się zabezpieczyć i nie polegać na cudzych informacjach. Czy to nie komiczne: szewc rakowski dał mi lepsze wskazówki niż ludzie, których to było obowiązkiem. Gdyby nie jego informacje o drodze do Mińska, ja bym mógł zająć nie wiadomo dokąd.

Otrzymałem niemieckie mapy (sztabówki) swego odcinka i uważnie przestudiowałem je, wrażliwie sobie w pamięć każdy szczegół drogi, badając przyczynę poprzedniego błędzenia.

Dziś sprzedałem wyłamane z bransolety brylanty. Otrzymałem za nie 270 dolarów. Brylanty były „czystej wody” i ważyły przeszło 3 karaty. Obstałowalem drogie i wygodne buty, które leżą na nogach jak pończochy. To dla mnie bardzo ważna rzecz - z nóg żyję... jak wilk. Kupiłem doskonały rewolwer parabellum, a do niego 6 zapasowych magazynków i 100 naboju. Bardzo lubię rewolwery tego systemu. Przy dobrym obchodzeniu się nimi to niezawodna broń. A jak wygodnie się układa w dłoni i z jaką szybkością moż-

na strzelać i zmieniać magazynki. Cudne „kopyto”. Właściwie: nie kopyto, ale kobieca nóżka. Kupiłem poza tym dobrą busolę Bezarad-Kompas. Jest bardzo wygodna. Ma czułą fosforyzującą strzałkę i wyraźną podziałkę. Można ją w drodze wygodnie zawiesić na piersi i mieć wolne ręce.

Dziś byłem u Karola Kraski (męża Jadwigi Dwolińskiej) i oddałem mu list od żony. Pani Jadwiga dała mi list niezaklejony. „Niech pan przeczyta” - rzekła do mnie. Przeczytałem. Ktoś się zdziwił: „czytać cudze listy?” - lecz to inna rzecz: ja muszę wiedzieć, co mam przy sobie - na wypadek wstygu.

Kraska pośpiesznie przebiegł oczami list, wypełniony dobrze mu znanym pismem.

*Mińsk, 9 sierpnia 1922 r.*

Kochany Karolu!

Dlaczego tak dawno nie piszesz? Znajomi często otrzymują listy z Polski, przez Komisję Repatriacyjną i przez reemigrantów, a ty nic nie pisałeś. Położenie nasze bardzo trudne. Tatuś ledwie na życie nędzne grosze zarabia, a tu jeszcze ja z Andzią... Andzia ma już 5 latek, a wygląda na 3. To dlatego, że źle się odżywia. Brak nam najniezbędniejszych rzeczy, nawet chleba. Czy może tego nie rozumiesz? Pomagają nam trochę krewni mamusi ze wsi.

Rozpocznij co prędzej starania o nasz wyjazd do Polski. Tyłu znajomych już wyjechało, a my wciąż czekamy.

Dziękuję za fotografię. Pisz, jak postąpisz? Pozdrowienia od papy, mamusi i Andzi. Całuję Cię mocno

*Jadzia.*

-Jakże ona wygląda? - zapytał mnie.

To pytanie nie o zdrowie, tylko o wygląd żony, przypomniało mi słowa pana Józefa: ....po prostu o swoją własność się upomina... Jak o krowę albo kozę". Więc odpowiedziałem:

- Doskonale! Cudnie! Po raz pierwszy w życiu widziałem tak piękną kobietę! Gdy przyjedzie do Wilna i dobrze się ubierze, to wszystkie wilnianki urodą zaćmi...

Zadowolony uśmiech zagrał na jego wargach:

- A... cieszę się... cieszę... B mruczał, omal się nie oblizując.

Zdrowiem córki i ich materialnym położeniem się nie zainteresował. „Dobry z ciebie gagatek!” - pomyślałem. Chciał koniecznie ze mną iść do restauracji - fundować. Wymówiłem się od tego. Nalegał. Powiedziałem: Już mam we łbie parę stopni, a jak jeszcze gazu dodam, to mogę komuś łeb bułtelką rozwalić!". Obiecałem wstąpić po list przed podróżą za granicę i pożegnałem go.

Dziwna rzecz: jak dobrze kilka trafnych słów (myślę o Józefie) scharakteryzują człowieka. Zdawało mi się, że Kraska ogonkiem merda. Przypomina mi wychuchanego pokojowego pieska... strasznie pewnego siebie na twardym gruncie, lecz niech tylko znajdzie się sam poza domem, niech poczuje w pobliżu wilka, zatrząsę się, zapiszczy, ogon podwinie: ratunku-u!

Żal pani Jadwigi!... A może to właśnie jej potrzebne?

*Baranowicze, 17 sierpnia 1922 r.*

Zatrzymałem się nie w hotelu, jak zwykle to robiłem, lecz u Władka Kalisa. To mój przyjaciel. Zaprosił mnie do siebie. Nie wiem, czy długo będę u niego mieszkał, bo nie lubię być niczym skrępowany, ale że wesoło nam będzie razem, to fakt. A jeśli co nie po mojemu, to rzeczy do skarpetki, paszport, na dorożkę i znów do hotelu.

Wieczorem przyszedł „Pułkownik”. Właściwie nie jest on żadnym pułkownikiem, był kapitanem w dawnej carskiej armii. Kapitanem zresztą został też przypadkiem, bo ukończył zaledwie skrócony kurs szkoły oficerskiej w 1915 r., a na kapitana awansował za zasługi na froncie. Następnie w pewnej z „białych” armii, walczącej przeciw „krasnym”, był omal nie pułkownikiem czy tylko pełnił funkcje pułkownika. Z tego powodu nazywaliśmy go pułkownikiem.

Człowiek to bardzo ciekawy, dobry, życzliwy, tylko zapalony antysemita, a pijak, jakich mało w życiu spotkałem, chociaż śmirusów widziałem sporo.

Ludzie są jak książki: jedna ładnie oprawna, na dobrym papierze, a głupia, tak jak człowiek pięknie ubrany i z dobrymi manierami, ale z sieczką we łbie i atroflą samodzielnej myśli. Inna, licha, stara, pognieciona, bez okładek, a słońce dokoła rozrzuca, tylko że nie każdy to rozumie i widzi... Co nowa książka, to nowe życie, myśli, dzieje, uczucia. Co nowy człowiek, to nowa książka życia realnego, zapisanego w twarzy, oczach, ruchach, mowie i... w życiu wielu, wielu innych ludzi.

Zdaje mi się, że człowieka trudniej poznać niż cały naród. Może to i błędne, lecz ja w tej chwili tak właśnie myślę, a nie mam dotychczas ustalonej opinii o wielu rzeczach i pojęciach... Naród to ogół, mieszczący się w pewnych określonych ramach (w tych ramach formujący się kulturalnie) i wykazujący, w pewnych warunkach i przy pewnych okolicznościach, określone cechy. Łżej określić psychikę Anglików niż Anglika. Pułkownik bywał czasem dziwnie płytki i pospolity, prawie odrażający, to znowuż wypowiadał tak piękne myśli, że się szczerze dziwiłem. Robił to wszystko z błazeńskim śmiechem i dowcipami. Na rozmowę „poważną” trudno było go wyciągnąć. Pragnął, widocznie, w pustce życia bezmyślnego utopić jakiś większy ból... Gdy sobie podpił, to opowiadaniem jego i żartem końca nie było. W jego opowiada-

niach i anegdotach figurowali przeważnie Żydzi. Gdy powiedziałem mu z tego powodu, że jest żydożercą, odpowiedział mi tak:

- Komiczny jesteś. Dlaczego można się śmiać z Ormianina, Cygana, Niemca i każdego innego człowieka, lecz, broń Boże, nie z Żyda. Zaraz: antysemityzm, żydożerstwo... Dlaczego się nie śmiać z nich, jeśli są komiczni ze swą troskliwie pielęgowaną odrębnością, szowinizmem, nietolerancyjnością. Ja dla nich goj i akum<sup>35</sup>, ja wiem, że w oczach Żyda najgorszy swój jest tysiąc razy lepszy od najlepszego goja (u nas tego nie ma). Żydzi sami się wyodrębniają, zamykają w starych, cudacznych formach życia i dziwią się, że są śmieszni... Kryłow<sup>34</sup> powiedział: „Śmiać się wcale nie jest grzeszne, gdy się nam co zdaje śmieszne”.

- Daj spokój Żydom, lepiej wypijmy - rzekłem. - My też z Żydów pochodzimy, od Jafeta.

- Marnotrawco! - krzyknął. - W tak ohydny sposób marnować boski nektar może tylko barbarzyńca. Czy ty wiesz, człowieku szalony, że lepiej beczkę żydowskiej krwi wylać niż jedną kroplę wódki. Wódziunia, delikatna jak panna po trzydziestce, lubi, aby z nią inteligentnie się obchodzili, a nie po chamsku: chap, cap i do gęby... Taks...

Wypiliśmy.

- Pułkowniku, czy wiesz, co to jest podwodna wojna? - zapytałem go. - Jako szarża musisz wiedzieć.

- Czemu nie? - odrzekł. - Wiem. Synem Marsa, do diabła, jestem. Pięć lat frontu... jedenaście ran...

- Więc cóż to jest za zwierz?

- No, wojna na morzu... Pod wodą...

- Starczy, nie tłumacz dalej... U bolszewików to wcale co innego - prze-rwałem mu. - U nich „podwodną wojnę” prowadzi się w lasach, na polach i stepach... W ogóle na lądzie... Pakują żołnierzy karnego oddziału na p-o-d-w-o-d-y i jadą wojować z dezertarami, partyzantami, powstańcami i innymi „kontrewolucyjnymi elementami”, które uogólniają kolorowo: „biali lub zieloni bandyci”.

- Tfu, diabeł. A czy wódziunia u nich jest?

- Nie ma oficjalnie. Tylko samogon nielegalnie lub podłe wina „w celach leczniczych”, po bajecznych cenach są sprzedawane.

- Zginie marnie ten kraj. Bo jeśli człowiek alkoholem się nie dezynfekuje, to go może być zaraza chwycić... Odporność znika. Taks.

Pił gorzałkę małymi kieliszkami, lecz bardzo często. Ja i Władek piliśmy półszklankami. Czas spędzaliśmy przeważnie na pijatyce. W Baranowiczach

<sup>35</sup> Cudzy, obcy.

<sup>34</sup> Rosyjski bajkopisarz.

nie było gdzie się zabawić. Nudne miasto, nudne okolice, jedno liche kino, teatru wcale nie ma. Czasem zbierało się nas więcej, wtedy pijatyka przeplatała się wesołą rozmową, w której Pułkownik prym wiódł. Anegdotom jego końca nie było; z możliwych do powtórzenia dwie tutaj przytoczę:

| ...Złapali żandarmi w lesie trzech Żydów, dezertérów. Dwóch było w wieku poborowym - mówi Pułkownik - a trzeci po sześćdziesiątce. Więc żandarmi go pytają: „A ty, czemu od wojska się chowasz, przecież nie podlegasz służbie wojskowej?”. A Żyd mówi: „Ny, co ja wiem. A może mnie (powiada) chcą generałem zrobić?”. A pewnego razu, wieczorem, na postereunek policji wpadł przestraszony Żyd... bez kapelusza, ubranie w nieładzie. „Aj, waj - krzyczy. - Panie przodowniku... Wielkie morderstwo”. — „Co, gdzie?”. - „Na szosie dwóch zabitych”. - „Kto tacy?” - pyta przodownik. - „Jeden ja (powiada Żyd), a drugi zaraz przyjdzie”.

Gdy Pułkownik dobrze sobie podpił, to brał gitarę i śpiewał kuplety, z wielkim talentem naśladowując gesty i mowę Żydów. Tak rozweselał towarzystwo.

Dziwię się, skąd Pułkownik ma tyle werwy i wesołości, bo życie jego i położenie są bardzo smutne. Stracił po rewolucji w Rosji całą rodzinę i majątność, stał się tułaczem. Powodziło mu się marnie. Dla ilustracji przytoczę taki fakt. Nie będąc pobożnym, wstąpił do sekty baptystów, aby otrzymać nowe ubranie, pałto i trzewiki, bo swoje miał bardzo liche (opowiedział mi to Władek). Nie miał nic w życiu przed sobą, a za sobą - gorycz ciężkich przeżyć. Pozostała mu jedyna „pocieszycielka strapionych”, wódzia, więc pił jak mało kto. Głodny był, a pił. Każdy, dorywczą pracą zdobyty grosz w wódce topił.

Mam szczęście do pijaków - lubią mnie i ja ich lubię. Nieraz się zastanawiałem, dlaczego wśród pijaków jest tak dużo dobrych ludzi: koleżeńskich, życzliwych, szczerych, czułych na cudzą niedolę. Mówię to o pijakach na wielką skalę, takich rosyjskich „gorkich pijanicach”. Może to dlatego, żeby się stać takim „pijanicą”, człowiek musi mieć jakieś ciężkie przeżycia i zbolałą duszę, co go robi współczującym i wyrozumiałym dla innych. Przekonałem się, że człowiek, który sam nie był głodny, nie zrozumie głodnych, który sam nie przeżył ciężkich cierpień i nieszczęść, u drugiego nie zrozumie tego nalezycie. Zrozumienie dla cudzej niedoli u ludzi szczęśliwych bywa zwykle sztuczne, chociaż sami w nie święcie wierzą. Najlepiej zrozumie złodziej złodzieja, prostytutka prostytutkę, a człowiek nieszczęśliwy człowieka nieszczęśliwego.

Siedzieliśmy we trzech: Pułkownik, Władek i ja. Przygotowałem dwa komplety fałszywych sowieckich dokumentów. Jeden cywilny i jeden wojskowy: udostowierienie licznosci i otpusknój bilet<sup>435</sup>, in blanco... Gdy podpiliśmy

" Zaświadczenie tożsamości i karta urlopową.



sobie, wydostałem z portfela dokumenty. Władek, który miał ładny charakter pisma, wypełnił je według moich wskazówek.

- No, Pułkowniku - rzekłem - podmachnij się jako komisarz, czerwonym atramentem...

- Dawaj.

Z wielką powagą podpisał dowody własnym, dobrze znanym w Sowietach, nazwiskiem kontrrewolucjonisty. Następnie podpisał się jako sekretarz, również prawdziwym nazwiskiem. Władek podpisał dokumenty kopiowym ołówkiem (sowiecka moda).

- Klawo - rzekł Pułkownik, przeglądając blankiety. — Jak Rosja długa i szeroka... wąska, cienka i głęboka... chuda, głupia i wysoka, takich „żelaznych” dowodów się nie znajdzie... Zakropić na szczęście...

Piliśmy dalej, na pożegnanie, bo dziś wieczorem musiałem wyruszyć w drogę. Śpiewaliśmy „Międzynarodówkę”, przetrawestowaną z właściwą Rosjanom złośliwą ciętością:

*Przekłety powstań, ludu Ziemi.  
Głodzonych durniów cały świat.  
W sowieckim kotle obierzyny;  
W sowieckim barszczu koński gnat...*

Żegnaliśmy się późno wieczorem. Pułkownik i Władek się rozczulili. Władek, pijany, ścisnął mi dłoń i wciąż krzychał coś bez żadnego związku. Pułkownik ryczał:

- Romek, pamiętaj, cholera: co na drodze - nieprzyjaciel. No, dawaj na zakończenie... naszą, partyzancką... Wspomnę dawne czasy...

*Zbierajcie się, bracia, przygotujcie zbroję...  
Na „wypad” daleko jedziemy.  
I tam, gdzie sztaby komisarzy dziś stoją,  
My sztandar zielony zatknijemy...*

Pułkownik odprowadził mnie na ulicę.

- Romek - krzychał stary wiarus. - Uważaj. Oni nie pożałują. U nich serce nie ma... Ma-te-ria—liści... Tylko silnego się boją... słabego uduszą... Za kawał chleba mamie bebechy wyprują... I ty nie żałuj... Uważaj... - ryczał olbrzymi, rozczochrany, tchnący pijanym zapachem.

*Wieś Wołkowszczyzna, 21 sierpnia 1922 r.*

Jestem w Wołkowszczyźnie. Zatrzymałem się u państwa Kalinowskich. Jest to zubożała do poziomu chłopów szlachta, lecz żyją na nieco szerszej stopie

niż pospolici chłopci. Przywiozłem dla nich list od kuzyna z Wilna, mego kolegi. Przyjęto mnie bardzo życzliwie. Wypoczywam tu duszą i ciałem. Ciszka, spokój.

Byłem po wyjeździe z Baranowicz w Lidzie u swego dawnego kolegi, Jana Snowskiego, elektrotechnika kolejowego, i u jego brata, Władka. Spędziłem czas u nich bardzo wesoło i przyrzekłem przyjechać następnym razem na dłużej... Pojadę koniecznie... jeśli wrócę szczęśliwie „stamtąd”. Z Lidy pojechałem do Wilna, specjalnie w tym celu, żeby odebrać list dla pani Jadwigi od Karola Kraski. Spotkał mnie z przesadnym zachwytem. ZakrzętaJ się po pokoju.

- Może papierosika... herbateczki?...

- Dziękuję... nażarty, a papierosiki palę swoje - odrzekłem mu.

Z niesmakiem spojrział na mnie. U niego wszystko takie delikatne, okrągłe, wylizane: papierosiki, herbateczka...

- Co pan radzi kupić dla Jadziuni?

- Chleba, słoniny, cukru, mięsa...

-Jak to?

- Tak to. Gdy wróci, to potrzebuje z dzieckiem, po latach głodu, dobrze się odżywić.

Dał mi paczkę, w której były materiały na suknie, dwa swetry i jeszcze coś. Jednocześnie wręczył mi zaklejoną list... Pożegnałem go i wychodząc, zostawiłem list na stole...

- A liścik, panie dzieju?

-Jaki liścik?

- Do Jadziuni...

Przyniósł mi list.

-Wrzuć pan sam do skrzynki pocztowej - powiedziałem. - Ja zaklejoną listów nie biorę.

- Przepraszam bardzo... myślałem...

I Wszyscy myślą, nawet krowy. Ja nie poczta. Załatwiam te sprawy przez grzeczność i ze współczucia, więc chcę wiedzieć, co się pisze w liście... Mam ku temu powody. Nie ufa mi pan - można nie pisać.

-Ależ, panie kochany, nie przypuszczałem...

Pospiesznie włożył list do innej koperty... Jestem przekonany, że ten człowiek w nocy do rzeki za nic by nie wlażył i dobrowolnie swej osoby dla nikogo by nie poświęcił. Ale to... pożyteczny członek społeczeństwa.

Do Wołkowszczyzny przyjechałem wczoraj wieczorem. Trzej bracia Kalinowscy: Józef, Bronisław, Adam, i ojciec ich, rzeński jeszcze staruszek, z szacunkiem wielkim słuchają wszystkiego, co do nich mówię, i obserwują mnie z niesłabnącym podziwem i zainteresowaniem. Ludziom mało kulturalnym

imponują bardzo ludzie dobrze ubrani, pewni siebie, a cóż dopiero mający jakąś władzę albo związek z władzą. Pasą mnie stale smażoną na słoninie jajecznicą... Na śniadanie jajecznica, na obiad jajecznica, na kolację jajecznica, „krugom” jajecznica. Zbrzydła mi strasznie.

Dziś wieczorem pójdę do Rakowa i za granicę.

Poprosiłem o ciepłą wodę. Żona Józefa przyniosła niekę (od biedy mogłaby zastąpić wannę) i wylała do niej sagan gorącej wody. Miałem dużo kłopotu, zanim zrobiłem możliwą do mycia nóg wodę. Wymyłem dokładnie stopy, wytarłem je na sucho, ściałem paznokcie, nawazelinowałem z lekka skórę, włożyłem cieniutkie skarpetki, a po nich drugie, grubsze... Dopiero wtedy włożyłem buty. Tak obuty mogę wiele dni być w drodze i nie pokaleczyć nóg.

Widziałem błąkające się po twarzach braci Kalinowskich uśmiechy. Dziwiła ich taka dbałość o nogi. Nie wiedzą tego, że tancerkę, prostytutkę, listonosza, gazeciarza, posłańca i człowieka fartu<sup>36</sup> nogi karmią, więc trzeba o nie się troszczyć.

<sup>36</sup> Fart - szczęście.

## II. „PARTIA LIZKI”

*Nie na poszukiwanie prawd”), ale raczej na pochód  
za błędami zużywała ludzkość najlepsze swe siły.  
Gustaw Le Bon, Psychologia rozwoju narodów*

### 1

Noc była cicha i parna. Las stał czarny, zadumany. Zabawa leżał na wznak na ziemi, patrząc w czarne tło nieba, usypane, jak łąka kwiatami, milionami gwiazd, które filuternie zmieniały kolory, grając tęczęmi drogich kamieni.

Był za granicą i za „drugą linią”. Leżał na spadzistym brzegu rzeki, która stanowiła „drugą linię”, a którą niedawno przebył. Z prawej strony, za rzeką, w pobliskiej wsi krasnoarmiejcy śpiewali popularną obecnie w Sowietach, jak kiedyś *Wołga*, piosenkę:

*Nad Donem harcuje,  
Nad Donem harcuje,  
Nad Donem harcuje mło-ody Kozak...*

Prymitywne słowa piosenki nabierały niezwyklej mocy. Melodia płynęła w powietrzu zwartą, silną falą - powolna, uroczysta. Wzruszała niezwykle i zdawało się, oddech w piersi tamowała.

*Dziewczyna lzy leje,  
Dziewczyna lzy leje,  
Dziewczyna lzy leje nad bystrą strugą.*

Skarżył się czysty, wysoki tenor, rzucając w przestrzeń drżącą falę głosu:

*Dlaczego ty płaczesz?  
Dlaczego ty płaczesz?  
Dlaczego ty płaczesz nad bystrą strugą?*

Soczystym, chwytającym za duszę głosem pytał tenor. A chór zwartymi, rzuconymi pod gwiazdy akordami powtarzał pytanie:

*Dlaczego ty płaczesz nad bystrą strugą?*

Tenor odpowiadał rzewną skargą, tchnącą bólem, tęsknotą i łzami:

*Ach, byłam ja młoda,  
Ach, byłam ja młoda,  
Ach, byłam ja młoda i kwitłam jak kwiat.*

Zabawa leżał wzruszony, zasluchany w pieśni. Zapomniał, gdzie jest i dokąd dąży...

Pieśń się skończyła. Zrobiło się cicho i tęskno. Tylko noc obojętnie patrzyła czarnymi oczami... Zabawa myślał w tej chwili o ludziach, którzy śpiewali piosenkę. Wiedział, że to „zielonki” - jego wrogowie.

„Wśród nich mogą być dobrzy ludzie, a muszą mnie ścigać, strzelać do mnie i do innych, boja - wróg - myślał Zabawa. - A kto nas wrogami zrobił?... Wszędzie nonsens. Natura tak bogata, śliczna, a my: jak psy. Zremy się o ochłapy bytu lub sami nie wiedząc, o co”.

Wstał, posłuchał i z rewolwerami w obu rękach, z palcami na cynglach, gotowy w każdej chwili do walki, powolnie i bez szmeru, jak widmo ruszył naprzód... przez pnie, krzaki, stopy chrustu, rowy, doły, strumienie, rzeki... Był cały skupiony we wzroku, słuchu, a nawet węchu, bo w nocy instynkt samozachowawczy wysubtelnia niezwykle zmysły. Szedł, czując w sobie moc tytana. Gotów był wyzwać do walki każdą potęgę. Noc, matka biedaków i przebiegaczy, była jego potężnym sprzymierzeńcem.

Gdy od czasu do czasu wychodził na trakt, zazwyczaj szukał słupów „wiorstowych”. Słupy te były luksusowym zabytkiem starego rządu. Nawet mostów nie reperowano, tylko objeżdżano popsute daleko wokoło. Zabawie zdawał się każdy taki słup tajemniczym, dyskretnym przyjacielem, dopomagającym mu w drodze... Były stare, wpółzgniłe. Farba z nich pozlaziała. Pochyliły się; niektórych brakowało... Były niemymi świadkami granicy, pogranicza i tej, bogatej w niezwykle zajścia, drogi. Moczył je deszcz, suszył wiatr, paliło słońce, ściałał mróz, lecz one wytrwale pełniły swój obowiązek - poważne, zamysłone, patrzące w przeszłość. Każdy nowy słup na tej drodze był nowym sprzymierzeńcem, bez słów mówiącym: „Witam, przyjacielu... Jestem 31. Uwważaj: zaraz granica”... „Serwus... 17. Baczość. Zagraditeliyj otriad”... „Czołem, 19. Zaraz Stare Sióło... Zejdz z drogi”.

Do Mińska Zabawa przyszedł bez żadnych przygód, gdy się rozpoczął poranek. Bocznyymi ulicami wszedł do miasta i udał się do mieszkania Dwolińskich.

Pani Jadwiga otworzyła mu drzwi.

- Ach, to pan - tak radośnie go przywitała, że znowu poczuł w piersi łaskoczącą, ciepłą falę...

| Często o panu myślałam, nawet śniłam. Tatuś też pana wspominał... Myślałam - mówiła dalej - że to mamusia wraca. Poszła dwa dni temu do krewnych na wieś po prowiant...

- Gdzie pan Józef?

- Jak zwykle, na rynek poszedł... Dziś targ...

Zabawa spostrzegł poprzednio, że po drodze do Mińska jechało sporo furmanek. „Najlepiej wchodzić do miasta w dni targowe” — pomyślał.

Zjął starą, watowaną kurtkę, którą wziął w Wołkowszczyźnie od Kalinowskich i zaczął zdejmować z siebie rzeczy, którymi był pookręcany. Były to prezenty Karola Kraski dla żony i córki. Pani Jadwiga była bardzo zadowolona. Przesłane jej rzeczy przedstawiały tym większą wartość, że w Sowietach lepszych materiałów nie można było wcale kupić, a te liche towary, które się zdarzało nabyć nielegalnie, kosztowały bardzo drogo.

Po herbacie pani Jadwiga rzekła do Zabawy:

- Chciałam pomówić z panem szczerze w pewnej sprawie, tylko... żeby to nie było dla pana przykre...

- Proszę mówić. Właśnie to najlepsze.

- Rozmawiałam o tym z tatusiem. Naturalnie, nic nas to nie obchodzi, ale pan nie... przemytnik...

- Więc cóż? Nie rozumiem, o co chodzi.

- Przepraszam. Ja to dlatego, żeby pan nie pomyślał, że my się boimy. Nie... Ja nawet chcę zaproponować: jeśli pan potrzebuje chodzić po mieście, to najlepiej ze mną, jak z żoną lub narzeczoną - nie tak zwraca uwagę.. Jesh trzeba, proszę bardzo. Jestem odważna. W ogóle jeśli co trzeba dopomóc, to bardzo proszę. Mam nawet pewne znajomości...

Pani Jadwiga, trochę zażenowana, z lekkimi rumieńcami na policzkach tak ładnie wyglądała, że Zabawa z nietajonym zachwytem patrzył jej w oczy. Spostrzegła to i urwała.

Zabawa uściśnął mocno jej dłoń.

- Dziękuję pani bardzo - rzekł. - Dla pani obojętne, kto jestem. Możecie tylko być pewni, że żadna przykrość z mego powodu was nie spotka. A co się tyczy pomocy dla mnie, to na razie jej nie potrzebuję, a gdy zajdzie potrzeba, powiem otwarcie...

V Dobrze... Zapomniałam o najważniejszym: tatuś kupił dla pana wojskowy płaszcz, prawie nowy, czapkę, garnitur i znaczek techniczny... Wszystko, o co pan prosił.

- Starczyło pieniędzy?

- Jeszcze zostały. Zaraz pokażę panu ubranie.

Wyjęła z kufra rzeczy. Zabawa był zadowolony. W tym ubraniu, z technicznym znaczkiem na czapce mógł podawać się wszędzie, mając dobre do-

kumenty, za technika telegrafu. Miał w tym zakresie pewne wiadomości, bo ukończył kiedyś skrócony kurs nadzorców telegrafu i telefonu, przez pewien czas pracował w tym zakresie, więc orientował się dobrze w roli, którą na razie obrał dla siebie.

1 Dziękuję pani za wszystko - rzekł uradowany.

- Proszę; chciałabym dla pana więcej zrobić. Byłoby to dla mnie bardzo przyjemne... Wierz mi pan, że jestem odważna...

Zabawa się roześmiał, a potem zapytał poważnie:

- Czy pani wie, że to bardzo niebezpieczne? Pani się nie orientuje w sprawie, a ja nie chcę mieć moralnej odpowiedzialności...

- Ależ, proszę pana, byłabym szczęśliwa, gdybym mogła napsocić tym „muchomorom”... Nie lubię ich strasznie, może bardziej niż papa.

- Czy ma pani kogo znajomego w sferach czerwonej arystokracji?

- Znam osobiście komendanta miasta.

- Krywoszeina?... Skąd go pani zna?

- Zalecał się do mnie na balach. W teatrze z nim byłam... Zawsze mogę odnowić znajomość.

- Kogo pani zna jeszcze?

- Znam kilku krasnych oficerów z 4. Dywizji.

- Mniejsza o nich. Czy pani zna kogo w Czerezwyczącach?

Pani Jadwiga się zamyśliła. Po chwili rzekła radośnie:

- Jest, jest... i to nawet nasz daleki krewny...

- Jak się zapatruje na swą służbę?

- Pracuje dobrze i ma dobrą opinię, ale fanatykiem nie jest. Przeciwnie... jest niezadowolony i uważa się za pokrzywdzonego. Chciałby być kimś wielkim, bo ma zdolności, a jest zwykłym agentem...

- Czy pani jest go pewna?

- Absolutnej pewności nie ma, ale można go zbadać... Ja kiedyś rozma- i wiałam z nim. Mówił, że chętnie porzuciłby tę psią służbę i wyjechał za gra- nicę. Był rozgoryczony. Zaznaczam, że jest kokainistą...

- Kokainistą? To dobrze - rzekł Zabawa. - Niech pani przy sposobności pomówi z nim. Może mi się przydać...

Długo jeszcze rozmawiali serdecznie i wesoło, jak dwoje dobrych przyjaciół. Pani Jadwidze przypadła do gustu rola spiskowca, a Zabawie, nowy kolega, spiskowiec. Jaka różnica pomiędzy nią a Karolem - myślał Zabawa. - Trafiła się mazgajowi taka dzielna kobieta".

Pan Józef wrócił z targu późno. Ucieszył się bardzo na widok Zabawy.

- Uszanowanie. Jak zdrówko? Co nowego? - krzyczał tubalnie, witając Zabawę.

- U mnie wszystko dobrze. Co u was?

- O, u nas wielka nowina. Postawiono pomnik Karle Marle.

- Nie rozumiem... komisarz jakiś?

-Jaki tam komisarz - zaśmiał się pan Józef. — To moja Marysia (imię żony pana Józefa) tak Karola Marksa nazwała. Mówi: „Kudłaty taki... Karła Marła... jak pies”. Widziałem i ja pomniczek, mój panie: trzech rubli nie wart... Lichy cokółek, jak pod doniczkę kwiatów, a na nim popiersie - lepsze w muzeach okazy przestępców wzdłuż ścian stoją. A co krzyku narobili. Cały obchód... Orkiestry, pochody, przemowy... To tak jak chłopcy wiejscy: w dziesięciu flaszkę wódki wypiją i krzyczą, ryczą, całą wieś obudzą. Albo kura: jajko zniesie, a nakrzyczy, jakby słońca porodziła.

Gdy Zabawa leżał nad „drugą linią”, słuchając pieśni sowieckich żołnierzy straży granicznej, w Mińsku, w pierwszym podwale Czeki, kapitan Antosiewicz leżał zbity, broczący krwią, na brudnej posadzce. Pobili go żołnierze i czekiści, którzy wykryli zrobiony przez niego podkop. Od tego czasu wszyscy w Czerezwyuczajce nazywali go „Kretem”.

Leżał, snując w mózgu smutne myśli; leżał głodny, sponiewierany, zmęczony, lecz zawsze był gotów ponowić próbę ucieczki, gdyby były chociaż nikłe szanse jej powodzenia... Za drzwiami rozlegały się kroki żołnierzy i dolaływała jego uszu piosenka:

*Car z carycą w karty grali,  
a Germanie zwyciężali...*

W tymże czasie banda dywersyjna „Muchy” - Michalskiego, która wyruszyła z Cimkowicz, z Pogranicznego Otriadu, oczekiwała sygnału do przejścia na terytorium Polski.

Było ich trzydziestu sześciu. Mieli ze sobą, prócz rewolwerów, karabinów i granatów, jeszcze dwa lekkie karabiny maszynowe... Leżeli na łące, za krzakami wikliny, w pobliżu rzeczulki stanowiącej granicę... Nikt nie rozmawiał. Ciszę wieczoru przerywała nadlatująca z daleka piosenka żołnierzy polskiej straży granicznej:

*A nasz oddział wyriadowczy na placówce stoi,  
Na placówce stoi, na placówce stoi...  
I tak pisze do Trockiego, że się go nie boi,  
że się go nie boi... Siupaj-da.*

Był późny wieczór. Zabawa wrócił z miasta. Siedział z panem Józefem i rozmawiał o „polityce”. Mówił przeważnie pan Józef, który już pociągnął



spora porcję polskiego spirytusu, i gromił, jak zwykle, bolszewików. Korzystał z rzadkiej okazji, aby się wypowiedzieć, mając lojalnego i cierpliwego słuchacza.

-Ja, panie, uniwersytetów nie kończyłem, dużych rozumów nie zjadłem, ale oszukać się nie dam. Mnie na ładne słówka nikt nie weźmie. Ja, proszę pana, sądzę, że postęp polega na tym, aby człowiekowi jak najlepiej się działo. Teraz w Anglii fachowy robotnik żyje lepiej niż kiedyś król... To postęp.

- Tak, na drodze ewolucji doszli do... - zaczął Zabawa.

- Właśnie - przerwał mu pan Józef. - A jak to lepsze życie nazwą: monarchizm, demokratyzm, socjalizm, wszystko jedno, bo chodzi nie o słowa i hasła, lecz o życie. I jeśli ktoś, mój panie, zrobi wszystkich żebrakami, głodomorami, nędzarami pozbawionymi wszelkich praw i powie, że to: wolność, równość i braterstwo, powiem mu: kłamiesz, to kryminał, to cmentarz... Krzyczą: burżuazja, burżuazja. A co burżuazja im zawiniła? Chyba to, że sami burżujami nie są. Zwykła chciwość i zazdrość. Ja, proszę pana, nie Rosjanin, ale Rosjan znam dobrze. To naród niekulturalny i niezdolny do przyjęcia wysokiej kultury. To naród śpiochów, wyczekiwaczy. Kultura, cywilizacja to nie są mądre słowa, tylko po prostu: praca, wynik pracy i suma pracy. Jeśli naród ukocha pracę, to nie może nie stać się kulturalnym. A jeśli pracuje z niechęcią, obrzydzeniem, z konieczności albo tak jak my: pod batem, z musu, to kultury nie zdobędzie. A jeśli co pokaże, jako swój dorobek kulturalny, to będzie to kant, mój panie. Bo to męka ludzka... Anglia kulturalna?... Tak... Dlaczego?... Bo pracę kocha. Każdy Anglik — człowiek słowa i czynu. Ja tam byłem; znam ich. Belgia, Francja, Szwecja, Norwegia, j Szwajcaria, tak samo. Holandia morzu ziemię wrywa. Dania z piachów i lotnych urodzajną glebę stworzyła. Albo najbliższy sąsiad nasz, Finlandia: j na skałach żyją, w surowym klimacie, a porównajcie ich kulturę z naszą... I Heca... U nas kultury europejskiej nigdy nie było i nie będzie, bo ludzie i tu - gnój, a gnój tylko do tego się nadaje, by ziemię zasilac, do pracy zaś inteligentnej rozumu trzeba... Marnują najbogatszy kraj świata, z głodu zdychają i zazdroszczą burżuazyjnego kołnierzyka Niemcowi, a nie wiedzą, i szuje, że ten Niemiec, gdy trzeba, po 16 godzin dziennie pracuje i to jak ; pracuje...

Pan Józef napełnił kieliszki. Wypili.

- Albo wolność obywatelska - mówił dalej pan Józef. - Komedja, panie, j Anglia - monarchia, a tam obywatel korzysta z największych swobód. Rosja - państwo socjalistyczne, komunistyczne i... najmniejsza wolność obywatel- ! ska. Ale gdzie tam „najmniejsza”. Po prostu władze obywatela gorzej niż bydlę traktują... Nie-na-wi-dzą... Bo tak oszukiwać, wyzykiwać i katować mogą ; tylko sadyści, którzy nienawidzą... wściekle... śmiertelnie...

Milczeli... Było cicho...

-*Jedź* pan do Polski - rzekł po chwili Zabawa.

- Do Polski... A po co? Z jakiej racji? Ja tu 25 lat przepracowałem. Tu moje miejsce. Ja człowiek pracy. Pracę kocham. Sam za pięciu pracowałem. Ale teraz... nie chcę i nie będę. Niech i ze mną mają kłopot. Ja fachowiec, cieśla; pracę i teraz mogę znaleźć - specjaliści potrzebni. A nie chcę... Ot, będę dalej jako przekupieii spekulował, ale za funcik soli, dwa fasoli na rok rąk sobie urabiać nie chcę... Obejdzie się. A zdechnę... nie żal, kto w piekle żyje nic do stracenia nie ma... Mnie by jeszcze tylko córkę z Andzią do Polski wysłać; dość tu sowieckich, rajskich migdałów się najadły... A co rok to gorzej. Tak 5 lat męczymy się i końca nie widać. Licho, panie, licho...

Za oknem hulał wiatr. Próbował zimnymi palcami odemknąć okiennice... Nie zdołał i zapłakał... Po dachu bębnił deszcz...

...Licho, panie, licho... - brzmiał w uszach Zabawy głos pana Józefa.

## 2

W komendanturze 8. Dywizji Piechoty w Bobrujsku dyżurny oficer przejrzał dokumenty Zabawy.

- W jakim celu potrzebna wam przepustka?

- Chcę się dowiedzieć o przydziale służbowym towarzysza Andrzeja Smolina, który służy w 8. Dywizji.

- Wątpię, aby w sztabie dywizji było to wiadomo. Najlepiej w pułku...

- Pułków trzy i kawpułk<sup>37</sup>. Nie wiadomo, gdzie szukać.

- Proszę, macie przepustkę...

Zabawa przeszło pół godziny był w sztabie dywizji. Obejrzał pomieszczenia. Udał się do kilku kancelistów, wypyując ich o towarzysza Andrzeja Smolina, w końcu wyszedł na ulicę.

Był strasznie znużony. Chciało mu się spać. Cztery dni był w drodze. Objechał kilka miast. Okoliczności tak się złożyły, że nigdzie nie mógł się prześpać... Pił na dworcach „mocną”, fałszowaną, naparzaną z sodą herbatę; wypalił mnóstwo papierosów i drzemał w ruchu.

Do pociągu pozostało 4 godziny, więc poszedł do twierdzy. Przeszedł wspaniały bór, otaczający twierdzę, który był w połowie wyrąbany. Wały i fosy były w stanie opłakanym. W środku twierdzy 3/4 budynków zrujnowano i dotąd nie odremontowano, chociaż nie było gdzie rozlokować wygodnie żołnierzy. Olbrzymie kompleksy gmachów ponuro patrzyły czarnymi wyrwanymi okien i drzwi. Niektóre zabudowania leżały w gruzach.

"Kawalerski pułk przy dywizji piechoty, na stopie dyw. „wewnętrznej”.

Na jednym z dużych placów ćwiczyli żołnierzy, którzy leniwie wykonywali komendy. Zabawa usiadł na ganku jakiegoś budynku i przyglądał się biegnącym jak mrówki ludziom. Pewna grupa żołnierzy śpiewała:

*Kowale myi młotem ciężkim  
Kujemy szczęścia klucze wam...*

Poszedł dalej... Szedł automatycznie... Czasem mu się zdawało, że stoi w miejscu, a budynki przepływają obok niego.

„Dziwne” - myślał. Lecz zaraz zmęczony mózg podpowiadał: „To nie budynki się ruszają, to ty idziesz”. Aha. To ja idę... idę... - szeptał.

*Kujemy szczęścia klucze wam...*

Wirowała w powietrzu piosenka żołnierzy.

...szczęścia klucze... - szeptał Zabawa... - szczęścia... „O, jak się chce spać”...

W wagonie Zabawa zaszły się do przedziału, w którym jechało kilku wojskowych. Usiadł w kąciку przy oknie i gdy pociąg ruszył, zaraz zasnął... Przysniło mu się, że znajduje się w wielkiej sali, której jedną ścianę zastępowała duża, żelazna krata. W sali tej było sporo wesołych ludzi. Wszyscy się śmiali. Nie wiadomo, jak i kiedy - jak to zwykle we śnie bywa - znalazły się wśród nich dwa duże ptaki, podobne do bocianów, lecz o wiele większe. Ludzie, którzy się znajdowali na sali, podchodzili do nich i każdy w ten sam sposób uderzał ptaka palcem w bok. Ptak, niezadowolony, robił gniewny gest dziobem, krzyczał: ke-er, i odskakiwał komicznie i niezgrabnie w tył. Zabawie było żal ptaków i gniewała go głupia wesołość tych ludzi. Pragnął, by ptaki stąd uciekły, i tak się stało. Ptaki zbliżyły się do kraty i chociaż pręty były gęste, ła-two, niby gumowe, przecisnęły się między nimi i - zniknęły...

Następnie zdawało mu się, że leży na łące. Było ciepło... Zielono... Wesoło... Świeciło słońce. Ku niemu szedł koziołek; młody, ładny, różki dopiero mu się przebijają. Zbliżył się w podskokach ku Zabawie, wyciągnął ku niemu pyszczek... blisko, blisko i - niespodzianie obliżał mu nos i wargi. Zabawa raptownie odchylił się i... obudził.

Przed nim stał czekista:

- Dokumenty...

Zabawa podał mu zaświadczenie i kartę urlopową. Czekiści przejrzeni je i poszli dalej.

W Mińsku wziął lichą dorożkę i pojechał do mieszkania Braginów.

Był wieczór. Mżył deszcz. Przechodnie przepelzali ulice jak ciężkie, mokre chrabąszcze.

Zabawa był trochę zdenerwowany. „Zaraz zobaczę Zofię” - myślał, czując coraz bardziej ogarniające go wzruszenie. Zadzwoił do drzwi frontowych dużego domu.

I Kto tam? - posłyszał po chwili dobrze mu znany, niski głos Zofii.

-Ja... Roman...

- O... Romuś — rozległ się wzruszony kobiecy głos. Pośpiesznie odemknęto mu drzwi.

R Chodź tu... I cicho... O, Boże, gdybym ja była wiedziała..

Zabawa nie mdął zrozumieć Zofii, była tak zdenerwowana i jakby się bała czegoś. Na przywitanie nie pocałowała go nawet...

- Czy wiesz, Romku... ja zamężna — powiedziała po chwili z widocznym wysiłkiem.

-A... ta-ak.

Zabawa już się nie dziwił... Dostrzegł w niej dużo obcego, czego nie widział ongiś. Nie nazywał już jej —jak dawniej -jednym ze spieszczeń jej imienia, lecz oficjalnie: Zofio Pawłowno.

Przyszła matka Zofii. Przyjaźnie przywitała go.

Zabawa opowiedział im dobrze skomponowaną historię swych przeżyć od roku 1920, z której wynikało, że służył w centralnej Rosji i na Ukrainie, a niedawno przeniósł się do Bobrujska. Do Mińska przyjechał po książki techniczne.

Uradzili zapoznać Zabawę z mężem Zofii niejako byłego jej narzeczonego, lecz jako ich dalekiego krewnego, żeby nie był o niego zazdrosny.

- Romku, musiałam wyjść za mąż. Było nam tak trudno. Myślałam, że nie wrócisz... - mówiła Zofia.

- Co robić? Spóźniłem się... A kto mąż?

eł Naczelnik stacji.

- Komunista?

-Tak, partyjny...

Bragin, człowiek starej daty, wesoły, gościnny, ucieszył się bardzo przyjazdem Zabawy.

- Mówiłem wam, że wróci. Co? A? Moja prawda. Ale się opóźnił... opóźnił... No, nic... mamy dla niego inny orzech... Oj, mo-ocny... — śmiał się, wskazując oczami na młodszą córkę.

Elżbiety Zabawa nie poznał. Z podlotka rozwinęła się w śliczną dziewczynę, lśniąca jakąś hardą, zmysłową urodą. Trzymała się przesadnie swobodnie i hałaśliwie. Wprost wyzywająco się ubierała i biła w oczy każdym gestem, każdym spojrzeniem.

„Oho. Stuprocentowa kurtyzana. Rekin wyrósł - myślał Zabawa, z odcieniem przykrości i zainteresowania jednocześnie. - A musi być ślicznie zbudowana. Tak to podkreśla i ubraniem i ruchami”.

-A Elżbieta Pawłowna do partii nie wstąpiła? To takie modne... - zapytał ją Zabawa.

- Nie-e... - odparła śpiewnie, ładnym ruchem głowy rzucając w tył włosy.

I Po co jej jakaś tam partia? - zaśmiał się Bragin. - Ona sama jest partią... Partia Lizki jest najsilniejsza w Sowietach. Przed nią żaden marksista się nie ostoi - dodał żartobliwie. - A pan partyjny? - zapytał Romana.

I Nie... Nie lubię ani polityki, ani specjalnych obowiązków poza pracą; a partia nakłada obowiązki... Jeśli mam być złym komunistą, jakich widzę wszędzie tysiące, to wolę pozostać dobrym obywatelem.

- Racja - z widoczną przyjemnością skwapliwie potwierdził Bragin. - Moja zasada. Ja im to nieraz mówiłem... Słusznie...

Grali do późna w preferansa. Zabawa umyślnie grał źle, dając możliwość wygrania swym partnerom: Braginowi i Zofii, czym wprawiał ich w dobry humor. Po grze Bragin gdzieś wyszedł, a gdy wrócił, rzekł do Zabawy:

- U nas, mój drogi, trochę za ciasno. My ciebie urządzimy u sąsiadki. U nich miejsca dość. Cały pokój wolny, zawsze do twojej dyspozycji.

- Dziękuję i przepraszam za kłopot...

-Jaki tam kłopot. Głupstwo. U nich będzie ci wygodnie. Mieszka tam wdowa z córką... Bardzo porządna, chociaż Polka. Za to córka jej: diabeł. Urwis gorszy od chłopca... komsomołka. Ale ciebie to nic nie obchodzi... Aleś zmężniał. Trudno poznać. Cieszę się bardzo, ba-ardzo...

W godzinę później Zabawa leżał w łóżku, w małym pokoiku i przy świetle lampy czytał „Prawdę”. Wkrótce zgasił lampę. Długo leżał z otwartymi oczyma. Nagle zachciało mu się śmiać, ogarniała go coraz większa wesołość. „Partia Lizki - najsilniejsza w Sowietach. Przed nią żaden marksista się nie ostoi” - przypomniał sobie słowa Bragina.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Minsk?”, 30 sierpnia 1922 roku*

Jest godzina pierwsza w nocy. Spać nie mogę... Po pewnym namyśle postanowiłem pisać dziennik także i w Sowietach, jeśli będzie to możliwe i jeśli starczy na to czasu... Wsypy dziennika się nie boję, bo nigdy żywy bolszewikom się nie poddam. Zresztą będą to luźne kartki z notesu, które po powrocie do Polski będę załączał do właściwego dziennika. W ten sposób zachowam wiele wrażeń, które inaczej mogłyby się rozproszyć.

Tak mnie czasem ciągnie do tej pracy, jak palacza do papierosa. Przyjemnie dzielić się wrażeniami z kimś, kogo lubisz i szanujesz, a ja, gdy piszę Dziennik, mam wrażenie, że obok siedzi mój najdroższy przyjaciel... dobry, wyrozumiały, mądry druh - Kostek... Słyszę jego cichy, równy głos: „Pamię-

<sup>M</sup> Wszędzie mowa o Mińsku Litewskim.

taj, Romku, że książka to cud. A cud tym dziwniejszy, że zawsze możliwy i dostępny... Człowiek żyje kilkadziesiąt lat, męczy się, uczy, pracuje, cierpi i raduje się; nasiąka doświadczeniem swoim i cudzym — z książek, słów lub czynów. Nareszcie piszę książkę i wkładam w nią część siebie - swej duchowej i fizycznej treści, a ty bierzesz ją do rąk i możesz zawsze z niej korzystać".

Ważno czytać. Przeważnie po nocach. Dobrych książek trafiam mało, bo czytam, co w rękę wpadnie... Przeszkadza mi bardzo nieregularny tryb życia... Zauważyłem, że nie umiem dobrze czytać, to znaczy pracować przy lekturze książek wyobraźnią w ten sposób, aby widzieć bohaterów, ich czyny. Może to dlatego, że nie wierzę książkom... Dzieci książkom wierzą i widzą bohaterów wyraźnie; obserwują każdy ich ruch, słyszą każde słowo, żyją z nimi. A ja straciłem tę zdolność, bo... nie wierzę... Otwieram książkę. Czytam. Wszystko tak ładnie i składnie ułożone jak w zegarku: tik-tak, tik-tak, a w życiu - jak w lamusie. W książce bohaterowie tak pięknie mówią, a w życiu: nawet ludzie wykształceni nie umieją dobrze własnych myśli wypowiedzieć. W książce każda osoba ważna, nie ma ani jednej zbędnej. A w życiu?... Obecnie czytam nie tak jak kiedyś, bo kiedyś przejmowałem się losami bohaterów bardzo. A teraz czytam: „Siedział ponury na kanapie, zaciskając kurczowo wypiełgnowane dłonie, z wyrazem niewysłowionej rozpacz na swej rasowej twarzy...". Czytam i spać mi się chce, i złość mnie ogarnia. Nie wierzę, aby to, co przeżył bohater, mogło spowodować „kurczowe zaciskanie wypiełgnowanych dłoni", a „wyraz rozpacz na jego rasowej twarzy" może na długo humor zepsuć. Widzę, że mnie oszukują i to nie artystycznie, ale po fuszarsku, więc się nie dam. Są książki, które lubię i którym wierzę, które oczy otwierają na życie... Ale nie umiem ich znajdować...

Dzień dzisiejszy jest dla mnie bardzo ważny. Dziś pójdę na spotkanie z moim drogim przyjacielem. On na to spotkanie nie przyjdzie, dziennika nie przeczyta, bo... nie może, lecz ja przyjdę i dla niego piszę, bo on tego chciał. A może... Może teraz z cichym uśmiechem czyta te wiersze, które pieszmyślał nim... Może i tam przyjdzie... Wszyscy przyjdą... Może...

Jestem piątą dzień w Mińsku u państwa Braginów. Powinienem już wracać, lecz czekałem dnia dzisiejszego - dnia 1 września 1922 r. - w którym to dniu obiecałem stawić się na umówione niegdyś spotkanie trzem kolegom, w tej liczbie Kostkowi... Muszę słowa dotrzymać.

Mieszkam w małym pokoiku u pani Żarskiej, kobiety przeszło 50-letniej, Polki z Wilna, kiedyś dość dobrze sytuowanej, a obecnie praczki, która ledwie może wyżyć z własnej pracy. Mąż jej, kolejarz, zmarł na tyfus w 1920 r. Po jego śmierci kobiecina pozostała sama z córką dwunastoletnią, Julką. Komiczne były stosunki matki z córką. Matka, kobieta pobożna, nie mogła dać sobie rady z dziewczyną, która raczej do urwisa, chłopca była podobna. Kie-

dyś oznajmiła matce, że wstąpiła do Komsomołu®. Matka ręką machnęła: „Rób co chcesz. Pożałujesz kiedyś”.

W moim pokoiku, oddzielnym przepierzeniem od reszty mieszkania, były szpary, przysлонięte wiszącymi w strzępach tapetami. Przez nie w razie potrzeby mogłem obserwować całe mieszkanie Żarskiej, składające się z jednego dużego pokoju i kuchni naprzeciw moich drzwi. Z rana mogłem widzieć, jak pani Żarska się modliła, a potem szła do pracy. Julka wstawała później, „po szlachecku”, jak mówiła jej matka. Gwizdała, śpiewała... Często sły-  
szałem urywki z popularnego w Sowietach **Jabłoczk**a:

*Prędko bieda kończy się  
I zaświta słońce.  
Lenin z Trockim zaśpiewają:  
„Pierozki gorące”.*

Często śpiewała takie „kawałki”, że nie można ich tu powtórzyć... Czasem nuciła popularną, zupełnie bezmyślną przyśpiewkę do taktu marsza:

*Po ulicy chodziła  
Wielka „krokodila”  
/ cała ona była zielona.  
Zobaczyła Francuza,  
I cap go za „puzo”  
I cała ona była zielona.  
Zobaczyła „kitajca”  
I cap go za...  
I cała ona była zielona.*

Przedwczoraj podpatrzyłem przez szparę taką scenę. Do Julki przysła jej koleżanka, Żenią, dziewczyna trochę starsza od niej. Coś tam długo paplały, chichotały, potem Żenią powiedziała:

- Zobacz, czy mam ładny chód?
- No, idź.

Piętnastoletnia dama złożyła wargi w ciup, przymrużyła oczy, schyliła głowę na bok, i nienaturalnie wygięta, wysadzając naprzód pierś, przeszła przed Julką. Ta z wielką powagą obserwowała ją.

- No, jak? - zapytała Żenią, ukończywszy defiladę i nabierając w płuca powietrza.
- Chód masz niczego sobie, ładny - poważnie cedząc wyrazy, zawyroko-  
wała Julka - tylko za mało d... kręcisz.

<sup>59</sup> Komunistyczny Związek Młodzieży.

Omiał się nie roześmiałem głośno.

Julka sprząta mój pokój. Puka, wchodzi, robiąc poważną minę; pozamiata, posprząta w pokoju i wyjdzie. Chciałem dać jej trochę pieniędzy, ale nie wzięła. Pewnie matka uprzedziła ją, aby nie brała. Przyniosłem z miasta lichych, nielegalnie sprzedawanych na rynku cukierków. Wzięła je chętnie... Biega dla mnie do miasta po papierosy. Przyrządza herbatę.

Często w odwiedziny do mnie przychodzi ktoś z Braginów. Pewnego razu przyszedł sam Bragin. Zrobił tajemniczą minę, zamknął drzwi na klucz i mrugnął znacząco.

- Wspomnijmy przeszłość, co?

Postawił na stole flaszkę samogonu... Stary lubił wypić. A gdy podpił, zaczął się skarżyć, że on lisznij czielowiek".

- Rozumiesz, mój drogi - mówił pan Bragin - każdy ptak na ziemi ma swoje miejsce i obowiązek, który łatwo i wesoło spełnia, który daje sens jego życia. A ja nic. W ogóle: czy kto może człowiekowi jego obowiązek wskazać? Nie. Człowiek sam go znajdzie, wtedy szczęśliwy będzie - jak ptak. A my wszyscy na cudzych miejscach albo całkiem bez miejsca - zawieszeni w przestrzeni.

Ja umiem mówić ze starszymi ludźmi, a przede wszystkim umiem ich słuchać; to im się najwięcej podoba, a mnie nie szkodzi, zjadłem sobie w ten sposób zupełnie Bragina.

Udaję, że jestem zakochany w Lizie, naturalnie tak to czynię, aby poza nią niczyjej uwagi nie ścigać. Jest bardzo ładna - promienieje wprost zmysłową urodą odaliski, leniwej i namiętnej. Patrząc na nią zachwyconymi oczami, a gdy spostrzeżę ją - przesadam swój zachwyt. Powiedziałem jej, że przypomina mi jakąś słynną aktorkę filmową i że jest nawet od niej ładniejsza. Spostrzegłem, że bardzo jej się to podobało.

Kupiłem w sowieckiej księgarni kilka okazjnie sprzedawanych książek. Zofii dałem w upominku *Wojnę i pokój* Tołstoja, Lizce *Sanina* Arcybaszewa. Obdarzyła mnie wdzięcznym uśmiechem i fotografią, na której była ubrana w kostium cygański. Powiedziała, że była w tym kostiumie na balu maskowym i wzięła nagrodę (i w Sowietach są bale, ale tam się bawi nie burżuazja, tylko arystokracja - czerwona, naturalnie). Co się tyczy mego stosunku do Zofii, to staram się sprowadzić go na tory sentymentalnych wspomnień o naszej dawnej miłości, co - ku ogólnemu zadowoleniu - w zupełności mi się udaje.

Zapoznałem się z mężem Zofii, Iwanem Grigoriewiczem Kobzowem. Zachowuje się jak ideowy komunista, ale spostrzegłem po pewnych drobnostkach, że „przesady burżuazyjne" nie są mu obce. Myśląc, że jestem krewnym Marii Braginowej, mówił ze mną bardzo dużo na różne tematy... Dowiedzia-

<sup>10</sup> Zbyteczny, niepotrzebny człowiek.



łem się, że uważa mnie za „wyjątkowo porządnego chłopaka”, wśród „naszej, niemożliwie zepsutej młodzieży”, a to na pewno z tego powodu, że wyrażałem wielki podziw dla „ogromu” jego pracy i odpowiedzialności. Jest to człowiek po pięćdziesiątce, tęgi, trochę astmatyczny; mówi powolnie i stale dodaje: „rozumiecie”? Pewnie ma zawsze z idiotami do czynienia, którzy nie potrafią zrozumieć najprostszych rzeczy. Spostrzegłem, że jest u Zofii pod pantoflem, komicznie wprost nadskakując żonie, stara się uprzedzać jej życzenia, gesty, a nawet myśli. A ta z obelżywą wprost niedbałością go traktuje. Nazywa go „Czuska” - jak prosiaka. To intymne „Czuska”, wypowiedziane nieraz głośno przez Zofię, było mi wstrętne i omal nie z odrazą patrzyłem na laszącego się do żony Kobzowa. To jedno słowo ostatecznie zgasiło zarzewie mej byleży miłości ku niej. Jak ja się teraz wyraziłem: „zarzewie mej byleży miłości”. Ja tak nie mówię, nie piszę ani nie myślę; to obcy wpływ - książek..

Spostrzegłem, że Kobzowa drogo kosztuje utrzymanie domu, a szczególnie żony, która jest bardzo kapryśna i lubi ładnie się ubierać. Wyobrażam sobie, ile mogą kosztować obecnie w Sowietach jej modne suknie, przewiewiane szlafrociki, jedwabne pończoszki. Mówiłem w duchu: „Tak, panie Kobzow: równość równością, braterstwo braterstwem, idea idea, ale póki świat istnieje, ładna kobieta będzie warta nieskończenie więcej od brzydkiej i jej ciało więcej przedstawia wartości dla normalnego mężczyzny niż wszystkie teorie socjalistyczne razem wzięte. Brzydką, starą zapędzisz do prania - jak panią Żarską; a przed ładną samicą będziesz ogonkiem merdała, ślinę puszczał... Sam niewolnikiem zostaniesz”.

Pewnego dnia, gdy żony nie było w domu, Kobzow pokazał mi sypialnię, która była przeładowana nie tyle gustownymi, ile kosztownymi rzeczami. Pokazał mi olbrzymie dwuosobowe łóżko.

- Czarny dąb - chrząknął znacząco. - Prawdziwy czarny dąb. Kupiłem okazjnie, 50 rubli w złocie. Samo drewno więcej warte. Masyw. Czterech ludzi nie udźwignie. A zobaczcie rzeźby. Cud.

- Tak... faktycznie... - potwierdzałem bez wielkiego przekonania, przez grzeczność jedyne.

- A ta toaleta. Historyczna, można powiedzieć, rzecz. Artyzm. Oczu nie można oderwać... Co?

- Piękna toaleta...

- A ten dywan... Prawdziwy perski. Sam przywiozłem z Samarkandy. Też okazjnie kupiłem. Przy jego robocie może niejedna para oczu zgasła. Arcydzieło.

- Rzeczywiście...

- A to jak się wam podoba? - trącił mnie łokciem i filuternie mrugnął okiem, wskazując na duży kobiecy akt, malowany olejnymi farbami, zawieszony nad łóżkiem. Zaraz okna odsłonię...

### **Podniósł wpdłspuszczone rolety i wrócił do mnie.**

- ... Zofia chciała wyrzucić na strych; mówi: „Po co to świństwo w sypialni, tu nie łaźnia, żeby gołe dziewczki po ścianach wisiały”. Ledwo ją przekonałem, że to dzieło sztuki. Dopiero gdy powiedziałem, że przypominają samą, tak jest piękna, udobruchała się... Zwróćcie uwagę na ten ciepły ton ciała, na grę mięśni na udach, na gorącą falę miedzianych włosów. To pali... Czujecie, jak to pali?

- Owszem... Trochę pali...

### **Przypomniał sobie wiersze, które ryknął „poeta rewolucji”.**

*Nam nie trzeba manny z nieba.  
Nam zbędna papierowa chuć.  
My chcemy chleb razowy jeść,  
I żywą dziewczkę czuć.*

Wkrótce Kobzow spostrzegł, że Zofia bardzo uprzedzająco do mnie się odnosi, więc również zaczął okazywać mi dużo względów, może chcąc tym zrobić przyjemność żonie albo pozyskać we mnie sprzymierzeńca. To przecież polityk... Wyznawca materializmu...

U Braginów zapoznałem się jeszcze z jednym jegomościem, też komunistą. Jest nim Michał Ozimow, sekretarz Gubispołkomu<sup>41</sup>. Pierwszy adorator Lizki... Ona swoich wielbicieli oznaczyła numerami, a nawet dała im godła. Wczoraj powiedziała mi, że ja również mam godło. Zapytałem, jakie, ale powiedziała, że to sekret, lecz może kiedyś mi powie... tylko trzeba „zasłużyć”. Otóż ten Ozimow poczuł do mnie wyraźną antypatię - jako do rywala. Wyczułem od razu, ale nic sobie z tego nie robiłem, a nawet umyślnie usilniej nadskakiwałem przy nim Elżbiecie. Zofia również nie lubi go; mówi, że to „buka”<sup>42</sup>. Powiedziałem jej, że umyślnie zalecam się do Lizki, aby jemu tym dokuczyć. Ona wesoło się zaśmiała i powiedziała: „Dobrze Buce, dobrze”.

Byłem dwa razy u pani Jadwigi. U nich czuję się najlepiej. Tu, u Braginów wszystko jakieś nienaturalne, wszystko wydaje się fałszywe. Bragin - konserwatysta, marzący o „starych, dobrych czasach”; Kobzow komunista, zakochany w mieszczkańskich fatalaskach; Ozimow - napuszony jak paw komunista, pedant, samolub, uważający siebie za najwyższy i uniwersalny autorytet, za bóstwo, łaskawie schodzące do zwykłych śmiertelników. Matka Zofii - nerwowa, podejrzliwa, drżąca o każdy kawałek chleba, przesadnie skąpa i gderliwa. Zofia - domowy tyran, prawie histeryczka, która - „spaliła się na ołtarzu poświęcenia dla własnej rodziny”, wychodząc za mąż za stare-

• Gubernialny Komitet Wykonawczy.

\* Mruk.

go, niekochanego mężczyznę. Lizka - o niej nie będę pisał... na razie... U paristwa Dwolińskich czuję się jak we własnej rodzinie. Wszyscy są szczerzy, życzliwi, prości. Pani Jadwiga mnie zdziwiła, a nawet poważnie zaniepokoiła... Gdy byłem u nich ostatni raz, powiedziała:

- Mam dla pana prezent.

-Jaki prezent?

- Ot, proszę, - podała mi kilka świstków papieru. Były to dwa rozkazy z V Korpusu i kilka rozkazów z 4. Dywizji Piechoty. Rozkazy bezpośredniej wartości nie miały, ale chodziło o sam fakt zdobycia ich przez panią Jadwigę. Świadczyło to o tym, że ma źródła i że robiła starania w tym kierunku.

- Niech pani uważa... to nie żart. Pani wie, czym to grozi?

- Wiem dobrze. I niech mnie pan nie strasz. Pan chce dopomóc nam wydostać się stąd. Nosi pan przez granicę listy i rzeczy... Więc ja mogę też trochę zaryzykować dla pana. Nie będziemy o tym mówić. Jest inna sprawa, o której pan wspominał... Z czekistą rozmawiałam. Zgadza się na wszystko. Może pan mu wierzyć -jak mnie. Zapoznam was, jeśli pan chce, albo sama załatwię, co trzeba. Jest tylko jedna kwestia... bardzo ważna.

- Proszę?...

- To kokainista. Żeby go całkowicie mieć w ręku - może bardzo panu się przydać - warto by dawać mu, od czasu do czasu, trochę kokainy.

Pani Jadwiga z takim zapałem mówiła o pewnych kwestiach, tak dobrze się orientowała w metodach pracy, że byłem tym zdziwiony.

„Z niej urodzony szpieg - myślałem. - W odpowiednim czasie potrafi wiele zdziałać”.

Wziąłem rozkazy, nie dlatego, że były mi potrzebne, lecz aby sprawić tym jej przyjemność, i powiedziałem, żeby więcej beze mnie nic nie robiła, bo będę się gniewał o to, a nawet będę się obawiał do nich przychodzić, bo może lekkomyślnie trafić pod obserwację i ze sobą mnie wsypać. Obiecała więcej tego nie robić.

Dziś wieczorem chcę odnieść dwie fotografie Konstantego jego matce. Dawno jej nie widziałem. Ciekaw jestem, co u nich nowego... jak przyjęli wiadomość o śmierci Kostka? Trochę mi przykro tam iść, ale myślę, że dla nich będzie droga to pamiątka po nim... A ja?... Ja o nim pamiętam zawsze... Zresztą mam dziennik.

Cicho... Tak cicho, jakbym sam na świecie został...

### III. „TRZECH NIEOBECNYCH”

*Człowiek błądzący z drogi  
mądrości w zebraniu umarłych  
odpoczywać będzie.*

Proyerbia Salomonis, 21. 16

1921 rok

Było ich czterech, silnych, młodych, zdrowych, wrących życiem i energią. Siedzieli wokół stołu paląc papierosy.

- Więc cóż to za tak „ważna sprawa”? - zapytał Zabawa, patrząc kolejno w uroczyste twarze przyjaciół.

- Mów ty, Kostek - rzekł Czesław. - Ty najlepiej to powiesz, bo ja nie tego... Wiesz sam: nie umiem językiem mleć.

- Tak, niech Kostek mówi - rzekł Olek. — To mój projekt, więc nie chcę, abys myślał, że mi specjalnie na tym zależy.

Konstanty siedział zamyślony... Przyglądał dłonią włosy nad wysokim czołem i spozjrzał na przyjaciela.

- Dobrze - rzekł - dobrze... Sprawa, Romanie, jest taka: chcemy wracać do Mińska. Po co mamy się tułać po obcych kątach. Zostawiliśmy tam rodziców, znajomych... Zostawiliśmy tam połowę naszych serc. Ty zostawiłeś ojca... Żyjemy tu, a myślą zawsze jesteśmy tam, wśród swoich. My zbrodni przeciw Sowiетom nie popełnili - chyba tylko służba w obcej armii, lecz to się tłumaczy tym, że wstąpiliśmy do wojska w czasie okupacji. Przyjdziemy do Czeki, przedstawimy dokumenty i oświadczymy, że chcemy żyć i uczciwie pracować w Sowietach, w swoim mieście, jako lojalni obywatele. Mogą nas na razie aresztować, ale poważniejszych skutków nie może być, bo gdybyśmy nawet na froncie trafili do niewoli, to byłibyśmy jeńcami tylko, a nie więźniami. Zresztą, gdyby nas nawet aresztowano, to mamy możliwość, przy pomocy krewnych, wystarać się o poręczycielstwo. Zresztą to Białorusi, i my, jako Białorusini, mamy prawo powrócić do ojczyzny bez względu na to, pod jakimi rządami się znajduje... Otóż, pytamy ciebie: czy chcesz należeć do tej imprezy? Roman był zdumiony.

- Jak to? Samemu oddać się im w ręce? Chłopaki, ja tam byłem. Ja wiem, co tam się dzieje... Owszem, ja się zgodzę, ale nie w ten sposób. Po co tak ryzykować?... Ja z tobą, Kostku, do piekła bym poszedł. Z wami też... Ale nie

tak... Pójdziemy z bronią... Ukryjemy się, a jeden niech się stawi... Zobaczmy, jaki będzie rezultat. Jeśli wszystko się skończy pomyślnie dla jednego, to reszta się zgłosi, a jeżeli źle, to poradzimy sobie inaczej...

- Ja mówiłem, że on się nie zgodzi - powiedział Olek.

- Nie, Romku - rzekł Czesław - jeśli tak, to my pójdziemy sami. Chcemy być w zupełnym porządku. Trzeba i to mieć na uwadze, że z trzema, gdy się stawimy, będą inaczej się liczyli niż z jednym. My żadni tam burzuję, kapitałiści lub kontrrewolucjoniści... Wracamy do domu, do pracy, nie mając na sumieniu żadnych zbrodni, ani kryminalnych, ani politycznych. Przyjdziemy szczerze, otwarcie... Czegóż mamy się bać?

Długo rozmawiali przyjaciele... Zabawa, według umowy, miał pozostać w Wilnie i czekać od nich wiadomości, a wtedy również iść do nich do Mińska.

Sprawę zapito. Gdy byli już podchmieleni, ktoś podał taki projekt: „Wiecie co, chłopaki? Niewiadome, co się przydarzy nam w życiu. Wyznamy sobie spotkanie na przyszłość po dłuższym czasie. Ja coś takiego czytałem... Jakby to było ładnie, co?... Jeden jest w Wilnie, jeden w Mińsku, jeden w Moskwie, ostatni jeszcze tam gdzieś, i w umówionym czasie wszyscy się zbieramy. Co?”

Projekt zgodnie przyjęto i Konstanty napisał protokół:

*Wilno, dnia 19 maja 1921 roku*

My, niżej podpisani, zobowiązujemy się, bez względu na odległość i okoliczności życiowe, stawić się na umówione „spotkanie przyjaciół”, w dniu 1 września 1922 roku, o godzinie 9 wieczorem, w Mińsku, w ogrodzie Gubernatorskim nad brzegiem Swisłoczy, naprzeciwko letniego teatru „Renesans”.

Niestawiennictwo mogą usprawiedliwić tylko: śmierć, ciężka choroba lub więzienie. Inne powody będą uważane za wycofanie się ze Związku Czterech Przyjaciół.

*Konstanty Solicz*

*Czesław Galin*

*Aleksander Zohwski*

*Roman Zabawa*

Nazajutrz Zabawa pożegnał ich na dworcu wileńskim... Gdy pociąg ruszył, ucałował przyjaciół i uściśnął po raz ostatni ich dłonie.

- Bądź zdrow. Wkrótce się zobaczymy - rzekł Olek.

- Czekaj listu z Mińska - powiedział Czesław.

**i Nie martw się Romku. Ucz się, pracuj... Wszędzie żyć można | rzucił mu, już z jadącego pociągu, Kostek.**

- Szczęśliwie, szczęśliwie. Piszcie... - krzyczał do nich Zabawa.

Długo czekał listu, ale nie doczekał się go nigdy. Zamiast listu otrzymał po dwóch miesiącach wiadomość, że trzech jego przyjaciół zostali rozstrzelani w Mińsku, dokąd przyszedli, sami oddając się w ręce władz... Zostali rozstrzelani jako kontrewolucjoniści, którzy przybyli na terytorium RSFSR w celu organizowania „białogwardyjskich band”.

„Tak, zrobili jacyś podlecacy na ich krwi karierę służbową” - pomyślał Zabawa, przypominając sobie słowa znajomego Białorusina, który powiadamiając go o rozstrzelaniu przyjaciół, powiedział: „Tam gdzie Moskał rządzi, krew Białorusina jest tańsza od wody”.

\* \* \*

Wieczór był ciemny. Wiatr pędził po ulicach, szarpał okiennice, łamał płoty, krążył w powietrzu i rzucał w twarze przechodniów mokre, zimne liście.

Zabawa przelazi przez płot do ogrodu państwa Soliczów, bo furka na dziedzińcu była zamknięta (nie chciał wchodzić niespodziewanie przez drzwi frontowe). Na dziedzińcu stanął naprzeciw oświetlonych okien kuchni; reszta domu była pogrążona w ciemnościach.

„Może kto wyjdzie” - myślał Zabawa. Było mu bardzo smutno. Ileż to razy, kiedyś, w tym domu, za życia Kostka urządzano wesole zabawy, na których się zbierało tyle młodzieży... Teraz nie mógł zgadnąć, co się dzieje za tymi ścianami. Tylko przeczucie mówiło mu, że nic dobrego.

Ktoś wszedł do kuchni i stanął przy oknie.

„To Mikołaj” - pomyślał Zabawa, poznając starszego brata Kostka. Podbiegł do okna, wspiął się na palcach i cicho zapukał w szybę. Mikołaj przestraszony spojrzął w okno... Przybliżył twarz do szyby.

- Kto tam? - usłyszał jego głos Zabawa.

- Wyjdź pan na chwilę - odpowiedział głośno.

Mikołaj się obejrzał w głąb pokoju i odemknął okno.

- Któż to? I powtórzył strwożony.

-Ja... ja... Roman.

- Ro-o-man?

Przerażenie odbiło się w twarzy Mikołaja, która się stała zupełnie biała.

- Zaraz wyjdę... zaraz... - wyszeptał.

Po chwili był na dziedzińcu. Zabawa wyczuł, że Mikołaj dygocze na całym ciele - nie z zimna, ale ze zdenerwowania.

- Skąd pan? Po co pan tu przyszedł? Co pan robił?

- Przyszedłem z Polski. Przyniosłem wam dwie fotografie Kostka... Myślałem, że się tym ucieszycie.

- Idź pan stąd. Nic nie potrzeba... Żadnych fotografii. Matka jak obłąkana. Pietrek na epilepsję zachorował. Straszne nieszczęścia. Nie trzeba ruszać ran...

- Czyż nie można było go uratować?

- Robiliśmy wszystko, co było można. Matka się zabijała, ale tak ich oplekli, że nic zrobić nie mogliśmy...

- A jak u was w domu?... W ogóle, co słyhać?

- Mogiła... mogiła... Niech pan idzie stąd... Nie... Zaczekaj pan... Daj pan fotografie... dla siebie zachowam...

Zabawa uściśnął zimną dłoń Mikołaja.

- Do widzenia...

- Żegnam.

Za kwadrans dziewiąta...

W ogrodzie Gubernatorskim z rzadka rozwieszono duże matowe latarnie rozrzucając po alejach drżące, blade smugi światła. Olbrzymie lipy cicho stoją w zadumie nad brzegiem rzeki. Pusto i głucho; tylko wiatr gna alejami, bawiac się zerwanymi z gałęzi drzew liśćmi.

Zabawa wszedł do ogrodu (właściwie do parku) z ulicy Podgórznej i skierował się na lewo, w pierwszą aleję nad brzegiem Swisłoczy... Szedł powolnie, patrząc rozszerzonymi źrenicami w głąb alei, w głąb ogrodu, w czarne nurty rzeki, jak stał lśniące przy błyskach latarni.

Przeszedł do końca alei i stanął naprzeciw długiego mostu. Wyjął zegarek.

... Za pięć dziewiąta...

Poszedł powolnie z powrotem... Pośrodku alei usiadł na ławce i patrzył przed siebie. Żałośnie pluskały o brzegi zimne fale rzeki...

...Dziewiąta...

Nagle dostrzegł idące w głębi alei trzy męskie postacie. Serce mu drgnęło. „A może”.

Idący zbliżyli się do niego. Odróżnił jednego wojskowego w płaszczu i bujonnówce<sup>45</sup> z dużą czerwoną gwiazdą; na pasie miał zawieszony nagan w futerał; na rękawie były naszyte 3 czerwone kwadraty<sup>44</sup>.

„Grubsza ryba” - pomyślał Zabawa.

Z wojskowym szli dwaj cywile. Jeden miał pod pachą grubo wypchaną tekę... Głośno rozmawiali.

Zabawa ponuro patrzył w ich kierunku. Prawą rękę miał w kieszeni, mocno zaciskając chropowatą rękojeść parabellum. Odbezpieczył rewolwer,

e Przyjęte w Czerwonej Armii nakrycie głowy; rodzaj kasku uszytego z sukna, przypominającego kształtem niemiecką „pikielhaubę”.

<sup>44</sup> Czerwone kwadraty są w Czerwonej Armii odznakami oficerskimi.

z przyjemnością słysząc lekki, suchy, charakterystyczny trzask. Trzej mężczyźni zbliżyli się ku niemu...

Przestali rozmawiać, patrząc na dziwną postać siedzącego tu samotnie człowieka w wojskowym ubraniu, z technicznym znaczkiem na czapce.

„Niech tylko zaczepią” - myślał Zabawa, czując narastającą w nim ciężką falę złości. - „Ja ich zaczepię”.

Prowokująco mrużył oczy i wysuwając naprzód dolną wargę patrzył im w twarz. Przeszli... Obejrzel się... Wojskowy stanął, widocznie chciał coś powiedzieć.

- Chodź, Wasia, co to ciebie obchodzi - rzekł jeden z cywilów niecierpliwie.

Poszli dalej... Zniknęli w głównej alei... Było po dziewiątej. Zabawa wstał... Przymknął oczy... Zobaczył olbrzymią, silną postać Czesława, jego dobre oczy i dziecięcy uśmiech; flegmatyczną twarz Olka i ironiczny blask jego oczu; zamyśloną twarz Kostka... najdroższe mu oczy, smutne, głębokie... miły uśmiech przyjaciela... Doleciały jego uszu ostatnie słowa pożegnania na dworcu w Wilnie: „Nie martw się, Romku. Ucz się, pracuj... Wszędzie żyć można”.

„Wszędzie, tylko nie tu” - pomyślał Zabawa i przypomniały mu się znowu słowa Białorusina z Wilna: „Tam, gdzie Moskał rządzi, krew Białorusina tańsza od wody”.

Poszedł powoli w kierunku mostu. Stanął nad brzegiem rzeki i długo patrzył w głąb alei..

...Trzech nieobecnych... - wyszeptał, a po chwili dodał w myśli: „Niestawianictwo usprawiedliwione”. Żal okropny szarpał mu serce...

Jęczał i płakał wiatr w gałęziach lip; trwożnie drżały i szeptały liście. Wokoło wirowały martwe smugi światła latarni...

Ponuro i głucho szemrały czarne fale Swisloczy.

\* \* \*

Droga była okropna. Stopy grzęzły w lepkim, gliniastym błocie, które chciało je wsysać i więzić. Trzeba było sporego wysiłku na zrobienie każdego kroku. Zabawa więcej szedł po rozmokłej roli niż po drodze. Oczy miał przyzwyczajone do ciemności, lecz nawet o krok przed sobą nic nie mógł dostrzec.

Było późno. Chcąc koniecznie przejść granicę przed świtem, szedł bardzo prędko, chociaż ustawicznie się potykał o kamienie, wpadał do rowów i dołów, oślizgiwał się po gliniastych pagórkach i mokrej trawie.

Wokoło żywego ducha nie było... Ani głosu, ani światła. Tylko wiatr tu panował, uganiając się swobodnie po otwartej równinie... Pusto; nawet pies nigdzie nie zaszczeka...



Zabawa miał w lewej ręce latarkę elektryczną, w prawej rewolwer. Był gotów w każdej chwili oślepić przeciwnika błyskiem latarki i zasypać kulami z rewolweru.

Gdy człowiek, w zupełnej ciemności, przez dłuższy czas idzie naprzód, zaczyna go ogarniać jakiś senny bezwład i musi wstrząsami woli budzić w sobie uwagę. Można, idąc długo w takiej ciemności, widzieć sporo ciekawych rzeczy, wysnuć wiele oryginalnych myśli, prowadzić długie rozmowy z wyimaginowanymi osobami... Mózg kołyszany miarowo, monotonicznie, marzy samodzielnie, poza naszą kontrolą, a ciało podświadomie kieruje celowością ruchów. Uczucie to znane jest ludziom, którzy musieli pieszo wiele podróżować po nocach.

Zabawa długo schodził po pochylej drodze do wąwozu pomiędzy dwiema górami. Na dole była studnia. Odnalazł ją w ciemności. Ze sporym wysiłkiem wydobył „żurawiem” wiadro wody i długo pił, chociaż nie miał wielkiego pragnienia. Pił na zapas, bo wiedział, że dalej (prócz rowów i kałuż), aż do pogranicza, wody przy drodze nie ma.

Zaczął iść pod górę. Z wysiłkiem, krok za krokiem, wdzierał się po śliskiej pochyłości. Zrobiło się trochę widniej. Gdzieś tam wśród chmur wyzierały ciekawie gwiazdy. Z bliskiej odległości można było już odróżnić jaśniejsze kontury.

Z lewej strony, tuż przy drodze, wyłonił się z ciemności długi, drewniany budynek. Zabawa stanął... Był u szczytu wzgórza. Zbliżył się do budynku. Jedno okno było niezbyt szczelnie od środka zawieszono firanką i przez wąskie szpary przebijały się smugi światła. W środku było słychać głosy ludzkie.

„Co to może być?” - pomyślał Zabawa. Cicho zbliżył się do okna, chcąc zajrzeć przez szparę do środka. Wyczuł kolanem mokrą, śliską ławkę. Postawił jedną stopę na ławce i w tej chwili instynktownie poczuł tuż przy sobie czyjąś obecność. Zamarł w miejscu... Obrócił głowę na prawo. W tym samym momencie uderzył go boleśnie w twarz snop jaskrawych promieni latarki kieszonkowej. Z ciemności rozległ się głos:

- Stój! Ręce do góry!

Nie tracąc ani chwili, Zabawa wystrzelił trzy razy przed siebie, w to miejsce, skąd świeciła latarka, i skoczył w bok. Latarka potoczyła się na ziemię i zatapiając reflektor w błocie, oświetliła wąski krążek czarnej mazi. Błysnęła latarka Zabawy i natychmiast zgasła (wjej świetle zobaczył kłęczącego na ziemi, przy ścianie budynku, krasnoarmiejca z karabinem w rękach. Lufa była skierowana ku Zabawie). Zabawa skoczył w lewo i przykucnął - padł strzał karabinowy; ogień liźnął mrok nocy... Zabawa wystrzelił w tamtym kierunku jeszcze dwa razy... Posłyszał jęk. Cicho zrobił kilka kroków na środek drogi, chcąc odejść od budynku. W tym czasie niewidzialne w ciemności drzwi

z trzaskiem się otwarły i szeroki pas światła runął w mrok, przecinając ciemność nocy i drogę. Ukazali się w nich uzbrojeni ludzie. Zabawa, z jakąś sadystryczną przyjemnością, zaciskając zęby, wystrzelił do nich cztery razy. Wbił w rękojeść parabellum nowy magazynek, zarepetował rewolwer i cicho poszedł brzegiem drogi. W kilka sekund potem z tyłu rozległy się strzały, krzyki, a trochę później tętent koni...

Zabawa zszedł z drogi i poszedł przez pola, coraz bardziej się oddalając od traktu. Długo szedł na przełaj po okropnym bezdrożu. Od czasu do czasu patrzył na busolę, aby nie stracić kierunku na zachód.

Gdy zobaczył, że (według zegarka) do świtu pozostało nie więcej niż dwie godziny, skierował się ku północy, chcąc odnaleźć trakt, z którego zszedł poprzednio, kierując się na południe, a potem na zachód... Po godzinie ciężkiej, męczącej drogi odnalazł trakt. Zaczęło się rozwidniać. Do granicy miał jeszcze przeszło pięć kilometrów. Postanowił pójść do pobliskiego lasu i tam doczekać się zmierzchu, aby pod osłoną ciemności przejść do Polski, bo na razie innych dróg, poza traktem, za granicę nie znał.

Dzień spędził w lasach na północ od traktu. Chciało mu się bardzo spać, lecz nie znając dobrze okolicy, obawiał się, aby go nie dostrzeżono przypadkiem śpiącego, bo myślał, że po zajściu dzisiejszej nocy granica i pogranicze mogą być na tym odcinku silnie strzeżone i patrolowane... Włóczył się po lasach. Badał leśne ścieżki. Kilka razy wychodził na skraj lasu. Poczynił na mapie tego odcinka niektóre poprawki, bo dostrzegł na niej sporo niedokładności. Jadł orzechy, zbierał opóźnione maliny... Dopiero pod wieczór wyszedł znów na trakt.

W lesie było już ciemno, a na drodze i w polu dopiero zmierzch się rozpoczynał...

Gdy zbliżył się do „drugiej linii”, to zszedł w dół po szerokiej, krętej, porosłej młodymi jodłami pochyłości... Posłuchał, obejrzał, jak daleko wzrok sięgał, otwarte łąki i korzystając z każdej osłony w terenie, wyszedł na brzeg bystrej rzeczki. Długo szukał brodu. Spostrzegł w pewnym miejscu złamaną, starą wierzbę, przerzuconą przez wodę. Gdy po długiej obserwacji upewnił się, że nikogo w pobliżu nie ma, przeszedł na drugą stronę rzeczki i wkrótce znowu wszedł do lasu.

Powolnie posuwał się naprzód, uważnie chwytając uchem każdy szmer. Przeszedł kilka dobrze wydeptanych ścieżek pomiędzy granicą a „drugą linią”. Wskazywało to, że granica na tyłach jest również dobrze strzeżona... Badał uważnie wszystko dokoła. Za każdym krzakiem mogła być zasadzka, na każdym kroku czaiło się niebezpieczeństwo, w każdej chwili mogły go spotkać strzały...

Prawie godzinę zużył na przebycie niespełna wiorsty pomiędzy „drugą linią” a olbrzymim wąwozem, poprzedzającym dukt graniczny i granicę. Dłu-

go siedział pod starą jodłą, nad brzegiem wąwozu, słuchając pluskania wody w dole, gdzie przewijała się w kapryśnych skrętach rzeczulka. Wszędzie było cicho. Zaczął powoli zsuwać się po pochyłości. Kilka razy zatrzymywał się i nasłuchiwał... Wtem poruszył nogą kamień, który potoczył się w dół... Zabawa się zatrzymał...

W kilka sekund później rozległ się głośny plusk wody i prawie natychmiast... strzał, a po nim drugi. Rozległy się krzyki: „Stój!”. „Kto idzie?...”. „Stój, stój!”. Zabawa, korzystając z hałasu na dole, zwinnie się wdrapywał z powrotem po pochyłości wąwozu... Przemknął się ponad jego krawędzią o 200-300 kroków dalej, bliżej traktu. Przed nim znajdowała się szeroka, otwarta przestrzeń, stanowiąca dukt, którego środkiem przechodziła granica, a za nią widoczna była czarna ściana lasu... po polskiej stronie.

Jednym tchem przebiegł, w półzgięty, tę przestrzeń i znalazł się na granicy. Z tyłu w ciemnościach rozlegały się krzyki i strzały krasnoarmiejców, którzy polowali na nieistniejących tam przemytników.

- Zabawa doszedł do słupów granicznych, stojących na niewysokich kopcach, z godłami państwowymi i numerami na piersiach. Stały cicho, posępnie, jak zapaśnicy, mierzący w skupieniu swe siły przed rozpoczęciem walki. Stał między nimi i patrzył w kierunku czarnej ściany lasu na wschodzie. Wczorajsza noc i dzisiejszy dzień nauczyły go innymi oczami spoglądać na granicę, drogi ku niej i wszystko, co było z nią związane. Zrozumiał, że wielejleszt przed nim tajemnic, że długo jeszcze musi się uczyć, zanim będzie swobodnie czytać w tajemniczej księdze granicy i pogranicza. Bo na razie dopiero alfabetu zaczął się uczyć. Czuł się otoczony nieznanymi, chytrze ukrytymi wrogami... Podniósł do góry uzbrojone ramię i pogroził komuś niewidzialnemu, kryjącemu się w ciemnościach...

Zza lasu, jak złodziej zza płotu, wyjrzał jednym okiem księżyc... usiadł na czubku sosny. Obejrzał się wokoło... Nagle wzrok jego padł na granicę. Zobaczył widocznie coś strasznego, co go przeraziło. Chciał się schować, lecz było za późno, więc odepchnął się rozpaczliwie od wierzchołka sosny i nurrząc się w zimnych obłokach, popłynął w górę... Tam się schował za dużą chmurą...

W tym czasie, gdy Zabawa strzelał do krasnoarmiejców, w Mińsku, w pierwszym „podwale” Czeki kapitan Antosiewicz - „Kret” - zaczął się przy drzwiach swej celi, oczekując, żeby krasnoarmiejec, sprawdzający przed zmianą liczbę aresztowanych, je odemknął. W ręce miał spory kamień... Plan jego był prosty i śmiały; miał widoki powodzenia...

Na korytarzu trzasnęły jedne drzwi, drugie, trzecie... „Kret” się pochylił. Drzwi z hałasem odemknęto na oścież. Ukazał się w nich krasnoarmiejec

z dużą latarnią w ręce. W tymże momencie „Kret” skoczył naprzód. Ze straszną siłą rozbił jednym uderzeniem kamienia głowę żołnierzowi, który ciężko jak worek piasku runął na posadzkę korytarza, gubiąc latarnię i klucze. „Kret” wciągnął go do celi i zaczął zdejmować z niego płaszcz, czapkę i buty, aby samemu w nie się ubrać i wyjść na podwórze.

Gdy Zabawa ponownie strzelał do ukazujących się w drzwiach budynku uzbrojonych ludzi, „Kret” szedł z latarnią i kluczami, w przebraniu wartownika, w kierunku wyjścia z „podwału” Czeki. Minął ustawiony na korytarzu stół i dwóch drzemających przy nim żołnierzy. Nie zwrócili na niego uwagi.

Wyszedł na schody... W tym momencie u góry otwały się drzwi i ukazał się w nich zastępca komendanta Czeki, Baranów, w towarzystwie trzech czekistów i karnacza<sup>45</sup>. Szli w dół. Błysnęły latarki... „Kret” szedł do góry. Spotkali się w połowie schodów. „Kret” chciał przejść obok nich.

I Dlaczego schodzisz z posterunku? - zapytał Baranów.

-Ja zaraz... - odrzekł niewyraźnie „Kret”.

- Toż Kret! Stój - krzyknął karnacz. „Kret” chwycił za futerał, w którym był nagan, zawieszony na pasie czekisty; urwał go i zaczął pośpiesznie wyjmować rewolwer. Rozpoczęła się walka. Przybiegło jeszcze kilku czekistów. Wkrótce trzema wystrzałami z nagana dobito „Kreta”.

Tak skończył życie „Kret” - Antosiewicz - na czarnych, brudnych schodach „podwału” Czeki.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Wofkowszczyzna, 17 września 1922 roku*

Nie pisałem od 1 września, chociaż miałem tak dużo do powiedzenia. Znajomości moje wzrastają z każdym dniem. Byłem tylko trzy razy za granicą (dziś rano wróciłem z wywiadu), a nowych znajomych mogę liczyć na dziesiątki. Opowiem o nich później...

Dziś spotkała mnie przygoda na polskiej stronie. Wieczorem wyruszyłem na piechotę z Rakowa do Wofkowszczyzny. To blisko, wszystkiego 5 wiorst. 0 trzy wiorsty od Rakowa jest spora wieś, Buzuny. Gdy wszedłem do tej wsi 1 minąłem kilka chałup, z furtki pewnego podwórza wypadł duży, czarny pies i rzucił mi się do nóg, chcąc mnie ugryźć. Nie celując, wystrzeliłem do niego z brauninga, „siódemki”, którego miałem w kieszeni „do lewej ręki”. Pies ze skowytem wrócił na podwórze i tam zaczął przeraźliwie wyć.

Szedłem dalej. Noc była jasna. Księżyc wyszedł na niebo, ale we wsi było ciemno. Ulica tworzyła coś na kształt wąwozu, wzdłuż którego ciągnęły się

" Karaulnyj naczałnik - komendant warty.

ciasno pobudowane chałupy. Droga stanowiła nieprzerwane błoto, z którego gdzieś wystawały zastępujące chodnik kamienie i deski. Po nich zapewne mieszkańcy wsi skakali i balansowali, idąc ulicą. Ja początkowo przeskakiwałem z kamienia na kamień, lecz widząc, że to tylko przedłuża drogę, buty zaś i tak miałem ubabrane w błocie, poszedłem środkiem drogi. Byłem zdziwiony, gdy spostrzegłem, że źlejsz tam, gdzie są kałuże; tam było mniej błota... Więc człapałem na przełaj...

Z tyłu, w ciemności rozlegały się gniewne, podniecone głosy. Jacyś ludzie pukali do bram, drzwi i okien chałup, wywołując po imieniu: „Andrzej!, Dmitruk!, Foma!, Mikita!”. Zrozumiałem, że chłopci się zbierają gromadnie, aby urządzić na mnie polowanie. Poszedłem prędzej. O kilkadziesiąt kroków za mną ukazała się gromada ludzi.

Koniec wsi był blisko. Mnie o to właśnie chodziło. Mógłbym skrócić w prawo lub lewo, lecz nie chciałem przedłużać drogi i wchodzić w nieznanym mi teren. Wiedziałem, że na pagórku obok drogi, w pobliżu wsi, leży we wgłębieniu duży kamień. Było to dogodne miejsce do obrony. Liczyłem się z tym, że chłopci miejscowi mogą mieć broń palną, której sporo nakradli i pochowali w czasie wojny i rewolucji. W każdej wsi można było znaleźć kilka, a może kilkadziesiąt otriezów<sup>46</sup>.

Gdy wyszedłem ze wsi, z tyłu półksiężycem otaczała mnie gęsta tyralierka chłopów. Starali się przeciąć mi drogę. Rozlegały się głosy: „Ej, ty tam. Czeka- [ kaj no”. Szedłem coraz prędzej... Dotarłem do kamienia. Obróciłem się do mych prześladowców i wystrzeliłem po kilka razy z brauninga i parabellum. I Czekałem odpowiedzi, lecz żaden strzał z ich strony nie padł... Mogłem tylko dostrzec w polu sylwetki pochylonych, uciekających co prędzej do wsi chłopów.

Spostrzegłem dawno, że chłopci są okrutni i lubią się pastwić nad przyłapanym jeńcem, złodziejem czy zbiegiem, szczególnie jeśli jest ich dużo, j a ofiara słaba i bezbronna. Ale są wielkimi tchórzami, gdy napotkają siłę, odwagę, pewność siebie... Umieją albo się pastwić, jeśli ich przewaga jest oczywista, albo się podle płaszcą (wypatrując, jakby ugryźć), jeśli czują naj- ; mniejsze choćby ryzyko. Poniżają się i schlebiają w sposób wstrętny silnemu, nawet wówczas, gdy tego od nich się nie wymaga i chociaż to do niczego nie i prowadzi.

W Wołkowszczyźnie postanowiłem się przespać. Uraczono mnie, jak zwy- | kle, jajecznicą, która dziś wyjątkowo mi smakowała. Gdy wszyscy się rozeszli, zacząłem, nie zważając na zmęczenie, pisać dziennik.

Dziesięć dni temu, przed pójściem za granicę, miałem ciekawy sen. Sta- |łem samotny na olbrzymim polu, świeżo zaoranym w duże ciemne skiby. Zie- |

<sup>46</sup> Karabin z obcięcią krótko lufą i bez kolby.

nia była czarna. Niebo nade mną szare, mętne i tylko ponad horyzontem było trochę jaśniejsze. Ten jasny pas rozszerzał się coraz bardziej - niby pełził w górę i nagle, zza widnokregu, niby z jakiegoś dołu, wylał księżyc... Duży, jasny. Unosił się w górę bardzo prędko. Zatrzymał się... Wtem spostrzegłem, że księżyc ma czarne wąsy, zakręcone do góry a la Wilhelm II, czarne oczy i brwi. Spoglądałem zdziwiony na to zjawisko. Księżyc zaś ze złością patrzył mi w oczy, marszczył groźnie czoło i ściągał brwi. Było mi ciężko... Czułem się samotny i bezbronny. Gdy się obudziłem, pozostało mi po tym śnie jakieś przykre uczucie. „Pewnie ten wywiad nie ujdzie mi na sucho - pomyślałem. - Będzie jakieś nieszczęście”. Byłem prawie pewny tego. I otóż, wyobraźcie sobie, wszystko mi sprzyjało. Wcałe nie błądziłem. Żadnych przeszkód nie miałem. W Mińsku, Homlu, Bobrujsku wszystko było w porządku. Wróciłem też szczęśliwie. Ot wam i sny.

W Homlu znalazłem się na małej bibce, naturalnie z samogonem, którą ja opłaciłem. Było tam kilku wojskowych, dwóch cywilów - sowieckich urzędników - i trzy kobiety, urzędniczki jakiejś sowieckiej instytucji. Piły alkohol i żartowały, nie ustępując mężczyznom, a brutalniej się zachowywały niż pospolite prostytutki. Nadmienię, że były to urodziny mego konfidenta. Otóż tam, „w swoim kółku”, posłyszałem nowe kuplety, które śpiewał dość dobrze jeden z wojskowych. Przytoczę tu zwrotki, które pozostały mi w pamięci:

*Trocki jest general,  
Trocki jest polityk,  
Trocki i literat,  
Trocki jest i krytyk,  
Trocki wszystko umie,  
Trocki wszystko wie,  
Każdy ma głowę,  
Trocki ma dwie.*

Potem popisywała się śpiewem (więcej nie miała się czym popisywać) jedna z towarzyszek; brzydka, po męsku ostrzyżona i w 90% przypominająca mężczyznę. Śpiewała przy akompaniamencie gitary *Żenskoje rawnoprawił*<sup>47</sup>.

*Mania będzie komisarzem,  
komisarzem, komisarzem,  
Tania będzie sekretarzem,  
sekretarzem, sekretarzem.*

<sup>47</sup> Równouprawienie kobiet.

Na razie moja praca jest nudna i nieciekawa. Przygód niezwykłych nie ma - ani samolotów, ani łodzi podwodnych, ani karkołomnych pościgów, ani kilometrowych podkopów, ani prucia kas pancernych. Ja teraz inaczej na to się zapatruję. Ciekawym, jak to będzie dalej... Ludzie lubią, aby ich oszukiwano. Gloryfikują kłamstwo... Życie to nie kino, nie film i nie powieść sensacyjna. Tam mężczyzna, przebrany za pokojówkę, podsłuchuje wielkie tajemnice państwowe, a w życiu: w pociągach, urzędach, na dworcach 8 wszędzie nalepki: „Uwaga - szpieg podsłuchuje”. Czarna robota. I wiecie: tak czasem się namęczę za granicą, że postanawiam ostatecznie porzucić tę pracę, jako nieciekawą i niepopłatną; gdy zaś po powrocie i krótkim wypo czynku pomyślę o niej, to czuję miły dreszczyk w nerwach i znowu chce mi się co prędzej iść „na robotę”. Może mnie na razie bawi nowinka, a może... wciąga rutyna?...

Na dziś dość.

*Baranowicze, 20 września 1922 r.*

Ciekawa rzecz. Badano mnie dziś protokolarnie co do następujących kwestii: kiedy wróciłem poprzednim razem zza granicy (wskazać dokładnie datę i godzinę), na jakim odcinku przekroczyłem granicę z powrotem (wskazać numery słupów), czy znam agenta Piętrowa i czy z nim się spotykałem za granicą. Odpowiedziałem na te pytania dokładnie. Na pytanie o Piętrowie odpowiedziałem, że wiem o istnieniu takiego agenta i trochę o jego działalności, lecz nigdy z nim się nie spotkałem.

Dziwna rzecz. Co to znaczy? Nie jestem zaniepokojony, bo jestem w porządku i zawsze takim pozostanę (nie potrafię naraz dwom bogom służyć), ciekawi mnie tylko bardzo ta zagadka i muszę w przyszłości koniecznie ją rozwiązać. Tu nadmienię, że Piętrow jest jednym z najślynniejszych agentów naszego wywiadu. O jego przygodach za kordonem cuda wprost opowiadano... Piętrow jest z pochodzenia Rosjaninem. Był zasłużonym oficerem Czerwonej Armii, a po wojnie otrzymał stanowisko dowódcy odcinka straży granicznej. Był to człowiek energiczny, szczery, prawdomówny — każdemu „matkę-prawdę” w oczy rznął. Z tego właśnie powodu miał sporo wrogów, którzy starali się go oczernić przed wyższymi władzami. Piętrow był umiarkowanym kokainistą. Wódeczką też nie gardził. Miał swoje przysłowie: „Pij, a sprawę tnij”<sup>48</sup>. Otóż nieprzyjaciele Piętrowa tak pokierowali jakąś sprawą, że został aresztowany, będąc niesłusznie posądzony o większe nadużycia. Wiedząc, że kim ma do czynienia, nie czekał na wtrącenie się do sprawy sowieckiej sprawiedliwości, lecz zwiął z aresztu Pogranotriadu i przeszedł do Polski, uzyskując tu „prawo azylu”. Po pewnym czasie zaczął pracować w wywiadzie zakordono-

I Piej, da dzieło rozumiej.

wym. Pracował brawurowo... Gdy ja dopiero rozpoczynałem swą pracę, on był już słynnym agentem. Dorównywał mi w pracy tylko Jan Pieliński, który na wiosnę 1922 r. wpadł w pazury Czeki, na skutek zdrady jednego z najbliższych współpracowników. Tyle na razie wiem o Pietrowie.

Krąg moich znajomości w kraju również się zwiększył i mam, na przekór względom natury konspiracyjnej, kilku znajomych wśród agentów wywiadu zakordonowego. Nie będę o tym pisał, bo to nie ma bezpośredniego związku ze mną.

Gdy przyjechałem do Baranowicz, to ponownie się zatrzymałem u Władka Kalisa. Nie zdążyłem się doprowadzić do porządku, gdy przyszedł Pułkownik.

| My na gorie wsiem burżujam mirowoj pożar razdujem® - ryknął od progu. I No, jakże tam idzie „pogłębianie rewolucji”? Czy biblioteki wszystkie spalili? Fortepiany, lustra wszystkie potłukli?

Dałem mu dwie „ósemki” machorki. Ucieszył się bardzo.

-Jedna machorka tam coś warta - mówił napychając „krupką” krótką fajeczkę - no i tytoń... reszta: świństwo.

Władek poszedł po wódkę, a ja pokazałem Pułkownikowi fotografię Lizki.

- Mówiłeś, że jesteś dobrym fizjonomistą, więc określ mi charakter tej „cyganki”. Ciekawy jestem wysłuchać opinii specjalisty.

Długo i uważnie się przyglądał podobnie Lizki, to przybliżając, to oddalając ją na długość ręki.

-Jakiego koloru włosy? - zapytał po chwili.

-Jasne.

-Widzę, że jasne, lecz chodzi mi o odcień.

- Wpadają w złoty kolor.

- A oczy?

- Też złotawe.

- Kocie?

! Tak... jest w nich coś... tygrysięgo...

- Hm... Cóż ja ci powiem? Sam chyba widzisz najlepiej: oczy z lekka przy-mrużone, tajemnicze, minka też, a cała jej tajemnica w tym, że ma stu kochanków, a o sto pierwszym marzy...

-Ależ to dziewczyna... prawie dziecko.

Pułkownik się zaśmiał.

-Ja ci nie opowiadam: co było, jest albo będzie. Ja nie wróżka. Ja ci wskażuję skłonności i określam charakter z jej powierzchownych rysów. Gra tu rolę, przede wszystkim, moja intuicja. Może być dziewicą, a nosić w sobie dużą rozwydrzoną rozpustnicę. To kurtyzana... Ma szacunek tylko dla siły

" My na będę burżujom pożar światowy rozdmuchamy; urywek z sowieckiej piosenki.



i bata, a dla łagodności - pogardę. Brutalność jej zaimponuje, delikatność ją ubawi... Należy do grupy kobiet praktycznych, które nigdy nie przywiązują się sercem, lecz tylko na krótko ciałem i na dłużej rozsądkiem... Jak kot: ciepło, wygodnie - mruczy, grzbiet wygina, ogon w górę; zimno, głodno, mokro - łapki otrząsie, parsknie... i adieu, Fruziu... Lubi blichtr, pozę, szumne słowa, a przede wszystkim siebie, siebie, siebie... Swoje oczy, twarz, włosy, wargi, całe ciało, które za boski dar dla ludzkości uważa. Największą przyjemnością jej jest znajdować się wśród uwielbiających ją mężczyzn, czuć na sobie ciężkie, zmysłowe, drapieżne, mętne od chuci spojrzenia samców. Świat istnieje dla niej po to tylko, aby być tłem dla jej piękności, mężczyźni - aby ją podziwiać i jej pożądać... Wszystko weźmie za czystą monetę... każde pochlebstwo...

- Starczy - rzekłem do niego trochę urażony. - Niektóre określenia jej charakteru są bardzo trafne, lecz zbyt ogólnikowe.

- Słusznie - powiedział - aby wyprowadzić sądy szczegółowe, trzeba bardzo długo i w rozmaitych okolicznościach obcować z człowiekiem. Ale są typy zasadnicze i prawa ogólne, dające nam możliwość wzajemnie się określić. W tym wypadku typ bardzo jaskrawy i... przepraszam: płytki, jak płytka, ogrzana słońcem w małej zatoce rzecznej woda; dalej w rzece są głębie ciemne, nurty nieznanne, zimne, tajemnicze, a przy brzegu ciepła woda, przyjemna dla ciała, rozleniwiająca, lecz niedobra w smaku i często szkodliwa.

Wrócił Władek i rozmowa weszła na inne tory... Zawsze interesowały mnie sądy Pułkownika o ludziach, bo były bardzo oryginalne, szczere, i a często nadzwyczaj trafne. Ja dzielę ludzi na bardzo nieliczne kategorie i to — niestałe... Widzę człowieka, wydaje mi się kulturalnym, szlachetnym, i oryginalnym. Zapoznając się z nim bliżej - jest płytki, pospolity, nudny; jeszcze bliżej go poznając - jest słowny, towarzyski, bezinteresowny. To trwa ; bardzo długo i coraz innym wydaje mi się ten sam człowiek. Co się tyczy mego stosunku do ludzi w ogóle, to określe go krótko: u mnie człowiek, bez względu na narodowość, wyznanie, wykształcenie, stanowisko, majątność, wygląd, jest wtedy wartościowy, jeśli żyjąc w pewnym środowisku nie jest dla tego środowiska szkodliwy, ale w miarę sił i zdolności stara się być dla niego pożytecznym. To zdaje mi się być najsprawiedliwszą oceną wartości człowieka, w stosunku do grupy, do której bezpośrednio należy.

Spostrzegłem, że mam coraz większy pociąg do robienia burd. Doszło do tego, że zacząłem prowokować do awantur nawet po trzeźwemu. Pułkownik, który był świadkiem pewnej awantury, jaką niepotrzebnie urządziłem na tynku, powiedział trochę później, że chce mnie zapoznać z pewnymi kobietami. „Nie takimi jak twoja Lolka - dodał po chwili, mając na myśli moją przygodną kochankę - tylko z takimi, które mogą korzystnie wpłynąć na cie-

bie, bo zaczynasz robić się dziki". Wieczorem ponowił propozycję pójścia w to, jak się wyraził, lepsze towarzystwo. Władek go poparł. To mnie zgniewało: „lepsze towarzystwo, lepsze towarzystwo”, a ja wolę być w gorszym.

Wieczorem poszedłem do Lolki i w hotelu, w którym stale mieszka, taki skandal urządziłem, ze strzelaniną, rozbijaniem sprzętów i biciem szyb, że sprawa została uznana za godną umieszczenia w protokole policyjnym, skierowanym do mego szefa... Wszystko mi jedno...

U Lolki zabiłem niechący jeża. Ona tak płakała i mnie żal go bardzo. A było to tak. Pokłóciliśmy się o głupstwo. Ona w łóżku zaczęła demonstrować nogi, pytając zalotnie: „Co, ładne?”. Ja skrzywiłem się: „Co tam ładnego? Łapy jak łapy”. Zaśmiała się i rzekła: „A czemu tak się garniesz do nich?”. Nie wiem, dlaczego rozdrażniło mnie to. Od słowa do słowa rozpoczęła się kłótnia. Powiedziałem jej jakieś głupstwo. Oburzyła się strasznie i zaczęła spychać mnie z łóżka. Wstałem, ściągnąłem kołdrę, rozesłałem ją na podłogę, położyłem pod głowę kilka książek i nakryłem się swoim płaszczem. Omal nie usnąłem, gdy posłyszałem, że koło mnie coś łazi i porusza płaszczem; pomacałem -jeż; kłuje łotr. Odepchnąłem go. Znowu lezie... Był to rozpieszczony ulubieniec Lolki. Zgniewałem się; znalazłem na podłogę pantofel Lolki i uderzyłem kilka razy w ciemności na chybił trafił, chcąc odstraszyć jeża, aby nie przeszkadzał mi spać. Nie przypuszczałem wcale, że można go w ten sposób zabić. I nigdy by to się nie stało, gdyby biedak nie wierzył zbyt łatwo ludziom. Nie zwinął się w kłębek i zapewne jedno z moich uderzeń trafiło go w nos. Rano się obudziłem od płaczu Lolki. Zerwałem się na nogi. O co chodzi? Patrzę, a jeż leży nieruchomo. Biedaczysko nie żył. Nie mogłem pocieszyć Lolki. Może to był jedyny, bezinteresowny jej przyjaciel. Muszę się koniecznie dowiedzieć, gdzie można kupić jeża... Żal Lolki, żal i jeża. Ile złego ludzie zwierzętom robią. Jedni przez okrucieństwo, drudzy przez głupotę, inni przez nieuwagę. Ja zwierzęta lubię bardzo i zrobiłem to przez nieuwagę.

*Lida, 24 września 1922 r.*

Jestem trzeci dzień w Lidzie. Obiecałem braciom Snowskim przyjechać do nich i słowa dotrzymałem. W Baranowiczach było mi nudno. Lolka na pewno płacze po Jeżyku (tak nazywała jeża), a Pułkownik i Władek zapewne staraliby się zaprowadzić mnie w „lepsze towarzystwo”, a ja tego nie chcę... Nie umiem ani dobrze się ubrać, ani ładnie mówić; nie mam dobrych manier; mogę głupstwo palnąć. Po co mi to?... Przecież nie wszyscy są wyrozumiali... Więc - na pociąg i jazda do Lidy. Bracia Snowscy ucieszyli się bardzo moim przybyciem. To są moi wypróbowani przyjaciele, a z Jankiem miałem nawet wspólne, dość ciekawe przygody.

Bawimy się po całych dniach, a później idziemy na wieczorki, gdzie się zbiera wesoła, niepretensjonalna młodzież. Gdy jest nudno poprawiamy humory wódką... Ja zalecam się do córki gospodarza, u którego oni mieszkają, Heli. Przynoszę dla niej cukierki, chodzę do kina, czule ściskam łapki... A to wszystko - nie wiem, po co... Aby zrobić coś, co inni robią.

Dni lecą. Tylko od czasu do czasu przed oczami przesuną się dzikim kowodem sylwetki ludzi „stamtąd”. Wspomni się granica, robota, którą wkrótce dalej poprowadzę. I znowu - pić, bawić się, póki żyw. Mam niezły głos i lubię śpiewać. Często, podпиты, biorę do rąk gitarę i śpiewam piosenki - przeważnie więzienne... I nie sztucznie skomponowane szlagiery, lecz stare, wyrosłe po katorgach, „ostrogach”, „centralach”. Spostrzegłem, że najczęściej się podoba jedna, której parę początkowych zwrotek przytoczę:

*Wspomnę, wspomnę ja,  
Jak mnie mać lubiła.  
I nie raz, i nie dwa  
Ona tak mówiła...  
Ech! - mówiła mi mać:  
Nie chodź ze złodziejami...  
Pójdiesz synu na Sybir  
Skuty kajdanami.*

Jeśli byłem pijany, a słuchaczy miałem niewybrednych, to śpiewałem dobrze, bo wkładałem w piosenkę wiele uczucia. Helka się zachwyciła tymi pieśniami i koniecznie prosiła, abym przepisał dla niej jedną, która szczególnie jej się podobała *Daleko w kraju Irkucka*.

Czasem tak mi smutno, tak nudno, tak ciasno. Chciałbym albo bić, łać, miażdżyć wszystko, co na drodze stanie, albo zrobić coś dobrego dla wszystkich ludzi. Coś takiego, co by ich szczęśliwymi uczyniło. I żeby mi za to nie dziękowano, żeby to było całkiem naturalne i bezinteresowne. Kiedyś, mając sam lat 13, wyciągnąłem z wody na Berezynie topiącego się Żydka. Kilku chłopców patrzyło na to, a on krzyczał i chwycił się wody rękami. Zrobiło mi się zimno, potem gorąco... Jego okropny strach tak mnie przeraził, że rzuciłem się z pomocą mu w wodę, żeby go od tego strachu wybawić... Tak ja widzę to teraz z odległości lat. Inni może dlatego nie pośpieszyli mu z pomocą, że nie odczuli tego - tej męki. Pływałem dobrze, ale on tak mnie chwycił, że ledwie się trzymałem na wodzie. Inni chłopcy patrzyli na nas... Oprzytomnieli; chwycili ze stosów kilka desek (w pobliżu był tartak) i rzucili się nam z pomocą. Gdy Zydek oprzytomniał i ubrał się, to jakoś niezdarnie dziękował nam... Odeszliśmy prawie zawstydzeni... Za duże przysługi <

nie należy dziękować, bo są szczęściem dla tych, którzy je oddają; to okupuje ich istnienie i podnosi wartość.

Trudno, bardzo trudno żyć dobrze na tym zwariowanym świecie. Jedni nie chcą, inni chcą, a nie mogą, reszta wcale nad tymi rzeczami się nie zastanawia. Może najlepiej patrzeć na wszystko według recepty Pułkownika: przez pryzmat flaszki alembiku.

*Raków, 30 września 1922 r.*

Wczoraj rano przyjechałem do Wołkowszczyzny. Przywitali mnie, solidarnie kłaniając się, trzej bracia Kalinowscy. Naturalnie, nakarmili jajecznicą i oznajmili nowinę:

- A u nas bolszewicka banda przeszła.

- Gdzie, kiedy? # pytałem zdumiony, bo nic dotychczas nie słyszałem o działalności band dywersyjnych na tym odcinku.

- W Buzunach przeszli... Sołtysowi psa postrzelili... Zrozumiałem, że są to następstwa mego starcia z chłopami, które się zdarzyło, gdy wracałem poprzednim razem zza granicy i w drodze do Wołkowszczyzny przechodziłem przez wieś Buzuny.

- Czy wielka banda? - zapytałem Kalinowskich.

- Przeszło dwadzieścia chłopów - rzekł Bronisław.

- Z bombami, wintówkami<sup>50</sup>, lewoltwertami - dodał Józef. - Strzelali do buzunowskich chłopów... Chcieli wieś spalić...

Tego wieczora nastąpiło pewne zajście, które mogło mieć bardzo przykre następstwa. Mając na względzie to, że się zatrzymam w Wołkowszczyźnie, przywoziłem kilka flaszek spirytusu. Urządziłem libację i napompowałem wódką całą rodzinę, nawet kobiety; sam również byłem pijany. Przed wieczorem najmłodszy z braci, Adam, wywołał mnie na dziedziniec, w „bardzo ważnej sprawie” i oznajmił z tajemniczą miną:

- U Mielechowicza w piwnicy siedzą zakuci w kajdany ludzie. Bije ich, głodem morzy... Płaczą i jęczą we dnie i w nocy. Żeby pan ich uwolnił... Pan ma broń. Pan może to zrobić...

Oburzyłem się bardzo i kazałem Adamowi, który mówił już, że Mielechowicz to komisarz bolszewicki, prowadzić mnie tam.

Mielechowicza dotychczas nie znałem. Jak przez sen pamiętam, co się działo dalej... Znalazłem się w jakimś mieszkaniu, gdzie zastałem starszego mężczyznę, wyglądającego bardzo poważnie.

- Ręce do góry! - skomenderowałem od progu.

Wykonał rozkaz. Wyprowadziłem go na podwórze, postawiłem pod wrotami olbrzymiej stodoły i odmierzyłem 20 kroków. Zapewne chciałem go

<sup>50</sup> Karabinami.

doraźnie rozstrzelać... Jaka szalona myśl może powstać w otumanionym alkoholem mózgu? Koło mnie krzątały się jakieś dziewczyny (na pewno córki Mielechowicza) i błagały o darowanie życia ojcu. Zdołały odprowadzić mnie na bok i schować ojca.

Nazajutrz rano wyruszyłem do Rakowa. Z Adamem nie rozmawiałem więcej, bo wstałem bardzo wcześnie. Nie mogę zrozumieć: po co zrobił taką hecę, która mogła mieć fatalne skutki dla mnie i dla Mielechowicza. Nie można wytłumaczyć go nawet tym, że był pijany. Muszę w przyszłości tę sprawę wyświetlić.

Jestem w zajezdzie u Małki, starszej już, ale bardzo obrotnej Żydówki. Wyczyściłem broń i uporządkowałem rzeczy. Mam 15 gramów kokainy „Merc-ka” w trzech małych, żółtych flaszeczkach po 5 gramów każda. To nie dla mnie. Ja w Mińsku, za czasów okupacji niemieckiej, próbowałem zażywać kokainę, lecz wkrótce porzuciłem to.

Kończę. Jutro idę „tam”.

#### IV. „UWAGA - SZPIEG PODSLUCHUJE”

*Ja jestem taki (tu wydobywa bilet), co może wtrącić  
do więzienia ciebie, twego konia, twój wóz i całą  
twoją rodzinę...*

*W. Gomulicki, Przy słońcu i przy gazie*

1

Było bardzo cicho; tak cicho, że najmniejszy szmer można było posłyszeć z wielkiej odległości.

Zabawa, po przekroczeniu granicy i przejściu wąwozu i rzeczulki, zrozumiał, że może łatwo wpaść, jeśli pójdzie dalej w butach. Odcinek ten był gęsto obsadzony przez straż graniczną i dobrze pilnowany na tyłach, a w lesie trudno było się ustrzec, by nie złamać suchej gałązki, która pękała pod stopą - jak się zdawało skradającemu się po lesie człowiekowi - z hukiem wystrzału. Zabawa usiadł, zszuł buty i zasadził cholewy z tyłu za pas, obcasami do góry. Dopiero wtedy poszedł w skarpetkach dalej, nie robiąc żadnego hałasu.

„Teraz nie posłyszają i chyba wtedy dopiero mnie dostrzegą, gdy na kark im wleżą” - myślał Zabawa, zadowolony ze swego pomysłu.

Gdy minął kilka ścieżek łącznikowych i był już w pobliżu „drugiej linii”, zaczął odróżniać dolatujące z dala szmery i kroki idących ludzi. Przysiadł i nasłuchiwał przez kilka minut.... Kroki nieustannie posuwały się naprzód... ku niemu. Od czasu do czasu pękała gałązka pod stopami idących ludzi. „Może przemytnicy?” - pomyślał, lecz zaraz odrzucił to przypuszczenie, bo wiedział, że przemytnicy w taką pogodę w ogóle nie chodzą za granicę, a jeśli idą, to przez pola, po otwartych terenach, gdzie można się posuwać nie robiąc hałasu i gdzie w razie niebezpieczeństwa lżej uciec. Zresztą szmery się rozlegały na wielkiej przestrzeni. Zabawa nie wiedział, że to sowiecka straż graniczna odbywała nocne ćwiczenia. Zaczął się cofać ku granicy, ale wkrótce spostrzegł, że i stamtąd posuwają się niewidzialni w ciemności ludzie. Zrozumiał, że się znajduje pomiędzy dwiema tyralierami, idącymi sobie na spotkanie. Przypomniał sobie, że kilkanaście minut temu słyszał na granicy trzy strzały, a na „drugiej linii” - gwizdki... Chciał początkowo wleźć na większe drzewo i tam zaczekać na przejście tyraliery, lecz pomyślał, że gdyby spostrzeżono jego obecność na drzewie, byłby zgubiony, bo nie mógłby nawet walczyć. Tymczasem hałas kroków i trzask gałęzi zbliżały się ku

niemu. Poszedł na prawo w gęstwinę młodych jodeł; w pobliżu nich również rozlegały się szmery... Cofnął się... Stał obok krzaków... Nagle przyszedł mu do głowy pomysł, który natychmiast wykonał: położył między krzakami latarkę kieszonkową, zapalił ją i tak pozostawił, świecącą reflektorem do góry. Potem odszedł i o kilkanaście kroków stamtąd ukrył się w krzakach. Przygotował broń.

Szmary, hałas kroków, trzask gałęzi coraz wyraźniej rozlegały się wokóło... A tam dalej jaskrawa fontanna światła biła bezczelnie w górę, wyrwijąc z mroku ciemne pnie drzew i czarne łapy jodeł. Musiała być widoczna z wielkiej odległości... Gdzieś zadźwięczał gwizdek. Rozległ się hałas pośpiesznych kroków. Następnie w pobliżu latarki rozległy się podniecone głosy:

- Co to jest? Kto świeci?

- Zgasić światło! Co za „sukinsyn”?

Tuż przy Zabawie przeszedł człowiek w długim szarym płaszczu, z karabinem gotowym do strzału. Zabawa skierował ku niemu lufę parabellum.

W pobliżu latarki zaczęli się skupiać ludzie. Rozlegały się brutalne przekleństwa. Zabawa wstał i po cichu poszedł w kierunku „drugiej linii” - na wschód. Szedł i śmiał się bezdźwięcznie. Żał tylko mu było latarki. „Nic to myślał - odsłużyła swoje”. Buty włożył dopiero za „drugą linią”, za rzeczulką.

\* \* \*

W połowie drogi pomiędzy Rakowem a Mińskiem rozłożyło się po obu • stronach traktu Stare Sioło. Zabawa wiedział, że tam może napotkać jaką! I „urzędową osobę”. Tylko po raz pierwszy, idąc za granicę, szedł drogą przez sioło, potem omijał je, obchodząc polami. Tym razem ominął je z lewej strony, idąc po górzystej pochyłości.

Była godzina jedenasta. Noc była tak samo ciemna jak z wieczora, lecz oczy Zabawy, przyzwyczajone do ciemności w lesie, lepiej odróżniały teren, bo w polu było trochę jaśniej. Wyminął Stare Sioło i wyszedł znów na trakt. Tu droga była wygodniejsza. Poszedł prędkiej. Miał do lasu prawie kilometr; las ten ciągnął się do czternastej wiorsty. Stamtąd, aż do Mińska, droga szła po otwartych ; polach i była tylko gdzieniegdzie obsadzona drzewami i krzakami. Miejscami było widać lasy, które się łączyły i stanowiły część lasu Archijerejskiego.

Zabawa pośpiesznie szedł naprzód, wybierając suchsze miejsca, bo droga, po ostatnich deszczach, składała się niemal z samych kałuż... W pewnym miejscu zdawało mu się, że na prawo od drogi coś się poruszyło. Stał. Długo i uważnie patrzył w tamtym kierunku, lecz nic nie dostrzegł.

„Przywidziało mi się” - pomyślał i pośpiesznie ruszył dalej. Gdy zbliżył się do tego miejsca, gdzie - jak mu się zdawało - dostrzegł jakiś ruch (było to po pra-

wej stronie drogi, a on szedł po lewej), zobaczył, z odległości równej szerokości traktu, dwa słupy. Zaśmiał się wewnętrznie ze swej pomyłki, jednakże, aby mieć zupełną pewność, w kilka susów przeskoczył po błocie na drugą stronę traktu i tuż przed sobą zobaczył dwóch mężczyzn w długich, szarych płaszczach.

- Ręce do góry! - krzyknął Zabawa, kierując ku nim lufę rewolweru.

Posłusznie podnieśli w górę ramiona.

„Żołnierze, czy przemytnicy?” - myślał Zabawa, zbliżając się nieco bliżej ku nim.

- Klękniij! - powiedział.

Posłusznie wykonali rozkaz, klękając w błocie.

| Broń macie? - pytał Zabawa.

-Nie... nie ma...

- Kto wy, skąd?...

-My... my, towarzyszu, spod Kuczkunów...

- Przemtynicy? - srogo badał Zabawa.

-Towarzyszu, puśćcie nas... Damy dziesięć rubli w złocie.

- A co macie w plecakach?

-Skórki...

- Futra? Tak?

-Tak... mardery, fejoły<sup>61</sup>.

IZdejmuj plecaki!... Rzucaj!

Pośpiesznie zdjęli plecaki i rzucili je w błoto.

-Towarzyszu, weźcie dwadzieścia rubli i puśćcie nas! Nigdy już więcej nie pójdziemy! - prosili go przemytnicy.

-Nojazda! Uciekajcie! Ale żywo!...

Nie potrzebował im tego powtarzać ani ponaglać ich. Zniknęli z drogi, jakby się rozpuścili w ciemności. Zabawa podniósł porzucone w błocie worki, zarzucił je na plecy i poszedł w kierunku lasu. Tam zszedł z drogi i rozwiązał worki. Namacał ręką ciepłą, puszystą sierść.

Cóż z tym zrobić? - pomyślał.

Słyszał o tym, że skórki noszą z Sowietów do Polski, zarabiając na tym 100-200%, więc nie opłacało mu się nieść ich do Mińska. Wpakował je z trudem do jednego worka i poszedł w głąb lasu. O sto kroków od traktu włożył wysoko na gęstą jodłę i uwiązał worek pomiędzy gałęziami. Potem poszedł dalej. Zabierze w powrotnej drodze.

„Żeby tylko nie znalazł jakiś diabeł” — pomyślał po pewnym czasie. Staął. Chciał wrócić, żeby zbadać, czy dobrze schował swą zdobycz, ale przypomniał sobie, że nie ma latarki. Machnął ręką i poszedł dalej.

" Żargon przemytników (jak i żargon złodziejów) jest bardzo ubogi i pożyczka wyraża z języka żydowskiego; mardery - kunice; fejoły - altajskie wiewiórki, popielice.



W jednym rogu dużej sali stała ogniotrwała szafa, której drzwiczki były półotwarte. Przed nią stał duży stół, zavalony papierami, a przy stole siedział starszy oficer sztabowy Czerwonej Armii. W pobliżu stały olbrzymie szafy, zasłaniające całą ścianę, na której wysoko pod sufitem były zawieszony portrety Marksa, Lenina i Trockiego. Spomiędzy nich czerwoną plamą krwi była w oczy pięcioramienna gwiazda. Ze ścian tłustym drukiem krzyczały plakaty „Uwaga - szpieg podsłuchuje”. „Załatw sprawę i żegnaj!”. „Cała władza Sowie- tom”. „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. W innych częściach sali pracowało jeszcze trzech wojskowych, a przy drzwiach zakłócała ciszę maszynistka.

Oficer, który siedział przy ogniotrwałej szafie, skończył czytanie jakiegoś papieru i podniósł na Zabawę pytający wzrok. Zabawa miękko się uśmiechnęła i pochyliła głowę naprzód.

- Towarysz, jeśli się nie mylę, Morozow?

- Tak.

Zabawa westchnęła, uśmiechnęła się jeszcze weselej i przyciskając prawą ręką do uda parabellum, rzekł przyciszonym głosem:

- Pozdrowienie od żony i córeczki... Rośnie córuchna, rośnie i ślicznie wygląda... do tatusia tęskni. Ojciec też pozdrawia...

Ciemne oczy oficera wyrażały niezwykle zdumienie - z niemym zapyta- niem patrzył w twarz Zabawie. A ten jeszcze weselej mówił, mrużąc zimne, zdecydowane oczy.

- Liścik mam dla towarzysza... Prosimi doręczyć...

- A gdzie tow... - nie dokończył słowa - widział ich?

- Gdzie?... Towarysz jakoś dziwnie pyta... Wiadomo, gdzie... Prócz liści- ku mam i inne polecenia... ba-ardzo cieka-we! Ale chciałbym na osobności, bo to niby sekret... sprawy rodzinne... Jeśli towarzysze ma czas, to poszliby- śmy gdzieś...

Oficer, w stopniu kombata<sup>52</sup>, nerwowo wstał. Zebrał część papierów i zamknął je w szafie ogniotrwałej. Resztę papierów schował w szufladach stołu. Zwrócił się do jednego z wojskowych, siedzących przy oknie:

-Jeśli ktoś przyjdzie, to wy, towarzyszu, załatwcie. Albo niech wstąpi jutro... Mam pilną sprawę...

Tamten w odpowiedzi skinął głową i czytając jakąś książkę, dalej gryzł ze smakiem ołówki.

Wyszli na olbrzymi dziedziniec, a stamtąd schodami w górę, na pierwsze piętro, kombat wprowadził Zabawę do mieszkania, składającego się z dwóch dużych obficie, lecz bez smaku umeblowanych pokoiów.

<sup>51</sup> Kombat - komandir batalionu, szarża równorzędna majorowi.

- Proszę siadać - wskazał Zabawie wyplatany, trzcinowy fotel.
- Zabawa podała mu wypełnioną drobnym pismem kartkę papieru.
- To jest list od pańskiej żony.

Kombat skwapliwie wziął podany mu zabrudzony papier i, marszcząc brwi, czytał drobne, niewyraźne pismo. Zabawa uparcie patrzył mu w twarz... Wskazujący palec prawej jego ręki spoczywał na cynglu rewolweru.

- Pan był u nas?

- Byłem.

- W mieszkaniu?

- Tak... Pan pewnie chce znać niektóre szczegóły? - uśmiechnął się Zabawa, zgadując myśl kombatą, który na pewno nie dowierzał temu, że on był w mieszkaniu jego rodziców w Polsce, i obawiał się podstępny.

- Tak... Dawno nie byłem w domu! Dawno...

- Mieszkanko ładne... od frontu... cztery pokoje. Widziałem pański gabinet i konia z lanego żelaza, na biurku... I pański paszport, którym pan się posługiwał za caratu. Ciekawy jestem: co mi pan powie o treści tego listu?

- Tu piszą, żebym dopomógł panu w tym, czego pan potrzebuje. Kładą na to nacisk.

- Właśnie... Potrzebne mi są pewne informacje... Wojskowe... Rozumie pan?

- Skąd ja mogę mieć pewność, że pan...

- Nie czekista? - dokończył Zabawa.

- Tak, nie czekista? - potwierdził kombat.

IA moje informacje?...

- Ten jegomość, który był u nas, mógł być przyłapany i...

- ...i wszystko wyśpiewał. Tak? A ja przysłany zamiast niego.

- Pan prędko się orientuje!

I To właśnie wskazuje, że nie jestem czekista. Im własnej orientacji mieć nie wolno... Może pan pozwoli szklankę wody!

"8f Zaraz.

Kombat wyszedł do następnego pokoju i dzwonił tam szklankami. Zabawa prędko wyjął ze stosu książek na stole gruby zeszyt. Rozłożył go i wyrwał jedną kartę w ten sposób, aby przy grzbiecie pozostał wąski pasek postrzępionego papieru. Kombat wkrótce wrócił i podał Zabawie pełną po brzegi szklankę. Ten niechętnie wypił ciepłą niesmaczną wodę.

- Może jeszcze?

- Nie, dziękuję. Wróćmy do naszej rozmowy. Chodzi mi przede wszystkim o to, aby pan się upewnił w tym, że ja jestem ja, a nie żaden tam czekista! - rzekł Zabawa. - Przypuszczam, że pan dotychczas żadnych grzechów na sumieniu nie ma. A gdyby pan je miał, to Czeka takimi metodami nie po-

sługiwałyby się, bo to mogłoby pana spłoszyć. To logiczne, co?... Przede wszystkim w razie podejrzenia zaczęłoby pana śledzić. Czy tak?

- Tak...

- A gdyby chodziło o sztuczny dowód pańskiej winy, to wystarczyłoby tej oto kartki. - Zabawa pokazał mu wydartą przed chwilą z kajetu kartkę papieru.

- Nie rozumiem.

- Nie rozumie pan? Niech pan patrzy. Zabawa wyjął - ze stosu książek zeszyt i przymierzył w nim wyrwaną kartkę.

- Pasuje? - zapytał z uśmiechem.

- Tak.

- Otóż, mógłbym wypełnić tę kartkę znanymi mi informacjami, pochodzącymi rzekomo od pana. Mieszkanie znam. A jeśli dołączyć do tego list z Polski, to czy są potrzebne dla Rewtrybunału<sup>53</sup> lepsze dowody pańskiej winy?

Kombat długo badawczo patrzył w oczy Zabawie, a potem westchnął i powiedział cicho:

- Dobrze... Zaryzykuję... Będziemy mówić otwarcie.

Był późny wieczór, gdy Zabawa wyszedł z gmachu, w którym się mieści sztab V Korpusu w Mohylewie. Wraz z nim wyszedł kombat. Był spokojny, a nawet wesoły. Po dłuższej rozmowie z Zabawą gotów był na wszystko się zdecydować... Zabawa roztoczył przed jego oczami wspaniałe perspektywy na przyszłość i kombat gotów był uważać za wyjątkowo szczęśliwą tę okoliczność, że jemu właśnie ta praca się trafiła. Tak się zapalił do roboty, że zaczął nawet samodzielnie dawać projekty pracy. Zabawa go hamował.

- Powoli. Nie tak gorąco! Będziemy pracowali jak wytrawni konspiratorzy, a nie jak dzieci. Musimy obliczyć każdy krok, przewidzieć każde niebezpieczeństwo, bo wpaść nam nie wolno... Co się tyczy mnie, to może pan być spokojny - ja nie wpadnę! Przynajmniej żywego mnie nie wezmą, a gdyby to ja się jakimś cudem stało, to może pan być pewny swego bezpieczeństwa. Ja nie jestem z tych, z których można coś wydostać nawet biciem i znęcaniem się.

- Kiedy zobaczymy się następnym razem?

- Za dwa tygodnie... Jeśli będę pisał do pana, to - jak umówiliśmy się - zysyrem. Klucz pan pamięta?

- Tak.

- Więc żegnam. Proszę uważać na wszystko.

- Szczęśliwie!

Mocno uściśnęli sobie dłonie i Zabawa poszedł w kierunku przylegającego do Dniepru przedmieścia. Miał tam znajomych, do których zeszyłm razem przywiózł list od krewnego z Bobrujska. Zaprosili go w czasie przyjazdów do Mohylewa, aby mieszkał u nich. Zabawa teraz skorzystał z tego zaproszenia.

<sup>53</sup> Rewolucyjny Trybunał I równorzędny naszemu sądowi okręgowemu.

Była to liczna rodzina zubożałej inteligencji, która ledwie mogła się żywić, korzystając z pomocy krewnych ze wsi.

3

Gdy Zabawa wszedł do mieszkania państwa Skalskich, to przede wszystkim zwrócił uwagę na mężczyznę lat 35, wysokiego wzrostu, o ciemnych oczach i wschodnich rysach twarzy, niedbale rozpartego na krześle przy stole. Miał na sobie czerkieskę i nie zważając na to, że znajdował się w mieszkaniu, nie zdjął z głowy wysokiej, załamanej na bakier barankowej czapki z czerwonym wierzchem. Na czapce miał małą, gubiącą się w sierści, emaliowaną czerwoną gwiazdkę... Modną wówczas w Sowietach.

„Co za diabeł” - myślał Zabawa, witając się z młodym Włodzimierzem Skalskim i dwiema starszymi siostrami Skalskiego, Ziną i Manią, które prowadziły ożywioną rozmowę z mężczyzną w czerkiesce.

- Proszę się zapoznać - rzekła Zina, wskazując dłonią gościa.

Zabawa powiedział niewyraźnie zmyślane nazwisko. Pierwsze które do głowy mu przyszło; nazwisko jakiegoś kolegi z dawnych lat. Przekonał się, że najlepiej, robiąc fałszywe dowody dla siebie, przybierać nazwisko jednego z dawnych kolegów, imię drugiego, miejsce urodzenia wskazywać takie, które znał osobiście, daty wpisywać albo o jedynekę mniejsze, albo o jedynekę większe (jeśliby rzeczywistą datą urodzenia był 1 lutego 1900 roku, to podawał albo 31 stycznia 1899 roku - wszystko o jedynekę wstecz - albo 2 marca 1901 roku - wszystko o jedynekę naprzód). Robił to w celu wyłączenia pomyłek i dobrego zapamiętania danych, bo się zdarzało, że ludzie niepraktyczni czy niedbali, korzystając z fałszywych dowodów, zapominali własnego nazwiska.

Mężczyzna w czerkiesce również bardzo niewyraźnie wymienił swe nazwisko, coś w rodzaju: Tepietow czy Szepietow, i nie podniósł się nawet z miejsca, podając na przywitanie rękę.

„Cham!” - pomyślał Zabawa i w oczach mu błysnęły złe skry.

Mężczyzna w czerkiesce nadal rozmawiał z pannami. Mówił autorytatywnie, wyniośle. Zdania „wygłaszał” przeważnie skondensowane jak mleko i jak mleko skondensowane ciągnące się przez zęby. Dużo, niepotrzebnie beczał i mówił monosylabami. Pewnie to należało w jego sferze do dobrego tonu, bo gdy się zapominał, to mówił płynnie...

Wołodia Skalski poprosił Zabawę do przyległego pokoju.

-Wiesz pan, kto to jest? - zapytał szeptem.

-Kto?

- Zastępca komendanta Gubczeki.

Zabawie zrobiło się przykro.

- Więc cóż z tego?

| Nic... Uprzedziłem na wszelki wypadek, bo to... niezbyt przyjemne. Zaleca się do Zinki. Łazi i łązi...

Wieczorem podano herbatę, z landrynkami zamiast cukru. Czekista pił ze spodka; szumnie, z cmokaniem wciągał do ust gorący płyn. Napił się herbaty i przewrócił szklankę na spodku denkiem do góry®. Zaczął świdrować oczami Zabawę.

- A towarzysz, zdaje się, przyjezdny... hm?

- Tak... z Bobrujska.

- Uhum! Technik?

- Tak. Nadzorca telegrafu.

- Mm... A tego... tu służbowo?

i Nie. W sprawie osobistej do komisarza Mohylewskiego Pocztom graficznego Węzła.

- Aha! Załatwił towarzysz sprawę?

- Jeszcze nie... Ale mam nadzieję, że załatwię.

- Nie sekret: co za sprawa... um?

- Jaki sekret?... Chcę się przenieść do Mohylewa jako morsista, bo w Bobrujsku pracuję na linii, a służba liniowa dla mnie szkodliwa. Mam słabe zdrowie.

- Towarzysz morsista?... Dobry? Mmm?...

- Owszem, dobry... Chwalić się nie będę...

- Ile znaków na minutę?

- Zależy od wprawy... Dawałem od 120 do 133.

- Mmm...

Następnie się zainteresował, czy Zabawa partyjny, na co ten odpowiedział: i soczewstwujuszczyj<sup>55</sup>. Wypytywał jak aresztowanego; widocznie był to jego nałóg. Chcąc przerwać to badanie, Zabawa sam zaczął szczegółowo rozpytywać go o różne rzeczy. Czekista początkowo odpowiadał mu, ale wkrótce wrócił j do rozmowy z pannami. Rozmowa się odbywała w ten sposób, że on mówił, a one słuchały, robiąc, w zależności od tematu opowiadania, odpowiednie miny, wyrażające z kolei: podziw, wesołość, przerażenie, zachwyt...

Z opowiadań czekisty Zabawa się dowiedział, że ten jest synem ogrodnika z Carskiego Siola.

Potoczyła się ogólna rozmowa. Wkrótce czekista znów się zwrócił do Zabawy:

- Czy towarzysz brał udział w wojnie?

" W mieszczaństwie rosyjskim znak, że więcej pić się nie chce.

" Współczujący, sympatyk.

| Niejako „spec”<sup>56</sup> byłem zwolniony od służby na froncie i przydzielony do telegrafu wojskowego w Mińsku - gładko kłamał Zabawa.

- A ja walczyłem! Taki - trzasnął się dłonią w piersi czekista, zerkając na panny. - Nawet „pod Warszawą” byłem. Niejednego Polaczyszkę tą oto ręką do ziemi schowałem!

- Więc towarzysz Polskę trochę zna? - zapytał Zabawa.

- Trochę?... Cha-cha-cha. Jak swoją dłoń znam!...

- Ciekaw jestem, co to za kraj? Czy dobra tam ziemia?

- Ziemia? Tfu! Same piachy! Piachy i bagna, bagna i piachy!

i Z czegoż oni żyją, jeśli tak licha ziemia?

IZ oszustw!... Polacy tylko z oszustw żyją... W karty grają, ruletę kręcą, pieniądze fałszują... Znani są z tego od dawna.

- Pan tylko w czasie ofensywy na Warszawę zapoznał się z Polską?

I Nie, Polaków i później spotykałem, bo służyłem w Pogranicznym Otriazdzie.

- Ach, jakie to ciekawe! - pisnęła któraś z pańien.

i Towarzysz pewnie i językiem polskim włada? - pytał Zabawa.

- A jakże? Naturalnie! Znam doskonale! Tak jak rosyjski... Ot na przykład: po naszymu „człowiek”, a u nich „człownik”; po naszymu „ręka”, a u nich „ręka”. Język polski to jest, właściwie, popsutyjęzyk rosyjski. Niektóre wyrazy tak pokaleczyli i powykręcali, że trudno i poznać, że są nasze, ruskie. Na przykład: „prostynia”<sup>57</sup>, mówią „rześcieradło”; „diejstwitielno”, mówią „czeczywiście”<sup>58</sup>. Okropnie popsutyjęzyk. Właściwie nie język, ale gwara, w rodzaju złodziejskiej... Zresztą język ich najlepiej odpowiada ich charakterom: są podstępni, chytry, lubią wyszydzić, ugryźć po kryjomu jak żmije, więc i język mają podobny: szypiący, syczący...

Z dalszych informacji o Polsce Zabawa się dowiedział, że w Polsce Polaków nie ma, a są tylko: Żydzi, Litwini, Niemcy, Ukraińcy i Białorusini. A właściwi Polacy - mała grupka - dzielą się na dwie kategorie: „pany” i robotnicy. Ponieważ „pany” bawią się z tancerkami w Paryżu, a robotnicy siedzą w więzieniach, więc Polaków w Polsce nie ma wcale.

Zabawa, obcując długo z Rosjanami, przekonał się, że nawet inteligencja mało zna Polskę. Mniej niż Australię lub Argentynę. Czasem słyszał takie obskurne rzeczy, że się śmiał w duchu. Spozrzegł i to, że Rosjanie nie lubią Polaków, nazywają ich pogardliwie: „panki, lachy, polaczki”... Może to dziedziczne i jako spadek przechodzi z pokolenia w pokolenie. Miano Polak od dawna było w Rosji synonimem „buntowszczyka, miateznika”. Polacy cara

\* Specjalista.

" Prześcieradło.

" Rzeczywiście.

chcieli zabić, chcieli Moskwę zabrać, a gdy im to się nie udało, to Napoleon o pomoc prosili i wraz z nim przyszli. Polacy smutę<sup>59</sup> na Rosji szerzyli, powstania i rewolucje urządzali, a czy to było za caratu białego, czy czerwonego, czy będzie jeszcze za czarnego i pstrego - dla Rosjan wszystko jedno, bo łatwiej zmienić ubranie niż skórę; lżej stworzyć nowy rząd niż kulturę. Duch rasy żyje w Rosji nadal i nadal zachowuje swą naturę.

Zabawa niedawno słyszał taką anegdotkę: gdy została ogłoszona wojna z Japonią w 1905 roku, to w pewnej rocie<sup>60</sup> feldfebel zebrał żołnierzy i wygłosił do nich przemowę: „Ot, bratcy, ogłoszona, znaczy się, wojna Japończykowi! To znaczy: pójdziemy w japońską gubernię bić Żydów i Polaków, a wam wszystkim po czarce wódki!”.

Czytając prasę sowiecką, Zabawa często spotykał demagogiczne hasła i epitety, które godziły w Polaków jako naród. Nie bez przyczyny Rosjanie nabrali przekonania, że Polacy to oszuści, opływający we wszelkie dobra zdobyte nierzetelną drogą - naturalnie, przede wszystkim na Rosjanach. Ktoś te pojęcia stwarzał i wszczepiał w naród. Zabawa nie mógł tego na razie zrozumieć. Spotykając w gazetach podjudzające hasła, które bolszewicy odziedziczyli po „starym reżimie” i kultywowali nadal, Zabawa mocno temu się dziwił, lecz musiał przyznać, że w tym kierunku polityka Sowietów jest dalszym ciągiem polityki caratu, złagodzonej jedynie w stosunku do Żydów.

-Jednym słowem - żartował czekista, który w zapale krasnomówczym zapomniiał swoje „e, e, e,... Mmmm... Hmm... Umm...” - cudaki Polaki:włóż- i ce śpią, a łóżko na piersiach noszą<sup>61</sup>!

Zabawa, roztargniony, słuchał go, myśląc jednocześnie: gdzie to mogło- I by się zdarzyć, żeby gość u obcych ludzi tak bezczelnie badał innego ich go- i ścia, a u nich to, widocznie, jest rzeczą zwykłą! „Wszędzie, gdzie wlezie boi- i szewik - myślał - przede wszystkim Czerezwyczajkę zrobi”.

Zbliżała się północ. Czekista pozostał na noc u Skalskich. Ponieważ | w mieszkaniu było bardzo ciasno, więc dla niego i dla Zabawy posłali na jed- nym łóżku.

Zabawa wyszedł na dziedziniec. Udał się do szopy, gdzie stały jakieś stare ! wozy. Tam schował spory pakiet, który miał ukryty na piersiach. Jeden rewol- I wer pozostawił w ubraniu, a drugi umocował pod pasem, włożonym na gołe ciało. Gdy wrócił do mieszkania, czekista już się rozbierał; zdjął pas z naga- nem w futerał i umieścił go pod poduszką. Spojrzał na Zabawę i krzywo się uśmiechał;

<sup>59</sup> Zaburzenia.

<sup>60</sup> Kompania.

<sup>61</sup> Cudaki Polaki: w łóżkie śpiat, a krowat, na grudi nosiat. Analogie: łyżka - łóżko; krawat j -,„krowat” (łóżko).

I To na wszelki wypadek... Gwarancja... Czasy niespokojne...

- Słusznie - odparł Zabawa, zdejmując ubranie i układając je na krześle, tak aby pozostawionego w kieszeni rewolweru nie można było namacać z wierzchu. Jednocześnie uważał, żeby rewolwer, który miał przy sobie, nie wysliznął mu się spod bielizny na podłogę.

- Czy towarzysz woli od ściany? - zapytał czekista.

I Wszystko jedno.

- To dobrze, boja niezbyt spokojnie - wolę od ściany...

- Dobrze.

Wkrótce zgasili lampę. Po kilku minutach czekista zasnął. Zaczął chrapać i zgrzytać zębami. Zabawa długo nie spał. Palił papierosy...

Gdy zasnął, znalazł się w dużym pokoju, obitym czerwonymi tapetami. Z sufitu zwieszał się na długich linach trapez, a na nim ćwiczyła zupełnie naga kobieta. Zabawa, zdziwiony i podniecony, patrzył na nią... Gdzieś z prawej strony lało się nieustannie miękką falą czerwone światło, z lewej zaś padały kolorowe światła reflektorów, które nieustannie się zmieniały... Kobieta miała na nogach czerwone pantofelki, na głowie czerwony beret, spod którego wysuwały się włosy. Zabawa podszedł bliżej. Wtedy kobieta spojrzała w dół i Zabawa stanął przerażony... Była to Lizka Braginówna. Zrobiła kilkanaście ruchów na trapezie, śmiałych, bezwstydných, uwydatniających coraz to inne formy ciała; czyniła to z brawurą i satysfakcją, że ktoś ją widzi... Skinęła mu głową. Zabawa zrozumiał, że prosi, aby ją zdjął. Zbliżył się do trapezu i ujął ją pod kolanami. Poczul w ramionach gorące, sprężyste ciało, o skórze różowej, gładkiej jak kość. Miał pragnienie zatopienia zębów w jędrnym udzie, którego dotykał policzkiem. Wtem Lizka puściła trapez i ze śmiechem runęła całym ciałem na niego...

Obudził się. Miał przerzuconą przez szyję rękę czekisty, odsunął ją, a potem z przerażeniem poczuł, że rewolweru pod pasem nie ma. Zaczął szukać go, macając rękami pościel. Długo nic nie znajdował, aż nareszcie poczuł pod palcami rękojeść parabellum. Czekista leżał na nim, mocno przyciskając go ciałem do materaca. Zabawa, chcąc wyjąć rewolwer, usiadł na łóżku i jednym szarpnięciem wyrwał parabellum spod czekisty.

I Co? Co to jest? Kto tu?... - pytał trwoźnie czekista, siadając na łóżku.

-Nic, nic... to ja poprawiłem kołdrę... Zrzuciliście ją na podłogę.

-A... ja faktycznie... Uhm... mmm...

Znowu zasnął. Zabawa tej nocy nie spał więcej. Palił papierosa za papierosem i myślał o swym śnie.

„Nie wychodzi mi Lizka z głowy! A że ładna, to ładna! 9 przypomniał sobie szczegóły snu. - Muszę ją zdobyć koniecznie, bo dręczycjak zadra pod paznokciem!"



- Mm... - mamrotał czekista.  
i Śpy, cielaku! - powiedział po cichu Zabawa. - Mleka nie lubisz, kwi  
i samogonu nie ma.

Gdy czekista rano się obudził, Zabawa udał śpiącego. A gdy tamten się ubrał i wyszedł bez pożegnania, Zabawa również wstał, zabrał z szopy dokumenty i umył się... Po śniadaniu pożegnał Skalskich, obiecując przyjechać kiedyś na dłużej, i udał się na dworzec.

Wkrótce jechał w kierunku Orszy... Drzemał... Z głębi wagonu rozległa się piosenka:

*Byłam kiedyś praczka,  
Zwali mnie Łukieria,  
A teraz na froncie -  
Siostra miłosierdzia!*

Z drugiego końca wagonu ktoś krzyknął:

- Ej, ty tam, Łukieria, przymknij mordę. Jeśli głosu nie masz, to się nie drzyj jak stare gacie!

Rzeczywiście śpiewak miał głos wstrętny. Umilkł jak zmyty i nie odezwał się więcej.

W tym czasie, gdy Zabawa w Mohylewie, w mieszkaniu Skalskich, prowadził rozmowę z zastępcą komendanta Gubczeki, na dworcu w Mińsku czekali aresztowali dwóch osobników, którzy mieli podejrzone dokumenty. Jeden oświadczył, że przybył tu z Polski, chcąc przedostać się do krewnych w Moskwie. Drugi - Antoni Kralewicz - zeznał, że pochodzi z Wilna i że niedawno z biedy dokonał tam kradzieży 200 000 marek; aby uniknąć odpowiedzialności, zbiegł do Sowietów, gdzie ma zamiar żyć i pracować uczciwie. Kralewicza przesłano do Gubczeki, do dyspozycji sędziego śledczego, Stefana Niedbalskiego. Drugiego aresztowanego skierowano do Moskwy, na Łubiankę<sup>62</sup>.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Mińsk, 7 października 1922 roku*

Jestem drugi dzień u Braginów. Robię sobie wyrzuty, że niepotrzebnie tu siedzę, lecz nie chce mi się wyruszyć w powrotną drogę. A wszystko - Lizka... Jestem przy niej jak pijany - mam wypieki na twarzy. Chce mi się, gdy patrzę na nią, zębami zgrzytać... porwać ją na ręce, pieścić, dusić, całować... Czę-

<sup>62</sup> Plac w Moskwie, przy którym się mieszczą gmachy Czerezwycajki.

sto nie mogę w jej obecności skupić myśli i jestem tak roztargniony, że to zwraca uwagę.

Przedwczoraj, po przyjeździe do Mińska, udałem się z dworca piechotą do mieszkania Braginów. Poszedłem głównymi ulicami i przez skwer „Cwicznej Bulwar”. Szedłem centralną aleją, przecinającą skwer na ukos. W pewnym momencie dostrzegłem przy wyjściach ze skweru jakiś niezwykły ruch. Gdy się zbliżyłem do jednego z wyjść, zobaczyłem otaczający skwer łańcuch żołnierzy i czekistów, sprawdzających dowody. Z boku groźnie warczał ciężarowy samochód, gotowy do przyjęcia ofiar... Była to kolejna oblawa Czeki. W rogu ogrodu było zebranych kilkunastu ludzi, otoczonych żołnierzami z bronią w ręku, aresztowani.

Zbliżyłem się do wyjścia i przedstawiłem niedbale i obojętnie - jak to dostrzegłem u wojskowych i pewnych siebie osób - „otpusknoj bilet”. Czekista rzucił okiem na dowód i powiedział:

- Proszę, towarzyszu...

Poszedłem dalej. Spostrzegłem, że „grubszą rybę” trudno ująć z powodu złych dokumentów, chyba fuszera. Prędzej będą złe lub niedostateczne dowody u lojalnego obywatela niż u szpiega, aferzysty i zawodowego przestępcy.

U Braginów zastałem Ozimowa, sekretarza Gubispołkomu. Zofii nie było w domu. Ozimow zalecał się do Lizki, siedząc przy stole obok niej. Ja siedziałem naprzeciw pana Bragina. Wkrótce rozpoczęliśmy grę w preferansa. Gdy przyszła Zofia, z udaną radością przywitałem ją. Dostrzegłem, że Lizka ze zdziwieniem spojrzała na mnie.

W preferansa graliśmy we czwórkę: Ozimow, Kobzow, Bragin i ja. Liza i Zofia przypatrywały się grze. Żona Bragina, Maria Iwanowna, szła coś przy małym stoliku. Byłem podniecony obecnością Lizki i znudzony grą w karty, której nie lubiłem, więc popełniałem takie błędy, że wszyscy zwracali na to uwagę. Dla mnie przegrana nie stanowiła dużej różnicy, bo graliśmy tanio. Kilkakrotnie kupowałem karty „w ciemno” i często wpadałem, ale miałem takie szczęście, że więcej niż bez jednej lewy nie zostawałem.

Tuż przy moim krześle siedziała Zofia i podpowiadała mi wyjścia, aleja, nie zwracając na to uwagi, grałem po swojemu. W pewnym momencie Ozimowowi przyszła widocznie dobra karta, bo gdy ja „na niewidziane” doszedłem do siedmiu w kierach, on powiedział ze złością:

- Na upartego grać nie sztuka, ale trzeba wygrać!

- Ja też wygram! - odpowiedziałem, patrząc w oczy Lizce.

Ona zalotnie się uśmiechnęła do mnie.

| Osiem pik - powiedział Ozimow uroczyście.

- Osiem kier - w tejże chwili odrzekłem ja.

- Passs! - ze złością rzucił Ozimow.

Otworzyłem „renons”... Trafiłem dobrze i wygrałem. Zadowolony śmiałem się wesoło. Lizka klaskała w dłonie. Ozimow poczerwieniał ze złości i rzekł wyniośle:

- Trzeba mieć pojęcie o taktyce gry! - spojrzął na Lizę, wskazując palcem do góry i dodał mentorskim tonem: - To tak jak na wojnie!

- Słusznie! - odparłem. - Ale trzeba też umieć ryzykować, bo czasem odwaga więcej znaczy niż taktyka. A tchórzom żadna taktyka nie pomoże!

Spostrzegłem, że Lizka z zainteresowaniem patrzy na mnie, jakby zdziwiona tym, że mam śmiałość zaprzeczać Ozimowowi. A ja się zaciąłem i postanowiłem nie dać mu grać. I nie dałem. Parę razy przez to wpadłem, ale niezbyt dotkliwie, bo „w ciemno” grałem teraz rzadko.

I O, to co innego! - rzekł, ironicznie uśmiechając się niedługo przed końcem gry, Ozimow, gdy ja, grając zwykle piki, zostałem bez jednej lewy.

To mnie zirykowało. Postanowiłem jeszcze raz zagrać mu na nerwach, ja oczekiwałem tylko sposobności. Po pewnym czasie dostrzegłem, że ma dobre karty, bo po przejrzeniu rzucił je na stół i zapalając papierosa rzekł nie dbale:

- Piki... zwykle...

- Kiery... zwykle... - powiedziałem naśladowując jego ton i w ten sam sposób jak on zapaliłem papierosa.

Lizka spojrzała na mnie i zagryzła dolną pasową wargę.

| Siedem pik... - powiedział tak samo nie dbale Ozimow, gasząc zapalną w popielniczkę.

Patrząc w oczy Lizce pomyślałem: Jeśli wygram, to się spełni... na pewno!", i powiedziałem od razu:

- Dziewięć pik!

- Jak? - zapytał zdumiony Ozimow.

- Dziewięć pik! - powtórzyłem.

- W ciemno?

- Uhum...

Lizka parsknęła śmiechem.

Ozimow zebrał ze stołu swoje karty. Długo je badał, ruszając w powietrzu palcami prawej ręki, i wreszcie wyrzekł uroczyście:

- Dziewięć w treflach!

- Dziewięć karo!... - powiedziałem natychmiast.

- Pass! - zasyczał Ozimow.

Otworzyłem karty... Miałem w rękę wszystkie osiem kier, króla karowego i jakąś młódkę. Osiem lew miałem pewnych; karta była doskonała, lecz skąd ja wziąć jeszcze jedną lewę? Otworzyłem „przykup” i zobaczyłem asa karowego i jakąś młódkę. Zrzuciłem młódkę mówiąc: „totus”, i położyłem karty na stole. I

Lizka klaskała w dłonie i wesoło się śmiała. Ozimow zrobił się czerwony ze złości, przede wszystkim dlatego, że nie dałem mu grać (a również miał dobre karty), po drugie dlatego, że nie tylko - jak się spodziewał i nie wpadłem, lecz jeszcze tak dobrze wygrałem „w ciemno”, co przy „jodełce” znacznie poprawiło moją grę, po trzecie gniewała go radość Lizki, wyrażona tak szumnie, z powodu mej wygranej.

Ostatecznie wstałem od stołu przegrany, lecz zadowolony. Zrozumiałem tylko, że w Ozimowie mam wroga, który nie opuści najbliższej sposobności, aby mi zaszkodzić - na zimno, z rozmysłem, według wszystkich zasad „taktyki”.

Gdy żegnałem Braginów, idąc do swego pokoju u pani Żarskiej, Lizka szczególnie mocno uściśnęła mi dłoń. „Może to też taktyka... kobieca” - pomyślałem, odpowiadając jej silnym uściskiem.

Nazajutrz poszedłem do pani Dwolińskiej. Miała bardzo smutne oczy.

- Pan jakoś się zmienił — rzekła po przywitaniu się ze mną.

- Dlaczego?... Z czego pani to wywnioskowała?

- Tak... Ja to wyczuwam...

Omówiliśmy sprawę jej wyjazdu, o który rozpoczęła starania.

- Nie wiem, co z tego wyniknie — mówiła pani Jadwiga. - Żądają wielu dokumentów, a ja nic nie mam. Wszystkie zginęły podczas pożaru.

Staralem się rozweselić panią Jadwigę i opowiadając o życiu w Polsce, wprawilem ją stopniowo w lepszy humor.

- Niech się pani niczym nie przejmuję - powiedziałem. - Gdyby się wam nie udało wyjechać legalnie, to przeprowadzę panią przez „zieloną granicę”.

- Byłoby to dobrze - rzekła pani Jadwiga - tylko Andzia?...

- Jeśli trzeba będzie, to i Andzię przeniesiemy - rzekłem do niej. - Zresztą mamy na to czas..

Zakazałem jej stanowczo dopomagania mi w pracy, ku czemu znowu wyraziła chęć. Powiedziałem, że mam dobre źródła i na razie niczego nie potrzebuję. Poleciłem tylko utrzymywać stały kontakt z czekistą, dla którego przyniosłem kokainę i którego miałem zamiar wyzyskać w przyszłości jako informatora. Na razie prosiłem, aby nadal kupowała dla mnie i kompletowała pewne pisma, które zabierałem do Polski.

Pan Józef dopomógł mi ułożyć pisma w paczkę. Miałem trzy duże portrety: Lenina, Trockiego i Łunaczarskiego. Aby w drodze mi się nie zgnioty, nawinęliśmy je na okrągły, gładki kij i okleili z wierzchu kilkakrotnie okręconym wokoło papierem.

Pan Józef, biorąc do rąk poszczególne portrety, mówił:

- Lenin, Władimir Iljicz Uljanow; znam go: szlachcic, biała kość, niebieska krew... fantasta; mógł tak samo stać się mnichem jak i rewolucjonista, lecz za bardzo pragnął władzy i wziął się do polityki (każdy rewolucjonista

ma szalony popęd do sławy i panowania; co innego: reformatorzy). Trocki - Bronsztajn Lejbuś - i tego znam: megaloman z duszą handlarza i rekina z czarnej giełdy... Lunaczarski: i tego znam - paniczek, babiarnik, zabłąkany esteta... Wszystko karierowicz! Dla władzy gotowi gardła sobie poprzegry. Zać... Nadzwyczaj wstrętne było ich podjudzanie tłumów przeciw wczorajszym swoim kolegom i krewnym, można rzec - przeciw samym sobie. Ich schlebienie motłochowi, podziwianie go (naturalnie śmiejąc się w kulak). Bo za co go podziwiać, tego konserwatywnego, tępego, chciwego, złośliwego, chytrego, rosyjskiego chama, gotowego płaszczyć się przed każdym silnym i zadusić każdego słabego? Chyba za to, że był podporą caratu, że gnębił każdą wolną myśl i niezdolny był do najmniejszego krytycyzmu. Przecież rewolucję w Rosji nie chamy robili, lecz elita, szlachta i inteligencja, a motłoch ich „nagajami” studził, jako „miateżników”. Zaczynając od dekabrystów wszędzie i zawsze inteligencja rosyjska walczyła z caratem o dobro chama, a podjudzanie go potem przeciw tejże inteligencji jest możliwe tylko w Rosji... Bolszewicy się bali ludzi, którzy umieją krytycznie patrzeć na rzeczy, więc zniszczyli swoją inteligencję, a potem w dalszym ciągu musieli schlebować chomowi, z którym już wcale nie liczyli się jako z człowiekiem, lecz jako z siłą, bierną, lecz niebezpieczną. Stąd schlebianie motłochowi... To wygląda na merdanie ogonkiem małego, rasowego pieska przed dużym, brudnym, śmierdzącym, bezmyślnym brytanem - mówiąc nawiasem g tchórzliwym strasznie., Ach, jakis ty piękny, mądry” — zachwyca się histerycznie piesek, drepcząc na drżących łapkach wokół brytana. „Urrr...!” - ryczy | zadowolony bryś, próbując podnieść tylną łapę nad głową pieska... Tfu... | Obluda! Czemu nie postawią sprawy uczciwie, szczerze, silnie, jak to robią | mężczyźni ludzie, poczuwający się do własnej ludzkiej godności?...

Na obiad poszedłem do Braginów. Spostrzegłem, że Lizka w stosunku do mnie zrobiła się bardzo uprzedzająca. Oznajmiła nawet, że chce mi w przyszłości coś powiedzieć, ale „kiedyś”, nie teraz. Ciekawym, co? Dowiedziałem się, że na początek przyszłego roku przypada dzień urodzin Lizki. Doskonajakoś dyskretnie się dowiedzieć, co by chciała mieć... Nie chcę, aby się dostała Ozimowowi. Jeśli nie mnie, to komu innemu, tylko nie jemu. Lecz... nie trzeba się śpieszyć, żeby nie popsuć sprawy... Pułkownik scharakteryzował ją wprawdzie jako bardzo łatwą, lecz ja myślę, że się myli, bo nie widział jej osobiście...

Podbiłem całkowicie Julkę, przede wszystkim dwiema tabliczkami czekolady, następnie brzuchomówstwem, a wreszcie tym, że odnoszę się do niej jak do kolegi i osoby dorosłej. Na przykład, gdy zagotowała dla mnie herbatę w czajniku, to poprosiłem ją do stołu, a po wypiciu herbaty zapaliłem sam

i ją poczęstowałem papierosem, chociaż spostrzegłem, że nie umie palić i tylko na wiatr dym puszcza. A z brzuchomówstwem było tak. Obudziłem się rano; ubrałem się. Julka rozmawiała z koleżanką w sąsiednim pokoju. Znam trochę brzuchomówstwo; nauczyłem się tego kiedyś od przygodnego znajomego, Japończyka, i sporo kawałów za pomocą tej sztuki zrobiłem. Otóż zacząłem mówić pod łóżko, do wymyślanego człowieka, polecając mu wyczyścić mi buty - on mi „odpowiadał”. Wkrótce po tym do drzwi mego pokoju zapukała Julka, a gdy weszła, zapytała, czy chcę się umyć, i obejrzała podejrzliwie pokój. Była mocno zdziwiona, nie widząc w nim nikogo prócz mnie. Przyniosła dla mnie miednicę wody i znów zlustrowała pokój. Starła się zajrzeć nawet pod łóżko.

| Z kim wy tutaj mówili? - zapytała nareszcie.

IZ diabłem - odrzekłem.

- Nieprawda, diabłów nie ma!

- A u mnie jest jeden.

Powiedziałem kilka zdań pod łóżko, za drzwi, do pieca i zewsząd odpowiadały mi ludzkie głosy. Julka była zachwycona.

-Ot!... To sztuka!... To ja rozumiem!...

Teraz, gdy dawałem jej jakiegokolwiek polecenia, pędziła jak kula, aby jak najprędzej je spełnić. Słyszałem później, jak Julka w sieni beczała, mówiąc coś, prawdopodobnie do stojącej tam beczki. Starła się nauczyć mej sztuki. Nie nauczyła się dotychczas, ja natomiast wyuczyłem się od niej kilku piosenek, które śpiewała głośno w swoim pokoju, nie zwracając uwagi na to, że ją słyszę.

Jedna z tych piosenek zaczyna się od zwrotki:

*Komsomolec komsomolkę  
Prosił na mecz futbolowy...  
Komsomolka po tym meczu  
Porodziła futbol nowy.*

Więcej przytoczyć nie mogę.

Spostrzegłem, że Julka nie ma w sobie nic wstydlivości. Pewnego razu wszedłem do ich pokoju. Julka, klęcząc na podłodze, myła się do połowy ciała w miednicy. Gdy wszedłem, to się podniosła i rozcierając dłońmi mokre piersi powiedziała:

- Co chcecie?

- Szczotkę i pastę do butów. Idę do miasta.

- Zaraz...

Nie zakryła się nawet ręcznikiem, który miała zawieszony u pasa. Poszła, klnąc nagim, mokrym torsem, do kuchni i przyniosła mi szczotkę i pastę.

Gdyby była nieświadomą dziewczyną, to bym nie dziwił się temu, ale miała 15 lat, a ja słyszałem jej piosenki i rozmowy z koleżanką, które świadczyły o tym, że jest wszechstronnie uświadomiona.

Pani Żarska skarżyła mi się na nią:

- Męka z tą dziewczyną, panie! Rady sobie dać nie mogę. Ze mną wcale się nie liczy. A wszystko mąż narobił, że ją kiedyś, w 19. roku, do Dietdomu<sup>8</sup> oddał. Tam z niej diabła zrobili... z chłopakami na pięści się bije!

- Po coście ją tam oddali?

- Chleba, panie, nie było. Głód. Radzi byliśmy jednej gęby się pozbyć.

Spostrzegłem, że tęskni kobiecina za Wilnem, za Polską, lecz nie wiem, jak jej doradzić, by starała się o powrót do kraju. Nie chcę bez koniecznej potrzeby z niczym się zdradzać, a Julka przychylna mi, dopóki wie, że ja - sowiecki urzędnik; gdyby zwąchała coś podejrzanego (a jest wścibska), to mogłaby mnie zadencjonować. Jest kwiatem wyrosłym na sowieckim gnoju... niebezpiecznym... trującym...

Pewien mój znajomy powiedział:

- Niech pan uważa! Tu nawet swoich trzeba się wystrzegać, bo u nas szpiegostwo weszło w rodzinę!

Tak! tak! Szpiegostwo tu weszło w rodzinę! Wiem o tym dobrze!

Jutro wracam do Polski.

---

<sup>TM</sup> Przynależność dla dzieci, przeważnie sierot

## V. BIBUŁKA „SOLALI”

*Życie jest smutne  
I bardzo trudne,  
Niechże przynajmniej  
Nie będzie nudne.*  
Eugenia Janowska

Noc była ciemna. Gwiazdy, jak dziewczyny na łąkę, wesóło wysypały się na riemne tło nieba i mrugały zalotnie złotymi oczami.

Zabawa szedł prędko naprzód, bo droga trochę podeschła, i znalazł obok traktu dobrze wydeptaną ścieżkę. Mogły, co prawda, zdarzyć mu się na tej ścieżce niezbyt przyjemne spotkania, ale liczył na dobre dokumenty, a przede wszystkim na dobrą broń... Naturalnie i noc - dość ciemna - była jego wierną sojuszniczką. Oczy, przyzwyczajone do ciemności, rozwidnionej błyskiem gwiazd, odróżniały teren na znacznej przestrzeni.

Za wsią Miedwieżyno posłyszał na lewo od traktu szczekanie psa. Zatrzymał się, nasłuchując przez kilka minut. Pies ujadął nadal.

„Pewnie na futorze” - pomyślał. Ruszył w dalszą drogę.

Do szczekania psa dołączył się ostry dźwięk żelaznych pęt na nogach końskich. „Pastuchy z końmi” - pomyślał Zabawa, idąc dalej.

Na lewo od drogi leżał olbrzymi, nieforemny, omszony głaz. Na nim Zabawa dostrzegł skuloną postać człowieka. Gdy zbliżył się bardziej ku niemu, zobaczył ubranego w siermięgę wyrostka, który przepuszczając Zabawę obok siebie, uważnie go obejrzał. Zabawa miał na sobie czarną kurtkę i cywilną czapkę, bo wojskowe ubranie, które było dla niego za obszerne, oddał do przerobienia, a pan Józef obiecał zabrać je od krawca po wykończeniu.

Zabawę trochę zdziwiła obecność samotnego chłopca na tym kamieniu, ale prędko poszedł dalej, nie przywiązując do tego większego znaczenia. Wkrótce posłyszał z tyłu silne gwizdnięcie na palcach.

„Oho, sygnał!” - pomyślał Zabawa, zawczasu wyjmując na wierzch rewolwery i rozglądając się wokoło.

Na lewo od traktu ciągnęły się na wielkiej przestrzeni pola, a tuż przy drodze były wąskie pasy łąki, gdzieniegdzie oddzielone od niej krzakami. W tym miejscu droga szła po brzegu większej pochyłości... Zabawa dostrzegł na niej trzy postacie w chłopskich ubraniach, biegnące w kierunku traktu. Jedna z nich wysunęła się naprzód, starając się odciąć Zabawie drogę z przodu. Zabawa zwolnił kroku...



Gdy pierwszy chłop był już blisko drogi, Zabawa skoczył ku niemu, wyrzucił dwa razy obok jego głowy i krzyknął:

- Padnij!

Chłop stanął oniemiały. Z rąk mu wypadł otrieb. Dwaj jego towarzysze zawrócili i biegli co tchu w piersiach i siły w nogach. Zabawa kilka razy wystrelił do nich, krzycząc: „stój!”, lecz zbiegli.

- Ty co chciałeś? - zapytał stojącego przed nim, drżącego na całym ciele około trzydziestoletniego chłopca.

- My... my... towarzyszu... My pastuchy...

- Bandyci, sukinsynu, a nie pastuchy!

- Nie, towarzyszu... my z końmi...

Zabawa uderzył go błyskawicznie rewolwerem w twarz. Chłop zakrył głowę rękami. Zabawa uderzył jeszcze raz. Chłop, jęcząc, ciężko zwałił się na drogę. Zabawa podniósł z ziemi otrieb i poszedł dalej, zostawiając na drodze nieruchomo leżącego człowieka. Wkrótce zszedł z traktu i poszedł przez pola, w kierunku niewidzialnego w ciemności lasu. Gdy się znalazł nad jeziorem, wrzucił do wody otrieb. Zamek, który poprzednio wyjął z karabinu, wrzucił do jeziora w innym miejscu.

„Pastuchy! - myślał Zabawa. - Odważne chamy, drogi zastępują”.

W Starosielskim Lesie stanął u słupa telegraficznego, obok traktu, który j poprzednio zapamiętał. Od tego słupa poszedł pod prostym kątem w las. Zrobił kilkadziesiąt kroków między drzewa, znalazł złamaną łapę jodły i zdjął i z drzewa worek ze skórkami.

W pobliżu traktu wyjął z worka skórki. Zaczął ściślej je układać, ugniatając kolanami, aby zajęły jak najmniej miejsca. „Ciekaw jestem, ile to kosztuje?” - myślał Zabawa.

Dalej poszedł bardzo wolno, ponieważ bardziej uważał na drogę, a to z tego powodu, że mając na sobie większy ciężar, obawiał się spotkania i z uzbrojonymi ludźmi. Iść też było mu trudniej. Często wypoczywał. Gdzieś tam gdzieś schodził z drogi i siedł obok niej... Zrozumiał, że do świtu nie j zdoła przejść granicy, więc się nie śpieszył. Postanowił zrobić w lesie i dniówkę.

Mając przy sobie towar, nigdzie się nie włączył po lesie. Zaszył się daleko na bagnach i tam, na małej wysepce, ulokował się na dzień. Na tej wysepce i rosło kilka brzoźek i była jedna jodła, złamana przez burzę półtora metra i ponad ziemią; utworzyła coś w rodzaju długiego szalasu. Zabawa wlał do i środka, kryjąc tam worek ze skórkami.

Dzień ciągnął się nieskończenie. Słońce jakby zawisło na niebie. Zabawę i sen morzył, lecz postanowił nie spać. Obszedł kilkanaście razy swą wysepkę i nie mógł się doczekać zmierzchu.

Było około trzeciej po południu i słońce sporo się zniżyło, gdy Zabawa, leżąc we wgłębieniu pod złamaną jodłą, posłyszał jakieś szmery, wyróżniające się pośród innych leśnych dźwięków... Gdzieś trzasnęła gałązka, plusnęła woda w bagnie, zaszeleściły liście. Zabawa obejrzał okolicę... Po dłuższej obserwacji dostrzegł z dala mężczyznę, ubranego jak zaściankowy szlachetka w czarną kurtkę, wysokie buty i granatową czapkę z lakierowanym daszkiem. Stał w odległości stu kroków od Zabawy i oglądał uważnie teren. Znowu poszedł po bagnie. Zbaczał w prawo i w lewo, zataczał koła, oglądał ziemię pod nogami. Zabawa się zaniepokoił, lecz nie widząc nikogo więcej w pobliżu, postanowił czekać jeszcze. A mężczyzna w czarnej kurtce wciąż kołował w pobliżu wysepki, chodząc w promieniu mniej więcej stu kroków od niej. Trwało to około pół godziny.

„Co za diabeł? Czego on chce? - myślał ze złością Zabawa. - Niech tu przyjdzie, to go przywitam! Szuka guza, to go znajdzie!”.

Nieznajomy, przeskakując z kępy na kępę, przechodził przez bagno w kierunku wysepki. Zabawa przykucnął obok pnia złamanej jodły i czekał. Gdy mężczyzna w czarnej kurtce stanął na wysepce, to zdarzyło się tak, że zatrzymał się tuż przy pniu jodły, a ponieważ się obracał, oglądając stąd uważnie bagno, to Zabawa w pewnym momencie znalazł się za jego plecami... Wyprostował się i położył mu lewą rękę na barku.

- 0... o... o..! - krzyknął tamten obracając się szybko w tył.
- Ła-ąpki do góry! - przedcedził przez zęby Zabawa.

Tamten, przerażony, podniósł ręce w górę, patrząc uparcie w lufę rewolweru, jakby oczekując w każdej chwili strzału.

-Siadaj! - rzekł Zabawa.

Nieznajomy pośpiesznie usiadł. Zabawa zrewidował jego kieszenie, znajdując w nich: scyzoryk, tytoń, gazetowy papier... Broni i dokumentów nie było.

- Ty skąd?
- Z Krasnego.
- Jak nazwisko?
- Bakut.
- Czego tu łazisz?
- Tak sobie...

1 Tak sobie?... Znam was: aparaty do samogonu chowacie!.. Co? A ty tu pilnujesz! Tak?

-Nie, towarzyszu, jak Boga kocham...

- Boga możesz i nie kochać!... Coś ty tu kręcisz! Mów lepiej prawdę, bo zabiorę do Mińska.

-Powiem prawdę, towarzyszu! Ja tu żadnych „kumpiracyj” nie mam... Byłem w lesie i znalazłem bibułkę...

Pokazał Zabawie trzymaną w lewej ręce bibułkę, pośrodku której było wydrukowane małymi, złotymi literami: „Solali”. Tę bibułkę, gdy Zabawa wypo-  
czywając w pobliżu bagna kręcił papierosa, porwał mu wiatr, unosząc ją o kil-  
ka kroków dalej. Zabawa lenił się jej szukać.

- Cóż z tego, że znalazłeś bibułkę?

- Bibułka zagraniczna, u nas takich nie ma. My, chłopci, w gazecie pali-  
my... Oł, ja i poszedłem szukać po śladach, bo tu muszą być gdzieś ludzie za  
granicy, z Polski... kontrabandyści...

- Może ta bibułka od kilku dni już leży?

- Nie... Świeża... Żeby dawno leżała, to by ją rosa zeżarła i pokurczyła...

Jak trzeba się wystrzeżać! - myślał Zabawa. - Najmniejszy szczegół może  
zdradzić!"

Zatrzymując chłopca przy sobie i nadal udając „władzę”, Zabawa wypyty-  
wał go z początku o samogonkę, a potem o wiele innych rzeczy, które mu i  
się przydały jako informacje, bo jeszcze niezbyt dobrze znał pogranicze.

Las zasnuły już gęste cienie drzew, gdy zwolnił swego jeńca.

- Idź sobie - rzekł - tylko uważaj, bo mi coś nie bardzo się chce tobie wē-  
rzyć. U was naród chytry! Oj, chytry!

Chłop skierował się na południo-wschód, pośpiesznie idąc przez bagno  
w kierunku traktu. Gdy jego kroki ucichły, Zabawa wyciągnął spod jodły wo-  
rek ze skórkami, umocował go wygodnie na plecach, sprawdził broń i ruszył  
na zachód, ostrożnie przeskakując z kępy na kępę.

\* \* \*

Zabawa błędził gdzieś w pobliżu granicy. Mimo to, że miał ze sobą buso- I  
lę, nie mógł wyjść na znaną mu drogę, a nie chciał przechodzić z towarem |  
granicy na oślep, w nieznanym miejscu. Szedł po ciemnych jak tunele ścież- [  
kach, nakrytych niby sklepieniem pochyłymi gałęziami leszczyny. Słyszał do- [  
latujący z dala śpiew żołnierzy, lecz słów z powodu dużej odległości nie mógł I  
odróżnić.

Postanowił koniecznie wyjść na trakt i przejść granicę w pobliżu drogi. I  
Prawie godzinę szedł z powrotem na wschód, a potem skierował się na po- j  
łudnie. W ten sposób oddalił się od granicy i (według jego mniemania) mu- (  
siał wcześniej czy później wyjść na drogę, bo przypuszczał, że się znajduje na  
północ od traktu. Wszedł do dużego lasu. Potężne sosny stały czarne, ponu-  
re i zdawało się, że niebo podpierają swymi koronami. Pachniało grzybami, I  
pleśnią i spróchniałym drewnem. Powietrze było wilgotne... Ścieżka przemy-  
kała się pomiędzy krzakami i drzewami... Przecinały ją, jak żyły nabrzmiałe,  
potężne korzenie leśnych olbrzymów. Las robił się coraz ciemniejszy...

„Pewnie w pobliżu jest rzeczułka” - myślał Zabawa. W pewnym miejscu przydarzyła mu się dłuższa zwłoka. Zauważył na lewo od ścieżki, po której szedł, jarzące się oczy, patrzące w jego kierunku. Stał... Fosforyzujące ślepia patrzyły złowrogo z ciemnej głębi lasu.

„Co za diabeł?! Może to rys?” - pomyślał Zabawa. Wycelował lufę rewolweru w tamtych kierunku... Ślepia ani mrugnęły. Tak samo zimne i okrutne, świecąc złymi ognikami, uparcie patrzyły mu w oczy. Zabawa zaczął szargać nogami po ziemi, dopóki się nie natknął na półzgniłą gałąź. Podniósł ją, nie spuszczać oczu z krzaków, w których się zaczął nieznanemu zwierzę, następnie rzucił gałąź w tamtych kierunku. Ślepia na chwilę zgasły, „zmużyły się” - pomyślał Zabawa. Potem znowu się ukazały, zimne, okrutne, wyczekujące... „Szkoda, że nie mam latarki” - pomyślał. Postanowił zbadać to zjawisko. Wolał stanąć oko w oko z niebezpieczeństwem niż oczekiwać stale napadu z boku lub z tyłu. Utrudniłoby mu to drogę... Wyjął drugi rewolwer i szybko ruszył w kierunku jarzących się oczu. Zrobił kilkanaście kroków w półschylony, skupiony, gotowy do napadu i obrony, i... zobaczył na jakimś leśnym zielsku dwa świętojańskie robaczki, pierwsze, które dostrzegł tej nocy. To właśnie wprowadziło go w błąd, tym bardziej że były umieszczone na jednym poziomie, a odległość między nimi równała się mniej więcej odległości pomiędzy oczami drapieżnego zwierza - rysia lub wilka...

Na granicę Zabawa zabrnął po wielogodzinnym bląkaniu się po manowcach. Jeszcze raz się przekonał, jak łatwo można zblądzić w lesie, w poszukiwaniu „dobrej drogi”. Najlepiej w tych wypadkach iść według busoli, w prostym kierunku, a nie szukać dróg wygodnych. W ten właśnie sposób, idąc stale na zachód, Zabawa wyszedł na granicę, gdy już zupełnie stracił nadzieję odnalezienia traktu... Nie dostrzegł poprzednio pewnej „drobnostki”: to, co kilka godzin temu uważał za polanę, przechodziło przez nią na drugą stronę, było drogą - długo poszukiwanym traktem, porośniętą trawą, z zasypianymi rowami. Więc był nie na północ od traktu (jak przypuszczał), lecz na południe, on zaś, chcąc znaleźć trakt, szedł na południe i w ten sposób oddalał się od niego coraz bardziej.

Granicę poznał od razu po słupach granicznych, lecz był zdziwiony, zobaczywszy przed nią gęstą ścianę drutu kolczastego. Znalazł w pobliżu długi drąg. Zamierzał, wspierając się na nim, przejść bezpiecznie na drugą stronę przeszkody. W pewnym momencie jeden drut wysliznął mu się spod stopy i Zabawa wpadł aż po kolana między druty, a tułowiem obalił się w tył, tak że głową i rękami dotykał ziemi. Zaczął się wykręcać z żelaznych szponów, w których niespodziewanie się znalazł, lecz zaplątał się jeszcze bardziej. Zrozumiał, że musi zachować jak największy spokój, jeśli chce prędko się wydo-

stać. Wyjął ręce z rękawów i był do połowy ciała wolny. Rozpoczął wywabiać nogi, co było bardzo trudne.

„Ładnie bym wyglądał, gdyby nadeszli bolszewicy!” - pomyślał. Lecz nikt mu nie przeszkodził i wkrótce wy dostał się z pułapki, ale ubranie miał podarte na strzępy, a ręce i nogi były w wielu miejscach pokaleczone... Jakby psy poszarpały! - ze złością powiedział do siebie.

Niebawem przedostał się na drugą stronę przeszkody. Poszedł wzdłuż granicy. Doszedł do słupów granicznych. Zatrzymał się obok tego, na którym było umieszczone godło państwowe Polski. Klepnął go dłonią i rzeki: i Serwus!

W tym czasie, gdy Zabawa na granicy wisiał głową w dół na przeszkodzie i starał się wypłatać z drutów kolczastych, w drugim podвале Czeki, w Mińsku, Antoni Kralewicz próbował, trzymając się rękami kraty, przesunąć na zewnątrz nogi. Głową naprzód przeleźć nie próbował, bo nie było oparcia dla nóg.

Przekonał się po kilku wysiłkach, że krata jest za wąska i zeskoczył z okna.

#### DZIENNIK ROMANA ZABAWY

12 października 1922 roku

(Wpociągu z *Mołodeczna* do *Baranowicz*)*j*

Po powrocie zza granicy zatrzymałem się w Rakowie, u Małki.

Podziwiam ją! Jak ta Żydówka może odziać i wyżywić siebie i pięcioro |  
dzieci, mając ten nędzny zajazd, w którym dotychczas żadnych prawie gości |  
nie widziałem? Snuje się z pokoju do pokoju, gruba jak pierzyna, mówiąc |  
komicznym żydowskim akcentem. Jest zawsze wesola. Stale jest czynna - na- j  
wet w nocy. Ciagle coś szyje, czyści, pierze, gotuje... Dzieci swe nazywa „bry- I  
lantami”. Gdy zapytałem ją, czy jest bogata, odrzekła, wskazując na dzieci:

- Uj, panie, ja bogata! Bardzo bogata! To są moje „brylanty”!

Spostrzegłem, że w żydowskich rodzinach dzieci bardziej szanują rodzi- I  
ców niż w chrześcijańskich. Rzadko się zdarza, aby w żydowskiej rodzinie I  
dzieci porzuciły na pastwę losu starych rodziców, a u chłopów i mieszczan - I  
chrześcijan - to na porządku dziennym. U Żydów rodzina jest bardziej spo- |  
joną i szanowaną komórką niż u nas.

Gdy we dnie poszedłem do dowództwa baonu celnego po dokumenty, I  
spozstrzegłem na Bokrówce mężczyznę w starszym wieku, który przeszedł I  
obok mnie, natrętnie mi się przyglądając. Nie zwróciłem na niego większej I  
uwagi i poszedłem dalej. Gdy wracałem Bokrówką do miasta, zobaczyłem I  
idących mi naprzeciw dwóch policjantów. Z zachowaniem wszelkich ostroż- 1  
ności zbliżyli się do mnie i zażądali okazania dokumentów, uważając, abym

zamiast dowodów nie wyjął z kieszeni rewolweru... Jeden i drugi mieli prawe ręce w kieszeniach, a palce (na pewno) na cynglach rewolwerów. Podałem im zaświadczenie służbowe... Podziękowali i przeprosili mnie. Zapytałem:

1 Was pewnie napuścił na mnie szlachetka, który tu przechodził przed półgodziną?

Potwierdzili to. Przypomniałem sobie, że był to ten sam szlachciura, na którego podjudził mnie Adam Kalinowski w Wołkowszczyźnie, a którego chciałem zastrzelić na dziedzińcu jego domu.

W Wołkowszczyźnie bracia Józef i Bronisław Kalinowscy przywitani mnie na podwórzu, oznajmiając:

-Adam zwariował!... Co robić?...

Pośzedłem z nimi do izby, w której leżał na łóżku Adam. Był w ubraniu. Leżał na wznak i bił nieustannie pięścią w brzeg drewnianego łóżka... Poznał mnie od razu i zrobił braciom znak ręką, aby wyszli z izby. Następnie usiadł i powiedział błagalnie:

- Pójdź pan do Mielechowicza!

| Po co? - zdziwiłem się.

- Niech pan pomówi z Lucją.

Dowiedziałem się później od jego braci, że Mielechowicz ma trzy córki. W młodszej, Łucji, zakochał się Adam i chciał ją poślubić przed wyjazdem do Ameryki, do krewnych, którzy zamierzali w najbliższym czasie przysłać mu „szyfkartę”. Ojciec Łucji na ślub się nie zgadzał. Kalinowscy, jak wywnioskowałem, również byli temu przeciwni. Na tym właśnie de Adam dostał obłędu... Zastanawiałem się później nad tym, że ulegając namowom wariata, omal nie narobiłem nieszczęść. Prawda, byłem pijany, lecz powinienem był krytyczniej się odnieść do fantastycznych opowieści Adama o więzionych w piwnicach domu Mielechowicza ludziach... A może ja również wariat, którego obłęd występuje po pijanemu?

Wieczorem, ulegając namowom Adama i prośbom braci Kalinowskich, pośzedłem do Mielechowicza. Przeprosiłem go, wyjaśniając tamtą sprawę... Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Okazał się (jak na tamte strony) bardzo praktycznym i postępowym gospodarzem. Prenumerował nawet jakąś gazetę, co na białoruskiej wsi jest rzeczą niezwykłą. Poznałem jego córki i specjalnie się zainteresowałem Łucją. Jest dość sympatyczna, lecz nie mogłem zrozumieć, co w niej niezwyklego znalazł Adam, który z miłości do niej dostał obłędu.

Mielechowicz był dla mnie uprzedzająco grzeczny. Odnosił się do mnie, jak dostrzegłem, z obawą. Gdy wkładałem rękę do kieszeni, to szedł za nią spojrzeniem.

Do Kalinowskich wróciłem późno, a po złożeniu sprawozdania ze swego posłannictwa zjadłem kolację (naturalnie: jajecznicę) i pojechałem na sta-

cję. Bronisław, który mnie wiozł do Olechnowicz, w drodze, prowadząc mną rozmowę, ujawnił swoje marzenie: pracować w piekarni bułek.

I Czy tak lubisz tę pracę, czy bułki? - zapytałem.

-Ja?... Ja, żebym był bogaty, to stale jadłbym bułki!

Trzeba przywieźć mu następnym razem dużo bułek. Są tańsze od wódki.., Różne, często komiczne i nie dla każdego zrozumiałe, są marzenia ludzi. Żeby mnie kto zapytał, jakie jest moje marzenie, czego bardzo pragnę, to nie ~~wiem~~, co bym odpowiedział. W tej właśnie chwili przyszła mi na myśl Lizka. Przypomniałem sobie sen... Chyba to moje marzenie! Ale ją i tak muszę zdobyć.., Gdyby się zgodziła, zabrałbym ją do Polski. Lecz na to jeszcze dość czasu. Na razie tak żyję, że plany na dalszą przyszłość muszę robić bardzo oględnie.

Żyję w pociągach... i tu, i tam. Pociągi, pociągi, pociągi... Wagony, wagony, wagony... Tu: góry walizek. Tam: góry worków. Tu w bufecie: obiady, porażące, czekolada. Tam, w bufecie: farbowana herbata z sodą, fałszowane landrynki, sacharyna (280 razy słodsza od cukru). Tu: lśniąca posadzki, centralne ogrzewanie, potop światła. Tam: zaplute podłogi, pokryte łuską „siemiacek” psie zimno, kopcące lampy. Tu: perfumy, jedwab, pończochy na nogach, puder na twarzach. Tam: smród brudnych, połatanych kożuchów, machorki i dziegiu, łapcie lub oporki<sup>64</sup> na nogach, puder - niebieski, szary i żółty, puder głodu na twarzach. Tu: wesole okrzyki mężczyzn i kobiet, śmiech dzieci. Tam: aroganckie głosy i przekleństwa żołnierzy, ryczenie władzy i bojaźliwe spojrzenia pasażerów. Tu plakaty: „Opiekuj się dzieckiem”!... „Nie jedz surowych owoców”!... „Wszyscy do walki z gruźlicą”!... Tam: „Nie pluć na podłogę”!... „Tyś dezterter”!... „Niepracujący niech nie je”!... Tu nie potrzebuję mieć stale napiętych nerwów, nie oczekuję w każdej sekundzie uderzenia z tyłu... A tam!...

Ja się nie boję w Sowietach. Nie, przeciwnie. Gotów jestem przy najmniejszej dekonspiracji bić się do ostatka. Dosłownie: do ostatniego tchu, do ostatniego naboju... Szyć kulami, szarpać granatami, a w końcu - nóż!... Byłe nie dać się i jak najdrożej sprzedać życie. Wiem, co mnie czeka w Czerezwyczajcel Wiem dobrze i nigdy im się nie poddam żywy! Męczy mnie tylko ta ciągła gotowość do boju, stałe napięcie! Właśnie to! Boję się, aby się nie spóźnić!... Gdy chodzę po sztabach, przemycam się przez dworce i kontrole Czeki, idę po ulicach, to mam takie wrażenie, jakbym miał na szyi pędę, którą w każdej chwili mogą zaciągnąć, bo drugiego końca tej pędzi nie widzę... Trzyma go w rękę ktoś okrutny, przebiegły... W ręce mam nóż - do przecięcia tej pędzi w tym momencie, gdy zacznie się zaciągać. Nie wolno tego robić: ani wcześniej, ani później, tylko w jednej, jedynej sekundzie, której nie wolno przegapić!...

<sup>M</sup> Stare buty o obciętych cholewach.

Męczy ciągle węszenie, słuchanie, wypatrywanie zasadzki. Męczy ciągle przyszywanie wzrokiem mroku nocy... Od tego oczy robią się błędne. Dostrzegam w lustrze u siebie w oczach inny wyraz: zimny, ostry i... błędny. Męczy nieustanna obserwacja wszystkiego wokoło, ocena każdej twarzy, spojrzenia, ruchu, słowa! Ręce są zmęczone od nieustannego zaciskania na broni; ciało I od ciągłego nadawania sobie pozorów niedbałej pewności siebie; twarz zmęczona od stałej maski; mózg od stałej pracy - obliczania szans, utrwalania w pamięci tysięcy, tysięcy szczegółów!...

Wszędzie sam. Jak diabeł zły, jak diabeł zdecydowany, jak diabeł hardy!... Tylko noc jest moją pomocnicą! Tylko las - moim przyjacielem!... W nocy, w lesie mogę walczyć na broń, spryt, wytrwałość... Ze wszystkimi! Ale we dnie?...

Gdy potem znajdę się w kraju, bezpieczny, to w duszy pozostaje jakaś próżnia, której nigdy niczym nie można zapełnić. I Ludzie wokoło pospolici, wszystko bez znaczenia, bez wartości... Pozostaje na zapełnienie tej pustki wódka i... awantury, które robię ustawicznie i za które otrzymuję surowe nagany.

Zdaje mi się, że tak zwana odwaga to nie jest odwaga w tym znaczeniu, w jakim ją zwykle pojmuję, lecz zgoła co innego. Nie mogę się połapać, co. Lecz wyczuwam w tym błąd. Może w przyszłości potrafię to wyrazić...

Niedawno pewien oficer, który odprowadzał mnie na granicę, człowiek mający wiele odznaczeń za waleczność, powiedział do mnie:

- Szkoda mi pana, że pan idzie tam samotny... w nocy... Ja - człowiek odważny, bardzo odważny, lecz w tym położeniu być... nie chcę... Co innego jest, gdy idziemy do ataku, ramię w ramię, podnieceni, zahipnotyzowani wspólnym zapałem, wspólną myślą... Jeśli śmierć, to - na polu chwały... Rana-zaszczyt, nawet u wrogów... Niewola - honorowa... A tu? I wstrząsnął się niemal z odrazą. - Czy pan naprawdę się nie boi?

Nie mogłem odpowiedzieć mu dokładnie na to pytanie, bo byłem nad granicą i myślałem o czym innym, a poza tym nie miałem czasu do namysłu... Jacy dziwni są ludzie! Dają bardzo trudne pytania, których trudności nawet zgłębić nie można, i pytają o to jak o godzinę... Odpowiedziałem mu wtedy coś w tym rodzaju:

I Czy boję się?... Nie wiem... Zdaje mi się, że nie... Ja teraz czuję tylko chęć do lotu naprzód, aby nie przeciągać oczekiwania nieznanego mi niebezpieczeństwa... A potem, gdy znajdę się „tam”, to będę miał zaciśnięte szczęki i złość w duszy, że ktoś może na mnie polować, przeszkadzać mi w tym locie... Nie boję się nikogo na świecie, dopóki mam w ręce broń... Ja jestem tam maszyną: stanowczą i celową, chociaż może niszczącą się bardzo ze względu na nadmierną, wieloplanową pracę mięśni, nerwów, mózgu...



namiętności... intuicji... instynktu... często do tego walczących ze sobą wajemnie. I żeby ta skomplikowana maszyna pracowała, trzeba ją oliwić: nienawością lub ideą...

Zapomniałem o pewnej rzeczy... może najważniejszej! Tej, która się nazywa: potrzebą... swoją, czyjąś lub ogólną.

\* \* \*

*Baranowicze, 16 października 1922 roku*

Siedzę u Lolki w hotelu i piszę. Pogodziłem się z nią zupełnie. Zgodę naszą przyspieszyły i zacieśniły podarunki, które jej zrobiłem. Kupiłem dla niej w Wilnie jeża. Mówili mi, że to młody samiec, ale ja nie wiem, czy to prawda, bo pleć poznaję po ubraniu, a wiek po pysku, a ten diabeł odział się w kłujące futro, zwinął się w futbol i ani go rusz! Prócz jeża przywiozłem Łolce piękny szal i sporo różnych drobiazgów. Siedzi teraz na łóżku i chrupie czekoladki, z ukosa patrząc na mnie. Dziwi się zapewne, że przyszła mi do głowy głupia myśl: gryzmolić coś o jedenastej w nocy.

Gdy myślę czasami o Lolce, to inaczej nie wyobrażam jej sobie jak na łóżku... w negliżu... Jej warsztat pracy... Nie wolno tak o niej pisać, bo to bardzo dobra dziewczyna. Jest niezbyt mądra, ale to nie zmniejsza jej zalet zasadniczych. Nie jest chciwa ani zarozumiała. Kochanków miała i przede mną kilku i zdaje mi się, do każdego przywiązała się szczerze, a ponieważ jest bardzo pięknie zbudowana (choć nieładna z twarzy), więc po stracie jednego łatwo znajduje następnego.

Z Mołodeczna pojechałem do Wilna. Tam w hotelu rozpakowałem worek ze skórkami. Posegregowałem je. Miałem 28 kun, 15 paczek (po 20 sztuk w paczce) altajskich wiewiórek i 6 żółtych lisów. Sprzedałem je. Kuny po 12 dolarów za sztukę, wiewiórki po 18 dolarów za paczkę, a lisy — po 4 dolary za skórkę. Sprzedałem tanio, bo bardzo się śpieszyłem... Zależało mi na czasie. Otrzymałem razem 630 dolarów. W ten sposób poprawiłem znacznie swe finanse, bo było u mnie już bardzo krucho z pieniędzmi. Tych, które otrzymuję na „robotę”, jest tak mało, że na same podróże nie wystarczają. Trzeba pomyśleć o tym, aby się wycofać z roboty, bo nie opłaca się wcale. To nie film!... Tylko jedna rzecz: zacząłem się przyzwyczajać do tej pracy. Zdaje mi się, że gdybym ją porzucił to w życiu moim utworzyłaby się olbrzymia luka, której niczym bym nie wypełnił! Zobaczą dalej...

Wstąpiłem do Karola Kraski i opowiedziałem mu o staraniach, które poczyniła jego żona, aby wyjechać do Polski. Oddałem mu list od żony i wyraziłem powątpiewanie, aby w niedalekiej przyszłości udało jej się załatwić tę sprawę.

Kraska niespodziewanie zapytał mnie:

1 Czy pan się zgodzi przeprowadzić mnie do Mińska, do żony, abym *mógi* osobiście z nią pomówić? Chciałbym równocześnie wstąpić do krewnych i znajomych w Mińsku i załatwić kilka spraw.

Opanowałem śmiech i rzekłem poważnie:

i Dlaczego nie? Można. To zwykła przechadzka... Trochę za długa, ale bardzo wesoła.

- Tak? Dos-ko-nale! Ja o tym dawno myślałem.

Obiecałem wziąć go ze sobą w listopadzie lub w grudniu, aby mógł pozostać tam dłużej. Miałem w tym swój cel. Wiedziałem, że jest skąpy, a idąc tam musiałby zabrać ze sobą z Polski prezenty dla całej rodziny. Dobrze by było, gdyby bolszewicy popędzili nam kota... Niezbyt, żeby nie wpadł, lecz tak, aby powąchał, czym granica pachnie! „Niechby się wytrząsał paniczyk!” - pomyślałem przy tym.

W Baranowiczach pojechałem od razu do Władka. Czekał na mnie tam Pułkownik.

- Przeczuwałem, że przyjedziesz dzisiaj - powiedział. - Specjalnie w tym celu przyszedłem, aby ciebie zobaczyć.

-Doskonale! Wypijemy!...

-Ja na to jak na lato!

-I ja nie od tego - dodał Władek.

Lecz pili wstrzemięźliwie, starając się natomiast mnie spoić. Ze zdziwieniem to spostrzegłem, lecz nic nie powiedziałem i po pewnym czasie udało mi się bardziej pijanego, niż byłem w rzeczywistości.

- Wiesz co, Romku, może pójdziemy w pewne miejsce? - zapytał mnie Pułkownik, który był prawie zupełnie trzeźwy.

- Zależy gdzie - odpowiedziałem.

- Do panien Olewskich.

-Do panien?... Panny?... Zależy, do jakich i przez ile „a”?

- Serio! To bardzo przyzwoita rodzina. Zobaczysz sam. Obiecałem przeprowadzić cię koniecznie... Ciebie tam w niczym nie skrepują; możesz być jak z kolegami... Naturalnie, w pewnych granicach...

-Żadnych granic nie uznaję (umiem je przechodzić), a panny lubię tylko takie, które się pisze przez trzy „n”.

- Powiedziałem ci, że się boi bab - rzekł Władek.

-Ja boję się bab?! - porwałem się zza stołu. - Jazda tam!

- Żeby on tylko skandalu u nich nie zrobił - powiedział Władek.

-Nie jest zbyt pijany, a zresztą, gdy się znajdzie w przyzwoitym towarzystwie, to wytrzeźwieje...

„Ajakże, wytrzeźwieję” - pomyślałem.

Wkrótce byliśmy w mieszkaniu Olewskich, w dużym pokoju, umeblowa-

nym bardzo gustownie. Przywitały nas wesoło i serdecznie siostry Olewskie. Ja, z pijaną galanterią i przesadną pewnością siebie, przywitałem się z każdą, mocno potrząsając ich ręce.

- Rudziński - powiedziałem do jednej. - Korygo! - rzekłem do drugiej.  
- Sielepow-Mołokow - zaprezentowałem się trzeciej.

Spostrzegłem na ich twarzach dyskretne uśmiechy. Pułkownik i Władek robili im z boku znaki, pokazując, że jestem podпиты. Starsza siostra, Hela, wysoka, szczupła szatynka, rozpoczęła ze mną rozmowę. Jej siostry, Zofia i Andzia rozmawiały z Pułkownikiem i Władkiem, obserwując mnie z boku. Byłem zły, że jestem jak zwierz wystawiony na pokaz ciekawskich. Idąc tu, miałem zamiar zrobić awanturkę, lecz teraz żal mi się zrobiło tych sympatycznych panien.

- Ciekawą jestem, jakie teraz robi wrażenie Rosja? - zapytała mnie Hela.

- Wrażenie?... Wrażenie brzydkiego babska po pięćdziesiątce, które po niehigienicznie spędzonej nocy w towarzystwie dwunastu jurnych narzeczonych leży na kupie gnoju i z przeproszeniem, wymiotuje.

- To żart z pańskiej strony. Przepraszam, że pana indaguję, lecz myśmy kiedyś mieszkaly przez dłuższy czas w Rosji, w Orle, więc nic dziwnego, że się interesujemy tym krajem - powiedziała jedna z sióstr; zdaje mi się, Andzia, najmłodsza.

- A granicę trudno przejść? - znowu zapytała Hela.

- Nie, jeśli człowiek może się ruszać.

-A jak ta granica wygląda? - zapytała Andzia, która wywarła na mnie wrażenie trzpiota-panienki.

-Jak ta granica wygląda? - powtórzyłem jej pytanie. - Ścieżka, ładnie utrzymana, żółtym piaskiem wysypana, drzewkami wysadzana. Deszcz je myje, słońce suszy, wiatr miecie, las ubiera, żołnierze butami froterują... A gdzie ona biegnie, słupy graniczne na baczność stoją - honory oddają.

- A czy idea komunistyczna chociaż częściowo weszła w życie? - zapytała po raz pierwszy Zofia. Odpowiedziałem:

- Idee, proszę pani, w życie wejść nie mogą, bo wtedy przestają być ideami. Idee, moja pani, są jak kwiaty, chustki do nosa i kobiety, po zastosowaniu praktycznym przestają być ideami. W większym nawet stopniu niż tamte obiekty, bo są delikatniejsze od kobiet, chustek od nosa i kwiatów... Są nie zmysłowe, tylko umysłowe...

Spostrzegłem w towarzystwie pewne skrępowanie. Oczy Pułkownika błysnęły humorem.

- Mocno powiedziane! - rzekł - i zdaje mi się, szczerze... Przez chwilę milczałem. Nagle przed oczami mi stanęły postacie rozstrzelanych: Koska, Olka i Czesława. Powiedziałem wówczas:

- Nawet najlepsze idee w rękach ludzi podłych robią się środkiem do mor-

du. A takie, do których ugruntowania trzeba krwi ludzkiej, niech będą przeklęte jako obłuda nawet wtedy, gdyby krwią tą była krew największego łajdaka!

Nikt mi nie odpowiedział. Było cicho. Wstałem z miejsca.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie chcę psuć wam humorów. Jestem źle usposobiony... Bardzo mi smutno... Są wspomnienia i bóle...

Andzia wstała:

-Więc po cóż pan idzie do nas?... Samotny? U nas będzie panu lżej... - zacerwieniła się i umilkła.

-Pójdziemy razem, Romku! - rzekł Pułkownik.

-Nie, ja nie chcę... Ja sam... Zostańcie!...

Gdy pożegnałem się z nimi i wychodziłem, usłyszałem z przedpokoju, jak Pułkownik mówił:

- Dziś on nie w humorze. Zresztą wiecie: taka praca!...

Na ulicy było sporo przechodniów. Gdy szedłem zamyślony, dostrzegłem przed sobą plutonowego, który, pijany, szedł krok w krok za jakimś cywilem i od czasu do czasu pluł mu z tyłu na palto. Czarne palto było całe upstrzone białymi plamami flegmy. Cywil przeszedł na drugą stronę ulicy i wstąpił do apteki. Plutonowy skierował się za nim i z pijanym uporem chodził przed drzwiami apteki, oczekując jego wyjścia.

„Ten ma zajęcie!” - pomyślałem i poszedłem się upić naprawdę.

W godzinę później, obładowany podarunkami dla Lolki, wchodziłem do jej pokoju. Wypiłem w sam raz i byłem w złotym humorze. Lolkę zastałem w domu. Leżała na łóżku w jakimś kolorowym szlafrocisku i przeglądała album, z widokami Kaukazu, który jej kiedyś kupiłem.

Zacząłem śpiewać dla niej od progu:

*Jak ja lubię te panienki,  
Co krótkie mają sukienki;  
Jak ja lubię te dziewczuszki,  
Co podnoszą w górę nóżki!*

Mieszkam u Lolki drugi dzień. Zgoda utrwalona. Mruczyjak kotka... Ciepło, cicho, ale niewesoło... Wszystko mnie znudziło. Nawet ona... Puchowa poduszka dobra jest pod głową, do przespania się, ale stale ją na głowie nosić, to się sprzykrzy.

Jutro trzeba wyjechać do Lidy, bo tu nie wytrzymam dłużej.

*Lida, 18 października 1922 roku*

Jeśli dobrze pomyśleć, to życie ludzkie nic nie jest warte, nawet najproduktywniejsze. Ktoś stworzy olbrzymie wartości kulturalne. Naród stanie na

wysokim szczeblu cywilizacji. Ludzkość wytworzy, zbiorowym wysiłkiem, wspaniałe warunki egzystencji... I cóż dalej?... Jak tego „ktosia”, tak i naród, i ludzkość całą czeka w przyszłości nieunikniona zagłada, bo prawa natury - dotąd znane - tak samo obowiązują małe organizmy, jak i duże, tak samo podlegają im jednostki, jak i narody, i ludzkość. Nawet nasza ziemia musi się zestarzeć i skończyć śmiercią naturalną, na „uwiad starczy”, jeśli przed tym nie zginie wskutek jakiejś katastrofy kosmicznej. Nawet znany nam kosmos musi ustąpić miejsca innemu kosmosowi.

Wartość istnienia jednostki - dla niej samej - zależy od sumy tych przyjemności (jakkolwiek je nazwać: pracą czy rozpustą, modlitwą czy twórczością), które potrafi wziąć od życia. Ja na przykład wczoraj na pewno miałem przyjemność, gdy w pewnej restauracji urządziłem niezbyt „smaczną” hecę. Poszedłem tam z kolegą, też agentem wywiadu. Byliśmy już pijani. Zażądałem dla nas wódki i dla siebie kotleta wieprzowego.

Na sali było sporo gości. W pobliżu mnie, za drugim stołem siedziało, konsumując obiad, większe towarzystwo... Nie jedząc, ale właśnie: konsumując. Wszystko się odbywało tak powolnie, majestatycznie, w takim skupieniu, jakby i jaki religijny obrzęd odprawiali, a nie spełniali pospolitą czynność napychania brzucha stawą. Towarzystwo się składało z trzech panów, czterech pań, dwojga małych dzieci i jednego chłopca lat dziesięciu, wesołego i ruchliwego jak rteć. On jeden się wyróżnił swym „anormalnym” zachowaniem wśród siedzących u stołu ludzi, prawdopodobnie jednej rodziny. W jego kierunku ustawicznie leciały piorunujące spojrzenia, morały i upomnienia dorosłych:

- Geniek, nie kręć się na krześle.
- Geniek, nie wierzgaj nogami!
- Geniek, nie bierz do ust noża!

I ciągle: Geniek, Geniek i Geniek!

Chciałem przerazić tę wzorową rodzinę. Pokazać im, jak wygląda naprawdę złe wychowanie, w porównaniu z którym wychowanie Genka byłoby wzorowe, a sam Geniek - aniołem wcielonym.

Tu zaznaczę, że kiedyś zrobiłem w tej restauracji olbrzymi skandal i byłem tu dobrze znany, więc niespokojnie patrzyli na mnie z za bufetu przestraszeni ludzie, jakby przeczuwając zbliżającą się awanturę.

Zwołałem kelnera i powiedziałem:

! Pójdziemy do kuchni!

Zaprowadził mnie tam. W kuchni zobaczyłem duży nóż do siekania mięsa. Wziąłem go i wróciłem na salę. Spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się ku mnie. Kelner i gospodarz restauracji niespokojnie kręcili się i w pobliżu.

- Panie szanowny! Panie łaskawco!

Zaczęłam rąbać siekaczem na stole kodet. Naturalnie talerz rozprysnął się w kawałki, serwetę i stolik pociąłem.

I Kodet jest za twardy! - powiedziałem gospodarzowi.

| Zaraz będzie inny.

-Ja chcę ten!... Jest również za surowy!

Kelner przyniósł na moje żądanie zapaloną świecę i ja dosmażałem nad nią, na widelcu, kawałki kodeta wieprzowego, a następnie ze smakiem zajądałem je, popijając wódką

Siedzący za dużym stołem goście pośpiesznie zjedli obiad i wynieśli się z sali. Nie słyszałem już ani razu: „Geniek!”.

Czytałem gdzieś, że nic nie ginie całkowicie! Nic! Wszystko ma pewne przyczyny i wywołuje pewne skutki. Nic nie przemija bez śladu!... Muszę nad tym pomyśleć. W tym jest jakieś grube bujanie. Ja się nie dam wziąć na kawał. To mi przyszło do głowy z powodu tej hecy w restauracji. Jakież będą jej skutki i ślady?

Wczoraj Janek zapoznał mnie z jakąś telefonistką. Pulchniutką, świeżutką i różowutką jak maślana buleczka. Prosiła mnie o odniesienie listu do matki w Mirńsku. Nie chciałem tego zrobić, ale zaczęła tak przymilnie zaglądać mi w oczy i tak żałośnie ułożyła buzię, że nie mogłem jej odmówić. Powiedziałem:

I Dobrze, niech pani przygotuje list.

-Proszę, już gotów! - wyjęła list z torebki.

Sprawiło mi to pewną przykrość. Tak była pewna, że nie potrafię jej odmówić... Kobiety często nadużywają swej „słabości”, a z nas w ten sposób robią dumiów. Poruszę tu pewną kwestię, o której często myślałem. Otóż mężczyzna, Niemiec na przykład, nie lubi Francuza, Polaka, pogardza Rosjaninem, nieprzyjaźnie się odnosi do Anglika, Włocha itd. Natomiast do Francuzki, Polki, Rosjanki, Angielki, Włoszki odnosi się uprzedzająco grzecznie, a temperatura tej grzeczności zależy od stopnia piękności osobniczki tej „gorszej” nacji. Jesteśmy tak dalece niewolnikami swych instynktów, że nie umiemy nawet być sprawiedliwi w stosunkach z ludźmi. Jeśli to rozumowanie nie jest błędne, to cała polityka międzynarodowa i wszystkie szowinizmy są walką samców, a kobiety stoją ponad tym... Kobiety - trybuna wybierająca samców bez względu na nację, rasę i wyznanie... Jak u zwierząt...

Jakie skomplikowane jest życie! Głowa pęka... Chciałbym o tym wszystkim czytać. Ale kiedy i co?... I po co mi teraz w ogóle coś poznawać? Może za tydzień mnie zakopią? I cóż wtedy z nabytej wiedzy?... Warto się uczyć i poznawać wtedy, gdy potem jest czas tym się delektować, z tego korzystać lub innym korzyść przynieść. A teraz?... W moim położeniu... Szkoda czasu!... lepiej pić!...

## VI. ZA GRANICĄ ŚWIADOMOŚCI

*Na harmonii grał nam Stachu,  
Ten kikutnik z grubą lachą.,  
I od siebie, i do siebie,  
Wywijali niby w niebie.*

(Z piosenki złodziejów)

Zabawa obudził się późno. Janka i Władka w domu nie było. Wstał i ubrał się. Przeszedł się kilka razy po pokoju. Dostrzegł stojącą pod łóżkiem flaszkę wódki. Wziął ją do rąk. Była prawie pełna. Przechylił głowę w tył i długo pił. Wypił prawie połowę jej zawartości. „Może pójść do gospodyni po przekąskę?” - pomyślał.

- Nie warto, obejdzcie się!... - na głos odpowiedział sobie.

Zapalił papierosa i długo siedział zamyślony, patrząc gdzieś w kąt pokoju, pod sufit... Mrużył oczy... Uśmiechał się... Po wypaleniu papierosa znów wziął do rąk flaszkę. Przewrócił denkiem do góry, spojrzął pod światło, a następnie dużymi haustami wypił resztkę wódki. Znów zapalił papierosa i wyszedł na ulicę. Szedł prędko, przeskakując przez pozostałe po wczorajszej ulewie kałuże.

Gdy mijał przejazd kolejowy, spotkał kolegę, Janka Kozłowskiego.

- Dokąd pan? Może do nas? - z dala już krzyczał Kozłowski.

- Do Janka.

- Może pan pójdzie do łaźni kolejowej? Pan ciągle w drodze, nawet wymyć się nie ma kiedy... A u nas łaźnia: moje uszanowanie!

- Nie mam bielizny na zmianę. Trzeba iść do miasta kupić.

- To faktycznie... Ale wie pan co? Ja panu dam czystą bieliznę. Swoją zmienię w domu, a pańską wezmę do prania. Zgoda?

Zabawa poszedł z nim do kąpieli. Wypita na czczo wódka oddziaływała na niego tym mocniej. Gdy wyszedł z kąpieli, gdzie Kozłowski po rusku wychłostał go w „parze” brzożową miotełką, był zupełnie pijany.

W godzinę później Zabawa z Kozłowskim był w elektrowni kolejowej. Mały stolik był zastawiony flaszkami różnych wódek i zimnymi przekąskami. Ktoś pokazał mu nabytego niedawno brauninga.

- Zobacz pan, czy dobry?

- Trzeba wypróbować... Puśćcie motor!

Wkrótce puszczony w ruch motor wypełnił hałasem olbrzymią halę, głośną wystrzały rewolwerowe... Zabawa, powoli celując, dawał strzał za strza-

kn do umocowanej na grubym kłocu drewna kartki papieru... Strzelali i in-  
ni..

Zapadał zmierzch, gdy ich paczka, w liczbie pięciu, skierowała się na Sło-  
bódkę.

Znaleźli się w dużej sali, licho, ale jaskrawo umeblowanej. Było tam klika  
wesółych, kuso ubranych kobiet i kilku mężczyzn. W powietrzu się unosiły  
śmiech, krzyki i wesole żarty..

Znowu polała się wódka: słodka i gorzka, czysta i zaprawiona. Ktoś pija-  
ny wzeszczał zachrypłym głosem:

*Pirsza knajpa — tam pod dębem —  
Baw się Maniu ze złotym zębem...  
Nóżka w lewo! Nóżka w prawo!  
Dziś, dziś, w lewo!  
Dziś, dziś, w prawo!  
Tara-dzira-dzira! tara-dzira-dam!  
Taj-tara-dzira-tam-tam!...*

Przed oczami Zabawy wirowały jaskrawymi plamami suknie kobiet, prze-  
plywały wesole twarze, podniecone krzykiem, śpiewem, muzyką i alkoholem.  
Było mu wesoło i bardzo gorąco; chciało się śmiać, śpiewać, mówić, lecz nie  
mógł zatrzymać w mózgu myśli, które szybko, jak nietoperze, przelatywały  
w polu jego świadomości. Uderzał nogami w podłogę w takt piosenki  
i chwał się w prawo i w lewo.

*Druga knajpa — u Meiera —  
Baw się Maniu jak cholera:  
Nóżka... nóżka... prawo!  
Dziś... lewo...*

Dźwięki coraz częściej się rwały. Coraz szybciej wirowały w powietrzu. Co-  
raz dalej ulatywały. Postacie znajdujących się w pokoju ludzi coraz więcej  
rozplywały się w powietrzu... Zatracały kontury...

Ktoś dał mu do ręki gitarę... Automatycznie działając, chciał ją nastroić.  
Obracał palcami kołki, szarpiąc jednocześnie struny, lecz dźwięki instru-  
mentu nie trafiały mu do uszu, drapały tylko twarz i łaskotały w nosie... Zdzi-  
wilo go to... Zaśmiał się i upuścił gitarę, która jęcząc potoczyła się po pod-  
łodze...

W kącie „czkała" harmonia i w strzępy rwała się pieśń:



*Trze... cia... ajpa... Neimana.  
Baw... aniu... chana...  
Nózka...  
a... a... a...  
ta... ta... ta...  
charcha-cha-cha-cha...*

Wszystko utonęło w chaosie dźwięków, w wirze słów i krzyków, w ulwie śmiechu... W powietrzu, jak flądry w wodzie, pływały czarno-białe głowy ludzkie, drgały nieforemne postacie obecnych... Ostra woń potu leciała nozdrza... Pokój wirował w powietrzu, podłoga chwiała się pod nogami.

Zabawa szedł przez pokój, który zdawał mu się nieskończenie długi. Ślownie wymijał zagradzające mu drogę, nieistniejące w rzeczywistości, przeszkody...

Był nieprzytomny... Zbliżył się do drzwi... Z tyłu pijany głos przeraźliwie ryczał:

*Panie rewirowy: deszcz pada!  
Tra-ta, di-ta-ta!  
Idą k... z „parada”  
Tara-dita-ta!  
E-e-e-e-ch!  
Tara-dita! Tara-dita! ———*

Dźwięki czepiały się ubrania, padały na głowę, lizaly twarz, łaskotały szyję, targały za włosy, zaglądały w oczy...

Zabawa szerokim ruchem, rzutem odemknął drzwi. Stał oko w oko z nocą... naprzeciw otchłani ciemności... Stał... Chwiał się...

Zrobił krok za próg... za próg domu i - ~~świadomości~~

\* \* \*

„...Ja muszę... muszę się ratować... wokoło oni... czerwoni... ścigają, i tropią... o! o!... blisko już!...”

Drzwi restauracji „Wilnianka” szeroko się otworzyły, tak że do ~~śodka~~ z impetem wpadł z korytarza pęd powietrza. Na progu stanął wysoki, ~~szczy~~ pły młodzieniec w czarnej, skórzanej kurtce. Na głowie miał białą papachę, załamaną do tyłu po kozacku. W ręce trzymał wycelowanego na salę ~~knię~~go matowo nagana.

- Ręce do góry! - zabrzmiały po rosyjsku wypowiedziane wyrazy.

Zimne, szare oczy ogarniającym chwytem trzymały salę. Głos przebrzmiał ostro. Gwizdnął w powietrzu jak szpicruta... Wargi się zwarły w twardą cienką linię. Twarz była jak z kamienia wykuta.

Na sali wszystko zamarło. Komicznie wyglądali ludzie, siedzący przy stolikach ze wzniesionymi do góry rękami (niektórzy mieli w dłoniach widelce i noże), dlatego komicznie, że nigdzie nie widzimy ich w takiej bezcelowej pozycji. Wyglądało to, jakby błagali kogoś u góry o łaskę, albo chcieli coś pochwycić, co niewidzialnie wisiało w powietrzu u sufitu.

Zabawa przemierzył szybkim, twardym krokiem salę i wszedł za bufet. Zobaczył wykrzywioną strachem twarz kobiety, jej rozszerzone z przerażenia, nieruchome źrenice... Ujął ją za rękę w przegubie i pociągnął za sobą ku wyjściu. Posłusznie szła za nim. Była jak zahipnotyzowana. Spojrzenia obecnych biegly za tą groteskową parą... Zniknęli za drzwiami.

Goście nadal trzymali ręce podniesione do góry. Nagle jeden, siedzący przy drzwiach do kuchni, wciągając głowę w barki, skoczył w te drzwi. Wkuchni podbiegł do otwartego okna... Ciszę jesiennej nocy przecięły rozpaczywe krzyki:

-Bandyci! Bandyci! Na pomoc! Ratunku!...

Zabawa wyprowadził swą brankę przed drzwi frontowe restauracji. Przybliżył głowę do jej twarzy i powiedział cicho, po rosyjsku:

-Proszę mi pokazać drogę na dworzec.

Kobieta zdumiona patrzyła mu w oczy, potem wyciągnęła rękę w kierunku dworca, który był w odległości 200-300 kroków od nich i którego latarnie było wyraźnie stąd widać. Zabawa puścił jej rękę i poszedł we wskazanym kierunku. Kobieta pozostała sama na ulicy i patrzyła za nim.

\* \* \*

Wokół Zabawy krążyły jakieś wrogie mu cienie. Uroił sobie, że otacza go żelazny pierścień oblawy, który pragnął przerwać, z którego chciał koniecznie się wydostać. „...Tam... tam droga wolna... tam pole, las...”. Poszedł w prawo wąskim zaułkiem, słabo oświetlonym przez wylaniający się zza chmur księżyc. Zobaczył przed sobą dwóch uzbrojonych ludzi. Ciężko, powoli człapali po błocie, idąc naprzeciw niego. Rzucił się naprzód. Błysnął im przed oczami matowym ciałem nagana.

- Ręce do góry!

Rozkaz wykonali natychmiast.

Zaszedł w tył i porzucając ich na ulicy poszedł dalej, pozostawiając za sobą nieruchomych ludzi, błagających o coś niebo. Nie słyszeli jego odejścia i długo tak stali...

„Aby tylko do lasu... tylko do lasu... Aby tylko wyjść z miasta!”

Środkiem długiej ulicy szedł człowiek. Był to z iekka podпиты szewc, który wracał skądś do domu. Szedł kulejąc, bo miał jedną nogę krótszą. Był zamysłony.

- Ręce do góry! - rozległo się w pobliżu.

- Co-o?... - nie zrozumiał szewc.

Nagle dostrzegł przed nosem czarną lufę rewolweru i omal nie usiadł ze strachu, tak mu kolana osłabły. Zabawa ujął go lewą ręką pod ramię, a prawą przycisnął mu do skroni zimną lufę nagana.

- Prowadź mnie za granicę!... I uważaj, bo... łeb rozwałę! - powiedział I Zabawa po rosyjsku.

„Wariat” - pomyślał szewc.

- Dobrze, dobrze, panie - rzekł, przyspieszając kroku i jeszcze silniej kulejąc.

W pobliżu składów „Żelbetonu” szewc się zatrzymał.

- Może mi pan pozwoli na chwilę odejść... w swojej sprawie...

Zabawa skinął mu głową.

Szewc odemknął furtkę i wszedł na olbrzymi dziedziniec. Zabawa został na ulicy. Szewc powoli przymknął furtkę i po cichu zamknął ją na zasuwę, następnie pośpiesznie rzucił się ku pokrywającym podwórze stosom drewna i prostokątom cegieł. Jak szczur wpełzł do jakiejś dziury i ukrył się tam... Gdy Zabawa posłyszał kroki uciekającego człowieka, to skoczył do furtki. Była zamknięta. Odbiegł na środek ulicy i z rozpędu rzucił się na wysoki płot u góry którego, na długich żerdziach, było naciągnięte kilka rzędów drutu kolczastego. Szarpiąc ubranie i kalecząc dłonie, przerzucił się na drugą stronę płotu.

Ściągał kogoś uparcie, długo, przesadzając płoty, przebiegając ogrody, sądy, ulice i zaułki... Jednocześnie czuł, że jest sam ścigany, że znajduje się [ w środku nieustannie ściągającego się pierścienia oblawy.

„Aby tylko wyjść z miasta... do lasu... za granicę...”. Wirowały w dobrym mózgu trwożne myśli.

\* \* \*

Drzwi mieszkania z impetem się odemknęły i do środka wkroczył młodzieniec w czarnej, skórzanej kurtce i białej papasze na głowie.

- Ręce do góry! - rzucił od progu.

Na kanapie, pod ścianą, siedziała matka z dwojgiem małych dzieci po bokach. Poznała we wchodzącym gościu, który niedawno był u nich na wieczo-

rynce i zalecał się do jej starszej córki, Stefki. Nie wykonała rozkazu i roześmiała się.

- A to z pana kawalarz!

- Nie śmiać się - ponuro rzekł Zabawa - bo zastrzelę!

Nagle strach ogarnął kobietę i pośpiesznie podnosząc ręce do góry, powiedziała płaczliwie do dzieci:

-Dziateczki, podnoście rączki do góry!...

Stefka była w sąsiednim pokoju, sypialni. Wyszła niespodzianie do nich, niosąc w rękach futro.

- Panie - rzekła do Zabawy - nie mamy wcale w domu pieniędzy. A to... moje futro. Najdroższa nasza rzecz... Weź pan...

Zabawa wziął jedną ręką futro i rzucił je pod nogi dziewczynie. Twarz miał straszna, zapadnięta, błędne oczy dziko lśniły.

- Nie trzeba mi ani złota, ani srebra! - rzekł z jakimś dziwnym, tragicznym patosem. - Proszę tylko wskazać mi drogę za granicę... A jak nie... to was pozabijam i sobie kulę wsadzę...

Dziewczyna wróciła do sypialni. Po chwili posłyszał stamtąd lekki szmer. Instynktem zwierza sprzed milionów lat, instynktem dzikusa sprzed tysięcy lat, jednym podświadomym rzutem zamroczonej myśli ogarnął sytuację i zrobił dokładny wniosek: „Ucieka przez okno”. Nie rzucił się do sypialni, by złapać ją z tyłu, lecz wybiegł przez drzwi, aby odciąć jej drogę ucieczki...

W głębi sadu, pomiędzy drzewami owocowymi migotała białą plamą bluzka biegnącej Stefki... Zabawa wystrzelił w tamtym kierunku z rewolweru.

Znowu poszedł w głąb nocy i w głąb obłądu... Szedł kierowany zamroczonym instynktem, który zerwał łączność z rozumem. Ruchami i czynami jego rządziły jakieś potężne siły, mające siedlisko w tajemniczej głębi mózgu, w tej niezmierzonej jego otchłani, która się znajduje za granicą świadomości... Organizm zatruty alkoholem, oddany na pastwę chorobliwych urojeń, bił się w błędnym kole (jak ćma w promieniach lampy), które wytworzyły chorobliwie napięte nerwy, anormalnie działający umysł.

\* \* \*

W gabinecie komisarza policji rozległ się dzwonek.

-Tu komisarz... Kto?... Dyżurny przodownik?... Z dworca... Co? Napad rabunkowy!... Skórzana kurtka... tak... Czekać przy telefonie... zaraz wydam zarządzenia...

\* \* \*

Do powiatowej komendy policji przybiegł kelner z restauracji „Wilnianka”. Był przestraszony. Cały się trząsał. Tchu nie mógł złapać. Zwrócił się do dyżurnego przodownika:

- Panie przodowniku!... Przed kilku minutami dokonano na naszą restaurację napadu... Jeden bandyta... czarna skórzana kurtka i biała czapka... był w środku... inni zewnątrz...

je \* \*

Do ekspozytury śledczej przykuśtykał szewc... Był bez czapki; ubranie miał wybrudzone, jakby dopiero co z błota wylazł.

- Co panu jest? - zapytał dyżurny agent.

- Panie... napadli mnie... na Poleskiej ulicy... jeden był w czarnej, skórzanej kurtce... chciał zabić...

\* \* \*

Na posterunek żandarmerii wbiegła kobieta:

-Panowie drodzy, ratujcie!... Bandyci!... Napadli na mieszkanie... strzelali... uprowadzili mi córkę...

\* \* #

Zarządzono silną obławę, przeprowadzoną solidarnie przez wszystkie organy bezpieczeństwa publicznego. Za obiekt centralny wzięto dworzec kolejowy. Dano rozkaz, że gdyby człowiek w czarnej, skórzanej kurtce i białej, zimowej czapce nie podniósł rąk do góry na pierwsze wezwanie - strzelać do niego... Zacieśniano łańcuch obławy, patrolując uważnie każdy dziedziniec, każdy budynek.

Zajścia dzisiejszego wieczora urosły już w legendę... Mówiono coś o bandzie grasującej w mieście. Wspominano nazwisko Muchy-Michalskiego.

Tymczasem Zabawa szedł prędko szosą obok dworca. Księżyc wzeszedł już wysoko. Chmury znikły z nieba i było dość jasno. Poruszając się prędko naprzód, Zabawa dostrzegł idącego naprzeciw niego człowieka.

- Ręce do góry! - krzyknął Zabawa, zbliżając się ku niemu na odległość kilku kroków.

- Pocałuj psa w nos! - odparł przyjaciel Zabawy, Kozłowski, który razem z nim pił w elektrowni i bawił się na Słobódce. Rozkaz Zabawy wziął za koleżeński żart i zbliżył się do niego.

- Czemu nie idziesz spać, już późno - powiedział Kozłowski, a widząc, że Zabawa bardzo źle wygląda, ujął go pod ramię i poprowadził do mieszkania braci Snowskich, którzy tego wieczora w domu nie nocowali.

Ułoży z trudnością Zabawę na łóżku; wyjął mu z ręki rewolwer i pozostawił go na stole. Następnie poszedł do siebie.

Ciężki sen przerwał chorobliwe majaczenia Zabawy. W mieście zaś łańcuch obławy zacieśniał się coraz bardziej, przesuając się w kierunku dworca kolejowego.

W tym czasie, gdy Zabawa, ogarnięty chorobliwymi urojeniami, błąkał się po ulicach miasta, banda dywersyjna Awdzieja przekroczyła granicę Polski na odcinku stołpeckim, udając się na północo-zachód...

Było ich czternastu. Mieli krótką i długą broń palną, granaty i jeden karabin maszynowy. Zadaniem ich było: terroryzować burżuazję polską na kresach wschodnich Polski, robić napady na majątki, posterunki policji, pociągi, obiekty wojskowe oraz prowadzić akcję sabotażową. W ogóle chodziło o dyskredytowanie w opinii ogółu polskich władz bezpieczeństwa publicznego.

O dziewiątej wieczorem zbliżyli się do chałupy małego rolnika włościanina Kalszy. Zapukali do okna. Powiedzieli, że to policja. A gdy im otworzono drzwi, runęli do środka jak do ataku, wrzeszcząc: „Ręce do góry! Ani z miejsca! Kto się ruszy, kulą w łeb!”. Prerażeni mieszkańcy chałupy, w lichej samodzielną bieliznę, stali pośrodku izby i dygotali ze strachu. A „groźni bandyci” ryczeli: „Dawaj pieniądze! Gdzie masz złoto, srebro, dolary, bizuterię?!”. Lecz w chałupie, gdzie nieraz kartofli brakowało, mimo gorliwie przeprowadzonej rewizji nie znaleziono nic kosztownego... Zabrano tylko buty, dwa stare kozuchy, sztukę płótna, kilka serów i bochenek chleba.

Żona Kalszy, kobiecina po czterdziestce, stała bosymi nogami na glinianej podłodze. Miała wzniesione do góry ręce. Jeden z dywersantów podszedł do kobiety i biorąc ją wpół pociągnął do łóżka. Kobieta zapłakała:

-Ludzie, dajcie mi spokój! - Ja chora na kobiecą chorobę... Dwa lata z mężem nie śpię...

Zgwałcili ją w pięciu, a potem ze śmiechem opalili jej zapalniczką włosy na wzgórku łonowym.

„Robota” szła wesoło! „Burżuazja” dygotała ze strachu!... Chorążyk w Mińsku, a Trocki na Kremlu mogli się cieszyć.

Zabawa obudził się późno w nocy. Czuł silny ból w całym ciele. Palił go wewnętrzny ogień. Nie mógł zrozumieć z początku, gdzie jest, a gdy się zorientował, to ledwo potrafił znaleźć drzwi i wyjść do sieni, gdzie stała beczka z wodą. Nie było żadnego naczynia, którym by mógł nabrać wody. Przechylił się głową w dół i pił, pił, pił...

Wrócił do pokoju, rzucił się na łóżko i znowu zasnął kamiennym snem... Obudził się po raz drugi bardzo późno. Zdziwionymi oczyma patrzył na świa-

tło dzienne i na pokój. Marszczył czoło. Chciał coś przypomnieć sobie i nie mógł.

..Było coś dziwnego! - wyszeptał. - Ale co?

Wzrok jego padł na leżący na stole nagan i nagle odżył w jego pamięci jeden tylko szczegół z zająć wczorajszego wieczora (reszta na zawsze utonęła w nurtach zapomnienia). Szczegółem tym był strzał. Huk wystrzału i ogień przecinający ciemność nocy.

„Może Janka zabiłem?” - pomyślał. Zbliżył się do stołu i wziął do ręki rewolwer. W bębunku było wczoraj siedem nabojów. Pamiętał to dobrze. Teraz zobaczył, że jeden został wystrzelony, a w bębunku tkwi w gnieździe tylko próżna łuska.

Zabawa prędko się ubrał i poszedł do elektrowni kolejowej, gdzie pracował Janek. Gdy się ubierał, posłyszał za ścianą rozmowę gospodyni z sąsiadką:

- I tam też byli bandyci?!

- Wszędzie, wszędzie, moja droga!

- O Jezu! To strach! Któż to mógł być?

- Mucha... Poznali go wszyscy!

- To łajdak!... - Powiedzcie no!...

Zabawa słyszał tę rozmowę, ale nie przywiązywał do niej żadnego znaczenia. „Głupstwa plotą! - pomyślał; Mucha nie może tu działać!”.

Znal dość dobrze organizację sowieckich band dywersyjnych. Wiedział, że Mucha ma inny odcinek, że działa z pomocą Pogranicznego Otriadu w Cimkowiczach i przechodzi granicę przeważnie na tamtym odcinku. Ponieważ było to w znacznej odległości od granicy, więc przedostać się tu z bandą byłoby mu bardzo trudno i niebezpiecznie.

Zabawa zamyślony prędko szedł ulicą. Nie spostrzegł wcale, że za nim szli żywo gestykujący ludzie, do których wkrótce się przyłączyli policjanci... Gdy wchodził na stopnie dworca, ze wszystkich stron skierowano ku niemu broń.

- Ręce do góry!

- O co chodzi? - zapytał zdziwiony Zabawa, widząc przy sobie tak liczną asystę.

Odebrano mu rewolwer i zaprowadzono na posterunek kolejowy. Obstawiono go silną wartą... Policjanci podziwiali dowody, które znaleźli w jego portfelu:

- Dobra robota, co?

Z uznaniem kiwali głowami przeglądając jego dokumenty - polskie i sowieckie.

- Forsy też ma sporo!

- Dolarowy zawód...

Po pewnym czasie zaczęli przychodzić na posterunek nieznanymi Zabawie ludźmi i rozpoczęła się konfrontacja...

-Ten sam... - mówiła jakaś kobieta, bojaźliwie patrząc ku Zabawie.

-Ten sam - powtórzyli inni: mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci, podając przy tym rozmaite szczegóły jego uczynków z wczorajszego wieczora.

„Co ja narobiłem” - myślał zdumiony Zabawa, wysilając pamięć, lecz nie absolutnie nie mógł sobie przypomnieć.

Przez parę dni był sensacją miasta. Nawet z województwa przyjechał pewien dygnitarz i zapytał go:

-A?... Co za jeden?

Zabawa powiedział. Dygnitarz odszedł zdziwiony i widocznie niezadowolony, że... nie zobaczył „groźnego bandyty”.

Dopiero na czwarty dzień zwolniono Zabawę z aresztu i zwrócono mu broń i dokumenty. Z powodu powyższych zajść miał wiele nieprzyjemności od swoich przełożonych.

- Nic, absolutnie nic nie wiem, co robiłem - mówił Zabawa. - Nic a nic nie pamiętam! - powtarzał wielokrotnie.

Nie wierzono mu wcale.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Raków, 23 października 1922 roku*

Są dziwne rzeczy na świecie! Tak dziwne, że zrozumieć ich nie mogę. Gdyby mi kto opowiedział historię o tym, że jakiś człowiek, pijany naturalnie, mógł chodzić po mieście, wykonywać skomplikowane czynności przez wiele godzin, na przykład: dokonywać napadów, chociażby bezsensownych, strzelać, terroryzować ludzi i zupełnie nie zdawać sobie z tego sprawy, to nie uwierzyłbym w to nigdy. Gdybym wówczas dokonał zabójstwa, sąd skazałby mnie na bardzo surową karę, a lekarze-rzeczoznawcy, na pytanie sądu: czy mogłem zdawać sobie sprawę ze swych czynów, na pewno odpowiedzieliby w tym sensie: „Jeśli człowiek zatruty alkoholem posiada jeszcze zdolność do skoordynowanych ruchów: chodzenia, mówienia, dokonywania skomplikowanych czynności, to musi zdawać sobie sprawę z tego, co czyni”. A ja powtarzam, że nic, absolutnie, nie pamiętam z tego, co robiłem w przeciągu wielu godzin tamtego wieczora. Wiem o tym tylko z opowiadań osób postronnych i protokołów policyjnych, a mnie nie wierzą... nikt... nikt!...

Po powrocie poprosiłem natychmiast o wyjazd za granicę, chociaż mógłbym jeszcze długo wypoczywać...

Za parę godzin - gdy się ściemni - idę do Sowieców. Idę z kolegą, starym agentem, Gruszewskim. Bardzo mi to przyjemne. Wiele o nim słyszałem, ja-



ko o zdolnym, odważnym i doświadczonym wywiadowcy. Takich jak on jest mało, bo większość to są tchórze i błagierzy.

Ja równieżemu się spodobałem. Poznaliśmy się w baonie. Węchem. „Kozak Kozaka pozna z daleka”. Poszliśmy do mnie, do hotelu, właściwie: zajazdu. Małka przyniosła wódki i gęsiny. Zaczęliśmy pić, lecz on pił niezbyt dużo; powiedział:

-Ja przed drogą dużo nie piję.

-Ja również...

- To i dobrze.

Dużo ciekawych rzeczy mi opowiedział... Takich, o których dotąd nawet wyobrażenia nie miałem. Te opowiadania wzmocniły moje zainteresowanie granicą i wywiadem. Przekonałem się, że jeszcze bardzo mało znam granicę i życie na pograniczu, ale postanowiłem w przyszłości poznać je lepiej. Gruszewski opowiedział mi, między innymi, taką historię o dwóch starych agentach wywiadu:

- Poznałem w zeszłym roku dwóch zdolnych wywiadowców, Sokołowa i Goldberga. Doskonale pracowali. Chodzili przez granicę prawie zawsze razem. Sokołów miał kolegę w Pogranotriadzie, z którym często się spotykał na sowieckiej placówce, udając czekistę z Zaslawia. Zaprzyjaźnili się strasznie. Nasi chodzili w gości do nich, oni do nas. Razem pili, razem się bawili, razem polowali na przemytników, a nawet sami towar przez granicę pchali. Trwało to przez kilka miesięcy. Pewnego wieczora Sokołów i Goldberg poszli, jak zwykle, do bolszewików. Wzięli stąd wódek, przekąsek i jazda w drogę!... Tam ich przyjęli pięknie, ładnie, a gdy się popili (było to zimą), przywiązali ich za nogi z tyłu do sań i jazda, co koń wyskoczy, do Kojdanowa... Ledwie żywych dowleczono na miejsce... Tak się skończyła ich gorąca przyjaźń z bolszewikami. Dopóty byli przyjaciółmi, dopóki tamci nie dowiedzieli się od nich wszystkich szczegółów o ich pracy i nie nakryli całej organizacji. Teraz z bolszewikami trzeba się trzymać ostro! Obecny Rosjanin, to nie przedwojenny parień rubacha®, dusza naraspaszku<sup>66</sup> i zakadyczny druh<sup>67</sup>, gotowy dla przyjaciela łba nadstawić i majątek stracić. Teraz po bolszewikach można wszystkiego się spodziewać. Materializm tak włożył im w mózg, że wypchnął stamtąd wszystkie żywe, szlachetne uczucia, pozostawiając najgorszą, martwą treść. Teraz widzę u Rosjan chciwość wprost straszną, zadróżkę niską, drobnostkowość, brutalność, lizusostwo, plotkarstwo, złośliwość, wyszydzenie cudzej biedy, zamiłowanie do szpiclowania i obłądny lęk przed władzą, wraz z głuchą, ukrytą nienawiścią do niej. Dostojewski pisał

dobry

przyjacieli,

szczerzy

człowiek.

<sup>66</sup> Dusza na oścież.

<sup>67</sup> Dozgonny, wiemy druh.

w *Biesach* mniej więcej tak: Dlaczego ci wszyscy socjaliści i komuniści są jednocześnie takimi skąpcami i nawet dzieje się tak, że im skrajniejszy socjalista, tym bardziej drży nad swoją własnością. Nie wiem, czy to prawda, ale stosuje się to w zupełności do tych komunistów, których spotykałem (a spotykałem ich tysiące), i do ich wychowanków. Ciągłe wbijanie w głowy tłumom, że były zawsze okradane i wyzyskiwane, zrobiło to, że każdy pragnie swą krzywdę powetować, a jakże inaczej to zrobić, jak nie na drodze wyzysku? Ciągłe bębnienie o konieczności dążenia do wygód materialnych, wytworzyło miliony chciwców, którzy w tym tylko cel życia widzą. Kręcą się w błędnym kole oszustw i samooszustw. Wszędzie, zawsze okłamywani i oszukiwani nie opuszczą sposobności, by kogoś okłamać i oszukać. Słyszałem, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje. Jeśli państwa o wysokiej kulturze mają dobre rządy, to zasługują na to; a jeśli Rosjanie od najdawniejszych czasów rządzeni byli przez tyranów, maniaków i wariatów, to nie zasłużyli na lepsze rządy. A jeśli nimi rządzą teraz z dziką nienawiścią do nich (nie licząc się wcale z ich potrzebami, tylko z własnym widzimisię), obecni władcy, którzy schlebując im w oczy, jako tłumom, traktują ich jak bydła... przepraszam: nie jak bydła, a jak psy, które tylko skórę z siebie mogą dać, i jak idiotów, którzy niezdolni są do zrozumienia ich obłudnej „polityki” i stawienia zorganizowanego oporu, to również zasłużyli na to. Żaden szanujący się człowiek nie da się bez oporu maltretować, nie będzie za to swemu oprawcy hołdów składał. Tak samo i naród. Naród rosyjski od setek lat oszukiwali różni aferzyści, biorąc go na rozmaite hokusy-pokusy. Jeśli ich nie było na Rusi, to ich szukali za granicą. Szli chociażby do „Wariagów”, kornie prosząc: „Kraj nasz wielki i obfity, lecz porządku w nim nie ma, przychodźcie rządzić i władać nami!”<sup>68</sup>. No i szli różni magicy ze wszystkich stron świata. Oglupiali, ośmieszali, wyszydzały Rosjanina!... Magicy ci nie mają nacjonalności i niczego poza własnym interesem i dobrym polem do działania nie uznają. Im chodzi o karierę, o pieniądze, o sławę. Mają więcej sprytu niż rozumu, więcej bezczelności niż odwagi. Wynajdują różne „kanty”, za którymi można się dobrze ukryć. „Brali” kiedyś naród rosyjski na „cara-batiuszkę” i na patriotyzm, potem na ziemię dla narodu, a potem na komunę, na elektryfikację i tak dalej - ciągle nowe „kanty”, aby nie dać czasu do namysłu. Biją durnia w łeb i w ciemię, a on zawsze będzie stał z otwartą gębą i patrzył na cuda w łapciu. To tak jak złodzieje „biorą” chłopca wiejskiego to „na konsula”, to „na adwokata”, to na „maszynkę”, to na „koperkę”, zależnie od sytuacji. Opowiem ci anegdotę... a może to zresztą fakt, bo Rosja to taki kraj, o którym anegdota brzmi jak prawda, a prawda jak aneg-

mi. Z Nestora (cyt. z pamięci).

<sup>68</sup> Ziemia nasza wielika i obilna, no poriadk

dota. W roku 1917, po rewolucji, na jednym z mitingów, w Piotrogradzie na trybunę wszedł pijany student:

- Towarzysze! - krzyczy - ja, student matematyki Piotrogradzkiego Uniwersytetu, przez dziesięć lat liczyłem i wyliczyłem, że jeśli cały obszar europejskiej i azjatyckiej Rosji rozdzielić pomiędzy wszystkich obywateli, to na mordę przypadnie po trzysta osiemdziesiąt dziesięcin, sto dwadzieścia cztery sążnie, dwa arszyiny i jedenaście i półwierszków ziemi!

- Prawilno! Wierno! - ryczą towarzysze.

Podniósł rękę do góry; zatoczył się na bok.

- Towarzysze! Ja, student matematyki Piotrogradzkiego Uniwersytetu, przez dziesięć lat liczyłem i wyliczyłem, że jeśli wszystkie pieniądze, które są w Rosji, rozdzielić pomiędzy wszystkich obywateli, to na każdy pysk przypadnie siedemnaście tysięcy sześćset dwadzieścia trzy ruble, czterdzieści jeden kopiejek i ćwierć grosza.

- Tak! Prawilno! Do góry go!

Dalej opowiadał student, po ile przypadłoby na twarz, na pysk, na ryło, na mordę koni, krów, świń, owiec, gęsi, kur, a nawet psów i kotów i zawsze witały go entuzjastyczne okrzyki: „Prawilno! Wierno!”. Nareszcie, gdy wódka dobrze go rozebrała, powiedział tak:

- Towarzysze! Ja, student matematyki Piotrogradzkiego Uniwersytetu, przez dziesięć lat liczyłem, ale nie naliczyłem tylu durniów, ilu tu widzę narażi... - uklonił się.

Z przodu zaczęto się oburzać; niektórzy się śmiali, lecz w dalszych szeregach motłoch ryczał w uniesieniu:

- „Prawilno! Wierno! Zdrowo! Do góry go! Hura! Wot eto tak!...”.

Zapadł zmierzch. Zaczęliśmy czyścić broń. Widząc, że on ma tylko jeden rewolwer, brauning małego kalibru, zapytałem go:

- Cóż ty z taką pukawką chodzisz?

- Ja nigdy nie strzelam na dystans... - odpowiedział Gruszewski. - Tylko w łeb! A to wystarczy.

Może on ma rację, lecz ja od dawna lubię broń tylko dużego kalibru. Gdy mam w rękę broń pewną, wtedy inaczej się czuję. Zdaje mi się zawsze, że małowkalibrowa broń jest nieskuteczna, że ładna „zabawka” może się popsuć lub zaciąć. Wołę nagany, mauser, a moim stałym, wiernym przyjacielem jest parabelum... Smukły, czuły, celny; bije jak błyskawica i jak młot, bo kaliber bardzo duży; działa bez zarzutu - jak dobry zegarek. Dotychczas nie trafiło mi się, by parabelum się zacięło, a zdarzało się dawać z niego po kilkadziesiąt strzałów naraz.

- Czy to nie komiczne - mówił po krótkiej przerwie Gruszewski - że komuniści, którzy wzięli w ręce rządy przede wszystkim z hasłem: wolność sko-

wa zanajbliższą krytykę ich ustroju, zdrową i rzeczową, natychmiast do mohylewskiej guberni<sup>69</sup> odsyłają. Przyszli jako zdecydowani przeciwnicy kary śmierci, a stosują ją (w 80% całkiem niepotrzebnie) w takim zakresie, w jakim nigdzie nigdy nie była stosowana, za najdzikszych, najokrutniejszych nawet tyranów. Czyż nie jest straszną obłudą to, że występując ostro przeciw wyzyskowi kapitalistów, opartemu na nieuczciwej kalkulacji i eksploataowaniu pracy, sami zmuszają do pracowania darmo, nie dając możliwości nawet odnowić zużytych przy wykonaniu pracy sił. I cóż czeka w przyszłości Rosjan pod tą „dyktaturą proletariatu” I nawet w dalekiej przyszłości - jeśli obecnego ustroju nie zmienią? W najlepszym wypadku oczekuje ich: przymusowa praca, obowiązkowa dyscyplina, bezwzględne posłuszeństwo władzy, określony metr płótna i para spodni, menażka zupy ze wspólnego kotła, którą ugotuje inny niewolnik, barłóg w skoszarowanym mieszkaniu - to wszystko, co charakteryzuje więzienie albo dawne niewolnictwo.

-Wiesz co? - rzekłem. — Ja mało w tych rzeczach się orientuję. Mam tylko wewnętrzne przeświadczenie i ono, poparte tym, co widzę w kraju, mówi mi, że to szwindel. Każdego komunistę, któremu niezbyt dobrze się powodzi, można kupić w ten lub inny sposób. Wiem o tym z doświadczenia. Każdy jest ideowcem, dopóki nie zadrasną jego ambicji, a wtedy robi się wrogiem własnej, poprzednio pod niebo wynoszonej idei. Mnie pewien mądry człowiek powiedział: „Chcesz się stać wrogiem ustroju kapitalistycznego - idź na służbę do kapitalistów; chcesz zrobić się wrogiem komunizmu - wstąp do partii komunistycznej”. A ja z własnego doświadczenia wiem: zawsze i wszędzie ten będzie panem, kto ma forszę. Czy tą „forsą” będzie siła fizyczna, czy przebiegłość, czy zdolność do jakichś sztuk, czy piękno osobiste, czy wartości materialne, czy — jak obecnie: pieniądze - wszystko jedno! Dla niego dobra ziemskie, dla niego chwała, dla niego szacunek!... On - pan!...

-Wiesz co? - rzekł dalej Gruszewski. — Zdaje mi się, że gdyby nawet komunizm w całej pełni wszedł w życie (co uważam za niemożliwe), to zamiast progresu zaczęłby się regres.

- Dlaczego? - zapytałam, nie przeczuwając, że posłyszę prawie to samo, co mi mówił pan Józef.

- Rosjanie - rzekł Gruszewski - są bardzo nieruchliwi. Nawet mając możliwość prywatnej inicjatywy niewiele zdziałali. A przecież kulturę pchały naprzód te narody, u których była silnie rozwinięta inicjatywa. Anglik, Niemiec, Francuz umieją pracować z samozaparciem, wyczerpując całą inteligencję i wszystkie siły, wkładając w pracę rozum, fantazję i namiętność. Dlaczego? Bo tę umiłowaną pracę stworzyli, byli jej ojcami, oczekiwali od niej owoców,

" Do mogiły - rozstrzeliwują.

które były ich i którymi mogli się dzielić, z kim chcieli. Wyobraź sobie teraz tegoż Anglika, którego się weźmie za łeb i postawi do nieodpowiedniej dla niego pracy, spełnianej (co prawda) tylko przez kilka godzin dziennie, i da mu się za to koryto, łach na grzbiet i barłóg. Czy to nie zabije jego zdolności energii, sił i chęci? Czy nie obróci go w takiegoż leniucha, jakich tu miliony których trzeba zapędzać do pracy groźbą głodu i kar, hasłami i mityngami? „Cóż dopiero mówić o Rosjanach, którzy pracują przeważnie z konieczności, Zbiorowy wysiłek jest dobry do budowania piramid przez niewolników a dźwignią postępu była i jest natchniona praca jednostek, praca samodzielna. Obecnie zbiorowość mogą zastąpić maszyny. Trzeba tylko mieć światłe kierownictwo u góry i poparcie dla jednostki - możliwość wszechstronnego jej rozwoju - wtedy i byt mas się poprawi... - Gruszewski zamilkł.

- Mnie jeden starszy człowiek, robociarz - rzekłem w odpowiedzi mu - powiedział tak: „Wynaleźli Marksa, a zabili człowieka!”. I to jest prawda, niezdarnie wypowiedziana prawda!

Gruszewski nie odzywał się. Siedział zamyślony i patrzył zmrużonymi oczami w łufę brauninga.

- Słusznie - rzekł po chwili. - „Zabili człowieka”... Nie, nie człowieka - naród zabili!... Zobaczmy: co teraz z trupa zrobią?

Gruszewski poszedł do miasta, po zakup potrzebnych mu za granicą rzeczy... Zapaliłem świecę i zapisuję to wszystko w dzienniku.

Zapada czarna, jesienna noc. Wiatr płacze za oknami. Dobrze, że mam towarzysza.

Kończę. Trzeba starannie się ubrać i rozmieścić wygodnie przy sobie rzeczy, których zwykle sporo się ueziera. Jak tylko powróci z miasteczka Gruszewski, wyruszymy w drogę. Z początku pójdziemy do baonu, a potem za granicę.

*Mińsk, 26 października 1922r,*

Dziś wynająłem od pani Żarskiej pokój, w którym dotychczas mieszkałem podczas pobytu w Mińsku. Biedna kobiecina nie zgadzała się na to. Mówiła, że jej nie wypada, że robi to przez grzeczność dla mnie i dla państwa Bragińców. W końcu ustąpiła i przyjęła pieniądze - komorne za kwartał. Powiedziałem jej, że w niedalekiej przyszłości mam zamiar na stałe zamieszkać w Mińsku i chcę mieć swój niekrępujący pokój... Chciałem w ten sposób pomóc cierpiącym biedę matce i córce.

Gdzie teraz Gruszewski - nie wiem. Wyszliśmy z Rakowa 24 października wieczorem (przedwczoraj). Przybyliśmy do Mińska bez żadnych przygód. W drodze, 14 kilometrów od Mińska, Gruszewski zaprowadził mnie na odpoczynek na swoją melinę. Spostrzegłem, że prędko się męczy w drodze. Nie

dawnego... Trudno opowiedzieć, jak ciężkie są te „drogi”, którymi my chodzimy. Aby to zrozumieć należy, trzeba po nich przejść. Wyobraźcie sobie, że człowiek, obciążony bronią i różnymi rzeczami, nieraz do 30 kg, przediera się przez granicę, druty kolczaste, zasieki, wąwozy, rowy, rzeki i krzaki. Idzie przez zalane wodą łąki, bagna, po grudzie i to na oślep, w zupełnej ciemności. Ani jednego kroku nie można zrobić na pewno. Noc ciemna. Teren nieznan. Wokoło niebezpieczeństwa. Trzeba mieć doskonale funkcjonujący organizm dobrego piechura, przyzwyczajenie do tego trybu życia i jeszcze coś, co mogą zrozumieć ludzie lubiący słuchać szumu lasu w nocy, kochający urok dalekich ogni - odległych, nie wiadomo, o kilkadziesiąt kroków albo o kilka kilometrów - i ten dziwny, nieuchwytny nastrój, który ogarnia ludzi lubiących patrzeć w oczy mroku i tajemnicy. Może te uczucia ma wilk, zdążający pod osłoną nocy ku nieznanym celom. Może ma je kiedyś i człowiek... Kiedyś... kiedy nasza cywilizacja była młoda, a nasi przodkowie żyli bardziej instynktem i sprytem niż „rozumem”.

Przebyliśmy rzekę Płecz. Zaznaczam, że poszliśmy po drodze Gruszeńskiego. On powiedział, że to najbezpieczniejsza na tym odcinku droga. Może to i prawda, lecz ile pracy kosztuje taka przeprawa przez rzekę - trudno sobie wyobrazić! Człowiek musi niekiedy przebyć rzekę w ubraniu, bo niebezpiecznie się rozbierać, aby gołemu nie „popędzili kota”, a potem mokremu trzeba długo iść jak najszybciej, żeby od ruchu wyparowało i wyszło ubranie.

Chcieliśmy sklecić tratwę, lecz nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego materiału. Nareszcie znaleźliśmy bród, ale po przebyciu tego „brodu” nie mieliśmy na sobie suchej nitki. Dobrze, że rzeka w tym miejscu nie była zbyt szeroka. Gruszeński po przejściu rzeki powiedział, porządkując ubranie i rzeczy:

-Chodzimy, męczymy się za parę groszy, za głodową rację! Nic swego nie mamy w kraju i oto tracimy zdrowie, ryzykujemy życie i wolność jak szaleńcy! A ilu znalazłoby się w kraju ludzi, którzy by się zgodzili dla dobra ogółu na taką kąpiel, którzy by chcieli odbyć taką przeprawę i narazić się chociażby na katar, aby się odwdzińczyć Rzeczypospolitej za dobrą egzystencję, którą im daje?

Spostrzegłem, że jest bardzo rozgoryczony.

- Po cóż pan pracuje? - zapytałem.

-Muszę, muszę! To mój los. Rzucił mi ten ochłap i muszę go się trzymać zębami i pazurami. Ja, mój panie, zostawiłem w Polsce matkę... Tylko ją jeszcze mam... Resztę rodziny bolszewicy i głód w Rosji wygubili... Ona tyle się poświęcała dla mnie, że ja dla niej w potrzebie gotów wszystką krew oddać. Ma blisko 60 lat, chorowita, pracować nie może i nie umie... Dałem kiedyś słowo ojcu w Rosji - przed jego śmiercią - że matkę z tamtego piekła wyra-

tuje, wywiozē do Polski i że tam głodu nie zazna... I tak będzie, dopóki ja żyję, a gdy mnie zabiją to... - nie dokończył.

Byliśmy na melinie u biednego chłopca, który ślepo nienawidził bolszewików, a nas uważał za przemytników. Kolejno śpiąc, wypoczęliśmy trochę, do-prowadziliśmy Mińska.

Pożegnaliśmy się na przedmieściu. Poszedłem do państwa Dwolińskich. Ucieszyli się bardzo moim przybyciem. Oddałem pani Jadwidze upominki i list od Karola.

- Dobrze, że pan przyszedł - rzekła pani Jadwiga. - Jest bardzo pilna sprawa!

- Co takiego?

-Jeśli pan nie zmęczony, opowiem panu.

- Słucham.

- Nie będę opowiadała wszystkich szczegółów, bo to długie i nieciekawe. Chodzi o to, że u mojej ciotki zamieszkują od trzech tygodni doktor, jego córka i były porucznik rosyjskiej armii. Oni muszą się przedostać do Polski (porucznik jest krewnym mojej ciotki). Sprawa ich, w razie pochwycenia, pachnie „ścianką”, bo zbiegli z Symferopola, z Czeki, gdzie za duże pieniądze przekupili „karnacza”. Kryją się tu już czwarty tydzień, a tymczasem Ceka dzieli miasto na rejony, przyjeżdżają w nocy samochodami, obstawiają całe dzielnice i trzęsą wszystko od piwnic aż do strychu. Więc, rozumie pani ciotczysko dygocze. Nie chciała nam z początku nic mówić. Nareszcie, w rozpaczy przyszła do nas po radę, bo wie, że mamy krewnych w pobliżu granicy. Ja od razu pomyślałam o panu. Innej rady nie ma. Gdyby pan się zgodził.. Pan tak często chodzi i tak szczęśliwie... Może pan weźmie ich ze sobą?

- To mi nie na rękę...

- Proszę pana! - pani Jadwiga błagalnie spojrzała mi w oczy. - To ostatnia nasza nadzieja! Żal ciotki i tych ludzi... Zrób pan to dla mnie!

- Pani mnie źle zrozumiała - rzekłem. - Ja się boję brać ze sobą obcych i ludzi, aby nie narazić ich na niebezpieczeństwo... Bo dla pani wszystko tym zrobił.

Żalowałem już, że odmówiłem jej... Jej, która jest tak dobra dla mnie, którą lubię i szanuję jak najlepszego przyjaciela, która wraz z całą rodziną stale ryzykuje dla mnie... A ona po chwili namysłu powiedziała:

- E... pan coś ukrywa!... - W tym jest coś innego, bo przecież pan się nie obawia przeprowadzić za granicę mnie wraz z Andzią!...

- Pani, to co innego! i rzekłem. - Bo pani... to, rozumie pani...

Zupełnie się poplątałem i nagadałem takich niedorzeczności, że aż wstyd. Nie pamiętam nawet, co mówiłem. Stało na tym, że ja, po powro-

cie i roboty, zabiorę ze sobą tę nieszczęśliwą trójkę. Ciekawym, co to za jedni. Wieczorem poszedłem do pewnej pani, Janiewskiej, do której list wręczyła mi jej córka w Lidzie. Opowiadałem już o tym.

Teraz się zatrzymam nad pewną kwestią: dlaczego nie chcę zwykle brać listów z Polski, dla osobistego doręczenia w Sowietach? Chętnie brałem te listy, o które proszono mnie, bym wrzucił w Sowietach do skrzynki pocztowej. Ale doręczać osobiście!... Zdarzyła mi się niedawno taka przygoda: ustępując prośbom pewnego właściciela fryzjermi w Wilnie, wzięłem od niego list i pudełko lakieru do paznokci „Ojja”, dla jego brata, również fryzjera w Mińsku. Fryzjerna jego brata znajdowała się przy ulicy Sowieckiej (byłej Zacharzewskiej). Przeszedłem tam. W zakładzie było sporo klientów, przeważnie wojskowych. Zapytałem chłopca o właściciela. Wskazał mi jęgomoscia siedzącego przy oknie i porządkującego jakieś kolorowe bloczki. Zbliżyłem się do stołu.

I Pan... - zapytałem, wymieniając jego nazwisko.

-Tak, ja. O co chodzi?

Położyłem na stole pudełko lakieru i podałem mu list.

- To panu przysyła brat.

Myślałem, że się zorientuje w sytuacji, wyjdzie ze mną gdziekolwiek z fryzjermi albo będzie rozmawiał cicho, a on nagle podniósł głos:

- A kiedy pan widział mego brata?

- W zeszłym tygodniu.

-Ajakże pan się przedostał tu aż z Wilna? Spostrzegłem, że obecni we fryzjermi ludzie, przeważnie sowieccy urzędnicy i wojskowi, z zainteresowaniem zaczęli mnie obserwować. Odpowiedziałem mu szorstko:

- Drogą służbową. Pracuję w komisji repatriacyjnej. Niech pan zaraz napisze odpowiedź, ja wkrótce przyjdę. Idę do Komendantury Miasta.

Opuściłem lokal. Nikt za mną nie poszedł. A przecież taki niedźwiedzioawy jęgomosć o kaczym mózgu, mógł spowodować straszne dla mnie konsekwencje. Gdyby się tam do mnie przylepił jakiś czekista, to narąbałbym mięsa i sam mógłbym zginąć. Naturalnie po list nie poszedłem, a mówiłem o komendanturze i komisji repatriacyjnej, żeby pomyśleli, że jestem jakąś „gubszą rybą”... Gdy potem, w Polsce, opowiedziałem o tym zajściu jego bratu, to bardzo mnie przeproszał. Co mi po tym?

Wieczorem poszedłem z listem do pani Janiewskiej. Zastałem w małym pokoju, jednocześnie stanowiącym kuchnię, dwie staruszki. Bieda straszna ~~zawsz~~ w oczy biła. Staruszki, zdziwione i strwożone, patrzyły na mnie. Oddałem list i powiedziałem otwarcie, że przywożę go z Lidy od córki pani Janiewskiej. Ile było wykrzykników, ile podziękowań!... Zaczęły zapraszać mnie do stołu. Wyjęły z pieca w garnuszku duszoną marchew i częstują mnie. Nie chciałem jeść wcale, a marchwi w ogóle nie lubię.



- Ależ, panie kochany, pan zdrożony, zmęczony...

- Zrób nam pan tę łaskę!

I tak mnie babiny przycisnęły, że im cały garnek marchwi, duszonej na jakimś gorzkim oleju, zjadłem. Naparzyły lipowej herbaty z sacharyną. Wypiłem szklanekę wstrętnego płynu.

Opowiadałem im dużo o Polsce. Pocieszałem, jak mogłem. Obiecałem znowu list od córki przynieść.

- O, Matko Najświętsza, żeby choć z tego piekła do ludzi się wydostać! - składała ręce jedna.

- Żyć, panie, tu nie można! Koniec świata nadchodzi! Wszystko zniczawili, zbezczeszcili ci bezbożnicy! - mówiła druga.

Pożegnałem je i odszedłem, błogosławiony i żegnany przez dwie pobożne staruszki - Polki. Te nie zdradziłyby mnie nigdy: starsze Polki we krwi mają zdolność do konspiracji i dyskrecji.

Rozczuliły mnie te kobieciny. Teraz nie żałuję wcale, że się zgodziłem oddać ów list. Wniosłem trochę światła w ich biedne życie.

*Mińsk, 1 listopada 1922 i*

Wczoraj wróciłem z Homla. Robota idzie dobrze. W drodze powrotnej i przydarzyło mi się takie zajście: w przedziale, w którym jechałem, znajdował się jakiś chłop. Wsiadł do pociągu w Osipowiczach, a wysiadł w Puchowiczach. Pasażerów było sporo... Ponieważ rosyjska publiczność woli mieć i w pomieszczeniach więcej ciepłego „duchu” niż tlenu, w myśl rosyjskiego przysłowia „para kości nie łamie”, to powietrze w wagonie było okropnie - takie, że siekierę można było w nim zawiesić. Chłop zdrzemnął się. Pociąg stanął. Siedziałem zamyślony. Gdy pociąg już ruszał, na dworze, pod oknem wagonu ktoś krzyknął: „Puchowicze!”. Chłop się porwał z ławki, chwycił korbę i zaczął przeciskać się pośpiesznie ku wyjściu. Wiedziałem, że przednie wyjście już zamknięte, bo zwykle, jadąc w wagonie, oglądałem wyjścia i siedzenie przedziały, aby na wypadek starcia wiedzieć, gdzie się cofnąć. Widząc, że chłop poszedł w złym kierunku, krzyknąłem do niego po polsku: „Nie w tamtą stronę!”. Więcej nic, tylko to... Natychmiast w białoruskim języku powiedziałem kilka zdań, maskując nimi poprzednie wyrazy i znowu się oparłem o ścianę przedziału, udając śpiącego. Żadne konsekwencje z tego nie wynikły, lecz na następnej stacji poszedłem do innego wagonu. Muszę lepiej uważać na siebie. Takich błędów nie można robić! I tak już popełniłem wiele różnych omyłek, lecz mnie nikt niczego nie nauczył. Wszystko musiałem zdobyć własnym doświadczeniem... Zdobyłem wiele, lecz czuję, że to „wiele” jest tylko znikomą cząstką w porównaniu z tym, co jeszcze mam przed sobą.

Zofii Braginowej i Lizy w domu nie zastałem. Wyjechały wraz z ojcem na wieś (miasto w latach głodu zawsze się stara połączyć dobrymi stosunkami z wsią. W lata syte wieś idzie do miasta i służy mu - w lata głodne miasto dąży do wsi i składa jej daninę: lustra, gramofony, wykwintną bieliznę, ubrania, meble). Po raz pierwszy od wielu dni dobrze się wyspałem. Obudziłem się późno od śmiechu Julki i jej koleżanki. Ubrałem się i uchylając strzęp podartej tapety, zajrzałem przez szparę w przepierzeniu do mieszkania pani Żarskiej. Dziewczyny, leżąc na plecach na podłodze, walczyły po cygańsku, zakładając nogę na nogę.

„Faktycznie, ma pani Żarska kłopot z córką!” - pomyślałem.

Dziewczyny hałasowały nieustannie. Gdy wszedłem do ich pokoju, to się uciszyły. Powiedziałem, że to brzydko tak tarzać się po podłodze. Wtedy koleżanka Julki powiedziała z poważną miną:

- Fiz-kul-tu-ra!...

- Cóż to za fizkultura? Jeżeli chcecie robić gimnastykę w pokoju, to trzeba przewietrzyć mieszkanie i ćwiczyć przy otwartym oknie.

Później pokazałem im kilka sztuczek z zakresu żonglerstwa i akrobatyki (niech tłuką talerze). Oczarowałem je zupełnie. Julka patrzy teraz na mnie jak na jakąś niezwykłą istotę. Próbuje nauczyć się niektórych moich trików, ale nie idzie biedaczce - za gorąco bierze się do ćwiczeń. Coś złała, coś przewróciła i nic z tego. Była zachwycona, gdy się dowiedziała, że w przyszłości zamieszkać u nich na stałe. Utrzymuje mój pokój we wzorowej czystości. W ich mieszkaniu nie ma porządku - szyby w oknach zakurzone, podłoga brudna, a u mnie wszystko aż lśni.

Wieczorem poszedłem, według umowy z panią Jadwigą, do mieszkania jej ciotki. Wszedłem do domu z tyłu, od kuchni, i zobaczyłem w pokoju stołowym siedzącego w towarzystwie dwóch kobiet jakiegoś komrota<sup>70</sup>. Myślałem, że się pomyliłem w adresie, i zapytałem:

- Gdzie mieszka pani Wąsowicz?

- Tu... to ja! Przepraszam... - zwróciła się starsza kobieta do oficera i wyszła ze mną do kuchni.

-Ja od pani Jadwigi... Było umówione...

- Tak, tak, wiem... Ale przyszedł znajomy córki, no i siedzi. Zaraz go odprowadzę. Niech pan zaczeka w ogrodzie. Ja zawołam...

Stałem za furtką w ogrodzie i kilkanaście minut czekałem w zupełnej ciemności. Tu zaznaczam, że umówiłem się z panią Jadwigą, aby powiedziała o mnie ciotce, że jestem przemytnikiem, i ona to zrobiła. Komrot wyszedł z domu i trzasnął furtką prowadzącą na ulicę. Wkrótce ciotka pani Jadwigi zawołała mnie do mieszkania. Kobiety wzięły lampę i wyszły wraz ze mną do

<sup>70</sup> Komandir roty - dowódca kompanii

sieni, gdzie wspólnymi siłami odsunęliśmy skrzynkę z węglem i zdjęli z podłogi brudny chodnik. Pod nim były drzwiczki do piwnicy. Tam ciotka pani Jadwigi zapukała do drzwi ostatniego przedziału i zaczęła odmykać dużą zardzewiałą kłódkę...

Przy świede lampy zobaczyłem w czarnym wilgotnym lochu, na zasłanym kołdrami sianie troje ludzi. Wyglądali dziko. Oczy ich, przyzwyczajone do ciemności, mrużyły się od światła lampy. W mroku piwnicy widać było okienko z wylamaną z niego kratą.

„Tędy mieli uciekać w razie niebezpieczeństwa” - pomyślałem.

- Pójdziemy do mieszkania - rzekła do nich pani Jadwiga. W mieszkaniu zasypano mnie mnóstwem pytań: czy granica jest łatwa do przebycia, czy „to” daleko, czy „gęsto” chodzi straż graniczna. Zadawali nawet niedorzeczne pytania, które o śmiech mnie przyprawiły. Szczególnie komiczny był tęgi, energiczny pięćdziesięcioletni jegomość. Był to ojciec młodej dziewczyny, mającej pyszne włosy koloru miedzi i duże, ciemne oczy. Z nimi był mężczyzna lat 35, były oficer rosyjskiej armii, elegancki człowiek o zmęczonej, wyblakłej twarzy i stale zmarszczonym czole. Widząc, że czas upływa, przeszedłem do rzeczy:

- Mam mało czasu i chcę skończyć sprawę! Panowie, widzę, mają go za dużo.

- Przepraszam - rzekł doktor - nie myślałem...

- Mniejsza z tym. Przejdźmy do rzeczy!...

- Proszę bardzo! - rzekł porucznik.

- Za granicę - powiedziałem - pójdziemy jutro. Proszę nie brać ze sobą żadnych rzeczy ciężkich... To co na sobie, przy sobie i małe pakunki w rękach.

- Futro można włożyć? - zapytała dziewczyna.

- Można. Jak państwo chodzicie?

Nie zrozumieli pytania.

- Czy możecie prędko i długo iść?... Chcę wyliczyć kiedy wyjść z miasta, aby wcześniej przejść granicę. Jeśli nie czujecie się na siłach, to można rozłożyć drogę na dwa dni.

- Panie, my w Jalcie po górach chodzili! - rzekł lekarz.

- Ja sportowiec! - powiedział oficer.

- Ja też mogę bardzo długo iść - dodała dziewczyna.

- Dobrze - rzekłem - przyjdę do was jutro przed zmierzchem. W drogę wyruszemy, gdy się ściemni.

Chciałem odejść, lecz zatrzymał mnie lekarz.

-Jeszcze jedna sprawa. Ile pan chce za przeprowadzenie nas przez granicę?

- O tym później...

- Nie, nie... Lepiej, żebyśmy od razu się umówili - rzekł oficer.

przypomniałem sobie swą rolę przemytnika i powiedziałem:

I Czy mogą panowie dać po 20 rubli od „sztuki”? Można i taniej, ale pogodą licha, a prowadzić was trzeba po pewnej drodze. z punktu" biorą po 10 rubli od figurki<sup>72</sup>, a stąd bardzo daleko.

Ucisnęli mi rękę i usilnie prosili, żebym koniecznie przyszedł. Taką twogę widziałem w ich oczach i słyszałem w głosach, że zrobiło mi się ich żal... Jak czasem dorośli, wykształceni ludzie są bezradni, jak dzieci! Żeby ich pocieszyć, powiedziałem:

- Proszę niczego się nie obawiać. Następnej nocy będziecie państwo w Polsce. Na pewno!

Wróciłem do domu późno. Do Braginów nie poszedłem, chociaż widziałem w oknach ich mieszkania światło. Nie ma Lizki, więc nic mnie do nich nie wabi. Julka odemknęła mi drzwi.

- Chce pan herbaty? - zapytała później, otwierając drzwi do mojego pokoju.

-A jest?

- Postawiłam imbryk na węglach, żeby nie wystygła.

- Dawaj!

Napiłem się herbaty i usiadłem do pisania. Najlepiej robić to w nocy. Ciesz się Spokój... W ogóle: noc - najlepszy mój przyjaciel!

<sup>72</sup> Punkt - mieszkanie na pograniczu, z którego przeprowadzają przez „zieloną granicę”.

<sup>73</sup> Figurki - ludzie przeprawiający się nielegalnie przez granicę.

## VII. KU BRZEGOWI ŻYCIA

*Ale jak tu było iść? Noc ciemna,  
wiatr, deszcz, blocko, kawał drogi,  
a do tego diabli wszędzie psocili,  
W. Reymont, Cudowne zmiłowanie*

Był ciemny wieczór. Padał drobny deszcz i w rzadką kaszę obracał leżący gdziegdzie w polu śnieg.

Po czarnej, tłustej, nasiąkniętej wodą roli cicho posuwały się naprzód cztery postacie. Szły z przedmieścia Mińska, na ukos w kierunku traktu odległego o trzy kilometry od miasta. Droga ta była bardzo trudna, lecz w ten sposób ominęli wiele niebezpiecznych miejsc. Zabawa szedł na przedzie, nie przodem, lecz bardzo szerokim krokiem — przyzwyczajając się do marszu. Od czasu do czasu oglądał się na idących za nim ludzi. Przypominał sobie ich słowa: „My w Jalcie po górach chodzili!”, „Ja - sportowiec!”, „Ja mogę przodem i długo iść!”, uśmiechał się, myśląc: „Podpuszczę ja wam pary, zaczekajcie!”. Żał mu było dziewczyny, ale była również bardzo pewna siebie i Zabawa myślał o niej: „Zobaczę, jak się ta koza popisie”. I dodawał po cichu: „To nie Jałta!”.

Szedł coraz przędzej, z lekka chwiejąc się korpusem w prawo i w lewo, prosto stawiając stopy. Szedł tym dziwnym, racjonalnym krokiem, którego nie wyrobili żadne ćwiczenia, lecz tylko długa wprawa i męczące, wielogodzinne przebywanie terenów. Zabawa kiedyś dużo chodził po bezdrożach i to przysporzyło mu się później. W jednej ręce miał przygotowany do strzału rewolwer, w drugiej latarkę elektryczną.

Za prowadzonych ze sobą ludzi Zabawa gotów był w potrzebie życie oddać. Raz wzięwszy ich pod swoją opiekę, czuł się całkowicie za nich odpowiedzialnym. A jeśli chciał dopiec im trochę, to tylko powodowany przekorą.

Szli gęsiego. Na przedzie Zabawa, potem doktor, za nim porucznik, z tyłu córka doktora. Przeszli dopiero miasto i zrobili dwie wiorsty przez pola, a już byli zmęczeni. Oddech mieli częstszy, twarze mokre od potu, bielizna lepiała się do ciała. Zdawało się im, że zrobili przynajmniej połowę drogi. Gdy Zabawa wyszedł na trakt, zaczął czekać, aż wszyscy z nim się zrównali i powiedział cicho:

- Proszę w drodze nic nie mówić - to i niezdrowe, i niebezpieczne. Proszę uważać na mnie i robić to, co ja będę robił. Stanę, to stać; będę szedł, to iść!
- Czy daleko odeszliśmy od miasta? - zapytał doktor.

- **Trzy wiorsty.**

- Tylko? - wykrzyknął zdumiony, bo zdawało mu się, że przeszli co najmniej 15.

Ruszyli w dalszą drogę. Rozciągnął się przed nimi długi, czarny szlak rzadkiego błota - nieustępliwy, ssący jak dekstryna, zdzierający z nóg obuwię. Ludzie szli z rozpaczą prawie. Każdy odcinek drogi zdobywali z wielkim trudem. Po dziewięciu wiorstach doktor zatrzymał Zabawę:

|Panie drogi, czy nie można by się napić wody?

-Lepiej nie pić, ale jeśli pan chce koniecznie, to zaraz was zaprowadzę. Niedaleko stąd jest studnia.

W pobliżu wsijarkowo przyprowadził ich do studni.

Długo pili wstrętą, cuchnącą wodę, aby tylko przedłużyć wypoczynek.

Znów ruszyli w drogę. Znowu się rozpoczęło nieustanne, zdawało się bezcelowe i nieskończone, przebieranie nogami w lepkiej mazi. Ludzie szli rozpaczliwie; tracili siły, lecz uparcie dążyli naprzód; szli, bo musieli iść, bo... nie można było stanąć.

W pewnym miejscu lekarz zawołał:

- Niech pan zaczeka! Zabawa zbliżył się do niego:

- Co pan chce?

- Nie mogę iść dalej... Trzeba wypocząć... - rzekł zachrypniętym głosem doktor.

-Jeszcze wiorsta. Jedna wiorsta. Tu nie ma gdzie się zatrzymać i miejsce niebezpieczne.

Westchnęli i z rozpaczą, wyczerpując ostatnie siły, ruszyli za przewodnikiem. Zabawa wiedział, dlaczego tak prędko się zmęczyli. Przyczyną tego była przede wszystkim obfita kolacja, którą na pożegnanie uraczyła ich gospodyni. Kolacja była zakropiona koniakiem, kupionym za olbrzymią kwotę „limonów” w Mińsku. Jedną flaszkę koniaku wzięto w drogę. Zabawa też wypił sporo, lecz był przystosowany do picia i mógł długo iść w najtrudniejszych nawet warunkach. Dobrnęli do lasu.

Zabawa zaprowadził ich na znaną mu polankę i wskazał miejsce na trawie pod olbrzymim drzewem.

- Tu wypoczniemy.

Rzucili się na ziemię. Ciężko dysząc leżeli bez słów, bez ruchu, delektując się słodkim procesem wypoczynku, kiedy uspokaja się pędząca w żyłach krew i mdleją strudzone członki. Zabawa podszedł do dziewczyny, która w rozpiętym futrze leżała na ziemi:

i Niech pani zdejmie buciki.

Nie wiedziała, o co chodzi, lecz usiadła i zzuła obuwie.

! Na wysokich obcasach pani nie dojdzie - powiedział.

- Cóż robić? - zapytała bezradnie.

-Zaraz... Poradzimy jakoś...

Wyjął z kieszeni ostry fiński nóż i zaczął krótko obcinać wysokie obcasy. Przeszkadzały mu gwoździe, lecz przecinał je również.

- Nogi mnie bołą... Trzewiki są za ciasne... - poskarżyła się później.

- Gdy pani będzie bardzo trudno iść, to proszę mi powiedzieć - rzekł Zabawa.

Wypoczywali długo. Potem Zabawa powiedział:

-Jeśli chcecie wypić, to można. Tylko po trochu!

Łyknęli koniaku i ruszyli w dalszą drogę. Przed tym Zabawa powiedział do nich, że szli marnie.

- Dlaczego? - zdziwił się lekarz.

- A tak: czternaście wiorst szliśmy przeszło sześć godzin.

- A pan ile czasu na to zużywa?

-Ja?... Ja mogę przejść w dwie godziny.

Znowu zaczęła się długa, ciężka droga, po której ludzie brnęli jak po mule. Zabawa, chcąc im ulżyć, szedł brzegiem traktu, wybierając mniej grząskie miejsca. - W lesie prowadził ich pomiędzy drzewami, a gdzie droga przed-  
nała łąki, tam szli po trawie obok traktu. Idący za nim ludzie nie skarżyli się. Zaciśnęli zęby i z przyspieszonym oddechem posuwali się naprzód. Szli bar-  
dziej siłą woli niż siłą mięśni.

W pewnym miejscu Zabawa się zatrzymał i podszedł do dziewczyny, która chwając się szła z tyłu.

- Może pani iść dalej?

- Mogę... - rzekła, ledwie łapiąc oddech.

- Niech mi pani da futro.

- Panu będzie trudno.

- Nie. Jeśli ja go nie wezmę, to je porzucimy. Pani w nim dalej iść nie może.

Zdjęła futro i Zabawa włożył je na siebie.

- Może pani teraz iść?

- Tak, teraz o wiele łatwiej. Dziękuję.

Poszli dalej. Następnego odpoczynku zrobili o pięć wiorst od granicy. Długo leżeli w milczeniu... Zabawa wy kalkulował w myśli, że od godziny piątej wieczorem, kiedy wyszli z Mińska, do drugiej w nocy, przebyli zaledwie dwa-  
dzieścia sześć wiorst. Było to bardzo mało. Sam, gdy się śpieszył, po najgor-  
szej nawet drodze mógł przejść tę przestrzeń w cztery i pół godziny.

Po dłuższym wypoczynku przed wyruszeniem w dalszą drogę Zabawa po-  
radził dziewczynie owinać stopy ręcznikami i dał do włożenia na wierz-  
cho swoje wełniane skarpety. Trzewiki musiała porzucić w lesie.

W godzinę później przebyli rzekę, stanowiącą w tym miejscu „drugą linię”. Zabawa musiał przeprowadzić każdego z osobna przez wartki prąd brodu, który sięgał im powyżej bioder. Szli po kamieniach, pokrytych pianą wodną. Poślizgnięcie się groziło skaleczeniem członków lub porwaniem z prądem na głębinę. Odetchnął z ulgą, gdy skończyli przeprawę i weszli do lasu.

Chmury się rozeszły i na niebie ukazał się księżyc. Mżący z wieczora deszcz dawno ustał. Zrobiło się zimno. W lesie gdzieniegdzie bieleły się długie pasma śniegu.

Zabawa w pewnym miejscu przykleknął i wyciągając rękę w kierunku wyraźnie stąd widocznego traktu, wskazał łufą rewolweru idącego pośpiesznie brzegiem lasu, wzdłuż drogi, mężczyznę w cywilnym ubraniu. Porwał się z miejsca, chcąc zabiec mu drogę, z przodu.

| Gdzie pan? - zduszonym głosem zapytał lekarz.

-Zaraz wrócę! Ciekawe: kto to?

-Panie drogi, niech pan nie idzie. Jeśli coś się stanie z panem, to myśmy przepadli!

Zabawa posłyszawszy w jego słowach taki obłądny lęk, że natychmiast zaniechał swego zamiaru i tylko z żalem śledził przekradającą się między drzewami sylwetkę. „Ma rację - pomyślał o doktorze. - Nie mam prawa ryzykować, dopóki oni są ze mną”.

Zwrócił się do towarzyszy podróży, wyciągając z kieszeni flaszkę z resztkami koniaku.

-Wypijemy wszystko!... I na rozgrzewkę, i dla dodania sił, i dla otuchyl Granica blisko!

Wypili wszyscy, zaczynając od córki lekarza. Próżną flaszkę Zabawa schował do kieszeni.

- Po co ona panu? - zapytał go porucznik.

- Na granicy im pozostawię. Zzujcie, panowie, buty i idźcie blisko ode mnie... Jak najciszej!... Granica niedaleko!...

Szli powoli, bez szmeru.

Zabawa słyszał, jak nerwowo oddychali idący z nim ludzie. Gdy od czasu do czasu patrzył w tył, widział przy świetle księżyca blade, zrezygnowane twarze. Z wielką uwagą, starając się zgadnąć jego myśli, patrzyli mu w oczy. Był dla nich tą deską ratunku, która jedna tylko mogła wynieść ich ku brzegowi życia, z tego strasznego morza... Widzieli za każdym krzakiem czających się ludzi, czuli czyhającą w pobliżu śmierć, oczekiwali zimnych błysków bagnatów, huku wystrzałów karabinowych. Czytał w ich oczach trwożne, nieme pytania i przykładął palec do ust.

Zabawa posadził ich na brzegu wąwozu, pod olbrzymią, rozłożystą, srebrną od starości jodłą, a sam zeszedł w dół. Zbadał przejście przez rzeczułkę.



Gdy wracał, włącząc pod górę, spotkały go wdzięczne spojrzenia trojga ludzi i śpieszące z pomocą dłonie... Serca wszystkich były pośpieszonym tętnem...

Przedostali się przez rzeczułkę i wspięli na drugi brzeg wąwozu. Położyli się w niskich krzakach nad brzegiem urwiska, mając przed sobą zalany powodzią księżycowych promieni dukt graniczny, środkiem którego biegła ścieżka graniczna.

Gdzieś z lewej strony rozległ się strzał i głośnie echem odbił się daleko po lasach i wąwozach. Wszyscy pytająco spojrzeli w twarz Zabawie.

Padł drugi strzał. Zabawa cały się skupił w oczach. Starał się przejrzeć gęste zarośla krzaków, rosnących daleko w prawo i w lewo, ponad brzegiem wąwozu. Jednocześnie uchem łapał każdy szmer, każdy dźwięk... Coś dostrzegł... posłyszał... Przygiął się bliżej ku ziemi. Dał znak wszystkim, by również to zrobili. Zaczął się gotowy do skoku. Ujął twardo parabellum w dłoń i zacisnął zęby. Oczy mu się zwięzły; zrobiły się zimne, okrutne...

Zza pobliskich krzaków ukazało się trzech ludzi w długich, szarych płaszczach i krótkich kozuchach. Mieli karabiny na pasach. Wracali z zasadzki... Szli powoli. Stanęli w pobliżu... Błysnął *ogień*... Zabawa wciągnął w nozdrza woń dymu tytoniowego.

„Machory nie palą... tytoń... graniczniki!” - pomyślał. Krasnoarmiejcy długo stali w miejscu.

Z lewej strony znowu padł strzał, a potem kilka, następujących jeden po drugim... Żołnierze pośpiesznie poszli w tamtym kierunku. Wkrótce utonęli w mroku.

Zabawa podniósł się z miejsca i dał znak towarzyszom podróży. Wszyscy powstali. Zabawa wyciągnął rękę w kierunku czarnego pasma lasu po drugiej stronie duktu.

- Tam, gdzie las, Polska... Zaraz pójde tam... Zaczekajcie... Jeśli mnie nie ostrzelają, to gdy błysną latarką, biegnijcie do mnie! - powiedział cicho pochylającym się ku niemu ludziom. - Śmiało! Nie *bać* się! Wszystko dobrze...

Prędko pobiegł lekko pochylony na drugą stronę duktu. Pozostającym na brzegu wąwozu ludziom serca rwały się za nim, lecz stali nieruchomo, patrząc ku granicy. Gdy upłynęło kilkanaście sekund, na granicy, z mglistej dąli, błysnęła szeroka struga promieni. Pobiegli w jej kierunku, nie czując wcale zmęczenia...

Wkrótce się znaleźli na wąskiej ścieżce pomiędzy dwoma słupami granicznymi.

Zabawa przywitał ich wesołym uśmiechem.

- Tu granica! A tam... - zatoczył ręką szerokie półkole - Polska!  
Stojącym pomiędzy słupami ludziom wzruszenie odebrało mowę.

Zabawa porzucił próżną flaszkę pod sowieckim słupem granicznym.

-Niech towarzysze powąchają, jak ślicznie pachnie burżuazyjny koniak! Lepiej niż ich samogon. Temu zaden politruk<sup>73</sup> nie zaprzeczy i nie uwierza mu! - powiedział Zabawa.

Weszli do lasu po polskiej stronie.

Gdy Zabawa z towarzyszami podróży pokonywał rzekę, stanowiącą „drugą linię” graniczną, w Mińsku, w pierwszym podwale Czeki, aresztowany 5 miesięcy temu, oskarżony o szpiegostwo Jan Pieliński, cierpiący męki pragnienia, lizał drzwi i ściany celi, szukając wilgotnych, zimnych miejsc.

Przedwczoraj dali mu kilka śledzi i kawałek lichego chleba. Będąc stale głodnym, zjadł je łapczywie. Wody zaś nie dali mu ani kropli...

Dziś wieczorem przyszedł do niego, w asyście kilku czekistów, sam Karakułow. Odemknęto drzwi i Karakułow pokazał mu trzymaną w ręku szklankę wody:

-Chceszpić?... A?...

- Ta-ak... - wychrypiął Pieliński.

- No, to mów wszystko!... Dostaniesz wody, ile zechcesz... No? - plusnął wodą w szklance, wylewając trochę na posadzkę.

-Dajcie... wody...

-Mów, wtedy dostaniesz!

Pieliński obrócił się do nich plecami i odszedł od drzwi. Czekiści powiedzieli kilka brutalnych przekleństw i zamknęli celę. Wiedzieli z doświadczenia, że złamać go trudno.

Australia... Nad centralną jej częścią czwarty dzień trwa nieustanna ulewa, przemieniająca w burzliwe morze olbrzymią równinę...

Gdy Jan Pieliński w pierwszym podwale Czeki cierpiał męki pragnienia, w drugim podwale tejże Czeki Antoni Kralewicz, udający zbiegłego z Polski złodzieja, chodził po celi... Nie mógł zasnąć... Prócz nawały ciężkich, trwożnych myśli dręczył go głód... okrutny, chroniczny głód..

Buenos Aires... Słynna tancerka kabaretowa, Lili Carmen, wlewa do wan-ny 50 litrów mleka, w którym codziennie z rana się kąpie, aby zachować na dłużej piękno i jędrność ciała.

Czynność tę pochwycił, za łaskawym zezwoleniem nadobnej tancerki, obiektyw aparatu fotograficznego pewnego reportera. Fotografia została umieszczona w większości ilustrowanych pism świata.

<sup>73</sup> Politruk 1 polityczeskij rukowoditel: polityczny wychowawca w Armii

Zabawa, zachowując wszelkie środki ostrożności, przeprowadził towarzyszy podróży bocznymi ścieżkami na cmentarz, a stamtąd zaułkami do domu w którym się mieścił zajazd Małki. Nie chciał, aby ich aresztowano, ponieważ wiedział, że pragnęli tego uniknąć (chcieli przedostać się do Iwieńca, gdzie lekarz miał krewnych, a stamtąd dalej). W drodze Zabawa się dowiedział, że lekarz posiada w Wilnie własny dom, a porucznik ma w Lubelskiem żonę, która mieszka w majątku swych rodziców. Dla nich powrót do Polski, po wielu ciężkich przejściach w Sowieciech, był istotnie zmartwychwstaniem.

Małka pośpiesznie odemknęła drzwi Zabawie, poznając głos hojnego, chociaż niespokojnego gościa.

- Uj, kogo ja widzę! A gdzie pański kolega?... Jaki to porządny! Jaki mądry! Jaki przystojny panicz! - wykrzywiła swą komiczną, okrągłą jak arbut twarz, z małymi oczkami i nosem, chcąc zapewne uplastycznić piękność Giuszewskiego.

- Wódka jest?

- Czemu nie? Dla pana zawsze jest.

Zabawa zaczął szykować paczkę dla podróżnych, bo wiedział, że do Iwieńca nic nie będą mogli kupić. A oni oczekiwali jego powrotu, siedząc na ławie w pobliżu bramy, na dziedzińcu zajazdu Małki, dokąd Zabawa wprowadził ich, odsuwając z zewnątrz nożem rygiel furtki... Po cichu rozmawiali...

- Dobry chłopiec - rzekł lekarz.

^ Żle tylko, że przemytnik - dodał porucznik.

- Trzeba go dobrze wynagrodzić - powiedziała córka lekarza.

Wkrótce wrócił do nich Zabawa, mając przy sobie sporą paczkę... Wyprowadził ich z miasta na drogę do Iwieńca i uszli razem przeszło kilometr. W pewnym miejscu zszedł z traktu na lewo i usiadł na trawie między drzewami. Przy świetle księżyca rozwinął paczkę.

- Mogłem posilić się u siebie w zajeździe, lecz wołałem razem z wami.. Polska wódka! - rzekł, nalewając do szklanki wódki, i dodał: - Piję za wasze zdrowie i pomyślność we wszystkim!

Oni życzyli mu: porucznik - powodzenia w interesach; lekarz - dobrego zdrowia; jego córka - szczęścia we wszystkim.

Zaczął się rozwidniać. Zabawa wyprowadził ich na trakt.

- Pójdziecie państwo prosto drogą, jak słupy telegraficzne prowadzą. Nie pytając nikogo dojdziecie do Iwieńca... Na drogach teraz spokojnie. Nikt was nie zaczepi.

Ku Zabawie zbliżył się lekarz.

- Tu pan ma pieniądze... Według umowy...

Zabawa wziął do ręki złote monety.

- Tu, zdaje mi się, więcej... - rzekł po chwili.

- Sto rubli - powiedział lekarz.  
- Była umowa: sześćdziesiąt... Jak umowa to umowa!  
Zabawa zwrócił lekarzowi czterdzieści rubli.  
-No, a ten prowiant, papierosy, wódka?... Pan kupował, wydawał pieniądze...  
- To co innego!... Przyjąłem was u siebie w gościach... w swoim domu - wskazał ręką czerniejący przy drodze las. - Za to nie płacą... Życzę państwu szczęśliwej drogi!  
-Dziękujemy...  
Poszli wolno na południo-zachód. Zabawa zrobił kilkanaście kroków w kierunku miasteczka, potem obrócił się i długo patrzył za nimi... Był zadowolony. Miał oczywisty dowód owocności swej pracy...  
W duszy jego narodziło się tkliwe uczucie dla znikających na zakręcie drogi ludzi, których wyrwał z morza nędzy, głodu i rozbestwienia... których doprowadził do brzegu życia.  
Na wschodzie, w krwawej purpurze, wstawało majestatycznie słońce...

## LIST PORUCZNIKA

*Iwieniec, 4 listopada 1922 r.*

Kochany przyjacielu!

Na razie jestem tak wzruszony, że nie mogę się zmusić do obszernego listu. Cały jestem pod wrażeniem przeżytych niedawno przygód i teraz, będąc bezpiecznym, czuję jakąś dziwną ociążałość fizyczną i umysłową. Czuję się niezdolnym do skupienia myśli i logicznego wyrażenia ich w liście.

Wczoraj wysłałem telegram do żony w Lubelskiem, aby przyjechała do mnie, bo nie mam żadnych dokumentów i odpowiedniego do cywilizowanego kraju ubrania; oczekuję jej przyjazdu.

Dotychczas nie mogę ochłonąć z przeżytych niedawno wrażeń... Nie wyobrażałem sobie, aby zwykła podróż do granicy i jej przejście mogły dostarczyć tyle emocji... Jestem odważny, byłem długo na froncie, nie boję się niczego, ale podczas tamtej piekielnej drogi miałem cały czas takie uczucie, jakbym był małym chłopcem, którego porzucono samego na cmentarzu... Wokół widma, potwory... ktoś chwytą za nogi, za ubranie... ktoś ściga, ktoś woła...

Całą nadzieję pokładałem w osobie przemytnika, który prowadził nas za granicę. Typ to brutalny, chociaż po swojemu uczciwy, lecz i złodziejże dotzymują danego słowa lub podjętych zobowiązań. Spozstrzegłem, że ma dwa

rewolwery dużego kalibru i prosiłem, aby mi dał jeden w drogę. Odpowiedział ironicznie: „Panu ciężko będzie samemu iść, a cóż dopiero z maszyną!”. Zapewniłem go, że nie utrudzi mnie to zbyt i że doskonale strzelam. Powiedział, że nie lubi mieć za plecami ludzi, którzy dobrze strzelają. „A jakże z kolegami?” - zapytałem go. Powiedział: „Co innego kolega, a co innego pan”. To mnie uraziło, lecz nie nastawałem więcej, bo nie umie grzecznie mówić. Zresztą, czy można wiele wymagać od wołu?

Dużo bym ci napisał, lecz nie jestem usposobiony do tego... Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości się zobaczymy, a wtedy pogadamy o wszystkim obszernie.

Przesyłam pozdrowienia dla całej Waszej rodziny i dla znajomych.

Ściskam Twoją dłoń

Władysław

\* \* \*

#### LIST LEKARZA

*Iwieniec, 4 XII 1922 r.*

Drogi kolego!

Spieszę Cię powiadomić o swym przybyciu do Polski, po długiej i strasznej tułaczce w Rosji. Hela jest ze mną. Jesteśmy zdrowi, tylko wyczerpani z sił, po ostatniej ciężkiej podróży z Mińska do Polski. Hela ma podparzone nogi, lecz jest wesół i czuje się doskonale. Mam wrażenie, że samo powietrze w Polsce sprzyja naszemu zdrowiu.

Podróż nasza, z pewnego względu, była dla mnie bardzo ciekawa. Miałem możliwość sprawdzić na sobie samym, jak funkcjonuje organizm człowieka będącego przez dłuższy czas w stałym niebezpieczeństwie. Otóż spostrzegłem, że organizm człowieka, znajdującego się pod presją strachu, nie reaguje jednostajnie, lecz falami o różnym natężeniu... Ogólna reakcja jest dobrze znana: przyspieszone tętno, błądzenie cery, drżenie członków i głosu, zachrypnięcie, suchość w ustach, obfity pot na ciele, na zmianę zimny i gorący, ściąganie się skóry na czaszce, „mrówki na plecach”, często do tego dochodzą raptowne niedyspozycje żołądkowe, niektórzy tracą nawet zdolność do ruchów lub wpadają w omdlenie. To już są objawy chorobliwe, a mnie chodzi o reakcje organizmu zdrowego. Otóż poczyniłem ciekawe spostrzeżenia, które miałem możliwość sprawdzić wielokrotnie na sobie samym i to w przeciągu kilku zaledwie godzin. Strach, właściwie trwoga, którą odczuwałem, miała niejednolite natężenie, więc dała mi możliwość śledzenia jej wpływu na organizm w rozmaitych gradacjach. Szczególnie zainteresowały mnie

funkcie wzroku, smaku, dotyku i węchu, które tworzyły nieraz tak dziwne akordy", że trudno było w tym się zorientować. Na przykład: skierowany uparcie w niebezpieczne miejsce wzrok izoluje słuch, a po kilku momentach organizm automatycznie wyłącza nieco wzrok i wysubtelnia w niezwykłym zakresie słuch, tak że słyszymy „głośnie" tarcie palca o ubranie, chociaż w normalnych warunkach nie słyszymy tego wcale. Ta izolacja kilku lub niektórych organów ciała na korzyść jednego jest zupełnie racjonalna, bo wtedy cała nasza energia działa jak bateria elektryczna, dopomagająca organizmowi w jego czynnościach poznawczych i ułatwiająca drogę spostrzeżeniom mózgu, który pod wpływem tej energii staje się bardzo czułą kliszą i z niezwykłą szybkością rejestruje zjawiska świata zewnętrznego. Tym się tłumaczy zdolność do szybkiej reakcji, różna u rozmaitych ludzi. To również objaśnia kwestię zemdlenia i całkowitej utraty zdolności spostrzegawczej, która znika, czy wskutek olbrzymiego jednoczesnego napięcia kilku organów, jakby psychicznego „krótkiego spięcia", czy na skutek raptownego, zupełnego wyłączenia działalności wszystkich organów, na korzyść instynktu samozachowawczego, albo jaśniejszego organu, który nie zdążył na czas swych funkcji objąć, a stąd - bezwład i utrata przytomności. Nie będę o tym wiele pisał, bo dopiero zaczynam te wrażenia przetrawiać w sobie. W przyszłości udam się do odpowiednich źródeł, aby sprawdzić swe wnioski, bo ta dziedzina nie jest moją specjalnością... Poczytnie sporo innych spostrzeżeń, lecz o nich również nie będę pisał, aby nie nudzić Cię zbytnio. Pomówimy o tym w przyszłości...

Obserwując siebie, obserwowałem równocześnie (jeżeli to było możliwe) towarzyszy mej podróży. Szczególnie interesował mnie nasz przewodnik - zawodowy przemysłowiec. Nie dostrzegłem, aby się bał; przynajmniej w niczym nie ujawniał tego na zewnątrz. Działał jak maszyna, pracująca to prędzej, to wolniej, w zależności od potrzeby. Ruchy miał celowe, równe, pewne, chociaż nerwowe, lecz to jest stałym jego usposobieniem. Może ludzie żyjący wciąż w niebezpieczeństwie „chorują" na zanik ostrych objawów instynktu samozachowawczego, inaczej człowiek musiałby wpaść w obłąd. Może to jest „choroba" w rodzaju „morał insanity" u zbrodniarza, a może - akty woli?

Spostrzegłem, obserwując naszego przewodnika, że gdy zbliżyliśmy się do niebezpiecznych miejsc, to długo nasłuchiwał i obserwował podejrzane miejsca, a następnie szedł tam bardzo szybko, starając się jak najszybciej je zbadać. Może robił to dlatego, aby nieprzyjaciel, który mógł być ukryty w zasadce, nie miał czasu się zorientować w sytuacji albo by, widząc szybko i pewnie idącego człowieka, pomyślał, że to swój, i nie strzelając, dopuścił go jak najbliższej. Rilką razę spostrzegłem, że w miejscach niebezpiecznych wciągał głowę w barki i pochylał się trochę naprzód, jakby chcąc zmniejszyć

w ten sposób odległość pomiędzy sobą a niebezpiecznym miejscem. W pewnym momencie, gdy w pobliżu nas znaleźli się żołnierze bolszewickiej straży granicznej, przycupnął na ziemi - przybierając postawę gotowego do skoku dzikiego zwierza. Złudzenie było tak zupełne, że sprawiło mi przykrość patrzeć na niego... Dostrzegłem nawet podniesioną górną wargę i lśniąca białych zębów, a oczy jego, z lekka przymrużone, patrzyły uparcie w jedno miejsce... Rzeczywiście: człowiek - szczególnie rzucony poza cywilizację i znajdujący się w niebezpieczeństwie - ma w sobie dużo zwierzęcych cech. Jego spryt, szybkie reakcje, odwaga, ostrożność, błyskawiczna ocena sytuacji nie są niczym innym jak powrotem do czasów przedhistorycznych, gdy człowiek musiał na kły, pazury lub za pomocą prymitywnej broni walczyć z dzikimi zwierzętami i polować na nie.

Na razie kończę. Wkrótce się zobaczymy, bo jutro wyjeżdżam do Wilna, a po załatwieniu najważniejszych spraw przyjadę do Was.

*Życzę ci dobrego zdrowia*

*Zygmunt*

P. S. Zauważyłem, że kilka lat życia w barbarzyńskim kraju pozostawiło nas z dala od wiedzy i kultury europejskiej. Mało tego: wiele rzeczy, tu politych, nas dziwi i wydaje się niezwykle. Dobre jedzenie, przyzwoite ubranie i obuwie, grzeczność obywateli itd. itd. Czujemy się tak, jakbyśmy spadli na inną planetę. Szczególnie zachwycona jest Hela, która jak dziecko się cieszy wszystkim wokół, chociaż Iwieniec jest tylko małym, kresowym miasteczkiem.

\* \* \*

## LIST CÓRKI LEKARZA

Najdroższa moja Janeczko!

Nareszcie mogę napisać Ci, co chcę, nie obawiając się cenzury i wiedząc, że list mój otrzymasz za kilka dni, a nie za kilka miesięcy. Przede wszystkim komunikuję Ci, moja kochana, że jestem w Polsce!... Wczoraj w nocy, miałam papę, przebyłam granicę. Jestem trochę chora... Nie chora, ale mam podparzane stopy... W ogóle czuję się dobrze! Chce mi się śmiać z radości, gdy pomyślę o tym, że wkrótce zobaczę Ciebie... Jak ja marzyłam o tym w Białej Szewii... Nareszcie porządnie się ubiorę, będę miała możliwość obcować z kulturalnymi ludźmi, chodzić do teatru, czytać nowe książki i nie będę słyszała wokół przekleństw, widziała nędzy okropnej i brudu, brudu, brudu! Brr!... Ohyda!

Nareszcie uszłam od potwornych ludzi, zbiegłam ze straszego nie do uwierzenia kraju! To wszystko, co przeżyłam tam, wydaje mi się teraz okropnym snem i szczęśliwa jestem, że nareszcie przebudziłam się do życia... do życia!... Bo tam: głód, chłód, brud, smród, wszelka nędza i poniżenia!... Człowiek tańszy od wrony (bo ją można legalnie zjeść) i od naboju karabinowego...

Na zawsze pozostanie mi w pamięci nasza ostatnia noc w Bolszewii. To znaczy: droga z Mińska do granicy i miasteczka Rakowa. Nie było żadnych niezwykłych zajść, lecz jakże blade wydają mi się wszystkie niezwykle przygody bohaterów z książek wobec tych emocji, które przeżywałam osobiście w czasie owej podróży.

Prowadził nas do Polski przemytnik. Dziwny przemytnik! Papa i towarzysze naszej podróży (porucznik) mówili, że to pospolity mieszczuch, brutalny, niewykształcony, niekulturalny. Może to i prawda, lecz ja dostrzegłam tyle wrodzonej inteligencji, ile nie zawsze spotykałam u ludzi światowych. Zwracał się do mnie szorstko, niby „służbowo”, ale wyczuwałam za tym tyle życzliwości, że byłam wzruszona. Jeśli to faktycznie człowiek bez wychowania i pospolity mieszczuch, to szkoda...

W drodze było jedno komiczne zdarzenie. Wtedy było mi daleko do śmiechu, ale teraz... Musieliśmy przebyć rzekę, nie szeroką, lecz burzliwą. Przewodnik mówił, że to jakaś „druga linia”. Siedzieliśmy na brzegu rzeki w zaroślach łązy, w dole pieniała się woda. Przewodnik przeprowadził z początku porucznika. Widziałam, z jaką trudnością przebyli po kamieniach „bród”. Potem przeprowadził ojca. Nareszcie wrócił po mnie. „Pani nie podoła przejść” - powiedział. „Może potrafię” - odparłam. „Daj pani rękę... prawą” - rzekł znowu. Podałam mu z brzegu rękę, nie wiedząc, o co chodzi. Nagle-jednym ruchem zarzucił mnie sobie na plecy. Byłam zawieszona bokiem nad wodą. Wyobraź sobie, jak komicznie wyglądałam w takiej pozycji... jak owca. Przeniósł mnie ostrożnie przez „bród” i postawił na drugim brzegu. Dopiero wtedy poprawiłam na sobie ubranie, bo wyglądałam niezbyt... estetycznie.

Zresztą, po co ja Ci piszę to wszystko?... Wkrótce się zobaczymy i wtedy opowiem Ci dużo, dużo..

Całuję Cię mocno  
*Twoja Hela*

*Iwieniec, 4 listopada 1922 roku*

\* \* \*



## LIST ZABAWY

Olechnowicze (w pociągu)

3XII1922i

Serwus Goryle 1

Prosiłicie, abym zaraz po powrocie od „krasných” przyjechał do was, bo „macie dla mnie coś ciekawego”. Dobrze. Przyjadę. Co wy tam urządzać?

Dziś przyprowaǳiłem z Sowdepit trzy „figurki”: dwóch frajerów i facetkę, taką rudą, jak krowa waszej gospodyni, ale ładną - nie napatrzysz się: cukiereczek. Zarobiłem na tym interesie 6 guzików<sup>74</sup>, mogę je z wami przepić.

Heca z frajerami, którzy w takich tarapatach nie byli. Stary (ojciec nudej) ciągle mi w oczy zaglądał i krok w krok, jak cielę za krową, chodził. Pewnie się bał, żebym ich gdzie do błota nie wpakował i chciał mi się przypochlebić. Porucznik chciał, żebym mu „maszynę” dał na drogę, a gdy odmówiłem frajerowi, to się nadał jak mysz na cytrynę. A frajerka tylko oczkami żałośnie mrugała. Mówili mi, że potrafią dużo chodzić, że w Jalcie po górach się szwendali, że sportowcy, a jak im dałem Jałtę, to nie tylko z portek, a omal ze skóry nie powyłazili... Ale cieszę się, że krasnod... spod nosa trzy takie kąski sprzątnąłem... szczególnie tę rudą.

Wiozę dla was nową piosenkę Lulu. Chcecie wiedzieć, co to za Lulu?.. Posłuchajcie:

*Przed nią komie chyli czoło Frunze,  
Dyrektyw mamusi pełna jest,  
I żadną amnestią, kontrybucją,  
Darzyć wcale nie chce ona mnie!  
O, moja przecudna, Luluchno!  
Ty moja przepiękna, Lulu!  
Ja dla ciebie Strielkę<sup>75</sup> przesunę!  
Proletariuszy złączę tu!*

To babsztyl-ogień! W sowieckim guście: żadnych „amnestii, kontrybucji”, w mordę wali, aż paszczęki trzeszczą i zęby pod sufit pryskają. A ta obiecanka adoratora: Strielkę przesunąć i proletariuszy połączyć? Poezja, psia krew, jak cholera! A miłość jak dzuma! Nawet Frunze głowę zgubił... Hura! Niech żyje Trzecia Międzynarodówka i Lulu! Nie, nie tak: Niech żyje tylko Lulu! Helci uszanowanie, rodzicom: dwa.

Romek

\* \* \*

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Baranowicze, 7 listopada 1922 r.*

Nawet kilku dni nie wypocząłem i znów jadę na robotę. Zresztą, co w ogóle kiedykolwiek wypoczywam? Tam - nieustanna czujność, praca; tu - wódka, wódka i wódka... Trzeba to życie przerwać, bo się

nim, jak motyl w ogniu... Chociaż, cóż z tego? Ja może na to właśnie istnieję, aby błysnąć i zgasnąć... Nie wiem, czy potrafiłbym ten tryb życia zmienić. Wódka mnie coraz więcej. W kraju brak mi podniety, którą daje ta praca. Bez niej życie dla mnie straciłoby wiele pobawu. Wszystko nudne, marne, bezwartościowe...

Rozmawiałem niedawno z pewnym bardzo wykształconym jegomościem. Rękę miałem w kieszeni i bawiłem się bezpiecznikiem nabitego rewolweru. On mi powiedział coś nieskończenie mądrego, a ja patrzyłem mu w oczy i myślałem: „Otóż, jesteś mądry, mocny, a czy wiesz o tym, że ja mogę kiwnąć palcem i z całej twej mądrości, wraz z tobą, zrobi się kupa gnoju”? On pewnie wyczytał w moim spojrzeniu coś dziwnego, bo przerwał mowę i zapytał: „Czego pan tak patrzy?”. „Nic - powiedziałem mu - rypaj pan dalej! Lubię patrzeć, jak pan gębą rusza, a dla pana to dobra gimnastyka dolnej szczęki i języka”. Przerwał zdumiony i zagniewany. Czemu to ludzie mądrzy tak samo łatwo się gniewają, jak i głupcy?

Teraz opowiem, dlaczego tak prędko jadę znowu na robotę i co właściwie przyspieszyło mój wyjazd. - Po powrocie zza granicy napisałem do Lidy, do braci Kalisów, że zgodnie z ich prośbą wkrótce do nich przyjadę. I faktycznie, jak tylko załatwiłem swoje sprawy służbowe, natychmiast pojechałem do Lidy. Przybyłem tam piątego wieczorem. Urządziliśmy generalną pijatykę. Następnego dnia tak samo. W dzień się wyspałem, a wieczorem wstałem, umyłem się i oczekiwałem powrotu braci z miasta.

Zwróciłem uwagę na to, że w mieszkaniu gospodarzy panuje niezwykley ruch i ożywienie. Coś smaży, pieką, gotują. Jakaś kobieta pomaga w pracy. Hela chodzi wystrojona, uroczyista, ojczulek i matuchna również...

„Może u nich jakie rodzinne święto” - pomyślałem. Wkrótce wrócili z miasta Janek i Władek, niosąc jakieś pakunki.

1 Co tam macie? - zapytałem.

Zylży mnie czymś i odnieśli paczki do mieszkania gospodarza. Mnie zaczęło to intrygować, ale wypytywać ich nie chciałem. Ponieważ nie miałem nic do roboty w mieszkaniu, wyszedłem na ganek i usiadłem na ławce. Zapaliłem papierosa. Wkrótce wyszedł Władek. Pokręcił się po dziedzińcu, a potem usiadł przy mnie w ciemności.

- Co wy tam szykujecie, Władku? - zapytałem go.
- Nic... głupstwo!...
- Więc powiedz, jeśli głupstwo, po co ukrywać? Chyba wierzysz mi, że c nie zdradzę. On się zaśmiał i powiedział cicho:
- Zaręczyny będą...
- Czyje? - zdziwiłem się, bo nic o tym nie słyszałem.
- Zgadnij!
- Skądże... Nie wiem... Mów, bo dla mnie wszystko jedno, czyje, był wódkę pić.
- Twoje... z Helką...
- Moje z Helką?! - powtórzyłem zdumiony.
- No tak. My to uplanowali... Widzieli, że dziewczyna tobie się podoba...

Prezenty dla niej wozisz, zalecasz się do niej. Pomówili z nią, z papcią i manią, i postanowiliśmy zrobić ci niespodziankę... Posag też jest, a dziewczyna młoda, ładna, zdrowa i niegłupia... Żylibyśmy wszyscy...

Jeszcze coś mi mówił, lecz nie słuchałem go dalej. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego podczas moich ostatnich przyjazdów do Lidy gospodyni była taka troskliwa o mnie...

- Dobrze, idź Władku do mieszkania - powiedziałem. - Posiedzę tu, bo mnie głowa boli... Zaraz wrócę...

Władek poszedł do mieszkania. Pozostałem sam. Wieczór był ciemny. Niebo usypane gwiazdami. Widziałem wspaniałą konstelację Wielkiej Niedźwiedzicy, według której nieraz znajdowałem stracony kierunek... Myślałem: „Tam: cuda, tajemnice, niespodzianki, przygody; tam: ciekawa, kaskadująca nerwy gra... nowi ludzie, nowe słowa, nowe wrażenia... Tu: szarzyzna, monotonia, mierny dobrobyt mieszczańskiego życia, plotki, błahostki, smutki, samowar, rumianek, pantofle, kompresy, bękarty!... A żeby was...”.

Wstałem. Wyszedłem na środek dziedzińca. Patrzyłem ku gwiazdom... Gdzieś z dala rozlegał się gwizd lokomotywy... Hardy, silny, swobodny, panujący nad przestrzenią... Rósł, zbliżał się, szerzył, potężniał... Pędził zdała w dal i tam mnie ze sobą wołał... „Pociąg do Baranowicz”.

Nie wracając do mieszkania, bez czapki poszedłem na dworzec. Zwracano tam na mnie uwagę, ale policjanci nie zagabnęli. Jestem dobrze znany, co prawda tylko ze skandali, ale niech i tak będzie. Może skandale również są potrzebne dla jakiejś tam równowagi w życiu ludzi, świata i światów...

W Baranowiczach Pułkownik znowu próbował zaprowadzić mnie do Olewskich. Mówił, że one prosiły go o to, że mają do mnie jakąś ważną sprawę. Powiedziałem, że nie pójdę tam za nic... Może kiedyś, w przyszłości... Upiłem się na glanc i poszedłem do Lolki...

Wszystko mam uporządkowane. Dziś w nocy jadę na wschód, a do Lidy

Acój ani-anil Ja nie z tych, co do obroży sami wążą! Ja - zwierz wolny!...  
obroża mnie udusi!...

*Raków, 9 listopada 1922 roku*

Jestem w Rakowie. Zatrzymałem się w zajeździe u Małki. Dziś wieczorem idę za granicę. Dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy. W Stołpcach bolszewicy wykradli urzędnika starostwa, Kaleczycza. Podstępnie, przemocą zabrali go z restauracji w rynku i wywieźli za granicę. W ogóle bolszewicy z nami się nie krepują. To tylko nasi tak delikatnie z nimi się obchodzą. Opowiadając swemu szefowi o organizacji sowieckich band dywersyjnych, rzekłem:

-Dlaczego my nie odpowiadamy im również bandami dywersyjnymi? Ja tam na przykład chętnie się zgodził zorganizować jedną bandę i tak bym bolszewikom skórę pruć, że aż pierze by leciało! Nie takjak oni: cywilną, bezbronną ludność terroryzują! Ja bym im sowieckie i wojskowe posterunki rozbijał!...

-Nie wolno! - rzekł krótko mój szef, patrząc mi w twarz mądrymi, przeświadczeniymi oczami jakiegoś wschodniego bóstwa.

-A bolszewicy?...

- Na to oni są bol-sze-wi-cy...

Niedawno się dowiedziałem, że jednej z band dywersyjnych (bandzie Awdzieja, operującej w stołpeckim powiecie) zaproponowano wysadzić w powiecie most kolejowy na Niemnie, w pobliżu Stołpców. Zadanie przyjęli, pieniądze wzięli, dynamit przynieśli, przebrani za pastuchów, i schowali w „ziemiance”, wykopanej w pobliskim lesie. Na tym się skończyło. No, bo mostu pilnują uzbrojeni żołnierze, a oni wtedy są odważni, gdy mają do czynienia z bezbronnymi ludźmi... Ja później, będąc w Bobrujsku, mierzyłem oczami most kolejowy na Berezynie... To bym zrobił krasnym hecę! Cały plan „roboty” (na pewno) mam w głowie. Ale cóż zrobić?... Zimne oczy wschodniego bóstwa... szacunek dla doskonałego człowieka i wielkiego patrioty... I twarde, stanowcze słowa: „Nie wolno!... My nie bolszewicy!”

Jeszcze jedna przykra rzecz się zdarzyła. Z pierwszej kompanii 29. baonu celnego zdezerterował za granicę plutonowy, Górski. Pewnie coś tam przeszkobił. No, niech spróbuje szczęścia! A może mu się zachciało stać się komisarzem? Może przyśniła mu się gwiazdka z przodu, gwiazdka z tyłu, nagan z lewa, nagan z prawa, Chińczyk z tyłu, Łotysz z prawa, Litwin z lewa... czerwona czapka, służbowy samochód i sztab „sekretarek” ż la Lulu!

Pisałem już kiedyś o Żydówce, z którą się zapoznałem kiedyś za pośrednictwem Małki. Byłem potem u niej kilka razy, bo jest dość ładna i z temperamentem. Wczoraj wieczorem zaproponowała mi, abym wziął towar do Mińska, mówiąc, że dobrze na tym zarobię. Zgodziłem się na to, bardziej

z ciekawości niż dla zysku, bo chciałem wejść w życie przemysłowców i poznać je bliżej. Róża zaprowadziła mnie na ulicę Wileńską, do jakiegoś Żyda, który mnie przyjął zacierając ręce i częstując pejsachówką. W godzinę Żyd przygotował dla mnie „noskę”. Był to dobrze wyładowany i mocno uszyty worek z paskami, na których zawieszano go na plecach. Coś w rodzaju plecaka wojskowego. Noska ważyła 35 funtów<sup>76</sup> i zawierała skórę na obuwiu: gienę i chrom. Dał mi jednocześnie ksiwę<sup>77</sup>, napisaną po żydowsku. Po powrocie miałem otrzymać za przeniesienie towaru 40 rubli w złocie... Dobre i to...

Kończę. Trzeba się szykować do drogi.

2 Funt rosyjski - 400 gramów.

<sup>77</sup> Ksiwa - gryps, list.

## VIII. TOWARZYSZE PODRÓŻY

*Choć granica czasem  
prowadzi pod kule,  
Ale kto ją lubi -  
jak matka utuli.*

(Z piosenki przemysłowców)

W pobliżu „drugiej linii” Zabawa chciał przejść przez rzekę mostem, na którym stałego posterunku nie było, lecz często znajdowali się na nim patrolujący żołnierze. Niedaleko stamtąd było karaulnoje pomieszczenie<sup>78</sup>. Zabawa dobrze zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale nie chciał z ciężką mokrą na plecach przechodzić w bród. „Może przemknę się i teraz” - myślał, przypominając sobie poprzednie przejścia przez rzekę po moście.

Wyszedł z lasu. Stał i długo patrzył w kierunku niewyraźnie zarysowanego się o kilkadziesiąt kroków dalej mostu... Ani słuch, ani wzrok nie wykryły nic podejrzanego. Z dwoma rewolwerami w rękach poszedł prędko po z rzadka porosłej krzakami pochyłości. Od mostu dzieliło go zaledwie trzydzieści kroków. Przykucnął. Cały się skupił w słuchu i wzroku, wydało mu się, że z lewej strony mostu posłyszał w krzakach szmer... Plusk rzecznej fali przeszkadzał słuchać, lecz przypuszczał, że dosłyszany szmer spowodowali ukryci w krzakach obok mostu ludzie... Wzrok nic nie mógł dostrzec w ciemności, więc długo nasłuchiwał. Nagle - w jednej sekundzie - instynktownie wyczuł czające się w pobliżu niebezpieczeństwo. Porwał się z ziemi i schylając się coraz niżej, pobiegł z powrotem do lasu.

Padł strzał. Zabawa, wyraźnie widoczny na białym de śniegu, biegł w kierunku lasu, zmieniając co chwila kierunek... Jeszcze kilkanaście razy echo rozniosło po okolicznych lasach huk strzałów karabinowych.

Zabawa był już w lesie i prędko się przekradał pomiędzy drzewami, dążąc ku rzeczulce. Z tyłu rozbrzmiewały głosy ludzkie i było widać błyski latarek elektrycznych. „Szkoda, że nie przywitałem ich orzechami - myślał - nie byłoby tacy odważni”.

Ścigającym Zabawę ludziom było wygodnie go tropić, bo pozostawiał wyraźne ślady na śniegu.

Zabawa przyszedł na brzeg rzeki. Na odszukanie brodu nie miał czasu; zresztą nie wolno mu było brodem przechodzić, bo tam mogła być teraz zasadzka. Stał nad brzegiem rzeki. Woda pędziła u jego stóp... czarna, burzliwa...

\* Wartownia.

„Nie przepłynę z towarem” - pomyślał Zabawa. Zrzucił z pleców noskę i schował ją o kilka kroków dalej, w gęstwinie ogołoconych z liści krzaków. Wrócił na stare miejsce. Oblawa była blisko. Błyskały latarki. Rozlegały się podniecone głosy. Szczekała broń...

Zabawa skoczył z urwistego brzegu daleko do wody, która porwała go z prądem. Kilkunastu ruchami przebył wąską rzekę i czepiając się łoży wyjął na drugi brzeg. Przeszedł z powrotem wzdłuż brzegu i stanął naprzeciwko tego miejsca, gdzie na przeciwległej stronie rzeki był schowany towar. Stojąc za krzakami zaczął wyznaczać ubranie. Potem wyjął z kieszeni flaszkę spirytusu. Wypił kilka dużych haustów alkoholu, który ogniem rozlał mu się po ciele.

Ścigający go ludzie byli już na przeciwległym brzegu rzeki i Zabawa wyraźnie odróżniał ich głosy.

- Tu, tu!... O, ślady!

- Idźcie w lewo!

- Zachodź od lasu!

- Tu musi być!... Szukaj w krzakach!...

„Mogą znaleźć noskę!” - pomyślał z trwogą Zabawa i żal mu było porzuczonego towaru. Wkrótce posłyszał znowu głosy w krzakach.

- Tu ktoś jest! Stój! Stój!

- Czego wrzeszczysz? To worek...

- Dawaj tu!

Nad brzegiem rzeki, o kilkanaście kroków od Zabawy, przedzieleni od niego burzliwym prądem wody, skupili się bolszewicy żołnierze... Rozróżniał w świdre latarek kieszonkowych nawet ich twarze... Rozpakowywali „noskę”,

- To skóra - rzekł jeden.

- Dobrze i to - dodał drugi.

- Patrz dalej! - powiedział trzeci.

Zabawę złość ogarnęła. Miał ze sobą trzy niemieckie „odporne” granaty. Wyjął jeden, zaczepił pętlę drutu od zapalnika za lufę parabellum i wyszarpał ją... Wytrzymał granat w ręce przez trzy sekundy i rzucił go na drugi brzeg... Granat zatoczył w powietrzu duże półkole i wpadł pomiędzy skupionych dokoła „noski” krasnoarmiejców... Huk i ogień wybuchu poszarpał na strzępy powietrze... Latarki zgasły... Ktoś jęczał, a ktoś kłął. Rozległ się tupot nóg, trzask gałęzi i krzaków...

Zabawa wspinał się po zarosłej młodymi jodłami pochyłości... Wkrótce wszedł do starego lasu i podążył w kierunku traktu. Wyminał o kilkaset kroków „karaulnoje pomieszczenie”, obok którego słyszał ludzkie głosy... Gdzieś z prawej strony rozległ się tętent koni...

„Mogą oblawę urządzić” - pomyślał, przyspieszając kroku.

Gdy wyszedł na trakt, prędko podążył naprzód wzdłuż brzegu lasu. Od

wypitego spirytusu i szybkiego ruchu było mu gorąco; woda z ubrania prze-  
ko parowała. Minął zakręt drogi i stanął. O kilkadziesiąt kroków od niego,  
wyraźnie widoczny na śnieżnej bieli traktu, biegł krasnoarmieje. Pochylił  
karabin trzymał w prawej ręce. Przebiegał trakt na drugą stronę... Zabawa  
postąpił nierozsądnie. Zamiast iść dalej, bo żołnierz biegł na drugą stronę  
szerekiej drogi, on szybko dał do niego kilka strzałów z parabellum. Krasno-  
armieje nie dokończył obranej drogi... Zawrócił i pobiegł pośpiesznie z po-  
wrotem. Teraz był znowu na tej samej stronie traktu, po której szedł Zaba-  
wa. Dopiero wtedy Zabawa zrozumiał popełniony przez siebie błąd...

Musił się cofać daleko od zakrętu drogi. Przebiegł tam trakt na drugą  
stronę i pośpiesznie poszedł w dalszą drogę.

Na to wszystko stracił przeszło kwadrans...

\* \* \*

Gdy Zabawa minął Krasnosielski Las, zobaczył biegnącego po śniegu na  
lewo od drogi, dużego zwierza. „Pies” - pomyślał, ale lepiej się przyjrzał  
i przekonał się, że to wilk. Duży, tak zwany koniarz. One chodzą zwykle po-  
jednemu i są bardzo śmiałe i przedsiębiorcze.

Zabawa stanął i wycelował z rewolweru do wilka, który był w odległości  
trzydziestu kroków od niego. Wilk również się zatrzymał i patrzył w jego kie-  
runku, nie ruszając się z miejsca.

„Śmiały” - pomyślał Zabawa i uśmiechnął się.

Poszedł dalej. Wilk poczłapał w tymże kierunku, zachowując dystans i jak-  
by towarzysząc człowiekowi. Zabawa zbliżył się do wsi Gorań, która się znaj-  
dowała na lewo od traktu. Wilk zniknął gdzieś pomiędzy zabudowaniami.  
Na robotę poszedł! - pomyślał Zabawa.

Wkrótce we wsi zaczęły ujadać przerażone psy, a potem szczekanie prze-  
szło w wycie. Rozbrzmiewały ludzkie głosy. Błysnęły ognie. Rozległ się huk  
wystzału.

Wkrótce Zabawa znowu zobaczył biegnącego na lewo od traktu wilka.

-Chodź, chodź! - mówił Zabawa. - Nie udało ci się!... Kota popędzi-  
li!.. Trudno żyć!.. Tru-udno!...

Zabawa wszedł do Starosielskiego Lasu. Wilk również to zrobił, lecz z la-  
su już się nie ukazał. Zabawa potem długo się oglądał, szukając oczami w po-  
lu towarzysza podróży.

Miał poprzednio kilkakrotnie z rewolweru do wilka, lecz nie wystrze-  
liłyby naprawdę, bo miał dla niego pewne współczucie... Obaj byli biedni,  
bezdolni, obaj nad życie kochali wolność, obaj byli prześladowani, dla obu  
człowiek był wrogiem, las - ojcem, noc - matką...



## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Mińsk, 17 listopada 1922 r.*

Postanowiłem tym razem do Braginów nie chodzić i w ogóle jak najza-  
dziej u nich bywać, dlatego, aby uniknąć podejrzeń, które mogą powstać  
z powodu mych częstych przyjazdów z „Bobrujska”. Raz - urlop, raz - służ-  
bowo, ale stale tak robić nie można. Muszę z tym się pogodzić, chociaż mnie  
bardzo do nich ciągnie. Właściwie nie do nich, tylko do Lizki. Tym bardziej  
muszę oszczędzać tamto mieszkanie, że chcę w przyszłości osiąść u nich na  
dłużej... ze względu na Lizkę... Gdyby ona się zgodziła pójść ze mną do Pol-  
ski, wziąłbym ją bez namysłu, chociaż może potem bym żałował. Ale o tym  
na razie nie ma mowy.

Zawsze, gdy myślę o Lizce, przed oczami staje mi jednocześnie puculo-  
wata, różowa twarz Ozimowa, z bezapelacyjną powagą coś „stwierdzającego”  
i podkreślającego ruchami palców wyrazy. Wolałbym, żeby Lizka się dostała  
nawet samemu Lucyferowi, ale nie jemu.

Po przybyciu do Mińska poszedłem do pani Dwolińskiej, lecz wyobrazić  
sobie moje zdziwienie, gdy zastałem całkiem próżne mieszkanie. Chodziłem  
skonsternowany wokoło budynku i nie wiedziałem, co począć. Wyszedłem  
na ulicę, rozmyślając nad tym, gdzie ich szukać i co mogło się stać z nimi?  
Przypominałem sobie, że na tymże dziedzińcu mieszka biedna żydowska ro-  
dzina. „Może oni coś wiedzą?” - pomyślałem i nie omyliłem się. Gdy tylko  
zapytałem o Dwolińskich, Żydówka wyjęła z szuflady stołu list i powiedziała:  
„To pewnie dla was, bo Dwoliriska powiedziała, że jak będzie pytać „taka wy-  
soka jak wy mężczyzna, żeby ten list oddać”. W liście był adres nowego miesz-  
kania pani Jadwigi.

Wkrótce znalazłem to mieszkanie. Opowiedziałem im o projekcie męża  
Jadwigi, który zamierzał przyjść na Święta Bożego Narodzenia do nich w go-  
ści. Dwolińscy chętnie się na to zgodzili.

Wieczorem następnego dnia omal nie stałem się przyczyną nieszczęścia,  
które mogło spowodować wiele nieprzyjemności Dwolińskim. Ja i pani Ja-  
dwiga byliśmy w mieszkaniu sami. Andzia już spała. Rozmawialiśmy po cichu  
o rozmaitych rzeczach... Siedziałem z jednej strony stołu, pani Jadwiga - na-  
przeciw mnie. Na stole paliła się mała lampa, której światło dosięgało kątów  
dużego pokoju. Było cicho...

Nagle drzwi, prowadzące na korytarz, z hałasem się odemknęły i ukazała  
się w nich zaśnieżona postać olbrzymiego krasnoarmiejca. Błyskawicznie  
wsadziłem rękę do kieszeni i odbezpieczyłem nabite parabellum. Krasnoar-  
miejec szerokimi krokami szedł ciężko ku mnie i podnosił rękę do góry. Po-  
winienem był już strzelać, lecz coś mnie wstrzymało. „Do ostatniej chwili” -  
myślałem, mając na względzie panią Jadwigę, a ona zerwała się z miejsca



- Może teraz będzie mi trudniej do was przychodzić?  
- Nic podobnego! - żywo zaprzeczyła pani Jadwiga. - Ja bym jej nie wzięła. Tak będzie nawet wygodniej, bo może pan w oczach sąsiadów uchodzić za jej narzeczonego. Prawda - nieładna, ale panu na tym nie zależy, bo to fikcyjne - uśmiechnęła się filuternie pani Jadwiga. - A osoba jest zupełnie pewna.

Tym sprawę wyczerpaliśmy. Wierzę jej jak sobie. Omal nie zapomniałem napisać, że Czerezwyczajka nie istnieje. Dekretem CIK-u<sup>79</sup> przemianowano ją na OGPU<sup>80</sup>. Zabawa w słówka. Tygrysa można i motylem nazwać... Pan Kózef, mówiąc ze mną o „nowo narodzonym”, rzekł:

- Nie zdążyła nowa instytucja gęby otworzyć i obywatelom się zaprezentować, a już ją ochrzcili i to bardzo trafnie: „Gospodi, Pomiani Usposzych!”<sup>81</sup>. To już instynktownie. Rosjanie nie wierzą, aby ich władcy dla nich coś dobrego stworzyli i - mają rację!

Naturalnie, ludzie mądrzy orientują się w rzeczach nie według ich nazw, ale według treści i zastosowania.

<sup>78</sup> Centralny Komitet Wykonawczy.  
| Objedinionnoje Gosudarstwiennoje Politiczskoje Uprawienie - Zjednoczony Práswowy  
Urząd Polityczny.  
| Boże, wspomnij umarłych!

## IX. SOTRUDNIK ZACZYSTSKOWO WOLISPOLKOMA»<sup>2</sup>

*Chodzi ptak wesolo  
Po sidlach wokolo,  
Nie wnioskujac z tego  
Na przyszlosc nic ztego*<sup>93</sup>.

Zabawa postanowił zrobić dniówkę w lesie. Drogę miał tak niepomyślną, że przez całą noc nie zdążył przejść granicy... Z Mińska wyszedł późno i kilkakrotnie musiał zbaczać z traktu. Potem, chcąc skrócić drogę, poszedł na przełaj i zwał. Gdy nareszcie znalazł się znowu na dobrej drodze, zaczął się brzask.

Do granicy pozostało sześć wiorst. Poszedł do lasu. Po wąskich, wydeptanych w śniegu ścieżkach posuwał się naprzód. Szukał dogodnego, dobrze ukrytego od wiatru miejsca na „dniówkę”. W pewnym momencie dostrzegł z daleka jakiś ruch w lesie. Stał. Przykucnął. Przyjrzał się lepiej z dołu. Zobaczył pośpiesznie idącego ścieżką mężczyznę w rosyjskim, wojskowym płaszczu.

Zabawa przypomniał sobie, że (według mapy) droga, po której szedł niezajony, prowadziła z Zatyczyna do traktu. A w Zatyczynie był stacjonowany Pogranotriad.

„Może ma jakie dokumenty albo dobrą broń?” - pomyślał Zabawa.

Stał za jodłą, tuż przy ścieżce, i czekał. Wojskowy zbliżał się ku niemu coraz prędzej. Szedł pośpiesznie, wzrok miał skierowany pod nogi, na ścieżkę. Zabawa wynioskował z tego, że albo czuje się zupełnie pewnym na tej drodze, bo nie obserwuje terenu, albo nic nie wie o niebezpieczeństwach, które go mogą spotkać.

Gdy niezajony znalazł się tuż, Zabawa jednym susem wypadł na drogę i skierował mu w piersi lufę rewolweru.

-Ręce do góry!

Tamten pośpiesznie podniósł w górę ramiona.

-Kłęknij!

Wykonał rozkaz.

Zabawa zaszedł go z tyłu, przyłożył lufę do grzbietu i zrewidował lewą rękaję kieszenie, szukając broni. Znalazł flaszkę wiśniaku, na której zobaczył etykietę polskiej firmy.

<sup>B</sup> Współpracownik Zaczystskiego Gminnego Komitetu Wykonawczego.

<sup>2</sup> Czerwiesz z utworu dawnego rosyjskiego pisarza. Nazwiska autora i nazwy utworu nie pamiętam; przypuszczam, że Danilewski lub Pisiemski. - W oryg.: „Chodit pticzka wiesielo, po topinke biedstwij, nie predwidia, iż siewo nikakich posledstwij”.

„Pewnie przemytnik” - pomyślał Zabawa. - Ale dlaczego nie ma towaru?  
A może to „siekсот”?

- Proszę o dokumenty - rzeki Zabawa, zachodząc z przodu.

Wojskowy pośpiesznie wydobyl z bocznej kieszeni gimnastorki<sup>8\*</sup> dwie kartki: „udostowierienie liczności” i „otpusknoj bilet”.

- Kto ty? - zapytał Zabawa, biorąc do ręki dokumenty.

- Sotrudnik Zaczystkowo Wołispołkoma.

- Co?!...

Zabawa przejrzał dokumenty i zaczął się wesoło i głośno śmiać.

- Cha, cha, cha, cha! So-trud-nik... To cholera!...

Wojskowy przerażonymi oczami patrzył mu w twarz, a Zabawa się śmiał. Przyczyna jego śmiechu była uzasadniona. Poznał fałszywe dowody, identyczne z tymi, które sam kiedyś miał. Potwierdzała jego spostrzeżenie jeszcze ta okoliczność, że na obwódce zewnętrznej okrągłej pieczęci była mała przerwa szerokości zapalki. Pamiętał ten szczegół dokładnie.

- Więc mówisz, że jesteś sotrudnik... Co?

- Tak, towarzysz, sot...

- Cha, cha, cha... Szpieg jesteś! Tak! I mogę zaraz w łeb ci wykopcić!...

Swobodnie mogę!...

Wojskowy zbladł.

- To-owarzysz...

- Gęś świni nie towarzysz! Twój towarzysz w budzie na łańcuchu siedzi i zębami za pchłami kłapie! Takimi dokumentami dobrze tylko... a ty chcesz się legitymować.

Przerażenie odbiło się w oczach kłęczącego na śniegu człowieka.

- Jesteś szpieg! Co, bratku, może nie? A jeśli jesteś szpieg, to takich dokumentów nie bierz!...

Zabawa pochylał się ku niemu i niby obawiając się, aby ich kto nie podsłuchał, powiedział mu kilka szczegółów dotyczących pewnych miejsc i osób. Tamten milczał. Zabawa wyjął z portfela „ucztoną karteczkę”, na której poza zwykłą, okrągłą pieczęcią Wojenkomatu na dole, była u góry podłużna pieczęć: Prowieriena Trojkoj<sup>85</sup>.

Zabawa patrzył to na dokument, to na kłęczącego przed nim człowieka.

- ...Szatyn... lat 23... monter... dobrze... ujdzie... - mamrotał.

- Masz - rzekł głośno. - Z tą „cacką” możesz całe Sowiety wokoło objechać i do samego Dzierżyńskiego z wizytą iść! A tamte podrzuj, bo pierwszy czekista cię zahaczy.

Wojskowy wziął nieśmiało dokument.

" Sukienna bluza wojskowa, koloru khaki.

" Sprawdzona przez Trójkę, czyli komisję Wojenkomatu w liczbie trzech osób.

-Dziękuję.

-Nie dziękuj. To towaroobmien<sup>86</sup>: wiśniak za dowód. No, fruuj dalej! Szpieg chciał jeszcze dziękować; był rozczulony, zdenerwowany.

. Towarzyszu... ja... ja...

-Nie chcesz iść? - rzekł Zabawa. - No, to jazda na „Post”!

-Już idę, towarzyszu, już!...

Poszedł naprzód, coraz przyśpieszając kroku, zapominając schować dany mu dokument, niosąc go w rękę.

Zabawa podniósł porzuconą na śniegu flaszkę wiśniaku, przewrócił ją dnikiem do góry, spojrział pod światło i powiedział: „Dobra jest”. Potem wypił pół flaszki naraz. Schował butelkę do kieszeni i zaśmiał się... Za drogę opłacił mu za wiśniak! - pomyślał, przypominając ucykotną karteczkę. - Ale to nic... kolega”.

Poszedł dalej.

# \* \*

Zabawa się obudził cały zdrętwiały. Ledwie zdołał wyprostować podciągnięte kolana. Pomału usiadł. Długo rozcierał zeszywniałe nogi. Potem wstał robił przysiady, skakał, rozcierał ręce...

Po odejściu szpiega Zabawa długo szedł na zachód, po zawiłych leśnych ścieżkach. Przyszedł na brzeg bystrego strumienia, który nawet w największe mrozy nie zamarzał. Wszedł z brzegu do płytkiej wody i powoli podążył w górę strumienia. Zrobił kilkaset kroków w wodzie. W pewnym miejscu (dobrze zamaskowanym rosnącymi wokoło krzakami i zaspami śniegu) wyszedł na brzeg i pochylił na śnieg małą jodełkę. Usiadł na niej. Tak pozostawał bez ruchu bardzo długo. Potem wstał i chodził w kółko w pobliżu jodełki. Od czasu do czasu patrzył na zegarek.

Około godziny drugiej wypił resztę wiśniaku i usiadł znowu na łapach jodełki. Później się położył. Dłoń miał na kolbie rewolweru, ukrytego pod skórzaną kurtką na piersiach. Skórzane ubranie, które miał na sobie, nie grzało go wcale, lecz było mu ciepło od wypitego wiśniaku. Przymknął oczy i drzemał... Niepostrzeżenie zasnął.

Gdy obudził się był zmierzch. Zapadła wczesna, długa zimowa noc. Poszedł wzdłuż strumienia, chcąc wyjść na trakt. Po pewnym czasie, gdy chciał odchrząknąć, spostrzegł, że głos jakby zamarł mu w krtani. Spróbował coś głośno powiedzieć, lecz zamiast głosu wydobyło mu się z ust stłumione chrypienie.

„Może głos straciłem” — pomyślał i trochę tym strwożony poszedł dalej.

"Wymiana towarów.

Gdy przyszedł na Mińską placówkę, gdzie był dobrze znany i **lbian** przez wszystkich, sierżant, komendant placówki, wesoło go przywitał:

- Nareszcie! Wspominaliśmy często pana... nawet dzisiaj. Cóż tam **romego**

Zabawa wydał kilka niewyraźnych dźwięków i pokazał ręką na **gardło**.

- Co panu jest? I zdziwił się sierżant.

Zabawa poszedł do stołu i na skrawku papieru napisał: „Spałem na **Śri**gu, a gdy się obudziłem, to spostrzegłem, że straciłem głos”.

Sierżant przeczytał to i uniósł do góry brwi.

- Głos pan stracił? Głupstwo! A od czego my?... My na granicy **smego** diabła znajdziemy! A głos... bagatela! Mo-men-tal-niel... Felek, **ciągnij** od Leonowej dwa szkła spirytusu! Na jednej nodze!... Powiedz, że dla **mnie!**, Kurację zrobimy - rzekł znowu się zwracając do Zabawy - dla pewności **podwójną**... Wewnętrzna i zewnętrzna. To mój system. Jeśli spirytusu **mało**to należy się smarować tylko wewnątrz spirytusem, a zewnątrz **flaszka**, ale **nam** tego nektaru nie zabraknie!..

Wkrótce Zabawa, cały natarty spirytusem i wymasowany tak gorliwie, że omal krzyczęć nie zaczął, po wypiciu sporej ilości alkoholu zasnął. Miał **dawne** sny, o treści przeważnie erotycznej i awanturniczej; nagie kobiety o **nie**zwyczajnych kształtach, duszące pocałunki, wściekle pościgi, **wystrzały**, **jakieś** potwory, lecz gdy się obudził, nic z tego nie mógł sobie przypomnieć **dokładnie**.

Sierżant placówki mińskiej okazał się doskonałym lekarzem: **przywoi**ł głos Zabawie po jednorazowej, taniej, chociaż bardzo intensywnej **kuracji**.

Gdy sierżant placówki mińskiej, w asyście kilku żołnierzy, **przeprowadzał** na Zabawie „podwójną kurację spirytusową”, w Nowym Jorku **konsylium** **lekarzy**, specjalistów od chorób gardła, badało słynną **śpiewaczkę** **swiową** Betty Hayes, która po ostatnim występie dostała chrypki.

Dotychczasowa kuracja była nieskuteczna.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Baranowicze, 23 listopada 1922r.*

Dopiero wczoraj wróciłem z granicy, a jutro muszę znowu **jechać** na **robotę**. To stanowczo za często.

Dzisiaj mi bardzo smutno. Do Władka nie poszedłem. **Zatrzymałem** się w hotelu. Nie chcę, żeby mnie znowu **ciągnęli** do Olewskich. O **czym** ja **był** z nimi mówił?... Przykro mi widzieć, że jestem obiektem **czyjejś** **ciekawości**

Spostrzegłem, że ludzie zwykle myślą, iż szpieg, bandyta, złodziej, **morderca** to są inni (anatomicznie nawet) ludzie. Zawsze starają się **odróżnić** coś, co ich odróżnia od reszty obywateli. Szukają czegoś w **twarzy**, w **czuch**

rachach, słowach i - nic lub kłamstwo... Samooszustwo i oszustwo. Niechże nje nie szukają, bo nic nie znajdują, poza różnymi uczuciami i śladami przeżyć często silniej odbitych na twarzach ludzi mechanicznie uczuciowych, **lecz** wiele i ciężko przez życie doświadczonych, niż na twarzach przestępców. **Owsam** dla nich byłoby korzystne znalezienie jakichś specyficznych cech, **według** których można poznać człowieka niebezpiecznego, **lecz** jeśli chcą koniecznie znaleźć jakieś „piętno”, to niech spojrzą w lustro... każdy i każda z osobna tam zobaczą: szpiega, fałszerza, zbrodniarza, mordercę - **prze**stępcę zawsze możliwego - zależnie od mnóstwa okoliczności życiowych...

Wszędzie zawsze ciągną się za mną lepkie, ciężkie spojrzenia ciekaw-**sich**. Żołnierze, oficerowie, cywile, koledzy, znajomi - wszyscy patrzą, obser-**wują** gapią się, czegoś szukają... Czuję się, jakbym był więźniem zakutym w kajdany, za którym oglądają się gapie na ulicy. Często chce mi się im krzyknąć: „Po co mi dokuczacie? Między mną a wami różnicy nie ma; wy życie i **pracujecie** na innym odcinku, ja na innym; wy macie inne gusty, zdolności fizyczne i duchowe, ja - inne, **lecz** tego czegoś niepospolitego, co chcecie **znaleźć** - chociaż tę chęć ukrywacie - nie ma... nie ma”.

Przekonałem się, że najokrutniejsi przestępcy często mają łagodne, dziejące spojrzenie, ruchy miękkie, „ciepłe” głosy, dobre uśmiechy... I cóż wy do-**strzeżecie?** Nic!... Bo tam, gdzie można coś znaleźć, zobaczyć, was nie wpuszczą. W duszę, do mózgu, do podświadomości nie zajrzycie - nawet do własnej. Możecie przypuszczać to tylko. A gdybyście myśleli, nawet szczerze, że poznaliście dokładnie mnie lub siebie, lub kogoś, to ulegniecie złudzeniom. **Można** poznać zatokę, odcinek oceanu, **lecz** zobaczyć naraz cały ocean - **nie** możliwe. A przecież to, co robi człowieka odmiennym od innych ludzi, jest **ukryte** w jego duszy, leży na dnie tego oceanu i często jest tylko małym kamyczkiem, wywierającym olbrzymi wpływ na uczucia, myśli i czyny człowieka.

Nie lubię być obiektem tchórzliwych wiwisekcji pod chloroformem przy-**jaźni**, znajomości lub - co najgorsza - współczucia. Takie analizy i zagląda-**nia** do „duszy”, są złudzeniem wszy chcącej poznać granice kosmosu, a **przede** wszystkim - kłamstwem i niesprawiedliwością...

Do Olewskich nie pójdę; ładne, kulturalne panny, jedna nawet w moim **gucie**, ale ten okropny, grzecznie-współczujący ton, za którym... Nie piszę **dalej**, bo mogę skrzywdzić dobrych (możliwie) ludzi...

Teraz muszę się cofnąć i wypełnić lukę w moim dzienniku. Po powrocie za granicy poszedłem do Żyda, od którego wzięłem noskę towaru, porzuconą następnie na „drugiej linii”. Zastałem go w domu i powiedziałem, zwracając mu „ksiwę”, że towaru według adresu nie odniosłem, bo porzuciłem noskę w krzakach podczas ucieczki, nad brzegiem rzeki, a bolszewicy ją znaleźli. Żyd powiedział:



- Wiem, że towar panu zginął, ale to nic. Kto chce zarobić, ten musi i stracić. Chce pan wziąć jeszcze jedną noskę?

Powiedziałem mu, że teraz nie idę za granicę, a gdy zechcę wziąć towar to zgłoszę się do niego. Żyd wyjął flaszkę pejsachówki i chciał mnie częstować. Wymówiłem się od tego. Powiedziałem:

- Takiego interesu, jak nasz pierwszy, nie warto zapijać.

Gdy wracałem do zajazdu, spotkałem na ulicy wysokiego mężczyznę, który nie zwrócił na mnie uwagi. Twarz jego wydała mi się znajoma. Stałem. Dopełdziłem go. Zatrzymał się zdziwiony.

| Skąd ja pana znam? Gdzie pana widziałem? - zwróciłem się do niego.

Po chwili na jego twarzy zjawił się uśmiech i w tymże momencie przypomniałem go sobie.

- Smółka?

- Tak... ja...

Był to mój kolega, z którym siedziałem w jednej celi za czasów pobytu w więzieniu bolszewickim w 1919 roku. „Kolegia” Czeka skazała go wtedy zaocznie na karę śmierci. Gdy wieźli go, w liczbie kilku innych skazanych, na Komorówkę<sup>87</sup>, dokonał brawurowej ucieczki, wyskakując w pełnym biegu z samochodu. Zbiegł na cmentarz Złotogórski. Zarządzono oblavy i rewizje po truszczołach<sup>88</sup>, lecz Smółka zniknął bez śladu.

Zaprowadziłem go do zajazdu Małki. Zaczęliśmy pić wódkę (zawsze i wszędzie wódka). Przez kilka godzin słuchałem ciekawych, prawie fantastycznych opowieści o jego życiu, tym ciekawszych, że prawdziwych i pozbawionych przesady. Okazało się, że jest obecnie maszynistą<sup>89</sup> przemytników, lecz bardzo rzadko chodzi z partią, a najczęściej sam. Granicę zna doskonale. Jest bardzo popularny na pograniczu.

Opowiedziałem mu sporo o sobie. Gdy się dowiedział, w jakim zakresie pracuję, powiedział:

- Rzuć! Niech ich diabli!... Lepiej kokainę nosić. I tak, i tak robiją™. Tu chociaż jest zysk. Koka w Polsce od 400 do 600 złotych chrustów<sup>91</sup> za kilo. W Mińsku od 1200 do 1500. W Moskwie od 2000 do 2500. W parę miesięcy można majątek zrobić!

Opowiedziałem mu o ostatniej mej przygodzie z noską Żyda. On żywo się tym zainteresował i zaczął pytać o szczegóły. Opowiedziałem mu wszystko o Róży i o Żydzie, który dał mi towar.

<sup>87</sup> Miejsowość pod Mińskiem, gdzie rozstrzeliwano skazanych.

<sup>88</sup> Melina, kryjówka przestępców, spelunka, szulernia.

<sup>89</sup> Przewodnik przemytników.

<sup>90</sup> Rozstrzelają.

<sup>91</sup> Chrust - rubel.

- Wiesz, kto ona jest? Czym się zajmuje? - pytał Smółka. - Pracuje na ~~tartę~~ stronę": do Nowego Pola chodzi. Ja wiem. A tartar<sup>92</sup> - jej krewny. Ten pudel<sup>93</sup> nigdy nikomu towaru nie dawał... Tobie pierwszemu... To coś nie tak!... Ksiwy nie masz?

Oddałem.

Szkoda... Nie wierz ty tu żadnemu gudłajowi<sup>94</sup>. Gdy będzie ci coś potrzebne, przychodź prosto do mnie. Dla ciebie zawsze „robota” się znajdzie.

Zapisałem jego adres i pożegnaliśmy się. Jestem bardzo zadowolony, że go spotkałem. Może z jego pomocą poznam bliżej życie przemytników. Sam na razie przemytnictwem się nie chcę trudnić. Chyba Lizka w przyszłości zgodzi się przejść ze mną do Polski i tu pozostać. Wtedy zacznę pracować nie dla przygód, ale dla pieniędzy, aby zapewnić jej luksusowe życie. Warta dobrej oprawy! Warta!

Z Wołkowszczyzny musiałem odwiedzić Adama do szpitala św. Jakuba w Wilnie. Bracia Kalinowscy tak mnie o to prosili, że musiałem spełnić ich życzenie, chociaż było to dla mnie przykre i męczące. Wiązać mu rąk nie chciałem i musiałem przez całą drogę bacznie go pilnować. Prośbę braci spełniłem, umieszczając go w szpitalu dla wariatów. W drodze Adam cały czas plótł głupstwa o jakichś drutach pod tapetami, o jeńcach w piwnicy Mielechowicza. Ma zapewne manię prześladowczą.

Z Karolem Kraską ostatecznie się umówiłem, będąc w Wilnie, że pojedziemy przed Bożym Narodzeniem do Rakowa, a stamtąd do Mińska. Sprzyja jego podróży jeszcze i to, że Dwolińscy mają obecnie większe mieszkanie. Kraska zamierza pozostać w Mińsku aż do Świąt Trzech Króli i dopiero wtedy wrócić do Wilna. Poinformowałem go pobieżnie, co potrzebne jest na upominki dla Jadzi, Andzi i rodziców. Namówiłem go do nabycia wielu rzeczy. Niech kupuje! Ofiaruję się nieść połowę ich do Mińska, byle tylko pani Jadwiga miała jakiś pożytek z męża.

Dziś muszę porobić ostatnie zakupy, a jutro wyjeżdżam do Rakowa.

*Raków, 27 listopada 1922 r.*

Wczoraj, nie zatrzymując się nigdzie w drodze, przyjechałem do Rakowa. Musiałem iść w tym samym dniu za granicę, lecz byłem bardzo zmęczony i niewyspany. Chcąc dobrze wypocząć, położyłem się wcześniej spać (rzadka to dla mnie okazja). Było to o dziewiątej wieczorem. Lecz nie sążone mi było spokojnie przespać nawet tej jednej nocy. Obudziłem się wkrótce od sil-

" Tartar - Żyd.

"Pudel-Żyd.

\* Gudłaj - Żyd.

nego trzasku drzwi *wyściowych*. W moim pokoju, stanowiącym ogólną salę zajazdu, było ciemno. Tu zwykle, gdy nie było gości, spałem, bo dwa małe pokoiki przylegające do tej sali były ciasne jak szafy.

Ująłem rękojeść rewolweru i nasłuchiwałem. Odróżniłem w przedpokoju początkowo głos Małki, a potem zagrział silny bas. Drzwi do mojej sali odemknęły się. Nakryłem głowę koldrą, a z boku zrobiłem szparę, przez którą mogłem obserwować pokój.

- No, dawajże lampę! - ryczał po rosyjsku bas.

- Już jest! Już niosę! Już... już!...

Małka wpadła do pokoju z lampą w ręce i przy jej świetle zobaczyłem nogi dwóch mężczyzn. Jeden był w czarnych spodniach i kurtce, drugi miał na sobie wojskowy płaszcz. Obaj byli w butach.

„Pewnie przemytnicy” - pomyślałem.

- A co to za czort? - rozległ się ten sam głos. Pytanie tyczyło się mnie.

.. Zaraz ci dam czorta! - wyszeptalem pod koldrą, oczekując z narastającą złością dalszej zaczepki.

- Cimka, nie rób grandy! - rozległ się głos tak dobrze mi znany, że przedkościągnąłem z głowy koldrę.

I To ty, Janek! - wykrzyknąłem, widząc plutonowego Kronera, którego dobrze znałem.

- Serwus! Dawno tu?

- Wczoraj przyjechałem.

- To klawo! Proszę się zapoznać - wskazał mi ręką cywila.

Tamten podał mi dużą jak łopata dłoń, w której moja zniknęła bez śladu.

- Pietrow! - rzucił krótko, chrapliwym, niskim basem cywil.

Niedawno pisałem o tym, że byłem badany służbowo, w związku z oskarżeniem Piętrowa. Opisałem pokrótce życie tego człowieka, który był czerwonym oficerem i naczelnikiem Pogranotriadu, a następnie wskutek intryg kolegów, którzy chcieli podstawić mu nogę na drodze do kariery, musiał ratować życie i wolność, uciekając z aresztu do Polski.

Był to słynny agent wywiadu wojskowego, któremu dorównywali tylko Pieleński, Gruszewski i zabity niedawno w podwale Czeki Antosiewicz. Był jeszcze słynniejszym awanturnikiem i w tym nikt mu nie dorównywał. Leżał zwykle na granicy z „niańką” - odprowadzającym, który miał z nim zawsze sporo kłopotu, zanim przerzucił swego pupila na „tamtą stronę”. Wymieniłem swe nazwisko:

- Zabawa.

- Ach!... znam, znam... Słyszałem. Młody, ale cwany! Dobrze, żeśmy się spotkali... Za-ba-wa!... No, jak Zabawa, to Zabawa! Małka, cholera! - ryczał

- Nu, ja już jestem... Co pan sobie życzy?

- Życzę sobie, mało jedna, wódki, ogórków i geś! Tylko tłustą, świńskie  
tęże ucho! Rozumiesz? W tył zwrot! Marsz! Cha! cha! cha!... Tresura, co?...

Dołam, że Pietrow rozmawiał tylko po rosyjsku, z rzadka wstawiając  
dacznie pokaleczone polskie wyrazy. Do mnie od razu zaczął mówić per  
ty, jak w ogóle do wszystkich.

Wkrótce zaczęliśmy pić wódkę.

- Zobaczę, co ty za ptak? - ryczał Pietrow, nalewając do pełna wódką  
szklanę.

- Aja później zobaczę, co ty za zwierz. Na „robocie”, bo moczymordą być  
niewielka sztuka!

- ja? - Ga, ga, ga! - zarechotał Pietrow, aż szyby w oknach drgnęły. I  
Ja chłopak miastowy, bywały, polerowany. Mnie w łyżce kaszy nikt nie zje,

w szklance wody nie utopi! Ja sam z zębami! O z jakimi! - wys

rzęły długich, żółtych zębów.

Po wypiciu kilku szklanek wódki zaczął walić pięścią w stół.

- Małka! Małka! - wrzeszczał przeraźliwie.

Do pokoju wtoczyła się Żydówka.

- Kto ja jestem? No! - pytał groźnie Pietrow.

Oczy Żydówki zapaliły się udanym zachwytem.

- Uj! Pan jest najlepszy człowiek! Taki mądry! Taki przystojny

- Małka, durna jesteś! Ja krasny oficer, rozumiesz?! Ja komunista z sie-  
demnastego roku! Ideowy, k...! Ideowy!... Tak!

Żydówką komicznie wybałuszając oczy, wyrażała wielkie zdumienie  
i z podziwem kręciła głową.

- A ty czego patrzysz na mnie, jak wilk na gwiazdy?! I zwrócił się do mnie  
Pietrow.

- Dziwię się, że za grosz wypijeś, a za złotówkę ryczysz.

- Co?!...

Rzucił się do bójki. We dwóch ledwośmy go uspokoili.

Zesza dawaliśmy mu „buszować”, bo wiedzieliśmy, że awanturuje się  
bardziej w imię przekory niż dlatego, że jest pijany.

- Pij, wszystko jedno zabijają! - wrzeszczał Pietrow, wypróżniając szklanę  
po szklance. Piliśmy dużo.

- Ja, komunista! Rozumiesz? - znowu zaczął krzyczeć Pietrow, bijąc się ol-  
brzymią pięścią w piersi, tak że w pokoju dudniło.

- Tak, maszynista... - powtarzałem.

- Nie maszynista, ale komunista, psiakrew! A że piję, to cóż z tego? Pija-  
nicasie prześpi - dureń nigdy! U mnie taka dewiza: pij, a sprawę tnij!

Wkrótce zaczął śpiewać okropnym, dławiącym basem, prze trawestowaną,  
sztytcho starą, rewolucyjną piosenkę.

*Wyszliśmy wszyscy z wagonu...*

- Rozśpiewał się jak słowik leśny, co dusi konie wiosną - powiedziałem do Kronera.

- A co, nie podoba się? Nie? Mało wam? To ja wam zaraz chór sprowadzę. Ma-alka!...

Żydówka kulą wpadła do pokoju.

- Dawaj tu „brylantów”. Zaraz! - zagrmiał Pietrow.

W kilka minut później, pośrodku pokoju stanęło rzędem pięciu ~~z~~spanych, brudnych żydziaków, w wieku od 6 do 14 lat. Stali według wzrostu i czekali na rozkaz.

- Śpiewać *Brygadę!* - rzucił Pietrow.

*Legiony, to żalosna nuta!*

*Legiony, to skazańców głos!*

Śpiewali żydkowie, a Pietrow hucznym głosem im wtórował. Muszę dodać, że Pietrow przez dłuższy czas pobytu w Polsce nie nauczył się wcale mówić po polsku, lecz dziwnie przypadła mu do gustu Brygada. Uczył się jej miesiącami, aż się nauczył słów, jak papuga, i wymawiał je z okropnym akcentem. Z powodu tej piosenki doszło u niego kilkakrotnie do awantur. Przychodził na przykład do restauracji w Wilnie lub w Brześciu, siadał do stołu i zaczął pić. Zamawiał orkiestry *Brygadę*. Orkiestra grała raz. Zamawiał po raz drugi. Grali powtórnie. Zamawiał ponownie... Goście się oburzali, lecz on płacił i żądał, żeby grali *Brygadę* w dalszym ciągu... W końcu odmawiano mu stanowczo. Wtedy rozpoczął skandal, z tłuczeniem naczyń, rozbijaniem mebli itd. Sprawę zwykle likwidowała policja, której, dodam, Pietrow nienawdził strasznie, urządzając często policjantom dzikie wprost brewerie.

Pewnego razu, w Sowietach, Pietrow jechał wraz z Gruszewskim pociągami do Smoleńska na „robotę”. Gruszewski siedział na dolnej ławce, a Pietrow włożył na górną półkę i położył się spać. Obok niego leżał jakiś podoficer Czerwonej Armii. Pietrow zasnął i wkrótce przez sen zaczął głośno śpiewać:

*My - pierwsza brygada,*

*Strzelecka gromada!...*

- Towarzyszu! Co wy? - obudził go podoficer.

- Idź do diabła! - rzekł Pietrow, przewracając się na drugi bok i udając śpiącego. Nie wiedział, o co chodzi, i dopiero Gruszewski później sprawę mu wyjaśnił.

Rozmawiałem z Kronerem o stosunkach w Sowietach.

- Rozpoczęli politykę... - rzeki Pietrow.

- Co, nie lubisz? - zapytałem go.

- *Anie* lubię! Bo polityka to taka tyka, którą dureń, gdy chce pokazać, że *jest mądry*, w oczy ludziom wtyka. Rozumiesz?... A jeśli nie rozumiesz, to *du-sza* z ciebie jak z barana, bebecy na telegraf!... No, precz parchy! - rzucił *żytkm* którzy natychmiast ulotnili się z pokoju.

Było bardzo późno, gdyśmy skończyli pijatykę, bo Małka oświadczyła *katęgorycznie*, że więcej nic prócz wody do picia nie ma. Pietrow chciał *konieczn*ie iść gdzieś do miasteczka na poszukiwanie wódki, lecz nie puścili-  
*śny* go i ułożyli do snu na brudnym łóżku, w pokoju bez okna, przypomina-  
*jącym* dużą skrzynię. Wkrótce zaczął chrapać i zgrzytać zębami. Od czasu do *czasu* coś mówił i krzyczał. W ogóle spał bardzo niespokojnie.

Nazajutrz Pietrow zaproponował mi, żebyśmy poszli razem za granicę. *Zgodziłem* się na to. Było mi to nawet na rękę, bo mogłem poznać jeszcze *jedn*ą drogę do Mińska, a Pietrow chciał iść na swym odcinku. Każdy agent ma swój ulubiony odcinek, czasem najtrudniejszy i najniebezpieczniejszy, *lecz* się przyzwyczajają do niego i woli go od innych.

Przed południem wyruszyliśmy wraz z Kronerem w drogę do Duszkowa, *gdzie* była stacjonowana pierwsza kompania 29. baonu celnego. O kilka ki-  
*lo*metrów od Rakowa Pietrow się zatrzymał i wyjął z kieszeni nagana.

- No, spróbujmy, jak pióra piszą, czy dobrze kropki stawiają?

Powiesiłem swą czapkę, jęczmienną kaszę<sup>95</sup>, na sęku rosnącego przy dro-  
*dzie* olbrzymiego drzewa. Pietrow odmierzył 20 kroków.

- Dalej nie trzeba - rzekł. - Najlepiej strzelać prosto w pysk.

Stał lewym bokiem do pnia drzewa i raz po razie, niedbale wyrzucając *lewą* rękę z góry w dół, dał siedem strzałów z nagana.

- Czemu strzelasz lewą ręką? — zapytałem go.

- Prawą nos i d... wycieram.

Zbliżyłem się do pnia. Wszystkie kule trafiły w czapkę. W tym nie ma nic *nadzwyczajnego*, bo z nagana na krótką metę można bardzo celnie strzelać. Cała sztuka Pietrowa polegała na tym, że strzelał niedbale, z wyrzutu ręki, *nie* celując. Wskazywało to na wielką wprawę w strzelaniu.

- Dobry obrazek ci namalowałem? Ga, ga, ga! - zagrzmiał Pietrow.

„Zaczekaj: ja ci obrazek namaluję!” - pomyślałem i powiedziałem głośno:

- Wieszaj czapkę!

Pietrow miał nową zimową czapkę, amerykańskiego fasonu, uszytą z gru-  
*bego* puszystego materiału, z dużymi nausznikami, chroniącymi jednocze-  
*śnie* kark od wiatru i zimna. Widząc, że Pietrow poszedł wieszając czapkę, ob-

<sup>95</sup> Biała, zimowa czapka, imitująca karakułową, używana w armii rosyjskiej.

Używałem się w duchu: „Ja ci namaluję obrazek!”. Nie bawiłem się w strzelanie z lewej ręki i „z zamachu”, lecz przybrałem wygodną postawę, oparłem lufę parabellum o lewe przedramię i celując przeważnie w daszek czapki, dałem dziesięć strzałów.

Zbliżyliśmy się do drzewa. Materiał, pokrywający daszek czapki, wisiał rozdarty na strzępy. Widać było kawałki tektury, poszarpane dużymi kulami. Kroner się śmiał.

- To... robótka!

- No, a ten obrazek, jak ci się podoba? - zapytałem Pietrowa.

Nic mi nie odpowiedział. Badał postrzępiony kulami daszek czapki.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Mogłem dobrze mu się przyjrzeć. Był to mężczyzna około czterdziestoletni, średniego wzrostu, krepy, o niezwykle szerokich barach, którymi w marszu chygotał w prawo i w lewo. Ręce w stosunku do tułowia miał niewspółmiernie długie i ujawniał w nich olbrzymią siłę fizyczną. Całą postawę, przy pozornej ociężałości, cechował duży spryt. Głowa była bardzo wielka. Twarz jego miała jakiś lwi wyraz, szczególnie wówczas, gdy marszczył czoło i ściągał brwi; rysy jej były grube i ciężkie.

Po przyjsciu do kompanii wypoczywaliśmy tam do wieczora. Potem zjedliśmy kolację. Zdziwiła mnie ta okoliczność, że Pietrow teraz pił wstrętnieźliwie, bo myślałem, że przed przekroczeniem granicy napompuje się dubeltowo.

Przejscie granicy było utrudnione. Księżyc jeszcze nie wyszedł na niebo, lecz było widać daleko wokoło, bo noc była jasna i mroźna. Na śnieżnej bieleli każdy ruchomy przedmiot z daleka rzucał się w oczy. Poza tym bolszewicy zbyt silnie patrolowali granicę na tym właśnie odcinku. Możliwe, że otrzymali wiadomość od swych konfidentów z Rakowa - których mieli tam pod dostatkiem - że w miasteczku jest Pietrow, dobrze znany bolszewikom...

Aby odwrócić uwagę sowieckich strażników od punktu, w którym zamierzaliśmy przejść granicę, na prawo od tego miejsca (w kierunku Wołny) rozpoczęto na granicy strzelaninę.

Przekroczyliśmy granicę. Pietrow szerokimi krokami sadził na przedzie, ja - za nim. Z lasu na polskiej stronie przeszliśmy do lasu za granicą. Słyszmy prędko. Lada chwila mogliśmy się spodziewać pościgu, bo ślady na śniegu pozostały wyraźne. Co prawda przeszliśmy granicę i przeszło sto kroków za nią - przez szeroki dukt graniczny - idąc tyłem, aby upozorować przejście z sowieckiej strony na polską, lecz mogli się znać na takich kawałach i sprawdzić to.

Szliśmy długo. Księżyc wytoczył się na niebo - duży, lśniący, jakby dopiero co wyczyszczony i naoliwiony. W pewnym miejscu Pietrow stanął:

- Idź naprzód. U ciebie nogi dłuższe!... Będę wskazywał ci kierunek.

śniegu. Dziwiło mnie to, że tak długo idziemy lasem. Pamiętałem dobrze sło-

śmy przeszło godzinę,

do czasu rzucał cicho, chrapliwie: „Wprawo!... w lewo!... więcej wprawo!”.

-Cimka, czy nie błądzimy? - zapytałem go. Stał. Przez chwilę milczał, rozglądając się po okolicy, a potem niezdecydowanie powiedział:

-Nie powinniśmy... chociaż... cholera go wie! W duszę wkradło mi się podejrzenie. Z początku niewyraźne, a następnie silniejsze. Przypomniałem sobie zdradę kilku agentów wywiadu, dezercję plutonowego Górskiego, z tej drugiej kompanii, na odcinku której przeszliśmy granicę, a który się przyjaźnił z Cimką (imię Piętrowa).

Diabeł ciebie wie! - myślałem. - Wszystko bywa... Nie tacy zdradzali!... Mnie znowu się zwałchał z krasnymi?”.

Stałem.

-Idźsam naprzód! - rzekłem stanowczo. - Nie znam drogi, ale widzę, że i ty jej nie znasz! Prowadź sam, jak chcesz!

Cimka poszedł naprzód. Szedłem za nim, przygotowany na wszystko, uważnie obserwując każdy jego ruch. Wkrótce wyszliśmy na skraj lasu. Piętrow długo rozglądał się wokoło.

- Wiesz co? - rzekł po chwili. - Zdaje mi się, że to... granica...

Po naradzie postanowiliśmy, że ja przebiegnę znajdującą się przed nami otwartą przestrzeń (przypuszczalny dukt graniczny) na drugą stronę. Gdyby ukryci gdzieś w pobliżu bolszewicy zaczęli mnie ostrzeliwać, Piętrow powinien był walić do nich z maszyny, a potem wycofać się pod osłoną moich strzałów na polską stronę.

Pobieglem... Pędziłem tak prędko, że wiatr mi w uszach gwizdał. Dopadłem do wydeptanej na śniegu ścieżki; zobaczyłem w pobliżu słupy graniczne. Zrobiłem kilkanaście kroków na polską stronę, aż do krzaków, a potem - tyłem naprzód - podążyłem z powrotem w tym kierunku, gdzie zostawiłem Piętrowa.

- Cholera! Diabeł płacze! - kłął Piętrow. - Teraz już nie zbłądzimy - powiedział stanowczo.

Zaczął padać śnieg. Ruszyliśmy w dalszą drogę, lecz ja naprzód już nie wychodziłem. Raz rozbudzona nieufność czuwała nadal. Po dłuższym czasie wybnęliśmy z lasu. Piętrow obejrzał się wokoło. W pewnym miejscu potupał nogami i rzekł do mnie:

-Jest droga! Teraz nam pójdzie jak po maśle!... Szliśmy prędko, starając się nadrobić stracony poprzednio czas. Spostrzegłem na prawo od naszej drogi jakiś ośnieżony kopiec.



- Cimka, co to jest? - zapytał Pietrowa.

- Sterta... - odrzekł w marszu.

Spostrzegłem również, że droga po której szliśmy, jest za wąska, lecz nie chciałem dokuczać Pietrowowi pytaniami. Zresztą przypuszczałem, że znajdując się na „dobrej drodze” musi znać ją dokładnie. Zobaczyłem w dali przed nami ciemną grupę drzew, zalaną powodzią księżycowych promieni. Z prawej strony znowu dostrzegłem wysoki kopiec, podobny do ~~tego~~, o którym Pietrow powiedział, że to sterta. Pietrow się zatrzymał wskazując ręką przed siebie:

- Tam majątek... siedem wiorst od granicy... Droga prowadzi przez mostek obok majątku... Może być posterunek... Jeśli chcesz, pójdziemy prosto... Może się uda. A możemy obejść z lewej... No, jak?

- Smarujmy prosto!... Damy radę... - powiedziałem.

- Oho, jeszcze jak! - wychrypiał Pietrow.

Zbliżyliśmy się do drzew i... Wyobraźcie sobie nasze zdumienie, gdy zamiast lip, topoli i innych drzew otaczających majątek zobaczyliśmy przed sobą czarną ścianę gęstego lasu, w pobliżu którego, z obu stron naszej drogi, stały... dwa słupy graniczne...

Przeciągle gwizdnąłem i spojrzałem na Pietrowa.

- To morowo... Klawa droga!...

A on stał nieruchomo i spoglądał, zdumiony, to na słupy, to na las...

Z dala ukazał się na śniegu, obok lasu, żołnierz z karabinem na ramieniu. Po chwili obok niego pojawiło się jeszcze dwóch żołnierzy...

- Maszki<sup>96</sup> idą - rzekł Pietrow.

- Zasadzka była - pomyślałem, widząc żołnierzy.

Byliśmy na granicy. Droga, po której szliśmy, była ścieżką graniczną, a „sterta siana” szałasem... Szliśmy widocznie dłuższy czas po jakichś podobnych ścieżkach, i teraz wydostaliśmy się na granicę.

- Ot, czort! Diabeł poplątał wszystko! - kłął Pietrow.

Byłem strasznie zły. Nie wiem, dlaczego wsadziłem palce do ust i kilka razy mocno gwizdnąłem. Żołnierze prędzej poszli ku nam.

- Jeśli to bolszewicy, ja udam przemytnika, a ty prowadź mnie na placówkę. Oni pomyślą, żeś przebrany granicznik. Zresztą niech myślą, co chcą.

Żołnierze byli blisko. Z rogu lasu wylazł i dołączył do nich jeszcze jeden. Gdy się zbliżyli o kilkadziesiąt kroków do nas, krzyknąłem:

- Kto idzie? Polacy czy bolszewicy?

- Bolszewiki... - rozległa się odpowiedź po rosyjsku. Podeszli do nas. Miałem na wierzchu w ręce odbezpieczone parabellum. Uważałem pilnie i na bolszewików, i na Pietrowa, który miał lewą rękę w kieszeni. Zrozumia-

<sup>96</sup> Ironiczna nazwa żołnierzy rosyjskich; gwarowe: maszły — kości.

łm że trzyma w niej gotowego do strzału nagana. Gdy bolszewicy zbliżyli się do nas, Pietrow wyjął z kieszeni flaszkę wódki i rzekł do mnie po białorusku, udając przemytника:

\_ Puści panok! Ważmi gariełku i puści!<sup>97</sup>

-A gdzie Polak? - umyślnie łamanym rosyjskim językiem zwróciłem się do bolszewickich żołnierzy.

Zażmiali się - z początku jeden, a potem wszyscy. Najbliższy wskazał mi drogę „sterę siana”.

- Spit w budkie!...

-Jazda naprzód! - krzyknąłem na rzekomego przemytника.

Prowadząc Piętrowa, który łatwo mógł udawać przemytника, bo miał na plecach sumkę wyladowaną różnymi rzeczami, skierowałem się do szalasu. Bolszewicy, jak eskorta honorowa, posuwali się z tyłu i po bokach.

- Panok, weź towar i puść!... - prosił mnie Pietrow, obracając w tył głowę.

-Bezgadania! Naprzód!

Kopnąłem go z tyłu.

Zbliżyłem się do szalasu. Odrzuciłem na bok liche, drewniane drzwiczki i zaświciłem latarką do środka. Zobaczyłem śpiącego na zaścielających ziemię jodlowych łapach żołnierza. Był w płaszczu i w dużym kożuchu z postawionym kołnierzem. Karabin miał zaciśnięty między nogami. Chwilę czekałem a potem ryknąłem z całych sił:

-Wstać!

Żołnierz jak ukłuty zerwał się na nogi. Omal znów nie upadł. Karabin potoczył się na ziemię. Świciłem mu w twarz laurką.

-A to tak granicy pilnujecie? Co?

Milczał.

Podniosłem z ziemi karabin i znowu zapytałem żołnierza:

- Posterunek drugiej kompanii?

-Tak panie.

- Który numer posterunku?

-Drugi, panie.

- Zameldujecie dzisiaj, po zmianie, komendantowi placówki, żeście spali na warcie. Komendant placówki musi zameldować o tym jutro dowódcy kompanii!... Ja to sprawdzę!

- Przepraszam, panie...

i W wojsku nie ma „przepraszam” I gromiłem żołnierza.

| Strogij czort! - rzekł jeden bolszewik z widocznym uznaniem.

i Isz kak jewo czystit!<sup>98</sup> - zachwycił się drugi.

" Puść pan, weź wódkę i puść.

\* Dośl.: ot, jak go czyścić; dow.: widzisz, jak go sztorcujel

- Zrozumieście? - zapytał żołnierza.  
- Tak jest!  
- Pokażecie mi najbliższą drogę do Duszkowa. Wskazał na śniegu, w pobliżu lasu, pozostałe po ostatniej zmianie ślady.  
- Po tych śladach prosto do wsi przyjdziecie - rzekł żołnierz.  
Podaliśmy mu karabin, mówiąc:  
- Macie i... uważać! Następnym razem nie daruję!... Teraz wybaczam  
Puściłem naprzód Piętrowa i poszliśmy do wsi, pozostawiając na granicy czterech bolszewickich żołnierzy i jednego naszego... śpiocha.  
We wsi Duszkowo, obsadzonej wokół drzewami i położonej u stóp węższego wzgórza, było ciemno. Szliśmy powoli przed siebie brzegiem wąskiej, krzywej, zaśnieżonej ulicy. Tu znowu spotkała nas przygoda. Zza rogu jakiejś chałupy wysunęły się naprzeciw nas dwie ludzkie postacie (starszy mężczyzna i wyrostek - wiejska warta nocna), z grubymi kijami w rękach.  
- Chto idzie? - po białorusku zapytali nas.  
Zaświeciłem latarkę i w jej promieniach skierowałem do nich lufę rewolweru, mówiąc głośno:  
- Bandyci!  
- Ban-dy-ci... - wyszeptał jeden, podnosząc bez rozkazu ręce do góry.  
Drugi poszedł za jego przykładem, chociaż nie żądaliśmy tego wcale. Kiję potoczyły się na śnieg.  
Ruszyliśmy dalej.  
Wkrótce minęliśmy chałupę, w której się mieściła jedna z placówek drugiej kompanii. Skierowaliśmy się do majątku Duszkowo, gdzie znajdowało się dowództwo kompanii i były mieszkania oficerów i podoficerów. Przyszliśmy tam późną nocą. Postanowiliśmy tego dnia na granicę nie iść.  
Powiedziałem Pietrowowi, że po jego „dobrych drogach” więcej nie pójdę, bo wołę swoją, może gorszą, ale dobrze mi znaną. On tłumaczył swoje pomyłki tym, że spadł śnieg i zmienił wygląd terenu. Diabeł też poważnie tu zawinił.  
- Rób jak chcesz - rzekłem. - Ja po twoich drogach nie pójdę! Rano wstąpię do Rakowa, a wieczorem pójdę za granicę. Jeśli chcesz, możesz iść ze mną.  
Zrobiono dla nas kolację. Pietrow rozcieńczył wodą fiaskę spirytusu. Rozpoczęliśmy pijatykę. Opowiedzieliśmy o naszym spotkaniu z wartą wiejską w Duszkowie. Obecni w pokoju podoficerowie uśmiechali się do woli. W czasie tej rozmowy rozległ się tętent konia, najpierw na drodze do majątku, a potem na dziedzińcu. Sierżant wybiegł na podwórze. Nie było go dłużej czasu, a gdy wrócił - wesoło się śmiał.  
- Wiecie, co za heca?... Z placówki duszkowskiej przyjechał łącznik z meldunkiem, że we wsi Duszkowo ukazała się banda uzbrojonych ludzi... Byłem

u dwóch kompanii (wiedziałem, że to o was chodzi) i wyjaśniłem całą sprawę. Narobiliście ruchu - mówił, zwracając się do nas.  
Nazajutrz wybrałem się do Rakowa. Pietrow zgodził się iść ze mną.  
Znowu wyruszyliśmy w trzech w powrotną drogę, bo Kroner jeszcze nie odjechał.

W Rakowie Pietrow poszedł kupić spirytusu. Ja również udałem się do miasta po zakup większej ilości czekolady. Kupowałem jeszcze coś, tak że za bawłem na rynku przeszło pół godziny. Gdy wracałem, skierowałem się do restauracji, będącej jednocześnie sklepem win i wódek, gdzie Pietrow powinien był na mnie czekać. Z dała już posłyszałem jego potężny bas:

*Nie chcemy my od was uznania!  
Ni waszych skarg, ni waszych lez!*

„Znowu skandal” - pomyślałem, zbliżając się do restauracji.  
Gdy wszedłem do środka, zobaczyłem Piętrowa z litrową flaszką w ręce. Wywijając nią jak maczugą, nacierał na dwóch Żydów, którzy się kryli przed nim za kontuarem.

- Śpiewaj, Żydzie *Brygadę!* - grzmiał straszliwie Pietrow. - Bo zaraz tu wszystko poharatam, a wam łby porozwalam!

-Ny, co pan chce? Jakie *Brygadę!* ? Ja nie znam żadne *Brygad!*

Przez otwarte drzwi z innych pokojów wyglądały przestraszone twarze kilku Żydów, a z posterunku policji (tuż w rynku) pędziło na poskromienie buntownika trzech policjantów. Otworzyli drzwi i wpadli do środka.

-A!... to pa-an! - wyrzekł jeden (starszy posterunkowy), który zapewne dobrze znał Piętrowa.

i Tak... ja pa-an! - ryczał Pietrow. -Ja sam pan, a ty tylko u pana słyszysz! Ty, ślepe narzędzie polskiej burżuazji!... Po coście tu przyszli? Wódkę zwąchali?... Co?... Cza-arne kruki!

Uprowadziliśmy go do zajazdu.

Spostrzegłem, że robił awantury nie dlatego, że nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz przez przekorę - aby narobić krzyku, hałasu, awantur, pobuszczać, wyładować energię. To samo spostrzegłem w sobie i w innych agentach.

W sąsiednim pokoju leży w łóżku Pietrow i - jak zwykle po pijanemu - ryczy:

- Ty wiesz, kto ja jestem? Wiesz? Ja, ko-mu-ni-sta!... Tak, z siedemnastego roku!... Ja „partijec”! Ja „krasnyj komandir”! Rozumiesz?... Precz z drogi!..

Wkrótce zasnął. Skorzystałem z wolnego czasu i wpisałem do dziennika to wszystko.

Za kilka godzin wyruszymy w drogę.

Omiał nie zapomnieć napisać o pewnej rzeczy. W rozmowie z Grką dowiedziałem się, że poprzednim razem on poszedł za granicę późno w noc z 2 na 3 listopada, i że przeszedł granicę w pobliżu traktu. Zrozumiałem, że to on był tym osobnikiem, którego spostrzegłem idącego obok traktu, gdy prowadząc do Polski doktora, jego córkę i oficera, odpoczywałem z nimi pomiędzy „drugą linią” a granicą. Wówczas chciałem biec i zatrzymać go. Doktor mnie nie puścił. Dobrze, że tak się stało, bo mogło być źle albo dla Piotrowa, albo dla mnie, albo dla nas obu. On by ręk do góry nie podniósł na pewno i waliłby do mnie, a ja do niego...

Kończę. Trzeba przed drogą trochę się przespać.

## X. „NAUCZYCIEL”

*- A powiedzcie mi — mówi kowal -jak  
poznać, że człowieka strach zdejmuje ?*

B, Prus, *Lalka*

Wieczór był jasny, lecz w głębokim wąwozie, gęsto porośłym olbrzymimi drzewami było ciemno. Zabawa szedł pierwszy. Pietrow sapał tuż za nim. Dogł Zabawa miał dobrze znaną, ale było trudno się przedzierać przez gęste zarośla po krętej pochyłości wąwozu. Co chwila potykali się o wystające jak pętle ponad ziemią korzenie starych drzew i wpadali do wykrotów, a trzeba było jak najmniej sprawiać hałasu, bo granicę mieli tuż za sobą, a wąż doskonale się nadawał do urządzania zasadzek.

Pietrow za każdym razem, gdy się potknął lub wpadał do jakiegoś dołu, z cicha kłął.

-Ci-ichooo... - obracał ku niemu zagniewaną twarz Zabawa.

- No, no. | - uspokajał go Pietrow.

W pewnym miejscu Zabawa zobaczył w dole czarną smugę.

„Pewnie... wolna od śniegu ziemia” - pomyślał i skoczył tam, z wysokości przeszło dwóch metrów. Rozległ się głośny plusk wody i Zabawa po szyję zanurzył się w zimnym strumieniu.

-Tfu, ty, diabeł! - kłął wylaząc na zaśnieżony, kręty brzeg rzeczulki,

i Ga, ga, ga! - rechotał Pietrow.

- Cicho ty, psiakrew! - złym szeptem rzucił mu Zabawa.

O kilka kroków dalej Zabawa w ten sam sposób znowu skoczył do wody. Pietrow aż ryczał pokładając się od śmiechu. Zabawa kłął już głośno. Nie przypuszczał, że w wąwozie mogą być dwie rzeczulki, więc skoczył po raz drugi na pewno. Rzeczulka zaś w tym miejscu robiła zakręt i płynęła wstecz, a następnie znowu dążyła naprzód, tworząc zygzak na kształt dużego „S”. Zabawa trafił tak niepomysłnie, że musiał trzy razy pod rząd przebywać rzeczulkę, co prawda wąską i niezbyt głęboką, lecz jemu nie robiło to różnicy, bo i tak zmókł po szyję.

Gdy wydostali się z wąwozu, Zabawa podszedł do dużej sosny i położył się pod nią na śniegu, podnosząc nogi jak najwyżej do góry i opierając je o drzewo. Chciał w ten sposób wylać możliwie najwięcej wody z butów i spodni.

Podążyli dalej. Zabawa, zły i zziębnięty, szedł nie zachowując ostrożności. Pietrow, głośno sapiąc, parł za nim. Po pewnym czasie Zabawa zauważył, że błądzi, i starał się znaleźć właściwy kierunek, lecz nie mógł sprawdzić drogi,

bo nie wziął ze sobą busoli. Długo nie mówił Pietrowowi o swym spostrzeżeniu, wreszcie stanął i zaczął na niego.

- Wiesz co? - rzekł. - Zbłądziłem.

- No-o? - zapytał prawie wesoło Pietrow.

- Tak... błądzimy - potwierdził Zabawa. - Wczoraj ciebie „czort wodził”, a dzisiaj mnie!

Orientując się według gwiazd, Zabawa poszedł na północo-wschód. Po dwóch godzinach ciężkiej drogi wyszli na trakt i podążyli obok niego dalej. O dwunastej w nocy znaleźli się dopiero o 8 wiorst od granicy, w pobliżu majątku Krasnoje. Z tego wynikało, że 8 wiorst od granicy szli (bardzo intensywnie - bo Zabawa był mokry) przeszło 6 godzin. Ubranie na Zabawie wyszło dawno i tylko buty boleśnie paliły w stopy.

Weszli do Starosielskiego Lasu. Las zataczał po polach olbrzymie półkole. Droga wciniała się w czarną gęstwinę drzew równą, białą, lśniącą w świetle księżycą wstęgą. Wyglądało to jak czoło wielkoluda, porośnięte gęstymi włosami, z wyraźnie zaczesanym przedziałem, oświetlonym dużym reflektorem - księżycem.

Szli prędko brzegiem szerokiej drogi... Z dała ukazała się w białej, śnieżnej, lśniącej perspektywie czarna, ruchoma, prędko rosnąca plama.

Stanęli.. Przygotowali broii...

Naprzeciw nich pędziły sanki, zaprzężone w dużego, siwego konia.

- Pewnie przemytnicy - rzekł Zabawa.

- Albo z Pogranotriadu - powiedział Pietrow.

- Może... spróbujemy?... - Zabawa nie dokończył zdania i pytająco spojrział na kolegę.

- Możemy... Wszystko jedno! Dawaj! - machnął naganem Pietrow. - Ty stój tu, a ja odejdę trochę dalej. Próbujemy zatrzymać... Jeśli nie staną, wywal do nich parę razy.

Pietrow zrzucił plecak w śnieg do rowu, oddalił się o kilkadziesiąt kroków od Zabawy i stanął z naganem w ręce. Sanki pędziły. Były blisko. Zabawa słyszał świst płóz na śniegu i ciężki oddech konia. Pochylił się naprzód. Prawie dotknął sanek...

- Sta-ać! - krzyknął.

Sanki mignęły mu przed oczami i jeszcze prędzej popędziły naprzód. Odróżnił w nich dwóch mężczyzn, ubranych po cywilnemu. Pośpiesznie wystrzelili dwa razy, mierząc z tyłu w konia, i zaprzestali, bojąc się przeszkodzić Pietrowowi. A tamten strzelił z przodu do konia i rzucił się naprzód.

- Oho! - wykrzyknął Zabawa.

Sanki, nie zmniejszając szybkości, popędziły dalej. Zabawa pozostał samotny na drodze. Zaczął biec... Stanął w miejscu, gdzie przed chwilą był Pietrow i nie widząc nigdzie kolegi, rozglądał się wokół.

„Co za diabeł? - powiedział głośno.  
Wtem posłyszał jakiś głos, niby spod ziemi wychodzący:  
-Romek!.. Romek, cholera, pomóż!...  
-Cimka!.. gdzie ty, do licha!  
-Tujestem... chodź!...  
Gdy Zabawa zbliżył się do rowu, po drugiej stronie traktu, zobaczył fikane w powietrzu nogi Piętrowa, który głęboko utkwiał w śniegu głową w dół.  
Zabawa zaczął się śmiać.  
-Cha, cha, cha! I nurkujesz, co?  
-Czego się śmiejesz, durniu jeden? - rozległ się spod śniegu gniewny bas Piętrowa  
-A ty się nie śmiałeś, ośle dardanelski, gdy wpadłem do wody? - odparł Zabawa wyciągając kolegę za nogi z rowu.  
Piętrow twarz i ręce miał podrapane. Czarna, watowana kurtka była rozdarta z prawej strony od kieszeni aż do kołnierza i z dziury wylazły na wierzch strzępy waty.  
-To sukiny! - warczał gniewnie Piętrow.  
- A ty co chciałeś zrobić? - ze śmiechem zapytał Zabawa. - Konia przewozić czy do sanek wsiąść?  
-Nie udało się! Co tam gadać - rzekł Piętrow. - Chciałem konia z przodu zatrzymać albo do rowu wpędzić. Ja, stary kawalerzysta, potrafię to zrobić. Ale niech głowy połamią — odrzuciło mnie hołobłą do rowu... kurtkę podarł... Trzeba było konia zabić!...  
Była czwarta w nocy, gdy koledzy doszli do czternastej wiorsty. Zmęczeni byli bardzo.  
-Mam blisko melinę - rzekł Piętrow. - Chodźmy tam... Wypoczniemy, a we dnie ruszymy dalej.  
Po polnej, dobrze wyjeżdżonej saniami drodze oddalili się przeszło wiorstę od traktu i zbliżyli do samotnego, w pobliżu lasu położonego futuru. Piętrow przelaził przez niewysokie ogrodzenie i zapukał do okna domu. Ze środka rozległ się głos:  
- Kto tam?  
-Ja... „nauczyciel"... - rzekł Piętrow.  
- Aha, zaraz!  
Wkrótce się znaleźli w dużej, schludnej izbie, przedzielonej niewysokim przepierzeniem na dwie części. Było tam bardzo ciepło. Gospodarz i gospodyni siedzieli przy stole, córka ich, Magda, smażyła w kuchni jajecznicę dla gości. Piętrow rozcieńczał wodą spirytus.  
- Co to za jeden? - zapytał Piętrowa gospodarz (chłop wyglądający dość inteligentnie), ruchem głowy wskazując na Zabawę.



- Kolezka. Fajny chłopak. Możecie być pewni! - mówił Pietrow, wykładając na stół przyniesione dla nich prezenty: jakieś chustki, pończochy, ściągę na podeszwy, karty do gry, sweter... - Macie tu wszystko, o coście prosili - dodał po chwili.

- Dziękuję bardzo! - rzekł gospodarz. - Czy na piechotę do miasta pójdziecie, czy pojedziecie?

- Można konia założyć - rzekł Pietrow. I Gdy się rozwidni, pojedziemy. Teraz prześpijmy się trochę.

Po krótkim wypoczynku gospodarz obudził ich.

- Wstawajcie jeść śniadanie... Zaraz wynuszymy w drogę.

Podczas śniadania koledzy umówili się, że jeśli który wcześniej ukończy „robotę”, to przyjdzie tu i zaczeka na drugiego. Wyznaczyli sobie datę spotkania i obiecali: kto przyjedzie pierwszy - czeka na kolegę do dwóch dni.

- Razem weselej iść - rzekł Pietrow.

- I pewniej - dodał Zabawa.

- Ty tylko uważaj - zaczął przekomarzać się Pietrow - żeby ciebie w mit ście hycel nie złapał!

- A ty, gdy przyjdiesz do miasta, pysk czapkę zakryj, bo konie padacki dostaną.

- Mnie się nie przestraszą: ja pierwszy chłopak w naszej wiosce - cała bluza w kogutach!

- Pierwszy chłopak w całej wiosce! - powtórzył Zabawa - a w tej wiosce jeden dom!

- Facecja! - śmiał się gospodarz. - To języki: jak brzytwy!

- My bywalcy! Słów w kieszeniach nie szukamy! Wszystko wytłumaczmy!... Jak nie językiem, to pięścią, jak nie pięścią, to kulą! - mówił Pietrow.

Gdy Pietrow, którego Zabawa wyciągnął z przydrożnego rowu, czyścił ubranie ze śniegu i zaklejał bibułką od papierosa podrapany nos, w Mińsku, w pierwszym podwale Czeki, w pojedynczej celi, na tapczanie leżał Jan Peliński. Obok niego stali felczer i zastępca komendanta GPU, Baranów. Felczer wsadzał Pelińskiemu do nozdrzy okręcone watą i nasmarowane wazeliną patyki. Chciał w ten sposób wyrównać złamany uderzeniem rewolweru, podczas „badania”, nos więźnia.

- Po co mi to? - rzekł Peliński. - Wszystko jedno mnie rozstrzelacie...

- Z prostym nosem i umierać przyjemniej - odparł Baranów.

Stojący w drzwiach gepiści pochlebnie się zaśmiali.

- To faktycznie - potwierdził jeden.

- Absolutnie słuszna racja, że: z prostym nosem... chi, chi, chi! - dodał drugi.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Mińsk, 4 grudnia 1922 r.*

Robotę skończyłem w przyspieszonym tempie i wróciłem do Mińska. W drodze powrotnej, w pociągu, trafiła mi się przygoda, która skończyła się szczęśliwie. Jechałem z Orszy do Mińska. Byłem strasznie zmęczony. Chcąc wypocząć trochę, postawiłem kołnierz płaszcza i zdrzemnąłem się. W Borysowie się obudziłem... Gepiści sprawdzali dokumenty. Wyjąłem z bocznej kieszeni portfel i podałem gepiście złożoną we czworo kartkę, myśląc, że to „otpusknoj bilet”. Gdy gepista zaczął rozkładać papier, spostrzegłem przeświadczone na drugą stronę dużą czerwoną pieczęć z podwójnymi obwódkami. Było to miesięczne zaświadczenie, stwierdzające, że jestem agentem zakordonowym wywiadu. Rozumiecie?

I Przepraszam - powiedziałem, wyrywając gepiście z rąk zaświadczenie i podając mu inne, sowieckie, naturalnie... sfalszowane.

- Czyście zwariowali?! - krzyknął zirytowany gepista.

- Tamto było zaświadczenie o ukończeniu technicznych kursów, tu mać otpusknoj bilet - rzekłem, podając mu właściwy dokument.

Gepista uważnie przejrzał podany mu dowód i wraz z innymi kolegami przeszedł do następnego przedziału... A można było wpaść! Jak trzeba uważać na wszystko... Dokument polski wziętem przez nieuwagę wraz z sowieckimi.

Po przyjeździe do Mińska zatrzymałem się u pani Żarskiej. Julka ucieszyła się moim przybyciem. Dałem jej trzewiki, które miałem przygotowane u pani Jadwigi. Powiedziałem pani Żarskiej, że kupiłem je w kooperatywie w Bobrujsku (Julka nie miała wcale trzewików i chodziła w jakichś szmacianych bamboszach). Pani Żarska chciała zwrócić mi koszt, lecz nie zgodziłem się na to stanowczo, mówiąc, że to podarunek ode mnie dla Julki, która sprząta mój pokój i gotuje herbatę.

Pani Jadwiga powiedziała, że czekista (obecnie gepista) jest uprzedzony i że ona urządzi nam spotkanie w swoim mieszkaniu. Umówiliśmy się na dzisiejszy wieczór...

Gdy wieczorem przyszedłem na dziedziniec domu, w którym mieszkali państwo Dwolińscy, to uważnie zbadałem każdy kąt podwórza... Wszystko było w porządku. Na ulicy również nie dostrzegłem nic podejrzanego. Wstąpiłem do ich mieszkania. Pani Jadwiga była sama w pokoju; matka jej w kuchni prała bieliznę; Andzia spała.

- Niech pan pozwoli tu - rzekła pani Jadwiga, wprowadzając mnie do małego, narożnego pokoiku.

Na stole paliła się świeca. W skąpym, drżącym świetle zobaczyłem przede wszystkim bladą, szczupłą twarz, o wystających kościach policzkowych, długim, wąskim nosie i trochę skośnych oczach. Wysokie, wąskie czoło wydłuża-

la spora lysina. Z twarzy nie można było zgadnąć jego wieku. Mógł miećm. dzieciś lat, mógł mieć i po czterdzieście. Ubrany był niedbale.

- Poznajcie się, panowie! - rzekła pani Jadwiga, wskazując **ruchem** go wy, i dodała. - To mój przyjaciel.

Spojrzałem zakłopotany w jej oczy i omal nie powiedziałem: **dziękuję**. Czekał wstał. Był średniego wzrostu. Podał mi szczupłą, wilgotną **duń** „Chory” - pomyślałem.

- Zostawię was - rzekła pani Jadwiga. - Możecie mówić swobodnie.

Usiadłem do stołu. Czekał ironicznie spojrzał na mnie wąskimi **szpaka-**mi oczu i uśmiech wykrzywił jego wargi.

- Niech pan zabezpieczy rewolwer i wyjmie z kieszeni rękę - rzekł. -Ja mam broń... nagan... ale w wewnętrznej kieszeni... Chce pan **spawdzić?**

- Nie... ufam panu. Zresztą pani Jadwiga...

- Tak... właśnie... Dziękuję panu za kokainę...

- Mam dla pana jeszcze... Chce pan?...

Oczy jego błysnęły.

- Pan jeszcze pyta?!

Wyjąłem trzy złote flaszeczki kokainy „Mercka”, po pięć gramów **każda** i podałem czekać. Gdy brał je ode mnie, ręce mu drżały. Otworzył **jedną** flaszeczkę i nasypał trochę śnieżystego proszku na wieko pudełka od **papierosów**. Wciągnął pośpiesznie, nerwowo do nozdry sporą ilość kokainy i **gę-**boko odetchnął... Jakos dziwnie się uśmiechał i rzekł, patrząc mi w **twaz**

- A pan nie zażyje?

- Nie... nie używam...

Dlaczegoś dłużej się zastanawiał nad tą odpowiedzią, patrząc mi w **oczy** rozszerzonymi źrenicami. Po chwili rzekł:

-Będziesz pan zażywał, będziesz na pewno... Z oczu widzę... I... taka **robot**! ... Nerwy nie wytrzymują, siostra „Koka” pomoże! Chociaż nie radzę... Pij, pal, baw się z kobietami, ale nie to!... Zresztą... wszystko jedno! I tak i tak do lali pojedziemy!...

Wkrótce zaczęliśmy rozmawiać o pewnej ważnej dla mnie **sprawie**. W trakcie rozmowy gepista wydołał z bocznej kieszeni marynarki i podał mi **fotografię**. Ze zdumieniem zobaczyłem swoją podobiznę.

- Skąd to u pana? — zapytałem go.

- Skąd to w Czekie, chcesz pan zapytać... Co?

-Tak.

- Na razie nie wiem. Tylko uprzedzam, że wszystkie dane co do pana są u nas. Omal nie cała biografia! Uwa-**ażać!**... Nie wierzyć najwiarygodniejszemu. Pan wie: co to dolar?... - rzekł, podnosząc palec w górę i **lśniąc** oczami. - Dolar to duch ludzki, sumienie ludzkie i największy argument, przed

kłóym się nic i nikt nie ostoi... Chyba tylko wariat, a normalny człowiek zawsze mu ulegnie!... Pana można kupić za dolara? - nagle zapytał mnie.

-Nie! - odrzekłem stanowczo. - Tam, gdzie dałem słowo lub zobowiązanie się do czegoś... ani za miliony!

-Toznaczy, żeś pan wariat nieuleczalny i... podwójnie niebezpieczny...

Patrzył mi w twarz lśniącymi oczami, nienaturalnie się wykrzywiając i często oblizując wargi.

-Aleja takich wariatów lubię - ciągnął dalej - bo i ja wariat, tylko innego gatunku. Dowiesz się pan sam... Więc uważać: adresów nikomu żadnych, nawet służbowo nie dawać... jeśli tam u was się żąda... Opowiadać wszystko, dawać materiały i informacje, a gdy dojdzie do adresu, do nazwiska, to: miasto Lenina, ulica Stalina, dom Kalinina, obywatelka Anna Wanna lub obywatel Jan Dzban. Rozumiesz pan?

Rozmawialiśmy długo. Posłyszałem wiele nowości. Zdobyłem sporo ciekawych dla mnie informacji. Jednocześnie dałem mu zadanie na przyszłość.

-Uważaj! - rzekł do mnie, już na „ty”, wkrótce przed odejściem | żeby nie wpaść... Żeby nie wpaść, trzeba być chamem! Żeby pracować długo i skutecznie, trzeba być chamem! Śmiałości, sprytu, wiedzy mało. U nas trzeba jak najwięcej chamstwa! U nas tylko chamstwem można zaimponować ludziom. U nas: im większy człowiek, tym większy cham... Pytaj ciębie o dokumenty i podaj niecierpliwie, nadąsany i mów oczami: „No, prędzej, ściertwo!” Od razu pomyślą: „To jakiś lepszy ananas! Droga wolna!”. Tak, bracie! Ajeszcze pamiętaj, że w ubraniu, w którym u nas chodzisz, nie ukazuj się za granicą, bo nasi szpicle wszędzie pracują... gdzie trzeba i gdzie nie trzeba... Nie zawadzi zmienić trochę powierzchowność... Nie za-wa-dzi...

Pożegnaliśmy się. Skierowałem się do Braginów. Szedłem zamyślony. Nagle posłyszałem przed sobą dobrze znany mi kobiecy głos i śmiech. O dziesięć kroków przede mną szła Lizka, którą prowadził pod ramię Ozimow. Ludzi na ulicy było sporo, więc mogłem niepostrzeżenie iść blisko za nimi. Ozimow opowiadał Lizce coś o swych kolegach i o ich dziwactwach. Nie wiem, co było w tym komicznego, ale Lizka od czasu do czasu wybuchała miękkiem, laskoczącym mi nerwy śmiechem.

„Wie, że ma ładny głos i śmieje się, nie wiadomo z czego!” i pomyślałem, że nie mogę podejść do niej w obecności Ozimowa.

Dom Braginów był blisko. Przechodnie szli coraz rzadziej. Aby nie być dostrzeżonym, przeszedłem na drugą stronę ulicy i idąc prędko naprzód, daleko wyminąłem ich. W pobliżu domu Liza się zatrzymała i rozmawiała przez pewien czas z Ozimowem. Następnie pożegnała go i skierowała się ku domowi. Poszedłem pośpiesznie w poprzek ulicy w kierunku domu Braginów. Spotkałem Lizę tuż przy bramie.

- A, to panna Elżbieta! - udałem zdziwionego. - Skąd tak późno?
- Byłam w kinie.
- I cóż: dobry film?
- Ach! teraz nie ma dobrych filmów! Kiedyś były śliczne. Grali Wina Chołodnaja, Lisienko, Mozzuchin... A teraz!?!...
- Rozmawiając, staliśmy przed furtką.
- Pani mi przypomina jakąś aktorkę filmową - powtórzyłem powiedziane jej kiedyś zdanie. - Takie same duże, piękne, wyraziste oczy, takiz wyraz twarzy i układ warg, nawet postać podobna, tylko tamta była za szczupła, a pani...
- E... to komplementy... Chodźmy do mieszkania, bo zmarzłam. No, kto prędzej?
- Pobiegliśmy przez długi dziedziniec. Liza się poślizgnęła i usiadła na ścieżce przed gankiem. Pochwyciłem ją na ręce i poniosłem po schodach do góry...
- Puść pan!... To nieładnie! - mówiła, fikając nogami w powietrzu.
- W mieszkaniu Braginów zastaliśmy tylko matkę Lizki, która coś robiła w kuchni.
- Smutno mi, panie Romanie - rzekła Lizka, gdy znaleźliśmy się smi w stołowym pokoju.
- Opowiedzieć pani coś wesołego?
- Nie, nie to... Tylko teraz zawsze mi smutno. Takie wszystko wokolo popolite, nudne, twarze baranie, głupie. Nic nie posłyszysz ciekawego. Wdokoło tylko stękania, że bieda, że trudno, a przecież żyjemy w porównaniu z innymi wspaniale.
- A czegoż by pani chciała?
- Czego?... Życ bym chciała. Życ szumnie, wesoło, nie tak jak teraz: herbatka, obiad, kolacja, herbatka, obiad, kolacja i tak krugom! I wszyscy skłają ją, wszyscy się skarżą. To mnie tak irytuje, tak irytuje, tak irytuje!
- A pani bardzo ładnie z tym buntem w oczach!
- Pan znowu...
- Pani nie może zabronić mi mówić prawdy... Zapomniałem powiedzieć, że widziałem panią we śnie. To pewnie dlatego, że często o pani myślę.
- A jak pan mnie widział?
- Bardzo ciekawie, ba-ardzo...
- Więc jak?
- Nie można powiedzieć.
- Dlaczego?
- To moja tajemnica.
- E, nieładnie!... zainteresować, a potem nie powiedzieć...

-Pani również tak robi!

-Kiedy?

- Pani powiedziała mi kiedyś, że każdemu ze swoich znajomych daje pani godło, zależnie od ich cech zewnętrznych i wewnętrznych. Jakież moje godło?

-Też tajemnica.

W tym momencie za drzwiami rozległy się kroki. Odsunąłem się z krzesłem od Lizki. Do pokoju weszła Julka. Zwracając się do Lizki, zapytała:

- Dokąd węgle położyć?

-W kuchni jest skrzynia... Na lewo od pieca... Chociaż ja sama...

Wyszły z pokoju.

Wkrótce przyszedł Kobzow z żoną i teściem. Moja rozmowa z Lizą została przerwana. Resztę wieczoru spędziłem niewesoło i poszedłem do siebie. Zdziwiła mnie Julka. Gdy byłem w swoim pokoju, zapukała po cichu do drzwi.

- Co chcesz? - zapytałem, gdy weszła do pokoju.

-Czy wiecie, że za Lizką tu jeden komunar chodzi? Taki gruby, wysoki... swiński blondyn...

-Wiem... Więc cóż z tego?

- Nic. Ja tylko tak.

- A ty, co: pracujesz u Braginów?

| Tak. Mamusi pomagam. Mamusia u nich często pracuje.

„Komedia z tą dziewczyną! - pomyślałem. - Pewnie chce mi wywdzięczyć się dostarczeniem informacji za trzewiki. Mogę przy Lizce swego szpiega mieć!”.

Szkoda, że teraz zima. W lecie mógłbym pójść z Lizką gdzieś na spacer... pomówić obszerniej... bez świadków... A teraz... nie ma dokąd pójść. Chyba do kina, a to niezbyt mi się uśmiecha. Nie chcę niepotrzebnie się narażać, a informacje, które otrzymałem od czekisty, nauczyły mnie inaczej patrzeć na Sowiety i... na swoją pracę. Trzeba będzie zmienić trochę powierzchowność. Szczególnie muszą uważać w drodze: na dworcach, w pociągach i na ulicy. Pajęczyna wisi wszędzie i trzeba się pilnować, aby nie trafić, jak głupia mucha, w siadła pająka.

W lutym przypada dzień urodzin Lizki. Trzeba będzie wystąpić z dobrym upominkiem dla niej. Muszę coś wykombinować... Zresztą mam czas na obmyślenie tego.

Jutro wyruszę w drogę za granicę. Może Pietrow skończył już robotę i oczekuje mnie, bo jutro — pierwszy dzień terminu umówionego przez nas spotkania.

Kończę...

## XI. „WOŁGA, WOŁGA!”

*Wszelako tam było: ciężko i mile  
straszno i bezpiecznie.*

E. Orzeszkowa, *Nad Niemnem*

Późnym wieczorem Zabawa zbliżył się do okna chałupy, w której Pietrow wyznaczył mu spotkanie. W izbie paliło się łuczywo i w jego dość wyjątkim świetle Roman zobaczył, że obcych ludzi w środku nie ma. Zapukał po oknu w szybę.

- Kto tam? - zapytał gospodarz.
- Nauczyciel - odrzekł Zabawa.

Wkrótce był w izbie. Od gospodarza się dowiedział, że Pietrow jeszcze nie wrócił.

- Może jutro przyjdzie - rzekł chłop. - On u nas często bywa. Wypocznie trochę, a czasem cały dzień przesiedzi i znowu w drogę. Niekiedy odwoź go do miasta... Dobry człowiek. Daj mu Boże... Pomógł nam trochę, bo nie mieliśmy żadnego przyodziewku...

Zabawa miał przed sobą niewesołą perspektywę: musiał oczekiwać Pietrowa wiele godzin, a może nawet i przez parę dni. Szkoda mu było teraz, że zgodził się na to, ale słowa złamać nie chciał.

- Gospodarzu! - rzekł Zabawa. - Czy jest u was wódka?

- Wódka?... Nie ma wódki.
- Szkoda. Ja bym dobrze zapłacił.
- A może samogonu? - zapytał chłop.
- Jest?

- W domu nie ma. Można by Magdę posłać do Kuźmicza...

- Ja sama nie pójdę - rzekła córka gospodarza. - Tam przez las... „bojaźno” po nocy...

- A daleko to?
- Wiorsta, może trochę więcej...
- To ja was odprowadzę. Chodźmy!

Wkrótce Zabawa i dziewczyna wyszli z futuru w pole i prędko poszli w kierunku pobliskiego lasu.

- Czy robicie wieczorynki? - zapytał Zabawa.
- Jakie tu wieczorynki! - odparła dziewczyna.
- A jakże się bawicie?
- A nijak.

-Tak i życie?

**-Tak i żyjemy.**

Przeszli w poprzek wąskiej pasmo lasu i zobaczyli w pobliżu drogi małą chatę Wyglądała z dwoma czerwonymi od palącego się w środku świątkami i z grubo ośnieżoną strzechą, jak głowa dziecka, patrząca na świat wni oczkami spod dużej ojcowskiej czapy, która mu się na bakier zsunęła.

I ile kupić samogonu? - zapytała dziewczyna.

-Weź trzy, nie... cztery, a nawet i pięć... Tak, pięć flaszek kup. Nie przepadnie. Jeśli coś zostanie, dla was będzie.

- Pierwaku?

-Weź pierwaku.

Zabawa dał jej pieniądze i dziewczyna pobiegła w stronę chałupy. Wkrótce zapukała do okna. Zabawa słyszał z dala głos rozmawiającego z nią przez drzwi chłopca. Później dziewczyna weszła do środka. Po kwadransie wróciła, niosąc pod chustką flaszki.

-Wzięłam sześć butelek, bo trzy są mniejsze.

- Dobrze - rzekł Zabawa.

- Tu macie pieniądze... reszta...

-Weź sobie.

- Ależ tu bardzo dużo.

a Bierz, bierz, nie sprzeczasz się. Wziął od niej kilka flaszek samogonu, rozniecił je po kieszeniach i prędko poszli z powrotem do futuru. W drodze Zabawa wypytywał ją o różne szczegóły z życia białoruskiej wsi... W końcu zapytał: ile ma lat?

- Dwadzieścia trzy...

- Czemu nie wychodzisz za mąż?

- Teraz takie czasy!...

- Co znaczy: takie czasy?

-Nikt się nie żeni... Nie majak... Czasy niepewne...

W chałupie Zabawa zaczął pić samogon i zaprosił do stołu gospodarza, który się nie wymawiał. Magda również trochę wypila; tylko gospodyni nie piła wcale, wymawiając się chorobą: „robakiem pod sercem, który ssie i ssie bez ustanku”.

Po kolacji poszli spać.

Zabawa długo nie mógł zasnąć. Często wstawał i patrzył w okno... Zdawało mu się, że słyszy na dworze czyjeś kroki, a nawet głosy... że ktoś chodzi wokół chałupy, lecz było to złudzenie. Zasnął późno; spał niespokojnie.

Tej nocy Pietrow nie przyszedł. We dnie Zabawa wielokrotnie wychodził na dwór i patrzył ku widocznym z dala słupom telegraficznym, które się ciągnęły wzdłuż traktu, lecz nikt nie szedł po drodze prowadzącej do futuru.



- Wykiwał mnie Cimka! - kłął głośno Zabawa, wracając do domu.  
Upił się i znowu położył się spać.

- Gospodarzu - rzekł przedtem - gdy ktokolwiek będzie szedł do futora obudźcie mnie. Dobrze?

- Dobrze, dobrze... Ale kto teraz pójdzie do nas? Po co? Sąsiadów nie mamy. Krewni daleko. Od traktu też nieblisko. Nikt tu nie przychodzi.

Obudził się Zabawa późnym wieczorem. Ubrał się i poszedł na spacer. Wszedł do lasu i długo chodził po wąskich ścieżkach, rozkoszując się dobrą pogodą... Był silny mróz. Śnieg chrupał pod nogami. Duże płaty śniegu spadały z zaśnieżonych gałęzi... Po dłuższym spacerze wrócił na futor i wszedł do ciepłej izby.

- Chodźcie jeść kolację - zaprosił go chłop. - Dawno czekamy.

- Doskonale! Zaraz...

Zabawa po spacerze trochę się rozweselił. Również w dobry humor wpłynęła go ta okoliczność, że nazajutrz się kończył umówiony termin jego czekiwania i mógł wracać do Polski. Wypił z gospodarzem dwie mniejsze faszki samogonu i poszli spać.

Zabawa obudził się w nocy. Zdawało mu się, że ktoś zapukał do okna, lecz wkrótce się przekonał, że to (jak i poprzedniej nocy) złudzenie. Spojrzył na zegarek. Było po jedenastej. Wstał, wyjął spod poduszki rewolwer i latarkę, i wyszedł do kuchni. Od silnego gorąca w izbie i wypitego z wieczora samogonu chciało mu się pić. Gdy się napił wody, to zbliżył się do okna i długo patrzył w kierunku traktu... Na dworze było cicho... Śnieg skrzył się w promieniach księżyca. Drzewa stały oszronione, niby srebrne. Noc była cudna. Teren wyglądał jak bajeczna dekoracja...

Zabawa posłyszał za sobą głośne westchnienie... jakbyjęk. Prędko się obrócił i włączając na ławkę obok ściany, poświecił latarką na piec. Zobaczył śpiącą na rozesłanym wełną do góry kozuchu córkę gospodarza. Dziewczyna była zupełnie naga, bo z gorąca zrzuciła z siebie grubą, lnianą koszulę. Leżała z rozrzuconymi niedbale członkami, jak z gorącego, różowego mamuru wykuta. Przy świetle łagodnych promieni latarki, na czarnym de wełny, ciało kobiety było szczególnie piękne. Wyglądało niby z kremu, piany i cukru ślicznie uformowane. Zabawa, patrząc na nią, połknął kilka razy zbierając się w ustach ślinę... Czuł głód... Nogi mu mdlały. Zaciśnął pięści... Długo patrzył z zapartym oddechem i szybko bijącym sercem na nagą dziewczynę, a potem wyszedł prędko do ogólnej izby i położył się do łóżka... Zasnąć nie mógł. Teraz, gdy przymykał oczy, widział rozkosznie rozrzucone ciało kobiety... tak nieodparcie wabiące, kuszące...

11 wywał z ciemności zarzucone pod głowę, krągłe ramię, wysoką, falującą pierś, lekko rozchylone wargi... Nozdrza mu łaskotała wołając ją po policzku...

-Co?... Kto to?... I odezwała się, otwierając oczy, rozespana dziewczyna.

-Cicho, Magdziu, cicho... to ja... Nic, nic, nic...

Dziewczyna milczała. Po chwili usunęła się trochę na bok, robiąc mu miejsce przy sobie. Pozostał z nią do rana...

\* \* \*

Gdy się rozwidniło, gospodarz pojechał do Mińska na targ.

-Nie ma co kupić na tym targu, ale ot... jeździmy... Z nawyku - rzekł do Zbawy.

Magda pojechała razem z nim. Chcieli wymienić za sól trochę ziemiaków zboża.

Zbawa starał się zobaczyć twarz Magdy. Myślał, że będzie po dzisiejszej nocy skrepowana i zawstydzona, bo przypuszczał, że uległa mu „przez grzybnienie”. Lecz parę razy złapał na sobie szelmowskie spojrzenie jej oczu i dostatecznie tak filutemy uśmiezek, że zupełnie się uspokoił.

W południe spostrzegł przez okno w kuchni idącego z dala po drodze mężczyznę. Zaczął skakać z radości, poznając w idącym Piętrowa.

-Cześć, krokodylu! - ryknął kolega, wchodząc do izby i rzucając na łóżko pakietem paczkę. - No i zmachałem się. Dla ludzi mróz, a dla mnie łaźnia! - rzekł, wydrżając spocone czoło. - A u ciebie co słyszeć?

-Wszystko w porządku, tylko za długo na ciebie czekałem.

-Nic. Innym razem ja zaczekam... Skwitujemy się. Ależ się namęczyłem! Inny dni nic nie piłem!

-Dlaczego?... Wody brak?...

-Wody?... Tfu, wody! Wódki nie ma!

-Mam trochę samogonu.

-Co?!... Imilczysz!... Dawaj prędzej...

Wypił szklanek samogonu i oblizał wargi.

-Wiesz co? - rzekł do Zabawy rozczulony - dobry z ciebie chłopak, tylko żeby inną skórę, ręce, nogi, łeb...

i A tobie, żeby z głowy wodę wylać, to niegłupi byłby człowiek!... Ale daj żartów. Mów: jak robota poszła?

-Widzisz! - wskazał Pietrow dłonią rzuconą na łóżko paczkę. - Trzy funty smych rozkazów!... Co, śmiesz się? Ja na funty noszę... Są sztaczachy",

"Sztaczachy - rozkazy Sztabu Zachodniego Frontu; skrót autorstwa Piętrowa.

są rewosy<sup>100</sup>, a nawet jeden gławos<sup>101</sup>". W ogóle, co chcesz: zwykle, tajne, ściśle tajne... Ja kiedyś chciałem u jednego ze swych konfidentów fotografować rozkazy, a on mi powiedział: „Na jakiego czorta? U nas żołnierze w tajne rozkazy śledzie zawijają”. Masz za kwartał i rwij co chcesz! No ja i wydzieram... z mięsem... U nich, bracie, za monetę wszystko kupisz! Cały sztab... z szafami, stołami, maszynami do pisania i z maszynistkami na dodatek!... Wszystko kupisz za chromowe buty, za kamgarnowe portki, za babskie przódki, za gram kokainy, za kieliszek wódki... Wszystko prócz sumienia, którego nie mają, bo to - burżuazyjny przesąd. A proletariuszowi - w ich rozumieniu - wystarczą: ślina do plucia, zęby do żucia, pięści do bicia i smród!...

Przyszła gospodyni.

- A może, chłopaki, pomożecie mi trochę drewna do pieca narząbać, bo mój z Magdą pojechał, a ja nie podołam.

- Idź, pomóż! - rzekł Pietrow do kolegi.

- Idź sam! - odparł Zabawa - Ty proletariusz, więc rób!

- Niech traktor robi!

- No i ja nie pójdę...

- Idź, idź! a rzekł Pietrow. - Ja z drogi, zmęczony... I chory, ja, bracie chory... Siłę mam jeszcze końską, ale zdrowie paskudne... Rozmienilem na drobne, a i drobnych niewiele zostało...

Zabawa wyszedł z izby, narząbał drewna i wrócił. Pietrow, leżąc na łóżku, czytał artykuł z sowieckiej gazety i śmiał się.

- „Sowkultura”. Cha, cha, cha! Chcą w najlepszym razie wyprasować człowieka jak kołnierzyk, wydusić go wygodną dla rządu sztancą i mówią „sow-kul-tu-ra”. A ludzie nieświadomi myślą naprawdę, że jak każdego wymalują jednakową farbą, wcisną w jednakową formę, oznaczą kolejnym numerem, włożą końskie okulary, aby nic nie widział ani z prawej, ani z lewej, i wpręgą do olbrzymiego rydwana, naładowanego ideologicznymi idiotyzmami, to to: kultura! A durnie wierzą, wierzą... i jeszcze jak wierzą!... Jak kiedyś w boskie posłannictwo cara... Przypominam sobie takie zdarzenie, przedwojenne jeszcze (to ja tobie opowiadam na temat kultury). Pewien oficer rosyjski miał w swej rocie<sup>102</sup> rekruta, baptystę, który za nic nie chciał wziąć do ręki broni. Powieszają mu na szyi karabin - ręką go nie dotknie, dopóki nie zdjąją sami... Nic poradzić nie mogli. Otóż przychodzi do niego ten oficer i mówi: „Cóż ty - chamie! osłe głupi! bezmózgi idioto! - sobie myślisz! Gdzie ciebie, takiego durnia, bałbiesa wykopali? Jołopie ty ciemny! Mów

<sup>100</sup> Rewosy - rozkazy Rewolucyjnej Wojskowej Rady Republiki; skrót Pietrowa.

<sup>101</sup> Gławosy - rozkazy Głównodowodzącego Wszelkimi Siłami Zbrojnymi Republiki; skrót Pietrowa.

<sup>102</sup> Rota - kompania.

afrykańska! Gdzie twoja kultura!... Kul-tu-ra gdzie..." - wrzeszczał z pianą „awargach „kulturalny" ofik, trzęsąc mu pięścią przed nosem...

- W ogóle - przerwał Pietrowowi Zabawa - Rosjanie, a szczególnie bolszewicy, o kulturze nie mają prawa mówić nawet, bo miliard razy więcej zrobili, aby ją zniszczyć i zahamować, niż by ją podźwignąć!

-Słuchaj! - rzekł Pietrow poważnie. - Nie gardź Rosjanami! Dobry to naród, ale nieszczęśliwy!... Co się tyczy bolszewików, to i oni ludzie - ale tylko ludzie... A wszędzie, gdzie są ludzie, są dobrzy i źli. Zły człowiek najlepszą ideę popsuje, dobry - przy najgorszym - dobrym pozostanie. W Rosji jeszcze nie ma nic stałego. Naród tu w niemowlęctwie. Bawią się dziko, bawią się okrutnie... Bawią się jak dzieci: po swojemu konsekwentnie... Z początku zabawkę do rąk wezmą - ucieszą się, a potem obejrzą i analizę przeprowadzą brzuch rozprują!... Była jedna zabawka: „car-batiuszka", teraz druga: marksizm, przyjdzie kolej na trzecią: anarchizm. I będzie jeszcze wiele, wiele, póki dojrzeją, dorosną... A nimi wszystkimi diabeł się bawi! Nie ten elegancki, europejski - w cylindrze, fraku, lakierkach, grzeczny, dobrze wychowany diabeł, ale nasz brudny, kochany, ruski, śmierdzący „czort", który w błocie mieszka i bawi się w ten sposób, że komuś oko wypruje, rękę wykręci, nogę złamie, wieś spali, dom obali, studnię zatruje, pieniądze skradnie, płótkę puści, łapówkę weźmie... My też jego zabawki: jak błędne muchy po lepkim papierze łazimy! Tak, bracie!...

Pietrow wkrótce położył się spać, a wieczorem, jak tylko zapadł zmierzch, koledzy wyruszyli w drogę, jeszcze przed powrotem z Mińska gospodarza i Magdy.

Po dwóch godzinach szybkiego marszu znaleźli się na dwudziestej wiorśdzie od Mińska i o siedem wiorst od Rakowa. Pietrow, zdyszany, zatrzymał się na moście.

-Zaczekaj... Odpocznijmy...

Położył się na drodze na wznak i długo tak leżał, duży, groteskowy... Wyglądało -jakby, leżąc na śniegu, wygrzewał się w promieniach księżyca.

-Wiesz co? - rzekł. -Ja prędko skończę... Tak... U mnie: syfilis, wada serca, gruźlica... I wszystko... z tej roboty...

- Czemu się nie leczysz? Organizm masz potężny!...

-Apo co?... I tak, i tak cholera weźmie!... Jeden diabeł!...

Poszli dalej. Nagle Pietrow się zatrzymał i obrócił ku Zabawie dużą, lwią głowę przypominającą mu dłaczegoś Chmielnickiego, którego portret widział na jakiejś starej ilustracji.

-Wiesz co?... - rzekł znowu przyciszonym głosem.

- No?! - zapytał Zabawa, zdziwiony tą tajemniczością.

- Dobrze by napisać powieść...

-Jaką powieść?

- Powieść *Wywiadowca...* Rozumiesz? I tak opisać wszystko - zatoczy! ręką

- Niby ten las, most, drogę? - zapytał Zabawa.

- Durnia grasz! - rzekł Pietrow. 9 Życie, życie opisać!... Życie! Żeby wie dzieli, psiakrew, jakie jest!

- No i cci/?... Napisz!...

-Ja?... Ja nie mogę! U mnie dusza spalona... od złości. Ja tylko gryźć aogę jeszcze... Pisać nie potrafię... chyba nożem po skórze... żywej,, ludziej... I kropki stawiać... w łeb... między oczy... z nagana... A tu trzeba ogniem pisać i krwią... żeby oni wiedzieli!

- Kto „oni”?

- Wszyscy! Dziwią się: „Pijak, awanturnik!”. Gardzą. A kim gardzą? Niech pomyślą nad tym, czemu rekruci, gdy do wojska Idą na krótki czaj płaczą, piją, awanturują się, w łeb sobie walą... Ech, co tam!,,

Machnął dużą dłonią i poszedł z lekka przygarbiony, chwycając barkami zwiesiwszy dużą głowę, pełną trwoźnych myśli, jak wystraszone ptaki, wciągających w mózgu.

Księżyc wesoło, przepływał pomiędzy białymi, lotnymi chmurami. Ze wschodu powiał wiatr i - jak stróż miotłą podwórko - zaczął wymiatać niebo z chmur, spychając je w dół, za czarną ścianę lasu.

Na granicę przyszli bez żadnych przygód. Usiedli na kopcu pod słupem granicznym i, milcząc, długo wypoczywali.

- Wiesz co? - rzekł po pewnym czasie Pietrow. - Zaśpiewajmy.

- A po co?

- Narobimy hajy masałkom<sup>105</sup>.

- Dobra jest. A co będziemy śpiewać?... Może chcesz *Brygady*

-Nie... Dawaj *StieńkęRazina*. Ale wiesz,jak? Po każdej zwrotce robimy po jednym wystrzale, a po drugiej powtórcie resztę nabożów. Dobrze?

- Tylko powolnie... Jazda!

*Wołgo, Wołgo, rzeko święta!*

*Ba-ch!... barch!...*

Ciężki bas Pietrowa, zlany z tenorem Zabawy, przerwał nagle majestatyczną ciszę lasu, nieba i ziemi, a strzały rewolwerowe na strzepy ją podarły, jak pioruny, spadając na uśpione pogranicze, budząc wszystko wokół z głośniejszym zadumy.

Narobimy hałasu żołnierzom.

*Matko moich wolnych snów!  
Ba-ch!... ba-ch!...*

Obaj śpiewali, stojąc. Pietrow miał we wzniesionej do góry ręce nagana-  
| ~~ifit~~ głową niby lwią grzywą.

*Nie widziałaś ty prezentu -  
Od hetmana dońskich lwów?  
Ba-ch!... ba-ch!...  
Ba-ch!... ba-ch!...*

**Zabawa miał lewą dłoń na piersi...** Patrzył w dużą, **księżyc** tarczę księżyc.

*Nie widziałaś ty prezentu -  
Ba-ch!... ba-ch!...  
Od hetmana dońskich lwów?  
Ba-ch!... ba-ch!... ba-ch!... ba-ch!...*

Długo stali nieruchomo. Milczeli obaj. Pietrow włożył czapkę... Powoli  
poszli na zachód i znikli w czarnej, tajemniczej ścianie lasu.

Tylko jodły, zdumione, pozostały na granicy. Tylko księżyc, przerażony,  
patrzył z góry na ziemię. Tylko strażnicy graniczni zachodzili w głowę: co to  
mnie być?... Lecz ani strzałem się nie odezwali - jak psy, które poczuly  
w pobliżu stado wilków... Przycichli... Zaczaili się... Wiedzieli, że to gruba  
zwierzyna.

Gdy Pietrow i Zabawa, wolni i silni, śpiewali na granicy, w Mińsku,  
w pierwszym podвале GPU, Jan Pieliński, zamknięty w czarnej, brudnej celi,  
Śpiewał pieśń skazańca z *Wieży Śmierci*. Pieśń zrodzoną z krwi, cierpień, tchną-  
cą grozą śmierci, rozpaczą zbolełego mózgu, jękiem starganych nerwów.  
Pieśń nieznaną, która niedawno się narodziła, aby zginąć wraz z nielicznymi  
ludźmi, którzy ją w lochach Czeki ułożyli 1 w pamięci przechowywali<sup>101</sup>.

*W nocy i wśród dnia,  
Przez te kraty ja  
W dal swój tęskny wzrok kieruję...  
Słońce, Księżyc, wy  
Odpowiedzcie mi:  
Za co ludzie tak mnie prześladowają?!*

Prawie dosłowny przekład z rosyjskiego.

*W nocy trudno spać;  
Nerwy zmuszą wstać,  
Celę mierzyć szybkimi krokami;  
Piosnkę nucić w dal,  
Thumić w piersi żal,  
I się cieszyć tymi ot słowami:*

Dziwnie ponura, jedyna melodia, jakby wykwitła z jęków Śniateknych, z westchnień rozpaczy, głucho brzmiała w celi, zduszona wilgotnymi, zimnymi murami.

*W kraju swobody,  
W Czeka wrzucony  
I los swój młody  
Już mam zmiążdżony.  
Lecz ja nie pierwszy  
Tu muszę gnić,  
Im zdrowsze nerwy,  
Tym hej jest żyć!*

Refren ten tchnął biedną satysfakcją biednego człowieka, w chorym od ciągłego strachu i poniewierki umyśle.

*Tak mijają dni...  
W duszy smutek tkwi...  
Bez powietrza w lochach porzuceni!  
Wkoło dziki lęk,  
Przyjaźń - próżny dźwięk...  
Wszyscyśmy od dawna zapomniani!  
U kogo jest żona,  
Biedna, wymęczona,  
Dni i noce ma pełne przykrości...  
Siedzi tu czekista,  
Złodziej, aferzysta,  
Každy stale marzy o wolności...*

W drzwi celi uderzono kolbą. Z zewnątrz rozległ się zły, psią wściekłości nabrzmiały głos żołnierza. Pielniński nie odpowiadał... Patrzył przez kratę w dalekie, jasne od księżycowych promieni do nieba i śpiewał refren tej pieśni, o melodii odrębnej od wszystkich innych, zrodzonej za murami i krami - w strasznej niewoli...

*W kraju swobody,  
W Czeku wrzucony...*

-Ej, ty, ścierwo! milczeć tam!... Zaraz ci dam: „w kraju swobody”!  
Biedny, zmęczony, sponiewierany, głodny człowiek śpiewał dalej. Nie sły-  
szął ani gniewnych krzyków żołdaków, ani otwieranych drzwi do celi...  
Zbili go... okrutnie... sadystycznie...

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Baranowicz\*, 10 grudnia 1922 r.*

Po powrocie zza granicy dowiedziałem się w zajeździe u Małki, że przy-  
chodził do niej i pytał o mnie jakiś człowiek. Chciał koniecznie widzieć się  
ze mną w pewnej sprawie, bardzo ważnej i pilnej, i prosił, żebym po powro-  
cie natychmiast do niego wstąpił. Z rysopisu zrobionego przez Małkę, domy-  
śliłem się, że to Smółka, i niezwłocznie poszedłem do niego.

| Dobrze, żeś przyszedł - rzekł Smółka. - Chcę dać ci „cynk”, żebyś u Mał-  
ki więcej się nie zatrzymywał. Czy ona jest trefna<sup>105</sup>, nie wiem, ale tutejsze za-  
jazdy obserwowane są przez „pudlów”, którzy gdy spostrzegą podejrzanych  
przyjezdnych, zaraz dają znać na „tamtą stronę”. Możesz wpaść kiedyś, bo  
tak często chodzisz..

| Gdzież będę się zatrzymywał?

- Mam dla ciebie dobrą „melinę”. Chodźmy zaraz. U nich będzie ci naj-  
wygodniej.

Zaprowadził mnie do tutejszego obywatela, patrioty polskiego, który nie-  
dawno się ożenił i miał własne, dość obszerne mieszkanie. Przyjął mnie chęt-  
nie i prosił, żebym zawsze, nie krępując się, do niego wstępował, o każdej po-  
rze dnia i nocy. To dla mnie jest bardzo wygodne. W ogóle, po otrzymaniu  
informacji od czekisty, wszędzie węszyć zdradę... Smółki jestem pewien.

Piętrowa nie widziałem. Umyślnie wróciliśmy z granicy oddzielnie. Gdy  
opowiedziałem mu o protokolarnym badaniu mnie w związku z jego osobą,  
Pietrow odrzekł, że i on również był badany w tej sprawie. Zrozumieliśmy,  
iż podejrzewano nas o to, że działamy wspólnie na terytorium Sowietów al-  
bo jeden wykonuje robotę dla dwóch. Podobne wypadki zdarzały się często.  
Podejrzenie to mogło powstać stąd, że daliśmy, poza dokumentami, iden-  
tyczne informacje. Czułem się takim posądzeniem pokrzywdzony, al-  
mniejsza o to.

Gdy przyjechałem do Baranowicz, to Pułkownik i Władek koniecznie,  
chcieli, żebym poszedł z nimi do Olewskich. Nie zgodziłem się na to. Powie-

<sup>m</sup> Podejrzana.



działem, że nie mam odpowiedniego ubrania. Gdy zaś dalej nalegali - oznajmiłem, że dziś w nocy wyjeżdżam i chcę teraz wypocząć.

Wieczorem Władek przyniósł dla mnie list od Olewskich: „Panie Romany Zapraszamy Pana do nas na Wilię. Prosimy nasze zaproszenie przyjąć, o czym sprawi nam pan wielką przyjemność. Czekamy na odpowiedź - Olewskie”.

- Nie wiem, czy się zgodzić - rzekłem niezdecydowanie.

| Komiczny jesteś - rzekł Władek. - Czego ty się boisz? Dziewczyny dużo dobrego słyszały o tobie ode mnie i Pułkownika... Żałują ciebie. Współczują. Chcą ci trochę umilić życie, abyś miał godziwą rozrywkę, poza piątką i awanturami, a ty jak... jak dzikus... Ja będę u nich na Wilii, Pułkownik też... Skrzywdzisz mnie bardzo, jeśli odmówisz... Wiesz: dziewczyny trochę romantyczne. Jest w ich zainteresowaniu się tobą sporo ciekawości, lecz aż z tego... Mnie to schlebiałoby nawet... A ty... Ty po prostu boisz się i... nie umiesz się znaleźć w towarzystwie przyzwoitych kobiet!

Nagadałem mu w odpowiedzi głupstw, tak że się obraził, lecz wewnątrz nie musiałem przyznać mu sporo racji. Skończyło się na tym, że obiecałem być na Wilii u Olewskich. Władek wymógł na mnie, abym dał odpowiedź na piśmie. Napisałem krótko: „Dziękuję. Postaram się być u Was na Wilii-Roman Zabawa”.

Trzeba będzie pójść. Rzeczywiście dobre dusze. Zofia mi się szczególnie spodobała... Chociaż wszystkie są ładne i bardzo sympatyczne.

Dziś wyjeżdżam do Wilna. Zabiorę Karola Kraskę i w drogę! Trzeba się spieszyć, jeśli chcę wykonać robotę i wrócić na święta do Baranowicz.

...

*Raków, 14 grudnia 1922 roku*

Wczoraj w nocy przyjechałem wraz z Karolem Kraską do Rakowa. Zatrzymaliśmy się u państwa Gołęckich, z którymi zeszyłem razem zapoznał mnie Smółka. Przyjęto nas gościnnie. Ulokowaliśmy się w osobnym pokoju z oknem od ulicy.

Śmiać mi się chce z Karola Kraski. Mężczyzna starszy ode mnie o dziesięć lat, żonaty i dzieciaty, a tak naiwny. Przez całą drogę dzwonił mi w uszy, jak to on będzie w Mińsku zwiedzał kina, teatry... Zamierzał nawet wyjechać do Moskwy, żeby osobiście „zbadać centr”. Mówił, że złoży wizyty znajomym. Tego mu nie radziłem. Chciał pozostać w Rosji przeszło miesiąc, aż do mego następnego powrotu do Polski, który obliczałem na połowę stycznia 1923 roku.

Od Gałęckiego się dowiedziałem, że w tym roku wyjątkowo wcześniej zaczęły grasować wilki. Poprosiłem go o kupienie dla mnie fiaszeczki benzyny. Kraska zapytał: po co? Powiedziałem mu, że gdyby wilki zaatakowały nas

w otwartym polu, to można świecić latarkami, strzelając, w rzucając granatami, dobrnąć do lasu i powłazić na drzewa lub rozpalić ognisko a benzyna w tym wypadku pomoże prędzej rozniecić ogień.

Kraska był zachwycony:

-Wie pan co? - rzekł z zapałem. - Ja dawno marzyłem o zdobyciu wilczej skóry. Jakby to ślicznie było mieć wyprawioną wilczą skórę przed łóżkiem, co? A drugą na ścianie. Pan mi da za granicą jeden rewolwer

uzupełnić sobie wspaniałe polowancko na wilki.

-Apan dobrze strzela?

-Nie próbowałem. Ale cóż to za sztuka? Nie matematyka.

-Racja - rzekłem. — To nie matematyka.

Kraska, wesoło pogwizdując, zaczął porządkować rzeczy, których było bardzo dużo, bo zakupił nie tylko to, co mu wskazałem, jako potrzebne w ~~Sowietach~~ rodzinie jego żony, lecz i wiele ponadto - zbędny

rzeczy. Przy kolacji, po wypiciu paru kieliszków wódki, zaczął wygrażać bolszewikom i wyraził życzenie napędzić im strachu. Chrząkał, wyprężał piersi, błyskawice z oczu mijał.

Wieczorem zaprowadziłem Kraskę nad granicę i umieściłem go w krzakach w pobliżu duktu granicznego. Następnie poszedłem do kompanii i na placówkę. Stamtąd, w asyście plutonowego i dwóch żołnierzy, poszedłem na granicę (potrzebowałem mieć świadków mego przejścia granicy, aby przepaska poszła z powrotem z odpowiednimi adnotacjami na odwrotnej stronie). Na granicy wysłałem żołnierzy daleko w prawo i w lewo, a plutonowego poprosiłem, aby poszedł na trakt i jeśli u bolszewików spokojnie, zaświecił przez kilkanaście sekund latarką. Było to w pobliżu krzaków na polskiej stronie, w których umieściłem poprzednio Kraskę. Gdy żołnierze i plutonowy znacznie się oddalili, wyprowadziłem Kraskę z krzaków i znaleźliśmy się na granicy. Szedł jak automat, nie mówiąc ani słowa. Powiedziałem do niego:

-Niech się pan pochyli jak najwięcej... Iść tylko po moich śladach.

Gdy z dala błysnęło jaskrawe światło latarki, ruszyłem naprzód. Szedłem wolno, wyprostowany. Kraska się posuwał za mną wpółzgięty. W ten sposób mogłem być dostrzeżony z dala tylko ja. Gdy w lesie, o kilkaset kroków od granicy, zbliżyłem się do Kraski, to spostrzegłem, że cały dygocze. Chociaż poprzednio miałem zamiar dać mu nauczkę, lecz teraz zrobiło mi się go szkoda. Wyjąłem z kieszeni flaszkę trochę rozcieńczonego spirytusu i kazałem mu pić. Posłusznie pił dużymi haustami alkohol, aż się zakaszłał.

Przeszliśmy szczęśliwie i „drugą linię”. Z prawej strony, za rzeczulką, wyły wilki. Szczekały grabo i cienko - jak psy, płakały jak dzieci.

- Wilki - rzekłem do Kraski, wskazując lufą rewolweru w tamtym kierunku. -Może urządzimy polowancko, co? Miałeś pan życzenie zdobyć parę skórek.

- Daj pan spokój. Ja żartowałem. Chodźmy dalej.

Kraska, na którego naładowałem większą część zabranych rzeczy z wyglądał komicznie i zawsze, gdy na niego spojrzałem, miałem chętkę do śmiechu. Wyobraźcie sobie jegomościa w kloszowym palcie, eleganckim kapeluszu, modnym garniturze, z workiem na plecach, brnącego po głębokim śniegu. Szalik mu się rozwinął, kołnierzyk zjechał na bok, kapelusz się zgniół. Ubranie było całe zaśnieżone i pokryte suchym igliwem. **Wystrojony** jak na bal, szedł, chwiając się na boki, nieufnie patrzył ku krzakom i z rozpaczą w duszy brnął przez wysokie, śniegowe zaspę. Wyszliśmy z lasu i poprowadziłem go dalej, na przelaj przez pola.

Z Rakowa wyruszyliśmy o piątej wieczór, a przybyliśmy do Mińska o siódmej rano. Ledwo zdołałem przed świtem zaprowadzić go do mieszkania Dwolińskich. Drogę - 33 wiorsty - zrobiliśmy w 14 godzin. Kraska ledwie doszedł. Stopy miał pokaleczone. Wyglądał okropnie. Poprzednio miałem chęć zaprowadzić go dla wypoczynku albo na tę melinę, na której byłem z Gruszewskim, albo na melinę Piętrowa, lecz obawiałem się pokazać je Krasce, bo nie byłem go pewny.

„Za miękki w kuprze!” - myślałem. W razie wspany, jeśli wezną go do galopu, wszystko wyśpiewa: co wie i czego nie wie!

Dwoińscy zawiesili szczelnie okna i zaopiekowali się Kraską, który wciął ce, napojony herbatą, położył się do łóżka.

Ciekawe, jak on będzie składał wizyty, bo mam wrażenie, że nogi nieprędko mu się wygoją.

*Mińsk, 18 grudnia 1922 r.*

Dziś wróciłem z Homla do Mińska. Miałem zamiar jechać do Smoleńska. Wstąpiłem do Dwolińskich odpocząć, bo do Braginów iść nie chciałem. Pani Jadwiga i jej matka radośnie mnie przywitały.

- Nareszcie! Nareszcie! - rzekła pani Jadwiga. — Nie mogliśmy się pana doczekać.

Zaniepokoiłem się:

- Co się stało? Może co złego?

- Na razie nic się nie stało, tylko z Karolem źle. Jak obłąkany... **Dyocze**, chowa się, nawet płacze... Dowiedział się o rozstrzelaniu kilku **znajomych** i o tym, że GPU przeprowadza w mieście rewizje i obławy, więc się **przekł** okropnie. Myśmy z nim też się umęczyli... Radź pan: co robić?

- Gdzie on jest?

Zaprowadzono mnie do małego pokoiku, w którym rozmawiałem **nie**

dawno z czekistą, lecz nikogo tam nie zobaczyłem. Pani Jadwiga odemknęła drzwi szafy i zobaczyłem urządowną w środku pościel, na której siedział Kra-

-Panie, panie! Po co pan mnie tu przyprowadził?

Byłem zdumiony.

|Pan przecież sam chciał...

Wjego oczach ukazały się łzy.

-Jadzia, wyjdź - rzekł do żony.

Pani Dwolińska (właściwiej: pani Kraska) wyszła z pokoju.

-Panie, ja zwariuję! — rzekł z rozpaczą Kraska. - Ja nie mogę więcej!

Spójrz pan na moje ręce - odsunął rękaw koszuli. - To w kilka dni... Ani jeść, ani spać nie mogę...

Złość i żal jednocześnie ogarnęły mnie. Nie znoszę widoku płaczących lub tak okropnie się bojących ludzi. Jak wstrętnie się przejawia u niektórych ludzi instynkt samozachowawczy! Jaki brak opanowania!

- Czy pan może chodzić? - zapytałem go.

-Byle iść... byle iść! Chodźmy stąd!...

- Dobrze - rzekłem. - Dzisiaj wyjeżdżam do Smoleńska, a za trzy, najdalej cztery dni powrócę, wtedy pójdziemy do Polski.

-Trzy, cztery dni?... O, Boże! Ja nie mogę! Ja nie chcę! Jadziu!

Weszła żona Kraski.

-Jadziu... powiedz mu... ja nie mogę już... powiedz.

Znowu zapłakał. Było w tym coś chorobliwego, anormalnego. Nie wiem tylko, jak to nazwać? Pani Jadwiga uspokoiła go i wyszliśmy do następnego pokoju.

- Proszę pana - rzekła po chwilowym milczeniu. - Niech pan będzie dobry dla nas i dla niego. Zabierz go pan dzisiaj, bo to może źle się skończyć. Jeszcze naprawdę postrada zmysły.

- Czy on dojdzie?

-Jeśli nie dojdzie w jeden dzień, dojdzie w dwa. Pan poradzi. Nogi mu się podgoiły... Włoży luźne trzewiki ojca...

Z zalem w sercu zgodziłem się na to. Nie mam szczęścia. Perspektywa smutna. Trzeba zaprowadzić Kraskę do Polski, wrócić do Mińska, pojechać do Smoleńska, przyjechać z powrotem, znowu przejść do Polski... O Wilii u Olewskich nie ma co marzyć!

Trzeba się przespać, bo wieczorem wyruszę z Kraską w drogę. Boję się tej drogi. Bodajby szczęśliwie się dla nas skończyło!

. . . .

Raków, 19 grudnia 19221

Nie chcę opisywać naszej drogi powrotnej, bo nie potrafię tego ~~zrobić~~ należycie i jest to zbyt przykre. Na początku drogi Kraska mnie nawet przy nagle, a potem tak osłabł, że ledwie do rana przeprowadziłem go przez granicę. Przez rzeczułkę graniczną przeniosłem go na plecach. Byłem podwójnie, potrójnie ostrożny. Po przejściu granicy z wielką ulgą ~~odetchnąłem~~ skończyło się...

- Dziękuję panu bardzo... I wyszeptał Kraska. - Dziękuję... Będę zawsze wdzięczny...

Przysliśmy do Gołęckich okrężną drogą, gdy już się rozwidniło. Dobry ludzie zaopiekowali się gorliwie Kraską, który wkrótce, po wypiciu herbaty z koniakiem, mocno zasnął. Obudził się przed obiadem. Ubrał się i ~~do~~ przyszedł do stołu. Jadł dużo i z wielkim apetytem. Miałem o niego pewne obawy, ale teraz się uspokoiłem. Po obiedzie, gdy zostaliśmy sami w naszym pokoju, Kraska powiedział:

1 Pan pójdzie „tam”?

-Tak.

- Dziś?

- Koniecznie dziś.

Dłuższy czas patrzył na mnie w milczeniu, a potem rzekł:

- Niech pan powie Jadzi, żeby koniecznie się starała wraz z Andzią wyjechać „stamtąd”... Ja gotów teraz wszystko, co mam... Tak... Ja teraz ~~rozum~~miem... Pan powie... Ja nawet nie wyobrażałem sobie, jak to wygląda... co to znaczy... jakie to okropne.

Dużo jest ludzi na świecie, którzy dlatego właśnie przymykają oczy na pewne rzeczy, że nie mają wyobrażenia, jak to wygląda. A najgorsze jest to, że nawet widząc, nie widzą... dopóki sami nie dotkną, osobiście nie ~~dot~~czują. Bieda?... No, bieda... Głód?... No, głód... Wyzysk?... No, wyzysk...~~o~~ wszystko słowa, mające pewne określone znaczenie, lecz treść ich - ~~ma~~brutalną - nie każdy zna, a najmniej ci, którzy powinni ją znać...

Wkrótce potem przyszedł do mnie Smółka. Był zdyszany; widocznie się śpieszył.

- Mam robotę... - rzekł. - Dobrą robotę. Właśnie na ciebie ~~czeka~~mam,

-Jaka robota?... Ja dzisiaj muszę iść z powrotem do Rosji.

- To i dobrze... Po co ci iść, jeśli możesz pojechać?

Dowiedziałem się od niego, że jest partia towaru do przemycenia ~~przez~~ granicę. Towar drogi, wartości około 30 000 rubli w złocie. Sacharyna, ~~fity~~ i skóry na podeszwy. Przemytnikom nie chcą dać, bo się boją ~~agrandy~~TM. To

Granda - napad; żargon złodziejski. Przemytownicy dodali do tego wyrazu literę „g”, stąd „agrandy”.

war należy do kilku chrześcijan, którzy boją się ryzykować, bo jeszcze nic nie zarobili. Towar ten stanowi prawie cały ich majątek. Zaproponowali „robotę” Smółce, który od lat był znany na pograniczu ze swej uczciwości w „interesach”, odwagi i sprytu. Smółka zaproponował mi wykonać tę robotę wspólnie z nim. Towar musimy wieźć w saniach zaprzężonych w jednego konia. Wszystko przygotowane.

- Ile za robotę? - zapytałem go.

- Sto „guzików”. Cena dobra. Ale z naszej strony - pewność.

z „maszynami”... Dlatego do ciebie przyszedłem.

-Jedziemy we dwóch?

-Tak... Z powrotem ja sam...

- Kiedy wyjeżdżamy?

-Ojedenastej. Gdy „zielonki” się pomęczą...

-Skąd?

- Z futoru... spod Wygonicz...

Zgodziłem się na tę robotę. Wieczorem Smółka obiecał przyjść po mnie.

Był bardzo zadowolony, szczególnie gdy pokazałem mu broń.

- Dobra jest! Przerzucimy jak piórko, na hura! - rzekł, śmiejąc się.

-Właśnie tak: na hura! - potwierdziłem jego słowa.

## XII. WILIA ZABAWY

*Lecą chmury, pędzą dmy  
Śniegu potop, śniegu moc!  
Księżyc, niewidzialny, z góry  
Rozwidnia nam mętłą noc.*

Aleksander Puszkina, ~~Bezy~~

### 1

Smółka, mocno zaciskając w rękach lejce, siedział na przedzie. Zabawa umieścił się z tyłu. Założył stopy pod liny (sanie były wielokrotnie nimi obwiązane), aby przy szybkim ruchu nie wypaść i mieć wolne ręce.

Duży, wypoczęty, młody kolarz niecierpliwie rwał się naprzód, lecz Smółka go wstrzymywał. Długie sanie, z towarem okrytym z wierzchu brezentem, wyglądały jak łódka na śnieżnej fali.

Kierując się ku granicy, pozostawili z lewej strony Wygonicze, a następnie przejechali obok wsi Pomorszczyna, wydostając się na drogę prowadzącą z Rakowa do Kojdanowa. Wkrótce zjechali z tej drogi w otwarte pole i skierowali się na wschód - ku granicy. Mieli przed sobą szeroką i długą dolinę, z lewej strony zakrytą lasami od nawały północnych wichrów. Z prawej - od południa - ciągnął się długi łańcuch wzgórz.

Zbliżyli się ku granicy. Wiatr był pomyślny dla nich - z zachodu. Urosł w górę i rzucał na wschód chmury ostrego, drobnego śniegu.

Smółka wstrzymał trochę konia i obrócił się do towarzysza.

- Przygotuj się - powiedział. - Zaraz granica. Tam, na prawo - Wielkie Siolo. Zabawa odbezpieczył parabellum i wyjął z lewej kieszeni skórzanej kurtki nagana.

- Gotów - rzekł. - Naprzód!

- Trzymaj się!

Sanie mknęły coraz prędzej. Zdawało się, że nie po śniegu jechali, lecz w obłokach pędzili. Z lewej strony ukazały się na moment słupy graniczne. Z prawej błysnął - jak kometa, pędząca w zimnej mgławicy śniegu - cień w oknie jakiejś chałupy Wielkiego Siola i zaraz utonął w śnieżnej zaniży.

Smółka znał teren doskonale, bo wiele razy tędy przeszedł sam i z patkami przemytników jako „maszynista”. Gdy oddalili się od granicy o pięć wiorst, zaczął wstrzymywać konia. Pojechali wolniej.

Od czasu do czasu wjeżdżali na drogę i przez pewien czas jechali po niej, następnie znowu mknęli na przelaj - na wschód. Pozostawiając na prawo Stare Siolo, pojechali po twardej, chociaż zaśnieżonej drodze obok lasu. Zabawa s'?' zdziwił i nie zwracał uwagi na teren. Dotychczas wszystko było w porządku, a dalej - po przebyciu połowy drogi - nie spodziewał się żadnych niebezpieczeństw. Nagle posłyszał lekkie gwizdnięcie Smółki, i. Ocknął się... Dostrzegł czarny, ruchomy kształt, jakby wirujący w śnieżnej kurzawie. Stanął na linach jak w strzemionach. Smółka popędzał konia.

Naprzeciwko nich jechały duże sanie, zaprzężone w parę koni. Ledwie potrafił je wyminąć na wąskiej drodze. W tym krótkim czasie, gdy w całym pędzie przejeżdżali obok siebie, Zabawa dostrzegł kłęczących w saniach ludzi.

Doleciały jego uszu ich krzyki: „Stój! Strzelamy!... Trzymaj!”.

Pędzili dalej. Wyminięte na drodze sanie zawróciły i z dała jechały za nimi. Zabawa usiadł tak, aby być plecami do Smółki i móc obserwować drogę z tyłu.

- Albo „tamożniki”, albo „podpolniki” - krzyknął Smółka. Przyspieszał konia. Wpadli na szerszą drogę i przez dłuższy czas jechali po niej. Po godzinnej gonitwie sanie ścigających zaczęły zbliżać się ku nim: tamci jechali bez ciężaru i mieli parę koni.

Byli blisko Mińska, lecz Smółka, nie chcąc zbyt zbliżyć się do miasta, zawrócił sanie na północ, a potem, zataczając duże półkoło, skierował się na zachód - ku granicy. Wieś Miedwieżyno (dokąd wieźli przemyt) była blisko, lecz nie można było tam jechać, aby nie wskazać ścigającym „punktu”.

Koło uszu przemytników gwizdnęła kula. Po chwili - druga... Smółka przyspieszył bieg konia. Zabawa podsunął się ku niemu i mówił głośno, prawie krzycząc:

- Jedź na leśną drogę... żeby większy las... Ja zeskoczę i zrobię zasadzkę... Poczęstuj ich... Nie ujdziemy z towarem...

- Żebyś nie wpadł! - krzyknął Smółka.

- Wał do lasu... Tylko, żeby wąska droga...

- Dobrze. Trzymaj się!

Smółka znowu zmienił kierunek. Pojechali na wschód, ku czerniejącemu o dwie wiorsty od nich lasowi. Zabawa wiedział, że ten las przylega do dużego, Archijerejskiego Lasu.

Koń Smółki biegł resztkami sił. Dystans pomiędzy nimi a ścigającymi trochę się zwiększył. Wjechali do lasu. Droga była wąska i wydała im się - po jasnej, szerokiej przestrzeni pół - bardzo ciemna. Niedaleko od brzegu lasu był zakręt. Zabawa krzyknął: „Stój!”. Smółka wstrzymał konia. Zabawa wyskoczył na drogę i krzyknął:

- Syp dalej! Ja się załatwię z nimi.



Smółka pognął konia i wkrótce sanie *znikły* za następnym zakrętem drogi. Zabawę ogarnęła złość, która wciąż rosła w czasie uporczywego pościgu, a teraz mętłą falą wściekłości zalała mu cały umysł.

-Ja was... i kłął, stojąc w krzakach na zakręcie drogi, przy samym jej brzegu.

Sanie prześladowców były już blisko. Posłyszał tętent koni, ciężki ich oddech i podniecone ludzkie głosy. Tuż przed nim ukazały się pokryte pianą pyski zwierząt... Zabawa z dwóch rewolwerów naraz wystrzelił w końskie łby... Duże, cuchnące potem cielska wspięły się na tylnych nogach w górę | łamiąc krzaki, rzuciły się z drogi na prawo. Spłoszone konie poniosły. Zabawa zobaczył w saniach rozrzuconych bez ładu ludzi, których nagły skręt sani obalił na kupę. Dał do nich kilka strzałów i patrzył z satysfakcją, jak sanie się tłukły o pnie drzew. Zniknęły w mroku między czarnymi kolumnami sosen. Tylko trzask i jęki rozległy się po lesie.

Zabawa krzyknął za nimi: „Co, złapaliście?”. Potem zawrócił i prędko poszedł z powrotem. Gdy znalazł się na brzegu lasu, zobaczył z dala łunę nad Mińskiem. Łunę tę można było dostrzec z odległości kilkunastu wiorst, a w niektórych miejscach - o wiele dalej. Pośpiesznie poszedł w kierunku miasta.

## 2

Zabawa wyszedł z Mińska o jedenastej we dnie i skierował się w stronę granicy.

Po przyjeździe ze Smoleńska, nigdzie nie wstępując, udał się w drogę powrotną. Liczył na to, że jeśli będzie dobrze iść, trafi na Wilię do państwa Gołęckich w Rakowie, którzy zaprosili go do siebie na święta jeszcze przed wyruszeniem za granicę. Nie chciało mu się spędzać tej nocy w Sowietach, gdzie się czuł coraz mniej pewnie. Teraz, będąc w Sowietach, nie wypuszczał rewolweru z zanurzonej w kieszeni lewej ręki. Aby uzasadnić stałe trzymanie ręki w kieszeni nosił zwykle pod pachą teczkę, książkę albo gazety. Szczególnie się pilnował na dworcach, gdzie było pełno gepistów. Czuł stale na sobie ścigające go krwawe, okrutne spojrzenia, na szyi czuł uścisk kościstych pałców, w mózgu miał jedną myśl, która stale go tropiąc, z biegiem czasu w nią się obracała: „Tylko nie dać się żywym! Tylko nie dać się żywym!”.

Nie chodziło mu o to, że zostanie zlikwidowany, rozwalony, rozbity, pod ściankę postawiony, „w rozchód puszczony”, „do sztabu Duchonina odkomenderowany”, „do mogilewskiej guberni odesłany” itd. (bolszewicy na określenie kary śmierci wymyślili niezwykłą liczbę nazw cynicznych, komicz-

nych, często pieszczotliwych), lecz wiedział o metodach badania GPU, które były stosowane do więźniów, aby wykryć istniejącą lub uroję i wołał zginąć w walce, niż ulec ich wymyślnym torturom i zdradzić swych współpracowników.

O trzeciej w południe ominął Stare Sioło i, pozostawiając po lewej smolami?, poszedł brzegiem lasu dalej, prosto na zachód. W ten sposób skracał sobie drogę. Podniosła się lekka zadymka. Zachodni wiatr nieustannie rzucał mu w twarz garściami ostrej, śnieżnej mąki.

Zabawa przeciął drogę z Zasławia do Starego Sioła i poszedł dalej. W pewnym miejscu stanął na ścieżce i zapalił papierosa. Gdy się obejrzał, zobaczył o dwieście kroków od siebie idącego mężczyznę. Szedł on drogą prowadzącą z Zasławia do Starego Sioła i skręcił na ścieżkę, na której stał właśnie Zabawa.

Zabawa ruszył dalej. Kilka razy się obejrzał i zawsze widział, jak nieznanemu mężczyźnie pośpiesznie dążył za nim.

„Ciekawe: co za jeden?” - pomyślał.

Po pewnym czasie usiadł na zaśnieżonym pieńku drzewa. Znowu zapalił papierosa i trzymając dłoń w kieszeni, na rękojeści rewolweru, oczekiwał nieznanego. Tamten zbliżył się. Był to milicjant. Zatrzymał się obok Zabawy.

I Dzień dobry - rzekł. - Odpoczywacie?

- Tak... Niby wypoczywam...

- A dokąd to idziecie?

-A wy dokąd?

-Ja?... Ja do Zakabłuków.

-A ja do Borsuków.

- Do Borsuków? A do kogo?

-A na co wam to wiedzieć?

-Ja tak... Z ciekawości.

-Nie trzeba być takim ciekawym, nie każdy to lubi. Ja bym ciekawym języki pourzynał, żeby nie pytali.

-Ja mogę być ciekawym. Mnie wolno - nastroszył wąsami milicjant.

-Wolno? No, no... Co ty powiesz?...

-Tak, wolno... Dlatego, że służę, znakiem tego, dla ogólnego porządku. I, na ten przykład, poproszę was, obywatelu, o dokumenty. Tak, proszę o paszport.

- A może ja - „na ten przykład i znakiem tego” - nie chcę pokazać ci paszportu, żebyś go nie zjadł.

-To ja ciebie aresztuję... Tak... Tu niespokojnie... różni chodzą, różnie bywa.. Chociaż to i dzień... Mam prawo... Dawaj dokumenty!... Not...

-Masz, masz...

Zabawa podsunął mu pod nos lufę parabellum.

- Siadaj faraonie!<sup>107</sup> - rzekł ze złością. - Zaraz ci dam dokumenty, piwko

Twarz milicjanta żałośnie się wykrzywiła. W oczach mu się odbiło przyżenie.

- Towarzyszu, towarzyszu! ja nic... Towarzyszu, ja dla chleba... Dla chleba, bracie kochany... Daruj życie... Idź sobie, gdzie chcesz... Idź... Jaani stówka... Braciszku...

Zabawa się uśmiechnął.

- Co, cienieś śpiewasz teraz? Spuściłeś z tonu... „Dla chleba”?... Ty byś nie przepuścił takiemu, co dla chleba się morduje. Nie, „bracie kochany”..

Zabawa odpiął mu futerał z rewolwerem i zrewidował kieszenie, uważając, aby milicjant nie mógł mu wyrwać broni z rąk. Znał się na tym dobrze i był pewien, że zanim tamten zrobi pół chwytu, on wsadzi mu w piersi kilka kul. Następnie wskazał mu palcem drogę z powrotem na wschód, w kierunku Starego Siola.

- Idź!... - rzekł krótko.

Milicjant, wciągając głowę w kark, poszedł tak ostrożnie, jakby bosymi nogami po tłuczonym szkle stapał. Spodziewał się w każdej chwili kuli z tyłu.

„Dla chleba, bracie kochany” - wyszeptał Zabawa, patrząc za nim.

Długo stał zamyślony, potem zawrócił i pośpiesznie poszedł dalej.

Zapadał zmierzch.

• • •

Chociaż Zabawa bardzo się śpieszył, nie zdołał tego wieczora trafić na Wąlię do Gołęckich. O siedem wiorst od granicy, za wsią Gorań, idąc po wąskiej ścieżce, przecinającej las na ukos - od Smołami w kierunku traktu na zachód - dostrzegł przed sobą jakiś ruch. Staął. Spostrzegł, że jest obserwowany. Wycelował w tamtym kierunku rewolwer. Posłyszał szybkie kroki uciekających ludzi. Pobiegł za nimi. Z początku posuwał się, orientując się po długim trzasku gałęzi i hałasie kroków, a później po śladach, pozostawionych w głębokim śniegu. Po dłuższym pościgu zobaczył przed sobą uciekającego człowieka. Dogał go.

-Stój!... bo strzelam!...

Jeden przemytnik (Zabawa dotąd go nie spostrzegł) rzucił się w stronę krzaków, drugi stanął.

- Skąd ty? Z Rakowa?

- Ta-ak...

<sup>107</sup>Jedno z przezwisk rosyjskich policjantów: faraon, śledź, cerber, hak, barbos.

-Towar jest?

i Nie ma-am... Tylko... lisa...

- Dawaj!

Przemysłnik wydobyl spod kurtki duze, puszyste futerko niebieskiego lisa.

-Puśćcie... towarzyszu... Więcej nie pójde... Weźcie lisa... To drogi... niebieski... puśćcie...

-Wrywaj! - rzekł Zabawa, zabierając mu futerko.

Przemysłnik zniknął pośpiesznie w krzakach. Zabawa długo błakał się po lesie, nie mogąc znaleźć żadnej drogi. Położenie jego pogorszyła zawiąja, która z niespodziewaną siłą rzucała w górę chmury śniegu i przewalała je w powietrzu w różnych kierunkach. Straciwszy nadzieję wyjścia na dobrą drogę, aby się nie błąkać, Zabawa poszedł prosto na zachód. Drogę miał okropną, lecz uparcie krok za krokiem dążył naprzód, przez zasypy śnieżne, przez wały olbrzymie, utworzone z zawianych śniegiem krzaków i gałęzi.

W pewnym miejscu usiadł, aby odpocząć, i spojrział na zegarek. Była druga w nocy. Piętnaście godzin był już w drodze, a nie wiedział, czy jest w Polsce, czy w Sowietach. Każdy kilometr drogi zdobywał z tak wielkim wysiłkiem, że nie mógł się wcale zorientować, jak daleko uszedł. Opanowywał go sen. Usiadł. Wypoczywał...

„Mam Wilie! - myślał. - A lisa dam Lizce... W dniu urodzin”.

Myśli płątały mu się w mózgu. Omal nie zasnął. Wstał i znowu rozpoczął walkę ze śnieżną nawałą, z wściekłością wiatru, który odpychał go w tył, zagradzając drogę. Od czasu do czasu zatrzymywał się. Trochę wypoczywał i znowu się rzucał w walkę z wichurą, zdobywając krok po kroku falujący, zdawało mu się, usuwający się spod nóg teren.

Zaczęły mu się przemykać przed zbolałymi od uderzeń śniegu oczyma różne obrazy... Zobaczył Pułkownika i Władka na Wilii u panien Olewskich... Przywidział mu się ścienny zegar, tykający w izbie Kalinowskich w Wołkowszczyźnie... Zobaczył śliczną, uśmiechniętą twarz Lizy, a zza niej wyloniła się puciołowata fizjonomia Ozimowa... W chwilę później zobaczył leżącą nago na piecu, w świecie latarki elektrycznej Magdę. Oczy miała przyzmurzone - ukradkiem go obserwowała - a po wargach jej błakał się filuterny uśmiech... Zjawiła mu się przed oczami olbrzymia twarz Piętrowa, jego oryginalna postać: stał, grożąc komuś zaciśniętym w ręce naganem... W uszach grzmiał Zabawie jego potężny głos... Wszystko to przewalało się podświadomie w jego mózgu, wtedy gdy ciało zmagalo się z wiatrem i pokonywało różne przeszkody w terenie.

Wyszedł w pole. Po pewnym czasie znowu wstąpił do lasu. Od czasu do czasu sprawdzał według busoli kierunek swej drogi.

Przebył zamarzniętą przy brzegach rzeczułkę. Na zegarku była godzina czwarta.

Pokonał blisko kilometr drogi przez gęsty las. Przebrnął olbrzymią zasne śnieżną i oparł się o ścianę jakiegoś budynku. Obszedł go wokół. Dostrzegł małe, oświetlone z zewnątrz okienko. Zajrzał do środka. Zobaczył stół i palącą się na nim, obok skrzynki z polowym telefonem, naftową lampę. Za stołem siedziało trzech strażników, grających w karty. W głębi izby zobaczył przy-czę, zawaaloną szarą masą ciał ludzkich. Cienie grających przy stole krasnor-miejców, potwornie olbrzymie, skakały po ścianach i suficie, deformując się cudacznie, przeplatając się wzajemnie, jakby walcząc.

Zabawa poznał, że jest to bolszewickie „karaulnoje pomieszczenie”. Dłuższy czas patrzył ciekawie do środka, a potem poszedł dalej.

Wkrótce się znalazł na granicy. Staął, zmęczony zupełnie, między słupami granicznymi i patrzył na zachód... Wszystko mieniło mu się przed oczami... Rzeczpospolita spała, otulona jasną puszystą kołdrą śniegu. Spała spokojnie, mając przy boku od wieków wrogiego sąsiada. Spała i śniła o dawnych zwycięstwach i sławie, o przyszłym rozwoju i potędze.

Poszedł w kierunku Rakowa, nurzając się w zwałach lekkiego śniegu, nieustannie przewalającego się z miejsca na miejsce. Z tyłu, w Olszynie, wyły wilki... Plakały... skarżyły się niebu na swą odwieczną niedolę... może na ludzi..

Szedł, slaniając się na nogach. Była szósta rano, gdy się zbliżył do położonej na skraju miasteczka mińskiej placówki. Stał przy oświetlonym ze środka oknie wartowni. Zobaczył przy stole grających w karty trzech żołnierzy. Na stole paliła się lampa i stał polowy telefon. W głębi pokoju była przy-czę, ze śpiącymi na niej żołnierzami. Potworne czarne cienie ludzkie skakały po ścianach i suficie... Wszystko tak, jak i tam - u bolszewików...

Zabawa długo patrzył przez okno, na niepodejrzewających jego obecności ludzi.

Zawieja nie ustawała.

Gdy Zabawa, dążąc ku granicy, błakał się po bezdrożach wśród śnieżnej zamieci, do celi Jana Pielińskiego, w pierwszym podвале GPU w Mińsku, weszło trzech gepistów i zastępca komendanta GPU, Baranów. Wyprowadzili go na korytarz i skierowali się ku drzwiom piwnicy, w której często, przy turkocie motoru samochodowego na dziedzińcu, rozstrzeliwano skazanych. Z trudnością odemknięto zardzewiałe drzwi, które żałośnie jęczały, otwierając mroczną, straszną czeluść, tchnącą wilgocią i odorem rozkładu.

1 Tam twoja mogiła!... Marsz naprzód!... i krzyknął Baranów.

Pieliński wolno schodził po oślizgłych stopniach. Smuga światła kieszonkowej latarki wyrwała z ciemności poplamione krwią ściany.

Z hukiem trzasnęły za Pielińskim ciężkie drzwi. Zrobiło mu się mdło. Złapał mu się, że jest ranny, że był to huk wystrzału.

Osunął się na stopnie schodów. Wokoło był mrok nieprzejrany.

W tymże czasie na całym świecie w chrześcijańskich rodzinach urządza-  
no Wilię. Zapalano choinki. Witano narodzenie Boga, który zginął z rąk lu-  
da śmiercią zbrodniarza za to, że uczył ich okropnych rzeczy: aby się wz-  
ajemnie miłowali i wybaczały winy swym wrogom.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Baranowicze, 25 grudnia 1922 r.*

Pierwszy dzień świąt spędziłem w Rakowie, u państwa Gołęckich. Gdy przyszedłem do nich zza granicy, od razu położyłem się spać. Dopiero Smółka obudził mnie o pierwszej w południe.

- Cholera! To morowo - cieszył się przemytnik, ściskając mi dłoń.

-Jak ci się powiodło? - zapytałem go.

-Piersza klasa. Tylko konia strasznie zmachałem. Ale to nic. A ty jak? Za-  
trzymałeś złobów<sup>108?</sup>

-Ajakże. Wsadziłem parę pigułek koniom w pyski, parę im w boki... Nie-  
prędko z rozumem się połapali.

-Klawo jest. Czekałem na ciebie. Myślałem, żeś się wsypał. Co dzień tu  
przychodziłem. Mam dla ciebie forszę. Pięćset „chrustów”, jak lodu... Masz.

Podał mi owinięte w papier dwa rulony po dwieście pięćdziesiąt rubli  
w złocie każdy.

Cały dzień spędziliśmy razem u państwa Gołęckich, do których przyszli  
goście z miasteczka.

Nazajutrz wyjechałem do Wołkowszczyzny, do braci Kalinowskich,  
■ których zastałem goszczących krewnych. Jak w Rakowie, tak i tu piłem  
bardzo dużo, lecz wódka mało na mnie działa. Alkohol nie zawsze jedna-  
kowo oddziaływa na organizm. Czasem mała ilość alkoholu człowieka  
oszołomi, a czasem można pić bardzo dużo i nie stracić przytomności  
umysłu. Ogólnie biorąc, jestem przystosowany do wchłaniania sporych ilo-  
ści wódki, bo piję często i dużo. Wynika to z trybu mego życia i charakte-  
ru pracy. Przed wyjazdem za granicę trzeba sprawę zakropić; w drodze  
przez różne miasta ze wszystkimi spotykanymi znajomymi trzeba wypić.  
Przyjadę na granicę - znowu pijatyka. Za granicą również muszę pić, lecz  
tam piję bardzo umiarkowanie, gdy zachodzi konieczna potrzeba - z kon-

Złob - cham, frajer.

fidentami i znajomymi. Wracam stamtąd - pijatyka się rozpoczyna od cówki i przez mnóstwo etapów ciągnie się aż do ukończenia tej drogi. I tk dookoła. Wszędzie wódka i wódka... Tak i w życiu ludzkim: narodzi się człowiek - piją, ochrzczą go - piją, ożenią - piją znowu, umarł - też ~~piją~~, *Z radości piją, ze zmartwienia piją*. Może mi ta analogia - kręgu życia ~~ludzkiego~~ do kręgu jednego wywiadu - nasunęła się słusznie. Może te ~~niesz~~pieczeństwa, które spotykają agenta zakordonowego w przeciagu jednego wywiadu, biorąc na wzgląd sumę ryzyka, mogą stanowić dla zwykłego dywatała długość całego życia. Bo ten spala się jak świeca normalnie ~~zapalona~~, a tamten (wywiadowca zakordonowy) płonie cały, jak świeca ~~zruczona~~ na żarzące się węgle.

Dopiero 28 grudnia przyjechałem do Baranowicz. Przyszedł Pułkownik. Był zasmucony.

I Źle zrobiłeś, Romku - rzekł. - Sprawileś nam wielki zawód. ~~Obdawa~~liśmy ciebie na pewno i... masz tobie! - Rozłożył ręce.

Wytłumaczyłem mu całą sprawę i prosiłem, aby przeprosił w moim imieniu panny Olewskie.

- Nie - rzekł Pułkownik - ja nikogo przeproszać nie będę; ty zwinileś, ty się tłumacz. Wojskową odwagę masz, a cywilnej ci brak. Wszystko ~~chciał~~ na mnie spędzić.

Wieczorem poszedłem do Olewskich. Przeprosiłem panny za ~~niedotzy~~manie słowa. Zaprosiły mnie na sylwestra. Obiecałem przyjść na pewno.

Gdy wróciłem, Pułkownik przyjął mnie ironicznym śmiechem.

- Zobacz, Władku - rzekł do Kalisa. - Wrócił cało. Uszy, nos, oczy ma na miejscu.

- Może serca nie ma na miejscu? - odezwał się Władek.

- Serce, w porządku, zaasekurowane. W sercu inny zwierz siedzi - ~~mdw~~ Pułkownik, robiąc aluzję do Lizki, której fotografię pokazywałem mu ~~kdys~~ - Nie wiem tylko, czy całe zajęte i czy długo się utrzyma?

- Dajcie spokój - rzekłem. - Lepiej wypijmy, bo do Lolki pójde. U niej obejdę się bez kpinek.

- No, no, nie gniewaj się. My zartujemy - powiedział Pułkownik. - A co się tyczy Lolki, to warto, żebyś ją puścił kantem. W twoich latach ~~można~~ na lepszych koniach jeździć.

Wkrótce, po wypiciu paru kieliszków wódki, zaczął na swój sposób ~~dwic~~ z wszystkich i z wszystkiego. Szczodrze sypał bardzo trafnymi, ~~przeważnie~~ nieprzyzwoitymi aforyzmami.

- Wiesz co? - rzekł do mnie po krótkiej przerwie.

- Nie jestem czarownikiem. Powiedz — będę wiedział.

- Mnie to przyszło do głowy w związku z rozmową o Lolce. Po co d te

wszystkie szlaje? Mam dla ciebie narzeczoną: śliczna blondyna! Pączek! Pałac, mówię ci, lizać!

I ja mam dla ciebie narzeczoną - odparłem. - Nos i uszy lizać! Śliczna brunetka. Pięć lat w ruskiej kawalerii służyła, pięć lat w Warszawie dorożkę wozła, a teraz szósty rok w Kłecku wodę tacha.

-To ty pewnie z Bolszewii przywiozłeś; u nas takich dowcipów nie ma. To zagraniczny towar, po smrodku poznaję.

- Krajowy wyrób, krajowy. Uspokój się. A co się tyczy bolszewików, to ty do nich tak wielkich pretensji mieć nie możesz.

-Jaka pretensja? I w ogóle: nie rozumiem...

- Zaraz zrozumiesz. Przegraliście kiedyś grę. Głupio przegraliście, nawet karty swoje nie patrząc, a tam były wszystkie atuty... Teraz nie warto się tłumaczyć Nowy gospodarz po swojemu się rządzi.

-Winy naszej nie widzę wcale. Każdy robił, co mógł. Każdy żył i pracował na swoim miejscu.

-Tak, pracowaliście: szampan do łóżka, k... na stół. A z pantofla syfilietycki winoście chleptali. Gdy zaś trzeba było tronu bronić, w którego cieniu tak dobrze wam się powodziło, to jednej wiernej dywizji nie zostało. Dopieroście potem po rozum do głowy poszli, ale późno już było.

- To ty sam wymyśliłeś?

- Nie. Głównodowodzący Wszelkimi Zbrojnymi Siłami Republiki, towariszcz Kamieniew, wymyślił i przeze mnie pozdrowienie zasyła. Dziękuje za „cieple miejsce”.

-Słyszysz, jak się odgryza?

-Tak... Szczekać nie lubię, a odgryźć się zawsze potrafię. Mam wilcze zęby. mnie nikt palca do gęby nie wsadzi.

-Słusznie! Lubię za to. A co się tyczy Bolszewii, to nie chcę o tym mówić. Długa to pieśń i nie warto jej zaczynać... Ty na bębnie umiesz grać?

I Na zębach umiem grać - lepiej niż ty na nerwach.

-Dajcie spokój. Ja żartuję, a ty się gniewasz.

-Cóż, i ja żartuję, że się gniewam.

Zaczęliśmy chlać na zgodę. Piliśmy ze smakiem, gustem i uczuciem, metodycznie i racjonalnie, pod kierownictwem wykwalifikowanego moczymordy, który sam wódki nie marnował i drugim na to pozwalał.

Potem śpiewaliśmy starą rosyjską, pijacką pieśń:

*Płyną jak fala dni życia naszego —  
Co krok to do grobu już krótszy nasz tor...  
Nalej, nalej, kolego,  
Ten kielich do pełna.*



*Bóg tylko wie jeden,  
Co w życiu czeka nas ?  
Trumienką nakryją, gwoździami zabiją,  
Śledzikiem przegrzają i wódką popiją.  
Nalej, nalej, kolego,  
Ten kielich do pełna.*

#

*Baranowicze, 1 stycznia 1927r.*

*(godzina druga w mg)*

Wróciłem do Olewskich. Spędziłem u nich cały wieczór do ~~godziny~~ pierwszej w nocy. Witaliśmy Nowy Rok. Czas mi upłynął tak wesoło jak ~~niegdy~~ przedtem.

Początkowo trochę się krepowałem, lecz stopniowo ciepło domowe, ~~ży-~~liwość i prostota, bijące z każdego słowa, ruchu, spojrzenia panien ~~Olew-~~skich, złagodziły moje zawsze defensywne usposobienie i czułem się u nich tak swobodnie, jakbym był u najbliższych krewnych, w gronie ~~najlepszych~~ przyjaciół. Może na to wpłynęła i wódka, której sporą porcję ~~łyknąłem~~ przed wyjściem z domu, i kilka większych kieliszków koniaku, które ~~wyjąłem~~ u Olewskich.

Tu zaznaczę, że starsza Olewska, Helena, jest narzeczoną Władka i w ~~nie-~~dalekiej przyszłości chcą się pobrać. Spostrzegłem, że Władek bardzo ją ~~kocha~~ i szanuje. Mnie najwięcej się spodobała Zofia. Dziwne to: miałem ~~narzeczoną~~ w Mińsku, też Zofię... Braginównę, lubiłem ją bardzo, a wyszła za ~~mąż~~ za Kozowa. Teraz znowu Zofia... Miłość dla tamtej znikła niespodzianie. A ta?...Ta bardzo sympatyczna panna. Bardzo. I gdyby nie Lizka, może bym w niej się ~~za-~~durzył. Myślałem nieraz nad pewną kwestią: dlaczego prawie ~~każda~~ ~~kobieta~~ podoba mi się, w mniejszym lub większym stopniu? Prawie w każdej ~~widzę~~ ~~coś~~ niezwykle powabnego, czego u innych nie ma... A może tak musi być, bo by-  
łoby gorzej, gdybym mógł pokochać tylko jedną kobietę. Jakbym ją ~~znal-~~zł wśród milionów innych? I czy byłaby wolna? Czy pokochałaby mnie?

Gdy widzę piękną kobietę, to zwykle trudno mi oderwać od niej ~~spo-~~jrzenie. Patrząc na nią bez żadnych ubocznych myśli; odczuwam jej piękno jak ból, jak muzykę...

Mając na względzie identyczność imion mej byłej narzeczonej i ~~Zof-~~ Olewskiej, powiedziałem do niej:

- Miałem kiedyś w Mińsku narzeczoną, która była imienniczką ~~pani~~ ~~Ko-~~chałem ją bardzo.

-A teraz?... - zapytała Zofia.

r Teraz nie.

I Czy pan taki zmienny?

- Nie. Ale ona... wyszła za męż...

-A tak... Przepraszam.

Pułkownik się odezwał do Zofii:

-*Jemu* bardzo się podoba imię Zofia. Mówi, że brzmi poetycznie i że nie spotykał kobiety o tym imieniu, która by mu się nie podobała.

Władek zagryzł wargi, żeby się nie rozeźmiać. Zofia z lekka się zarumieniła. Chcąc ratować sytuację, powiedziałam:

-Tak... są imiona, których samo brzmienie przypada nam do gustu. Mówią nomen omen. Może to i słuszne? Może imię poniekąd charakteryzuje człowieka. Szkoda, że dzieci - w trochę starszym wieku - same nie wybierają sobie imion. Bo imię jest jedno na całe życie.

- A jak pani się podoba Roman? - zwrócił się niespodzianie Pułkownik do Zofii.

Spojrzała zdziwiona na niego i rzekła spokojnie, porozumiewawczo uśmiechając się do mnie, czym mnie bardzo ujęła.

- Chcesz pan zapytać: jak mi się podoba imię Roman? Mogłabym odpowiedzieć wykrętnie, lecz odpowiem szczerze: imię to brzmi po męsku, twarde, nasuwa wizję czegoś niepospolitego... Nie warto dłużej o tym mówić - nudny temat.

Wkrótce potem zaśpiewaliśmy chórem kilka piosenek, a następnie Pułkownik, przy akompaniamencie gitary, śpiewał kuplety o Sowietach:

*A kto by mógł pomyśleć, że nadejdzie taki czas:*

*Ani pić, ani jeść — brak wszystkiego zgnębi nas.*

*I w Rosji bogatej,*

*Gdzie chleba było w bród;*

*Nastąpi taki straszny głód...*

Później Pułkownik zaczął znowu żartować, kojarząc różne imiona, a między nimi: Roman - Zofia... Wtedy dziewczyna rzekła do niego poważnie:

- Pan jest nieuczciwy w stosunku do pana Romana.

- Dlaczego?

- Mówił pan zawsze, że obce towarzystwo go krępuje, że jest trochę... narwany, że widzi we wszystkim zamach na swą wolność, poglądy, a teraz pan sam mu dokucza i to w sposób niezbyt grzeczny, bo pan Roman jest naszym gościem. Na razie udzielał panu ostrej nagany.

- A przy recydywie? - zapytał Pułkownik.

- Miesiąc domowego aresztu i ani kropli wódki.

- *Już milczę* - wyrzekł Pułkownik, robiąc przestraszoną minę.

Po pewnym czasie rozmowa zesłała na temat szpiegostwa.

- Czy pan lubi tę pracę? - zapytała mnie Zofia.

- Czy lubię?... Nie mogę powiedzieć. Czasem mi się zdaje, że... |nienawidzę, lecz wabi mnie do niej coś, czego nie jestem zdolny określić. Zdaje mi się, że każdy musi włożyć w coś swoje zdolności, siły, w ogóle energię *ducho* wą i fizyczną...

- Dobrze, tnij dalej - rzekł Pułkownik.

I ...No tak. Jeden pracuje jako rzemieślnik - stwarza wartości *realne* drugi jako artysta - stwarza dzieła sztuki. Inny zużywa energię w pracy fizycznej, inny na podróże, inny na sporty, inny na...

I Miłość - rzekł Pułkownik.

Udałem, że nie słyszę tego, i ciągnąłem dalej:

- ... Ja, na przykład, pracować nie umiem, artystą nie jestem, *odbywać* podróży nie mam sposobności...

- Kobiet przyzwyczajonych się boję - dodał Pułkownik, naśladowując *moją into* - I nację.

- ... *W ogóle* nie mam miejsca w życiu. A tu jest wszystko, w co mogę *wb*żyć swoje zdolności, siły, energię, fantazję... Owszem, są rzeczy, które *mnie* zupełnie zniechęcają do tej pracy, lecz nic na to nie poradzę.

Władek bąknął coś na temat tego, że charakter mej pracy jest *niezbyt* zgodny z etyką. Ja się oburzyłem:

- Jak to! I ty to mówisz! Sam wojskowy? A czy wiesz o tym, że za *większą* zbrodnię musi uznać każdy szykowanie ludzi i broni do wojny niż *podpaty*wanie takich przygotowań? Jedno jest skutkiem drugiego. Czy ty *wiesz*, ile *wspaniałych* nazwisk zapisano w dziejach szpiegostwa?... Profesor *Maznyk* pracował w wywiadzie, w grupie „Mafia”, von Pappen również pracował w wywiadzie i setki innych znanych członków rządów i myślicieli, lecz nikt *działalności* ich nie uznawał za nieetyczną. Niektórzy mówią, że ten lub *tamten* pracował *ideowo* (co nigdy nie jest zgodne z prawdą), rozumiejąc *przez* to - bez wynagrodzenia pieniężnego. To wprost komiczne! *Bezpłatną* pracę szpiegowską gloryfikować, a opłacaną potępiać! Jeśli tak rozumować, to *trzeba* otoczyć aureolą „ideowy” bandytyzm (co nawet w szerszym *zakresie* się praktykuje), a przyganiać bandytyzmowi z biedy... I to, i to złe. I to, i to potrzebne. Trzeba być konsekwentnym. Szpiegostwo jest koniecznością, z *kó*rą musimy się pogodzić, dopóki istnieją armie i państwa, dopóki *konflikty* między narodami załatwiają się na drodze zbrojnej.

- Tak, to ma pewną rację - rzekł Pułkownik.

Mówiłem dalej:

I - Tani, gdzie się *rozpoczyna* walka lub przygotowania do niej, trzeba I odczytać na bok sentymentalną etykę. Tam etyka inna. Oczywiście (jego szpieg!) nie są winne, że obserwują przeciwnika i wypatrują słabych miejsc, że pięści jego zmiadżdżą ciało przeciwnika. Winne ciało boksera, a i ciało jest niewinne, bo do bicia zmusza je mózg. I mózg nie jest winien, bo do walki zmusza go chęć zdobycia dla ciała stawy, okrycia, mieszkania - ambicja wreszcie. Bokser nie jest winien, że jest brutalny, bo do walki zmuszają go ci, którzy na niego patrzą, dopingują, którzy urabiają jego psychikę i ciało. Wszyscy są winni: i ci, którzy zmuszają do boju, i ci, którzy tym się rozkoszują i ci, którzy nie przeciwdziałają. Więc cóż macie do szpiega? Nie będzie pracował jeden, zdolny, będzie pracowało pięciu, dziesięciu mniej zdolnych. Miejsce musi być obsadzone, a ludzie są; a gdyby nawet ich nie było, to można ich wychować.

- Ja nie w tym sensie - rzekł Władek. - Chciałem powiedzieć tylko, że same funkcje, proceder obserwowania, skradania się, podglądania, namawiania do zdrady i wyłudzenia materiałów...

- W tym sęk - rzekł Pułkownik. - Cóż ty na to?

- Ja?... Ja wyrażam zdziwienie. Mój kolega uprawia co dzień wobec mnie ordynarne szpiegostwo: patrzy mi w oczy, obserwuje gesty, przekracza zamkniętą granicę mego intelektu. Obserwuje, szuka słabych stron, bada, nawet w zwykłej dyskusji, nawet teraz; krótko mówiąc: zawsze, wszędzie szpieguje i jednocześnie tym... gardzi!

- Aż tak? - wyraził zdziwienie Pułkownik.

- Właśnie tak. Bo każdy, prócz wariata, jest szpiegiem. Są szpiedzy wojskowi, handlowi i polityczni. W życiu każdy z nas jest szpiegiem, naraz: wojskowym, handlowym i politycznym. Każdy węszy, waży, oblicza rezultaty spostrzeżeń. Przez całe życie się korzysta z tego, co się wyszperało wokół siebie i im lepszym kto jest szpiegiem, tym większa jest jego wartość dla ludzi i dla niego. Szpieg wojskowy dla każdego państwa jest konieczny. Odgrywa rolę jego oczu i uszu. To znaczy — najważniejszych organów naszego organizmu. Bo czymże jesteśmy bez tych organów? Kłocami zdanymi na łaskę otoczenia i przypadku. Szpiegostwo jest (w obecnym stanie rzeczy) konieczne i jako konieczne wychodzi poza zwykłe reguły etyczne. W czasie wojny walczą pułki; w czasie pokoju - szpiedzy. W czasie wojny grzmią na froncie baterie armat, w czasie pokoju - na granicy (w razie pościgu) brauningi szpiegów. Trudno - tak jest i tak musi być długo jeszcze. Powiem bez przesady: całą naukę, kulturę dźwignęli i nadal dźwigają szpiedzy. Szpiedzy praktyczni, podpatrujący naturę, zwierzęta, ludzi...

Chciałem jeszcze o pewnych rzeczach mówić, lecz nie wypadało mi tego robić, bo wyglądałoby to na przechwalanie się i chełpienie swym zawodem. Pamięć

tam, że na jakieś pytanie o życiu agentów wojskowego wywiadu (żadna z pańien Olewskich nie użyła wyrazu „szpieg”) odpowiedziałem w skróceniu tak:

- Stanowimy w *spoleczeństwie* nieliczną grupę ludzi (jeden na 50000 znajdującą się poza wszelkimi prawami, i nawet zwykłe pojęcia o *rzeczach* o naturze nawet - mamy odrębne od innych ludzi. Na przykład państwo mówicie „dobra pogoda”, gdy jest sucho, nie ma dużego wiatru. A u mnie „dobra pogoda” jest wtedy, gdy deszcz pada, wichur dmie, gdy się *śroży śnieżyca*, gdy wiatr okiennice zrywa, gdy noc jest czarna jak smoła. Ludzie się boją cmentarza, trupa; my się obawiamy miasta i żywego *człowieka*. U wszystkich dobra droga to droga równa, bez przeszkód; a u mnie - *tką* na której krzaki rosną, doły są i rowy...

Pytano mnie jeszcze, jaką mam opinię o Rosjanach. Odpowiedziałem mniej więcej tak:

- Trudno wydać stanowczy sąd o ludziach, którzy żyją w *warunkach* anomalnych, pod batem i stałą presją strachu, w przeciwnych *natura* ludzkiej warunkach. To to samo, co sądzić o zwyczajach dużej *ryby*, 6 mknącej w małym naczyniu i sztucznie tam żywnionej; w tym wypadku *głodzonej*. Albo: chcąc poznać życie Francuzów, przyjechać do *francuskiego* więzienia i badać życie więźniów, a potem poczynić takie wnioski: *Francuzi* noszą pasiaste ubrania, mieszkają w pojedynczych pokojkach z o *krótкими* oknami, pół godziny dziennie spędzają na spacerze, wstają o *godzinie* szóstej z rana, idą spać o ósmej wieczór i temu podobne. Proszę mnie *pytać* o różne szczegóły z życia w Sowietach, a chętnie wam opowiem to, co *sam* wiem. Jeśli zaś wam chodzi ogólnie o Rosjan, jako obywateli sowieckich, to - według mnie 8 można ich podzielić na cztery kategorie. Pierwsza *§* *kni-szarze*: karierowicze, materialści, chciwi sławy i zaszczytów, *megalomani*, bezwzględni, szowiniści, duszący każdą wolną myśl, każde dążenie do *śro-* dzielnego poglądu na życie; są skąpi, chciwi; lubią namiętne plotki i *waż-* jemnie obmawiają się. Druga kategoria - marynarze, żołnierze, *agenci* Ce-ki: są brutalni, bezczelni, przeważnie chamy, ubóstwiający pięść i *dmus-* tawo, sadyści, gardzący kulturą i dobrym wychowaniem, jeśli zwrócić się do *któ-* rego z nich na „wy”, wybuchnie śmiechem; śmieją się również z *ka-* lektwa, *śla-* bości i starości - nawet z choroby; marzą o złocie, komisarskich *stan-* owiskach, samochodach, wódecie i sekretarkach; nauką gardzą, uważają ją za burżuazyjny wymysł, potrafią *cho-* dzić i działać tylko w stadzie, *wtedy* są *na-* dzwy i krwawo dowcipni; pojedynczo - baranieją. Trzecia kategoria-robot-nicy, urzędnicy, mieszczanie: głodują piąty rok, wyszukiwani *zawsze* wszędzie, we wszystkim i to nie przez burżuja, nieuczciwie *opla-* cającego *pra-* cę, ale przez szlachetnych komisarzy; pracują po prostu za darmo, nie ma- jąc możliwości nawet odnowić zużytej przy wykonaniu roboty energii; *muszą*

kombinować, często zbrodni się chwytając, aby nie skończyć z głodu. Kategoria czarna - jest to czarna, brudna masa, jak barany zamknięta za kolczasym drutem „komunistycznych” dekretów, która nic nie rozumie, nic nie widzi, nic nie słyszy, a wokół której straszne wilki krążą - masa ciemna, gładka, biała i okropnie tchórzliwa.

Gdy zegar wybił dwunastą, Pułkownik podniósł do góry kieliszek:

- Życzę wam wszystkim w dobrym zdrowiu doczekać następnego nowego roku. Pannom Zofii, Heli i Andzi życzę, by się spełniły wszystkie ich marzenia. Tobie, Władku, skończenia kawalerki i rozpoczęcia nowego szczęśliwego życia, a tobie, Romku, byś wystygł trochę, stracił 50% patosu i wygórowanego pojęcia o zaletach pracy wywiadowczej, byś stał się rozważniejszym i praktyczniejszym i przekonał się, że skojarzenie imion: Roman i Zofia, brani harmonijnie. A sobie życzę, bym mógł nadal obserwować świat i ludzi przez pryzmat tego boskiego płynu. Wiwat Nowy Rok...

Złożyliśmy sobie wzajemnie życzenia i wkrótce poszliśmy do domu.

Skończyłem stary rok. Przepracowałem jako agent wojskowego wywiadu zakordonowanego tylko pięć miesięcy, a ileż miałem wrażeń, ile różnych zajęć, ile poznałem ciekawych, oryginalnych ludzi, ile przeżyłem różnych przygód! Jestem ciekawy, co mi przyniesie Nowy Rok i która to część mojego „Piątego etapu”?... Może jego początek, może początek końca, a może koniec?...

Zasylam najlepsze życzenia wszystkim kolegom w pracy. Tym, którzy się męczą w lochach GPU, tym, którzy konają na Solówkach, i tym, którzy z rewolweterem w ręce, z fałszywymi dowodami w kieszeni chodzą w Bolszewii po ulicach, jeżdżą pociągami, bywają w sztabach, przemykają się po drogach, przedzierają się przez bagna i lasy, przekradają się przez granice... Życzę im, aby nie zginęli bez korzyści na tej drodze, aby praca ich wielokrotnie okupiła ich śmierć...

*Baranowicze, 1 stycznia 1923 r.*

Miałem dziwny sen, a mówią, że sny w noc sylwestrową mają szczególne znaczenie. Zdawało mi się, że jestem w pobliżu granicy i idę po drodze prowadzącej z Rakowa do Mińska. Przeszedłem granicę i zbliżyłem się, nie kryjąc się wcale, do rzeczulki. Zdziwiłem się nie widząc mostu. Woda w rzeczulce była czysta. Pogoda dobra. Las stał po obu stronach drogi zieloną, potężną ścianą. Droga biegła w dal szeroką, równą taśmą, z której gdzieniegdzie wyczały z trawy złote smugi piasku.

Spostrzegłem dwóch ludzi jadących naprzeciw mnie, na oklep, na dużych wierzchowcach. Z dala poznałem, że to Cyganie. Wyjąłem rewolwer.

Jeźdźcy byli blisko. Dostrzegłem, że jeden z nich ma sztuczną czarną brodę która mu się odkleiła i zwisała. Nagle Cygan ten wyjął z kieszeni rewolwera i wystrzelił do mnie kilka razy. Uchyliłem się od pocisków w prawo i w lewo. Przejechali obok mnie i znikli tak samo nagle, jak się ukazali.

Wiem spostrzegłem, że jestem w Mińsku, na nieznaney mi ulicy na przedmieściu. Przechodniów było mało. Do mnie zbliżył się milicjant i poprosił abym wszedł do bramy jakiegoś domu. Milicjant miał nie więcej niż 90 centymetrów wzrostu. Śmiać mi się chciało, patrząc na tego karzełka w uniformie i z bronią przy boku. Poprosił mnie o dokumenty. Włożyłem rękę do kieszeni i spostrzegłem, że... nie mam rewolweru. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że milicjant zaczyna rosnąć. Rósł, rósł, przerósł mnie i dalej rósł... Z karzełka obrócił się w olbrzyma. Przerażony wybiegłem z podwórka na ulicę i zacząłem uciekać. Po pewnym czasie spostrzegłem, że ściga mnie tłum ludzi... Biegli za mną, krzycząc i gwizdząc... Znalazłem się w rzadkim lesie, w którym rosły wysokie sosny. Prześladowcy ścigali mnie dalej. Kilka razy zmieniłem w biegu kierunek ucieczki i oddaliłem się trochę od nich. Wbiegłem na tory kolejowe, zatarasowane wagonami towarowymi. Przynajmniej się pośpiesznie pod wagonami. Spostrzegłem leżącą na dwóch platformach, wielką jak komin fabryczny, rurę. Wpełzłem do tej rury i położyłem się w środku. Rura z przodu była zamknięta, z tyłu otwarta... Było ciemno. Głosów mych prześladowców nie słyszałem... Nagle ukazała się przedemną drżąca smuga światła, rozwidniająca błądy, okrągły ekran. Na ekranie tym zobaczyłem skaczące wyrazy: kino „Antokol-Migawka"... Rozpoczął się dziwny film. Zobaczyłem siebie, idącego od granicy ku rzeczulce, Cyganów, dane do mnie strzały, Mińsk, milicjanta, pościg... Wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Zauważam, że w Wilnie jest przedmieście Antokol, na którym się znajduje wojskowe więzienie i szpital, lecz kina żadnego tam nie ma.

Takim snem rozpocząłem Nowy Rok.

Dlaczego mi się przyśniło kino?... Pamiętam, że kończąc „Czwarty etap", pisałem o filmie szpiegowskim, który mi kiedyś bardzo się spodobał. Otóż życie moje obecne i praca wcale nie przypominają filmu. Może są wielokrotnie ciekawsze (jak ciekawszym i droższym jest autentyczny obraz od jaskrawego, fantastycznego plakatu reklamowego), lecz nie ma w nim wielu tych atrybutów, które są koniecznie stosowane (ze względu na gusty publiczności) w filmach szpiegowskich.

Zastanawiam się nad tym, co przeżyłem w przeciągu pięciu miesięcy mej pracy szpiegowskiej. Przeżyłem wiele ciekawych rzeczy, poznałem sporo niezwykłych ludzi, przyniosłem dużo korzyści naszemu wywiadowi wojskowemu, wyratowałem z Sowietów trzech ludzi. Załatwiłem wiele spraw pomiędzy

kwymy tam i tu. Słowem zrobiłem coś dla ludzi i w tym moja satysfakcja.  
Tylko jedna rzecz: nie widzę celu w życiu... A może on w tym właśnie jest za-  
warty, abym żył bezcelowo. Może w tym jest ukryty głęboki sens...

Spostrzegłem, że każdy człowiek w życiu swym jest zbieraczem. Dziecko w kołysce zbiera wszystko, co mu się trafia; instynktownie zbiera, aby porównywać i w ten sposób się kształcić; wszystko je bawi i wabi: klucz od drzwi, okulary tatusia, grzebień we włosach mamusi; wyciąga rączki do rozpalonego samowara, który tak ślicznie mruczy i błyszczy; do wesołego płomyka świący. W kilka lat później zbiera pudełeczka, klocki, papierki od cukierków, guziki, zabawki. Następnie zbiera znaczki pocztowe, monety, owady. Później - kartki pornograficzne, fotografie aktorek i tancerek. Jeszcze później - listy miłosne, chusteczki, tasiemki. Wreszcie - w wieku starszym - różne rzeczy, w zależności od gustu, usposobienia, majątności i położenia w społeczeństwie. Jeden - porcelanę lub obrazy, drugi - kolekcje minerałów, roślin, ptaków, owadów itp. Trzeci - autografy wielkich ludzi lub pamiątki po słynnych przestępcach. Wielu zbiera pieniądze, nie korzystając z nich należycie. A ja, co zbieram?... Może materiały dla wywiadu wojskowego?... To nie dla mnie. Często nie czytam najciekawszych nawet, ściśle tajnych rozkazów. Sprawdzam tylko ich autentyczność. Może ja zbieram wrażenia?... A po co?... Może dlatego, aby je wpisywać do tego dziennika. Może to komuś na coś się przyda. Może ludzie inni, obcy mi, odniosą korzyść z moich doświadczeń. Może...

Na razie muszę stwierdzić, że życie na pograniczu znam mało, bo nie poznałem najważniejszego: życia przemytników. W przyszłości muszę tym się bliżej zainteresować, bo przecież sam wyraz granica, wywołuje w myśli każdego człowieka inny wyraz: przemytnik... Mogę osiągnąć to w przyszłości z pomocą Smółki.

*Wolkmuszczyzna, 15 stycznia 1923 r.*

Wczoraj w nocy przyjechałem do Wołkowszczyzny. Jutro wyjadę do Rakowa...  
Tu taka cisza, spokój. Ludzie - mało kulturalni. Do mnie się odnoszą z jakimś komicznym uszanowaniem i podziwem, który mnie ani drażni, ani gniewa, ani męczy. Spostrzegłem, że człowiek inteligentny inaczej reaguje na słowa i czyny człowieka mało kulturalnego niż człowieka cywilizowanego. W ogóle niejednakowo szacujemy ludzkie postęпки. Co dla jednych naturalne, w innych budzi zgrozę. Co wybacza się kobiecie, to nie ujdzie bez przykrych następstw mężczyźnie. Gdyby mnie tak uporczywie obserwowali i wypytywali o różne drobnostki ludzie inteligentni, gniewałoby to mnie bardzo, ale natręctwo ze strony Kalinowskich uważam za zupełnie właściwe i wcale mnie ono nie gniewa ani nie krępuje.



Dużo śpię. Wypoczywam. W nocy często się budzę. Palę papierosy i słucham cykania zegara. Myśli płyną... płyną... płyną... Wyrzuję przez okno. Jasno... cicho... śnieg... zaspę...

Często wspominam Zofię Olewską. Byłem u nich kilka razy i uświadomiłem sobie, że odwiedzałem je z coraz większą przyjemnością. Spostrzegłem że zaczynam uważać, aby nie wyrwać się z jakimś dosadnym wyrazem czy zwrotem, czyściej i ładniej się ubieram, w ogóle obracam się w „burzuję”. Zaś stanawiałem się nieraz nad tym wrażeniem, które wywiera na mnie Zofia Olewska, a jakie Lizka Braginówna? Gdy patrzyłem na Olewską, to zawsze miałem chęć pogłaskać jej puszyste włosy, dotknąć ręki... Zdawała mi się taką dobrą, miękką, ciepłą, puszystą. Co innego Lizka. Przy samym spojrzeniu na nią nerwy moje się burzyły; miałem chęć ją zdusić, ugryźć... Zdawała mi się ślicznym, zwinnym, przebiegłym zwierzem... Taką piękną kotką... Skórkę niebieskiego lisa, którą odebrałem przemytnikowi w Wilie Bógę Narodzenia, dałem do wykończenia. Będzie go miała jako boa na szyję. Omyślałem, co jeszcze kupić dla niej na upominek w dniu urodzin.

Ostatnie trzy tygodnie wypoczynku poprawiły moje zdrowie. Czuję się słabszy i spokojniejszy. Gdyby nie Lizka, to wypoczywałbym przez cały styczeń, lecz tak się stęskniłem za nią, że musiałem jechać. Do Lolki w czasie ostatniego mego pobytu w Baranowiczach nie chodziłem. Jej się powodzi dobrze, bo jest faktycznie na utrzymaniu możnego baranowickiego dywagata, który ją z rzadka odwiedza i jak mi kiedyś powiedziała (z widoczną pogardą) Lolka - pięści „po ojcowsku”. Lolka pękała ze śmiechu, opowiadając mi o nim różne szczegóły.

Dziś byłem w pobliskiej wsi na białoruskiej wieczorynce. Sprawia oryginalne wrażenie na człowieku miastowym. Może kiedy opiszę taką wieczorynkę, bo teraz nie chce mi się. Zaraz idę spać, a jutro rano - hajda do Rakowa! Śnią mi się po nocach takie dziwne, ciekawe sny, lecz nie zapisuję ich, trochę się lenię.

*Raków, 18 stycznia 1923 r.*

Wczoraj spotkałem w dowództwie baonu Gruszewskiego. Ucieszyliśmy się bardzo tym spotkaniem. Postanowiliśmy iść razem za granicę. Gruszewski wyraził niepokój z tego powodu, że Pietrow długo nie wraca z wywiadu. Chciał się, że wpadł gdzieś w drodze. O „wsypie” organizacji nie było mowy, bo była doskonale zakonspirowana i chociaż składała się z większej liczby członków, pracujących wspólnie w jednym kierunku, nikt nie obawiał się zdrady. Gdyby w tych warunkach ktoś z nich wpadł w ręce gestistów, to reszta mogła

by spokojnie pracować dalej lub na pewien czas usunąć się za kordon. D  
tychczas wszystko było w porządku.

Gruszeński jest bardzo ostrożny. Zwykle się stara przyjechać do miastec  
ja wieczorem. Wsiada w pobliżu Rakowa i pieszo udaje się bocznymi ulic;  
;v do baonu, gdzie zamieszkuje u znajomego podoficera, aż do wyjści  
w drogę. W miasteczku się stara nie ukazywać. Pewnego razu powiedział di  
mnie:

- Gdybym ja z początku miał tę wiedzę o pracy wywiadowczej, którą man  
teraz, gdybym wiedział o tych wszystkich niebezpieczeństwach, które się cza  
ją wokół agenta zakordonowego i tam, i tu, to inaczej bym pracował. Za  
nim wywiadowca wszystko pozna, to - jeśli nie wpadnie na pierwszych robo  
tach - prędko się zdekonspiruje.

Dzisiaj wyruszamy w drogę.

### XIII. SOTRUDNIKI OSOBOWO ODDIĘŁA<sup>109</sup>

*Czy ty sowiecki?  
Czy ty kadecki ?  
Czy komisarzem jesteś ty!*  
(Z sowieckiej piosenki ludowej)

Zabawa szedł pierwszy. Lżej mu było torować drogę po głębokim śniegu niż Gruszewskiemu, który niósł na plecach spory worek z towarem, przeważnie skórą i likierem. Zabawa nie lubił zabierać ze sobą dużo towaru, a te rzeczy, które koniecznie musiał przenieść do Rosji dla znajomych i konfidentów, starał się rozmieścić po kieszeniach i pod ubraniem wokół ciała. Gdy zabierał od czasu do czasu większe ilości towaru, to zwykle się owijał sukami materiałów lub okładał skórą, a swetry wkładał na siebie po kilka sztuk naraz. Teraz niósł ułożone między dwoma swetrami pięćdziesiąt par jedwabnych pończoch i dwa tuziny szalików, a kieszenie miał wypchane l pozą bonią i innymi rzeczami osobistymi - różnymi drobiazgami, bezwartościowymi w Polsce, lecz poszukiwanymi w Sowietach.

Noc była jasna, bo chociaż niebo zaciągały chmury, księżyc był w pełni, a śnieżna biel rozwidniała teren.

Granicę przeszli bez przeszkód i znaleźli się w starym lesie, gęsto podsztytym ośnieżonymi krzakami. Zabawa od czasu do czasu się zatrzymywał i nasłuchiwał; wtedy słyszał za sobą częsty i ciężki oddech Gruszewskiego. Myślał z początku, że to skutek zdenerwowania, lecz później przyszedł do wniosku, że Gruszewski dyszał ze zmęczenia, od dźwigania dużego ciężaru, bo jego worek ważył przeszło 30 kilogramów.

- Po co tyle towaru wzięłeś? - zapytał Gruszewskiego Zabawa przed wyszieniem w drogę.

- Chcę zarobić. Matka mi zachorowała. Mam sporo wydatków. Trudno żyć! Trudno... - odpowiedział mu Gruszewski.

Zabawa chciał dopomóc mu dźwigać noskę, lecz Gruszewski nie zgodził się na to. W pewnym miejscu, gdy wycoczywali, rzekł, mając na myśli pracę wywiadowczą:

- Ja bym dawno to rzucił. Sił już nie mam. Spaliłem się... Ale matka!... Dla niej pracuję... Czy ty wiesz, że ja mam daleko posuniętą gruźlicę płuc?... Żre mnie i żre...

- Trudno uwierzyć! Tak dobrze wyglądasz...

<sup>109</sup> Funkcjonariusze specjalnego wydziału.

-Tak... Prześwietlenie wykazało... Ja właśnie dziwiłem się, że mam krótkoddech, prędko się męczę i kaszlę... Ja tylko wyglądam zdrowo, a w środku maszyna już licha. To wiatry, mrozy i noce czarne zjadły mnie; woda wyszła... Bo najgorsze to przeprawy przez wodę. Ileż to razy trzeba było przepływać, przechodzić rzeki w zimie, wiosną i jesienią...

I Czemu się nie leczysz?

- Kiedy? Za co?... Matka chora, ja chory, a skąd środki do życia? - Po chwili milczenia dodał: - Może i niedługo już!

Zabawa, po dziesięciu kilometrach drogi, przemocą zabrał od Gruszewskiego noskę i dźwigał ją dalej... Droga była trudna, bo śnieg w tym roku spadł obficie, więc idąc po bezdrożach, musieli brnąć, po pas zanurzeni, w sypkim, lotnym śniegu. Od czasu do czasu pokonywali zaspę, w których znikali jak w wodzie. Zabawa udawał, że mu łatwo dźwigać noskę, bo nie chciał, aby Gruszewski się męczył, niosąc ten ciężar. Widział jego twarz zalaną kroplistym potem i było mu go żal.

Do rana ledwie zdołali dojść do meliny Gruszewskiego. Tam, kolejno pilnując, spali do wieczora... Zjedli kolację, wypili po szklance wódki i wyruszyli w dalszą podróż.

Droga na ogół licha, teraz była lepsza niż poprzednio, bo nie trzeba było pokonywać zasp. Zabawa znowu szedł pierwszy, a Gruszewski, z noską na plecach, z tyłu. Byli w drodze blisko dwie godziny i znajdowali się o osiem wiorst od Mińska, gdy Zabawa dostrzegł jadące ku nim sanie. Na wszelki wypadek włożył rękę do kieszeni i ujął rączkę nagana. Tym razem miał ze sobą tylko jeden rewolwer i jeden granat, bo plutonowy w baonie, u którego zostawił parabellum wraz z zapasowymi magazynkami, wyjechał służbowo na kilka dni i nikomu nie zostawił rewolweru Zabawy.

Sanie było widać z daleka, bo wieczór, chociaż mglisty, był dość jasny. Poprzednio koledzy wyminęli kilku przechodniów i spotkali kilka razy przejeżdżające sanie, lecz nikt ich nie zaczepił. Może na to wpłynęła okoliczność, że Gruszewski był ubrany po wojskowemu, tylko bez odznak.

Sanie wyminęły ich... Przyglądało im się natarczywie dwóch jadących w saniach mężczyzn. Chłop, usadowiony na przedzie, kierował koniem. Jechali powoli. Gdy sanie oddaliły się o kilka kroków, jeden z przejeżdżających krzyknął:

- Zaczekajcie!

Zabawa i Gruszewski stanęli. Chłop wstrzymał konia.

-A dokąd to leżecie?... A? -jakimś pijanym, aroganckim głosem odezwał się do nich ten sam mężczyzna.

-A na... śliwki obierać! - odparł takimże tonem Zabawa.

-Co-o?

-A, to-o... - rzekł Gruszewski.

Nieznajomi wyskoczyli z sari i pobiegli ku nim.

-Apokażcie no dokumenty!... Co wy zajedni?... Natychmiast!...

- Z początku wy pokażcie! Ciekawe: czy macie prawo pytać?

Jeden z przejezdnych wyjął spod bekieszy, z bocznej kieszeni kurtki pna fel i wyjął świstek papieru.

- Macie! - rzekł. - My „so(rudniki Zasławskawo Osobowo Otdieła”!

-Ja nie kot - powiedział Zabawa. - Po nocy czytać nie umiem.

- Zaświeć zapalke - rzekł tamten do kolegi w bekieszy.

Zabawa się namyślał: strzelać czy nie. Okazja była dobra, lecz nie chciał mu się utrudniać sobie drogi i narażać się na obławę, tym bardziej, że do Mińska było blisko, do lasu daleko, a Gruszewski miał bardzo ciężką noskę.

Po chwili błysnęła zapalka i przy jej świetle Zabawa zobaczył u dołu blankietu pieczętkę Osobowo Otdieła.

- A co mnie obchodzi wasz dokument! Dokument „wsiakaja swolocz”<sup>110</sup> potrafi zrobić! - rzekł Zabawa.

- Przedstawcie wasze dowody! - tchnąc odorem alkoholu, wzeszła agent w bekieszy.

Drugi dodał:

-A jak nie, to pójdziemy do Jarkowa... Tam załatwimy!...

Zabawa wyjął z kieszeni zaświadczenie, wydane z Wołispołkomu i pokazał je z dala agentowi.

- Możecie przeczytać - powiedział - tylko do rąk wam nie dam, bo dala bli was wiedzą z waszymi dokumentami!

- Nie, nie trzeba żadnych dokumentów! - krzyczał agent w bekieszy i w dużej papasze na głowie. I Chodźcie do Jarkowa... Tam pogadamy! Zobaczymy: coście za ptaki!

- Zobaczymy, zobaczymy! - potwierdził Gruszewski, mrugając do Zabawy. - Chodźmy prędzej, bo czasu żal!

Zabawa w lot zrozumiał jego myśli...

Na przedzie jechały sanie, w których siedział chłop. Za nimi bmgli Zabawa i Gruszewski, który czasem się obracał ku idącym obok nich agentom Osobawo Otdieła i kłął:

- To świństwo, psiakrew! Po drodze przejść nie dadzą! Ja wam tego palem nie puszcze. Ja - były marynarz czarnomorskiej floty!... Zasłużony dla rewolucji obywatel!...

W pewnym momencie Gruszewski zrzucił noskę z pleców na sanie.

- Siadajcie na sanie! - rzekł do nich jeden z agentów.

<sup>110</sup> Wszelakie ścierwo.

-Nie. Potrafimy i pieszo iść! - odparł Zabawa.

Niech Gruszewski zdejmie rękawiczki" - myślał Zabawa, który wiedział, że jego kolega ma brauninga małego kalibru (siódemkę), a w grubych, welnianych rękawiczkach z rewolweru w ogóle strzelać trudno, coś dopiero z rewolweru małego kalibru.

- Uważajcie! - groził jeden z agentów. - Krok w bok i kula w łeb!

-Tak, my z wami bawić się nie będziemy! - arogancko ryczał drugi,

-A my z wami pobawimy się na miejscu! Nauczymy was, jak obywateli na drodze nagabywać! - odparł Gruszewski.

Zabawa wskazał ruchem głowy Gruszewskiemu na las, odległy o pół kilometra od nich, i mrugnął okiem w stronę agentów. Gruszewski kiwnął mu głową. Ręce miał już bez rękawiczek... Zabawa szedł tuż za saniami, mając na lewo od siebie jednego agenta, Gruszewski szedł za nim obok drugiego agenta.

Idąc w takim porządku zbliżyli się do większego wzniesienia z prawej strony drogi. Mieli przed sobą dużą pochyłość w dół, a potem droga pięła się stromo na następną górę... Tam były domostwa ludzkie; błyskały ognie w oknach. Tam się znajdował i Zagraditielnyj Otriad, dokąd agenci Osobowo Otdiela ich prowadzili.

Zabawa się obejrzał. W tymże momencie posłyszał głos Gruszewskiego, ostry, krótki:

- Ręce do góry!

Agent stał przed nim zdrętwiały. Ręk nie podniósł... Padł strzał... Znowu rozległ się rozkaz Gruszewskiego:

- Ręce do góry!

Agent stał z rozczapierzonymi palcami u rąk i nie podniósł ramion w górę. Znowu padł strzał. Gruszewski pakował kulę za kulą w piersi nieruchomego ze strachu agenta.

Gdy padł pierwszy strzał, Zabawa spostrzegł, że idący obok niego agent wsunął rękę do kieszeni, więc nie tracąc ani chwili wystrzelił mu w głowę z nagana. Agent osunął się na drogę i biegł na czworakach po śniegu. Zabawa wystrzelił do niego jeszcze raz i agent potoczył się z traktu, po pochyłości drogi, w pole. Zabawa myślał, że pierwszy strzał był śmiertelny i że agent biegł resztką sił i przytomności.

Gruszewski wystrzelił do stojącego przed nim z rozstawionymi rękami agenta osiem razy, lecz tamten nadal stał w miejscu i nie miał sił nawet ręk do góry dźwignąć. Dziwna rzecz, że dotąd nie upadł. Pewnie był bardzo grubo ubrany w daleką drogę i małe kule brauninga nie były śmiertelne. Zabawa dał do niego z boku jeszcze jeden strzał z nagana i agent runął na drogę.

Wszystko to odbyło się w szybkim tempie, w przeciągu kilku sekund...

Gdy padły pierwsze strzały, chłop - przerażony - uderzył batem i kłami konia i sanie pomknęły po krętej pochyłości z góry w dół, uwożąc noskę Gruszeńskiego.

Z dala, stamtąd, gdzie na przeciwległej górze w pobliżu Jarkowa miści się Zagraditielnyj Otriad rozlegały się krzyki ludzkie i rzenie koni. Ktoś głośno gwizdał na palcach... Agent, do którego strzelał Zabawa, a który upadł o kilkanaście kroków od drogi, strzelał z rewolweru w górę; pewnie na alarm... wzywając pomocy..

Zabawa i Gruszewski pośpiesznie wbiegli na pobliskie wzgórze i przez rozległe, lśniące śnieżną bielą pola poszli w kierunku lasu, coraz przyspieszając kroku. Każda sekunda była droga, bo w otwartym polu było łatwo ich wytropić po zostawionych na śniegu śladach.

Wkrótce weszli do lasu, lecz był bardzo wąski i po kilkudziesięciu krokach wśród rzadko rosnących drzew znaleźli się znowu w otwartym polu. Zabawa szedł pierwszy. W ręce miał busolę. Prowadził początkowo na północ. Po pewnym czasie znowu weszli do jakiegoś lasku. Tu trochę wypoczęli. Zabawa wyrzucił z nagana trzy wystrzelone łuski i włożył nowe naboje. Gruszewski nie miał ani jednego naboju w rewolwerze, bo wystrzelał cały magazynek.

- Pójdziemy do Polski? - zapytał go Gruszewski.

- Nie... Muszę wykonać „robotę”.

- Ja nie mam nic. Cały towar mi przepadł.

- Dam ci połowę towaru i pieniędzy - rzekł Zabawa. - Tobie starczyła również się obejść. Po powrocie oddasz mi. Napiszesz raport...

5 Dobrze - zgodził się Gruszewski.

Poszli dalej.

Zabawa jeszcze kilka razy zmieniał kierunek. Płatał ślady. A potem dającą drogą skierował się do Mińska. W pobliżu miasta zeszedł z drogi w pole i na przełaj, kierując się rozlaną nad miastem luną, udali się ku najbliższemu przedmieściu. Do miasta weszli nad ranem.

Zabawa oddał Gruszewskiemu połowę zabranego z Polski towaru i pieniędzy.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Bądź zdrow! Powodzenia! - rzekł Zabawa, żegnając się z Gruszewskim w pobliżu dworca.

- Szczęśliwie... - powiedział kolega.

Pożegnali się, aby nigdy więcej się nie spotkać.

Gdy Zabawa i Gruszewski wypoczywali we dnie na melinie, w pobliżu czternastej wiorsty, Jan Pielński, którego wyprowadzono z podwału GPU na

"oprawkę", na dziedziniec, niespodzianie dla znajdujących się na podwórzu żołnierzy wskoczył na dużą beczkę, stamtąd na pochyły dach niskiej szopy, a następnie przerzucił się przez umieszczone na szczycie muru kolczaste druty. Znalazł się na ulicy.

Wszystko odbyło się tak szybko, że pilnujący go żołnierze nie zdążyli nawet wystzelic. Strzały padły dopiero wtedy, gdy był już po drugiej stronie muru. Pielirski biegł ulicą. Wpadł do jakiegoś zaułka. Znowu się znalazł na większej ulicy... Wszystko na próżno... Tuż za nim biegli gepiści, żołnierze i jacyś cywile...

Pochwycono go, zbito okrutnie i powleczono z powrotem do GPU.

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Mińsk, 19 stycznia 1923 r.*

Po przybyciu do Mińska udałem się wprost do Braginów. Do pani Jadwi-  
gi postanowiłem pójść wieczorem, bo się obawiałem, czy z powodu pobytu  
u nich Karola Kraski nie mieli przykrości. Wieczorem mogłem bezpiecznie  
to załatwić.

Teraz godzina piąta wieczór. Zapada zmierzch... Z myśli mi nie schodzi  
Gruszewski. Mam jakieś złe przeczucia. Zdaje mi się, że nie zobaczę go wię-  
cej. Przypominam sobie, jak w lesie, przed przejściem granicy, wyjął z pude-  
łka kilka landrynek i włożył je do ust. Biedak chciał opanować w ten spo-  
sób kaszel, który go często męczył... przykry, suchy, krótki kaszel. Na meli-  
nie, gdzieśmy wypoczywali, śpiąc kolejno, Gruszewski powiedział:

-Jak dziwnie się przeplata los i życie jednych ludzi z życiem i losem in-  
nych, często wcale nie znanych im osób. Zależymy od czyjegoś kichnięcia,  
złego humoru, niedospanej nocy. Zależni jesteśmy od wielkich zająć histo-  
rycznych i od różnych drobnostek. Żeby nie wojna, nie byłoby w Rosji rewol-  
ucji, nie powstałaby Polska... Żeby nie tysiąc, milion, miliard tych „żeby”, to  
i my nie znaleźlibyśmy się w obecnej chwili razem w tym miejscu.

Zamysłony powtórzyłem: rewolucja, przewrót... tak, tak...

On znowu się odezwał do mnie:

- A wiesz, co za przewrót zaszedł w Rosji?

- Zasadniczo wiem - powiedziałem. - Może ty co innego masz na myśli?

- Właśnie. Opowiem ci sowiecką anegdotę na temat „przewrotu”. Kie-  
dys w Rosji cała ludność była rozmieszczona jak gdyby na szczeblach jed-  
nej drabiny. Na najwyższym szczeblu był car, niżej - rząd, ministrowie, da-  
lej - generałowie i wyżsi urzędnicy wojskowi i cywilni, pod nimi - szlach-  
tą, następnie - duchowieństwo i kupiectwo, po nich - drobni urzędnicy,  
potem - mieszczaństwo i rzemieślnicy, dalej - robotnicy i chłopi, wreszcie



-wszelkie ścierwo... ostatni szczebel tej drabiny społecznej. Otóż w roku 1917 stał się „przewrót” - tę drabinę społeczną przewrócili górnym szczeblem na dół, więc car się znalazł na dole, a wszelkie ścierwo u góry, na najwyższym szczeblu drabiny społecznej... Przewrót... Lecz anegdota kłamie! drabiny tamtej nie przewrócono; po prostu wyrąbano górny szczebel i na to miejsce wstawiono dolny, a robotnik i chłop, który za cara był na przedostatnim szczeblu, znalazł się na... ostatnim... na miejscu „wsiakoj sadowczy”...

Myślę, że moje przecucia w stosunku do Gruszewskiego są przewidziane i że zapewne wywołało je wczorajsze zajście. A może jestem przewidywany?

Opowiem teraz, co mi się wydarzyło dzisiaj u pani Żarskiej. Przyszłem do nich około ósmej z rana. Julka odemknęła mi drzwi, wyrażając żywo swą radość. Matki jej w domu nie zastałem. Poszła do pracy. Julka odemknęła drzwi do mego pokoju, w którym znalazłem wszystko w najlepszym porządku i czystości. Kazałem jej zagotować herbatę na godzinę pierwszą i dopiero wtedy obudzić mnie. Dałem jej pieniądze na papierosy i prosiłem, aby nie mówiła Braginom o moim przyjeździe. Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo i skinęła głową...

Julka obudziła mnie o pierwszej, pokazując zegarek, który jej dałem.

- Wstawajcie! Już pierwsza. Herbata gotowa...

Ubierałem się pośpiesznie. Julka była w pokoju. Czuję się wobec niej swobodnie - jak w obecności kolegi. Gdy umyłem się i wycierałem ręcznikiem, zwróciło mą uwagę to, że Julka ma wygląd inny niż zwykle. Przyjrzałem się jej lepiej... Na nosie, policzkach, koło warg i oczu były ślady nieumiejętnie położonego pudru. Wargi miała wykarminowane... Pociągnąłem ją włógotnym ręcznikiem po twarzy, ścierając puder.

- Co tam masz na twarzy?

- To... puder... Tak ładniej...

- Ładniej?

- No, tak... Przecież Lizka wam się podoba, a ona zawsze tak... wymalowana...

- Co?... rzekłem zdziwiony.

-Nic... Zaraz powiem wam jeszcze coś... o Lizce... Później... Pijcie herbatę...

Gdy siedziałem przy stole, Julka podeszła do mnie i niespodziewanie usiadła mi na kolanach. Zarzuciła mi ramię na szyję. Oczy miała zalotne, kuszące...

- O, to ty taka?! - rzekłem zdziwiony, lecz nie zszedłem jej z kolan. Przypomniałem sobie jej piosenki i rozmowy z koleżanką... Widziałem ją kiedyś

do połowy naga... wyglądała wdzięcznie. Pomyślałem: „A może ma doświadczenie? Wychowana była w Dietdomie, należała, a może i teraz należy do komsonolu. Zresztą nie jest dzieckiem, nie!”.

Przycisnęła się do mnie piersią, obserwując mnie z ukosa. Zapytałem:  
I CÓŻ mi powiesz o Lizce?

-później...

-Kiedy „później”?

-Trochę później...

Zaczęłam całować jej szyję. Wówczas powiedziała:

\_ Nie trzeba całować, to... niehygenicznie!..

-Co?... Nie-hy-ge-nicz-nie?...

-No tak. Skóra brudna... Na skórze się zbiera pot i tłuszcz... osiada kurz brud się lepi... Pod mikroskopem...

Śmiałam się wesoło.

-Racja, racja!... Ale kto ciebie tak wytresował?... Pod mikroskopem!...

Ona również się śmiała. A gdy zacząłem ją znowu całować, powiedziała:

- Zaraz. Drzwi zamknę, może ktoś wejść.

Wybiegła z pokoju. Trzasnęła zasuwką u drzwi wejściowych i wpadła z powrotem. Prędko rozpiła sukienkę...

Była u mnie długo. W sprawach „miłosnych” okazała się o wiele doświadczeńszą od Magdy... Postęp wszędzie, a tu przede wszystkim.

Zapytałem ją później:

-Więc cóż mi powiesz o Elżbiecie Pawłownie? Zmarszczyła nos.

-Otej... Lizce?... Ona was nie kocha...

- Skąd to wiesz?

E Po co ona wam? To taka fiocha... - wykrzywiła twarz.

- Mów, co wiesz?

-Dobrze... Byłam u Braginów. Pracowałam w kuchni. Lizka, Sońka i ich matka były w stołowym pokoju. Drzwi były nie domknięte. Sońka mówiła do Lizki „Po co ty Romanowi głowę zawracasz? On nie dla ciebie! Masz Ozimowa! Trzymaj się go!”. A tamta odpowiedziała: „A ty co... zazdrościsz? Miałas go za narzeczonego, to trzeba było czekać. Teraz pewnie na kochanka dla siebie go szykujesz?”. A Sońka na to: „Ty świnią”, i wyszła trzasnąwszy drzwiami „Od świni słysz!” - powiedziała jej Lizka. Wtedy matka (jej to była szprycą, z Sońką razem, przeciw Lizce) powiedziała: „Ty dużo nie skacz!... Romanowi głowy nie zawracaj i sama o nim nie myśl... Musisz wyjść za Ozimowa. To człowiek na stanowisku, poważny, z przyszłością! A Roman, co? Dobry chłopak, ale... gołyż... Ten nie dla ciebie!”. Wtedy Lizka powiedziała: Ja Roman wcale nie kocham, a flirtować z nim mnie wolno. Jeśli mi będziecie dokuczać, to, daję słowo, taką hecę zrobię, że ten wasz Ozimow i nogą tu nie

stąpię. Pójdę z pierwszym lepszym chłopakiem do Zagsu<sup>111</sup> j za trzy limony ślub wezmę. Wtedy się ode mnie odczepicie!". Wstała i wyszła dużymi drzwiami do kuchni, gdzie ja byłam. Ot, co słyszałam.

Bardzo wdzięczny jestem Julce za tę wiadomość. To dodaje mi ~~wskazów~~ki, jak uregulować na przyszłość stosunki z rodziną Braginów i sposób postępowania z Lizką. Zobaczymy! Do Braginów dziś nie pójdę. Nie będę mógł być z nimi taki jak zwykle... Pojadę wieczornym pociągiem do Bobrujska, Powiedziałem Julce, by nikomu, nawet matce, nie mówiła o tym, że ~~byłam~~ u nich i że wrócę za kilka dni. Mam w niej zupełnie oddaną mi przyjaciółkę lecz niebezpieczną. Dziś zapytała mnie, dlaczego tak często przyjeżdżam do Mińska, jeśli służę w Bobrujsku? Powiedziałem, że przyjeżdżam do ~~spraw~~ służbowych.

-Aha! Ja już wiem - rzekła żwawo. - Jesteście „sieksotem”.  
Nie zaprzeczyłem jej.

Mińsk, 20 stycznia 1925 r.

Wczoraj wróciłem do Mińska. W Bobrujsku trafiła mi się przygoda, która jest nieciekawa, a którą opowiem tylko dlatego, że mam trochę ~~wolnego~~ czasu i chęć do pisania.

W Bobrujsku po załatwieniu roboty poszedłem na dworzec. W ~~przed~~ionku dworca (jechałem z Berezyny<sup>112</sup>) spotkał mnie wyciągniętym ~~wskazującym~~ palcem prawej ręki olbrzymi krasnoarmiejec. W lewej ręce miał karabin, ~~Uta~~ były szeroko otwarte. Krzyczał groźnie: „Tyś dezerter!!!”. Plakat był ~~wykonany~~ artystycznie i sprawiał wrażenie. Bolszewicy to mistrzowie w tych ~~rzeczach~~.

Na dworcu musiałem przeszło godzinę czekać na pociąg. Po ~~pa~~wnym czasie spostrzegłem, że jestem obserwowany. Niezawodnym instynktem ~~topionego~~ zwierza wyczułem na sobie oczy szpicla. Udawałem, że nic ~~nie~~ spostrzegam, lecz byłem przygotowany na wszelką niespodziankę. ~~Otm~~knęto kasę biletową. Długi ogon, od kilku godzin układający się ~~wokół~~ zimnych, brudnych ścian sali, zaczął powolnie posuwać się naprzód. ~~Szpicel~~ uważnie mnie obserwował. W pewnym momencie odemknął drzwi i ~~wszedł~~ na posterunek kolejowego GPU. Wyszedł z dwoma gepistami. ~~Stanęli~~ przy drzwiach i po cichu rozmawiali. Szpicel pokazywał im coś na dłoni. ~~Zau~~niałem, że to moja fotografia, w której doszukują się podobieństwa ze ~~mną~~

Przeszedłem przez całą szerokość sali w ich kierunku. Ze zdziwieniem ~~pa~~trzyli na mnie. Zbliżyłem się do nich.

- Gdzie jest dyżurny agent? - zapytałem gepistów.
- Co chcecie?

<sup>111</sup> Zags - urząd cywilny, rejestrujący śluby, rozwody, urodziny, zgony.

<sup>112</sup> W Bobrujsku są dwa dworce: Bobrujsk i Berezyna.

urzędników i wojskowych? Ja, na przykład, jadę służbowo, jestem szkrabem"<sup>114</sup> czwartej diwizji w Smoleńsku, a muszę czekać w kolejce razem z cywilami! Wszędzie na dworcach są osobne kolejki dla jadących służbowo.

-Słusznie! - rzekł jeden gepista. - Zaraz to zrobimy. Staną przy „ogonku” i krzykną!

- Towarzysze wojskowi i urzędnicy jadący służbowo staną do kasy poza kolejką. Proszę wyjść!

Wkrótce stanąłem w małej kolejce utworzonej z kilkunastu wojskowych z 8. Dywizji Piechoty... Oczekiwano przyjazdu dowódcy dywizji,

nie przybył.

Ot i cała przygoda... Przypomniałem sobie jeszcze jedną rzecz. Gdy odchodziłem od kasy, gepista, który stał w pobliżu, patrzył mi w twarz. Pomimo wó! pokazałem mu mocno zaciśniętą pięść. Spojrzał na nią zdziwiony.

! - Tak trzeba trzymać! - rzekłem z naciskiem.

On grzecznie się uśmiechnął i służbiście odchrząknął, przybierając nie- zwykle poważną „urzędową” minę.

Po co to powiedziałem - nie wiem. Może to było nerwowe. Często człowiek znajdujący się w niebezpieczeństwie robi dziwne ruchy lub wypowiada słowa które nie mają istotnego związku ani z sytuacją, ani z jego myślami. Związek ten dzieli się na: istotny (ukryty) i pozorny (ujawniany na zewnątrz), który tylko dlatego się wydaje właściwy, że dotyczy najbliższego tematu lub otoczenia. Często ludzie mówią w tych wypadkach z olbrzymią przesadą... Przypominam sobie, że do mnie kiedyś podszedł na dworcu w Mińsku jakiś młodzieniec i rzekł:

-Wyświadcze mi, towarzyszu, wielką łaskę: powiedzcie, która godzina?

Ta przesada w sposobie wyrażenia prośby, w stosunku do błażej jej treści, wskazywała na wielkie rozdwojenie wewnętrzne, wywołane niebezpieczeństwem... Instynkt samozachowawczy wymaga od człowieka działania, mającego go ochronić, i człowiek gorączkowo działa... Nie zawsze celowo...

Młodzieniec, o którym opowiadam, był kieszonkowym złodziejem i przed chwilą dokonał kradzieży, która natychmiast była spostrzeżona. Podszedł do mnie, chcąc w ten sposób odsunąć od siebie podejrzenia poszukujących złodzieja żołnierzy, którzy, w razie pochwycenia, zabiliby go na miejscu (był to okres - trwający szósty rok - w którym często odbywały się samosady). Zrozumiałem wybieg złodzieja, lecz nie wydałem go. Wiedziałem, że obrócono by go w przeciągu kilku minut w bezkształtną kupę mięsa... Po co mi to?... Nie moja rzecz!.... Każdy żyje, jak może!...

<sup>114</sup> Dywizyjna szkoła - szkoła podoficerska.

Do Mińska przyjechałem rano. Poszedłem do Żarskiej. Zastanawiałem się tylko Julkę. Napilem się herbaty i położyłem do snu. Po chwili przyszła Julka. Wśliznęła się do mnie pod kołdrę. Nie podoba mi się nawet w części, tak jak Lizka, Zofia Olewska lub pani Jadwiga, a nawet Magda. Tamte, kobiety w każdym ruchu, słowie, spojrzeniu, a ta - szczupły, zwinnie chłopiec i przypominają chłopca nawet ruchami i mową. Jest całkiem bezwstydną, jak zwierzę, i spostrzegłem, że jest zimna, a udaje namiętną, chcąc mi się śpობać...

Wieczorem poszedłem do pani Jadwigi. Ucieszyła się bardzo moim przybyciem, ponieważ nie wiedziała dotąd, czy szczęśliwie przebyliśmy granicę. Opowiedziałem jej wszystko szczegółowo. Odetchnęła.

- Nareszcie będę miała spokój. Ja tak się niepokoiłam o Karola!... On nas wszystkich zamęczył swym strachem! Nie wyobrażałam sobie, aby mężczyzna mógł się tak bać! Myśmy przy nim również się trzęśli ze zdenerwowania.

Otrzymałem za pośrednictwem pani Jadwigi pewne informacje od cukiernicy. Są dość szczegółowe, tylko o Pietrowie nic nie wiem. W gazetach „Młot” i „Krasnaja Zwiezda” też nie było wzmianki o nim, chociaż te dzienniki są najczęściej rozpowszechnione w zachodniej części sowieckiej Białorusi i zwykle obszernie opisują podobne sprawy, naturalnie, jeśli władze pozwalają na to. U pani Jadwigi zapoznałem się z jej kuzynką, Andzią, która mieszka u nich od początku stycznia. Dziewczyna nie jest ładna, lecz wywiera bardzo sympatyczne wrażenie. Wieczorem pożegnałem je i poszedłem do Braginów. Powitali mnie zimniej niż zwykle, odnieśli się do mnie z pewną rezerwą. Tylko mąż Zofii, Kobzow, i sam Bragin traktowali mnie jak dawniej. Panowała nudna atmosfera. Rozmowa się nie kleiła.

I Czy pan będzie w Mińsku w dniu moich urodzin? - zapytała mnie Lia (dzień jej urodzin przypada na 11 lutego).

I Owszem... Postaram się przyjechać!... Wkrótce pożegnałem ich. Gdy wychodziłem z mieszkania Braginów, Lizka dopędziła mnie w sieni.

- Bądź pan koniecznie! - powiedziała. - Będę panu wdzięczna!...

Uścisnęła mi dłoń i pobiegła z powrotem. Ta dziewczyna ma na mnie olbrzymi wpływ. Czy to nie dziwne, że pewien układ twarzy, wyraz oczu, kolor skóry, włosów, w ogóle budowa ciała jakiejś kobiety mogą tak opanować umysł mężczyzny, iż poza tym nic nie widzi; że wyróżniają z tysiąca innych często niewątpliwie ładniejszych kobiet i to nie dla pięknej formy ogólnej, ale często dla jakiegoś szczegółu, który innym (nie zaślepionym) może się wydać komiczny, a nawet brzydki?

Wkrótce po powrocie od Braginów, gdy byłem w łóżku, przyszła do mnie Julka. Jest silna, smukła i zwinna. Kąsając mi skórę na piersi, udawała dostojeństwo miłosną, ale wśród najgorętszych jej pieszczot myślałem o Lizce... Tu-

prawie onanizm, tam - kobieta, na samą myśl o której zgrzytałem zębami  
a wyobrażając sobie ją na miejscu Julki, czułem bijącą mi w twarz falę krwi  
i przyspieszone tętno.

Nazajutrz rano pani Żarska powiedziała do mnie:

- Czy wie pan, co u nas się stało na Kreszczenie?<sup>115</sup>

- Nie wiem.

- Bezbożnicy urządzili anty

w dwóch samochodach. Jeden - piekło, z szatanem, diabłami i grzesznika-  
mi a drugi - raj, z Bogiem, aniołami i świętymi obojga płci... Wszystko bar-  
dzo wstrętne i nieprzyzwoite. Otóż na jednym samochodzie wybuchła ben-  
zyna i rozpoczął się pożar. Uczestnicy demonstracji dotkliwie się poparzyli.  
Cóż pan na to?

-Wypadek - wtrąciła się Julka.

-Poszła precz, smarkata! Ona zawsze swój nos wścibi, gdzie jej nie pro-  
szą! Co to teraz za dzieci!

-To już dorosła panna - rzekłem w obronie Julki.

- „Dorosła panna”? Ja, gdy miałam piętnaście lat, to bez pytania rodzi-  
ców ust nie śmiałam otworzyć w ich obecności. A ta?... mnie chce uczyć. Mo-  
rały praw! Przesady wytyka!

Nadchodzi wieczór. Trzeba się wybierać w drogę za granicę...

Widziałem przed chwilą, jak Lizka, z koszykiem w rękę, w lekkiej, domo-  
wej sukience przechodziła przez podwórze do piwnicy - na drugim  
końcu dziedzińca. Smukła, silnie rozwinięta, cienka i giętka w talii, a szero-  
ka w biodrach, szła, niby tańcząc... Ma długie smukłe nogi i to dodaje szcze-  
gólnego uroku całej jej sylwetce... Wszystko w niej harmonijne, wszystko wa-  
bi, pociąga, nęci, kusi... Wszystko się składa na piękną, wspaniałą całość har-  
dej i pewnej swego powabu kobiety.

*Baranowiae, 5 lutego 1923 r.*

Minał tydzień od dnia mego powrotu zza granicy. Jestem bardzo przy-  
gnębiony. Nigdzie miejsca sobie znaleźć nie mogę. Do Olewskich nie cho-  
dę wcale. Nie chcę nikomu psuć humoru swoim złym usposobieniem. Na-  
tomiasz poszedłem do Lolki. Są kobiety, do których zwykle przywiązujemy ty-  
le znaczenia, ile do chustki do nosa, a które bywają często nam potrzebne,  
również jak chustki do nosa; czasem, by twarz ochłodzić, a czasem (jeśli kto  
umie płakać), aby łzy otrzeć. A potem nie cenimy ich, a nawet brzydzimy się  
lub pogardzamy nimi, jak... brudnymi chustkami.

W czasie mojej obecności u Lolki przyszedł jej stały adorator. Nie dziwił

dział ołtarze na lodzie, na rzekach i święcą wodę.

<sup>115</sup> Święto u prawosławnych, pr.

się wcale, widząc mnie u niej. Owszem, nawet bardzo przyjaźnie do mnieję odniósł i prosił, abym częściej bywał, bo „Lolce się nudzi”, a on dużo czasu nie ma. Opiszę go kiedyś szczegółowo. Komiczny typ.

Przyczyna mego zmartwienia jest następująca. Po powrocie do Rkowa upewniłem się, że ani Pietrow, ani Gruszewski nie wrócili. A po przyjeździe na miejsce dowiedziałem się, że wpadła cała organizacja, w tej liczbie i oni Ciężki to cios dla mnie. Szkoda kolegów, którzy się wysypali nie z własnej winy, ale wskutek ohydnej zdrady. Nie będę tego opisywał, bo to długa historia.

Nie ma nic gorszego od zdrady. Wszystkiego odważny, sprytny człowiek uniknie, a w ostateczności sam ze sobą skończy, lecz trudno walczyć, gdy ludzie, którym w zupełności ufamy, nas zdradzają... Straszny jest pocałunek judasza!

Szkoda mi bardzo Gruszewskiego. Przypominam sobie, jak mi opowiadał o swej chorobie i o matce-staruszce. Robię sobie wyrzuty, że nie wróciłem wraz z nim do Polski, gdy po walce w pobliżu Jarkowa, straciwszy towar chciał wracać. Szkoda, że dałem mu towar i pieniądze... Poszedł biedzysko bezbronny, z nie nabitym rewolwerem, aby nie wrócić nigdy!..

Często wspominam Piętrowa. Silny to duchem człowiek i niezwykle męny charakter, co prawda wypaczony i trochę nadłamany. W innym położeniu mógłby wiele dobrego zrobić dla ludzi, wkładając swą energię w pożyteczną pracę. W Sowietach go sponiewierali, opluli i pchnęli na manowce... A teraz?... Taki los czeka nas wszystkich... Najlepiej się powodzi na świącie ugodowcom, pochlebcom, tchórzom... ludziom o giętkim grzbiecie i karku Ci wszyscy ludzie się przystosują i zawsze doskonale się urządzają.

Szykuje się na dzień urodzin Lizki. Matka jej powiedziała, że mam hołysz i że by wyszła za mąż za Ozimowa, „człowieka na stanowisku i z przyszłością”. A ja umyślnie takie jej upominki zrobię, jakich wszyscy razem dać jej nie potrafią. Niech myślą o tym, co chcą. Niech zachodzą w głowę, skąd ja to wszystko mam. Przydały mi się pieniądze zarobione ze Smółką za „przerzucenie” towaru przez granicę... Niebieskiego lisa wykończyli. Ślicznie będzie wyglądał w takim boju, stworzy on piękne tło dla jej głowy! Kupiłem kolczyki, za które zapłaciłem 160 rubli w złocie, flakon doskonałych perfum, tuzin francuskich, jedwabnych pończoch, duże, piękne pudło czekoladowych pomadek i cztery flaszki koniaku. Wydałem dwie trzecie posiadanych pieniędzy, ale cieszę się tym bardzo. Wiem, jak są drogie i rzadkie w Sowietach te rzeczy.

Przedwczoraj spotkała mnie w Brześciu nad Bugiem taka przygoda. Szedłem wieczorem ulicą Trzeciego Maja. Jak zwykle szedłem bardzo szybko. Nagle przed oczami moimi ukazała się na chwilę znana mi skądś twarz mężczyzny. Nie zwróciłem na to uwagi i szedłem dalej. Przez kilka sekund starałem się przypomnieć sobie, skąd znam tamtego człowieka, a potem wyzuci-

łem tę myśl z głowy. Wstąpiłem do drogerii, gdzie kupiłem sporo różnych drobiazgów, potrzebnych mi za granicą. Byłem tam dłuższy czas, zanim wszystko wybrałem, a potem czekałem jeszcze na zapakowanie rzeczy. Gdy wyszedłem na ulicę zbliżyli się do mnie dwaj posterunkowi i cywil - agent policyjny.

I Pan pozwoli z nami do komisariatu - rzekł jeden z policjantów.

I W jakiej sprawie? Nie mam czasu!

- Niech się pan nie opiera. Proszę do komisariatu. Tam sprawę wyjaśnimy.

- Mogę okazać dowody!

- W komisariacie.

Zirytowany poszedłem do komisariatu, który był w pobliżu. Tam zażądano ode mnie wylegitymowania się. Pokazałem dowód cywilny. Tego było im mało. Widząc, że sprawa jest poważna, zażądałem przedstawienia mnie oficerowi policyjnemu. Wkrótce przyszedł dyżurny - aspirant. Pokazałem mu zaświadczenie służbowe i wymieniał numer telefonu naszego urzędu, gdzie mógł sprawdzić identyczność dowodu i mej osoby... Zrobił to natychmiast... Sytuacja się wyjaśniła...

W trakcie tej rozmowy starałem się przypomnieć sobie twarz wyminiętego na ulicy Trzeciego Maja, w pobliżu drogerii, mężczyzny. Przeczuwałem, że jest w jakimś związku z moim zatrzymaniem. I przypominałem sobie. Był to agent naszego wywiadu, którego kiedyś spotkałem za granicą, w lesie w pobliżu Zatyczyna, i któremu dałem dobry dokument sowiecki zamiast złego. Wziąłem od niego wówczas fiasko, a dałem mu „uczotnuju kartoczku” ze stemplem „Prowieriena Trojkoi”. On myślał wtedy, że jestem albo czekistą, albo agentem Zakordotu.

Wychodząc z gabinetu aspiranta, zobaczyłem siedzących w ogólnej kancelarii policjantów i agentów, którzy mnie aresztowali. Zbliżyłem się do nich i wyszczególniając rysopis tamtego agenta, zapytałem, czy to on ich informował przed kilku minutami, że jakoby jestem zza granicy? Potwierdzili to.

Wyszedłem z komisariatu klnąc: „Łobuz! Świnia! Cham!”. Będąc na jego miejscu nigdy bym podobnej rzeczy swemu dobroczyńcy nie zrobił. Różni są ludzie na świecie.

*Raków, 9 lutego 1923 r.*

Dziś przyjechałem do Rakowa i zatrzymałem się - jak zwykle - u Gołeczych. Nie przynaglano mnie do wyjazdu na „robotę”, nawet wstrzymywano od tego, radząc odpocząć (oszczędzano mnie po wyspie czterech najlepszych naszych agentów). Lecz ja zażądałem stanowczo wyjazdu. Powiedziałem, że mam umówione na 11 lutego spotkanie z pewnym poważnym konfidentem i nie chcę sprawić mu zawodu.



Piję dużo. Nawet sam piję. Zapijam „grust', tosku". Wszystko wydaje mi się blade, mało ważne, bezwartościowe. Nie mogę przeboleć straty Piotrowa i Gruszeńskiego. Tak mało ich znałem, lecz żal mi ich bardzo. Gdybym mógł kosztem własnego życia nawet, dopomóc im... nie uwolnić (to niemożliwe) ale chociaż zginąć w walce, to nie wahałbym się wcale.

Gdy się zastanowić, to nie warto żyć na świecie! Nuda, smutek, szaryzna... Wokoło nie ludzie, lecz ludziska - praktyczni, tchórzliwi, zębami i j|: żurami trzymający się kawałka lichego bytu, gotowi za nie gardło każdemu przegryźć... Poziome, mieszczańskie słowa, uczucia, czyny... Niewielkiego, wzniesłego... W letniej wodzie siedzimy, żyjemy, letnią wodę chłapczemy, 0 letniej wodzie marzymy, o niej mówimy wszędzie... Może niedługo i mnie już pozostało żyć?... Po co ja tak silnie dążę do pozyskania sympatii i miłości Lizki?... Może to taka sama głupia mieszczańska geś jak i wiele innych? I cóż z tego, że ją zdobędę? I czym jest ta zdobycz? Do czego prowadzi?-Do pospolitego, nieestetycznego, komicznego nawet - na zimno rzecz biorąc- posiadania kobiety. Może Pułkownik miał rację? Może...

#### XIV. URODZINY LIZKI

*Dlaczego nie wstydzimy się przejechać tu pomiędzy ludowych... w tym czasie, gdy dokoła nas ludzie żyją w tak okropnej nędzy, że aż lkać się chce?... Dlaczego wreszcie boimy się pokazać prawdę ludziom (chociaż ludzie i bez nas ją znają) i chowamy ją po swych „Komjaczekach”?*

Mikołaj Chwilowij, *Waldsznepy*

Mieszkanie Braginów było rzęsiście oświetlone. Ze środka, przez otwarte lufki, na ulicę wypadały dźwięki pianina. Dziwnie nie harmonizowały te wesołe dźwięki i oświecone okna z ogólnym, ponurym tłem ulicy i miasta. Urodziny Lizki były obchodzone (jak na sowieckie warunki i panującą w kraju okropną nędzę) wspaniale. Zaproszono sporo gości, przeważnie młodzieży. Małe mieszkanko wypełniały śmiech, gwar rozmów, dźwięki muzyki, bawili się ludzie. Tylko kostiumy gości nie odpowiadały tej uroczystości. Były staromodne, przeważnie zniszczone i z wielkim nakładem pracy i czasu odnawiane, cerowane i farbowane. Można było zobaczyć u panienek płócienne pantofelki na podszewkach ze sznurków, lecz chęć życia i użycia, którą podniecała rzadka okazja do zabawy, wszystko tuszowały, stwarzając ogólny wesoły nastrój.

Do dyspozycji młodzieży był oddany pokój stołowy, z którego wyniesiono zbędne meble i kredens. Tu, w najdalszym kącie, przy piecu, ciotka Lizki, w woniącej naftaliną i miętą sukni czekoladowego koloru (na pewno starszej od jej sędziwej, do mumii podobnej właścicielki) grała na pianinie. Zwiesiła haczykowaty, jak dziób papugi, nos nad dużym, drewnianym pudłem i waliła kościstymi palcami w żółte od starości zęby rozstrojonego, zakatarzonego instrumentu, który - w odpowiedzi na zniewagę - jęczał, charczał, kaszlał, wył, ryczał, zgrzytał, wydając przeraźliwe dźwięki; lecz młodzież nie była wymagająca i zadowolala się nie tyle melodią tańca, ile taktem uderzeń w klawiaturę.

Do dyspozycji pańien, w charakterze pokoju toaletowego i bawialni, była oddana sypialnia Kobzowa. Osoby poważniejsze zainstalowano w sypialni Braginów, którą — po doraźnym usunięciu z niej łóżek, szaf i komody - obrócono w coś pośredniego pomiędzy salonem a pokojem stołowym. Tam siedzieli rodzice Lizy, Zofia, Kobzow, Ozimow i kilkoro najbliższych krew-

nych Braginów. Liza znajdowała się przeważnie w pokoju dla młodzieży. Namiętnie lubiła tańczyć i nie opuściła ani jednego tańca. Była ubrana najlepiej ze wszystkich panien. Miała nową, dobrze uszytą granatową sukienkę, i kremowym, wykładanym kołnierzem i mankietami. Wydawała się w ciemnej sukni smuklejsza i młodsza. Włosy miała zebrane w olbrzymi węzeł z tyłu głowy... Była królową wieczoru. Wzbudzała w młodzieży męskiej zachwyt i uwielbienie, a wśród dziewcząt - uznanie dla urody i... zazdrość.

\* \* #

Zabawa przyszedł do Mińska dziesiątego stycznia. Przenocował u pani Żarskiej, a o dziewiątej rano, widząc, że w domu wszyscy wstali, wysłał Julkę na zwiady do mieszkania Braginów, aby zobaczyła, kto u nich jest i co robią? Wkrótce Julka wróciła i powiedziała, że wszyscy, prócz Kobzowa, który poszedł do pracy, są w domu i że piją herbatę.

Zabawa poszedł do Braginów, zabierając ze sobą sporą paczkę owiniętą w gruby papier. Gdy wszedł do nich, pozdrowił obecnych i rzekł, witając każdego z osobna:

- Pragnąłem koniecznie pierwszy złożyć życzenia solenizantce i zdaje mi się, że jestem - poza rodziną - pierwszy?...

- Owszem, owszem... pan pierwszy! - rzekła wesoło Lizka, darząc go ślicznym uśmiechem.

Zabawa rzekł do niej:

- Proszę przyjąć, zamiast kwiatów, których w obecnych czasach nie można kupić, ten upominek, który jest wyrazem mojej szczerzej dla pani przyjaźni.

Położył paczkę na stoliku pod oknem. Zaproszono go na herbatę. Wkrótce pożegnał ich, powołując się na potrzebę pójścia do miasta, po zakup książek technicznych w tutejszej księgarni. Został zaproszony na wieczór.

Po jego wyjściu Lizka zabrała paczkę do swego pokoiku i zaczęła ją rozwiązywać. Dołączyła się do niej Zofia, a potem i matka.

Wkrótce Lizka wyjęła z paczki boa ze skórki niebieskiego lisa.

-Jakie śliczne futerko!... To lis? - zapytała Lizka.

- Tak... Niebieski lis... - rzekła matka. - To bardzo droga rzecz!

Przyszedł Bragin i również obejrzał lisa.

- Rzadka rzecz! Amatorska!... - powiedział z uznaniem. - Takie boa przed wojną lepsze aktorki nosiły... Tak... Co tam dalej?

Liza odemknęła małe pudełeczko.

- O!... - wykrzyknęła zachwycona, widząc ładne kolczyki.

Bragin i jego żona uważnie je obejrżeli.

-1 to droga rzecz!... Oho!... Patrzcie go!... Nie spodziewałem się!...

Lizka wyjęła z ładnego pudełka duży, kryształowy flakon perfum. Matka jej wzięła je do rąk.

- Prawdziwy Houbilgant! Doskonale i bardzo drogie perfumy - rzekła po chwili.

Następnie Lizka wyjęła z paczki podłużne tekturowe pudełko, w którym był tuzin jedwabnych pończoch z francuskimi etykietami na opaskach. Na dole paczki było duże pudło czekoladowych pomadek, a pod nim cztery flaszki koniaku.

- To już o mnie pomyślał - rzekł Bragin, biorąc do rąk flaszkę. - Martell... Aż się oczom nie wierzy! Ileż to musiało teraz kosztować?!

Długo się toczyły rozmowy w rodzinie Braginów na temat dzisiejszych upominków Zabawy.

- Ja podejrzewam, że on wcale nie jest technikiem telegrafu z Bobrujska - rzekła Zofia.

- A kim? - zapytał Bragin.

- Może fałszerzem pieniędzy? Albo... albo może służy w GPU lub w „Pogranotriadzie”?

- Wszystko to możliwe - rzekł Bragin. - Ale co to nas obchodzi? Mówi: technik - niech będzie technik. Grunt - człowiek porządny! Od tylu lat go znamy... Wstyd obmawiać.

- Ja nie obmawiam, tylko wyrażam przypuszczenie - powiedziała Zofia.

Długo jeszcze Zabawa i jego upominki były tematem rozmów w rodzinie Braginów. Ostatecznie postanowiono nie opowiadać o nich krewnym i znajomym.

I Nawet Wani (mąż Zofii - Kobzow) nic nie mówić! - rzekł Bragin.

. . .

Zabawa wieczorem jakiś czas siedział ze starszymi, a potem poszedł do przyległego pokoju, gdzie wesoło bawiła się młodzież. Długo się przypatrywał Lizce, która tańczyła z kuzynem, Pawłem. Potem niepostrzeżenie wyszedł i udał się do mieszkania pani Żarskiej, do swego pokoju. Tam odkorkował flaszkę koniaku i wprost z butelki zrobił kilka dużych haustów. Zapalił papierosa, posiedział trochę na łóżku i znowu wypił. Wrócił na salę... Młodzież tańczyła polkę... Lizka również tańczyła. Kilka razy złapał na sobie zalotne spojrzenie dziewczyny. Gdy Czekoladowa Ciotka trochę później zagrała jakiegoś przedhistorycznego walca, Zabawa poprosił Lizkę do tańca. Tańczył dobrze i miał w niej doskonałą partnerkę... Zapomniał o wszystkim. Wirował lekko po sali, obejmując giętkie, silne ciało dziewczyny. Czuł woń jej włosów i lekki odór potu, który go drażnił jak silne perfumy. Fascynowały go jej śliczne oczy, wabiły pąsowe wargi.

- Ślicznie, Lizo - rzekł cicho.  
- Co? - zapytała szeptem.  
- Ślicznie pani tańczy i ślicznie wygląda!... Cudnie!... - rzekł z zachwytem  
Uśmiechnęła się doń wdzięcznie, z lekka unosząc w górę głowę. Skończyli tańczyć dopiero wtedy, gdy czekoladowa Ciotka, zmęczona zupełnie, przestała bębnić w klawisze pianina.

W pokoju starszych grano w karty. Młodzież w przerwie, dając wypocząć Ciotce, zabawiła się grą w fanty. Zaczęto wykupywać je. Lizce za karę przypadło być „spowiednikiem”. Poszła do pokoju panien i siedząc na krześle w pobliżu drzwi, spowiadała wchodzących. Śmiała się, słuchając z komiczną powagą wypowiedzianych przewinień i udzielała rozgrzeszeń lub wyznaczała pokutę.

Wszedł Zabawa. Stał przy niej. Nigdy nie wyglądała tak pięknie jak teraz, w tym tajemniczym półmroku.

-Jakie macie grzechy? - zapytała przytłumionym głosem dziewczyna.  
- Kocham się w pewnej pannie...  
- To nie grzech.  
- Kocham ją więcej niż swe życie!... Rozum dla niej tracę!...  
Milczała.

- ...Spokój straciłem! Dla niej gotów jestem wszystko i wszystkich poświęcić!...

Nie odpowiadała mu... Ujął silnie jej ramię...

- Trzeba to jej wyznać, a nie mnie - rzekła cicho, prawie szeptem.  
- Boję się jej to wyznać...  
- Trzeba być śmiałym! Tchórzostwo to grzech.  
- Ma pani rację!

Ujął w dłoń jej głowę i pocałował w usta... Zaczął całować jej twarz. Nie bronila mu. Po chwili rzekła:

- Niech pan wyjdzie, bo mogą coś pomyśleć...

Wszedł posłusznie.

Wkrótce na salę wniesiono duży stół i zaproszono młodzież na herbatę. Później znowu rozpoczęto tańce. O godzinie dziesiątej młodzież zaczęła się rozchodzić. Pozostali: Braginowie, Zabawa, Ozimow, Kobzow, jakiś starszek - bliski krewny Braginowej, który stale zacierał ręce i cicho, bezdźwięcznie prawie chichotał, jak gdyby się radując czymś, i Czekoladowa Ciotka, która przed chwilą jeszcze gwałciła przestarzałe pianino... Siedzieli w pokoju starszych. Opustoszony przez młodzież stołowy pokój doprowadzono do normalnego stanu i przygotowano stół do kolacji...

Kończono grę w preferansa. Ozimow przegrał. Pomimo swej „takyki” wpadł kilka razy, bo chciał wprawić w podziw obecnych i zagrał „po napo-

leortsku". Był tym zirytowany, chociaż robił obojętną, zimną, majestatyczną minę.

Przy kolacji wypadło tak, że Lizkę posadzono obok Ozimowa, a Zabawa **siedział** naprzeciw nich, mając z lewej strony Zofię, a z prawej Chichoczącego Staruszka. Ozimow bawił Lizkę „poważną rozmową” i taką minę przybierał, jakby zaznaczał: „Widzisz, jak ci dogadzam! Ja, taka osoba!... Musisz to rozumieć i cenić!”.

Na stole, prócz różnych przekąsek, należących w Sowietach do dawno zapomnianego przez pospolitych obywateli luksusu, stała duża karafka wiśniaku. Była i beczelnie bijąca w oczy burżuazyjnym przepychem faszki koniaku Bragin wytłumaczył obecność „kontrewolucyjnych” płynów na stole:

- Jesteśmy tu w najbliższym kole, można powiedzieć: w rodzinie, więc chcę - według tradycji, którą my, ludzie starej daty, bądź co bądź, szanujemy-wypić zdrowie mej najdroższej córuchny. Chociaż alkohol, to, tego... burżuazyjny przesąd i zły, można powiedzieć, nałóg - tu Bragin zatrzymał się połknął ślinę i obwiał wszystkich obecnych spojrzeniem - lecz w wypadkach wyjątkowych i biorąc na wzgląd tę mądrą maksymę, którą powiedział, jeśli się nie mylę, Mahomet, że nie to człowieka psuje, co do ust wchodzi, a to co z ust i temu podobne, to... tego... W ogóle: niech żyje wiele lat szczęśliwie, w dobrym zdrowiu, moja córuchna!

Toast był spełniony przez wszystkich, nawet przez Ozimowa i Kobzowa, którzy z wielką rezerwą i jakby niesmakiem popijali 50-procentowy wiśniaczek. Pili solidnie: Bragin, Zabawa i Chichoczący Staruszek.

Zabawa, który podczas tarców wychodził dwa razy „poprawiać humor”, teraz był już dobrze zawiany. Było mu wesoło, chciało się śmiać, a jednocześnie oparowało go, w stosunku do otoczenia, ironicznie zaczepne usposobienie. Patrzył na siedzącego obok Lizki Ozimowa i myślał: „Ty dostaniesz Lizkę jako żonę i dopiero po ślubie w Zagsie, a ja - kiedy zechcę!... Ty będziesz dla niej wygodnym szlafrokiem, a ja - kochankiem... Teraz jeszcze nie... ale później: zobaczymy!”.

Ozimow dostrzegł uparte, ironiczne spojrzenie Zabawy i na twarzy jego odbiła się niechęć i nienawiść. W tym momencie Zabawa wstał z miejsca i, biorąc faszkę koniaku (drugą już), napełnił stojący przed Ozimowem próżny kieliszek.

- Teraz my - rzekł uroczyście - wypijemy zdrowie solenizantki. My obaj tak ją kochamy i szanujemy za niezwykle zalety duchowe... ten tego... wszystkie inne, przedstawiające niezaprzeczalne wartości uniwersalno-internacjonalne, że więcej oddanych sobie przyjaciół nie ma na pewno.

Wszyscy zamilkli; tylko Chichoczący Staruszek zacierał dłonie, a Czekoladowa Ciotka wyrażała zdumienie, zwieszając dolną wargę i ukazując żółtką sztuczną szczękę.

Zabawa wypił kieliszek koniaku. Nalał drugi, znowu wypił i zwrócił się 1 Ozimowa:

| Czemu pan nie pije? Nie życzy pan Elżbiecie Pawłownie dobrego zdo wia? A może pan się boi, żeby ktoś z obecnych tu pana nie zadenuncjowa) że prowadzi się pan nie jak partyjny, używając spirytualii, a?... Pluń pan! Śmiało! My nie zdradzimy. To tylko u was szpiclowanie i donosicielstwo są przyjęte, a wśród „bezpartyjnego ścierwa” tego nie ma! Śmiało! Pij, |s<sub>n</sub>n. wę tnij!

- Ja was proszę w inny sposób do mnie się odzywać!

- Nie rozumiem!... Sądząc z tonacji (jestem trochę muzykalny) wnio sku je, że pan się gniewa. Porzuć to pan, to burżuazyjne fochy! Chyba chce pan zepsuć wszystkim humory!

Ozimow pogardliwie sapnął nosem i rozpoczął rozmowę z Kobzowem Zofia pociągnęła Zabawę za rękaw i kokieteryjnie pogroziła mu paluszkim, Liza spojrziała na niego zdumionymi oczami i opuściła długie rzęsy, rzucą ce cienie na policzki. Tylko Chichoczący Staruszek śmiał się, zacierając do nie, a Bragin często chrząkał i współczująco spoglądał na Zabawę. Stary nie lubił Ozimowa i przyjmował go tylko ze względów praktycznych - chce i drugą córkę wydać za męża za dobrze sytuowanego człowieka, chociaż ten był komunistą.

Wkrótce ogólny nastrój się poprawił. Kobzow opowiadał kawały, które wcale nie były komiczne, lecz z których zwykle pierwszy hałaśliwie się śmiał. Robił zupełnie nieodpowiednie analogie na potwierdzenie swych wnio sków i często - na poparcie ich B przytaczał przeciwne im aforyzmy i przy słowia. Zwykle dodawał ciągle: „rozumiecie?”, chociażby opowiadał najpo spolitsze rzeczy.

- ...O, nie, rozumiecie - mówił, robiąc srogie oczy - nie każda sztuka i ma uka, rozumiecie, mogą być korzystne dla obywateli. Rządy burżuazyjne, rozu miecie, uczą swych podwładnych wielu zbędnych nauk, rzemiosł i sztuk. W ogó le, rozumiecie, cała burżuazyjna sztuka, literatura, a nawet muzyka są zbędne i szkodliwe, bo nie prowadzą do uświadomienia mas, bo są dla nich opium, rozu miecie, jak i religia! - Obejrzał siedzących za stołem słuchaczy, zbladł stopni uwagi, wybałuszył jeszcze więcej oczy i ciągnął dalej. - Otóż opowiem wam na ten temat, rozumiecie, jedną historię. Tak... W pewnym, rozumiecie, wschodnim, burżuazyjnym, naturalnie, państwie żył sobie król. Bogaty król. Prowadził bez czynne, głupie życie i, rozumiecie, hojnie opłacał różnych sztukmistrzów i bla znów. Wiedzano o tym w całym państwie. Otóż jeden jego poddany poświęcił, rozumiecie, całe swoje życie na wyuczenie się nowej, trudnej sztuki, którą, rozu miecie, w tajemnicy przed wszystkimi zachowywał. Chciał w ten sposób, rozumi cie, uzyskać od swego szczerzego władcy hojną nagrodę...

Zabawie się nudziło. W trakcie tego opowiadania albo patrzył w oczy Robzowowi, albo robił „oko” do Lizki, która siedziała naprzeciwko... Założył ręce w tył, za oparcie krzesła, na którym siedział Chichoczący Staruszek i obok którego - na następnym krześle - usadowiła się Czekoladowa Ciotka. Zabawa szturchnął ją palcem w bok i schował rękę za oparcie swego krzesła. Tamta, niemile zdziwiona, spojrzała na Chichoczącego Staruszka, który wesoło zacierał dłonie, zerkając w jej stronę... Czekoladowa Ciotka odsunęła się wraz z krzesłem trochę dalej od niego, a on nadal bezzdźwięcznie się śmiał... Czekoladowa Ciotka gotowa była wybuchnąć. Podniosła wysoko głowę i gniewnie przeżuwała sztuczną szczęką wyrządzoną jej zniewagę.

- ...Otóż, rozumiecie, w tym celu - ciągnął dalej Kobzow - zrobił w grubej desce dziurkę, przez którą ziarnko grochu ledwo przechodziło, i zaczął się ćwiczyć w trafianiu grochem do tej dziury. Zwiększał, rozumiecie, stopniowo odległość, aż zatrzymał się na dwudziestu krokach. Sztuka to była trudna, bo postawił sobie za zadanie, rozumiecie, każdorazowo niechybnie tafiać do dziury.

Czekoladowa Ciotka, którą Zabawa w tej chwili ponownie szturchnął palcem w bok, wytrzeszczyła oczy... Chciała coś powiedzieć, zakręciła głowę w wysokim kołnierzu staromodnej sukni i omal nie zgubiła sztucznej szczęki. Liza, która siedząc naprzeciw, spostrzegła te manewry Zabawy, zagryzła dolną wargę, wstrzymując śmiech. A Chichoczący Staruszek, nie wiedząc o tej burzy, która się szykowała na prawo od niego, nadal się śmiał i wesoło zacierał dłonie, niby to porozumiewawczo zerkając po obecnych, czym doprowadził do jeszcze większej pasji Czekoladową Ciotkę.

- ...Po dwudziestu, rozumiecie, latach nieustannych ćwiczeń, opanował tę sztukę w zupełności i udał się do królewskiego pałacu. Król łaskawie go przyjął i zapytał, co potrafi zrobić nowego, aby go tym zająć? Tamten, rozumiecie, odparł: „Potrafię wrzucić każdorazowo, z odległości dwudziestu kroków, ziarnko grochu do małej dziurki, przez którą zaledwie przesunąć je można. Król może zbadać osobiście tę dziurkę”.

W tym momencie Czekoladowa Ciotka, którą Zabawa szczególnie mocno dźgnął palcem pod żebra, porwała się z miejsca. Z oczu jej iskry się sypały, a w kątach zbiegających warg ukazała się piana.

- To świństwo, panie! Chamstwo, panie! Ostatni łobuz, szelma tak się nie zachował! Jestem uczciwa wdowa i nie pozwolę na coś podobnego! Tak!... Świństwo!... Ot co!... Ja ukończyłam z odznaczeniem Smolny Instytut i nie pozwolę byle chamowi na takie obrzydliwości!... Nie! nie! nie!...

Zawróciła w miejscu i wysoko wznosząc głowę skierowała się ku wyjściu... Trzasnęła drzwiami... W przedpokoju prędko się ubrała i wypadła z mieszkania na ulicę.



Wszyscy byli zdumieni. Najwięcej przerażony był Kobzow, który myślał że Czekoladowa Ciotka na niego się oburzyła.

- Nie myślałem, rozumiecie - rzeki - aby takie głupstwo mogło ją obrazić! Dziwię się, rozumiecie i nie pojmuję! To na pewno ten nieszczęśliwy wyraz: dziura. To stara dewotka, więc rozumiecie: ten tego... i w ogóle., poplątał się zupełnie i zamilkł.

Zofia, niezadowolona, przeszła go piorunującym, nic dobrego na przyszłość nie wróżącym spojrzeniem.

- Ty zawsze, Czuszka, jakieś ordynarne świństwo zrobisz! - rzekła, wzdymając wargi.

- Ależ moja droga...

i Nie tłumacz się!

Zamilkł. W oczach Lizy ukazały się łzy od wysiłków, które robiła, aby pohamować śmiech. Zabawa zupełnie spokojnie napełniał koniakiem kieliszek, a Chichoczący Staruszek (nie podejrzewając, by był celem ataku Czekoladowej Ciotki) zacierał dłonie i zachłystywał się krótkim, bezdźwięcznym śmiechem.

- Państwo pozwolą, że dokończę historyjkę z grochem - rzekł Kobzow - bo myślę, rozumiecie, że tu nie mająż tak przewrażliwionych osób, wychowanych w burżuazyjnej kulturze...

I Prosimy... - basem wyciągnął Zabawa, odpowiadając jeden za wszystkich.

- Otóż - opowiadał dalej Kobzow - przyniesiono, rozumiecie, desekę, w której pośrodku była ta... no, otwór, mały otwór. Tak. Sztukmistrz, rozumiecie, odmierzył dwadzieścia kroków, rzucił ziarnkiem grochu i ono przeleciało przez tę... ten otwór. Powtórzył to z tymże skutkiem... Na życzenie króla, rozumiecie, popisywał się swą sztuką kilkadziesiąt razy, zawsze trafiając niezawodnie do tej... do tego otworu. Tak...

Liza się uśmiechnęła, ubawiona tą ostrożnością Kobzowa. Zabawa marszczył czoło, ściągał brwi i śmiał się w duchu.

- ...I cóż wy myślicie: jak król wynagrodził sztukmistrza za tę niezwykłą sztukę, co? - pytała oglądając wszystkich obecnych.

**B** Dał mu duży majątek - rzekł Bragin.

- Zostawił go na swym dworze do bawienia gości - powiedziała Liza.

- Nie! - rzekł triumfująco Kobzow, skierowując wskazujący palec ku sufity i wybałuszając oczy. - Nie!! - powtórzył z mocą. Potem zrobił dłuższą pauzę i zdławionym tajemniczym głosem wyrzucił z siebie: S Kazał mu dać, rozumiecie... garniec grochu!... Tak!... Cha-cha-cha-cha! - zaczął pierwszy przesadnie głośno się śmiać, a potem uspokoiwszy się nieco, rzekł mentorskim głosem: - Tak samo i sztuki oraz nauki burżuazyjne!... Spodziewamy się po nich olbrzymich korzyści, a zdobywamy... garniec grochu! I Uroczyście wyprowadził konkluzję Kobzow.

**Zabawa przypomniał sobie sypialnię Kobzowa: dębowe, rzeźbione łóżko, i piękną toaletę, drogi dywan, obraz nagiej kobiety na ścianie i ironicznie się uśmiechnął.**

Po pewnym czasie Kobzow przyniósł z łóżeczka śpiącego syna. Obudził ~~rozspane~~ dziecko i zmusił je do zadeklamowania modnej wówczas piosenki. Była dziwnie ponura, jęcząca, niby wyrwana z piersi tchórzliwych niewolników. Była nacechowana rezygnacją. Brakowało jej siły, ognia, buntu. Dziwnie brzmiała w ustach dziecka, które ledwie mówić mogło.

*Z przemocą białych najemnych żołdaków  
Oddział komunistów się zmagal.*

Ozimow ze sztucznym, lojalnym zapałem oklaskiwał małego deklamatora.

-Kom-munista rośnie! Po-ochwalam, po-ochwalam - rzekł wyniośle.

Wkrótce zebrani podzielili się na dwie grupy. Zabawa rozpoczął rozmowę z Zofią i Braginem, łapiąc od czasu do czasu na sobie spojrzenia Lizy. Ozimow prowadził dyskusję na „zasadnicze tematy” z Kobzowem.

Zabawa słyszał, jak Kobzow mówił:

-Ja, towarzyszu, w tej kwestii mam odrębne mniemanie. Odchylenia się od ścisłej doktryny bynajmniej nie świadczą o niekonsekwencji, tylko o ustępstwach na rzecz życia realnego i o konieczności takich odchyień dla dobra ogółu..

Ozimow z zapałem mu zaprzeczał.

W kilka minut później Zabawa posłyszał jak Ozimow, rzucając od czasu do czasu spojrzenia na wszystkie strony i podkreślając wyrazy ruchami palców, wygłaszał:

I Towarzysz Władimir Iljicz powiedział: „Nie ten mądry, kto nie robi błędów (takich ludzi nie ma i nie może być). Ten mądry, kto robi błędy małe i umie prędko je znajdować i poprawiać!”.

„Popisuje się elokwencją i erudycją” - pomyślał Zabawa, wychylając kieliszek koniaku.

Po pewnym czasie rozmowa znowu się stała ogólną. Ozimow, zapewne chcąc się popisać wolnomyślnością i rozweselić obecnych, zaczął opowiadać modną wówczas w Sowietach anegdotę o Bimie i Bomie, którzy w moskiewskim teatrze rozwieszali po ścianach na scenie portrety różnych wybitnych sowieckich działaczy. Gdy zabrakło miejsca dla dwóch portretów, Bim zapytał Boma: „A tych gdzie umieścić?”. Na co Bom odpowiedział: „Lenina pod ściankę, a Trockiego powiesić”.

Gdy Ozimow powiedział ostatnie zdanie: „Lenina pod ściankę, a Trockiego powiesić”, Zabawa wstał i pochylił się ku niemu przez stół.

| Pan partyjny? - zapytał ostro.

- A co?

| Partyjny pan? - pytał, marszcząc czoło Zabawa.

- Ta-ak... jestem komunista.

i Szkoda! - rzekł z naciskiem Zabawa. - Szkoda partii komunistycznej, że ma takich członków! Największy wróg komunizmu nie będzie w ten sposób wyszydzał wodzów proletariatu, których paznokcia nie jest wart!

Chichoczący Staruszek zacierał dłonie. Wszyscy, zdumieni, patrzyli na Zabawę, który wciąż stojąc, cały wrzał sztucznym oburzeniem. Ozimow podniósł się z miejsca. Twarz nabiegła mu krwią.

- Ale co to pana obchodzi? Czego pan mnie się czepia? - rzekł, omal nie z płaczem.

- To mnie bardzo obchodzi, bo jestem soczuwstwujuszczim<sup>110</sup>. Jestem soczuwstwujuszczim RKP, że ma takich członków, takich hańbiących partię oportunistów, szukających ciepłych miejsc, a udających ideowców i prawowiernych marksistów. Tacy goście są bardziej niebezpieczni od wszystkich naszych wrogów zewnętrznych, bo, udając komunistów, zohydżają i kompromitują swoim idiotyzmem, chciwością i pychą ideę socjalistyczną wobec ludzi bezpartyjnych, którzy uważnie obserwują każdy ich ruch, każdy czyn, każde słowo. Komunista jest wytrwały, zimny, konsekwentny, mądry, wykształcony, stanowczy, zwolennik materialistycznego pojmowania dziejów! A pan jest tępy, leniwy, niedouczonec, chciwy „materialista”! Pan materialista dał sobie... na luksusowe życie, na dobre żarcie, na ładne dziewczki i ja... gdyby nie szacunek dla obecnych tu osób - Zabawa obrzucił wszystkich obecnych spojrzeniem - ...inaczej pouczyłbym jegomościa partyjnego, jak się należy zachowywać, aby partii nie kompromitować!

Ozimow rzekł jękając się:

- Mnie obrażają... Ja nie rozumiem... Ja nie mogę pozostać tu dalej... Przepraszam... Do widzenia... Powoli poszedł ku wyjściu.

- Szczęśliwej podróży! - rzucił za nim, wśród ogólnej ciszy, Zabawa. - Tylko niech jegomoście nie zamelduje po drodze w GPU, że tu piją koniak. Po takich „materialistach” można wszystkiego się spodziewać, gdy chcą się zemścić!

Ozimow wyszedł. Wszyscy milczeli. Tylko Chichoczący Staruszek radośnie zacierał dłonie i śmiał się krótkim, bezdźwięcznym śmiechem.

Dalszy wieczór był popsuty. Wkrótce wszyscy się rozeszli.

Wystąpienie Zabawy każdy inaczej sobie tłumaczył i każdy się mylił. A Zabawa w swoim pokoju u pani Żarskiej kilka razy pociągnął wprost z flaszki koniak u i położył się spać. Gdy później, po cichu, aby nie obudzić matki, we-

<sup>118</sup> Współczującym, sympatykiem; stopień przejściowy (próbny) przed wstąpieniem do RKP

szła do jego pokoju Julka i położyła się u niego do łóżka, Zabawa śmiejąc się rzeki do niej:

i Zadałem mu bobu!..

I Komu? - szeptem zapytała dziewczyna. - Tamtemu maślanemu lalusiowi? Zabawa się zdziwił tej przenikliwości.

„Ależ ta smarkata ma węch! - pomyślał. - Trzeba uważać, aby nie mieć w niej wroga. Bo jeśli nie będzie kochanką i przyjaciółką, to natychmiast stanie się szkodliwa!”.

- Tak... lalusiowi... - powtórzył jej słowa, przypominając sobie antypatyczną twarz Ozimowa.

Tegoż wieczora, w Mińsku, wyprowadzono Jana Pieleńskiego z podwalu GPU na dziedziniec. Ustawiono go przy świecie latarni, pod murem. Naprzeciw niego stanęła sekcja żołnierzy z karabinami w rękach. Ku niemu się zbliżył komendant GPU i jakiś cywil, który rzekł:

- Jestem oskarżycielem ludowym<sup>117</sup> z Rewtrybunału.

Następnie rozwinął trzymany w ręce papier i odczytał wyrok śmierci na Jana Pieleńskiego, oskarżonego o zbrodnię szpiegostwa na rzecz państwa ościennego. Po odczytaniu wyroku komendant GPU rzekł do Pieleńskiego:

- Po raz ostatni pytam: czy chcecie wyznać prawdę o waszej organizacji? Jeśli złożycie szczere zeznania, darujemy wam życie i przyjmiemy na służbę... Nam są potrzebni zdolni, odważni ludzie, znający polski język, stosunki za granicą i metody pracy polskiego Drugiego Oddziału. Wybierajcie: albo śmierć! - wskazał ręką w kierunku sekcji egzekucyjnej - albo życie!... No?... % g Nie traćcie czasu! Strzelajcie! - odparł Pieleński.

Komendant GPU wraz z prokuratorem odszedł na bok.

Komwzód<sup>118</sup> dał krótko przygotowawczą komendę. Żołnierze ją wykonali.

- Do przestępcy przeciw sowieckiej władzy... - zabrzmiał suchy, donośny głos.

Komendant GPU krzyknął:

- Ostatni raz pytam: zgadzasz się?... No?...

Pieleński nie odpowiedział. Patrzył gdzieś ponad mury, ponad dachy, w wyskrzzone gwiazdami niebo.

Na dziedziniec wbiegł bez czapki dyżurny gepista i krzyknął: „Zaczekać!”. Podbiegł do komendanta i podał mu jakiś papier. Tamten przeczytał go i rzekł do komwzoda:

- Egzekucja odroczone! Odprowadzić aresztowanego do celi.

<sup>117</sup> Prokuratorem.

Komwzód - dowódca plutonu.

| Odstawił - skomenderował komwzwod celującym do stojącego pod murem człowieka żołnierzom.

Krasnoarmiejcy opuścili karabiny.

Cała ta procedura była sfingowana. Chodziło im o złamanie ducha Jana Pieliriskiego i wydobycie zeznań, których dotąd w żaden sposób nie mogli od niego uzyskać.

Teheran... Szach perski udekorował orderem „Iwa i słońca” słynnego ekwilibrystę, który się popisywał przed dworem swą sztuką.

Europa... Szef wywiadu wojskowego pewnego mocarstwa otrzymał odpowiedź na przedstawienie do odznaczenia orderem za waleczność i oddanie państwu usługi wybitnego agenta wywiadu zakordonowego.

Odpowiedź była lakoniczna: „Szpiegów wynagradzamy pieniędzmi”.

Smoleńsk... W „amerykance”<sup>119</sup> siedzieli w pojedynczych celach współskarżeni: Pietrow, Gruszewski, Terlecki i Stankiewicz, koledzy Zabawy, którzy wpadli na skutek zdrady jednego z najbliższych współpracowników.

Cele ich miały numery: 3... 6... 9... 12...

Chicago... W sali teatru rewiewego odbył się konkurs piękności. Na estradę wychodziły pojedynczo współzawodniczki i przy świetle reflektorów demonstrowały przed sądem konkursowym i licznie zebranymi na sali widzami swą urodę.

Miały poprzypinane do trykotów numery: 3... 6... 9... 12...

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Baranowicze, 22 lutego 1923 r.*

Opowiem pewne zajście, które mogło się skończyć dla mnie fatalnie. Przybyłem do Polski zza granicy 17 lutego. W baonie nie było wolnych koni, więc wziąłem sanki ze stójki gminnej. Chłop przyjechał na posterunek policji, gdzie czekałem na niego. Umieściłem się wygodnie w sankach; okryłem się dużym kożuchem, który chłop wziął ze sobą dla pasażerów, i ruszyliśmy w drogę.

Noc była zimna. Wokoło cisza. Sanki lekko mknęły po dobrze utartej drodze. Nie spałem poprzednio dość długo, więc ukołysany miarowym dybotaniem sanek, zasłuchany w śpiew płóz niepostrzeżenie usnąłem.

<sup>119</sup> Miejskie więzienie o systemie celkowym.

**Obudziłem się od silnego** wstrząsu sanek i obejrzałem się wokoło. Sanki ~~nie~~ były w śnieżną dal. Woźnica siedział nieruchomo przede mną. Nie mogłem poznać miejscowości.

Chłop się poruszył.

- Długo jedziemy? - zapytałem go.

- Chyba więcej niż godzinę...

- Kuczmy przejechaliśmy?

-Nie... Żadnej wioski nie było...

-Jak to, nie było?... Stój!... Zatrzymaj konia!

Uważnie obejrzałem miejscowość, której nie znałem. Z kierunku drogi, po której jechaliśmy, przekonałem się, że posuwaliśmy się przez cały czas na wschód. Zrozumiałem, że jesteśmy w Sowietach daleko za granicą.

|Zawracaj konia i syj prędko z powrotem! Zajechaliśmy do bolszewików!

Chłop, przestraszony bardzo, żywo popędzał konia, kierując sanki na zachód. Był on spod Wołny i nie znał dróg z tej strony Rakowa. Zbłądził, skręcając za Rakowem na drogę do Zasławia, zamiast jechać na wprost - do Kuczunów i przez Dubrowy do Olechnowicz.

Blisko godzinę jechaliśmy z powrotem, zanim dostrzegłem z daleka słupy graniczne. Równocześnie zobaczyłem biegnących wzdłuż granicy ludzi. Poznałem, że są to krasnoarmiejcy, którzy chcą odciąć nam odwrót do Polski.

- Pędź prędzej, bo zginiesz! - krzyknąłem do chłopca.

Ten zaczął okładać batem konia, a biedne szkapisko ostatnie siły wydobywało, pędząc naprzód. Gdy byliśmy w pobliżu granicy, krasnoarmiejcy, którzy się znajdowali w odległości 150-200 kroków od nas, zaczęli strzelać. Natychmiast odpowiedziałem im częstymi strzałami z parabellum. Wystrzeliłem do nich z posiadanych siedmiu zapasowych magazynków trzy, i krasnoarmiejcy przestali strzelać. Minęliśmy ścieżkę graniczną.

Wkrótce znalazłem drogę do Kuczunów. Pojechaliśmy dalej powoli, bo koń był zmęczony, a na pociąg i tak się spóźniłem. To zajęcie mogło mieć dla mnie przykre skutki i tylko dzięki temu, że wcześniej się obudziłem, nie naraziliśmy się niepotrzebnie na walkę, która na pewno byłaby wynikiem, gdybyśmy przyjechali w porze nocnej do Zasławia lub zostali zatrzymani w mieście albo na drodze do miasta.

Wypadek ten wywarł na mnie bardzo przykre wrażenie. Zobaczyłem, że wszędzie wokoło mnie czają się niebezpieczeństwa i są zwykle tam, skąd najmniej się ich spodziewam. Również spostrzegłem, że zaczynam się bać samotności i dnia. Będąc w Sowietach, bardzo niechętnie ukazują się we dnie w mieście i zawsze z niecierpliwością oczekują nadejścia nocy. Nerwy mam chorobliwie naprężone i jestem niezwykle podejrzliwy.

Myslałem już o tym, aby znaleźć sobie stałego towarzysza, z którym mógłbym odbywać podróże do Sowietów, bo sam, będąc w Bolszewii, nawet zasnąć się boję, aby mnie we śnie nie zaskoczono. Po tym, co się stało z Guszewskim, Pietrowem i innymi kolegami, wszędzie węszyć zdradę, niebezpieczeństwa i zasadzki. We dwóch można być pewniejszym... Gdy jeden śpi, drugi może czuwać. Na ulicy można się pilnować wzajemnie i gdy jednego „kryją”, drugi rżnie z maszyny, a w tym czasie i pierwszy może stanąć do walki. W pociągach można jechać w jednym przedziale, lecz w różnych kątach (niby nieznajomi), a w razie potrzeby nawzajem się bronić. W ten sposób można się podtrzymywać wszędzie. W lesie i w polu niczego się nie obawiam bo zawsze czuвам i mam możliwość walczyć, ale nie w mieście, w mieszkaniu pociągach, na dworcach, ulicach!... Tylko gdzie znaleźć pewnego człowieka? To bardzo trudne. Potrzebuję, żeby był śmiały, wytrwały, niewybredny, żeby dobrze znał język rosyjski i żeby miał taki charakter, abyśmy mogli żyć zgodnie. Gdzie, gdzie go znaleźć? Mam sporo znajomych na kresach wschodnich, lecz wiem, że żaden z nich na tę pracę się nie zgodzi, bo po pierwsze: bardzo niebezpieczna, po drugie: nieopłatna. Zaproponowałem tę robotę pewnemu, jak mi się zdawało, odpowiadającemu moim wymaganiom znajomemu. Odpowiedział mi:

! Lepiej kraść albo rabować, niż, tak jak ty, diabła za ogon łapać i szukać pędi na szyję!

Bywam często u Olewskich. Gramy w karty i domino, a jeśli jest Pułkownik, śpiewamy. Od nich zwykle idę do Lolki i piję. O Lizce staram się zapomnieć. Wiem, że przed wiosną niczego nie dopnę. Na wiosnę mogę zamieszkać na dłużej u pani Żarskiej, wyznaczać Lizce randki poza domem, robić wycieczki za miasto. W ogóle mam pole do żywszej akcji, a obecnie boję się, aby jej nie spłoszyć. Wiem, że potrafię ją zdobyć, tylko trzeba być cierpliwym. Dużo mi mógł zaszkodzić w rodzinie Braginów skandal z Ozimowem i Lizka na pewno wytłumaczyła sobie to zazdrością z mej strony. Ale co o tym myślą inni?

Trzeba przez dłuższy czas do nich nie chodzić. Niech wszystko trochę się zapomni.

*Brześć nad Bugiem, 26 lutego 1923 r.*

Cieszę się bardzo! Nareszcie mam pomocnika - chłopca, który najwięcej mi odpowiada i charakterem, i wiekiem, i (jak spostrzegłem) zamiłowaniem do przygód. Oczy ma szczere. Patrzy otwarcie, śmiało i jest (naturalnie) pijakiem. Spostrzegłem to zaraz na początku naszej znajomości. Nazwisko jego Kralewicz, imię Antoni.

Opowiem wam o nim obszerniej, bo przeczuwam, że ten chłopiec odegra w moim życiu większą rolę. Na moją prośbę o danie mi do pomocy czo-

wieka, chociażby w charakterze kuriera, wyznaczono mi spotkanie z pewnym gościem, które odbyło się w restauracji... Zbliżyłem się do stołu, przy którym siedział mój znajomy od „nas” i tamten facet. Przywitałem się z kolegą i zapoznałem się z nieznanym mężczyzną, wymieniając lewe nazwisko. On nie wiedział, w jakim celu przyszedłem i kto jestem.

Okazało się, że jest to były oficer gwardii cesarskiej. Ubrany był preten-sjonalnie, paluchy miał wymanicurowane, trzymał się z jakąś komiczną wyniosłością. Spoilem go i po krótkiej rozmowie stwierdziłem to, co od razu wywnioskowałem z jego zewnętrznego wyglądu: ten człowiek jest nieodpowiedni dla mnie... Ja szukam człowieka, który by i w błocie się położył, i wsty się nie bał, i głodować potrafił, i łachy wdział. W ogóle, aby był chłop do wszystkiego. A ten...

Miałem jeszcze jedno spotkanie, które się odbyło w ten sam sposób jak i poprzednie. Nie potrzebowałem nawet spajać nowego kandydata na mego współpracownika, aby mu język rozwiązać. Był już pijany i paplał nieustannie. Miał przeszło czterdzieści wiosenek. Był prawie zupełnie łysy. Przed rewolucją był aktorem rosyjskiego prowincjonalnego teatru, a po rewolucji zwił do Polski... Z miejsca zaczął się chwalić swymi zwycięstwami na polu miłosnym i opowiadać o tym nieodpartym uroku, jaki wywiera na kobiety. Zapalił się. Był to widocznie jego ulubiony temat. Po chwili na dowód swych słów wyjął portfel i pokazał nam jeden z jego przedziałów. Zobaczyłem długą, białą, ebonitową linijkę, szerokości palca, a na niej były umocowane wąskie pasemka włosów, po kilkanaście razem, pooddzielane małymi przerwami. Włosy były w różnych kolorach.

- Rozumiesz pan?... - mrugając do mnie okiem, mówił błyskając oczyma i wykrzywiając zniszczoną gumową twarz. - To są loczki... na pamiątkę, cha! cha!... mile spędzonych godzin... „Stamtąd” loczki! - zaśmiał się i zaślinił. - Każdej kochance, którą miałem dłużej i która była godna zając miejsce w mojej, cha! cha!... kolekcji, wycinałem na pamiątkę „stamtąd” loczek!... Ten, czarny jak agat... to córki hrabiny... Heleny. Ten rudy i primadonny... Słyszał pan o niej? Py-yszna samica!... A ten, prawie biały!... Są i farbowane. Nawet tam sztuka się wkradła!

Wkrótce pożegnałem go. Przypomniałem sobie, że niedawno pisałem w dzienniku, iż każdy człowiek jest zbieraczem. Oto dowód. Ten to również zbieracz, tylko dla mnie nieodpowiedni. Ja potrzebuję zbieracza przygód.

Nie miałem już nadziei znaleźć potrzebnego mi człowieka, gdy wczoraj w nocy do drzwi mego pokoju, w hotelu „Bristol”, ktoś zapukał. Było bardzo późno. Spałem już. Zdziwiony zapytałem:

- Kto tam?

- Tu mieszka pan Roman Zabawa?



-Tak.

Wpuściłem go do pokoju.

- Przyjechałem z Baranowicz, z polecenia pana... - wymienił nazwisko mego znajomego.

Dowiedziałem się, że mój gość dwa tygodnie temu powrócił z Sowieców, gdzie był aresztowany przed kilku miesiącami na dworcu w Mińsku i osadzony o szpiegostwo. Trzymano go przeszło trzy miesiące w GPU. Sprawę jego prowadził sędzia śledczy Stefan Niedbalski, Polak z Miru (miasteczko w pobliżu Stołpców), który w czasie ofensywy bolszewickiej rozstrzelał kilku Polaków: księży, oficerów i obywateli. Za te „zasługi” otrzymał posadę w Czerzwycyżce. Był to człowiek ospały, mało inteligentny, niezdolny. Jako sędzia śledczy wykazywał wielką głupotę, sprowadzając na manowce i wklejając najprostsze sprawy. On prowadził sprawę Jana Pielińskiego i wpłatał do niej kilkudziesięciu niewinnych ludzi. W ten sposób zrobił z łatwej do wykrycia sprawy niemożliwy do rozplątania kłęb poszlak, w którym łatwo się ukryli prawdziwi winowajcy. Antoni Kralewicz zeznał mu, że pochodzi z Wilna, że jest sierotą, że był bez pracy i zbiegł do Sowieców. Prosił o pozostawienie go w „wolnym państwie”, bo jest proletariuszem i chce uczciwie żyć i pracować w Sowietach. Po kilku miesiącach wywieziono go do stacji Niegoriołoje, a stamtąd na granicę. Prosił, aby go nie oddawano w ręce Polaków, którzy osadzą go w więzieniu. Przyrzeczono mu to i wyprowadzono go wieczorem na granicę. Wskazano mu kępę krzaków na polskiej stronie:

- Syp tam! Tam Polaków nie ma. Tylko nie wracaj, bo sprawimy ci łanie!..

Poszedł we wskazanym kierunku. Zza krzaków wyskoczyli, uprzedzeni z góry przez bolszewików, polscy żołnierze, którzy zrobili zasadzkę. Zatrzymali Kralewicza i poprowadzili go do jednego z wagonów, w którym była zainstalowana prowizorycznie placówka. W ten sposób powrócił do Polski.

- Teraz - rzekł - samodzielnie pracować nie mogę. Nie mam zdolność, ale chciałbym popracować wspólnie z panem. Dużo o panu słyszałem. Pan się na mnie nie zawiedzie. Mówiono mi, że pan chce znaleźć człowieka na kuriera, więc jeśli pan chce, jestem do usług.

Spostrzegłem, że nie ma papierosów, a jest pałacy. Z tej okoliczności i z jego wyglądu wywnioskowałem, że cierpi biedę. Zapytałem, czy jest głodny. Odpowiedział wymijająco. Chociaż było późno, przyniosłem flaszkę wódki i zimne przekąski. Rozochocił się. Zaczął obszernie opowiadać o sobie... Służył w ułanach u Dąbrowskiego, a po demobilizacji przez dłuższy czas był w paśmie neutralnym pomiędzy Litwą a Polską i przeżył tam wiele ciekawych przygód... Do Brześcia przyjechał bez biletu, bo nie miał pieniędzy na podróż.

- Jechałem początkowo w wagonie, a potem, gdy mnie dostrzeżono, dokończyłem podróż na dachu - rzekł Kralewicz.

Przywiózł ze sobą cztery duże, defensywne granaty. Rewolweru nie miał. Postanowiłem wziąć go na próbę, ale - zdaje mi się - będziemy długo wspólnie pracowali. Wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Opiszę pokrótce jego wygląd zewnętrzny. Wzrost 170 cm. Silnie zbudowany, lecz niekrępy. Oczy niebieskie, jasny szatyn. Jest w moim wieku. Ruchy ma powolne. Mówi spokojnie. Gdybym określając swój charakter, zaliczył siebie do grupy sangwiników, to jego zaliczyłbym (na razie) do kategorii flegmatyków. Może się myłę. Przyszłość to pokaże.

Zostawiłem go u siebie.

Jutro wyjeżdżamy do Baranowicz, a stamtąd razem na „robotę”.

*Baranowicze, 2 marca 1923 r.*

Jestem trzeci dzień w Baranowiczach. Zatrzymałem się nie u Władka, lecz w hotelu. Jeżdżę teraz wszędzie z Antonim. Wieczorem poszliśmy do Władka. Był u niego Pułkownik. Gdy Kralewicz zobaczył Pułkownika, to krzyknął:

- Serwus, moczymorda!

- Skąd go znasz? - zapytałem zdziwiony.

- Któż nie zna marszałka tutejszych pijaków?

- To mój zastępca S rzekł Pułkownik, wskazując Kralewicza. - Pije, bracie, sto razy lepiej od ciebie! Jedną tylko na świecie rzecz szanuje: wódzinię, a poza tym ani skrzyпки, ani pipki... nic kompletnie! U niego w herbie: butelka alembiku, dwa śledzie na krzyż i as karowy, a u ciebie: na tle ażurowej spódniczki dwa nagany i as kierowy.

- A u ciebie ośla głowa! - odrzekłem mu.

Czas mi teraz upływa niepostrzeżenie. Przesiaduję stale w towarzystwie Władka, Pułkownika i Antoniego. Pułkownik i Antoni zwykle zaczynają się ścierać, ale to wszystko niezłośliwe... dla „sportu”.

Teraz braknie mi czasu na czytanie książek, które zwykle kupuję w kioskach na dworcach. Wczoraj zaproponowałem Antoniemu, żeby przeczytał powieść Uptona Sinclaira *Jim Higgins*, którą dopiero co przeczytałem.

- Przeczytaj, ciekawa powieść - powiedziałem, zachęcając go do lektury.

- Nie chcę. Ja sam mam w głowie 77 powieści! - odparł Antoni.

Czytać nie lubi. Natomiast lubi bardzo śpiew i śpiewa wiele oryginalnych pieśni. Najczęściej popularną w Sowietach piosenkę *Cyplonok*

*Kurczak pieczony,  
Kurczak smażony,  
Poszedł na spacer po ulicy.  
Jego złapali,*

<sup>m</sup> Kurczak.

*Aresztowali:*

*„Pokaż dowody, my strażnicy!”.*

Pułkownik zwykle akompaniował mu na gitarze, a często śpiewali razem:

*Czy ty kadecki,  
Czy ty sowiecki?  
Czy komisarzem jesteś ty?  
Ja nie kadecki,  
Ja nie sowiecki,  
Ja obywatel z Biedoty ”.*

Odpowiadał cieniutkim głosikiem przestraszonego cyplonka Antoni.

*Bęc go w makówkę!  
Postaw litrówkę!  
Prędko, bo chcemy bardzo pić!*

Ryczał Pułkownik:

*Objedli biednego,  
Obdarli całego!  
„A teraz możesz dalej iść!”.*

Potem razem śpiewali zakończenie piosenki:

*Kurczak pieczony,  
Kurczak smażony!  
Poznał, jak rządzą bolszewicy.  
Bez mamy - kury  
Nie wyjdzie z dziury;  
Nie spaceruje po ulicy!*

Jeśli nie śpiewali, to opowiadali kawały albo się przekomarzali o jakiejś głupstwo. Antoni, na przykład, kupił sobie nową czapkę. Pułkownik natychmiast na to zareagował:

- Czapka w kratę, szalik bordo - złodziej całą mordą!  
- Tyś sam ładny! - odcinał mu się Antoni, i Nogi majak złodziej podolski: trzewik numer pięćdziesiąty. A wystroił się jak alfons z Radomia, tylko parasol do ręki, zapałkę w zęby i fruwać do Mańki Trąby w zaloty.

Pułkownik udał, że się gniewa.

-Jeśli pan jeszcze raz tak powie, to po chińsku z panem pogadam!

-A pan jeśli jeszcze raz tak powie, to... będzie dwa!

Pułkownik ma teraz dobrego kompana do picia.

Spostrzegłem w charakterze Antoniego pewne cechy: brak własnej inicjatywy i niechęć do myślenia. Może to tylko przejściowe. Przekonam się o tym w przyszłości. Pojutrze wyruszam w drogę.

*Raków, 6 marca 1923 r.*

Dziś rano przyjechaliśmy do Rakowa i zatrzymaliśmy się u państwa Gołęckich. Moje przypuszczenie, że Antoni nie lubi samodzielnie myśleć, jest prawdziwe. On o nic nie dba, o nic się nie troszczy. Na przykład ani słówkiem nie zapytał mnie o drogę do Sowietów ani o warunki pracy. To wynika nie z dyskrecji i delikatności, lecz z normalnego jego ustosunkowania się do życia. Może to i dobrze. Może swym zimnym temperamentem zrównoważy mój, często zbyt wybuchowy, a kombinować ja będę za dwóch.

Postanowiłem pójść do ojca. Tyle razy byłem w Mińsku, a nie wstąpiłem do niego ani razu. Bałem się, aby moje odwiedziny nie sprawiły staremu jakichś przykrości. Tym razem wstąpię do niego. Wyślę Tońkę (tak nazywam Antoniego Kralewicza) do mieszkania ojca. Zrobimy przedtem obserwację wokoło domu i jakoś tam będzie. Dałem Torice nagana i trzy granaty. Z tego, jak rozbiierał i czyścił rewolwer, wywnioskowałem, że bardzo lubi broń. To mi się podoba, bo dla mnie broń jest wszystkim.

Dziś wyruszamy za granicę.

Spotkałem Smółkę. Zapytał mnie, czy nie porzucę swej pracy. Mówił, że moglibyśmy w kilku chłopów rozpocząć pracę przemysłową „na całego”.

-Jeśli będziemy chodzić z bronią - rzekł Smółka - to możemy pracować na pewniaka. Można nosić kokainę. Dziesięć razy przejdziemy z towarem i możemy w Warszawie kamienice kupować. Porzuc swoją pracę, co ty z niej masz? Chodzisz, ryzykujesz sto razy więcej niż przemysłnik, a jak byłeś goły, tak jesteś!

Jemu dlatego zależy bardzo na mnie, że równorzędnie z moją pracą wiadomością mogę łatwo prowadzić przemysł na większą skalę. Ale mi się nie chce. Po co mi zbierać pieniądze, przysparzać sobie kłopotu, kiedy może już jutro kula mnie trafi? A zbierać pieniądze nie mam dla kogo.

## XV. U OJCA

*Potem obróciwszy się ujrzałem pod słońcem, iż  
bieg nie jest w mocy prędkich, a wojna w mocy  
mężnych ani żywność w mocy mądrych, ale czas  
i trafunek wszystko przynosi.*

**Ecclesiastes, 9. III 9**

Noc była zupełnie ciemna. Wściekle podmuchy wiatru wymiotły ulice miasta ze śniegu. Zabawa, stojąc przy bramie, oczekiwał powrotu Antoniego, który po dokładnym zbadaniu przez nich ulicy i dziedzińca poszedł do mieszkania jego ojca. Wkrótce posłyszał z dala przyciszony głos przyjaciela:

- Romek, chodź tu!

Zabawa wstąpił do sieni i rzekł do Antoniego:

I Pilnuj dziedzińca. Jeśli dostrzeżesz coś podejrzanego, to gwizdnij!...  
Widziałeś ojca?

- Tak.

- Co mówił?

- Niech wejdzie... Wszystko w porządku.

Zabawa po cichu odemknął drzwi i wszedł do nędznego mieszkania, w którym wszystko świadczyło o zupełnej ruinie... Było zimno, powietrze wilgotne. Ze ścian zwisały zakurzone strzępy tapet. Sprzęty były biedne i niedostateczne. Na stole skąpym płomykiem paliła się „kopciłka”. Od stołu na spotkanie Zabawy podniósł się jego ojciec. Był to wysoki, szczupły, wynędzniały od głodu, chorób i niewygód starzec. Wspierał się na kulach.

- Romek, Romek! - rzekł ze łzami w oczach ojciec, całując syna.

Zabawa był wzruszony, lecz wstydził się okazywać to. Ojciec wiedział, że wychowany bez matki jednak nie lubi „babskich sentymentów” i bał się go pieścić.

- Jakże ci się powodzi, papo?

- Dobrze, synku, dobrze...

- Widzę, że niezbyt dobrze. Jakoś tu nędznie...

- Może jesteś głodny, Romku?

Syn pomyślał, że nie wypada odmówić ojcu.

- Jeśli macie co przegryźć, to dobrze, chociaż głodny nie jestem.

Ojciec się zakłopotał. „Ot, bieda, bieda! **B** myślał staruszek. - Syn przyszedł, a ja nie mam nic, nic”...

Miał schowaną dziesięciorublową, złotą monetę, której nie wykryły liane rewizje czekistów, a której w największy głód nie wydał. Była to ostatnia kro-

i pla zdobytego wieloletnią, ciężką pracą majątku... Odemknął pośpiesznie, I jubiąc to kule, to klucze, wieko kufra i odsunął na bok jakieś nędzne lach- l many J strzępy białizny. Wyjął ze skrytki złotą monetę i upuścił ją z drżących I rak na podłogę. Zabawają podniósł i zapytał:

- Po co wam te pieniądze?

-Nic, synku, nic. Ja zaraz pójdę... Tu niedaleko, u znajomych... kupię I os do zjedzenia... Wyprawimy bał, synku...

| Po cóż to, papo? Niech te pieniądze zostaną u was nadal. O, macie! i I wyjął z portfela plik sowieckich pieniędzy. - U mnie tego śmiecia dość. Kup- j ae, co można.

Ojciec wyszedł.

Zabawa odemknął małą kuchenną szafkę, którą pamiętał z dawnych lat. I Leżało w niej na dolnej półce kilkanaście kartofli, trochę soli w blaszanym I pudełku i kawał cykorii.

-Licho żyje stary... lichu... i szeptał zasmucony Zabawa.

Wkrótce wrócił ojciec. Przyniósł bochenek razowego chleba, marnej kiel- I basy, trochę cukru i herbaty... Luksus od dawna nieznan.

- Papo, czy ciebie nie śledzą?

-Nie, synku, nie śledzą. Kiedyś chodzili tu jacyś... Wąchali... Wypytywa- j li o ciebie... Zrobili kilka rewizji i zaprzestali.

„Wiedzą skądś, że u ojca nie bywam” - pomyślał Zabawa i zapytał:

- Kiedy to było?

-We wrześniu i październiku... A kto to, Romku, przychodził do miesz- I kania?

- Kolega mój. Został na dziedzincu.

- Czemuż on nie idzie tu? Wołaj go!

Zabawa zawołał Antoniego do środka. Koledzy zawiesili szczelnie okna j i zaczęli pomagać staremu robić herbatę. Jemu robota nie szła, bo co chwi- I la przerywał pracę, aby się przyjrzeć synowi. Roman i Antoni wyjęli z kieszeni I cztery flaszki spirytusu, które syn przyniósł dla ojca z Polski. Rozcieńczyli jed- I ną flaszkę. Wypili. Staruszek trochę poweselał i pod wpływem alkoholu, I chcą dogodzić synowi, nieudolnie żartował. Zabawa postanowił przenoco- wać u ojca, a rano pójść do pani Jadwigi. Ojciec ucieszył się tym bardzo.

Wkrótce Antoni ulokował się do snu na piecu, zawieszonym od pokoju j jakiś dużą, kolorową szmatą. A ojciec i syn długo jeszcze siedzieli przy stole. Roman opowiedział ojcu o tym, jak żył od czasu ich rozstania.

Żal niezmierny ogarnął serce staruszka. Kilka razy otarł nieznacznie łzy.

„Czyja na to go wychowałem... Za co taka kara na mnie” - myślał starzec.

Po dłuższej rozmowie z ojcem Roman ułożył się do snu. Ojciec urządził mu pościel na kuftrze, dając pod głowę jedyną swoją poduszkę. Nastawał, aby

syn *położył* się spad na jego łóżku, lecz Roman stanowczo na to się nie zgodził, natomiast, aby nie robić staremu przykrości, wziął jego poduszkę, ~~ość~~ nią „luksusową” rzecz w mieszkaniu, która w lata głodu nie została wymieniona na chleb lub kartofle. Roman spał w ubraniu, nawet butów z nóg nie zdjął.

Ojciec zaczął, aż syn zaśnie, a wtedy podniósł się z łóżka i usiadł przy nim. Patrzył na drogą mu, mizerną twarz syna i łkał w duszy.

„Romku, Romku! po coś tak zmarnował swe życie? Po co ci to? Czy nie można żyć inaczej, mądrzej?”. Patrzył w jego twarz i chciał całą swą ~~ość~~ i doświadczenie przelać w niego, jako jedyny spadek. Patrzył na jego ~~ość~~ i myślał: „Cóż tam się dzieje w tym biednym mózgu chłopca, co go pcha na manowce, w pazury śmierci, na zły nędzny los? Cóż tam jest takiego, co mu przeszkadza żyć tak jak inni: dla siebie samego... cicho, spokojnie, i ~~ość~~ zadowlić się zwykłym ludzkim szczęściem?”.

Wpijał się oczami w tę drogą mu głowę; starał się znaleźć tę wrogą siłę, wyrwać ją z mózgu syna, odrzucić precz, jak złą, podstępą gadzinę. Skupiał w sobie całą siłę ofiarnej, ojcowskiej miłości, zmywał nią w myśli mózg syna, oczyszczał go ze złych, obcych mu myśli, narzuconych przez świat, życie, ludzi... Natchniony swym uczuciem, wdierał się do najgłębszych komórek jego mózgu, odświeżał je, uszlachetniał, a wszystko złe spalał w ogniu swej miłości.

Roman poruszył głowę. Ojciec, przestraszony, osłonił dłonią ~~ość~~ płomyk „kopcilki”. Staruszek pochylił się nad synem i kilka razy go ~~ość~~ przeżegnał, a potem poruszał ręką koło jego głowy... niby błogosławiąc, a może sugerując coś synowi. Natchniony, aż do utraty zdrowego rozsądku, swą ~~ość~~ miłością, gotów był z chrześcijanina obrócić się w poganina, zaklinacza złych sił i ~~ość~~ duchów...

Poił oczy widokiem syna. Korzystał z ostatnich błysków lampki, bo ~~ość~~ terpentyna w „kopcilce” się dopalała, a nie miał jej więcej.

Wkrótce płomyk lampki zasyczał, drgnął, po raz ostatni oświecił ~~ość~~ wymiarowaną twarz syna i mokre od łez policzki ojca, a potem zgasł. Ciemność ~~ość~~ zupełna zaległa mieszkanie. Staruszek poodślaniał okna i usiadł przy postaniu syna. Postanowił tej nocy nie spać... I czy mógłby zasnąć, czując, może po raz ~~ość~~ ostatni w życiu, bijące w pobliżu to najdroższe mu na świecie serce. Był tej nocy stróżem jego bezpieczeństwa. Stróżem, którego nikt by przekupić nie zdołał.

Siedział w ciemności, dźwigając na zbołałych barkach olbrzymi ciężar ~~ość~~ bólu i rozpaczy, szarpiących mu nerwy, serce, mózg... Życie jest straszne i ~~ość~~ nielitościwe dla dobrych i biednych ludzi... Sekundy pędziły nieustannie... zimne... obojętne... licząc tętna serc... licząc westchnienia miłosne, ~~ość~~ westchnienia cierpiących i westchnienia konających...

Gdy koledzy jedli nędzną kolację u ojca Zabawy, w pierwszym podвале gpU w Mińsku Jan Pielniński cierpiał męczarnie głodowe. Trzeci dzień nie jadł, chcąc się zamorzyć głodem... Za karę zabrano mu tapczan. Leżał na brudnej podłodze i miał wizje gór tłuszczu, jarzyn, mięsa, owoców. Noz-dza jego drażnił wymaginowany zapach świeżo upieczonego chleba...

## DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Wilno, 15 marca 1923 r.*

Taki nawał spraw, że podołać wszystkiemu nie mogę. Mózg mam zajęty mnóstwem drobnych szczegółów, które z osobna nie mają wielkiego znaczenia, lecz mogą poważnie wpłynąć na ogólny tok mego życia i pracy. Wszystko trzeba przewidzieć, wszystko na czas zrobić. Najmniejsze zaniedbanie może spowodować poważne skutki. W głowie mam wir utworzony z olbrzymiej ilości nazw, imion, dat, cyfr... Pamięć moją mogę przyrównać do olbrzymiego stołu, zawalonego stosem świstków papieru i dokumentów. Trzeba z tego stołu korzystać, a nie można nic zrzucić, poplątać. Trzeba w razie potrzeby natychmiast wszystko znaleźć, a to kosztuje sporo nerwów, energii i wysiłku.

Dobrze Antoniemu. On o nic nie dba. Pije, śpiewa i stara się bawić mnie swymi dowcipami. Żyje jak ptak: jednym dniem, jedną chwilą i jak ptak jest wesoły. Ja zaś czuję się teraz podwójnie odpowiedzialny i muszę myśleć za nas obu. A jest o czym myśleć. Praca się rozrosła. Mam nawet zamiar ją zredukować. Nie mam sił... Zaczynam się nudzić. A siły to przede wszystkim: zainteresowanie.

Wczoraj byłem w „Lutni”. Poszedłem pijany, pozostawiając Antoniego w „Warszawiance”, gdzie pił z pewnym moim znajomym z pogranicza. Kupiłem bilet na pierwsze miejsca, chociaż nie byłem odpowiednio do teatru ubrany... Wysokie buty, watowana kurtka, granatowe spodnie, biała, karakułowa czapka rosyjskiego wojskowego fasonu... Na ulicy w Wilnie, gdzie publiczność bardzo jest niejednolita, nie zwracałem tym strojem na siebie uwagi, lecz w teatrze, wśród ubranej po europejsku publiczności, wyróżniałem się bardzo... Wszedłem na salę nie na długo przed rozpoczęciem operetki. Bileterka wskazała mi miejsce i wręczyła program. Hojnie jej zapłaciłem. Rozejrzałem się wśród publiczności, która zwróciła na mnie uwagę... Siedziałem po lewej stronie sali. Z prawej strony dostrzegłem w krzesłach S. i 4. rzędu jakieś towarzystwo, widocznie bliskich znajomych lub krewnych. Ozywieńni rozmawiali i szczególnie natarczywie oglądali mnie. Miałem chęć pokazać im język, aby nie byli natrętni. W pewnej chwili zobaczyłem wśród nich znaną mi skądś twarz dziewczyny. „Skąd ja ją znam? gdzie ją widziałem?” - myślałem, wyciągając pamięć.

Kurtyna się podniosła i rozpoczął się pierwszy akt operetki. Przed oczami moimi wciąż stała główka dziewczęcia, uwieńczona ognistą falą włosów mie-



dzianego koloru. Nagle odnowił się w mej pamięci taki obraz: pokój w Mińsku, a w nim dwóch mężczyzn, lekarz i porucznik, oraz ona. A potem: droga z Mińska do Rakowa... Tak. To córka lekarza, Hela... Po pierwszym akcie wstałem i wyszedłem do foyer, odprowadzany spojrzeniami otaczającej Helę młodzieży. Ukłoniłem się jej; odpowiedziała mi ruchem głowy i wdzięcznym uśmiechem. Z foyer na salę nie wróciłem... Nie wiem, dlaczego. Tam pomyślałem, że zbiegłem. Poszedłem do Antoniego, który nadal pił w „Warszawiance”.

Byłem u Karola Kraski. Robi wszelkie starania, aby przyspieszyć przyjazd do Polski żony i córki, lecz na razie nic nie może wskórać. Zobaczymy, jak sprawa pójdzie dalej: jeśli nie można będzie nic załatwić legalnie, to przeprowadzę je przez „zieloną granicę”.

Teraz często wspominam córkę doktora, którą widziałem w teatrze. Zadowolony jestem, że dopomogłem jej wydostać się z tamtego „raju”. Jakbym ptaka wypuścił z ciemnej, ciasnej, brudnej klatki na wolność, na powietrze, ku słońcu i kwiatom. Widziałem, jak ślicznie wygląda w modnej sukni, pięknie uczesana, w gronie rozbawionej młodzieży. Nie wiem: dlaczego uciekłem wtedy?... Mógłbym w foyer podejść i pomówić z nią, dowiedzieć się, jak jej się powodzi w kraju.

Dziś prawie cały dzień spędziłem na robieniu zakupów potrzebnych mi za granicą rzeczy. W drodze się wybiorę jutro w nocy, pociągiem do Mołdeczna-Olechnowicz. Antoni jedzie ze mną.

W Baranowiczach byliśmy krótko. Wstąpiłem do Olewskich i dałem im mnóstwo sowieckich ilustrowanych pism. Prosiły mnie, abym przychodził do nich częściej, lecz nie mogłem z zaproszenia skorzystać.

Dowiedziałem się radosnej nowiny... W najbliższym czasie odbędzie się wymiana więźniów politycznych pomiędzy Polską a Sowdępią. Wróci Jan Piełiński. Ileż ten biedak przecierpiał w Czerezwyczejce! Z niecierpliwością oczekuję jego powrotu.

*Raków, 20 marca 1923 r.*

Jakiś pech nas prześladowe! Może to Antoni nie ma szczęścia? Nie mogę zrozumieć, co się dzieje? Przedwczoraj wyruszyliśmy w drogę. Pogoda sprzyjała nam. Śniegu prawie nie było. Drogi i pola leżały czarne i tylko gdzieś po lasach były rozrzucone brudne smugi śniegu, topniejące coraz bardziej. Ledwo zdołaliśmy się przedostać przez graniczną rzeczułkę, która szeroko się rozlała. Przed „drugą linią”, koło mostu, natknęliśmy się na zasadzkę. Nie wiem, dlaczego było tam skupionych dużo żołnierzy: może kilkadziesiąt naraz. Mieli ze sobą psy. Zacząłem strzelać w ich kierunku i rzuciłem granat. Następnie skierowaliśmy się w prawo, chcąc obejść zagadzających nam drogę żołnierzy, lecz oni stale deptali nam po piętach, pro-

j wadzeni przez psy. Chciałem je zabić, lecz nie zbliżyły się do nas, a w ciemności nie było widać, gdzie są, chociaż kręciły się ciągle w pobliżu.

Żołnierze otoczyli nas półkolem, starając się odciąć nam drogę do granicy. Nieustannie parli nas naprzód ku „drugiej linii”. Gdy to spostrzegłem, rzuciłem w pewnym miejscu (w którym domyślałem się obecności krasnoarmiejców) dwa granaty i przedarliśmy się poza łańcuch niewidzialnej w ciemności tyralierki. Psy znowu biegły za nami. Z rzadka padały strzały... Widocznie bali się strzelać wszyscy, aby nie pozabijać się wzajemnie...

Ledwo zdołaliśmy przebyć granicę przed ich nadejściem. Zresztą nie ścigali nas tak uparcie jak z początku. Szli „z obowiązku”.

Trudny to odcinek.

Na drugi dzień wyruszyliśmy bardzo wcześnie w drogę. Jak tylko zapadł zmierzch, przekroczyliśmy granicę, a po godzinie przebyliśmy rzeczulkę w wąwozie, która dziś była płytsza i nie tak bystra jak wczoraj... Woda opadała.

Szczęśliwie dotarliśmy do „drugiej linii” i zobaczyliśmy przed sobą wylaniającą się z mroku szeroko rozlaną burzliwą rzekę. O przepłynięciu jej nie można było nawet myśleć, zwłaszcza że Antoni nie umie pływać. Gniewa mnie to, ale nie ma rady. Trzeba było zbudować mocną tratwę. Zaczęliśmy znosić z pobliskiego lasu kłody, chrust, szczapy, olbrzymie kawały jodłowej kory, w ogóle wszystko, co tylko mogło się potem przydać. Gdy materiału było sporo, zaczęliśmy kleić tratwę tuż nad brzegiem rzeki. Chcieliśmy umieścić na tratwie towar i ubranie; Antoni trzymałby się jej, a ja przeholowałbym ją na drugi brzeg... W czasie naszej roboty posłyszałem w pobliskich krzakach podejrzany szmer. Przygotowałem broń... W tym momencie błysnęły dwie latarki i rozległ się donośny głos:

- Towarzysze, naprzód!

Zacząłem strzelać w tym kierunku z parabellum. W odpowiedzi padło kilka strzałów karabinowych... Z lewej strony była gęstwina krzaków. Krzyknąłem do Antoniego: „Granaty!”. Podał mi dwa odbezpieczone. Rzuciłem je... Jeden do tamtych krzaków, drugi trochę dalej. Przykucnęliśmy. Gdy granaty wybuchły, pobiegliśmy ku krzakom. Spotkałem na swej drodze człowieka. Odróżniłem jego twarz tuż przy swojej twarzy. Coś krzyknął... Jednocześnie wystrzeliłem dwa razy z parabellum w jego pierś, której dotknąłem łufą. Ktoś biegł ku mnie z boku. Wystrzeliłem do niego. Antoni dognał mnie...

Wyrwaliśmy się z koła oblawy. Musieliśmy wracać pośpiesznie. Za nami grzmiały strzały. Rozległy się wściekłością i strachem nabrzmiałe głosy, krzyki i przekleństwa...

- Towarzysze, naprzód!

- Brać ich!...

Szliśmy pośpiesznie ku granicy, nie odpowiadając na ich strzały, żeby nie wiedzieli, gdzie jesteśmy, i nie mogli skupić sił.

Na granicy znowu zaczęto nas ostrzeliwać, gdy przechodziliśmy w bród rzeczulkę i plusnęliśmy wodą, czego w nocy i w pośpiechu trudno było uniknąć. W ciemności nie mogli nas trafić, tylko Antoniemu kula przebiła brzeg czapki...

Gdy, oczekując wodą, wybrnęliśmy z wąwozu, stanąłem na jego stromym brzegu i rzuciłem w kierunku ogni błyskających w ciemności z luf karabinowych jeden za drugim cztery granaty... Las zadygotał od wybuchów. Jeden granat, który wpadł do rzeczulki, wyrzucił na jej brzegi słup wody, błota i kamieni. Strzały ucichły. Nikt się nie odezwał. Echo wybuchów burzą przeważyło się po lesie i zamarło w oddali. Dopiero gdy wyszliśmy na granicę, zatrzaśkały karabiny i długo słyszeliśmy za sobą pośpieszną, bezładną strzelaninę, która nie mogła już nam zaszkodzić. Dobrze, że nie rozłączyliśmy się, bo Antoni nie zna okolicy i mógłby błądzić.

Wróciliśmy. Iść za granicę nie mogłem. Nie miałem z czym, bo cały towar został na tratwie na „drugiej linii”, a pieniędzy miałem bardzo mało. Postanowiłem natychmiast wracać.

Antoni mocno się przeziębził. Przyniosłem dla niego z miasteczka aspiryny i flaszkę spirytusu do nacierania. Aspirynę połknął, spirytus też, a natarł się flaszką.

Po raz pierwszy wracam tak niefortunnie zza granicy. Innym kolegom to się zdarza często. Zdarza się, że nawet udają aresztowanie ich za granicą i ucieczkę, aby w ten sposób upozorować stratę pieniędzy.

Szukałem Smółki, lecz nie znalazłem go. Pewnie jest gdzieś na robocie. Może za granicą.

Zle nam poszło... Złe... A może bolszewicy byli dobrze poinformowani? Tylko przez kogo?

Jestem przekonany, że u nas nie uwierzą w to, iż rzeczywiście nie mogłem się przedrzeć za granicę. Pomyślą, że wdałem się w jakąś awanturę z bolszewikami na pograniczu i oberwałem po uszach.

Ze zmartwienia piję i piję. Antoniemu bardzo się to podoba.

§ § §

*Brześć nad Bugiem, 23 marca 1923 r.*

Miałem dużo przykrości. U nas myślą (przypuszczałem to), że sprawia mi przyjemność narażać się na walkę i że ja prowokuję do niej bolszewików. Posłyszałem słowa, które dla mnie były bardzo przykre:

- Nam potrzebna nie wojna, lecz robota!..

Widząc że to mnie bardzo dotknęło, szef złagodził naganę. Podnieśli ambicję, a potem:

- Pan musi znaleźć inny odcinek. Tamten zbyt niebezpieczny. Damy panu przewodnika... To pewny człowiek... Służył kiedyś w Piotrogradzie za policjanta, a potem walczył w partyzance przeciw bolszewikom. Przez pewien czas był agentem naszego wywiadu, potem się zdekonspirował... Zna doskonale Polesie. Ma wielu krewnych i znajomych na sowieckiej Białorusi. Da panu nową drogę...

Wskazał mi palcem na dużej ściennej mapie drogę przez pińskie bagna: od Łunińca na wschód, w kierunku Bobrujska, przez największe bagna Europy i jedno z największych na świecie.

- Tak, to pewna droga. Najpewniejsza. Tylko jedno (uprzedzam): nie może być własnych widzimisię: niewygodnie, mokro, za daleko!... Zdać się na niego. On wyprowadzi. To jest pewny i doświadczony człowiek... Poznacie drogę i sami będziecie chodzić.

Nazajutrz wraz z Antonim przyszedłem na spotkanie z przewodnikiem, którego pod eskortą (niby aresztowanego) sprowadzono z Łunińca do Brześcia. Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu siedmiu, średniego wzrostu, szczupły, włosy miał prawie zupełnie siwe. Miał pociągłą twarz o jakimś drapieżnym wyrazie i zimne, zaczepne, szydercze oczy. Gdy zapoznano nas, po kilku moich rzeczowych pytaniach rzekł:

- Z tym człowiekiem pójdę wszędzie!.. Z tamtym, co poprzednio mi proponowano, nie chciałem, a z tym pójdę... Zgadzam się...

Dziwię się, że Antoni od razu poczuł do niego wielką antypatię. Inaczej go nie nazywa jak „dziad”. Powiedział: „To chy-try dziadyga! Oj chytry! Zobaczymy! Coś w nim nie tak!”. Poza tym w nic się nie wtrącał. Pił, śpiewał i żartował, jak zwykle... Podchodził do Dziada, popychał go łokciem w bok i przyśpiewywał:

*Fuzja w kieszeni,  
Bokser na ramieniu,  
A kto chce się bici,  
Kom sie her do mieni.*

- Idź smyku, bo ci powiem!... - warczał Dziad.

- No, no: powiedz: Ja, jak ci powiem, to w pięty pójdzie! Widzisz go: szpagata podrzynał. Nie odezwiw się do niego!

Są na wojennej stopie, często się sprzecykają o różne głupstwa, a nawet się kłócą, lecz godzą ich natychmiast i pijemy razem.

Dzisiaj wyjeżdżamy ku granicy. Dadzą odprowadzającego (niankę). Porządnym człowiekiem! Mój dobry przyjaciel. No i paczka się zebrała!

## XVI. KOMISARZ GŁADKOW

*Po ulicy chodziła  
Wielka krokodyła  
I cała ona  
Była zielona!*  
**(Przyśpiewka do marszu)**

- Co, nie chce wsiąść? - zapyta! Zabawa.
- Pijany, cholera! Wszystko przepił! Bilet dla niego kupiłem.
- Bierz Dziada za łeb i do wagonu! Zabawa podszedł do przewodnika i biorąc go za kołnierz powiedział:  
- No, włącz!... Bo wsadzę. Żywo!

Przewodnik wszedł do wagonu, nie gniewając się wcale, chociaż poprzednio nie chciał za nic jechać. Zabawa złapał na sobie zły błysk jego oczu.

Jechali w dwóch przedziałach trzeciej klasy. W jednym, większym, siedzieli wśród innej publiczności Antoni i Kuczyński (nazwisko przewodnika - Dziada). Zabawa wyprosił (niezbyt grzecznie) z sąsiedniego, małego przedziału, o jednej tylko ławce, jakichś trzech Żydów i położył się do snu. Pod głową umieścił paczkę, w której było pięć flaszek spirytusu.

„Tamtych opojom nie można dać na przechowanie, bo się pochleją” - myślał Zabawa. Był pijany, bo na pożegnanie urządzili bibkę, która trwała prawie cały dzień... Zasnął...

W sąsiednim przedziale wkrótce rozpoczęła się awantura. Antoni zaczął kłótnię z Kuczyńskim. Potem zaczęli plutonowego, który jechał do Nieświeża, gdzie służył w straży granicznej. Jego stronę wzięli obecni w przedziale żołnierze. Doszłoby może do strzelaniny, lecz Antoni i Kuczyński nie mieli broni, bo ją wiozł w walizce odprowadzający (jechał w tymże wagonie, lecz w innym przedziale). W czasie kłótni Antoni wyjął z kieszeni duży, francuski granat (jedyną pozostałą mu broń).

- Uważajcie! - krzyknął. - Jeśli który się poruszy, wszystkich w powietrze wysadzę! Kłasek karabiny - rozkazał.

Złożono broń. Przez pewien czas wszyscy siedzieli spokojnie, a potem plutonowy wyszedł do sąsiedniego przedziału. Poszedł uprzedzić eskortujących pociąg policjantów, że w wagonie jadą „bandyci”. Wskazał przedziały, w których jechali Antoni, Kuczyński i Zabawa.

Zabawa obudził się i patrzył w otwarte z boku drzwi przedziału, z których skierowane były ku niemu lufy karabinów.

- Wychodzić z wagonu! - rozległ się z peronu głos.

**Zabawa nie odpowiedział; nie poruszył się nawet. Leżał z założonymi pod głowę rękami.**

- Wychodź, no!

- Mam bilet i pieszo chodzić nie chcę!

- Wynieść go! — rzucił ktoś z boku.

Do przedziału wdrapało się kilka czarnych postaci. Zaczęli wynosić z wagonu Zabawę. Gdy znaleźli się wraz z nim na peronie, Roman wywinął się im z rąk i rozpoczął bójkę, walcząc sam z otaczającymi go ludźmi, którzy kolbami karabinów starali się obalić go na peron. Wokoło nich zebrał się tłum gapiów.

Po pewnym czasie przecisnął się naprzód odprowadzający i zbliżył się do komendanta ochrony pociągu, starszego przodownika. Pokazał mu dowód służbowy i coś mówił, wskazując na Zabawę. Przodownik rzucił się naprzód, chcąc wstrzymać policjantów. W tymże momencie Zabawa przedarł się pomiędzy otaczającymi go ludźmi, ześlizgnął się pod wagon i ucpeił rękami i nogami koła wozu. Posterunkowi zaczęli go odrywać. Trwało to długo. Gdy nareszcie wyciągnięto go na peron, ubranie miał na sobie podarte. Szczególnie ucierpiał skórzane spodnie, które w strzępach zwisały nad butami. Zabawa znów rozpoczął bójkę. Z trudnością zdołano uspokoić chłopca, który cały dygotał ze złości. Gdyby miał przy sobie broń, to doszłoby na pewno do rozlewu krwi. Nie wiedział, o co chodzi policji, i zaczepienie go bez podstawy uważał za zniewagę i gwałt.

Umieścili się wszyscy w jednym przedziale. Odprowadzający, plutonowy ze straży granicznej, przodownik policji, dwaj posterunkowi i dwaj żołnierze jechali razem, niby honorowa eskorta Zabawy, Kralewicza i Kuczyńskiego. Przodownik próbował rozpocząć rozmowę z Zabawą, lecz ten nie odpowiadał. Po pewnym czasie Kuczyński zwrócił się do Zabawy:

- Może wypijemy? Zimno...

- Dobrze... i mnie zimno - odparł Zabawa. Antoni wyjął z paczki dwie flaszki spirytusu, a na pewnej stacji skoczył po wodę, lecz zamiast zwykłej wody przyniósł kilka butelek piwa.

- Piwem rozeicieczymy spirytus, bo wody nie ma - powiedział Antoni, wybijając dłonią korki z flaszek.

Jeden z policjantów przyniósł skądś litrowy kubek. Zabawa nalał prawie połowę kubka spirytusu i dopełnił go piwem.

- Pij! - rzekł, podając kubek Kuczyńskiemu.

- Pij sam! - odparł tamten.

Zabawa z odrazą pił wstrętną, ciepłą ciecz, która nie szła mu do gardła i ściekała po brodzie na piersi. Łykał ohydny płyn... łykał, dopóki nie wypróżnił wszystkiego. Trzasnął kubkiem o podłogę i po rosyjsku zwrócił się do przodownika:

-Wiesz, haku, kto ja jestem?

- Proszę?...

-Jestem komisarz, Iwan Gładkow! Komisarz kijowsko-charkowskiego węzła kolejowego! Rozumiesz? A ty jesteś...!

Zaczął szpetnie przeklinać, z niezwykłą wyrazistością wymawiając brutalne, rosyjskie wyrazy. Nagle wstał i wyjmując ze wszystkich kieszeni pieniądze i dokumenty, rzucał je na podłogę wagonu i deptał nogami. Kuczyński pośpiesznie zbierał to wszystko do czapki.

- Towarzyszu! Towarzyszu! Uspokójcie się! - mitygował Zabawę plutonowy. -Jesteście komisarzem i komunistą, więc nie wypada wam kłać!

Zabawa usiadł na ławce i zamilkł. Patrzył uporczywie dziko śniącymi oczami w nieistniejącą dal... Przodownik i policjanci opuścili przedział, aby nie denerwować pijanego. Antoni, Kuczyński i plutonowy pili spirytus. Pili umiarkowanie i nie rozcieńczali piwem, bo wódka lub spirytus dolane piwem szczególnie mocno oszołamiają organizm. Odprowadzający poszedł do następnego przedziału, nie chcąc brać udziału w pijatyce.

Pociąg mknął na północo-wschód. Za oknem, na czarnym de nocy fruwały miliardy złotych, gorących skier. Oczy Zabawy, utkwione w te skry, robiły się coraz bardziej błędne...

„To maj... Chrabąszcze lecą na słońce!... Dziwne chrabąszcze!... Złote... Dlaczego?... Złote i z rogami...”.

Plutonowy, pijany zupełnie, zaczął strzelać, przeszywając kulami dach i ściany wagonu. W głowie Zabawy wirowały niesforne myśli. Powstawały niezwykłe wizje.

„To armaty biją... Rzeka wali... rwie!... rwie!... Chodź no, piesku... py-siu włochaty... Kto to powiedział?... Kto-o-o? U... ścierwo!... A... serwus komisarzu! Hop! ha! Tańcz no! Stój! Cha-cha-cha!... Zgubiłeś mandat?...Ja-ki żal... To druty... druty?... Skąd druty? I dlaczego?... dru-uty-y-y, ileż ich... ile?... O, jak tnie!”.

Antoni wrzeszczał przyśpiew, który Julka często nuciła:

*Po... u-licy chodziła*

*Wie-elka krokodila*

*I carła ona...*

*By-yla zie-lo-na!*

Plutonowy strzelał... Kuczyński w takt piosenki walił buciorami w podłogę i głośno gwizdał na palcach... Dudniły koła wozu...

Symfonia!...

\* # #

-Co?... Kto-o to?... Co chcesz, świński ryju?...

-Romku, chodź! Przyjechaliśmy!... No, chodź!...

Lśniące pudło dworca. Wyśliniony deszczem na szkło peron, a po nim, jak po lustrze, komicznie ruszają łapkami ludzie. Lampy elektryczne świecą podwójnie: leją promienie z góry i mżą odbite w mokrej powierzchni asfaltu.

-Ja nie pójde... Tam oni czekają... Ja wiem... A gdzie maszyna?... L, dlaczego ja w spódnicy? Co-o-o?...

-Romek, chodź!... Ludzie patrzą!... Chodź na dworzec... kupię papierosów...

Antoni z wysiłkiem prowadził kolegę, który koniecznie chciał iść w przeciwną stronę.

Lśnia światła latarń elektrycznych. Podwójnie, poczwórnje lśnią.

Wir dźwięków. Wir ludzi...

Dzwonią łańcuchy; dudnią kroki...

I krzyki, i gwizdki... I krzyki, i dzwonki...

„Gdzie kasa towarowa?... Przepraszam... Proszę uważać!... Andziu, prędeży, pociąg odchodzi!... Cze-kolada! Pa-pie-rosy! Po-marańcze!”.

Chaos ruchu...

- Chodź, Romku!

Drzwi żarłocznie łykają skłębionych w nich ludzi.

Sale pierwszej i drugiej klasy... Publiczność do trzech pociągów...

Gazety, bilety, stoliki, talerze, kapelusze, cywile, ostrogi... Ulewa światła, fale ludzi, zamęt głosów... Kufle piwa na emalii i złocie zębów... Kłęby dymu w powietrzu... Lśniący niklem olbrzymi bok zakatarzonego samowara... A nad tym wszystkim urzędowy ryk człowieka z mosiężnymi guzami:

- Do Li-dy... Wi-ilna-a-a-a...

- Chodź, Romek!

Kiosk „Ruchu”. Antoni odchodzi. Z dala płynie jego głos:

-Pani pozwoli... dwa pudełka... tak, „Delice”... A z tyłu w skórę ubrany człowiek. Chwieje się na nogach. Podarte spodnie wiszą w strzępach wokoło butów. Bezczelnie biją w oczy trykotowe kalesony, zakłócając niebieskim kolorem porządek publiczny... Obok wyrósł człowiek w mundurze... Zrobił okrągłe oczy. Chrząknął... Głos przepisowy:

- ...pozwoli... dowód...

Oczy wyczekujące. Ręce chwytkie. W twarzy gotowość. Wznosi się pięść. Krótkie uderzenie... Człowiek runął na podłogę i razem runął na salę krótki, syczący wyraz:

- Masz!

Antoni chwycił za róg skórzanej kurtki.

- Cóż ty robisz? Chodź stąd prędeży!



A wokoło cisną się już bez porządku ludzie chciwi porządku. Zrobili koło. Ściągają koło. Chcą zdusić... Leżą w oczy... Otworzyli gęby i ryczą: a-a-a. Chcą pochwycić, usidlić...

Antoni się cofnął.

- Nie dam!!

Błysnęło w powietrzu lśniące ciało granatu. Zaśmiało się ludziom w oczy... przeraźliwie... wściekle...

A tu jeszcze głos... ostry jak gwizd lokomotywy, jak bite szkło, jak cięcie brzytwą:

I Sto... dwadzieścia... jeden...

Lśni przeraźliwie w powietrzu metalowa kula. Chwieje się w prawo i w lewo.

- Sto... dwadzieścia... dwa...

- ...aaaaa...

Huragan wpadł na salę. Zmiótł całą do trzech drzwi i wyparł drgające kłęby ciał z olbrzymiego, kamiennego pudła. A tam nadał wirowała w powietrzu lśniaca kula granatu. Zabawa wyciągał ku niej ręce, lecz wymykała mu się... Zniknęła wraz z Antonim.

Zabawa się położył na chwiejącej się, jak pokład okrętu w czas burzy, posadzce...

- ...Cha-cha-cha!... Tak, ta-tak!...

A skądś lecą postrzępione, bezsensowne słowa:

*Po... u-licy chodziła*

*Wie-elka krokodila*

*I carła ona...*

*By-yla zie-Unna!*

Kto to śpiewa - Julka czy Antoni?

- ...Tram-tara, tara, ditam...

„Stój! stój! Ej, ty, czerwona morda!... Chodź no, piesku!... Jak kasko-cze!... Cha-cha-cha!... Masz taki ciepły jęzor i... jedno oko... A drugie ci wybili... Oj, piesiu, boli mnie... To morze! Fala bije!... Baa-czność! Ja Gładkow! Komisarz Gładkow!... O! o! o! o!...”.

Gdy pociąg wiozący Zabawę i współtowarzyszy pędził z Brześcia nad Bugiem na północo-wschód, w kierunku Baranowicz, inny pociąg pędził z Mirska Litewskiego na zachód, w kierunku granicy. Jechał w nim Jan Pielniński w liczbie dwudziestu pięciu innych więźniów, których rząd polski wymienił na Dąbala i dwudziestu czterech innych więźniów bolszewickich.

Smoleńsk... Wyrokiem Rewolucyjnego Trybunału skazano na karę śmierci: Gruszewskiego, Piętrowa, Terleckiego i Stankiewicza. Siedzieli nadal w „Amerykance”.

#### DZIENNIK ROMANA ZABAWY

*Baranouiicze, 26 marca 1923 r.*

Straszna awantura! Tak nabroiłem, że coś okropnego! Nie, tak dalej nie może być! Muszę się wziąć za łeb i trzymać porządek. Ostatni raz!

Dziad narobił świństw. Ja w ogóle nic nie pamiętałem, ale on!... Widzę, że to chytry, a do tego chciwy lis. Muszę na niego uważać.

W nocy Tońka przedostał się z dworca do miasta i przywiódł od nas ludzi, aby mnie zabrali. Ledwo zdołali mnie zwolnić, bo policja myślała, diabli wiedzą co! Naturalnie, będzie sprawa... Jeszcze więcej zaszkodziłem sobie tym, że na pożegnanie zrobiłem znowu awanturę, w której ucierpiał przodownik policji. Oprzytomniałem dopiero dzisiaj rano, po przespaniu się.

Dziad przyszedł późno... Zbierał w wagonie - gdy jechaliśmy z Brześcia - pieniądze i dokumenty, które rozrzuciłem po podłodze i zatrzymał je przy sobie. Gdy zobaczyłem go, powiedziałem:

- Dawaj forszę i dokumenty!

Podał mi kilkaset marek.

- A gdzie listy, dokumenty, pieniądze?

Zrobił kwaśną minę.

- Skradli mi... Nie wiem, gdzie... Byłem pijany...

Podsoczyłem ku niemu i chwyciłem go za gardło.

- Mów, Dziadu, prawdę!... Mów!

- Prawda przecież... Jak nie wierzycie, to trudno!...

- No, to pamiętaj! Ja z tobą się załatwię... tam... Za granicą!...

- Co wy chcecie ode mnie?... Szukajcie!...

Rewizja naturalnie nic nie wykryła. Badano kelnerów na dworcu i plutonowego. Jeden z kelnerów zeznał, że Dziad po awanturze na dworcu usiadł przy stole i wypił do rana czternaście szklanek herbaty, dolewając je po trochu spirytusem, a rano zniknął z dworca. Plutonowy (z wielką trudnością odnaleziony i sprowadzony z Nieświeża) nic nowego nie zeznał.

Przykra sprawa! Jego to musiała być robota! Tylko po co mu moje listy i dokumenty? Chociaż nie mógł pieniędzy zatrzymać, a dokumentów zwrócić... A może mu bardziej chodziło o dokumenty niż o pieniądze? Może on?... Ale to niemożliwe! Mnie tak zapewniano, że ten człowiek jest godzien zaufania.

Dowiedziałem się, że odbyła się wymiana. Janek Pielniński wrócił do Polski. Zobaczę go po powrocie z wywiadu. Jednocześnie dowiedziałem się

o zdradzie starego agenta z Łunińca, Bierentiewa. Dużo nam zaszkodził. Wyspał w Sowietach kilku naszych agentów, a kilku namówił do zdrady, @§ żalują kiedyś, gdy ich wyssają, a potem na śmietnik wyrzuca.

Ilu jest lichych ludzi na świecie! Ten cham, ów chciwiec, tamten oszust inny sadysta, ten dureń!... I komu wierzyć, z kim żyć?... Dobrze, że chociaż na świecie jest tak dużo ludzi, bo gdyby ich było mało - zbrzydliby strasznie; a tak | człowiek ciągle szuka porządnych ludzi, wierzy w nich i w końcu - umrze... Ja też dobre złotko!

Czekam rozporządzenia: jak postąpić dalej. O ostatnich zajściach (stracie pieniędzy i dokumentów) poszedł szczegółowy raport. Czekam na wynik Smutno mi, chociaż Antoni robi, co tylko może, aby mnie rozweselić... Do Olewskich nie idę. Pułkownika i Władka również nie odwiedzam. Siedzę z Antonim w domu (w zajezdzie przy dworcu) i pijemy. Dziad wciąż się kręci przy mnie i mówi, że „tam” dobrze zarobimy, że zna miejsca, gdzie złota nabrać można workami. Może to i prawda? Wczoraj przyniósł dwie flaszki wódki... Mityguje mnie. Gdy był „pod gazem”, powiedział:

- Wiesz, druhu, gdy wrócimy z „roboty” i przywieziemy torbę dolarów i złota, to jazda do Warszawy! Ja włosy ufarbuję i... do dziewczek! Polki, bracie, jak wiśnie: „krugom krasne”, z pestkami łykać można.

Często opowiadał o swych dawnych przygodach miłosnych i nie wyzwał się przyszłych. Złyjstem na niego strasznie, ale muszę na razie dać mu spokój. Zobaczę dalej. Trzeba wykonać robotę, bo ostatnio więcej się popisuję awanturami niż pracą.

*Baranowicze, 29 marca 1923 r.*

Nareszcie przyszła odpowiedź. Wydano dodatkowe pieniądze i muszę jechać dalej. Pozostawiono do mego wyboru, co robić: jechać z przewodnikiem nową drogą lub bez niego, po którejś z moich starych dróg. Zgodziłem się iść za granicę nową drogą. Muszę posłuszeństwem zatrzeć porobione awantury. Dziś wyruszamy w dalszą podróż.

Zeszłej nocy miałem wiele ciekawych snów. Niektóre pozostały mi w pamięci. Ciekawsze zapiszę. Pierwszy sen: przyszedłem do sklepu nut i instrumentów muzycznych. Wziąłem do rąk mandolinę i długo grałem na niej jakieś smętne melodie. Następnie zainteresowałem się leżącą na ladzie książką. Zacząłem ją czytać i wyobraziłem sobie, w kilka minut przeczytałem grubą książkę o niezwykle zajmującej treści. Podobnych książek nie czytałem. Treść jej tak żywo utkwiała mi w pamięci, że mógłbym łatwo opowiedzieć całą... Drugi sen: zobaczyłem w tymże sklepie duży ścienny zegar. Było na nim wiele kolorowych wskazówek. Niektóre poruszały się prędko, inne były nieruchome. Nad zegarem był napis dużymi literami: „Zegar Życia”. Gdy uważ-

nie zbadałem tarczę zegara, to wywnioskowałem, że jest to zegar wskazujący długość życia ludzkiego. Były tam strzałki wskazujące sekundy, minuty, godziny, doby, lata, dziesięciolecia, wiek i wieki... Pamiętam swoją myśl: „Dobrze by było dowiedzieć się: jak długo będę żył”, i Trzeci sen: wstąpiłem do jakiegoś dziwnego lokalu rozrywkowego... Ściany wykrzywione, sufity i podłogi nierówne, pochyłe. Wokoło mnóstwo sal, sprawiających dziwne wrażenie. Umieblowanie jednej na przykład stanowiły same samowary o niezwykle kształtach i różnej wielkości. Samowar - stół, samowary - krzesła, samowary i kanapy... Wreszcie się znalazłem w olbrzymiej lustrzanej sali, której ściany, sufit i podłoga były z luster. Pośrodku sali tańczyły cztery nagie pary. Tańczyły powolnie, dziwnie się wyginając i oglądając na boki, wyciągając przy tym szyje i wykrzywając twarze i członki... Wokoło tych żywych ludzi w lustrach tańczyło mnóstwo ich odbić, tworząc wir nagich ciał. Dziwne wrażenie sprawiała orkiestra. Grano na niezwykle instrumentach. Jeden na przykład dmuchał w coś w rodzaju hydrantu straży pożarnej. Drugi wywijał w powietrzu dużym, na sznurku uwiązanym pudłem, które ogłuszająco furkotało. Inny poruszał czymś w rodzaju hebla. Muzykantów było siedmiu. Wzrostu byli od karzelka 50 cm do olbrzyma dwuipółmetrowego. Jedni mieli głowy wielkości pięści, drudzy większe od wiadra. Jedni mieli głowy wyciągnięte w górę, drudzy okrągłe i płaskie. Siedzieli na drabinach, szczeptkach do zamiatania, rondlach. Pamiętam, że pomyślałem: „Kabaret potworów”. Dziwne sny!... Ten „Kabaret potworów”, zegar życia, a szczególnie książka! Mógłbym zapisać szczegółowo jej treść, lecz zajmie to sporo czasu, a muszę iść do miasta, porobić ostatnie zakupy przed wyjazdem.

Przypominają mi się często słowa ojca: „Porzuć, Romku, takie życie! Ustatkuj się! Porzuć na zawsze! Nie marnuj na próżno swych sił, swego życia! Pamiętaj, Romku, moje słowa”. Pamiętam, lecz zaprzestać nie mogę... Nie mogę... Zatruty jestem...

Antoni cieszy się bardzo, że wyruszamy nareszcie w drogę. I jemu się sprzyrzyła bardzo nasza przymusowa beczczynność.

II: III 5

*Milewicz, 2 kwietnia 1923 r.  
W strażnicy nad granicą*

Trzy dni straciliśmy na pokonanie 100 kilometrów prawie niemożliwej do przebycia drogi.

Dziwny to kraj! Kraj czarnych, posepnych, wilgotnych lasów, nieprzebytych, ponurych bagien i również ponurych, nieufnych ludzi. Spotkałem ich setki. Widziałem setki złych spojrzeń i ani jednego uśmiechu. Nie usłyszałem

ani jednego wesołego słowa, ani jednej piosenki. Wszystko żyje w błocie, wszystko błotem pokryte, wszystko jak błoto - ciemne, brzydkie, zdradliwe... Antoni powiedział:

- To kraj, gdzie sznurkiem chleb kroją, łapciem szczy<sup>121</sup> chłęczą, a wilki są sołtysami.

Dziwnie wyglądają kobiety. Mają krótkie nogi, są brzydkie i noszą domowego wyrobu suknie - źle uszyte, deformujące postacie.

Wsie są rzadko. Grzęzną w czarnej topieli błota, w którym się tarzają duże, przeraźliwie chude świnię.

W pewnym miejscu jechaliśmy furmanką po rzeczulce. Nałożyliśmy desek na wierzch wozu, usiedliśmy z rzeczami na tym pomoście i tak dość długo jechaliśmy powoli na zanurzającym się to mniej, to więcej wozie. Dziwny, dziwny to kraj! Po drogach trzeba chyba w łódce pływać, a po rzekach furman kajeżdźić.

W kilku miejscach wchodziliśmy do wiejskich chałup, lecz był tam okropny smród i zaduch. Nie mogłem w nich długo pozostać. Znam biedne życie Litwinów i Białorusinów, lecz tu nędza i brak kultury przechodzą wszelkie pojęcia ludzkie, bo graniczą ze zwierzęcą prawie roślinnością.

Z Baranowicz przejechaliśmy kilka stacji kolejną. Następnie zrobiliśmy kilkanaście kilometrów lorką konną. Zatrzymaliśmy się w większej wsi, w której mieścił się baon celny. Przenocowaliśmy u znajomych Kuczyńskiego. Gospodarz domu dość zamożny - jak na tamte strony - człowiek, długo rozmawiał z naszym przewodnikiem. Wspominali, jak kiedyś razem łożę tarli<sup>122</sup>. Widziałem kilkakrotnie córkę gospodarza; była to niezwykle pięknie zbudowana kobieta, lecz oczy miała wprost odrażające, pełne szyderstwa, złości i goryczy. Właśnie stąd jechaliśmy dalej furmanką po rzeczulce. Następnie ta jeszcze jako tako możliwa droga się skończyła i rozpoczęło się zupełnie bezdroże.

Ja, Antoni i Kuczyński piechotą ruszyliśmy w dalszą drogę, przez zalane wodą lasy i bagna, w kierunku rzeki Łani. Odprowadzający, wraz z rzeczami, powinien był przyjechać później, furmanką, po dalekiej okrężnej drodze. Od godziny jedenastej rano do zmierzchu zaledwie zdołaliśmy przejść dwadzieścia kilometrów. Szliśmy - jak powiedział nasz przewodnik - po „dobrej” drodze. Antoni zaś powiedział, że po tych drogach mogą chodzić tylko diabły i Poleszuki... Trzeba było posuwać się naprzód po z rzadka rozrzuconych na bagnie zrąbanych brzoźkach i olszynkach, postępując się kijami do podpierania. Marsz polegał na ustawicznym skakaniu, balansowaniu, podpieraniu się kijami, utrzymywaniu równowagi. W ten sposób pokonywaliśmy

<sup>121</sup> Kapuśniak.

<sup>122</sup> Chowali się w zaroślach łoży przed bolszewikami.

(ulometr po kilometry. Wieczorem posłyszeliśmy przed sobą hałas. Stanęliśmy. **Kuczyński długo nasłuchiwał.**

- **Dziki wał - powiedział.**

**Wyjąłem parabellum i czekałem. Antoni przygotował nagana.**

- Nie strzelać, dopóki na nas nie wyjdą! - rzekł Kuczyński. - Może pójdą bokiem.

Dziki burzą przebiegły w krzakach przed nami. Wkrótce zobaczyliśmy drogę ich przejścia. Była to wryta w bagnie raciami trzody bruzda... czarna, postrzępiona, sącząca mętną wodę.

Nareszcie wybrnęliśmy, gdy było już zupełnie ciemno, na sporą „wyspę”. Tu musieliśmy czekać przybycia odprowadzającego z rzeczami.

Małą polaną nad brzegiem Łani otaczał gęsty, czarny bór. Roznieciliśmy olbrzymie ognisko. Położyliśmy się przy nim na spoczynek. Paliliśmy papierosy. Kuczyński zaczął opowiadać swoje przygody z tego czasu, gdy sam był agentem wywiadu, czym widocznie bardzo się chlubił. Niektóre jego opowiadania zapiszę w skróceniu:

IA raz było tak. Ja szedłem daleko na tyłach i chciałem w pewnym miejscu przejść po kładce Aresztancki Kanał. Kanał ten szedł przez łąkę, a na łące dwóch gadów siano kosiło. Zobaczyli mnie. Widzą, że po chłopsku ubrania i że stary jestem, więc odważni się zrobili. Sypią do mnie z kosami. Jeden, zdrowszy buhaj, lezie pierwszy... jak pies nastroszony i zęby pokazuje. Do gardła się bierze: „Stój! Ty, kudy!” - ryczy. A ja tylko „piątkę” miałem w kieszeni. „A tudy!” - powiadam i z piątki go w samo oko trzask! A on do wody: chlap! Drugi zobaczył i w nogi! Ja za nim: „Stój, stój!”. Ale gdzie tam... uciekł... A drugi raz było tak: Ja szedłem z jednym chłopakiem od „nas”. No, przewaliliśmy przez Słucz, łódkę z wodą puścili na polski brzeg i idziemy sobie wieczorkiem do lasu. Aż patrzemy (na łące to było), kopica siana stoi. My do tej kopicy, a kopica jak nie skoczy do góry! Patrzemy, a koło nas pełno ludzi. Krasnoarmiejcy!... Ja w nogi! Chłopak za mną. A oni do nas: buch! bubuch! Dopadliśmy do brzegu rzeki i skik do wody. A oni prażą i prażą, tylko kule po wodzie bulkają... Dopłynąłem do drugiego brzegu, a tamten utonął. Był ranny i nie mógł płynąć. Za kilka dni trupa koło Lenina rzeka wyrzuciła... A innym razem to taka była heca: Szedłem z „roboty”. Noc jak węgiel! Przychodzę nad rzekę... Posłuchałem: cicho. Rozebrałem się. Związałem ubranie w tłumok, umocowałem na karku i lu do wody... Popłynąłem... Wyląłem na drugi brzeg. Nogi w błocie jak u czorta, sam też brudny. Myślę: na placówce się umyję i ubiorę. A to blisko 9 ogień widać. No, idę sobie goły, idę wprost do drzwi, a obok nich na ławce siedział żołnierz: posterunek alarmowy... no i zasnął. Ja przyszedłem i trzęsę go za rękaw: „Panie generale! a! panie generale!”. A on: jak się nie zerwie, jak nie krzyknie: „Ręce do

gólyl", i z karabinem do mnie! A ja za łufę i w krzyk... Wystrzelili, cholera, ale mnie nie trafił. Wskoczyli z placówki ludzie i rozdzielili nas! Co potem było śmiechu! A tamten żołnierz takiego miał stracha, że *gadać* nie mógł!

Długo opowiadał Kuczyński swoje przejścia, ale spostrzegł, że Antoni wcale go nie słucha, a ja słucham nieuważnie, i zamilkł.

Później śpiewaliśmy z Antonim różne piosenki. Dziad podciągał. Dziwnie brzmiały one w nocy, wśród tych prawie nieprzebytych bagien. I dziwnie wyglądała nasza trójka przy świetle olbrzymiego ogniska nad brzegiem rzeki, szeroko rozlanej wśród łąk, wysp i lasów.

Furmanka przyjechała po północy. Chłop-woźnica zdjął z wozu nasze rzeczy. Odprowadzający narzekał na okropną drogę, nazywając ją piekielną. Mówił:

| To, panie, Afyka czy Australia, ale nie Europa. Dżungla... A co dalej się dzieje... tam za Słuczą!...

- Tu chodzą diabły i Poleszuki - rzekłem — a tam same diabły! No i my pójdziemy!... Bo musimy!...

- Tak, podły kraj!...

Gdy zaczęło się rozwidniać, chłop z furmanką zaprzęzoną w małego konika ruszył w drogę powrotną. A my długo czekaliśmy na prom z tamtej strony Łani. Zniecierpliwiony chciałem tam płynąć, lecz nie puścili mnie, bo rzeka tu tworzyła wiele wysp i była szeroko rozlana, więc można było zblądzić i uwikłać się w wodorostach, gęsto porastających koryto rzeki. Zaczęliśmy krzyżeć i kilka razy wystrzeliliśmy z rewolweru. Nikt się nie odezwał... Cisza... Cisza...

Odprowadzający telefonował z ostatniej placówki do następnej, aby ktoś pobliskiej wsi wysłał do promu chłopca i furmankę. Omyłki nie mogło być.

Czekaliśmy prawie do południa, zanim się ukazał zza wysp duży prom...

Przebyliśmy Łań. Dalej droga była lepsza. Na noc zatrzymaliśmy się najakimś futorze u znajomych Kuczyńskiego, a nazajutrz z rana wyszliśmy w dalszą podróż.

Pozostawiając Lenino z boku, pojechaliśmy do Milewicz, gdzie chcieliśmy przekroczyć, a właściwie przepłynąć granicę.

Umówiłem się z odprowadzającym, aby na placówce pogranicznej dokładnie nas zrewidowano. Niby z rozkazu od „nas”. Ciekawe: co ma przy sobie Kuczyński? Wciąż nie mogę się pozbyć swej nieufności do niego. Muszę uważać, bo to, zdaje mi się, niewyczałny „Dziad”, ale rasowy, z wilczymi zębami i lisim ogonem... Oczy mu latają jak myszy. Są chytre i... okrutne!

Antoni czyści broń i nuci sowiecką, więzienną piosenkę:

*Na Kulikowskim zaułku,  
Trupa znalazł patrol -  
Był w skórzanej, czarnej kurtce;  
W piersi miał dwadzieścia kul!...*

Dziś wieczorem wyruszymy w drogę. Dziad jest niespokojny... Dlaczego? - Trzeba uważać!...



## XVII. ...TAM, GDZIE DIABŁY CHODZĄ

*Wiecznie dla wroga strasznym pozostanie  
Tm, dla którego nie straszne skonanie.*

Poemat Jana Mazuranka  
*Śmierć Agi Izmaela Czengisa*

*Wiatr goni za nami i chmury gonią za nami,  
i księżyc sady za nami, i cała posepna  
noc nas ściga; ale poza tym nikt więcej.*

Karol Dickens,  
*Powieść o dwóch miastach*

### 1

Nad brzegiem Słuczy stało dziewięciu ludzi: czterech cywilów i pięciu wojskowych. U ich stóp pluskała o podmyte brzegi woda. Wieczór był ciemny i w odległości kilku kroków trudno było coś odróżnić. U brzegów mróz ścigał wodę w cienką tafłę lodu.

Wszyscy rozmawiali szeptem, chociaż głosy ich nie mogły być usłyszane na przeciwległym brzegu rzeki. Zagłuszał je szmer wody i odnosił wschodni wiatr. Jeden z żołnierzy przytrzymywał łódkę, drugi wylewał z niej wodę i wyłamywał kruche, dźwięczne tafelki lodowe.

- Ci-cho tam... - syczał ktoś z brzegu. Kuczyński obrócił się do Zabawy i rzekł:

- Mnie tam wszystko jedno, ale ja nie radzę dziś jechać... Tu niewygodnie... Lepiej niżej, za kanałem... Lód łamaliśmy... Mogli nas posłyszeć... Jutro można we dnie obejrzeć miejsce... Zresztą jak chcecie!..

Zabawie się wydało, że Dziad jest przestraszony. „Pewnie się boi bolszewików” - pomyślał i to rozproszyło nieco jego podejrzania.

- Czemu poprzednio nie mówiłeś, że tu niedobre miejsce do przeprawy? Błazna z siebie robisz!

-Ja nic... Ja tylko dlatego, że mogą nas czekać na tamtym brzegu... Lód łamaliśmy... tam słychać...

-Jedziemy dziś! - rzekł Zabawa. - Ja nie chcę czekać! Dość czasu zmarnowaliśmy. Tońka! - zwrócił się do Kralewicza - przygotuj granaty i na środek, ja na dziób z „maszynami”, a ty, Dziadu, do wiosła! I ani mi pluśnij, bo ja ci plusnę!... Jazda!...

Zabawa pośpiesznie uściśnął dłonie pozostających na brzegu rzeki wojskowych i odprowadzającego, a potem wskoczył do łódki, zajmując miejsce na przedzie. Antoni z odbezpieczonymi granatami w rękach umieścił się pośrodku łódki. Przewodnik, coś mrużąc, usadowił się z tyłu i ujął wiosło.

- Szczęśliwie... Powodzenia... - rozległy się przyciszone głosy i łódkę odepchnięto od brzegu.

Zanurzyli się w mroku nocy.

Zabawa klęczał, przyciskając mocno kolana do wilgotnych desek łódki. Dwa rewolwery - nagan i parabellum S miał gotowe do strzału. Przeszywał oczami ciemność, starając się dostrzec przeciwległy brzeg rzeki. Kilka razy się oglądał i widział schyloną postać Antoniego, a dalej - ledwo odróżniał mętną plamę twarzy przewodnika.

Łódka się chwiała na fali, powoli na ukos przecinając rzekę. Dokoła panowała uroczyista cisza... Otarli się dnem łódki o mieliznę. Cofnęli się... Popłynęli dość prędko z prądem. Potem znowu się skierowali w poprzek rzeki.

Zabawa dostrzegł o kilka kroków od siebie brzeg. Pochylił się naprzód i cały się skupił we wzroku i słuchu, gotowy w każdej chwili do walki.

Dotarli do brzegu. Przez pewien czas siedzieli cicho w łódce, a potem wyszli na brzeg i puścili łódkę z prądem, który powinien zanieść ją na mieliznę drugiego brzegu, przy zakręcie rzeki.

Poszli naprzód. Kuczyński prowadził. Zabawa nie tyle uwagi zwracał na teren, ile na ruchy przewodnika. Przeszli szeroką łąkę, a później wstąpili na bagna. Po dwóch godzinach trudnej drogi Kuczyński stanął.

- Nie mogę wyjść na kanał... Noc ciemna...

- Gdy przepłynęliśmy rzekę, gdzie został kanał, z prawej czy z lewej strony? - zapytał go Zabawa.

- Z lewej.

- Dobrze. Idź z tyłu. Ja prowadzę.

Zabawa poprzednio, idąc za przewodnikiem, obserwował kierunek drogi i zauważył, że dłuższy czas szli na wschód, potem na południo-wschód, następnie na południe. Myślał, że Kuczyński celowo tak idzie, wybierając dogodniejszą drogę... Poszedł pierwszy, od czasu do czasu spoglądając na fosforyzującą strzałkę zawieszoną na piersi busoli. Prowadził na północo-wschód.

Z trudnością przeszli zalaną wodą łąkę. Potem się przedarli przez gęste zarośla łoży i nagle znaleźli się tuż nad brzegiem matowo lśniącego w ciemności pasma wody.

1 Masz kanał! - rzekł Zabawa, wskazując przewodnikowi olbrzymi rów. - Smaruj teraz naprzód!

Szli w milczeniu, jak cienie, skwapliwie zachowując dystans między sobą. Skakali w ciemnościach z kępy na kępę, wpadali do wody.

Wcieli się w pas gęstej łoży... Z wysiłkiem zdobywając każdy krok, dążyli naprzód. Spróbowali odejść od kanału na prawo i posuwać się dalej po otwartym terenie, lecz tam było grzęzawisko, w które człowiek zapadał i na którym z rzadka tylko były rozrzucone kępy roślin i wodorostów, dające niepewne, chwilowe oparcie dla nóg. Lecz trudno było dostrzec je w ciemności. Wrócili. Znowu uporczywie walczyli o drogę z zaroślami łoży. Poszczególne pręty, jak druty stalowe się przeżyły, zagradzając im drogę; czepiały się ubrania, były po twarzy i rękach - wszelkimi sposobami zaciekle broniły drogi.

Przeszło sześć godzin stracili na przejście pięciokilometrowego pasa łoży, rosnącej wzdłuż kanału. Trochę wypoczęli i pośpiesznie poszli dalej po możliwym, w porównaniu z poprzednim, bezdrożu.

Gdy zaczęło świtać, byli dopiero o dwadzieścia kilometrów od granicy. W niektórych miejscach wychodzili na ląd. O dziesięć mniej więcej kilometrów od granicy Zabawa dostrzegł na lewo od kanału jakąś wieś. Minęli ją. Po dłuższym marszu zobaczyli osiedla, które przewodnik nazwał po rosyjsku: Kuźniczskije Chutora. Po piętnastu kilometrach drogi, od czasu do czasu, zaczęli napotykać lasy.

Kilka razy wypoczywali. W nocy wyminęli jakąś wieś, którą przewodnik nazwał Skuszczyn. Wieś była dość duża i Zabawa w głowę zachodził: jak mogą tu żyć ludzie, wśród olbrzymich bagien, z dala od świata. Pierwszy długi wypoczynek zrobili na „Rozbitej Wyspie”. Tak nazwał Kuczyński jakąś wyspę daleko z lewej od kanału, może wcale nieznaną, za którą rozpoczynały się olbrzymie bagna, ciągnące się stąd aż do rzeki Oressy. Kuczyński mówił, że na tej wyspie bolszewicy rozbili resztki oddziału partyzanta Korotkiewicza. Może dlatego nazwał ją Rozbitą Wyspą. Wyspami tu się nazywają skąpo rozrzucone po olbrzymiej przestrzeni bagien suche miejsca, na których rosną bujne nieraz lasy, a nie do krzaków podobne, nędzne brzoźki, olszynki i wierzby. Łądami nazywają się tu otaczające bagna lub wrzynające się w nie większe, stałe przestrzenie gruntu, porośnięte mieszanym lasem.

Gdy po dłuższym wypoczynku ruszyli w dalszą drogę, Zabawa z zaciekawieniem obserwował okolicę. Jak oko sięgało po prawej i lewej stronie, na olbrzymiej przestrzeni ciągnęły się bagna. Wokoło: zieleń we wszystkich odcieniach.

Całą tę olbrzymią, kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych mającą przestrzeń stanowiły bagna, zamaskowane z wierzchu zielonym kobiercem. Gdyby zdjąć z nich tę zieloną szatę, to zobaczylibyśmy pod nią wielokolorową maź rzadkiego błota, liczne głębokie jeziora i strumienie. Maź ta, rzadka i gęsta, chłonna, ssąca, miejscami przechodziła w rdzawy żur, jakby z gliny i żytniej mąki utworzony, który mógł bez końca chłonać wszystko, co do niego trafiło.

Miejscami zieleniły się piękne łąki, zamaskowane krótką, aksamitną trawą którą czaiła się... Śmierć. Jeden krok na tę piękną łączkę i człowiek ginął niechybnie, wessany przez chciwe żeru bagno. Gdzieniedzie rozrzucały się lśniące jak stal jeziora... Z rzadka się przekradały powolne, zimne strumyki; przy nich grunt był twardszy. W gęstych trawach czyhały na ofiarę straszliwe „okna”, jak studnie głębokie, nie oddające swych ofiar, trudne do spostrzeżenia.

Martwo i cicho wokoło. Nie widać tu żerującego ptaka, nie ma na tych nagich, bezdrzewnych przestrzeniach zwierza... Bo głodno tu, bo państwo to jest państwem śmierci, która się tarza przy świedle księżycy po zielonym, wilgotnym kobiercu, zakrytym od świata olbrzymim, przezroczystym kłosem nieba.

Czas tu odmierza rozpalona, złota kula słońca i zimna martwa tarcza księżycy, leniwie przewalające się po niebie. Człowiek tu wygląda dziwnie mały, nędzny i szczególnie niezradny... Strach i rozpacz ogarniają każdą żywą istotę, porzuconą samotnie na tych bagnistych otchłaniach... Bo nie wolno tu wchodzić bezkarnie - zakłócać zadumanego skupienia natury, śpiącej leniwie i leniwie formującej dla ludzi nowy, żywy łąd. Nie wolno podpatrywać i podsłuchiwać tajemnic natury, które tu są na każdym kroku.

Podróźni byli w drodze dwie noce i drugi dzień, a przebyli zaledwie 40 kilometrów. Do łądu - według twierdzenia Kuczyńskiego - zostało około 30 kilometrów. Odczuwali głód, bo skończyła się żywność, którą zabrali ze sobą. Najtrudniej im było bez palenia, bo zabrakło tytoniu. Zabawa narzekał na Kuczyńskiego, który nie uprzedził ich, że tak długo będą w drodze. Kuczyński mówił:

- Nic, chłopaki, nic... Tylko dojść do Kozakiewicza, to tam wszystko będzie!

Powtarzał to bardzo często, ale im nie było od tego ani lżej, ani weselej. W pewnym miejscu Zabawa spostrzegł, że zgubił nagana, zawieszoną na rzemyku u pasa. Wrócił na poszukiwanie rewolweru. Wkrótce zrozumiał, że znaleźć go tutaj było niepodobieństwem. Jeszcze więcej się zirytował i przeklinał wszystko i wszystkich.

- Nic, nic, tylko do Kozakiewicza dojść - pocieszał go Kuczyński. - Tylko na macieryk<sup>123</sup> się wydestać, a tam... jak w domu!

- Cóż to za Kozakiewicz? - zapytał Zabawa.

- Stary wilk... Partyzant... U niego sztab atamana Korotkiewicza był... Pewny człowiek! Złoty człowiek! Bry-lan-to-wy!... U niego wszystko znajdziemy i wypoczniemy należycie...

Szli z rozpaczą prawie, oczekując niecierpliwie wejścia na upragniony łąd. Położenie Zabawy i Antoniego pogorszyła ta okoliczność, że ponaciąga-

<sup>123</sup> L a d .

li sobie ściegna w stopach. Stało się to z tego powodu, że szli cały czas od granicy w łożowych łapciach, mając bu ty zatknięte z tyłu za pasem, więc stopa w zupełnie inny sposób znajdowała oparcie (w butach iść było bardzo trudno, bo nogi głęboko zapadały w błoto, natomiast łapcie miały większą przestrzeń do oparcia i stanowiły coś w rodzaju nart).

Późnym wieczorem wyszli na łąd. Usiedli pod olbrzymią sosną i wypoczywali. Z trudnością zdołali wciągnąć buty na spuchnięte nogi. Poszli dalej. Głód dręczył ich dotkliwie. Wyminęli małą wioskę, a uszedłszy kilometr, dostrzegli z prawej strony od drogi jakieś zabudowania.

- Tu mieszka „leśnik” Runc - rzekł Kuczyński, a po chwili niezdecydowanie dodał: - można by u niego dostać coś do zjedzenia.

- Więc idź i kup! - rzekł Zabawa. - Głodniśmy jak wilki!

- Tylko do Kozakiewicza... - znowu zaczął Kuczyński.

- Co ty tam ciągle o Kozakiewiczu mi gadasz? Masz tu pieniądze, idź i kup coś do zjedzenia... Chociaż chleba, bo ja sam pójdę. Jak nie sprzedaż, to na grandę wezmę! - wybuchnął zirytowany Zabawa.

-No, dobrze, dobrze... idę...

Kuczyński zniknął na podwórzu, a po chwili koledzy posłyszeli trzaśnięcie drzwi do sieni. Chcąc zobaczyć, co robi przewodnik, weszli na dziedziniec i niewidzialni w ciemności zbliżyli się do okna, obserwując poruszających się w środku ludzi. Prawie natychmiast po ich zbliżeniu się do domu, okna zostały zasłonięte i nic nie zobaczyli. Po kwadransie Kuczyński wyszedł na podwórko.

- No, cóż zrobiłeś?

-A nic...

-Jak to: „nic”?

- A tak!... Nic u nich nie ma... nawet chleba...

- Coś ty, Dziadu, kręcisz! Jak nie było nic, to po jakiego diabła tyle czasu tam siedziałeś? - Zabawa splunął, a potem dodał: - No idź dalej! Prowadź do swego Kozakiewicza!... Mówiłeś, że starym agentem jesteś, a ani dróg nie znasz, ani w drodze poradzić sobie nie umiesz!

Kuczyński nic mu nie odpowiedział.

## 2

W lesie, w pobliżu grobli, podróżni rozniecili ognisko. Starali się dużego ognia nie rozpalać, aby nie było widać z dala zarzewia. Leżeli nieruchomo, głodni, wycieńczeni, czując ból w całym ciele. Wokoło drzemał tajemniczy, czarny, milczący las. Gorące, złote, wesołe skry ogniska wlatywały w górę i konały w zimnych, wilgotnych łapach jodeł.

Spali kolejno. Sny mieli trwożne, męczące... Jęczeli, zgrzytali zębami, zaciskali pięści.

Wstawał mglisty i zimny poranek. Światło dzienne z trudnością się przedzierało pomiędzy olbrzymimi kolumnami czarnych, ponurych, w mgłę otulonych jodeł. Podróżni wstali i drżąc z zimna, przesiąknięci wilgocią wyszli na drogę... Po godzinie zobaczyli przed sobą wieś.

- To Kuczynka.. I nad Oressą - rzekł przewodnik. - Stąd do Kozakiewicza duchem dojdziemy.

Zbliżyli się do wsi. Kuczyński kazał im zaczekać za stodołą, a sam wstąpił do pierwszej z brzegu chałupy.

- Zobaczą - powiedział przed odejściem - jak tam. Jeśli spokojnie, to was zawołam. Tu znajomy chłop mieszka... przewiezie nas przez Oressę.

Zniknął w drzwiach prowadzących do sieni. Wkrótce wyszedł na dwór i zawołał kolegów do chałupy. Weszli do dużej, brudnej izby. Na przypiecku palił się suty ogień, przy którym okropnie chuda dziewczyna coś gotowała. Gospodarz, starszy chłop z dużą rozczochraną głową, zaprosił ich na śniadanie. Wypili po kubku gorącego mleka i zjedli po kawałku lichego chleba. Zabawa z trudnością połykał cuchnący, kłujący razowiec. Bolało go podniebienie z powodu dłuższego nieprzyjmowania pokarmów... Zapłacił szczodrze gospodarzowi i wyszli z chałupy. Wspólnymi siłami ściągnęli do wody leżącą pod małym strzykiem, obok stodoły, łódź i chłop przewiózł ich na drugi brzeg rzeki.

Pożegnali go i ruszyli w dalszą drogę. Szybko posuwali się naprzód. Czuli blisko wypoczynek i nie szczydzili reszty sił. Po wąskiej leśnej drodze wyszli na brzeg olbrzymiej polany, otoczonej z czterech stron, jak ramą, czarną ścianą lasu. Pośrodku było widać liczne zabudowania futoru.

- Ot i futor Kozakiewicza! - rzekł Kuczyński. - Teraz i wypijemy, i zagryziemy, i zapalimy, i wypoczniemy!

Poszli brzegiem lasu aż do tego miejsca, gdzie droga skręcała do futoru. Kuczyński skierował się przez pola ku budynkom, a Zabawa i Kralewicz zostali w pobliżu gęstych zarośli leszczyny. Kuczyński był ubrany jak Poleszuk: w lniane portki i koszulę, siermięgę i łożowe łapcie. Miał zawieszoną przy boku płócienną torbę, a w rękę gruby kij. Za pasem z przodu schował nagana, a w kieszeni miał granat, który wyprosił od Zabawy. Gdy Kuczyński się oddalił na większą odległość, Antoni rzekł:

- Niewyraźny dziadyga!

- Diabli go wiedzą - odezwał się Zabawa. - Dziwi mnie tylko, czemu on tak się bał przejeżdżać przez Stucz. Bał się bolszewików?

- A może się bał, żeby w czasie strzelaniny kuli nie dostać, albo żebyśmy mu w łeb nie wykopčili? - wyraził przypuszczenie Antoni.

Koledzy zobaczyli biegnącą od futoru, w kierunku lasu, dziewczkę. Myśleli, że ich szuka, lecz nie wyszli od razu. Ukazali się dopiero wtedy, gdy była blisko. Gdy zobaczyła ich, przerażona szarpnęła się w tył.

- A dokąd biegniesz? - zapytał Zabawa.

- Świni szukam...

- No, to syp dalej.

Pobiegła drogą prowadzącą do rzeki, oglądając się kilkakrotnie. Po dłuższym czasie wybiegła z futoru dziewczyna lat piętnastu i kilka razy głośno gwizdnęła na palcach. Zabawa i Kralewicz wyszli z krzaków. Machnęła kilkakrotnie ręką, wołając ich ku sobie. Poszli na przełaj w kierunku zabudowań.

Futor był zamożny, budynki liczne, nowe i duże. Zabawa i Kralewicz, poprzedzani przez dziewczynę, wstąpili do dużej sieni przedzielającej dom na dwie części. Weszli na prawo. Zobaczyli w dużej izbie Kuczyńskiego, a obok niego starszego, siwiejącego już mężczyznę, ubranego z miejska. Było tam jeszcze kilku mężczyzn, w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, i kilka kobiet.

Zabawa i Antoni przywitali się z gospodarzem chutoru, Kozakiewiczem, i usiedli przy stole. W izbie zapanowało milczenie. Spojrzenia obecnych natrętnie czepiały się Zabawy i Kralewicza. Pełzały po ich ubraniach, lepiły się do rąk i twarzy.

- Odpocznijcie sobie - rzekł do nich Kozakiewicz słodkim głosem, robiąc przymilną, lisią minę - a tam baby śniadanko przygotowują.

- Dobrze... - rzekł Zabawa, a po chwili dodał: - Chcemy u was, gospodarzu, wypocząć parę dni. Za wszystko, co weźmiemy do zjedzenia, dobrze wam zapłacę.

- Ależ mniejsza o to - odparł Kozakiewicz z uśmiechem - gośćmi moimi jesteście.

Zabawa łapał na sobie natrętne spojrzenia mężczyzn i kobiet, które pracowały przy krosnach, robiąc jakąś wzorzystą tkaninę.

Wkrótce gospodarz zaprosił ich do „czystej” połowy domu. Przeszli sieni i znaleźli się w dużej izbie, przedzielonej przepierzeniem na dwie części. Usiedli do stołu, zastawionego niewybrednymi, wiejskimi potrawami. Na czelne miejsce zajmowała jajecznicza. Gospodarz wyjął z szafy dużą flaszkę z grubego, ciemnozielonego szkła.

- Na rozgrzewkę... Dla wesołości! - rzekł, stawiając ją na stole.

Był to samogon. Po pierwszej flaszcze gospodarz podał drugą, potem trzecią. Zabawa wypił szklankę samogonu i na tym poprzestał, chociaż gospodarz usilnie zapraszał go do picia. Natomiast Kralewicz pił dużo, dopóki Zabawa nie powiedział:

- Dość już! Przestań chlać!

Kuczyński pił najwięcej i był niezwykle wesoły.

Po pewnym czasie Kozakiewicz rzekł:

- A może chcecie się wyspać?

1 Nie zaszkodzi - odparł Zabawa.

Gospodarz kazał jednemu z synów zrobić im posłanie w stodole.

i Tam wam będzie i miękko, i spokojnie, i przewiewnie - powiedział Kuczyński i dodał: - Wy idźcie, a ja tu pogadam trochę ze starym druhem... Potem przyjdę do was.

Wyszli z mieszkania i udali się, wraz z synem gospodarza, do olbrzymiej stodoły. Tamten odemknął z długiego, okrągłego rygła duże wrota, przez które mógł wjechać do środka wysoko naładowany sianem wóz. Stodołę wypełniał łagodny półmrok... Było gorąco... Zabawa zobaczył na klepisku posłanie ze słomy nakryte nadnem<sup>m</sup> i dwie poduszki w wezłowiui.

„Któż to przygotował?” - pomyślał Zabawa i zapytał:

- To nasza pościel?

- Tak - odparł syn gospodarza.

- Pościelcie nam tam! - Zabawa wskazał mu dłonią na górę, na złożoną w prawym sąsięku słomę.

- Jak chcecie...

Syn gospodarza urządził im posłanie i wyszedł ze stodoły. Chcąc dobrze wypocząć, koledzy ściągnęli ze spuchniętych nóg buty i porozpinali ubrania. Naboje, granaty i drobne rzeczy włożyli do czapek i umieścili je na posłaniu pomiędzy sobą. Potem ułożyli się do snu.

Antoni usnął zaraz, natomiast Zabawa leżał, rozkoszując się panującą w stodole ciszą i perspektywą długiego wypoczynku. Chciało mu się bardzo pić. Postanowił zaczekać na przyjście Kuczyńskiego i poprosić go, aby przyniósł z mieszkania garnek wody. Czekał kilka minut, po czym usłyszał na zewnątrz ciche kroki. Usiadł na posłaniu. Ktoś odryglował i powoli odemknął wrota stodoły, robiąc wąską szparę, przez którą długo i uważnie patrzył do góry, w tym kierunku, gdzie leżeli Zabawa i Antoni. Zabawa, widząc, że przybysz nie wchodzi, pochylił się z góry patrząc ku wyjściu... Dostrzeał szerokie pasmo światła i czyjaś twarz, która natychmiast znikła... Wrota się przymknęły. Rozległ się zgrzyt rygła.

„Dziwne!... Co to znaczy?” - pomyślał. W tymże czasie z zewnątrz rozległ się suchy trzask wystrzałów i słoma wokoło niego jakby od wiatru zaszeleściła. Była to salwa karabinowa, wymierzona w jego kierunku przez zamknięte wrota stodoły.

Antoni usiadł na posłaniu i zdziwionymi oczami patrzył na kolegę.

- Prędeż, zbieraj rzeczy i na klepisko! Zbieraj leżąc, bo zaraz znowu pasztrzelą - rzucił mu Zabawa, zbierając granaty, magazynki do parabellum, pas z nabojami i busolą.

<sup>m</sup> Kolorowa tkanina domowego wyrobu.



A salwy grzmiały jedna po drugiej. Wszystkie były wymierzone w kierunku, gdzie oni przed chwilą leżeli.

- O, chamy! Tchórze! Gady! Nie próbowali nawet wziąć żywych! Im trupa potrzebne! - kłął Zabawa, zeskakując z góry na klepisko.

Antoni ześlizgnął się za nim.

- Wypaliśmy się!... - powiedział ze złością.
- Tylko do Kozakiewicza dojdziemy... tam wszystko będzie! - powtórzył Zabawa słowa przewodnika.
- Ścierwo, Dziad, Suka! - rzekł Antoni.
- Tak... opylił nas!
- Pamiętasz dziewczkę, która świni szukała?... Zapewne do Niżyna po milicję biegła!
- Może nas dziadygajuz u Runca zasypał, a może w Kuczynce... O, jak pić się chce! Bodajby kropkę wody!
- Tak... Uraczył nas Kozakiewicz! Ech! Żeby za drzwi się wyrwać!... A salwy karabinowe grzmiały nieustannie.

W tymże dniu w Smoleńsku, w pobliżu „401. wiorsty”, odbyła się egzekucja Piętrowa, Gruszewskiego, Terleckiego i Stankiewicza, skazanych wyrokiem Rewolucyjnego Trybunału na karę śmierci... Wyrok został wykonany...

Tenże Rewtrybunał sądził jednocześnie z nimi dwóch zdrajców sowieckich: wyższego oficera sztabowego Krasnej Armii i jego żonę. Ponieważ czerwony oficer miał wielu dobrych kolegów od kieliszka i zielonego stołu w GPU i Rewtrybunale, skazano go, biorąc pod uwagę „proletariackie pochodzenie i zasługi dla Związku Radzieckiego”, na 5 lat więzienia... Żonę jego, niezwykle piękną kobietę, uwielbianą przez wszystkich wysoko postawionych samców miasta, uniewinniono.

### 3

Koledzy ułożyli kilka worków ze zbożem przy ścianie stodoły, robiąc coś w rodzaju szańca, za którym mogli się ukryć od kul. Przygotowali rewolwery.

- Rzućmy granaty - zaproponował Roman.

Po kilku sekundach rozległy się prawie równocześnie dwa silne wybuchy. Z wrót poleciały szczapy, lecz nie ustąpiły i nadal broniły im wyjścia. Były zrobione z mocnych, grubych desek i silnie okute żelazem.

Zabawa chciał koniecznie wyłamać wrota stodoły, aby następnie wydostać się na zewnątrz i jeśli zginąć samemu, to przynajmniej zabić kilku osaczają-

cych go ludzi. Na wyratowanie nie miał nadziei, bo przekonał się, że są bardzo pilnie strzeżeni.

Zrobił jeszcze jedną próbę. Podpełził ku wrotom, które były stale ostrzeżiwane, i z lewej strony, tuż przy futrynie, podsadził pod nie odbezpieczony granat w ten sposób, że ten się opierał o dolny brzeg grubej deski obok futryny. Puścił łapkę zapalnika, odszedł w głąb stodoły i położył się... Rozległ się silny huk. Jedna deska pękła pośrodku, robiąc długą szparę... Posypały się z niej drzazgi, lecz mocne wrota wytrzymały i ten wybuch...

Teraz Zabawa rozpoczął polowanie na otaczających go ludzi, którzy przy każdym ataku na wrota zasypywali je kulami... Stodoła była zbudowana z nowych, grubych, ociosanych bierwion. Nie mógł znaleźć wygodnych do strzelania szpar i tylko na prawo od drzwi, na wysokości piersi, była jedna szczelina, a na lewo, przy framudze, druga, o wiele dłuższa i szersza, lecz niewygodna do strzelania. Zabawa czatował z rewolwerem to u jednej, to u drugiej szpary. Kilka razy dostrzegł ukrywających się, to za pobliskim parkanem, to za budynkiem, uzbrojonych ludzi. Zasypał ich kulami z parabelum. Pochowali się i nie ukazywali w polu jego widzenia, lecz czatowali z daleka. Po dłuższym czasie dostrzegł milicjanta, przebiegającego z karabinem w ręce za niskim parkanem. Wystrzelił do niego kilka razy. Milicjant upadł. Był zabity albo się schował.

- Zdaje się, jeszcze jeden trafiony - rzekł Zabawa i dalej polował, wypróżniając magazynek za magazynkiem.

Lecz strzały jego nie mogły być zbyt celne, bo szpary, przez które strzelał, były wąskie i utrudniały celowanie. Poza tym po pewnym czasie szpary te skupiły na sobie ogień karabinowy osaczających stodołę ludzi.

W trakcie tej walki jedna kula, która przeszła ścianę stodoły, osypała drobnymi trocinami piersi Zabawy. Zrobiło mu się ciepło. Poczul, że jest ranny. Antoni, zaniepokojony, oglądał jego plecy.

- Masz krew na łopatce! - wykrzyknął po chwili.

Zabawa ściągnął z siebie sweter (dla wygody ruchów nie włożył butów i kurtki, a naboje i zapasowe magazynki miał w specjalnie na ten cel zrobionym pasie i w kieszeniach spodni). Antoni obejrzał jego ranę.

- Możesz ręką ruszać?

- Mogę...

- Nic... kości całe... Gdy strzelałeś pochylony, kula przeszła przez ścianę i poszarpała ci mięśnie na lewej łopatce.

- Na oślep strzelają, a trafili, psiakrew!

Antoni podarł koszulę Zabawy i zrobił mu opatrunek, mocno ściągając sweter agrafkami... Wycierał ubabrane we krwi przyjaciela ręce i omal nie płakał ze złości.

- To ścierwo!... Takimi chamom, gadom dać się oszukać!... No, dziadygo, żebyś ja ciebie dostał!...

Zabawa zbliżył się ku wrotom i uważnie obejrzał miejsce, w którym na zewnętrz musiał być umocowany gruby, żelazny rygiel... Wyrzucił pośpiesznie osiem nabojęw, chcąc odbić rygiel kulami i odemknąć wrota. Nie powiodło się. Z zewnątrz zagrzmiały strzały... Zaczekał kilka minut i ponowił próbę... Znow bezskutecznie...

- Romku, daj spokój! - rzekł Antoni. — Wypocznij! Zaczekamy nocy, a wtedy zrobimy podkop.

- Do nocy tu z Albiriska batalion przybędzie! — odparł Zabawa.

Polaż do góry na sąsiek i próbował wytrzymałości poszczególnych lat.

- Chodź, pomóż! - krzyknął w dół. - Może wyłamiemy łatę.

Wyteżając wszystkie siły, próbowali ją wyłamać, lecz bezskutecznie, nie ustąpiła. Antoni, zniechęcony, usiadł na słomie... Nagle Zabawa uderzył się w czoło i krzyknął:

- Ale z nas durnie! Męczymy się, wrota wyłamujemy, noże z siekierami dostajemy, a to takie proste!

Antoni patrzył mu w twarz zdziwiony. Zabawa pochylił się i opierając lufę parabellum o dłoń lewej ręki, zaczął strzelać za strzałem, jak piłą, przecinać łatę kulami. Skończył robotę i obrócił się do kolegi.

-No... do pracy!

Ujęli rękami przecięte kulami końcełaty i wyłamali jeden koniec na lewo, a drugi na prawo, w kierunku krokwi. Utworzyła się szeroka na 5 cm przestrzeń, zakryta słomą strzechy. Roman zaczął wciągać do środka słomę. Po dłuższej pracy dostał się do następnej, cieńszejłaty, która przyciskała z wierzchu grubą warstwę słomy. Ponad tą łatą znajdował się tylko cienki pokład trzciny. Zaczął je wyciągać. Cała ta praca trwała blisko godzinę. Trudno wyobrazić sobie, ile potrzeba wydrzeć ze strzechy słomy, aby zrobić dziurę, przez którą by mógł przeleźć człowiek. Zabawa nie skończył jeszcze pracy przy ostatniej warstwie trzciny, gdy z zewnątrz zaczęto strzelać po strzesze.

- Pewnie spostrzegli poruszające się u dołu końce trzciny - rzekł Zabawa, przerywając robotę.

Usiadł na słomie i wypoczywał.

- No, zaraz zaczniemy tańczyć! - powiedział Zabawa.

- Będziemy wyłazić? - zapytał Antoni.

-Jeszcze nie... Chcę jeszcze coś tu zrobić. Idź do wrót i od czasu do czasu strzelaj. Rzuć w nie parę razy kamieniem, żeby myśleli, że chcemy tamtędy się wydostać na zewnątrz i wyłamujemy je.. Ja tymczasem wybiorę jak najwięcej trzciny.

Wkrótce Antoni na dole udał nowy atak do wrót, a Zabawa, powoli przesuwając trzciny do góry, tak oczyścił otwór, że gdzieś tam przebłyskiwało światło dzienne. Uważał przy tym, aby nie poruszać trzciny w dół. Zrobił otwór takiej wielkości, że można było przez niego przecisnąć się na zewnątrz. Następnie rzucił w dół kilka snopów słomy i krzyknął do Antoniego:

- Połóż dwa snopy pośrodku pod wrotami i zapal je!

- Po co?

- Pal!

- Spalimy się!

- Nie... Pal! Ja wiem, co mówię! Śmiało!

Wkrótce pod wrotami stodoły paliła się słoma, wypełniając jej wnętrze gęstym, gryzącym oczym dymem. Gdy snopy się dopalały, Antoni, stojąc z boku, wrzucał do ognia nowe... Wrota zaczęły się palić. Smoliste deski trzeszczały od żaru, zajmując się z wierzchu płomieniem. Antoni wlaź na sąsiek.

- Włóż, Romku, kurtkę. Może wydostaniemy się stąd, to będzie ci zimno.

Zabawa wdział skórzaną kurtkę... Sprawdzili broń, oddał ostatni granat Antoniemu.

- Ja będę miał w jednej ręce parabellum, w drugiej zapasowy magazynek, a ty nagana i granat... Pójdzie robótka!

Skręcili z odpadków tytoniu, znalezionych po kieszeniach, jednego grubszego papierosa i kolejno paląc, wyćmili całego. Potem Zabawa rzekł:

- No, pożegnamy się!... Trzymać się razem!... Oni myślą, że my chcemy wywalić drzwi i wydostać się z przodu, a my spróbujemy tędy...

Uścisnęli sobie dłonie...

Z zewnątrz rozlegały się krzyki:

- Pożar, pożar... Ludzie, palimy się!

- Palcie się, chamy! - rzekł ze złością Antoni. - Myśleli, że zające złapali!...

- Wal teraz na całego! - krzyknął Zabawa.

Antoni wrzucił w płomienie pod wrotami stodoły jeszcze kilka snopów. Ogień strzelił wysoko w górę. Dym buchnął gęstymi kłębam. Z zewnątrz rozległy się krzyki ludzkie, lament kobiet, ryczenie bydła, rżenie koni...

- Ja pierwszy... - rzekł zachrypniętym głosem Zabawa.

Antoni skinął mu głową. Nagle rozległ się długi, suchy trzask, jakby palącej się sierści, i stodoła wewnątrz rozblysła niby oświetlona tysiącem lamp elektrycznych. To płomienie przerzuciły się z wrót na suchą słomę strzechy, która w kilka sekund stanęła cała w ogniu.

Zabawa, prawie oślepiiony, szybkim ruchem rąk przedarł cienką warstwę trzciny i podpierany ze środka przez Antoniego, rozszerzając własnym ciałem otwór, szybko przedarł się na zewnątrz, a następnie potoczył po śliskiej powierzchni strzechy. Zobaczył równo ścięty, szeroki okap. Zrzucił jedną rękę

pod spód i przewróciwszy się w powietrzu, spadł na nogi. Przykucnął. Rozległ się wystrzał. Zabawa szybko się podniósł. Zobaczył leżącego daleko w polu, za kupą mierzwy człowieka, który celował do niego z karabinu. Roman uklęknął i wystrzelił w jego kierunku trzy razy z parabellum. Tamten się schował i nie pokazywał się wcale. Z prawej strony biegł z dala przez pole milicjant Padł w jakąś brudę i zaczął pośpiesznie strzelać do Zabawy, który się ukrył za rogami stodoły. W tym momencie Antoni spadł ze strzechy. Upadł bardzo nieszczęśliwie - na ręce i głowę. Granat wypadł mu z ręki i potoczył się pod ścianę stodoły. Antoni odskoczył kilka kroków od stodoły i położył się. Z dala wystrzelono do niego. Zabawa odpowiedział dwoma strzałami. W tymże momencie wybuchł granat... W następnej chwili Antoni porwał się z ziemi.

- Tul... Do mnie!... - krzyknął Zabawa.

Znowu z dala padł strzał. Zabawa kilka razy wystrzelił do czających się w polu ludzi. Antoni, zdyszany, przybiegł do niego...

Weszli w szeroką smugę dymu, która się ciągnęła z wiatrem od palącej się stodoły w kierunku lasu 1 na południe. Poszli wzdłuż jej brzegu... Nikt ich nie ścigał.

Niebawem skończyło się pole... Przed nimi stał czarna tajemniczą ścianą stary, ponury, wilgotny bór. Za nimi pozostały pełne ognia i dymu płonące zabudowania futoru Kozakiewicza. Zabawa patrzył przez pewien czas w tamtą stronę, a potem rzekł z wysiłkiem:

- Tu chodził Tu wam nie stodoła!... Bohatery, psiakrew!...

Weszli do lasu.

#### 4

Po dwóch godzinach drogi przez duży, mroczny, mieszany las znaleźli jakąś wąską, leśną drogę. Poszli po tej drodze i wydostali się na skraj lasu. Przed nimi szeroko rozłożyły się łąki. Na lewo ciągnął się zagajnik. Z dala dołatywały ich uszu dźwięki, świadczące o bliskości ludzkiego osiedla: skrzypienie żurawia u studni, ryczenie bydła, szczekanie psów, nawoływanie...

- Odpocznijmy - rzekł Zabawa, siadając pod dużą brzozą. - Dalej pójdziemy, gdy się ściemni.

Wieczór się zbliżał. Koledzy nie przypuszczali, że walka o wydobyć się ze stodoły trwała od dziesiątej rano do trzeciej po południu.

Byli w bardzo niepomyślnej sytuacji. Butów nie mieli, stopy im spuchły i były pokaleczone podczas przedzierania się przez las. Prawie wszystkie ich rzeczy zginęły w stodole. Zabawie pozostały tylko pieniądze, busola, latarka i dwie pary jedwabnych pończoch w kieszeni kurtki. Antoni nic nie miał, bo

sumki" z rzeczami zapomniał w mieszkaniu Kozakiewicza. Co się tyczy bro- ni to Antoni miał nagana, a nabojów zostało mu zaledwie dwadzieścia. Zabawa miał parabellum i około pięćdziesięciu nabojów. Byli głodni. Trzy dni i trzy noce znajdowali się w drodze, prawie bez snu i wypoczynku. Zabawa był ranny. Iść mógł, lecz ból w łopatce stale wzrastał. Antoni podczas upadku ze strzechy podbił sobie oko, które prawie zupełnie mu zapuchło. Znajdowali się daleko od granicy, przedzieleni od kraju dwiema rzekami, Oressą i Słuczą, pomiędzy którymi znajdowały się największe bagna Europy. Aby wyjść stąd, musieli przejść - po prawie niemożliwym do przebycia terenie - całe te bagna, bo wzdłuż kanału iść było niebezpiecznie (bolszewicy mogli urządzić tam na nich zasadzkę, aby odciąć drogę powrotną do granicy).

Leżeli smutni i zmęczeni, snując niewesołe myśli. Coś szastnęło się w pobliskich krzakach... Przygotowali broń... Na drogę wybiegł duży podwórzo- wy pies. Długo patrzył na nich, podnosząc w górę to jedno, to drugie ucho, potem głucho warknął i znowu pobiegł w krzaki.

Zapał zmierzch, który spotkali radośnie, jak dobrego przyjaciela, kryją- cego ich od licznych wrogów. Ruszyli naprzód drogą, obok której odpoczy- wali. Z tyłu widzieli na niebie olbrzymią łunę. To palił się futór Kozakiewi- cza. Antoni długo patrzył na krwawe zarzewie i rzekł z satysfakcją:

- Złapałeś, chamiu! Tak złapałeś, że całe życie będziesz na łapy dmuchał.

Długo szli naprzód, kierując się tak, aby mieć stale za plecami łunę pa- lącego się futuru, bo przypuszczali, że w ten sposób najprędzej wyjdą na brzeg Oressy. Szli kilka godzin, a rzeki nie napotkali. Zabawa się zatrzymał i powiedział ze złością:

- Tfu, diabeł! Takiego głupstwa nie dostrzegłem! Jeśli tak dalej pójdzie, to nigdy do Oressy nie dojdziemy.

- Dlaczego?

- Idziemy, mając łunę stale za plecami, lecz to nie znaczy, że idziemy na zachód!... Tak prostą rzecz przegapiłem!... Szliśmy przecież cały czas na po- łudnio-wschód!...

Zabawa wyjął busołą i chociaż nie chciało im się porzucać drogi, poszli na przełaj przez gęsty, nieprzejrany, trudny do przebycia las, kierując się na zachód.

Był późny wieczór, gdy wyszli z lasu na jakąś piaszczystą drogę. Poszli dalej. Wkrótce wylonili się z ciemności zabudowania ludzkiego osiedla. Błysnęło świa- tło. Zbliżyli się do okna. Zobaczyli w środku trzech mężczyzn, kilka kobiet i dzie- ci. Na gramofonie<sup>125</sup> paliły się smolne sęki, dość szczerze oświetlając całą izbę.

<sup>125</sup> Rura, przez którą wychodzi dym z mieszkania do komina lub przez okno na dwór, smol- ne sęki palą się na żelaznej kracie, a węgle spadają do wody w podstawionych nieckach, kory- cie lub szafliku.

I Pójdę zapytać o drogę, a ty uważaj - rzekł Zabawa. - Jeśli co, to strzelaj!... Z początku do ludzi, a potem w ogień.

Antoni oparł lufę rewolweru na ramię okienka, a Zabawa wszedł do sieni. Zapukał. Odemknięto drzwi. Wstąpił do środka.

- Dobry wieczór - rzekł.

- Dobry wieczór - odparło mu niezdecydowanie kilka głosów.

Obecni zdziwionymi oczami oglądali przybysza, bosego, bez czapki, w skórzanej kurtce.

- Czy daleko stąd do wsi Kuczynka? - zapytał Zabawa.

- „Czy daleko”? - powtórzył ktoś pytanie, a potem powiedział: - do Kuczynki daleko...

- Ile wiorst?

- Może dziesięć, a może i więcej...

- O, cholera!... Pokażcie mi drogę, po której dojdę do Kuczynki!

Starszy mężczyzna, widocznie ojciec rodziny, zapalił latarnię i kazał wyrostkowi wyprowadzić Zabawę na drogę do Kuczynki.

Wkrótce ruszyli dalej. Chłopak z latarnią szedł na przędzie. Zabawa i Antoni posuwali się za nim... Po kwadransie wyszli na szeroką piaszczystą drogę, gdzieś porosłą trawą. Tu las się kończył i rozpoczęły się pola. Chłopiec stanął i wskazał ręką przed siebie.

- O, jak tam pójdziecie, to dojdziecie prosto do Kuczynki... Ja dalej nie pójdę, muszę wracać...

Zabawa dał mu za fatygę grubszy banknot i poszli we wskazanym kierunku, lecz tej nocy nie znaleźli ani Kuczynki, ani Oressy. Błądzili po lasach, polach, łąkach, drogach, mając ciągle za sobą olbrzymią łunę pożaru. Pod koniec nocy, straciwszy do cna siły, przyszli na obszerną łąkę. Znaleźli dużą stertę siana ułożoną na palach, zrobili w niej z boku sporą wnękę, wleźli tam i zasnęli... Obudzili się od chłodu poranku. Wszystkie ich członki tak bolały, że ledwo potrafili wyleźć ze swojej kryjówki... Znajdowali się na olbrzymiej łące, po której szeregami, jak guziki po zielonym suknie munduru, ciągnęły się długimi rzędami sterty siana.

Zabawa sprawdził według busoli kierunek i powoli poszli naprzód. Dobrnęli do wąskiego, ciemnego pasma lasu, które jak cypeł wrzynało się w zielone, sfalowane wiatrem morze łąk. Przeszli przez las i znowu zobaczyli przed sobą łąkę. Na przeciwległym jej krańcu widać było las.

- Tam musi być rzeka - rzekł Antoni, wskazując długie wąskie pasmo łąki, przecinające środek łąki.

- Ja też tak myślę... - powiedział Zabawa. Weszli na łąkę...

Wkrótce stanęli nad brzegiem szerokiej i głębokiej rzeki, o czarnych, grząskich, urwistych brzegach.

i Oressa!... Nareszcie!... - wykrzyknął Zabawa.

Rozpoczęła się straszna przeprawa. Drżeli z zimna. Obaj byli chorzy, a musieli się przedostać na drugi brzeg tej czarnej, zimnej wody, którą przy brzegach cienki lód ścinał. Nie było z czego sklecić tratwy.

Zabawa się rozebrał. Poprawił opatrunek. Włożył swe rzeczy i broń do skórzanej kurtki, zrobił tłumok i wszedł do wody, która - jak mu się wydało - ogniem paliła ciało. Prędko popłynął przez rzekę, jednym ramieniem przytrzymując na karku ubranie, a drugą ręką i nogą pracując pośpiesznie... Dostęp do przeciwległego brzegu był bardzo trudny. Zarastała go ostra trawa, która jak brzytwą cięła skórę. Ledwo znalazł możliwe do wydostania się z wody miejsce. Brzegi były urwiste, wyżłobione w czarnej jak smoła, tłustej i lepkiej glebie... Porzucił na brzegu ubranie i prędko popłynął z powrotem. Przy pomocy Antoniego wyszedł na brzeg. Dygotał z zimna. Nogi i ręce miał sine, ciało pokryte ostrą gęsią skórą. Antoni narzucił na niego swoją kurtkę.

- Ot, bieda, że nie umiem pływać! - z rozpaczą powiedział do Zabawy przyjaciel.

Nad brzegiem rzeki znaleźli długie bierwiono, które zapewne powódź skądś przyniosła. Z trudnością spuścili je na wodę. Zanurzyło się głęboko, pozostawiając na powierzchni tylko małe pasemko drewna.

- Weź się za koniec bierwiona i trzymaj się mocno! Gdy będę na środku, odepchnij się silnie od brzegu... Uważaj! - krzyknął Zabawa i z rzeczami Antoniego na karku popłynął wzdłuż bierwiona. Oparł lekko tłumok na drugim jego końcu i krzyknął: - Odepchaj!

Antoni z całych sił odepchnął ciężkie bierwiono na środek rzeki, i sam plusnął do wody, robiąc rozpaczliwe wysiłki, aby się utrzymać na powierzchni. Zabawa z trudnością holował ten ciężar ku przeciwległemu brzegowi, trzymając jednocześnie ubranie kolegi i starając się, aby drewno nie obracało się w wodzie, żeby Antoni mógł wygodnie za nie się trzymać. Miał wolne jedynie nogi i nimi tylko pracował.

Byli pośrodku rzeki, gdy bierwiono zaczęło się pogrążyć. Nogi Antoniego ukazały się na powierzchni, a głowa znikła pod wodą. Po chwili wynurzył się i krzyknął:

- Ja tonę!... Tonę...

- Nic się nie bój! Zaraz ci pomogę! - odezwał się Zabawa.

Porzucił holowanie i prędko popłynął do brzegu. Wyrzucił na przybrzeżne błoto ubranie i wracał co prędzej do Antoniego. Kolega w tym czasie rozpaczliwie się chwycił rękami bierwiona, które się zanurzało w wodzie, nie dając mu na dłużej oparcia. Jednocześnie dopomogło mu się utrzymać na powierzchni, a nawet, poruszając się, nabytym poprzednio impetem, da-



ło można przebyć większej części rzeki. Zabawa prędko podpłynął ku Antoniemu, który chciał chwycić go rękami. Zabawa się uchylił.

- Połóż mi na karku tylko jedną rękę! I. Niczego się nie bój! - powiedział Zabawa.

Dociągnął Antoniego do brzegu. Gdy wydostali się na łąkę, wyglądali strasznie. Dygotali z zimna, a ciała mieli ubabrane w błocie i wymazane krwią, która obficie się sączyła przez liczne nacięcia na skórze. Długo skakali i rozcierali ręce i nogi, aż krew zaczęła wreszcie dopływać do kończyn. Ledwo potrafili się ubrać. Kulejąc i chwiejąc się na nogach poszli przez łąkę ku czerniejącemu w dali lasowi. Byli za Oressą. Niedaleko stąd rozpoczynały się pińskie bagna.

Przyszli do lasu... Dziwny to był las! Drzewa stały w wodzie i odbijały się w niej jak w lustrze. Stanowił straszną przeszkodę dla wycieńczonych do cna ludzi. Przez dwuwiorstowy pas tego lasu brnęli trzy godziny. Ostatecznie wyczerpani z sił, z pokaleczonymi okropnie stopami wydobyli się na skraj lasu. Zobaczyli o dwieście kroków od brzegu lasu nędzne zabudowania, a trochę bliżej pastuszka, który wypędził na pierwszą trawę wychudłą krowinę.

Zabawa obejrzał miejscowość. Prócz tego futoru było widać gdzienie-gdzie na olbrzymiej równinie nieliczne ludzkie osiedla.

- Musimy tam pójść - rzekł Zabawa, wskazując ręką futor.

- Jak chcesz - powiedział Antoni.

- Tak... musimy, bo nie ma sił... Zginiemy tu... A jeśli co... - krzywo się uśmiechnął - to... też: z dymem!..

Poszli w kierunku futoru.

Wstąpili do biednej, ale dość schludnej izby, w której zastali starszego chłopca, jego żonę, dorosłą córkę i małą dziewczynkę.

- Dzień dobry! - powitał ich Zabawa.

- Dzień dobry! - odparli obecni, zdumionymi oczami oglądając przyby-szów.

- A skąd to? - zapytał chłop.

-Jedziemy z Albińska do gajowego Runca... w sprawie urzędowej - rzekł Zabawa. - Chcieliśmy sami przeprowić się na tratwie przez Oressę i wywróci-liśmy się do wody. Pogubiliśmy buty, czapki i omal nie zginęliśmy...

- Ta-ak!... - podejrzliwie oglądając ich, powiedział gospodarz.

- Tak nie tak, pierietakiwat' nie budiem! - odrzekł Zabawa i tak spojrział mu w oczy, że chłop się cofnął do stołu.

- A mnie co?... Moja sprawa mała... - wymamrotał.

- Właśnie tak najlepiej. A teraz, gospodarzu, proszę dać nam jeść. Za wszystko dobrze wam zapłacę.

- Chyba chleba i twarogu, bo nic innego nie mam.

- Dawaj chleba i twarogu... Mleko jest?

-Jest trochę.

- Dawaj!

Wkrótce gospodyni wyjęła z pieca garnek gorącego mleka i położyła na stole spory kawał lichego, do torfu podobnego chleba. Koledzy zaczęli chcieć jeść i pić gorące, duste mleko. Zabawa jednocześnie uważnie obserwował domowników. Spozrzegł, że gospodarz schował do kieszeni czapkę, a wkrótce potem wyszedł do sieni... Odemknęły się drzwi na podwórze. Zabawa poszedł za nim. Gospodarz kierował się z dziedzińca na drogę. Zabawa dogonił go.

- Ty dokąd?

-Tu... do kuma... zaraz wrócę...

- Idź do chałupy i nie myśl o kumie! - rzekł ostro Zabawa. - Uważaj też, aby nikt z domu nie wychodził! Chcesz mieć chałupę i dobytek, to się pilnuj, bo ci czerwonego koguta puszcze albo tym poczęstuj! - tknął mu pod nos łufę parabellum.

-A może ty!... Cóż ty!... Nigdzie ja nie pójde!...

i O, tak najlepiej!... Pamiętaj: masz dzisiaj we-so-łych gości!...

Wrócili do izby. Chłop zaczął dogadzać „wesolym gościom”. Przyniósł kilkakajaj i kazał żonie usmażyć jajecznicę. Znalazło się nawet trochę tytoniu, samosiejki. Zabawa i Antoni chciwie palili skrecony w grubym gazetowym papierze mocny tytoń.

- A teraz, gospodarzu, wyszukujcie dla nas łapcie!

- T o można, można... Zaraz...

Chłop zdjął z wiszącej pod powalą żerdzi kilkanaście par łożowych łapci. Wybrał dwie pary i namoczył je w wodzie, w małych nieckach. Trudniej było sporządzić onuce, lecz żona jego przyniosła jakąś starą lnianą koszulę, z której wycięto dwie pary onuc. Znalazły się i sznurki, którymi się przymocowuje łapcie do nóg.

Zabawa i Antoni starannie wymyli nogi i wysmarowali stopy olejem słonecznikowym, pookręcali je onucami i włożyli łapcie. Nogom od razu zrobiło się lżej, chociaż opuchlizna nie ustępowała. Kolejno włązili spać na piec i wyczyścili tam broń. Zabawa wyjął z busoli tarczę, na której była zamieszczona podziałka, a która nie wiadomo z jakiej przyczyny - wygięła się i naciśkała na wskazówkę kompasu.

Tak przeminął cały dzień. Zbliżał się wieczór. Zabawa, porządkując ubranie, znalazł w kieszeni kurtki dwie pary jedwabnych pończoch. Dał je córce gospodarza.

- Masz! Jak świat stoi, żadna „krasotka” w waszej okolicy takich pończoch nie nosiła! - rzekł do niej.

Dziewczyna się zapłoniła i wytarła odwrotną stroną dłoni nos. Gospodarzowi Zabawa hojnie zapłacił... Zjedli kolację: ostatni w chałupie chleb, mleko i twaróg.

Chłop wskazał im drogę do Runca. Wyruszyli w dalszą podróż. Po dwóch godzinach drogi, znaleźli się obok bogatych - jak na tamte strony - zabudowań Runca. Stanęli.

- Gdybym wiedział, że on był w konszachtach z Kuczyńskim, to bym złożył mu wizytę! - rzekł Zabawa.

- Myślę, że to ich wspólna robota: Kuczyńskiego, Kozakiewicza i Runca, a może i tego chłopca, który nas przez Oressę przeprowadził - powiedział Antoni.

Zabawa machnął ręką.

- Dajmy spokój! - powiedział. - Kiedyś dowiemy się wszystkiego... Może zawitamy jeszcze tu w gości... Wtedy się porachujemy! Teraz nie warto za sobą śladu zostawiać.

Poszli dalej. Iść w łapciach było lżej i czuli się po dzisiejszym wypoczynku o wiele lepiej. Obawiając się zasadzki, posuwali się naprzód bardzo ostrożnie i szczęśliwie dotarli do końca „łądu”. Wstąpili na „morze”, utworzone z czarnych, rudych, zielonych i rdzawych pól błota, zamaskowanych z wierzchu lekkim, zielonym kobiercem. Z wieczora chmury się rozeszły i na niebie ukazał się księżyc, jak olbrzymia latarnia, oświetlający drogę. Było to dla nich wielką ulgą i... znacznym niebezpieczeństwem... Lżej było iść, bo widzieli dobrze teren, ale łatwiej mogli być dostrzeżeni. Postanowili iść z dala od kanału, kierując się na zachód, a gdyby droga okazała się nie do przebycia, poszliby na północo-zachód, aby wyjść na brzeg kanału.

## 5

Całą noc szli naprzód. Właściwie nie szli, lecz skakali z kępy na kępę po uginającym się pod nogami grzęzawisku. Szczególnie trudna była droga tam, gdzie kępy były rozrzucone z dala jedna od drugiej. W takich miejscach, przeskakując z jednej kępy na drugą, często zapadali głęboko w bagno i tylko za pomocą zabranych z ładu długich kijów wydostawali się z grząskiej, żarłocznej topieli, która się tworzyła pod ich nogami.

Przy bladym, upiornym świetle księżycy dziwnie ponuro i majestatycznie wyglądały bagna. Czysta wielka panowała wokoło. Od czasu do czasu przerywało ją cmokanie i chlupot opadających warstw błota lub bulgotanie wydzielających się z grzęzawiska gazów...

Zadnych głosów nie było słyhać na przestrzeni wielu kilometrów...

W dali było widać chwiejące się nad moczarami cienie... Może to duchy, może widma zmarłych, może upiory z baśni ludowych, błakające się po tych olbrzymich pustkowiach, a naprawdę: opary i mgły lotne... Często było widać fosforyzujące, blade płomyki i niebieskawe błędne ognie.

Podróżni zatracili rachubę czasu. Myśli zamierały im w mózgu. Mięśnie rąk i nóg drętwiały i automatycznie wykonywały swe czynności.

Księżyc coraz bardziej się zniżał. Podniosły się gęste mgły. Przykryły wilgotną, falującą chmurą całe bagna. Utworzyły ponad grząskim morzem błota lotne skłębione przez morze wilgoci, w którym nic dostrzec nie było można. Powiał lekki północny wiatr. Wzmógł się... sfałował i rozrzucił mgły. Porwał je i pognął na południe. Miękką, zimną szczotką przyglądał trawy... Czyścił i porządkował bagna, szykując je na przyjęcie wschodzącego słońca. A słońce strzeliło w górę fontanną promieni. Ozłociło szeroko widnokrąg. Rozrzuciło po niebie bogate, ciepłe kolory, przechodzące z bladego różu w krwisty szkarłat... Weszło cicho... uroczyście... Rozbłysło diamentami w kropkach rosy, osadziło wilgoć z powietrza, rozpędziło błakające się nisko po bagnach mgły... Szło zwycięsko, niosąc życie i radość... Tylko tu było zbędne i nie wzbudzało radości, bo ani ptak, ani zwierz, ani człowiek nie czekali na nie. W tym państwie śmierci i widm właściwe było tylko światło księżyca, martwe, zimne, blade...

Przed południem koledzy zobaczyli przed sobą pierwszą, porośłą lasem wyspę. Zbliżyli się do niej. Stanęli na twardym gruncie. Wyspa miała kilkaset kroków długości i około stu kroków szerokości. Zalegał ją zielony półmrok. Olbrzymie drzewa ciągnęły obfite soki z czarnej, tłustej gleby i wysoko pięły się w górę potężnymi kolumnami. W powietrzu unosiła się ostra woń wilgoci i stęchlizny. Był to cementarz leśnych olbrzymów. Drzewa, upadłe ze starości lub wyrwione przez burze, leżałyjedne na drugich. Wyglądały, jakby dopiero co legły na ziemię, lecz noga zapadała w nie przy najmniejszym nacisku.

Zabawa i Antoni ledwie znaleźli trochę zdatnych na ognisko drzew, bo wszystko wokoło było zgniłe lub przesiąknięte wilgocią. Z trudnością rozpalili ognisko i suszyli się przy nim.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Antoni.

- Przebyliśmy blisko trzecią część drogi. Tak sądzę. W pobliżu powinno być Książ-Jezioro... Trzeba dalej iść na północo-zachód... tam kanał... lżejsza droga... Tu niebezpiecznie... nie wyjdziemy...

Spali kolejno. Mieli trwożne sny. Budzili się z głodu i bólu w utrudzonych członkach. Nad wieczorem zaczęli zbierać liście różnych drzew i roślin. Suszyli je przy ogniu i próbowali palić, lecz żadne nie mogły zastąpić tytoniu.

Opatrzyli nogi, przewinęli onuce i umocowali lepiej łapcie. Następnie Antoni poprawił Zabawie opatrunek i ruszyli w dalszą drogę po bezdrożach.

*Późno po północy* wyszli na brzeg kanału. Ucieszyli się tym bardzo. To nędzne świadectwo zbiorowego wysiłku ludzi, porzucone na pustyni, jakby łączyło ich ze światem żywych i wyrzywało z krainy śmierci i upiórów.

Dalej poszli wzdłuż kanału. Nad ranem wymiñli wieś Skuszczyń. Dalej brzegi kanału porastał las. Gdy weszli do niego, słońce ukazało się na niebie. Mieli już za sobą dwie noce i jeden dzień powrotnej drogi. Od czasu przejścia granicy z Polski do Sowiećów byli w drodze sześć nocy i szósty dzień. Postanowili tej nocy dojść koniecznie do Polski, bo później mogli ostatecznie stracić siły i zginąć na bagnach... Byli wycieńczeni zupełnie, mieli okropnie popuchnięte nogi. Zabawa gorączkował. Rana na lewej łopatce zaogniła się i z trudnością poruszał ramieniem. Bał się położyć, bo wiedział, jak trudno jest wstawać i ruszać w dalszą drogę.

Minęli Kuźmieckie Chutory. Pozostawili za sobą prawie trzy czwarte drogi. Brnęli ciągle nad brzegiem kanału. Tu droga była lżejsza. Szli po wydeptanych przez ludzi ścieżkach. Woleli trafić na zasadzkę i dopiero walcząc, wycofać się na bagna albo zginąć, niż znowu iść na moczary. Zresztą przypuszczali, że zasadzka (jeśli była zrobiona) pozostała daleko za nimi, na początku drogi.

O drugiej po południu posłyszeli przed sobą szczekanie psa i stanęli na zakręcie kanału, za kępą olszowych krzaków. Pies ujadał w lesie, na prawo od kanału. W pobliżu ukazał się starszy mężczyzna z dubeltówką pod pachą i skórzaną torbą u boku. Zabawa i Antoni szli ku niemu.

- A wy co tu robicie? - grubiańsko odezwał się do nich nieznajomy.

- Łapiemy przemytników i samogonszczyków - odparł Zabawa, zbliżając się ku niemu pojedynczej, możliwej do przejścia, wąskiej ścieżce...

Nieznajomy podszedł ku nim, myśląc, że ma do czynienia z czekistami.

- Ręce do góry! - skomenderował Zabawa, kierując lufę parabellum w jego piersi.

Podniósł ręce do góry. Antoni pochwycił padającą dubeltówkę.

- Cóżes za jeden? - zapytał Zabawa.

-Ja... leśnik...

- A po co ludzi zaczepiasz?

-Ja nic... Ja... z ciekawości...

-I ja z ciekawości. Chodź do lasu!

- Chłopaki, cóż wy!... Za cóż wy?...

- No idź... nie gadaj!

Odeszli kilkaset kroków do lasu i tam zrewidowali swego jeńca. Broni nie miał więcej. W jego myśliwskiej torbie znaleźli kawał chleba i suchego sera. Miał również trochę tytoniu. Skonfiskowali mu tytoń i żywność. Leśnik ciągle prosił, aby go puścili. Przybiegł jego pies i zaczął ujadać, kręcąc się w pobliżu.

- Uspokój gol - rzekł Zabawa do Antoniego. Antoni wystrzelił do psa. Pies skowycząc pobiegł do lasu.

- Nic mu się nie stanie. Drobny śrut - rzekł leśnik.

Zbliżał się wieczór. Koledzy posilili się, zjadając po połowie ser i chleb. Zapalili papierosa, a potem znowu wyszli na brzeg kanału. Gajowy szedł między nimi i cały czas prosił, aby go puścili. Widocznie bardzo się bał, aby go nie zabili gdzieś na bagnach; zaklinał się, że nikomu nie powie o tym, że tędy przechodzili. Zabawę to zgniewało.

- Nie jęcz, psiakrew, bo zaraz kulę w łeb wsadzę i do kanału!... Wiem sam, kiedy ciebie puścić!... Mądrała! Znam was! Wiem, co ty myślisz!...

Leśnik nie odzywał się do nich więcej. Szedł posłusznie naprzód. Po pięciu godzinach drogi przez bagna (dawno wyszli z lasu) Zabawa zatrzymał gajowego i oddał mu dubeltówkę, pozostawiając u siebie naboje do niej, które później wdeptał do bagna. Gajowy z początku szedł wolno, a gdy się oddalił od nich o 50 kroków, pobiegł, komicznie przysiadając i przeskakując z kępy na kępę.

- Teraz nie zaszkodzi nam - rzekł Zabawa do Antoniego

Powlekli się dalej... Powoli, chwiejąc się, kulejąc... Iść było coraz trudniej, droga robiła się coraz gorsza, a sił było coraz mniej. Drogę utrudniało jeszcze to, że niebo się zachmurzyło, zrobiło się ciemno i nawet na krótki dystans nie można było rozpoznać terenu. Potykali się na kępach, zapadali w błoto...

Antoni często siadał, aby wypocząć. Zabawa powiedział mu, że takie wypoczynki jeszcze więcej męczą. Pomagał mu podnieść się i znowu brnęli dalej. Po krótkim czasie Antoni znowu siadał. Zabawa znowu go podnosił i znowu wlekli się po bagnach. Wdarli się w szeroki pas gęsto rosnącej łozy. Antoni usiadł. Zabawa go podniósł.

- Granica już blisko! Trzymaj się, Tońka! - rzekł do kolegi.

Sam nie wierzył w to, co mówił. W głowie miał jedną myśl: Jeśli położymy się - nie wstaniemy". Postanowił dążyć naprzód, dopóki nie straci świadomości, chociaż miał bardzo nikłą nadzieję na przedostanie się za granicę.

Po kilku godzinach strasznych, rozpaczliwych wysiłków wyszli z pasa łozy i stanęli na bagnie obok kanału... Antoni nagle ciężko usiadł w błoto i wyrzucił z siebie:

- Ja nie chcę... nie pójdę... nie mogę... dość... dość...

- Tortka, chodź... blisko już...

- Daj mi spokój... Nie chcę... Idź sam!... Po co mnie męczysz?

Zabawa wyczuł w głosie kolegi łyżę i nutę nienawiści. Usiadł obok niego.

- Tonią, mój drogi... Tyleśmy przeszli!... Chodź...

Kolega jakoś dziwnie jęczał.

- Ja zaraz... Zaraz w łeb sobie... No, *idźże* sam!...

- Cóż ty? - rzekł Zabawa z rozpaczą. - Chcesz mnie porzucić... Co?... Uszliśmy im z rąk, a teraz samym się poddać?!...

Antoni zgrzytnął zębami i spróbował się podnieść. Zabawa pośpieszył mu z pomocą. Poszli dalej. Zabawa często się oglądał, a gdy nie widział za sobą Antoniego, wracał i zastawał go albo kłęczącego, albo siedzącego w błocie. Podnosił go i prowadził pod ramię dalej, a potem puszczał samego i szedł naprzód... Chwiali się, zapadali w błoto i bardzo powolnie brnęli po bagnach naprzód.

W pewnym miejscu Zabawa spostrzegł, że Antoni, siedząc na kępie, wziął do ust lufę rewolweru.

„Chce się zastrzelić” - pomyślał.

- Tońka, daj mi rewolwer — powiedział. — Będzie ci lżej.

Wyjął mu z ręki broń. Kolega nie opierał się.

Weszli do lasu. Długo, bardzo długo szli przez gęsty, czarny las. Zabawa od czasu do czasu zatrzymywał się i patrzył na busołą. Wskazówka wirowała mu przed oczami i ledwo mógł uświadomić sobie kierunek - na zachód. Włókł dalej za sobą Antoniego, który mówił coś bez sensu. Kilka razy krótko się zaśmiała... zgrzytał zębami, lecz szedł...jakoś dziwnie — jakby stałe padał. Zabawa wcale nie odzywał się do niego.

Wyszli z lasu na łąkę. Iść było tu o wiele wygodniej. Teren był równy i twardy. „A może jesteśmy nad Słuczą?” - pomyślał Zabawa.

- Chodź, Tońka, chodź! - mówił do kolegi. — Przyszliśmy już. Zaraz Słucz...

- Co... w domu?... A dlaczego w domu?... - mówił bez związku Antoni.

Szli dalej w zupełnej ciemności, bo księżyc dawno zaszedł. Byli chorzy, bezsilni, gorączkujący... Omal nie wpadli do wody... Zabawa ledwo zdołał cofnąć się, w ostatniej chwili, słysząc przed sobą plusk fali... Znalazł pochyły brzeg... Nabierał w garście wody i długo pił. Potem mokrymi dłońmi wytarł twarz i czoło Antoniego.

- To są capy, to są buce!... - po cichu kłął Antoni.

- Tońka, tam Polska... To rzeka... Rozumiesz?... Co ci jest?... Tońka! Mów, no!...

- No i dobrze... Oj, głowa boli... boli, boli...

- Zaraz... Tylko cicho!... Zaraz...

Zabawa chodził po brzegu rzeki, szukając jakiegoś drzewa, żerdzi, deski... Znalazł spory kłoc, podobny do podkładu kolejowego, lecz o wiele szerszy i dłuższy. Następnie znalazł dwie, zbite razem, długie żerdzie. Zdjął łapcie, onuce i spodnie, a trykotowe kalessony zawiązał sobie na szyi. Sznurkami od łapci związał razem kłoc i żerdzie... Robił małą tratwę, za pomo-

cą której zamierzał przepłynąć na drugi brzeg rzeki, bo nie chciał zupełnie się rozbierać i porzucając na brzegu rzeczy, nago wchodzić do wody.

Znalazł w pobliżu małe zagłębienie w terenie, w którym łatwo mógł się ukryć człowiek. Zaprowadził tam Antoniego i zmusił go do położenia się w wysokiej trawie. Dał mu do ręki nagana i rzekł:

- Tońka... Ja popłynę na tamten brzeg... Rozumiesz?...

- Tak... A ja?... Ja co?...

- Wrócę po ciebie z łódką... Masz nagana... Leż cicho... Tylko nie zaśnij !... Gdy będę wołał - odezwij się!... uważaj, tu bolszewicy... Rozumiesz mnie?...

- Dobrze... idź...

Zabawa, siedząc okrakiem, a czasem wpdłęcząc na małej tratwie, która głęboko zanurzała się w wodzie, tak że z wysiłkiem balansował na niej, powolnie płynął po rzece... Trwało to bardzo długo... Dobił do przeciwnego brzegu. Wylazł z wody i poszedł po piaszczystej ławicy. Znow zobaczył wodę. „Kanał regulacyjny, czy zatoka?” - pomyślał.

Wszedł do wody i znowu popłynął... Ledwo zdołał dotrzeć do brzegu... Usiadł w przybrzeżnym błocie. W głowie mu wszystko wirowało. Dłonie miał zanurzone w grząskim mule... Siedział tak długo, chwycąc się... „Co ja robię?” - zastanawiał się. Ukłął. Spróbował wyrwać z błota prawą rękę, w której miał parabellum. Dokonał tego. Znowu upadł w błoto i długo tak leżał nieruchomo... Ciężko oddychał. Zrobiło mu się zimno. Cały dygotał. Wszystko - zdawało mu się - było w ruchu... Glob ziemski chwiał się, jak zawieszony w przestrzeni na linie. Przymknął powieki... oślepił go potok ognia, zwój błyskawic... białych, złotych, niebieskich, czerwonych... w mózgu burza szalała... Nagle gorzyc załała mu duszę. Zachciało mu się wyć, jak biednemu, konającemu zwierzęciu... Rzucić skargę w głąb tej tępej, czarnej, obojętnej nocy. Mózg znowu zalał potok myśli.

- Tak, Dziadu, tak... Tylko do Kozakiewicza dojść... Dobrze by było mieć do parabellum długą magazynkę... na tysiąc nabojęw... i siac, siac, siac... A tam coś ważnego... Ba-ardzo ważnego!... Ale co? co?... Aha! Tońka czeka!... Czeaka!...

Porwał się na nogi, stanął i - zobaczył przed sobą światło... Gdzieś daleko zapał kur...

Poszedł ku temu światłu. Chwiał się... zataczał, lecz dążył nieustannie na przód. Wyjął z kieszeni latarkę i zaświecił ją. Zużyta bateria pracowała resztką energii. Latarka rzucała na ziemię nędzny, żółty krążek światła, migocący w prawo i w lewo... Światło, ku któremu dążył, było to dalej, to bliżej. To zjawiało się tuż przed oczami, to - jak gwiazda - migotało z daleka. Dotarł do okna, za którym paliło się światło. Ledwo znalazł drzwi. Z wysiłkiem ode-



mknął je, pchnął naprzód i zrobił kilka kroków w nasyconą ciepłem przestrzeń izby.

Przy stole stał chłop. Był w białym tylko, bo dopiero co wstał z pościeli. Słyszac skrzypienie drzwi obrócił się i zamarł z przerażenia... Zobaczył przed sobą człowieka z rewolwerem w ręce, w czarnej skórzanej kurtce, z gołymi, ubranymi w błocie nogami i straszną twarzą, w której dziko płonęły oczy.

- Jaka... wieś?... - zapytał chrapliwym, urywanym głosem przybysz.

- Milewice... - powiedział cicho, prawie szeptem chłop.

B Milewice? - powtórzył przybysz, chwiejąc się na nogach, a po chwili zawrócił i wyszedł z izby.

Zaledwie Zabawa zrobił kilkanaście kroków w kierunku rzeki (zamierzał iść na strażnicę), gdy wokoło niego błysnęły latarki i rozległy się głosy:

- Ręce do góry! Stać!

Otoczyli go żołnierze polscy.

- Szukałem placówki... - z wysiłkiem rzekł Zabawa.

- Al... to jeden z tamtych... Wrócił! - wykrzyknął plutonowy. — A gdzie kolega?

- Tam... - Zabawa wyciągnął rękę w kierunku rzeki. - Chodźcie przódziej... Dajcie papierosa...

Dali mu zapalonego papierosa i poprowadzili ku rzece. Plutonowy szedł przy nim i coś mówił, lecz Zabawa z trudnością go rozumiał.

- Widzieliśmy, jak ktoś szedł z latarką... Śledziliśmy: dokąd pójdzie... Myśleliśmy, przemytnik... Patrzymy, a to...

Doszli do brzegu rzeki. Słucz szumiała w mroku nocy, przed nimi...

Żołnierze przynieśli we czterech sporą łódź. Spuścili ją na wodę. Zabawa umieścił się w łódce.

- Niech ktokolwiek wiosłuje - rzekł. - Ja wskażę kierunek.

- Nam nie wolno płynąć na tamten brzeg - rzekł plutonowy.

- Ależ ja... sił nie mam!... Nie dołynę...

- Nie możemy!... Nie wolno!...

- Odpychajcie! - powiedział ze złością Zabawa, biorąc podaną mu deskę, którą musiał zastąpić sobie wiosło.

Łódka oddaliła się od brzegu zanurzając się w ciemności nocy, która okrywała wszystko wokoło... W pewnej chwili Zabawa poczuł, że siedzi w wodzie. Przybywało jej coraz więcej... Wkrótce łódka pogrążyła się całkowicie w rzece, a Roman popłynął z powrotem ku brzegowi. Żołnierze dopomogli mu wyjść z wody. Chwiejąc się na nogach podszedł do plutonowego. Podniósł rewolwer do góry.

- Wiesz, ty, co robisz?... Wiesz? - chrypiał. - Ja was!...

-Jeden moment, panie!... Myśmy nie wiedzieli, łódka się rozeschła..  
Zaraz będzie czółno...

Wkrótce żołnierze pośpiesznie przynieśli czółno. Mówili *coś* do Zabawy, lecz nie rozumiał ich. Mózg miał zajęty jedną myślą: „Żeby nie *znaleźli* go bolszewicy. Byle zdążyć!”. Ciągłe oczekiwał wystrzałów na tamym brzegu, lecz rzekę i przeciwległy brzeg zalegało ponure milczenie, przerywane *tylko* monotonnym pluskaniem wody o brzegi.

Żołnierze spuścili czółno na wodę i dopomogli Zabawie wejść do niego. Odepchnęli czółno od brzegu. Roman powoli przepływał rzekę, starając się nie stracić kierunku. Od czasu do czasu się oglądał i widząc z dala ognie wsi, której mieszkańcy już wstawali, płynął dalej... Czółno ocierało się o mielizny, wirowało w silniejszym prądzie rzeki i Zabawa z wielką trudnością płynął w potrzebnym kierunku. Dobił do brzegu. Puścił łódkę z prądem i popłynął w dół rzeki... Wiedział, że znajduje się o wiele wyżej od tego miejsca, gdzie zostawił Antoniego.

- „Mam tylko jeden nabój - myślał Zabawa, mając na względzie ubranie w błocie parabellum, które wypukał w rzece, lecz które mogło nie wystrzelić po raz drugi. - Jeden strzał mam... w piersi... Dlaczego Torika się nie odzywa? Powinien mnie słyszeć!... - A może zasnął?!”.

Kilka razy po cichu wołał:

-Tonią!... Tońka!

Nikt mu nie odpowiedział. Chciał wyjść na brzeg, lecz bał się, aby prąd nie zniósł mu czółna. W pewnym miejscu dostrzegł na brzegu jakąś ciemną, niewyraźną postać. Podniósł w górę parabellum.

- Ro... mek! - rozległ się chrapliwy szept

- Ja... ja - radośnie odezwał się Zabawa. Pomógł Antoniemu wejść do czółna i odepchnął je od brzegu. Wiedział, że prąd dopomoże im bez większego wysiłku przepłynąć na drugi brzeg.

- Słyszałem ciebie - szeptał Antoni - ale nie mogłem się odezwać... Byli blisko... Stali długo... długo... Słuchali, potem poszli...

Fala pluskała o brzegi rzeki i o czółno. Z tyłu się rozległ przestraszony, sztucznie srogi głos:

- Kto tam?... Kto? Bo strzelam!...

Po chwili padł strzał i głośnym echem rozległ się w pobliskim lesie. Błysnęły latarki elektryczne. Wyrwały z ciemności czarne, lśniąco, jak mokry asfalt pasma wody. Jednocześnie na lewym brzegu Słuczy również ukazały się światła kieszonkowych latarek i rozległo się kilka wystrzałów karabinowych... To polscy żołnierze odwracali uwagę bolszewików i wskazywali Zabawie, dokąd ma uciekać. Niczym więcej nie mogli mu pomóc.

Czółno, kolebiąc się na fali, powoli płynęło z prądem rzeki. Antoni leżał na plecach, coś szeptał, lecz Zabawa nie mógł zrozumieć go.

Granica ożyła. Strzały nie ustawały. Rozbrzmiewały podniecone głosy. Zabawa i Antoni nie odezwali się ani głosem, ani strzałem. Dotarli do prawego, urwistego w tym miejscu brzegu. Zabawa próbował zatrzymać czółno, czepiając się rękami brzegu, lecz prąd znosił je w dół i mógł znowu porwać na głębinę... Wtem na brzegu ukazało się kilka szarych postaci i ku niemu wyciągnęły się mocne ramiona... Żołnierze pomogli Zabawie wyjść na brzeg.

Fale Słuczy cicho szemrały...

- Tam kolega... tam... w czółnie... - szeptał Zabawa osuwając się na ziemię.
- Dobrze, dobrze... Zabierzemy go.

Rozpoczął się świt. Rzeka otulała się od zimna poranka siwą szarą mgłą.

*Święty Krzyż, więzienie, 2-29 kwietnia 1934 r.*

ciąg dalszy *Piątego etapu* w powieści *Bogom nocy równi*

WSTĘP.....	5
KONIEC CZWARTEGO ETAPU .....	7
PIĄTY ETAP.....	14
I. PIERWSZA PODRÓŻ W „CZWARTY WYMIAR”.....	16
II. „PARTIA LIZKI”.....	45
III. „TRZECH NIEOBECNYCH”.....	63
IV. „UWAGA - SZPIEG PODSŁUCHUJE”.....	81
V. BIBUŁKA „SOLALI”.....	99
VI. ZA GRANICĄ ŚWIADOMOŚCI.....	114
VII. KU BRZEGOWI ŻYCIA.....	136
VIII. TOWARZYSZE PODRÓŻY.....	153
IX. SOTRUDNIK ZACZYSTSKOWO WOLISPOŁKOMA.....	159
X. „NAUCZYCIEL”.....	177
XI. „WOŁGĄ WOŁGA!”.....	186
XII. WILIA ZABAWY.....	202
XIII. SOTRUDNIKI OSOBOWO OTDIEŁA.....	222
XIV. URODZINY LIZKI.....	237
XV. U OJCA.....	256
XVI. KOMISARZ GŁADKOW.....	264
XVII. ...TAM, GDZIE DIABŁY CHODZĄ.....	276